

W STULECIE URODZIN JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO

SCRIPTORES

1

1909

2009

N³⁵_R



OSRODEK
BRAMA
GRODZKA
TEATR NN

TOM

LUBLIN 2009

Ł O B O D O W S K I

ŻYCIE ★ TWÓRCZOŚĆ ★ PUBLICYSTYKA ★ WSPOMNIENIA

SCRIPTORES

Redakcja i wydawca:
Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”
teatrnn@tnn.lublin.pl www.tnn.lublin.pl

Dyrektor Ośrodka:
Tomasz Pietrasiewicz

Adres redakcji i wydawcy:
ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin
tel.: (+48 081) 532-58-67, faks: 534-61-10

Redaktor pisma:
Marcin Skrzypek
marcin@tnn.lublin.pl scriptores.tnn.lublin.pl

Numer zredagowany przez zespół:
Marcin Skrzypek, Aleksandra Zińczuk
(redakcja, ilustracje)

Anna Chaber (redakcja techniczna)
Joanna Zętar (ikonografia)
Konsultacje archiwalne: Marzena Baum

Autor: NN

Składamy serdeczne podziękowania
Rodzinie Tomanków za udostępnienie zbiorów
prywatnych i zgodę na publikację tekstów
Józefa Łobodowskiego.

Projekt okładki i strony tytułowej:

Małgorzata Rybicka

Układ graficzny wnętrza:

Marcin Skrzypek

Skład:

Amadeusz Targoński www.targonski.pl

Druk i oprawa:

PETIT s.c. Lublin

Nakład:

1000 egz.

© Copyright for cover design by Małgorzata Rybicka 2008

„Scriptores” jest kontynuacją pisma „Scriptores Scholarum [Zeszyty Szkolne] – kwartalnik uczniów, nauczycieli oraz ich Przyjaciół” wydawanego przez Ośrodek od czwartego numeru w latach 1994-2000.

Między społeczeństwem polskim a kilkoma milionami rusinów z Podola i Wołynia wzniosła się barykada niezrozumienia i niechęci, za którą biją nienawistne serca bratniego narodu. Przeważnie jesteśmy skłonni całkowitą odpowiedzialnością za ten stan obciążać sumienia Rusinów.

Józef Łobodowski, *Serca za barykadą*, s. 381.

Arnsztajnowa jest z pochodzenia Żydówką, stąd też zapewne lekceważące zestawienie jej z „Turowerem, Łazowerem i Frydkiem” i umieszczenie w sąsiedztwie obelżywej uwagi o pederastach. Nie pierwszy to raz zdarza się pp. „nacionalistom”. Czytaliśmy już kiedyś coś takiego o sędziwej pisarce w „Podbipięcie”. Żydówka! – i sprawa przesądzona. Pp. Publicyści zapomnieli jednak dodać, że ta Żydówka prowadziła intensywną pracę niepodległościową w Lublinie mniej więcej wtedy, gdy babcia niejednego „narodowego” redaktora chodziła w rudej peruce.

Józef Łobodowski, *Do redaktora „Wiadomości Literackich*, s. 291.

Starzy i doświadczeni wyjadacze, sutenerzy na utrzymaniu rewolucji, monopoliści na głód, nędzę i trupy, potrafią zawsze wytłumaczyć młodszemu koledze, że jego wątpliwości są wynikiem braku ideowego wyklarowania, a zastrzeżenia, choćby podyktowane wstrętem do etycznych machlojek, to po prostu inteligenckie błędzenie po manowcach.

Józef Łobodowski, *Uzurpatorzy wolności*, s. 257.

Józef ŁOBODOWSKI

tom 1: życie, twórczość, publicystyka, wspomnienia

SPIST TREŚCI:

KALENDARIUM ŻYCIA

Dzieciństwo i okres szkolny 1909-1931

Litwa **9**, Chrzest w Warszawie **10**, Lublin **10**, Rosja (Moskwa) **11**, Kubań **11**, Rewolucja **12**, Powrót do Polski **13**, Lublin: szkoła powszechna, gimnazjum **14**, Przerwa w nauce **15**, Poetycki agitator **16**, Słońce przez szpary **16**, Matura **17**

Studia i działalność publicystyczno-pisarska 1931-1939

Radykalizacja młodzieży **19**, Gwiazdny psalterz **20**, O czerwonej krwi **21**, Pierwszy proces „literacki” Łobodowskiego **21**, Usunięcie Łobodowskiego z KUL-u **22**, Wejście Łobodowskiego w środowisko lubelskich komunistów **23**, Skandalista **23**, Łobodowski i Majakowski **24**, Łobodowski publicysta **24**, „Trybuna” **24**, Początek wątku porozumienia polsko-ukraińskiego **25**, Powstanie Lubelskiego Związku Literatów **25**, W przeddzień **26**, Redakcja „Kuriera Lubelskiego” **26**, „Barykady” **27**, Konfiskata nr. 2 „Barykad” **28**, Prace nad nr. 3 „Barykad” **29**, Rachunek sumienia **30**, Wydanie i areszt nr. 3 „Barykad” **31**, Sprawa sądowa za nr. 3 „Barykad” **31**, Druga sprawa sądowa **32**, Służba wojskowa **33**, Rozprawy sądowe za „Barykady” **34**, Łobodowski aktorem **34**, Spotkania z Janem Śpiewakiem **34**, Zuzanna Ginczanka **35**, Próba samobójcza **36**, Najazd Awangardy na Warszawę **39**, Umorzenie sprawy Łobodowskiego **40**, wyjazd do Warszawy **41**, Czechowicz **42**, „Dźwigary” **43**, Odchodzenie od komunizmu **44**, Tłumaczenia z ukraińskiego **45**, Zerwanie z komunizmem **45**, Rozmowa z ojczyzną **47**, Atak na Łobodowskiego **47**, Odpowiedź: Smutne porachunki **48**, Reakcja na Smutne porachunki **49**, Przekłady z języka rosyjskiego **50**, Sprawa ukraińska **50**, Zgłoszenie Rozmów z ojczyzną do nagrody PAL **51**, Sprawa Łobodowskiego – ciąg dalszy **51**, Uzurpatorzy rewolucji **52**, Demonom nocy **52**, Zuzanna Ginczanka w Warszawie **53**, Sprawa ukraińska **54**, Nagroda PAL **54**, Atak na Łobodowskiego i polemika **54**, Sprawa Arnsztajnowej **55**, Sprawy kryminalne Łobodowskiego **55**, „Kurier Lubelski”, nowa inicjatywa Łobodowskiego **56**, Lubelska Szopka Polityczna **56**, Wyjazd do Łucka – redakcja pisma „Wołyń” **57**, Konflikt polsko-ukraiński **58**, Ankieta o stosunkach polsko-ukraińskich **59**, Ślub

z Jadwigą Kuryłówną **59**, Pobyt na Wołyniu **60**, Wspomnienie o Józefie Łobodowskim **60**, Twórczość w okresie pobytu na Wołyniu **61**, Józefa Łobodowskiego koncepcja kultury kresowej **62**, Powrót do Warszawy **63**, Sprawa ukraińska **64**, Katastrofizm **64**, Pobyt na Rusi Zakarpackiej **65**, Ostatnie spotkanie z Zuzanną Ginczan-
ką **65**, Początek wojny **66**

69 **Wojna 1940-1945**
71 **Historia Mówiona** Adam Tomanek

Okres powojenny – emigracja 1945-1988

Życie i praca na emigracji **73**, Sprawa ukraińska – podsumowanie **76**, Śmierć i pogrzeb **79**

82 **FOTOREPORTAŻ Z ARCHIWALIÓW**

KALENDARIUM ŻYCIA – HASŁA UZUPEŁNIAJĄCE

- 95** „W Słońce”
- 99** „Trybuna”
- 104** „Barykady”
- 109** „Dźwigary”
- 112** Łobodowski i Czechowicz
- 117** Knajpa Ojca Grudnia
- 120** Łoża Wielkiego Uśmiechu
- 123** Pamiątki po Łobodowskim
- 126** Józef Łobodowski a film i lubelskie kina
- 127** Józef Łobodowski **Nogi Marleny Dietrich**

WYBÓR TEKSTÓW

- Józef Łobodowski Wiersze lubelskie**
- 133** *Ballada lubelska*
- 149** *Na śmierć Czechowicza*
- 150** *Żonie*
- 152** *Lubelszczyzna*
- 153** *Noce lubelskie*
- 157** *Lublin 1934*
- 158** *W Zemborzycach*
- 159** *List do matki*
- 160** *Cmentarz w Lublinie*
-
- Lublin we wspomnieniach Łobodowskiego**
- 163** Józef Łobodowski *Wspomnienia lubelskie*
- 173** Józef Łobodowski *Cztery Lubliny*

	Lublin w powieściach Łobodowskiego
181	Jerzy R. Krzyżanowski Lublin Józefa Łobodowskiego
185	Tadeusz Kłak „ Lubelskie ” powieści Józefa Łobodowskiego
	Józef Łobodowski – lubelski skandalista
201	Wacław Gralewski Wataha Atamana Łobodi
215	Alojzy Leszek Gzella Pod znakiem Łobody. Z dziejów prasy lubelskiej
219	Sprawa „poety skonfiskowanego” na łamach „Expressu Lubelskiego”
222	Awantury Łobodowskiego odnotowane w „Głosie Lubelskim”
	„Kurier Lubelski” 1932
227	„ Kurier Lubelski ” Józefa Czechowicza
230	„ Zgrzyty Lubelskie ” w „ Kurierze Lubelskim ”
231	Współpraca Józefa Łobodowskiego z „Kurierem Lubelskim”
232	Rezygnacja Józefa Łobodowskiego z redagowania „Kuriera Lubelskiego”
233	Rubryka Paragrafa „Zgrzyty lubelskie”
	Zerwanie z komunizmem
253	Józef Łobodowski Smutne porachunki
257	Józef Łobodowski Uzurpatorzy wolności
	Atak na Łobodowskiego
271	Bolesław Miciński List otwarty do Osipa Łobody
273	Józef Łobodowski Tropicielom polskości
276	Bolesław Miciński Żarty i wyznania
281	Józef Łobodowski Żarty a rzeczywistość
285	Bolesław Piasecki Rozkoszny laureat
	Sprawa Arnsztajnowej
289	Bolesław Piasecki „ Pion ” przegląda prasę
290	Bolesław Piasecki Skutki
291	Józef Łobodowski Do redaktora „Wiadomości Literackich”
293	Bolesław Piasecki Burza na lubelskim Olimpie poetyckim
294	Bolesław Piasecki Naręcze jajeczek
296	Bolesław Piasecki Profesor patriotyzmu
	Środowisko literackie – Lublin i Warszawa
299	Józef Łobodowski Zuzanna Ginczanka
306	Historia Mówiona Adam Tomanek
307	Józef Łobodowski „ Dusze chce łowić... ”
314	Józef Łobodowski O cyganach i katastrofistach
363	Irena Szypowska Rozmowa z Józefem Łobodowskim
374	Roman Samsel Poezja się uratuje
377	Historia Mówiona Irena Szypowska

	Ukraina
381	Józef Łobodowski Serca za barykadą
384	Rozmowa z Józefem Łobodowskim w „Spotkaniach”
393	Józef Łobodowski Przeciw upiorom przeszłości
	O Józefie Łobodowskim i jego twórczości
409	Jan Miklaszewski Gwiazdny psalterz
411	Czesław Miłosz Lublin żyje
413	Tymon Terlecki Poezje Cezarego Baryki
417	Jerzy Stempowski Nagroda Literacka „Kultury”
419	Kazimierz Okulicz O Łobodowskim i o „cywilizacji jagiellońskiej”
422	Rozmowa Józefa Zięby z Jadwigą Ostrowską
427	Józef Zięba Józef Łobodowski – poeta religijny
430	Historia Mówiona Adam Tomanek
431	Florian Śmieja Józef Łobodowski o sobie i swojej poezji
435	Jadwiga Sawicka Osobna droga
437	Historia Mówiona Wanda Tomankowa
438	Jerzy Święch Rachunek sumienia emigranta
442	Jarosław Cymerman Teatr Łobodowskiego
444	Bibliografia

Kalendarium życia Józefa Łobodowskiego





Powyżej: Józef Łobodowski z rodzicami i siostrami w Rosji 1914-1916 rok. Fot. ze zbiorów rodziny Tomanaków.

Na poprzedniej stronie: Józef Łobodowski. Fot. ze zbiorów rodziny Tomanaków.

19 marca 1909 – Józef Stanisław Łobodowski urodził się we wsi Purwiszki na Suwalszczyźnie w rodzinie Władysława i Stefanii z domu Doborejko-Jarząbkiewicz.

Rodzice wkrótce po narodzinach syna sprzedali majątek i przenieśli się do Lublina.

1914 – ojca, pułkownika armii carskiej, skierowano na służbę do Rosji; wraz z nim wyjechała cała rodzina.

1914-1917 – pobyt w Moskwie; jako chłopiec Łobodowski był świadkiem rewolucji bolszewickiej i wojny domowej.

1917-1922 – pobyt w Jejsku na Kubańszczyźnie (Północny Kaukaz), nad brzegiem Morza Azowskiego.

– Nauka w gimnazjum rosyjskim.

– Obserwacja powstania chłopów i Kozaków kubańskich przeciwko władzy radzieckiej.

– Przyjaźń z Kozakami, fascynacja Ukrainą (ukraińskością) – później przez przyjaciół nazywany był „atamanem Łoboda”.

– Trudna sytuacja materialna; dwunastoletni Józef zajmował się nielegalnym handlem samogonem i papierosami, za co został aresztowany, spędzając dwie doby w celi więziennej.

– Prześladowania ojca przez bolszewików – niewola i ciężka choroba.

4 marca 1922 – śmierć ojca; Władysław Łobodowski został pochowany w Jejsku.

1922 – powrót do Lublina z matką i starszą siostrą Wandą (młodsza siostra Janina zmarła w drodze na tyfus). Trzynastoletni Józef z matką musiał ponownie zarabiać na utrzymanie swoje i rodziny.

1922-1924 – szkoła powszechna w Lublinie; od siódmej klasy pełnił funkcję dyrektora szkolnego teatru.

1924-1931 – nauka i działalność kulturalna w Gimnazjum im. Hetmana Jana Zamoyskiego w Lublinie; praca zarobkowa, między innymi na poczcie, w telegrafii, jako korepetytor.

1928-1931 – redaktor szkolnego czasopisma „W Słońce” (tematyka czasopisma: literatura, sztuka, nauka).

1929 – pierwszy tomik poetycki *Słońce przez szpary* wydany za własne pieniądze. Julian Tuwim po otrzymaniu tomu do oceny obiektywnie skrytykował zbiór i zachęcił młodego poetę do dalszej pracy twórczej.

1931 – matura.

Dzieciństwo i okres szkolny 1909-1931

1909-1910 – Litwa

Józef Łobodowski urodził się 19 marca 1909 roku w Purwiskach na Suwalszczyźnie.

Irena Szypowska: [Purwiszki leżały] nad rzeką Zapsią, dopływem Białej Hańczy, na tym skrawku kresowej Aukšto-ty, który po pierwszej wojnie światowej wszedł w obręb Litwy. Folwark należący do parafii Wiejsieje, a położony dwadzieścia wiorst od Sejn, był własnością Łobodowskich.¹

Józef Łobodowski: Mój ojciec, Władysław Łobodowski, miał widocznie we krwi gospodarskie upodobania, bo przez całe życie marzył o własnym kącie na skrawku ziemi, choćby najmniejszym, ale własnym. Dzięki tym upodobaniom i marzeniom urodziłem się na litewskiej wsi, w gminie Wiejsieje, powiatu sejneńskiego, w tej części, która po odzyskaniu niepodległości przypadła Litwie, nazywanej przez Polaków Kowieńską. Folwarczek zakupiony z oszczędności ciułanych przez całe życie był niewielki, jakieś [tu napisane pierwotnie: sto, ale przekreślone i dopisane:] dwieście hektarów ornej ziemi [wygląda to jak poprawienie błędu, możliwe jednak, że za błąd uznał J. Ł. przypisanie sobie za małego obszaru – przyp. I. Sz.], trochę lasu, wreszcie jeziorko, na którym można było założyć rybne gospodarstwo. Jak do tego doszło i jak się urwało, opowiem na innej stronie [nie znaleźliśmy jej], na razie chodzi o stwierdzenie ważnego (przynajmniej dla mnie) faktu, że 19 marca 1909 roku w dworze ziemiańskim, Purwiszki, urodził się Józef Łobodowski, czyli ja.

Z tą nazwą miałem potem, już w gimnazjum, pewne niemiłe kłopoty, bo wystarczyło zmienić pierwszą literę i wychodziło niezbyt przyzwoicie. A po

litewsku znaczy to po prostu: miejsce bagniste. Moje zjawienie się było nie lada ewenementem, ponieważ od ślubu przychodziły same córki, a było ich trzy, ojciec zaś uparł się, że musi mieć męskiego dziedzica. Nie wiem, dlaczego zwlekałem tak długo, ale wreszcie zjawiłem się. Oczywiście tego wiekopomnego wydarzenia nie pamiętam, wszystko, co o tym pierwszym okresie mojego życia napiszę, czerpię z opowiadań, więc za ścisłość informacji nie odpowiadam.

Otóż gdy przyszedłem na świat, na okolicę zwała się potężna burza z gromami i błyskawicami, podobno o tej porze (jeszcze zima) na Aukštocie niezmiernie rzadka. Przestraszone baby zaczęły szeptać po kątach, że urodził się zły człowiek, może, broń Boże, wcielenie diabła. Moja matka także wpadła w przerażenie, ponieważ noworodek, czyli ja, po rozejrzeniu się dookoła skrzywił się, zaczął piszczeć i wykazywać niedwuznaczną chęć powrotu. Wobec tego mój dziadek, który był przy tym obecny, ochrzcił mnie zwykłą wodą, jako najstarszy chrześcijanin w domu. Ta skromna uroczystość najprawdopodobniej zatrzymała mnie na tym padole łez, który już-już zamierzałem opuścić.

Ledwie się ta ceremonia dokonała, aż tu dzyń-dzyń, dzwoneczek przy bryczce, którą ksiądz proboszcz jechał z Ostatnimi Olejami do konającego, a że wpadł we wspomnianą burzę, zawiął do pierwszego napotkanego domu. Naturalnie został przyjęty z otwartymi ramionami. Taka okazja! Zostałem ochrzczony po raz drugi, już formalnie i święconą wodą. Zawsze co ksiądz proboszcz to nie dziadek, choćby najbardziej kochający i kochany. Ale i na tym nie koniec.²

¹ Irena Szypowska, Łobodowski. *Od „Atamana Łobody” do „Seniora Lobo”*, Warszawa 2001, s. 8.

² Tamże.

1910 – chrzest w Warszawie

Irena Szypowska: Władysław i Stefania Łobodowscy nagle zrujnowani (w 1910 roku sprzedali majątek niejakemu Macianisowi i wszystkie pieniądze na skutek krachu finansowego straciły wartość), zatrzymali się na pewien czas w Warszawie. Z tego okresu Józio zapamiętał: „idę z matką i siostrami do kościoła na Powązkach... Dróżka była wysłana drobnymi kamieniami, nabrałem ich mnóstwo do dziecinnych sandałków”.

Józef Łobodowski: [Gdy] rodzina znalazła się przejściowo w Warszawie, ojciec uparł się, że tamte dwa chrzty

są nieważne, że prawdziwy chrzest ma się odbyć z prawdziwym ceremoniałem, z muzyką organów, których w skromnym purwiszańskim dworze, rzecz prosta, nie uświadczyl.

Więc po raz trzeci zostałem ochrzczony, już jako pierworoczniak, na warszawskich Bielanych, tam właśnie, gdzie przed dwustu przeszło laty pan Michał Wołodyjowski został porwany przez Onufrego Zagłobę. Ale, gdy mnie chrzczono przy dźwięku organów na Bielanych w roku 1910, nie miałem jeszcze pojęcia o przygodach bohaterów *Trylogii*.³

1910-1915 – Lublin

Irena Szypowska: [Ojciec Łobodowski] skierowany do ósmego batalionu saperów wyjechał z rodziną na stałe do Lublina. Ale co w tej części Europy i w tym wieku mogło być stałe?

W Lublinie spędzili kilka w miarę dostatnich i spokojnych lat. Z tego okresu zachowała się reprezentacyjna fotografia w wymiarze „gabinetowym”: przystojny oficer z twarzą pełną godności i powagi, łysiejący, ale z czarną wypielęgnowaną bródką, stoi obok znacznie młodszej damy siedzącej na krześle i przygarniającej do siebie synka w marynarskim mundurku z grzywką opadającą na czoło. (Przygarnia go, na chwilę, do zdjęcia, bo utrzymać go przy sobie nigdy nie mogła, po prostu w ich stosunki wdał się „wicher historii”). Pani Stefania uczesana jest do góry, w kok, ubrana w suknię do samej ziemi z białym, koronkowym żabotem. Oboje stanowią przystojną parę. Przed

tatusiem dwie dziewczynki w jasnych sukienkach: młodsza – Władysława, zwana w rodzinie Dziunią, z długimi do pasa warkoczami związanymi na kokardy – stoi; starsza, śliczna Janeczka z krótkimi włosami, siedzi obok. Nie ma najstarszej, Marysi, która umarła na dyfteryt. Fotografia mogła być zrobiona wiosną 1914 roku, bo chłopiec wygląda na pięciolatka. Późniejsza być nie mogła.

W 1914 roku żołnierz poszedł na wojnę, trudną i dla Polaka w obcym mundurze bezsensowną, a jego żona z niepokojem śledziła działania na froncie. Po pierwszych klęskach armii rosyjskiej zaczęła się obawiać, że przyjdą Niemcy i rodzina rosyjskiego oficera będzie zagrożona, a poza tym rozdzieli ich linia frontu. Podjęła wtedy decyzję przeniesienia się na czas wojny do Moskwy. Podobnie postąpiło wiele rodzin będących w takiej sytuacji.⁴

³ Tamże, s. 8-13.

⁴ Tamże, s. 13-14.

1915-1917 – Rosja (Moskwa)

W roku 1915 Łobodowscy przybyli do Moskwy.

Irena Szypowska: Rosjanie, przynajmniej początkowo, życzliwie patrzyli na polskich „bieżeńców”. Życie toczyło się mniej więcej normalnie. Łobodowscy zamieszkali w dobrej dzielnicy, mieli służącą, dziewczynę, którą zabrali ze sobą z Lublina.

Dziewczynki poszły do gimnazjum, chłopiec uczył się w domu i bardzo szybko opanował umiejętność czytania i pisania po polsku i rosyjsku. Listy od ojca przychodziły regularnie, co roku spędzał nawet w domu niedługi urlop.⁵

Józef Łobodowski: Chociaż dzieci, bacznie śledziliśmy wydarzenia wojenne. Zdarzyło się, że popsuka się moja ulubiona zabawka. Uprosiłem matkę, aby mi kupiła taką samą. Idziemy do sklepu, okazuje się, że jest droższa

dwukrotnie niż za poprzednim razem. Dlaczego? – dziwi się matka – przecież minął zaledwie miesiąc? Tak, madame, tłumaczy uprzejmy subiekt, ale właśnie Niemcy zajęli Warszawę, najlepsze zabawki przychodziły z warszawskich fabryk. [...]

Po dwóch latach prowadzenia wojny sytuacja żywnościowa zaczęła się psuć, a po pierwszej mieńszewickiej rewolucji i abdykacji Mikołaja II popsuka się całkowicie. Brakowało wszystkiego: mąki, cukru, tłuszczów. Jakoś późną jesienią tegoż roku przyszedł list od znajomych, którzy uprzednio wyjechali na północny Kaukaz. Zachęcali do przyjazdu. Matka nie wahała się ani jednej chwili. Po dwóch tygodniach potrzebnych na likwidację mieszkania, sprzedaż rzeczy, spakowanie się, [wsiedliśmy w] dalekobieżny pociąg Moskwa – Jekatierinodar.⁶

1917-1922 – Kubań (Północny Kaukaz), miasto Jejsk

Józef Łobodowski: Wyładowaliśmy się w mieście Jejsku, na brzegu Morza Azowskiego. Duży rybacki port, rozległe ogrody i sady, w nich parterowe, jednorodzinne domki. [Było to pod koniec lata 1917 roku]. [...]

Od małego byłem niezmiernie ciekawy świata i ludzi. Od razu zwróciło moją uwagę, że mieszczanie mówią dziwnym językiem: niby rosyjski, a wielu słów nie rozumiałem. Dopiero matka mi wyjaśniła, że miasto jest otoczone przez kozackie stаницe, gdzie zachowywała się czysta mowa ukraińska, bo przecież Kozacy kubańscy to potomkowie dawnej Siczy Zaporoskiej. Stąd w języku jejskich mieszczan liczne naleciałości ukraińskie.

Zacząłem szukać odpowiednich lektur i wkrótce dokładnie zorientowałem się w historii i rzeczywistości tego kraju. Po zlikwidowaniu Siczy przez wojska Katarzyny Drugiej niedobitki Zaporoz-

ców zostały po pewnym czasie przeniesione na stepy nadazowskie, między rzeki Kubań i Jeję. Przedtem koczowało tam wojownicze plemię Nahajców, będące w ciągłych konfliktach z sąsiednimi Kałmukami oraz osiadłymi bardziej na południe Czerkiesami. Suworow wyciął ich w pień i na opustoszałe stepy przybyli owi Kozacy ukraińscy. Budowali stаницe i nadawali im nazwy kureni: Humańska, Perejesławska, Połtawska itd.

Gdzie jak gdzie, ale stare i oklepane powiedzenie o ziemi „mlekiem i miodem płynącej” tu, na kozackiej Kubańszczyźnie, miało realne zastosowanie. Wspaniały czarnoziem, niekiedy głęboki na kilka metrów, rodził pszenicę tak wybujałą, że jeździec na koniu ginął w niej, jak w lesie. Zatrzęsienie owoców: morele, brzoskwinie, rodzaj śliwek zwanych tyczą, a przede wszystkim mnóstwo znakomych kawonów i melonów.

⁵ Tamże, s. 14-15.

⁶ Tamże.

Gdy Kozak przywoził je na targ na dwukołowej wysokiej arbie, sprzedawał po dziesięć sztuk, pojedynczo nie chciał. Kawonami tuczono nierogaciznę. Domowego ptactwa gospodynie nie potrafiły się doliczyć. Oczywiście: konie, bydło rogate.

Lud był dorodny, szczery, przyjazny, rozmiłowany w starych obyczajach przeniesionych z głębi XVIII stulecia. Chodziłem często z siostrami do sa-

downików po owoce, głównie morele. Trzęśliśmy drzewa, sami zbierając do koszyków i dopiero wtedy morele szły na wagę; cośmy zjedli nie liczyło się, a objadaliśmy się niewąsko. Morze było płytkie, w limanie woda tak gęsta, że nawet nie umiejący pływać utrzymywali się na powierzchni. Roilo się od „byczków”, bardzo smacznych niedużych ryb o wielkich łbach, stąd pewnie ich nazwa.⁷

Rewolucja

Józef Łobodowski: Rewolucja bolszewicka początkowo niewiele tu zmieniła. Władza w Jejsku znalazła się w rękach miejscowych, wszyscy się znali i do poważniejszych represji nie dochodziło. Ten pierwszy okres trwał krótko. Kozacy kubańscy słusznie podejrzewając, że bolszewicy próbują im odebrać część posiadanej ziemi, burzyli się, aż wraz z powstaniem tzw. Białej Armii pod dowództwem generałów Kornilowa, Markowa, Drozdowa wybuchło powszechne powstanie. Był piękny słoneczny dzień, kiedy do Jejska wdarł się zagon kozacki pod atamanem Pukrowskim. W lecie 1919 wyglądało na to, że bolszewizm zostanie zduszony. I gdyby na czele ruchu białogwardyjskiego stali ludzie o jako takim rozeznaniu politycznym i jasnej wizji historycznej, istotnie po rewolucji bolszewickiej pozostałoby tylko złe wspomnienie. Niestety nie chciało, że Kornilow, człowiek mający takie rozeznanie, zginął na samym początku, a na jego miejsce przyszedł tacy jak Denikin, baron von Wrangel, alkoholik Mag-Majewskij. Zasadnicze błędy polityczne i rażące pomyłki natury wojskowej doprowadziły do rychłej katastrofy. Ruch białogwardyjski zamarł najpierw na Ukrainie, Donie, Północnym Kaukazie, na Krymie.

Masowych represji wobec kozackich stanic jeszcze nie stosowano. Jeszcze

trwała wojna z Polską i Czerwonej Armii nie stać było na tworzenie drugiego frontu. Zaczęło się to dopiero po żniwach. Miasta już były wygłodzone, nie tylko tu – wszędzie! Opustoszały wsie na całym Powołżu: setki tysięcy chłopów wyruszały w zachodniopółnocnym kierunku, uciekając przed głodową śmiercią. W Rostowie nad Donem, gdzieśmy się zatrzymali na dwa tygodnie, zanim podstawiono eszelon, który nas zawiózł do Polski, na każdym kroku zdarzało się widzieć trupy nieśczęśnych Powołżan.

Kozacy kubańscy nie chcieli dostarczać żywności do miast. Nowe, sowieckie pieniądze, które im proponowano, nie miały żadnej wartości, zresztą nie było nic do kupienia (aż do NEP-u). Wtedy zaczęły się przymusowe rekwizycje. Udawały się albo nie. Zdarzało się, że z komisji rekwizycyjnych, wyjeżdżających do stanic, nikt żywy nie wracał. Sam widziałem wóz naładowany pszenicą oraz uciętymi łapkami kurcząt. Na górze poukładano zabitych. Oszczędzono tylko jednego, by powoził niesamowitym transportem. Przypięto mu do munduru arkusz papieru z szyderczym napisem: „Rekwizycja wypłacona w całości”.

Ale bywało także wręcz odwrotnie. W drugiej połowie sierpnia co noc oglądaliśmy na widnokręgu olbrzymie łuny,

⁷ Tamże, s. 15-19.

bo płonęły pobliskie niepokorne stаницe: Staromińska, Staroszczerbinowska... Rozpaczliwy opór został wszędzie złamany; przewaga liczebna i techniczna była zbyt wielka. Kubańszczyzna poniosła w walkach 1920-1922 ciężkie straty, ale jeszcze nie została ranna śmiertelnie. Takie rany zostały zadane dopiero w latach przymusowej kolektywizacji. W Rosji etniczny opór zdarzał się, ale nigdy nie przybrał charakteru masowego. Na Ukrainie, Północnym Kaukazie – tak!

Kozacy kubańscy, podobnie jak chłopci ukraińscy, ginęli z głodu, tysiące poszły do łagrów. Inni zginęli w otwartej walce: stаницe były bombardowane przez lotnictwo, atakowane przez oddziały pancerne. Praktycznie – Kozacyzyna zginęła” [...]. Byłem w Rosji przez najgorętsze lata. Rewolucję przeżywałem na ulicy. Już wtedy, jako sprzedawca papierosów i tytoniu, wchodziłem w konflikt z władzą [...]. Przyjaźniłem się z bezdomnymi dziećmi portowymi ku rozpacz moich rodziców.⁸

Irena Szypowska: Handlował samogonem i papierosami, nielegalnie produkowanymi w domu. Dwie doby przesiedział w celi więziennej. Miał wtedy dwanaście lat. Swoim koleżkom poświęcił późniejszy wiersz *Łobuzerskie*, w którym pisał z patosem:

*Uroczyście was dzisiaj pozdrawiam,
o, łobuzy czarnomorskich
bulwarów,
razem nas wichler szorstki
nosili na skrzydłach pożaru...*

W cytowanym artykule pisze Łobodowski o swych obserwacjach i odczu-

ciach, a widział niemało i niejednego doświadczył.

Józef Łobodowski: Widziałem, jak Kozacy wieszali bolszewików, a bolszewicy rozstrzelali Kozaków. W miesiącach głodu kradłem. Nienawiści do rewolucji nie czułem, choć jako syn oficera i obszarnika mógłbym mieć pretensje podobne do nieukojonych żalów ziemian wyeksmitowanych razem z pudłem Gagą z zacisznych dworów kresowych [...]. Zresztą miało się wtedy do całej ówczesnej rzeczywistości rosyjskiej stosunek lekko szyderczy, a nawet pobłażliwy. Wiedziało się przecież i wierzyło: to tylko tutaj pijane chamstwo dorwało się do władzy i szaleje, a tam, gdzie we mgle giną stalowe szyny kolei, za górami, za lasami wyrasta polska ojczyzna, kraj mlekiem sprawiedliwości i miodem zgody płynący, kraj szklanych domów... Zatrzyma się repatriancki eszelon, zabierze polskich bieżących i... pominaj jak zwali! Tak łatwiej było znosić głód, chłód, tyfus i wszy.

Irena Szypowska: Dzięki temu dystansowi łatwiej było też dostrzec w człowieku jego upodlenie lub wyszlachetnienie, zupełnie niezależne od przynależności klasowej. Jako przykład pobudek moralnych kierujących ludźmi podaje Łobodowski uratowanie przez jego ojca od stryczka komisarza bolszewickiego w okresie masakry czerwonych dokonywanej w 1920 roku przez karny batalion markowców, a rok później, gdy karta się odwróciła, wybawienie polskiej rodziny przez tegoż komisarza od wojażu na Wyspy Sołowieckie. Pamięć tych wydarzeń przechowuje jeszcze rodzina pisarza.⁹

1922 – powrót do Polski

Irena Szypowska: W 1922 roku we czworo wyruszyli w drogę do Polski. Ojciec już nie żył. 4 marca nagle za-

kończył życie. „Nie przetrzymał wojny i rewolucji” – mówi się w rodzinie. Syn własnymi rękami zrobił mu trumnę. Do

⁸ Tamże.

⁹ Tamże.

Rostowa nad Donem dopłynęli statkiem, a stamtąd po kilku tygodniach oczekiwania w strasznych warunkach, zarażeni tyfusem, wsiedli do pociągu dla polskich repatriantów. Tylko Józek ustrzegł się choroby. Starsza dziewczynka, śliczna Janeczka, zmarła podczas podróży i po-

chowano ją tuż za granicą, na polskiej ziemi. Dojechali więc do Lublina we troje: wdowa, która przeżyła gehennę, siedemnastoletnia panienka i trzynastoletni wyrostek, który stanowczo za dużo już w swym życiu widział, nad wiek był doświadczony i samodzielny.¹⁰

1922-1931 – Lublin: szkoła powszechna, gimnazjum

W roku 1924 Łobodowski ukończył szkołę powszechną i zdał egzamin do gimnazjum matematyczno-przyrodniczo im. Hetmana Jana Zamoyskiego.

Irena Szypowska: W Lublinie były wówczas dwa ośmioklasowe gimnazja męskie o kierunku klasycznym, ale w państwowym nie było miejsc, a prywatne było za drogie dla wdowy, utrzymującej się z emerytury po mężu (siostra Dziunia od razu zaczęła pracować w Dyrekcji Pocht i Telegrafów, wyszła za mąż, owdowiała i została sama z dwuletnim synkiem). Józio został więc uczniem Gimnazjum Państwowego im. Hetmana Jana Zamoyskiego, będącego szkołą realną, nastawioną trochę bardziej na przygotowanie do życia praktycznego niż na bezinteresowne kształcenie umysłowe.

Brakowało chłopcu dobrych podstaw w naukach matematyczno-przyrodniczych, uwielbiał za to poezję, zwłaszcza Słowackiego, wyróżniał się pasją poznawania, a ponadto posiadał umiejętności rzadkie i cenne, takie jak dar pięknego opowiadania, sprawdzony już na Kubaniu, gdy swym koleżkom Kozakom i Ormianom opowiadał *Trylogię* tak, że im dech zapierało w piersiach, wyróżniała go też zdolność przekonywania o swych racjach. Te cechy zachował do końca życia.

Pewną rolę w decyzji matki mogła odegrać osoba dyrektora i kierunek, jaki nadawał on wychowaniu. Gimnazjum Zamoyskiego prowadził ksiądz Gostyński, jezuita mający nieco staroświecką

wizję szkoły i apodyktyczny styl kierowania procesem wychowawczym. Możliwe, że będąc pod wpływem rodziny matka chciała, aby chłopiec, wychowujący się bez ojca, poddał się dyscyplinie i utemperował. Ale uczniowie „Zamoyskiego”, podobnie jak wszystkich innych szkół, łatwo i chętnie ulegali wtedy wpływom powojennej obyczajowości i mody, znacznie swobodniejszej, szokującej starsze pokolenie, co wywoływało konflikty z dyrektorem i gronem pedagogicznym. Chłopcy zaczęli namyśleć uprawiać sport i to nie w szkole, gdzie nie było żadnych po temu warunków, ale w klubach miejskich. Lubelscy kibice długo pamiętali prawdziwą walkę, jaką rozgorzała w mieście, gdy dyrektor Gostyński zabronił uczniowi, znakomitemu, niezastąpionemu bramkarzowi „Lublinianki” należeć do tego klubu i walczyć w jego barwach. Atmosfera panująca w gimnazjum odpowiadała jednak Łobodowskiemu, a drobne przeszkody tylko ożywiały jego energię i pomysłowość. Nauczyciele byli dobrymi specjalistami swoich dziedzin i choć nie zawsze mieli przygotowanie pedagogiczne, szanowali indywidualność uczniów, popierali ich aktywność i samodzielność, wierzyli w nich i zawsze gotowi byli pomóc. Chociaż sami w większości nastawieni byli zachowawczo, umożliwiali uczniom wyrażanie swych poglądów, uznając to za konieczny warunek dojrzewania umysłowego i obywatelskiego. „Byliśmy indywidualistami, zdecydowanie pozbawionymi

¹⁰ Tamże.

instynktów stadnych, co zresztą wcale nie wykluczało ofiarności i zdolności do poświęceń” – twierdził po latach Łobodowski i na pewno ta charakterystyka środowiska odnosi się zwłaszcza do niego samego i to nie tylko wtedy, gdy był uczniem, ale w ciągu całego życia.

Ten indywidualista, starszy trochę od swoich kolegów, bo „opóźniony z powodu wojny” (Ileż polskich pokoleń miało swoich „przerośniętych”! Ileż razy we wspomnieniach nauczycieli znajdujemy uwagi o tych, co się uczyli „z większym niż inni zapalem!”), lubił się afiszować ateizmem i lewicowością oraz zabierać głos nie pytany. Głośne były jego utarczki z profesorami. Mimo to cieszył się wyrozumiałością pedagogów i protekcją prefekta, księdza Ludwika Zalewskiego, opiekuna uzdolnionej młodzieży, miłośnika poezji i przyszłego wydawcy *Antologii współczesnych poetów lubelskich*. Możliwe, że księdzu Zalewskiemu już wtedy podobały się wiersze niesfornego ucznia lub przynajmniej to, że je układał.

Łobodowski pisać zaczął bardzo wcześniej, tuż po powrocie z Rosji; pociągowało kilku uczniów gimnazjum, między innymi Stefan Kurowski, późniejszy profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Polonista Paweł Gdula (nota bene wysoko oceniający pisarskie zdolności młodzieńca) sprzyjał temu i pewnego razu zaproponował chłop-

com wydawanie szkolnego pisma literackiego. Przegłosowano tytuł „W Słońce”, chociaż Łobodowskiemu wcale się nie podobał i jego właśnie wybrano na redaktora. Utrzymał to stanowisko do czasu, gdy znalazł się w klasie maturalnej, wtedy zwyczajowo zwalniano uczniów ze wszystkich funkcji, aby się mogli dobrze przygotować do egzaminu.

Młody redaktor odznaczał się niezwykłą aktywnością, wykraczającą poza mury szkoły. W dniu jego pogrzebu w 1988 roku rozmawiałam w Lublinie z jego szkolnymi kolegami i koleżankami ze szkół żeńskich. Po sześćdziesięciu latach jeszcze go pamiętali jako reżysera *Dam i huzarów* Fredry, wystawionych w międzyszkolnym teatrze, i jako aktora grającego w *Mazepie* Słowackiego z wielką ekspresją rolę Wojewody.

Cały tekst tego dramatu pamiętał do końca życia i mógł recytować w każdej chwili. Pamięć miał zawsze fenomenalną, umysł przenikliwy i samodzielny, czytał szybko i od razu wychwytywał istotę rzeczy, był spostrzegawczy i miał szeroką skalę zainteresowań i możliwości. „Był kimś”, jak to się mówi. Wcześniej stał się indywidualnością. Wszystko to sprawiało, że mimo kłopotów, jakich przysparzał szkole, nauczyciele i dyrektor lubili go, starali się mu pomóc i doprowadzić do matury. Nie ułatwiał tego.¹¹

1929-1930 – przerwa w nauce

Przez cały rok od marca 1929 do lutego 1930 Łobodowski pracował jako telegrafista.

Irena Szypowska: Będąc w siódmej klasie w ogóle nie zjawiał się na lekcjach matematyki i fizyki. Wyrzucono go za to ze szkoły. Uznał zasadność tej decyzji i za-

czął pracować na pocztę, a potem w telegrafii. Wtedy dyrektorowi zrobiło się go żal i zaproponował powrót. Łobodowski przystał na to, ale musiano mu udzielić zgody na dawanie korepetycji. Przyzwyczaił się już do własnych pieniędzy.¹²

¹¹ Tamże, s. 20-22.

¹² Tamże.

Łobodowski – poetycki agitator

Irena Szypowska: Buntowniczo nastawieni młodzi robotnicy, uczniowie i studenci rozpłomieniali się, gdy Łobodowski w swym granatowym mundurze telegrafisty (a nie w smokingu z kwiatem w butonierce) z ekspresją recytował swe wiersze. Wyrażał ich

uczucia, gotowi byli razem z nim „coś zrobić, gdzieś biec”. Natomiast na pytanie, co zrobić i gdzie biec, skwapliwie odpowiadali młodym idealistom „doświadczeni towarzysze”, którzy nie wiadomo jak i kiedy, wciągali w wir pracy agitacyjnej.¹³

1929 – *Słońce przez szpary*

Irena Szypowska: W 1929 roku, jeszcze jako uczeń, wydał pierwszy tom wierszy *Słońce przez szpary*. Właśnie wtedy w „Wiadomościach Literackich” ukazało się wspomnienie Juliana Tuwima o tym, jak posłał swoje wiersze uwielbianemu Leopoldowi Staffowi

i ten zachęcił go do poezjowania. Łobodowski postąpił podobnie, a Tuwim otrzymawszy *Słońce przez szpary* odpowiedział: „Za dużo w tomiku wierszy, za dużo w wierszach słów, ale są i bardzo dobre (*Atawizm*)”. Przeczytajmy fragment:

*Idziesz przez miejskie ogrody pod kloszem błękitnej pogody,
znajomym oddajesz ukłony, uśmiechy mężczyznom młodym...
(a w serce skrzydłem dalekim uderza coś przenikliwie
i pod twą stopą trzeszczy wilgotne, leśne igliwie).*

*Usiadłś za łoży barierą w ogromnym ciemnym teatrze,
słuchasz słów niedalekich, na bliskie postacie patrzysz,
jak pada zatruty Hamlet, szlachetny się męczy Akosta...
(a twoje nagie ramiona wicher ostępów chłosta).*

*Na miękkiej, ciepłej kanapie, jak na samotnej estradzie,
z obcą, dziwaczną książką w leniwej ręce się kładziesz...
(a przez pokraczne literki, przez niepotrzebną kartę
ognisko wilgotnej jaskini świeci w źrenice otwarte).*

*Dzisiaj niedbale przegięta przez biały leżak –
Jutro gorącą piersią oparta na fraku tancerza;
(...a w ustach smak leśnych jagód i czyjaś ręka kosmata,
co w mchy wysokie zaciąga i władnie kibić oplata...)*

Ten wiersz – jeden z pierwszych, jakie wyszły spod pióra Łobodowskiego – trafia w istotę jego osobowości: kultura i natura nigdy nie mogły się w nim harmonijnie zespolic, dzikość wyzierała spod układności i ogłady, przysparza-

jąc kłopotów i utrudniając konwencjonalne stosunki z ludźmi. Głębokie odczucie związku z naturą wzmagало jednak siły witalne i chroniło przed nihilizmem. Tak było zawsze, do końca jego dni.¹⁴

¹³ Tamże.

¹⁴ Tamże, s. 23-24.

1931 – matura

Irena Szypowska: Najważniejszym problemem podczas egzaminu dojrzałości mogła być matematyka. Profesor Bogucki, zwany nie wiadomo dlaczego Rułą, świadomy tego, że Józek jest bardzo słaby z jego przedmiotu i na maturze nie rozwiąże zadań pisemnych, a zbyt honorowy jest na to, aby ściągać, wezwał go do siebie na pewien czas przed terminem i zapowiedział (jak wspominał delikwent), że podczas egzaminu ustnego (w pewnym sensie poprawkowego, bo nie obowiązującego tych, co zdali pisemny), będzie go pytał wyłącznie z wzorów. Abiturient

przez trzy noce wkuwał setkę wzorów algebraicznych, geometrycznych, trygonometrycznych. Gdzie się uczył? Zapewniał, że na ławeczce cmentarza przy ulicy Lipowej, przy grobowcu, w którym w 1863 roku ukrywał się jego dziad. Spróbował jego doświadczenia, pokonał strach, wzory wprawdzie szybko zapomniał, ale na zawsze zapamiętał księżycowe noce majowe, śpiew słowików i zapach jaśminów. Stary cmentarz lubelski będzie się pojawiać często w jego wierszach pisanych w późniejszych latach na obczyźnie (*Cmentarz w Lublinie*):

*Zawsze lubiłem cmentarze. Lubiłem w nocy
drzeć wśród grobów, porwanych powodzią jaśminów.
Powietrze zalewało krtań chmielnym płynem,
słowiki krzyczały na cały świat o swoim szczęściu,
oszałałe, w miłości niesamowite.*

Maturę złożył w 1931 roku. Otrzymał bardzo dobrą notę z języka polskiego oraz z historii, połączonej wówczas z nauką o Polsce współczesnej. Te przedmioty pasjonowały go bardzo i znał je znacznie lepiej, niż tego wymagano. Z przyrodoznawstwa, propedeutyki fi-

lozofii, religii i ćwiczeń cielesnych miał oceny dobre, z pozostałych przedmiotów – dostateczne. Był to niezły rezultat, szczególnie jeśli się weźmie pod uwagę, że uczenie się nie było ani jedynym ani najważniejszym zajęciem tego gimnazjalisty.¹⁵

¹⁵ Tamże, s. 20-23.

- 1931** – początek studiów w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim na Wydziale Praw.
- 1931** – *O czerwonej krwi* – tomik skonfiskowany, postępowanie sądowe przeciwko poecie za obrazę moralno-religijną i za działalność polityczną. Dzięki pomocy adwokata lubelskiego Konrada Bielskiego oraz warszawskiego adwokata i krytyka literackiego Emila Reitera zawieszono karę więzienia.
- 1931** – *Gwiazdny psalterz* – drugi tomik zawierający obok własnych wierszy Łobodowskiego przekłady utworów ukraińskich, rosyjskich, białoruskich. Tom ten miał ukazać się razem ze skonfiskowanym zbiorem *O czerwonej krwi*.
- 1930-1939** – działalność translatorska, okres przedwojenny – głównie utwory propolskie i antymoskiewskie.
- 5 lutego 1932** – wydalenie z KUL-u z „wilczym biletem”; odtąd Łobodowski stał się popularny jako „poeta konfiskowany”.
- 1932** – początek dorosłej działalności wydawniczej: redaktor proletariackich miesięczników „Trybuna” (1932-1935) i „Barykady” (1932), w których publikował swoje wiersze i artykuły; czasopisma bardzo często konfiskowane.
- Październik 1932** – redakcja „Kuriera Lubelskiego” (przejęta po Józefie Czechowiczu na niedługi okres).
- 1932-1988** – zaangażowanie w sprawę pojednania polsko-ukraińskiego (utwory, artykuły, wystąpienia, spotkania).
- 1932** – tom *W przeddzień*.
– Wcielony do wojska i skierowany do szkoły podchorążych przy 44. Pułku Strzelców Kresowych w Równem.
– Miłość do Zuzanny Ginczanki, poetki pochodzenia żydowskiego (rozstrzelana przez gestapo w 1944 roku); w 1987 roku poświęcił i zadedykował jej tom *Pamięci Sulamity*.
- 1933** – został członkiem Zarządu Związku Literatów oddz. w Lublinie.
- 1934-1935** – prezes Związku Literatów w Lublinie.
- Marzec 1934** – aresztowany pod zarzutem głoszenia propagandy komunistycznej w szkole podchorążych (na dzień przed wyjazdem na urlop do Warszawy); trafił do okręgowego więzienia w Lublinie.
- 1934** – po usunięciu z wojska udał się do Warszawy.
- 1934-35** – redaktor czasopisma „Dźwigary”.
- 1935** – tom przekładów *U przyjaciół* (Biblioteka Poetycka „Dźwigarów”) – wiersze Lermontowa, Błoka, Majakowskiego, Jasienina.
- 1934** – przekład utworów Tarasa Szewczenki na zamówienie Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Warszawie; książka ukazała się w 1936 roku w 75. rocznicę śmierci ukraińskiego poety, zawierała 21 przekładów Łobodowskiego.
- 1935** – tom *Rozmowa z ojczyzną*.
- 1935** – nielegalna i ryzykowna podróż do Kijowa i na Wołyń – ogląd realnej sytuacji w Związku Sowieckim, katoryczne zerwanie z ideologią komunistyczną.
– Po powrocie zaangażował się w obronę spraw ukraińskich, między innymi w głośnych artykułach prasowych.
- 1936** – tom *Demonom nocy* (Nagroda Młodych Polskiej Akademii Literatury).
- 1937** – nieudana (z powodów finansowych) próba wznowienia „Kuriera Lubelskiego”.
– Wydanie *Lubelskiej Szopki Politycznej*.
- 1937-1938** – praca w tygodniku „Wołyń” (współpraca już od 1933 roku) w Łucku – tematyka polsko-ukraińska; współpraca z wojewodą wołyńskim Henrykiem Józewskim.
– Silne starcia polityczno-społeczne, aktywne życie kulturalno-towarzyskie.
- 1 marca 1938** – potajemny ślub z Jadwigą Kuryłło w Katedrze Lubelskiej – rodzice żony nie zgadzali się na ślub ze względu na złą sławę jaka towarzyszyła poecie; po ślubie Łobodowski osiedlili się w Łucku.
- Grudzień 1938** – wraz z żoną przeniósł się do Warszawy (we wrześniu 1939 wojna przerwała małżeństwo).
- 1938-1939** – przyjaźnie z poetami (Czechowicz, Tuwim, Wierzyński).
– Współpraca z czasopismami: „Droga”, „Kamena”, „Skamander”, „Marchoń”, „Wiadomości Literackie”, „Myśl Polska”, „Wschód”, „Biuletyn Polsko-Ukraiński”, z Instytutem Wschodnim i związkiem „Prometeusz” zrzeszającym emigrantów rosyjskich, ukraińskich, gruzińskich oraz z czasopismem „My” tworzonym przez ukraińskich pisarzy i działaczy społecznych.
– Współpraca z Polskim Radiem.
- 1939** – tom *Złota Hramota* złożony w wydawnictwie Jakuba Mortkowicza – wybuch wojny uniemożliwił wydanie książki, ukazała się dopiero po latach, na emigracji (1954).
- 1939** – czterotomowa antologia poezji ukraińskiej w tłumaczeniu Łobodowskiego (m.in. poezje Pawła Tytyny, Jewhena Małaniuka, Ołeha Olżycza i innych) złożona w wydawnictwie F. Hoëssica – nie wydana z powodu wybuchu wojny.

Studia i działalność publicystyczno-pisarska 1931-1939

1931

Radykalizacja młodzieży

W roku 1931, w maju, Łobodowski zdał wszystkie egzaminy maturalne i zapisał się na prawo w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Irena Szypowska: W latach, gdy Łobodowski kończył gimnazjum, młodzież bardzo się radykalizowała. Był to okres wielkiego załamania gospodarczego w całej Europie, szczególnie bolesny i ciężki w Polsce, która nie zdążyła jeszcze okrzepnąć i zbudować mocnych podstaw samodzielnej egzystencji. Wiek był ciągle bardzo biedna, w miastach zaczynało być trudno o pracę.

W całej Europie odczuwało się kryzys systemu demokratyczno-parlamentarnego, który wybrali dla siebie także Polacy odtwarzający swą państwowość po pierwszej wojnie światowej. Wyrażało się to w popularności ideologii faszystowskiej i eksperymentu komunistycznego szczególnie wśród młodych, łatwowiernych i niecierpliwych. Pierwsze, jeszcze nieznaczne przejawy niepokoju i szamotania się młodzieży zasygnalizował Stefan Żeromski w swej ostatniej powieści [*Przedwiośnie*]. [...]

Bunt przeciw przyziemności, małości, lenistwu umysłowemu i obojętności na los innych ludzi – zawsze charakteryzują młode pokolenie. Widzi ono ostrzej wszystkie ułomności organizacji społecznej i uważa, że można je zlikwidować,

jeśli się tylko chce. Pragnie przybliżyć zwycięstwo dobra nad złem, sprawiedliwości nad krzywdą, piękna nad brzydotą. Rzuca się wtedy w wir namiętnych i zażartych dyskusji, przewracając całą ludzkość do góry nogami. Przebudowę świata zaczyna od... świata.¹⁶

Na jesieni 1931 Łobodowski zaczął współpracę z Czechowiczem przy tworzeniu nowego pisma „Kurier Lubelski”. W tym czasie przygotowuje do druku dwa tomiki poezji: *Gwiazdny psalterz* i *O czerwonej krwi*.

Janusz Kryszak: [*Gwiazdny psalterz* podobnie jak poprzedni tom *Słońce przez szpary* (1929)] to tomy pisane pod wyraźnym wpływem Skamandrytów, głównie Kazimierza Wierzyńskiego i Juliana Tuwima; pojawiły się niemalże te same motywy, te same pojęcia, a przede wszystkim bardzo zbliżona była atmosfera tych tomów, atmosfera fascynacji biologią, siłą życia, radością życia – to najbardziej charakterystyczne rysy, które wskazywały na to, że terminował Łobodowski, jako poeta, w szkole Skamandrytów.¹⁷

Tom *Gwiazdny psalterz* zamykał pierwszy, najwcześniejszy okres twórczości Łobodowskiego. Wyszedł on najprawdopodobniej późną jesienią 1931 roku, na co wskazują wspomnienia Łobodowskiego. Jednak zapowiedź tego tomu ukazała się dopiero w lutym 1932 w „Kurierze Lubelskim”.

¹⁶ Irena Szypowska, *Łobodowski: Od „Atamana Łobody” do „Seniora Lobo”*, Warszawa 2001, s. 25-26.

¹⁷ Audycja Marii Brzezińskiej z 1981 roku pt. *Poeta grozy, szczęścia – Józef Łobodowski*, transkrypcja i opracowanie Julita Nowicka.

1932

1931-1932 – *Gwiazdny psalterz*

Irena Szypowska: Ujawnił w nim dużą skalę możliwości imitacyjnych. Okazał się pojętnym uczniem Staffa w takich wierszach jak *Dzieża*, *Lato*, utrzymanych w stylu *Ścieżek polnych*, i bardzo

zręcznym naśladowcą optymistycznych, żywiołowych poezji Wierzyńskiego. Echo *Wiosny i wina* odzywa się w wierszu *Podniesienie*, wyrażającym jednak prawdziwy stan duszy młodzieńca:

*Ach, świat! – ach miłość! – ziemia klęka
i wśród kwitnących traw się tarza,
a człowiek niesie życie w rękach,
jak ksiądz monstrancję u ołtarza.*

W podobnym stylu utrzymywany jest programowy wiersz *Poezja*, dedykowa-

ny mistrzowi Julianowi. Kończy go zapowiedź:

*A sam będę wichurą, co chadza po świecie,
leśne chaszcze tumani, kurzawą się szasta
i strudzone postoly smutnemu poecie
na spotkanie potęgom wyprowadza z miasta.*

Odmiennej tonem, jakby z Bruno-
na Jasieńskiego, brzmi *Hymn brzucha*
wprowadzający dysonans do zbioru
postskamandryckiego, bo po raz pierw-

szy przywołujący wspomnienie głodu
doznanego w Rosji, głodu doprowadza-
jącego do tego, że kamienicę wymienia-
no na worek mąki:

*tarza się w głodzie potwór kostropaty,
miłości nie chce, bliźnich mu nie trzeba
i bucha ziemią ocean zatarty
w dzikim okrzyku: – chleba! – chleba!! – chleba!!!¹⁸*

Wspomniana wyżej notatka z „Kuriera Lu-
belskiego” (9 lutego 1932) zatytułowana
była *Echa konfiskaty*. Oto jej treść: „Jak się
dowiadujemy wkrótce ukaże się na półkach
księgarskich książka pt. *Gwiazdny psalterz*.
Autorem jej jest p. Józef Łobodowski, poeta,
którego tom wierszy *O czerwonej krwi* skon-
fiskowano przed kilkoma dniami.

Notatka ta wskazuje jednoznacznie, że
Gwiazdny psalterz ukazał się już po wyda-
niu *O czerwonej krwi*. W reklamie tego tomu
(„Trybuna” 1 marca 1932, nr 1) przygotowa-
nej przez Łobodowskiego czytamy: „[...] tom
ten miał ukazać się razem z książką *O czer-*

wonej krwi, która w międzyczasie została
z polecenia prokuratury skonfiskowana”.

Tymczasem Łobodowski, wspominając
ten okres czasu, mówi, że kolejność wydania
tych tomików była odwrotna. Komu wie-
rzyć – poecie czy notatce prasowej? Można
postawić hipotezę, że *Gwiazdny psalterz* rze-
czywiście wyszedł na jesieni 1931 roku, lecz
nie zwrócił na siebie uwagi żadnej krytyki
i Łobodowski po konfiskacie tomu *O czer-
wonej krwi* postanowił zadbać o reklamę
niezauważonego wcześniej *Gwiazdnego psal-
terza*, wykorzystując atmosferę skandalu,
jaka wtedy się wytworzyła wokół jego osoby.

¹⁸ Irena Szypowska,
Łobodowski..., s. 25-27.

1932 – *O czerwonej krwi*

W styczniu 1932 roku ukazuje się tom poezji Łobodowskiego *O czerwonej krwi*.

Jan Kryszak: Wiersze zamieszczone w tym tomie są odbiciem ważnego momentu w biografii Łobodowskiego, związanego z początkiem lat trzydziestych. Moment ten sprzyja i prowadzi do pewnych przemian w jego poetyce, w jego myśleniu o poezji, w jego wyobraźni poetyckiej. To okres, w którym Łobodowski zbliża się – mówiąc bardzo umownie – do lewicy literackiej, do kręgów nastawionych radykalnie, jeśli chodzi o poglądy społeczne, o poglądy polityczne.¹⁹

Irena Szypowska: W 1932 roku wyszedł jeszcze w dwustu pięćdziesięciu egzemplarzach tomik *O czerwonej krwi*, składający się z utworów rewolucyjnych, wyrażających bunt przeciw obowiązującej moralności i wszystkim autorytetom. Był on zainspirowany *Odami barbarzyńskimi* Giosue Carducciego, laureata Literackiej Nagrody Nobla, oraz twórczością Włodzimierza Majakowskiego. Wiersz tytułowy zawierał strofę:

*a ziemia dudni pod nami
i wzbiera groźną nowiną
wygraża pięściami jak wiec,
że trzeba porwać się z miejsca,
ogromny sztandar rozwinąć,
że trzeba coś zrobić, gdzieś biec.*

[...] Poezja Łobodowskiego odpowiadała rodzącej się awangardzie artystycznej, nowemu pokoleniu poetów, debiutujących w latach trzydziestych i odrzucających zarówno tradycje skamandryckie, jak i wzory tworzone przez Przybosa i Peipera, „papieży” awangardy krakowskiej. Czesław Miłosz pisał: „Łobodowski jest wyjątkowo poważnym pisarzem, [...] ten człowiek głosem ochrypłym od agitatorskiego wrzasku mówi do nas przejmująco i przekonująco”.²⁰

Wiersze Łobodowskiego zapewne nie zwróciłyby żadnej uwagi czytelników i krytyki literackiej, gdyby nie ingerencja prokuratora i decyzja Sądu Okręgowego o konfiskacie tomu *O czerwonej krwi*.

1932 – pierwszy proces „literacki” Józefa Łobodowskiego

Józef Zięba: W 33. numerze „Kuriera Lubelskiego” ukazała się intrygująca notatka, informująca, iż ostatnią sensacją kulturalnego Lublina jest konfiskata książki Łobodowskiego. „Jak się dowiadujemy – donosił «Kurier» – równocześnie z konfiskatą tomu wytoczono autorowi proces o bluźnierstwo, podburzanie tłumu itp. Na rozprawie sądowej, która odbędzie się wkrótce, bronić będą poetę p.p. Kazimierz Miernowski i apl. adw. Wł. Mazurkiewicz”.

Miernowski był znanym adwokatem, przyjaźnił się z Czechowiczem i pozostawał w bliskich kontaktach ze środowiskiem literackim Lublina. Podjęcie obrony młodego poety przez autorytet prawniczy nadawało sprawie odpowied-

nią rangę. Nie zachowały się akta dotyczące tej sprawy. Miernowski zapewne bronił skutecznie, skoro oskarżony, poza konfiskatą tomu, nie otrzymał żadnej kary. Konfiskata tomu zaciążyła jednak na życiorysie Łobodowskiego.²¹

Józef Łobodowski: [Tom] *O czerwonej krwi* został skonfiskowany. Konfiskata zresztą zupełnie bezsensowna, dlatego że wiersze w tym tomie były, powiedzmy, rewolucyjne i określone jako amoralne, ale to były przecież tylko echa lektur. Dlaczego wiersze Carducciego są polecane w gimnazjum jako lektura nadobowiązkowa, czy dlatego, że otrzymał Nagrodę Nobla? Bo przecież u Carducciego jest dużo wierszy ateistycznych, rewolucyjnych, na przykład

¹⁹ *Poeta grozy...*

²⁰ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 25-27.

²¹ Józef Zięba, *Żywot Józefa Łobodowskiego (1)*, „Relacje” nr 3, 1989, s. 4.

Hymn do szatana – wycofajcie Carducciego z bibliotek szkolnych!²²

W lutym ukazuje się w „Kurierze Lubelskim” wspomniana zapowiedź no-

wego tomiku Łobodowskiego *Gwiezdny psalterz*, mimo że tomik ten był już wydany!

1-5 lutego 1932 – usunięcie Łobodowskiego z KUL-u

Józef Zięba: O wszczęciu postępowania karnego prokurator powiadomił 1 lutego 1932 roku rektora KUL-u, ks. J. Kruszyńskiego. Skutek był niemal natychmiastowy. Już 5 lutego na posiedzeniu Senatu postanowiono relegować Łobodowskiego z uczelni. W ślad za tą decyzją zostało nawet rozesłane do wszystkich państwowych uniwersytetów poufne pismo, informujące, iż „student 1 roku prawa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Józef Łobodowski, za szerzenie pornografii i bluźnierstwa, w wydanych przez siebie utworach poetyckich, skonfiskowanych przez władze prokuratorskie, decyzją Senatu dn. 5 lutego r.b. został z Uniwersytetu relegowany” [17 lutego 1932]. (Z akt osobowych J. Łobodowskiego, Archiwum KUL).

Obecnie może dziwić tak szybka i kategoryczna reakcja Senatu w znanej skądinąd z dużej tolerancji uczelni. Po otrzymaniu poufnego pisma prokuratora, Senat natychmiast usuwa studenta, a rektor wysyła do wszystkich uniwersytetów w kraju pismo, które można traktować jak „wilczy bilet”. Łobodowski już praktycznie nie mógł ubiegać się o przyjęcie na jakikolwiek uniwersytet i kontynuować rozpoczętych studiów.

Nie zachowały się protokoły z posiedzeń Senatu. Trudno więc obecnie domyślać się, jakie dodatkowe motywy przemawiały za podjęciem takiej właśnie decyzji. Można jedynie powątpiewać, by wszyscy członkowie Senatu mogli w tak krótkim czasie zapoznać się z tomem wierszy, który był już skonfiskowany. Bez wątpienia musiały istnieć jeszcze inne powody skłaniające władze uczelni do natychmiastowego działania.

Jak wspomniałem, w zachowawczych kręgach Łobodowski miał już ustaloną opinię. Wyraził ją ks. Z. Goliński, polemizując z nim w „Głosie Lubelskim” (10 lutego 1932) w artykule *Antykatolickie wystąpienie Kuriera Lubelskiego pod pręgierzem opinii publicznej*. Ks. Goliński pisał: „Znając p. Ł[obodowskiego] z jego wypowiedzi, artykułów w pismach i poezji, stwierdzić trzeba, że dominantą w jego usposobieniu jest nienawiść do religii i Kościoła katolickiego”.

Konfiskata tomu, relegowanie z uczelni i podobne do powyższej opinii stworzyły wokół Łobodowskiego atmosferę sensacji. W radykalnych kręgach młodzieży i inteligencji zyskał na popularności jako „poeta skonfiskowany”. Trzeba przyznać, że potrafił okoliczności te odpowiednio zdyskontować.²³

Działania władz KUL-u (w tym rozesłanie 17 lutego „wilczego biletu” do wszystkich uczelni w kraju) spowodowały nie tylko przerwanie studiów, ale przede wszystkim uniemożliwienie jakiegokolwiek nauki na studiach w Polsce, co miało o wiele poważniejsze konsekwencje.

Irena Szypowska: Nie mógł kontynuować zaledwie rozpoczętych studiów na żadnej uczelni. Przestał widzieć siebie jako człowieka z zawodem dającym dobre podstawy egzystencji. Stracił grunt pod nogami. Musiał to być także wielki cios dla matki jedynaka. A poza tym, o czym zapewne nie myślał i czego nie doceniał, został pozbawiony czynnika dyscyplinującego jego nieokiełznaną naturę i niezależny umysł. Dobrze by mu zrobiły studia, podczas których bada się różne systemy prawne i anali-

²² Za: Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 27-28.

²³ Józef Zięba, *Żywot (1)...*, s. 4.

zuje różne odruchy ludzkie, które niepo- hamowane, choć naturalne, prowadzą do skutków dających się rozpatrywać zarówno z punktu widzenia moralnego, jak i prawnego. I to może najbardziej odbiło się na osobowości młodego poety. Łobodowski nigdy nie nauczył się słuchać drugiej strony i patrzeć na

dane zjawisko z przeciwnego punktu widzenia. Studiowanie prawa i praktyka sądowa musiałaby go w tym wyćwiczyć. Opanowałby może sztukę dyplomacji i zasady pragmatyzmu w działaniu. Jako człowiek na pewno by na tym skorzystał, czy byłoby to dobre dla poezji – trudno powiedzieć.²⁴

Wejście Łobodowskiego w środowisko lubelskich komunistów

Irena Szypowska: Doraźnym skutkiem wyrzucenia ze studiów, najbardziej zapewne widocznym, choć krótkotrwałym, było szybko postępujące uzależnienie się od lubelskich komunistów. Tamci go odrzucili – ci otworzyli ramiona. Łobodowski ma czas, nawiązuje więc kontakty, uczestniczy w różnych akcjach w Lublinie i w innych miastach oraz po wsiach, a także pisze, drukuje, redaguje. Staje się postacią znaną, nadaje swemu miastu ton barwną osobowością poety – chuligana, pełnego temperamentu publicysty, inicjatora wielu pomysłów wydawniczych, działacza, agitatora znanego w robotniczych dzielnicach. [...]

Represje zawsze wywoływały w nim przekorę, „jak wy tak, to ja tak”, stawał się coraz bardziej zaciekle. Działacze Komunistycznej Partii Polski byli zadowoleni. Młody, zdolny poeta, odważ-

ny i bezkompromisowy, poddawał się ich sugestiom, stając się znakomitym agitatore. Mieli nadzieję, że żywiołowy młodzieńczy protest przeciw religii i moralności oraz przeciw państwu zmieni się w działanie ściśle podporządkowane partii.

Zwolennicy tradycyjnych wartości, broniący ładu i stabilizacji przed anarchią i zagrożeniem komunistycznym, uważali, że trzeba poskromić młokosa i powstrzymać jego oddziaływanie na rzesze młodzieży. Pierwsi odezwali się duchowni, urażeni antykatolickim charakterem wystąpień młodego poety i publicysty, w dodatku studiującego prawo na katolickim uniwersytecie. Ksiądz Z. Goliński umieścił w „Głosie Lubelskim” z 10 lutego 1932 artykuł, w którym stwierdził, że „dominującym tonem wszystkich wystąpień Łobodowskiego jest nienawiść do religii i Kościoła katolickiego.”²⁵

Skandalista

Irena Szypowska: Był bohaterem wielu skandali, o którym opowiada się niezwykle historie i którego się sobie pokazuje na ulicy: „Szedł przez całą szerokość Krakowskiego Przedmieścia, jakiś ogromny, kanciasty, jak mi się wydawało, dziki i kudłaty. Ludzie ustępowali mu z drogi”. Takim go zapamiętała uczennica gimnazjum lubelskiego, przyszła poetka Anna Kamińska, gdy pewnego dnia zwrócono jej uwagę na głośnego młodzieńca.

„Niski, krępy, silnie zbudowany, o profilu boksera, choć trochę asymetryczny, łączył w sobie cechy intelektualisty z temperamentem chuligana. Tkwiło w nim jakby dwóch ludzi – poetę podjudzał awanturnik”. Takim go zapamiętał rówieśnik, Wacław Gralewski, „gawędziarz i hochsztapler” (jak go z kolei określa Zygmunt Mikulski). Gralewski zapewne wiedział, że „Łoboda” toczył amatorskie walki bokserskie na deskach kina „Corso”²⁶

²⁴ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 27.

²⁵ Tamże, s. 27-30.

²⁶ Tamże, s. 28.

Łobodowski i Majakowski

Irena Szypowska: Kilkanaście lat wcześniej tak samo po Odessie chodził dwudziestoletni Włodzimierz Majakowski, wywołując niechęć, oburzenie i lęk „porządnymi obywateli”, nie mogącymi spokojnie patrzeć na jego prowokacyjne zachowanie, złe maniery, zepsute zęby, brudne paznokcie, żółtą futurystyczną koszulę i nadmierną pewność siebie. Ale młodzi urządzali mu huczne owacje, gdy krzyczał: „Rozwalamy wasz stary świat!”

Podobna atmosfera skandalu, ekscytacji, uwielbienia, a także czujności (ze strony policji) towarzyszyła „atamanowi Łobodzie”, gdy czytał swe wyrotowe wiersze i prowokował zachowaniem odbiegającym od przyjętych konwencji. „Zawsze gardziłem ciszą zasiedziałył mieszczan” – powie o swej młodości. Za

to na starość stan mieszczańskiej stabilizacji byłby dla poety upragniony, ale już niedostępny.

Obaj – Rosjanin i Polak – pochodzili „z dobrych domów” i obaj wcześniej straciwszy ojców, wychowywani byli przez matki w warunkach ciężkich, znacznie trudniejszych niż te, w jakich upływało ich wczesne dzieciństwo. Łobodowski był zafascynowany postacią Majakowskiego i jego poezją, której dynamizm i witalizm były mu bliskie, choć poetyka – obca (bliższy mu był Jęsienin). Przekładał jego wiersze, napisał o nim utwór *Majakowskiemu*. Studiował dzieje jego życia i śmierci. Książka Wiktora Woroszyńskiego o rosyjskim poecie pozostała na stole, gdy Łobodowski śmiertelnie chory, na zawsze opuszczał swój dom.²⁷

Łobodowski publicysta

Irena Szypowska: Poezja nigdy nie wystarczała „Łobodzie”. Miał temperament publicysty i działacza, zawsze potrzebował gazet, na łamach których mógł prowokować przeciwników albo odpowiadać na ich zaczepki. Czuł się najszczęśliwszy, gdy miał własne pismo i mógł je wypełniać w znacznej mierze sam, drukując jedne artykuły pod pseudonimami, inne podpisując własnym nazwiskiem. Umiał też redagować i pozyskiwać teksty, na jakich mu zależało. W latach lubelskich periodyki, które

wydawał, były jednak efemerydami, brakowało bowiem pieniędzy, prenumeratorzy zawodzili, trudno było utrzymać się na rynku z nowym tytułem, dochodziły także kłopoty z cenzurą.²⁸

Józef Zięba: W środowisku literackim i w kręgach radykalnej inteligencji akceptowano bezkompromisowość Łobodowskiego. To utrwalało jego pewność o słuszności publicystycznych wystąpień. Wybijał się na przywódcę i czołową postać w środowisku literackim młodych.²⁹

Marzec-czerwiec 1933 – „Trybuna”

Józef Zięba: Już 1 marca 1932 roku pisał jako redaktor naczelny i odpowiedzialny dwutygodnik młodej demokracji pt. „Trybuna”. Całą trzecią stronę okładki pierwszego numeru zajął na reklamę mającego się ukazać następnego tomu

swoich wierszy. Warto przytoczyć treść tego ogłoszenia:

Nowość! Nowość! W najbliższych dniach ukaże się w handlu księgarskim tom poezji Józefa Łobodowskiego pt. *Gwiazdnypsalterz*. Tom ten miał się ukazać razem z książką *O czerwonej*

²⁷ Tamże.

²⁸ Tamże, s. 29.

²⁹ Józef Zięba, *Żywot (1)...*, s. 4.

krwi, która w międzyczasie została z polecenia prokuratora SKONFISKOWANA!

Konfiskata była więc doskonałą reklamą dla kolejnych poczynąń literackich, redaktorskich i publicystycznych Józefa Łobodowskiego. Autor tomu *O czerwonej krwi* coraz bardziej radykalizował swoje wystąpienia, nieraz świadomie prowokując dalsze ingerencje cenzury i prokuratora.³⁰

Przypomnijmy ustalenia, z których wynika jednoznacznie że *Gwiazdny psalter* był już wydany (jesienią 1931), kiedy ukazała się ta reklama.

Irena Szypowska: Łobodowski nigdy się całkowicie nikomu nie podporządkował. Wbrew komunistycznym opiekunom zbliżył się do Związku Młodzieży De-

mokratycznej i zaczął współpracę z jego organem „Trybuną”. Kilka numerów tego dwutygodnika przygotował nawet jako redaktor naczelny. Był jednak dla ZMD zbyt radykalny. Zarówno jego przynależność do Związku, jak i prowadzenie pisma skończyły się, gdy skonfiskowany został numer, w którym Łobodowski ogłosił wiersz *Słowo o prokuratorze*.

Józef Zięba: Z dniem 5 maja 1932 roku przestał być redaktorem naczelnym i odpowiedzialnym „Trybuny”, ale pozostał jeszcze w składzie kolegium. W szóstym numerze tego pisma opublikował prowokujący wiersz *Słowo o prokuratorze*. Spowodowało to konfiskatę numeru. Łobodowski przestał współpracować z „Trybuną”.³¹

Wiosna 1932 – początek wątku porozumienia polsko-ukraińskiego

W „Trybunie” nr 1 z 1 marca 1932 roku ukazał się tekst Józefa Łobodowskiego *Serce za barykadą*.

Józef Łobodowski: To było pierwsze moje wystąpienie wzywające do zgody między Polakami a Ukraińcami. Oczywiście ten artykuł wywołał tylko oburzenie ze strony polskiej.³²

21 maja 1932 – Powstanie Lubelskiego Związku Literatów

Józef Łobodowski uczestniczył w zebraniu założycielskim Lubelskiego Związku Literatów. W nr 6 „Trybuny” z 1 czerwca 1932 roku w dziale „Noty” czytamy:

Otwarcie T-wa Literackiego w Lublinie. W dniu 21 maja r.b. odbyło się w Lublinie w lokalu tymczasowym przy ul. Niecałej 6 pierwsze inauguracyjne zebranie T-wa Literackiego. Omówiono kwestie statutowe, wybrano zarząd i ustalono listę członków założycieli. Są nimi pp. Fr. Arnsztajnowa, K. Bielski, J. Czechowicz, W. Gralewski, K. A. Jaworski, J. N. Kłossowski [powinno być: Kłosowski], B. Leśmian, J. Łobodowski, A. Madej, H. Malewska, B. L. Michalski i A. Szerbow-ski.³³

W tej notatce sporządzonej najprawdopodobniej przez Łobodowskiego jest pewna niejasność – pojawiają się wśród członków założycieli Związku Literatów dodatkowe nazwiska osób, które z pewnością w tym wszystkim nie uczestniczyły. Chodzi tu o Bolesława Leśmiana, Hannę Malewską i A. Szerbowski.

Irena Szypowska: Lubelski Związek Literatów powstał w 1932 roku. Być może inicjatywa padła 7 maja podczas „Wielkiego Wieczoru Poetyckiego”, w którym wzięli udział Józef Czechowicz, Antoni Madej, Bronisław Ludwik Michalski i Józef Łobodowski.³⁴

Józef Łobodowski: Kiedy z inicjatywy Czechowicza powstał Lubelski Związek Pisarzy, byłem jeszcze nieopierzonym

³⁰ Tamże.

³¹ Tamże.

³² Rozmowa z Józefem Łobodowskim, „Spotkania” 1987, nr 33-34, s. 202.

³³ Noty, „Trybuna” 1932, nr 6, s. 19.

³⁴ Irena Szypowska, Łobodowski...

pisklęciem, ale już mnie dopuszczono. Czechowicz zrobił z tego wielkie *hallo*, przypisując sobie rolę kierowniczą, co, niestety, nie było prawdą. Ów Związek Pisarzy Lubelskich był początkowo organizacją nielegalną, która zbierała się w mieszkaniu prywatnym Arnsztajnowej, kiedy indziej w mieszkaniu Czechowicza przy ulicy Radziwiłłowskiej. Przyjeżdżali prelegenci z Warszawy, na każdym odczycie było do kilkudziesięciu osób. [...]

Sprawa zalegalizowania Związku Pisarzy Lubelskich jest prosta. Chodziło o zgromadzenie podpisów, których miało być, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, dziesięć. Czechowicz o tym wiedział, ale o zebranie odpowiedniej ilości podpisów nie zadbał. Zebrał jakieś siedem czy osiem – nie pamiętam. Podjąłem się sprawę załatwić. Poszedłem pieszo do

Krasnegostawu – niewiele ponad pięćdziesiąt kilometrów, otrzymałem podpis Konrada Bielskiego, później do Chełma Lubelskiego – podpis Kazimierza Andrzeja Jaworskiego (KAJ-a), i wreszcie do wioski pod Chełmem, historyczna miejscowość Stołpie, gdzie był kierownikiem szkoły powszechnej młody Wit Tarnowski. Wróciłem do Lublina na piechotę, niosąc ze sobą owe trzy brakujące głosy. Wystarczyły, aby uzyskać legitymację Związku.³⁵

Irena Szypowska: 6 czerwca odbyło się pierwsze zebranie zarządu. Czechowicz, który wcześniej, na posiedzeniu inauguracyjnym, zgodził się przewodniczyć Związkowi, teraz przekazał to stanowisko Franciszce Arnsztajnowej, będącej już od dawna członkiem warszawskiego związku. Sam został jej zastępcą.³⁶

Czerwiec 1932 – *W przeddzień*

Józef Zięba: Pod koniec czerwca wydał kolejny swój tom wierszy *W przeddzień*, na który już chyba z przyzwyczajenia przeczulony starosta grodzki za utwór „piłsudski” nałożył 2 lipca areszt, uchylony dziewięć dni później przez Sąd Okręgowy w Lublinie. Łobodowski triumfował.³⁷

Janusz Kryszak: Zbiór *W przeddzień* został wydany, jak informował autor na odwrocie karty tytułowej, „w ograniczonej ilości stu egzemplarzy, wyłącznie dla znajomych i przyjaciół” – większość książek Łobodowskiego przed wojną ukazywała się w takich składach: 100, 120, 150 egzemplarzy. Rysunek świata, który musi

być zniszczony, który może wyzwolić tylko jakaś katastrofa. Łobodowski jest poetą wewnętrznie rozdartym. Biologicznie, zmysłowo czuje się ze światem niezmiernie mocno związany; przeżywa to bardzo gwałtownie, bardzo ekstatycznie, poddaje się jego urodzie. A jednocześnie ma wewnętrzne poczucie nieprzystosowania do świata, wewnętrzne poczucie niemożności istnienia. Z równą gwałtownością roztacza obrazy zagłady, obrazy katastrofy, obrazy koniecznego zniszczenia, które musi nadejść i które dotyczy także jego samego jako człowieka, jako jednostki – bo on jako człowiek ginąc, razem ze światem ginie.³⁸

³⁵ Józef Łobodowski, *O cyganach i katastrofistach (dokończenie)*, „Kultura” nr 12, 1964, s. 31-50.

³⁶ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 38.

³⁷ Józef Zięba, *Żywot (1)...*, s. 4.

³⁸ *Poeta grozy...*

14 października – listopad 1932 – redakcja „Kuriera Lubelskiego”

Józef Zięba: 14 października 1932 roku objął po Czechowiczu stanowisko redaktora naczelnego i odpowiedzialnego dziennika „Kurier Lubelski”. Nie uszło to

uwagi wyczulonego już Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego, który Wysłał do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych informację, iż nowy redaktor „Kuriera”:

jest byłym studentem KUL, relegowanym za przekonania komunistyczne i usuniętym za komunistyczne poglądy ze Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Ostatnio ujawniono kontakty jego z miejscowymi działaczami komuny i z tego powodu znajduje się on pod obserwacją władz bezp. publ. W szeregu artykułów, zamieszczonych w „Kurierze Lubelskim”

poglądy komunistyczne Łobodowskiego znalazły wyraźne oblicze.

Sporządzający tę informację mógł mieć na uwadze między innymi artykuł Łobodowskiego *Dnieprostroj symbolem*, za który został skonfiskowany numer „Kuriera” z 24 października 1932.³⁹

Październik 1932 – marzec 1933 – „Barykady”

Józef Zięba: Wcześniej, bo już z datą 1 października, Łobodowski wydał pierwszy numer miesięcznika „Barykady”. Tu też nie omieszkął zareklamować się jako „poeta skonfiskowany”. Informował swoich czytelników, że:

Józefowi Łobodowskiemu, którego książka *O czerwonej krwi* została w styczniu bieżącego roku skonfiskowana, doręczono przed dwoma miesiącami akt oskarżenia. Między innymi zarzuca się tam podburzanie do nieposłuszeństwa władzom, szerzenie nienawiści klasowej, celowe obrażanie uczuć religijnych, bluźnierstwo i wreszcie obrazę moralności publicznej przez wypowiadanie bezwstydných myśli i wyrazów – oskarżonemu grozi cztery lata ciężkiego więzienia.

[...] Pierwszy numer „Barykad” miał charakter literacki. Publikował utwory poetyckie Czechowicza, Łobodowskiego Czuchnowskiego, Piechala, Timofiejewa i Bielskiego oraz przekłady Rimbauda i Jasienina. Publicystyka również obracała się wokół spraw literatury i kultury. Dobór tematów, jak i ton poszczególnych wypowiedzi, których autorem był w większości – występujący pod różnymi pseudonimami, ale także pod własnym nazwiskiem – Józef Łobodowski, nie skłaniały cenzury i prokuratora do konfiskaty nowego periodyku.

Pismo zostało zauważone w kraju, a dla miejscowego środowiska literackiego i powołanego przed kilku miesiącami Lubelskiego Związku Literatów stwarzało szanse ukształtowania włas-

nej trybuny. Wydaje się, że i Łobodowski wiązał z miesięcznikiem jako jego redaktor duże nadzieje. 20 listopada zrezygnował ze stanowiska redaktora naczelnego „Kuriera Lubelskiego”. Pospieszenie przygotowywał drugi numer „Barykad”. Jego treść miała być już bardziej radykalna i prowokująca. Atak został skierowany na warszawskie środowisko literackie, na szkołę średnią i jej system wychowawczy, na konserwatywną inteligencję, a przede wszystkim na religię i Kościół katolicki.

Adam Broniewicz (zapewne pseudonim Łobodowskiego) ogłosił artykuł pt. *wykańczamy warszawę* (w obydwu numerach „Barykad”, zapewne pod wpływem poetyki Czechowicza, nie używano dużych liter i interpunkcji nawet w publicystyce; cytuję zgodnie z oryginałem), który kończył się hasłem:

wołamy o stworzenie wspólnego frontu młodej literatury reprezentującej żywe wartości poetyckie i zdecydowanie radykalnego społecznie frontu wymierzonego przede wszystkim przeciw warszawie za którą stoi wszystko co można zaliczyć do bezpłciowego inteligentstwa i mieszczaństwa polskiego walcząc na swoich odcinkach o przerabianie drogi nadchodzącej kulturze ludzkości zaczynamy od najbliższych przeciwników dzisiaj wykańczamy warszawę.

Wykańczanie literackiej Warszawy nie interesowało cenzora, podobnie jak artykuł Szymona Marienhofa pt. *treść czy forma*, w którym autor dowodził, że rewolucja społeczna winna być połączona z rewolucją kulturalną.

³⁹ Józef Zięba, *Żywot Józefa Łobodowskiego* (2), „Relacje” nr 4, 1989, s. 8.

Nie wzbudził też zastrzeżeń artykuł Stefana Strachockiego *rewolucja na papierze*, omawiający rolę inteligencji w rewolucjonizowaniu mas społecznych, a kończący się stwierdzeniem: „jeśli inte-

ligencja chce być elitą społeczną może nią zostać ale pod tym jednym warunkiem że swego wyjątkowego z tej racji stanowiska użyje dla społecznego i kulturalnego rewolucjonizowania mas”⁴⁰

Listopad 1932 – konfiskata drugiego numeru „Barykad”

Drugi numer „Barykad” ukazał się w listopadzie i natychmiast został skonfiskowany.

Józef Zięba: Starosta grodzki nałożył areszt na drugi numer „Barykad” z powodu zamieszczenia trzech artykułów: *palarnie opium, jeszcze jedne koszary i noty*, zawierających cechy przestępstwa z art. 152, 172 i 173 kk.

Pierwszy tekst podpisał niejaki Marian Plizga (zapewne pseudonim Łobodowskiego), drugi sam Łobodowski, a *noty* w ogóle nie były sygnowane.

Na posiedzeniu niejawnym 15 grudnia 1932 roku Sąd Okręgowy decyzję starosty zatwierdził, wyłączając jedynie artykuł pt. *jeszcze jedne koszary*, krytykujący program nauczania i wychowania w szkołach średnich. Darowano Łobodowskiemu stwierdzenie, iż: program szkolny nastawiony jest w kierunku reakcyjnym zaciera wszelkie ślady w historii i życiu prowadzące ku wnioskowi mogącym zagrażać dzisiejszemu ustrojowi słowem jest narzędziem w walce klasowej z lewicą społeczną narzędziem nie gorszym niż chrześcijańska rodzina kościół i koszary.

Prokurator wszczął postępowanie wobec Łobodowskiego jako redaktora odpowiedzialnego za to, że dopuścił do opublikowania i zamierzał upowszechnić artykuł Mariana Plizgi i *noty*. Przesłuchany w tej sprawie, Józef Łobodowski do winy lżenia religii rzymskokatolickiej nie przyznał się. Głównym winowajcą był więc Marian Plizga, który rozpoczął swój artykuł od prowokującego stwierdzenia:

lenin który był nie tylko postacią historyczną na najwyższą miarę i genialnym teoretykiem ale również jednym z największych demago-

gów rzucił w czasie rewolucji hasło religia to opium dla ludu.

W dalszej części artykułu Plizga wskazywał na szkodliwość oddziaływania Kościoła i religii jako „opium” na masy społeczne. W konkluzji stwierdził, iż: religią najbardziej z punktu widzenia interesów klasowych szkodliwą jest bezsprzecznie chrześcijaństwo oraz jego następstwo w postaci rzymskiego katolicyzmu i dlatego główna walka musi się rozegrać właśnie na tym odcinku.

Wobec braku jakichkolwiek informacji o autorze przestępczego artykułu rozesłano za nim listy gończe.

Jeszcze bardziej prowokująco brzmiała nota zamieszczona na 51 stronie pisma. Oto jej pełny tekst:

w poznaniu odbyły się podniosłe uroczystości w związku z poświęceniem pomnika chrystusa króla odbywały się przy udziale kardynała hlonda wielkiej ilości duchowieństwa i wiernych – polska posiada obecnie trzy europejskie rekordy – płodzenia dzieci przeciętna ilość wyroków śmierci i trzeci najsmutniejszy olbrzymi procent ogólnego narodowego dochodu wydawany na cele religijne – ale czas skończyć z tą zabawą – religia jest oczywistym aparatem duchowego niewolnictwa a kler stał się jeszcze jednym narzędziem więcej do opanowania mas – szkoła koszary więzienie urząd śledczy oto są instytucje gdzie przygotowuje się karny i posłuszny materiał ludzki na robotników na patriotów i mięso armatnie – kościół jest tą nadziemską kopułą uzupełniającą gmach naszej cywilizacji daje niejako boską sankcję poczynaniom szpiclów cenzorów i innych szefów bezpieczeństwa podobno w czasie uroczystości poznańskich hlonda salutowano 21 strzałami armatnimi – naszym zdaniem wystarczyłby jeden strzał ale celny.

⁴⁰ Tamże.

Łobodowski, jako redaktor naczelny i odpowiedzialny, zapewne musiał się liczyć z tym, że za tak prowokujące sformułowania może grozić pismu konfiskata. Obecnie trudno stwierdzić, czy kierował się tylko młodzieńczą niefrasobliwością, niechęcią do jakichkolwiek kompromisów, czy dążył do uzyskania kosztem konfiskaty jeszcze większego rozgłosu. W każdym razie cały nakład drugiego numeru „Barykad” nie dotarł do odbiorców,

a jego redaktorowi groziła rozprawa sądowa.

Sąd na razie nie rozpoczynał przewodu, gdyż oczekiwał na wynik poszukiwania głównego „przestępcy”, którym był enigmatyczny Marian Plizga. Łobodowski miał zapewne świetną zabawę, kiedy, czytał listy gończe... za swoim pseudonimem, zobowiązujące wszystkie władze wojskowe i cywilne, by zatrzymały i dostarczyły poszukiwanego do najbliższego więzienia.⁴¹

Koniec 1932 – prace nad trzecim numerem „Barykad”

Mimo konfiskaty w listopadzie drugiego numeru „Barykad” Łobodowski natychmiast przystąpił do pracy przy trzecim zeszytzie pisma, który miał przyjąć formę „dodatku”, ale faktycznie był kolejnym numerem.

Józef Zięba: Nie troszcząc się zbytnio o wynik oczekującego go procesu, przygotowywał następny numer „Barykad”. Tym razem miał to być dwutygodniowy dodatek do skonfiskowanego miesięcznika. By łatwiej wymknąć się cenzurze, nadał mu formę gazetową, co uzasadniał następująco:

Gazetowy format, brak okładki i wkładek eliminuje pracę introligatorską, co umożliwi dostawę pisma do czytelników bezpośrednio po zejściu z maszyny. Z góry się cieszę, widząc rozczarowanie starostwa po spóźnionej konfiskacie. Już dlatego choćby warto było pomyśleć o wydaniu pisma. Więc wydaliśmy. Żeby tępe satrapy wiedziały, że gwizdźmy na ich wszechwładzę, zresztą i tak już niedługotrwałą.

Cztery strony tego „dwutygodniowego dodatku” zostały zapelnione chyba wyłącznie przez Łobodowskiego, który starym zwyczajem posłużył się kilkoma pseudonimami. Numer otwierał „artykuł wstępny” Józefa Łobodowskiego i Stefana Strachockiego pt. *Wykładamy nóżki na stół*. W artykule tym próbował Łobodowski sformułować własny program literacki i społeczny. Pisał: Pragniemy zastrzyknąć literaturze:

1. zdolność socjologicznego ujmowania zjawisk (psychologia ani filozofia nic na tym nie ucierpią);
2. relatywizm praktyczny, który poza człowiekiem i jego życiem nie zna żadnego celu;
3. dynamizm problemów i tendencji, uartyściżnionych (ale nie zniekształcających) przez konstrukcję i kompozycję poetycką. Przerost estetyki musi być usunięty;
4. zdolność kolektywnego ujmowania zjawisk, przedmiotowość zamiast podmiotowości;
5. rzetelność i odpowiedzialność twórczą, eliminujące wszelkie dezorganizujące uczucia (wykreślamy natomiast słowolejów, gdaczący liryzm onanistów, gadatliwość romantyków na miękko).

Widać z tych sformułowań, jak „program” był mglisty i sporządzony pośpiesznie. Zawierał hasła zapewne zaczerpnięte z różnych artykułów publicystyki literackiej.

Może nieco bardziej samodzielna jest „deklaracja” społeczno-polityczna sformułowana w tym artykule:

Nie przysięgaliśmy uroczystie zespołowi Marks – Lenin – Stalin, ale mocniej od wszelkich przysięg związani jesteśmy z proletariatem rosyjskim wspólnym celem i walką heroiczną o jego realizację. Spostrzegamy, że Rosja walczy o nowe i jedyne pojęcie człowieka pracy. O ekonomiczne jego wyzwolenie. O odkłamanie odwiecznych przesądów. To nam wystarcza, aby stwierdzić, że 25 października stanie się kiedyś dniem imieni-

⁴¹ Tamże.

nowym ludzkości. Przyspieszając wedle swych środków i możliwości nadejście tej chwili, posiadamy dość krytycyzmu, aby dostrzec ujemne objawy w rosyjskim laboratorium nowego życia. Wymieńmy najważniejsze:

- 1) szablon w stosowaniu teorii marksizmu, co prowadzi do ciasnego i fanatycznego dogmatyzmu;
- 2) przesuwanie się punktu ciężkości z dziedziny społecznej do gospodarczej, co należy uznać za podniesienie środka do godności celu;
- 3) symplicystyczny stosunek do starej kultury indywidualistycznej, pewne wartości które są jednak nieśmiertelne.

Na stronie drugiej periodyku zamieścił Łobodowski artykuł poszukiwanego listem gończym Mariana Plizgi pt. *Eksplozja rzeczywistości* i dwa swoje wiersze: *Raz ostatni* i *Wiersz tragiczny*. Na stronie trzeciej znalazły się trzy artyku-

ły: Adama Broniewicza *O „bezsronnej” literaturze*, Stefana Strachockiego *Czarrujący inteligent. Na marginesie „Biblii cygańskiej”* i podpisany własnym nazwiskiem przez Łobodowskiego *Bezdomni w Lublinie. Droga do życia*. Ostatnią stronę pisma wypełniły dwa artykuły sygnowane również przez Łobodowskiego: *Szczepionka przeciw proletariotowi* i *Rachunek sumienia*. Z tego artykułu warto przytoczyć fragment autocharakterystyki redaktora „Barykad”.⁴²

Ta mało znana, a jakże ważna (dla zrozumienia postawy Łobodowskiego) wypowiedź poety była reprezentatywna dla pewnego kręgu młodego pokolenia literackiego, którego Łobodowski był reprezentantem. Dlatego warto przywołać fragment tego tekstu.

Rachunek sumienia **(artykuł Łobodowskiego z 3-go numeru „Barykad”)**

Józef Łobodowski: A teraz kilka słów o własnej personie, jako że nieporozumienia koło niej powstałe mogą łatwo przenieść się i na rachunek pisma. Ludzie solidni i przyzwoici, czyniący z życia spokojną poduszkę pod głowę, nie chcą zrozumieć, „czego właściwie on chce i po co się rozbija”. I znowu odpowiedź na to nie jest kwestią wyłącznie prywatną, ponieważ tłumacząc jednostkę, jednocześnie uzasadnia powstanie i istnienie pisma.

A więc odpowiem; jeszcze przed rokiem moje wystąpienia poetyckie i publicystyczne były weksłami bez pokrycia. Awanturowałem się w imię swej niezależności i pogardy do dzisiejszego ustroju i społeczeństwa. Węsząc trupi zapach jego rozkładu, umiałem zdobyć się na negację i protest, ale nie wiedziałem, w którą stronę się obrócić i w co uwierzyć. Był to okres eklektyzmu ideowego i poszukiwań, okres tomu *O czerwonej krwi*, pierwszych konfiskat, wylania z uniwersytetu przez zgorszonych księ-

żulków i redagowania dawnej „Trybuny”. Okres ten zakończył się wydaniem książki *W przeddzień* i zerwaniem ze Związkiem Polskiej Młodzieży Demokratycznej, do którego, niestety, przedtem lekkomyślnie dałem się wciągnąć. Miesiące następne to ostateczne zorientowanie się w kierunku klasowości i podjęcie wydawnictwa „Barykad”.

Tyle historia i chronologia. Logika dodaje: zdarzyła się kulturalna i ekonomiczna katastrofa w świecie. Wszyscy są za nią odpowiedzialni i wszyscy są obowiązani tworzyć nowe konstrukcje, aby po usunięciu gruzów rozpocząć budownictwo przyszłości. Człowiek, który na podstawie faktu istnienia w społeczeństwie jest obywatelem, a z fachu literatem, posiada podwójny obowiązek reagowania na zjawiska życiowe. Raz w płaszczyźnie polityczno-ustrojowej, dwa w płaszczyźnie literacko-artystycznej. Z tego zdajemy sobie sprawę i ja, i moi towarzysze.⁴³

⁴² Tamże.

⁴³ Tamże.

1933

15 stycznia 1933 – wydanie i areszt 3. numeru „Barykad”

Rok 1933 rozpoczął się w życiu Łobodowskiego konfiskatą trzeciego numeru „Barykad” (formalnie „dodatku” do pisma).

Józef Zięba: Starosta grodzki zarządzeniem z 15 stycznia 1933 roku nałożył areszt na ledwie wydany numer „Barykad”, a Sąd Okręgowy 18 stycznia na posiedzeniu niejawnym zarządzenie to zatwierdził. Na szczęście przy aktach sprawy ocalał unikalny egzemplarz „dwutygodniowego dodatku”. [...] ⁴⁴

Prokurator wszczął nowe postępowanie przeciw Łobodowskiemu, już nie tylko jako redaktorowi odpowiedzialnemu, ale i autorowi zamieszczonych w „dwutygodniowym dodatku” do „Barykad” tekstów. W sporządzonym akcie oskarżenia wymieniono wiele przestępstw. I tak:

1) w artykule. pt. „Eksplzja rzeczywistości”, w którym:

a) wskazując na nędzę robotniczych, krzywdzonych i wyzyskiwanych, publicznie nawołuje do popełnienia przestępstwa przez zmianę przemocą ustroju Państwa Polskiego – czyli o czyn przewidziany w art. 154 § 2 kk.

b) przytoczył fałszywe wiadomości, mogące wywołać niepokój publiczny, o fałszywych bitwach, staczanych rzekomo przez wojsko z powstańcami chłopskimi na Wołyniu i Polesiu – czyli o czyn przewidziany w art. 170 kk.

2) [wiersz] pt. *Raz ostatni*, w którym:

a) znieważył Polskie Godło Państwowe słowami *gdy ci wskażą na białego orla to wyzysk i nędza i bat* – czyli o czyn przewidziany w art. 153 kk.

b) publicznie nawoływał żołnierzy do popełnienia przestępstwa przez odmówienie posłuszeństwa podczas wojny słowami *złamcie karne dotychczas szeregi kiedy armatniego mięsa łowca wyjdzie do was i pokaże stalowym bagnetem na Królewiec na Moskwę, na Berlin* – czyli o czyn przewidziany w art. 154 § 1 kk.

3) pt. *Rachunek sumienia*, w którym publicznie znieważył Urząd Starościński w Lublinie słowami *żeby te satrapy wiedziały, że gwizdźmy na ich wszechwładzę*, czyli o czyn przewidziany w art. 127 kk.

Nazbierało się więc sporo artykułów i paragrafów, które groziły poważnymi konsekwencjami. Szczęściem było to, że sąd rozpatrywał obydwie sprawy – miesiecznika i dwutygodnika – oddzielnie. ⁴⁵

Wiosna 1933 – sprawa sądowa za trzeci numer „Barykad”

Józef Zięba: Pierwsza na wokandę sądową trafiła sprawa „dwutygodniowego dodatku”. Po jej rozpatrzeniu Sąd Okręgowy w Lublinie wydał 23 sierpnia 1933 roku wyrok skazujący Łobodowskiego na łączną karę dwóch lat i sześciu miesięcy aresztu. Zwolniono go jedynie od opłat sądowych, ale cały nakład czasopisma uznano za przepadły. Bardzo interesujące jest uzasadnienie tego wyroku. Oto najciekawsze fragmenty:

Oskarżony Józef Łobodowski po powrocie do Polski z Rosji Sowieckiej w 1922 roku, gdzie przebywał od roku 1914, poświęcił się pracy

literackiej, uzupełniając równocześnie w szkołach polskich zasób swych wiadomości. Dłuższy pobyt Łobodowskiego w Rosji Sowieckiej nie wyszedł mu na dobre, bowiem zapoznawszy się tam z ustrojem bolszewickim, stosunkami i instytucjami tamtejszymi, po przyjeździe do Polski rozpoczął ostrą krytykę układu stosunków polskich pod względem prawnym i społecznym oraz wyraził dążenie do przekształcania życia polskiego na wzór bolszewicki.

Wprawdzie Łobodowski oświadczył na przewodzie sądowym, że jego ideologia tylko zbliża się do komunizmu, jednakowoż prace jego literackie nosiły wiele znamion przestępczych,

⁴⁴ Tamże.

⁴⁵ Józef Zięba, *Żywot Józefa Łobodowskiego* (3), „Relacje” nr 5, 1989, s. 4.

by mogły ująć uwadze władz odnośnych. Dla wyświeatlenia owego „credo politycznego” Łobodowski w artykule *Rachunek sumienia* poświęcił znaczny ustęp, w którym śmiało wypowiada swoje poglądy i nienawiść do dzisiejszego ustroju i społeczeństwa (ustęp od słów „A teraz kilka słów o własnej personie” do końca artykułu). Rzecz oczywista, iż tego rodzaju ustosunkowanie się do przejawów życia polskiego jak i utrzymywanie kontaktu z wybitnym działaczem K.P.P. Szmulem-Berem Mejersem, musiały zwrócić uwagę władz śledczych na osobę Józefa Łobodowskiego, zwłaszcza energia i zdolność tego ostatniego budziły obawę łatwego rozszerzenia się poglądów Łobodowskiego na osoby, które z nim się stykały. [...]

Przechodząc do określenia wymiaru kary Sąd miał na uwadze: wiek młody oskarżonego (lat 23), stosunki jego osobiste, rodzinne i społeczne; uprzednie postępowanie karne przeciwko niemu w związku z zarzuceniem mu przestępstw podobnego rodzaju; nieokazywanie poprawy pomimo wszczętych już uprzednio dochodzeń; brak skruchy w toku wyjaśnień składanych na przewodzie sądowym; charakter

przypisywanych mu przestępstw; rozmiar szkody wobec rozpowszechnienia znacznej ilości egzemplarzy czasopisma „Barykady”; wreszcie znaczne napięcie złej woli, przejawiające się w przewidywaniu, iż czasopismo będzie skonfiskowane i wyszukiwanie specjalnych dróg, by dotarło do czytelników.

Z tych wszystkich względów sąd uznał za słuszne i sprawiedliwe zastosować w danym wypadku średni wymiar kary.

Łobodowski zgłosił na sali sądowej apelację. O obronę przed Sądem Apelacyjnym poprosił swego przyjaciela, mecenasa i poetę Konrada Bielskiego. Sąd Apelacyjny na rozprawie 13 listopada utrzymał wyrok Sądu Okręgowego, ale zmniejszył karę do lat dwóch i zawiesił jej wykonanie na lat pięć. Zwolniono Łobodowskiego od wszelkich opłat sądowych, ale zastosowano jako środek zapobiegawczy, kaucję w wysokości 200 złotych, która założona została przez inną osobę. Miał więc poeta jakichś zasobnych protektorów, którzy czuwali, by nie stała mu się zbyt wielka krzywda.⁴⁶

Czerwiec-listopad 1933 – druga sprawa sądowa (za drugi numer „Barykad”)

Józef Zięba: Czekala go jeszcze druga rozprawa sądowa. Tym razem jako redaktora odpowiedzialnego drugiego numeru miesięcznika „Barykady”. Akt oskarżenia dostarczono mu 24 czerwca 1933 roku. Prokurator oskarżał go, że jako redaktor odpowiedzialny w zamiarze rozpowszechnienia umieścił dwa artykuły: *palarnie opium*, i *noty*, w których lży prawnie uznane wyznanie Kościoła rzymskokatolickiego, „jednak rozpowszechnienie tych artykułów nie nastąpiło z powodu zajęcia nakładu przez władze bezpieczeństwa, czyli o czyn przewidziany w art. 23, 173 k.k.”.

Przesłuchany Józef Łobodowski nie przyznał się do winy lżenia religii rzymskokatolickiej. Marian Plizga nie został

odnaleziony. „Gazeta Śledcza” ogłaszała za nim list gończy w numerach z 19 lipca, 18 sierpnia 1933 roku i jeszcze 25 stycznia 1937 roku. Łobodowski nie mógł się więc długo do swego pseudonimu przyznawać, gdyż groziłaby mu jako autorowi, kolejna rozprawa sądowa.

Stanął przed sądem 29 listopada 1933 roku. Na rozprawie powtórzono zarzuty postawione w dostarczonym mu przed pięciu miesiącami akcie oskarżenia. Sąd Okręgowy postanowił Józefa Łobodowskiego

uznać winnym dokonania zarzucanego mu przestępstwa i na mocy art. 23 § 1 i 173 k.k. skazać na jeden (1) rok więzienia; od opłat sądowych oskarżonego zwolnić, zaś kosztą postępowania przyjąć na rachunek Skarbu Państwa. Na mocy art. 50 § 1 k.k. dowód rzeczowy – trzysta

⁴⁶ Tamże.

pięćdziesiąt (350) egzemplarzy miesięcznika „Barykady” nr 2, z listopada 1932 roku – uznać za przepadłe [...]

Przechodząc do wymiaru kary i biorąc pod uwagę, że oskarżony Józef Łobodowski jako zwolennik ustroju komunistycznego, pomimo że jest zupełnym ignorantem zasad religii rzymsko-katolickiej, to widać zwłaszcza z treści inkryminowanego ustępu artykułu „Noty” – podjął się walki z tą religią za pomocą lżenia jej – Sąd uznał za słuszne skazać go z art. 23 § 1 i 173 kk, na 1 (jeden,) rok więzienia.

W imieniu Łobodowskiego złożył apelację Konrad Bielski. Sąd tym razem się nie spieszył. Sprawa wróciła na wokandę dopiero po siedmiu miesiącach. Sąd Apelacyjny na posiedzeniu jawnym 6 lipca 1934 roku znowu postanowił zatwierdzić wyrok Sądu Okręgowego, ale na mocy art. 61 kk.

wykonanie pozbawienia wolności zawiesił na pięć lat.

Do akt sprawy dołączono jeszcze pismo Starostwa Grodzkiego z 4 kwietnia 1935 roku o zniszczeniu pozostającego w depozycie całego nakładu drugiego numeru miesięcznika „Barykady”. Egzekucji, dokonanej w imieniu prawa, umknął co najmniej jeden „świadek”. Unikalny egzemplarz drugiego numeru „Barykad” trafił, po latach do zbiorów Muzeum im. Józefa Czechowicza i na tej podstawie można stwierdzić, że więcej szkody dla życia literackiego Lublina wyrządzili stróże prawa, aniżeli trochę zbuntowany, światobórczo nastawiony do otaczającej go rzeczywistości młody poeta.

Nie był to jednak ostatni kontakt Łobodowskiego z wymiarem sprawiedliwości.⁴⁷

Październik 1933 – marzec 1934 – służba wojskowa

W październiku 1933 roku Łobodowski został powołany do służby wojskowej, którą miał odbywać w Równem na Wołyniu w Dywizyjnym Kursie Podchorążych Rezerwy przy 44 Pułku Strzelców Konnych. Tam spotkał Zuzannę Ginczanek, której po latach poświęcił tom *Pamięci Sulamity* oraz poetę Jana Śpiewaka.

Irena Szypowska: Wojsko, do którego, jak wiemy, miał stosunek bardzo krytyczny, dostarczyło zupełnie nowych wrażeń. Teraz na własnej skórze poznał jako rekrut, czym jest wojskowy dryl, bezmyślny automatyzm działania i nadużycia kaprałskiej władzy, wszystko to, co tak przejmująco opisał Adolf Rudnicki w powieści *Żołnierze* z 1933 roku, dziele z pewnością znanemu poecie – poborowemu.

Już po śmierci Łobodowskiego jego kolega z wojska opublikował wspomnienie o Łobodowskim w podchorążówce. Szczególne wrażenie zrobił na wojskowych zwierzchnikach wygląd poety.⁴⁸

Tadeusz Sobolewski: Od pierwszego dnia byłem zafascynowany jego wspa-

niałą brzydotą. Rysy miał jakieś nie z tej ziemi, trudno byłoby opisać tę twarz – był w niej jakiś przymus, jakaś apokaliptyczna ironia, może wzgarda dla tego świata, ale nie zapomnę tych oczu, jak dwa piekła, pełne szatańskiego śmiechu.⁴⁹

Irena Szypowska: Już te oczy, ta twarz denerwowały młodszych oficerów. Sobolewski rzuca też pewne światło na sytuację Łobodowskiego. Z jego wspomnień wynika, że poeta zachowywał się prowokacyjnie, zapewniając na przykład sierżanta, że nie interesuje go ani rozbieranie ani ubieranie karabinu maszynowego i nie zamierza się tym zajmować. On sam przyznał, że stanął się do Równego dwa dni po terminie, nigdy nie wracał z przepustki na czas, spóźnił się na własną przysięgę. Poza tym nawet zawsze był hardy i pyskаты. Bezpośredni dowódcy nienawidzili tego strzelca i wykorzystując swą przewagę kazali mu wykonywać różne męczące i upokarzające ćwiczenia, na przykład

⁴⁷ Tamże.

⁴⁸ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 39-41.

⁴⁹ Za: Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 39-41. Por. Tadeusz Sobolewski, *Łobodowski na podchorążówce*, „Dziennik Żołnierza”, 14 kwietnia 1989.

biec, padać, znowu bieć i znowu padać, aż do ostatecznego wyczerpania. Wiadomo było w dodatku, że Łobo-

dowski jest „zagorzałym czerwonym wywrotowcem”, co jego sytuację jeszcze utrudniało.⁵⁰

Rozprawy sądowe za „Barykady”

Irena Szypowska: W tym czasie odbywały się rozprawy sądowe, na które był dowożony do Lublina. Pierwsza za „Dodatek” do „Barykad” [czyli faktycznie nr 3. pisma – przyp. red.] w Sądzie Apelacyjnym miała miejsce 13 listopada. Bronił Konrad Bielski. Sąd utrzymał wyrok skazujący, ale obniżył karę do dwóch latach więzienia i zawiesił jej wykonanie na pięć lat. Następną rozprawa odbyła się 29 listopada i dotyczyła drugiego nume-

ru „Barykad”. Sąd skazał redaktora miesięcznika na jeden rok więzienia. I znów Konrad Bielski w imieniu swego klienta a zarazem przyjaciela, złożył odwołanie.

Sytuacja była poważna. Wyrok wprawdzie nie był prawomocny, a rewizja została założona, ale jej rezultat nie był pewny aż do 6 lipca 1934 roku, kiedy to Sąd Apelacyjny postanowił ten wyrok utrzymać, ale wykonanie zawiesić na pięć lat.⁵¹

Łobodowski aktorem

Irena Szypowska: Okres rekrucki w podchorążówce mógł być lżejszy niż w zwykłej jednostce, ale w sytuacji Łobodowskiego trudno było o tym marzyć. Ulgę odczuwał zapewne tylko wtedy, gdy zajmował się tym, co ze służbą nie miało nic wspólnego. Taką przyjemność mogło dać mu przygotowanie do odegrania postaci Konstantego w *Kordianie* Słowackiego wystawianym we fragmentach w rocznicę powstania

listopadowego. Nie trudno uwierzyć, że w tej roli był znakomity, a fascynująca „wspianiała brzydota” potęgowała ekspresję. Recytował też poemat Lechonia *Mochnacki* i napisał słowa do hymnu swego pułku. Te zasługi oraz pogodne usposobienie podchorążego powodowały, że oficerowie nie mający z nim codziennych służbowych kontaktów na ogół lubili tego żołnierza i wiele mu wybaczało.⁵²

1933 – spotkania z Janem Śpiewakiem w Równem

Irena Szypowska: Czasem, nielegalnie, udawało mu się wyskoczyć na miasto i odetchnąć powietrzem innym niż kosharowe.

Pewnego razu niespodziewanie spotkał na ulicy Jana Śpiewaka, który, jak się okazało, przebywał w Równem – swym mieście rodzinnym, gdzie pomagał ojcu mecenasowi Śpiwakowi (syn – poeta bardzo zgrabnie przekształcił to nazwisko) prowadzić kancelarię adwokacką. Znali się z Lublina i spotkanie na ulicy

Równego dla obu było miłym zaskoczeniem, a dla strzelca Łobodowskiego, rzecz można – szczęściem. Śpiewak pozostawił wspomnienie z tego spotkania w tomie *Przyjaźnie i animozje*.⁵³

Jan Śpiewak: Pewnego dnia zobaczyłem na ulicy Józka. Nie poznałem go z początku. W mundurze? Nie tak dawno spotkałem go u Seweryna. Dlaczego w Równem? Ta sama wysunięta szczeka, ten sam krok boksera. Ucieszył się ze spotkania. Odtąd, kiedy tylko mógł,

⁵⁰ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 39-41.

⁵¹ Tamże.

⁵² Tamże.

⁵³ Tamże.

uciekał z koszar z kolegami do nas. Kluczyli, aby nie trafić na kanarków. Podchorążówka nie rozpieszczała. Przychodzili do nas jakby z innego świata. Na białym obrusie czekały smakowite dania i mroźne napoje. Co jak co, ale pić potrafili wszyscy. Nie pamiętam ani jednego z nich z nazwiska, nawet twarze ich starły się w mojej pamięci. Wyskakiwali z ulicy Poniatowskiego i tygrysim skoki dopadali czym prędzej do drzwi. Czuli się jak u siebie w domu.

Był już Łobodowski znanym poetą, wydawał książki ogromniastych wierszy, żywy potok zdań przynosił celne strofy i patetyczny miał. Wiersze były recytacyjne i w tych latach oddziaływały sugestywnie. Znany był również z wyczynów pijackich, pozował na postać

jesieninowsko-kozacką. Właściwie go nie znałem, późniejsze jego życie było dla mnie zagadką. O poezji mówiliśmy rzadko, tym bardziej o problemach społeczno-politycznych. Przybiegał z kolegami, żeby odciąć się od kosmaru podchorążówki i chamstwa podoficerów, którzy wymyślali różne sposoby poniżania inteligenckiej młodzieży. Sierżanci mogli okazywać swą wyższość zanim podopieczni ich nie zdobyli pierwszej gwiazdki. Musieli śpieszyć się, natężyć swą wynalazczość, za rok będzie za późno.⁵⁴

Irena Szypowska: Wizyty w domu Śpiewaka sprawiały Józskowi wielką przyjemność, ale najważniejsze było to, że Jasio poznał go z fascynującą dziewczyną piszącą wiersze, z Zuzanną Ginczanką.⁵⁵

Jesień 1933 – Zuzanna Ginczanka

Józef Łobodowski: Gdy ją poznałem późną jesienią 1933 roku, była już kobietą, wprawdzie młodziutką, ale w pełnym rozkwicie pysznej, egzotycznej urody. Wiedząc, że rozczytuje się w *Pieśni nad pieśniami* Salomona (jednemu z późniejszych wierszy dała tytuł *Canticum canticorum*) z miejsca nazwałem ją Sulamitą (*Szu lammit*), co się Sanie niezmiernie spodobało.⁵⁶

Irena Szypowska: Zuzanna urodziła się w Kijowie 9 marca 1917 roku, ale wychowała się w Równem, dokąd uciekli jej rodzice w obawie przed rewolucją. Ojciec, Szymon Gincburg, aktor, mężczyzna równie przystojny co lekkomyślny, rozszedł się z żoną i wyjechał zagranicę. Matka „żądana życia i przygód”, żyjąca we własnym kręgu, powtórnie wyszła za mąż za Czecha i wyjechała z nim na stałe do Hiszpanii.

Zuzannę wychowywali dziadkowie, właściciele apteki, o wszystkim decydowała babka, bo dziadek, sparaliżowany, był nieorientowany w wielu sprawach. Znajomość z Jasiem Śpiewakiem, już

drukującym wiersze i mającym bogaty księgozbiór, była dla poetyzującej gimnazjalistki bardzo cenna. Pożyczała od niego książki, zwłaszcza zbiorki najnowszej poezji, z którą nie miała możliwości zetknąć się w szkole.⁵⁷

Jan Śpiewak: Dwa pierwsze wrażenia, jakie wyniosłem ze spotkania z Ginczanką pozostały w pamięci. [...] Pierwsze – to jej dom. Piętrowy, murowany, znajdował się na pryncypialnej ulicy 3 Maja. Na dole mieścił się duży skład apteczny, na górze rozprzestrzeniało się obszerne mieszkanie, urządzone, jak zwykle w Równem, bez smaku. Dom pachniał lekarstwami, maściami, kosmetykami, stężałym przeschniętym wapnem i stęchlizną. Pełno tu było niepotrzebnych mebli. Tłoczyły się staromodne komody, ociężałe fotele, śmieszne pochyle stoliki i kozetki. Meble zwęzły pokoje, ciążyły, przygniatały. Kilka mieszczańskich pokoleń z jakąś konsekwentną chaotycznością musiało zbierać to wszystko, aby wytworzyć dziwne nawarstwienie prawie bezużytecznych przedmiotów.

⁵⁴ Tamże.

⁵⁵ Tamże.

⁵⁶ Tamże, s. 41-43.

⁵⁷ Tamże.

Stłoczenie mebli świadczyło o zamożności domu.

Drugie wrażenie – to oczy Zuzanny. Niebieskie, uśmiechające się, ironiczne. Jedno miała smutne, a drugie kpiące.⁵⁸

Irena Szypowska: Łobodowski miał możliwość dobrze poznać ten mieszczański dom i te dziwne oczy. Przeczytawszy wspomnienia Śpiewaka zatytułowane *Zuzanna – legenda tragiczna* postanowił „porozmawiać” ze swym rówieśnikiem o uwielbianej przez nich dziewczynie. Napisał wspomnienie o niej. [...] Podejmując rozmowę z *nota bene* nie żyjącym już wtedy Janem Śpiewakiem, Łobodowski, który zawsze wszystko pamiętał lepiej niż inni, zaczyna:

Józef Łobodowski: Myląc zasadnicze daty Śpiewak zapamiętał jednak to i owo... „Zaznajomiłem Józka z Zuzanną” – wspomina [Jan Śpiewak] – „odtąd rozdawał się, często przepadał u niej na gorze. O czym rozmawiał z Ginią godzinami? Myślałem, że kocha się w niej...”

Rzeczywiście – o czym? Ech, nieżyjący Jasiu! O czym dwudziestoczteroletni poeta może rozmawiać ze wspaniałą szesnastoletnią dziewczyną, której podobają się jego wiersze? Od czasu do czasu dolatywał niezadowolony głos babci, która Zuzannę wychowywała. Nie znała dostatecznie dobrze języka polskiego i rozmawiała z wnuczką wy-

łącznie po rosyjsku: „Sanoczka, czto ty tak dołgo rozmawiajesz z etim sołdatom?” – „Babuszka” – odpowiadała zazwyczaj Zuzanna – „my wiediom litieraturnyj rozgawor”. Kiedyś stara przyłapała mnie w korytarzu. Podniosła pince-nez w złotej oprawie, obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem. Uprzedzając ewentualną indagację, zapewniłem energicznie: „Madam, ja wied wlubion w Sanoczku tolko platoniczeski” (zakochany platonicznie). Babcia uśmiechnęła się z widoczną ironią. „Isz jewo! Nam charaszo izwiestno pra eti tolko platoniczeski lubwi” (znamy się na tych platonicznych miłościach). Sana śmiała się wesoło. W nagrodę otrzymałem podwójną porcję pocafunków. Ale nie tyle, ile bym chciał... – „Śmierdzisz koszarami i żołdackim juchtem.”

W Warszawie, gdy byłem już w cywilu i babci nie było w pobliżu, wyglądało to trochę inaczej. [...] Jeszcze na wiosnę 1933 roku Zuzanna posłała Tuwimowi kilka swoich poetyckich pierwocin, między innymi wiersz *Szesnastolatki*. Ten wiersz nigdy nie ukazał się w druku, nie chciała mi, mimo usilnych prośb, dać go do przeczytania. Tuwim zachował się dyskretnie i także nikomu go nie pokazał. Ale nie trudno było domyśleć się, o co w nim chodziło. Zuzanna bardzo wcześniej dojrzała.⁵⁹

1934

1934 – próba samobójcza

Na początku roku 1934 Łobodowski próbował popełnić samobójstwo.

Józef Zięba: Według relacji żony poety, przyczyną próby samobójstwa były prześladowania jakiegoś zawodowego sierżanta. Sierżant prześladowca zjawił się na sali w momencie, gdy Łobodowski miał już wycelowany w swoją stronę

karabin; zdołał wytrącić broń, ale padł strzał. Niedoszłego samobójcę aresztowano i postawiono przed Wojskowym Sądem Okręgowym w Lublinie, lecz wskutek interwencji znanych literatów, m.in. Kazimiery Iłakowiczówny i Ewy Szelburg-Zarembiny, został zwolniony z wojska.

⁵⁸ Tamże.

⁵⁹ Tamże.

Nie zachowały się akta Wojskowego Sądu Okręgowego w Lublinie, ale do akt prokuratora Sądu Okręgowego dołączono pismo kwatermistrza 45 Pułku Strzelców Kresowych informujące, że Łobodowski – zwolniony z Dywizyjnego Kursu Podchorążych Rezerwy i odesłany 27 lutego do 45 Pułku jako macierzystego – został 10 marca 1934 roku aresztowany i odstawiony do wojskowego więzienia śledczego w Lublinie, a 13 marca 1934 roku wykluczony na okres pięciu lat ze służby wojskowej. [...]

W dokumencie tym nie ma więc żadnej wzmianki z jakiego powodu Łobodowski został aresztowany i wykluczony z wojska. Ważna jest data aresztowania – 10 marca 1934 roku. W tym dniu odbył się słynny wieczór najazdu poetów awangardowych na Warszawę. Nazwisko Łobodowskiego znajdowało się na afiszu. Nieobecność jego zaniepokoiła warszawskie środowisko literackie i nastąpiła natychmiastowa interwencja dwu wpływowych pań, poruszonych losem młodego poety.

Według zachowanych dokumentów, uwięzienie Łobodowskiego nie trwało dłużej niż trzy dni, ale poeta później jeszcze często na przeżycia więzienne się powoływał, twierdząc, że wówczas miał się dokonać przełom w jego życiu, prawie jak w celi Konrada.⁶⁰

Do Ireny Szypowskiej, autorki biografii Łobodowskiego odezwał się Tadeusz Sobolewski, jego kolega z wojska. Opisał bardzo dokładnie ten tragiczny dzień.

Tadeusz Sobolewski: Ten wieczór był tak samo szary, wszyscy siedzieli w świetlicy ucząc się regulaminów, mnie zaś powierzono zadanie uczenia walki z bagnietem jednego z naszych kolegów, Żyda, który tej gałęzi nauki absolutnie nie pojmował. Byliśmy sami na sali, widziałem tylko, że ktoś siedział pod ścianą przysłonięty łóżkiem, ale to mnie nie interesowało... W pewnym momencie posłyszałem cichy trzask i ujrzałem, iż ten siedzący za łóżkiem

zwał się na ziemię. W tej samej chwili wszedł Witkowski, (plutonowy pełniący obowiązki podoficera służbowego) i ja wskazałem mu tego leżącego – jeszcze nie wiedziałem, kto to. Plutonowy podbiegł, podniósł karabin małokalibrowy, otworzył zamek i drobny dymek uniósł się z komory zamkowej. Krzyknąłem: „Izba chorych!” i wybiegłem po lekarza. Dwaj sanitariusze złapali nosze i biegli ze mną do koszar. Kiedy wszedłem, Łobodowski leżał na stole, jęczał cicho. Patrzyłem na niego i nie mogłem uwierzyć: „Józek! Cóż ty zrobił najlepszego!!!”

Wkrótce nadszedł dowódca kompanii, pułkownik Worobej. Ten przez chwilę patrzył na Józka, po czym głosem jak najbardziej urzędowym spytał: „Czy chcieliście w ten sposób uniknąć służby wojskowej?” Usłyszałem cichy szepot: „Nie”. To go uratowało od kary.

Zabrano go do szpitala. Tej nocy nie spałem. Oficerowie buszowali po szafce Józka, wyrzucając książki Lermontowa, Tołstoja, Gogola – „bolszewizm, psiakrew...” Nie spałem nie tylko dlatego, że człowiek, którego przyjaźnią się szczyciłem, zrobił coś, czego nie mogłem zrozumieć, ale również dlatego, że oczekiwałem śledztwa. Byłem pewny, iż jako naoczny świadek mogę być badany przez żandarmerię. Wachmistrz żandarmerii urzędował całą noc w biurze dowódcy kompanii i od czasu do czasu zaglądał do naszej sypialni, ale pomijał mnie całkowicie – interesował go kto inny, Roman Przeważński, nauczyciel z Dubna, który spał na górnym łóżku nade mną. Roman był również znany jako czerwony wywrotowiec...⁶¹

Irena Szypowska: Nieszczęsnego samobójcę odwieziono do szpitala w Równem, ale nie było tam aparatu Rentgena, więc nie można było ustalić, gdzie ugrzęzła kula. Przewieziono go więc (prawdopodobnie w styczniu 1934 roku) do wojskowego szpitala okręgowego w Chełmie. Okazało się, że kula ześlizgnęła się wzdłuż żeber i ugrzęzła

⁶⁰ Józef Zięba, *Żywot* (3)..., s. 4.

⁶¹ Za: Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 44-45.

w przeponie, sprawiając ból. Nic nie wiadomo o tym, czy ją wtedy wyjęto.

Podczas kilkudniowego pobytu w szpitalu w Chełmie odwiedził Łobodowskiego Kazimierz Andrzej Jaworski, profesor seminarium nauczycielskiego, poeta i wydawca świeżo założonego (pierwszy numer wyszedł we wrześniu 1933) miesięcznika poetyckiego „Kamena”. Łobodowski oczywiście od pierwszego numeru współpracował z KAJ-em, tłumacząc poetów rosyjskich: Błoka, Jesienina, Majakowskiego, Mandelsztama, Gumiłowa – mieli więc o czym rozmawiać. [...]

O przyczyny samobójczego zamachu wprost zapytała nieszczęśnika Kazimierza Hłakowiczówna i treść tej rozmowy przytoczyła w tomie wspomnień *Traży-meński zajac* (1968):

– Czy panu tam dokuczali? A może pan jest absolutnym pacyfistą?

– Ależ ja nic nie miałem przeciwko tej szkole, proszę pani. Ja wcale nie przez pacyfizm, ja po prostu – z miłości...

Patrzyłam na niego oszołomiona... W takim ubraniu, z takim brakiem przednich zębów, pewno, że miłość musiała być nieszczęśliwa, bo która by go panna chciała.

Hłakowiczówna zdaje się przyjmować za dobrą monetę słowa młodego poety. Ale zarówno cały dialog jak i komentarz owiane są leciutką ironią. Chcecie mieć motyw – no, to go macie, chcecie, to wierzcie, niczego więcej się nie dowiecie.

Jedni więc mówią o nieszczęśliwej miłości, inni o trudach służby wojskowej – jest tak, jak chciał poeta. A jaka była prawda? Zbliża się do niej Jacek Trznadel, gdy w artykule *O Józefie Łobodowskim* („Arka” nr 50, 1994) pisze:

Kto wie, czy zamach samobójczy dokonany na początku roku 1934 w czasie służby w szkole oficerskiej, nie wiąże się raczej z trudnymi transformacjami wewnętrznymi niż przeżyciami sercowymi, o których mówią niektóre źródła. Biorąc pod uwagę twardy charakter poety, trudno też przyjąć, że był to gest rozpacz z powodu znanego traktowania elewów przez podoficerów.

Zgadzam się z tym przypuszczeniem.

Łobodowski znalazł się w sytuacji, z której nie widział wyjścia. Poświęcił swą młodość idei, w której sens zaczął poważnie wątpić i nie wiedział, co robić dalej, jak się z tego z honorem wypłatać. Jeszcze ma procesy polityczne, jeszcze musi bronić swego stanowiska, ale wkrótce, za parę miesięcy, wystąpi z jawnym oskarżeniem komunizmu. W podobnej sytuacji znajdowali się liczni poeci rosyjscy, którzy targnęli się na swoje życie. Łobodowski wielokrotnie pisał o tym, poświęcił im utwory poetyckie i ciągle w rozmowach wracał do tej sprawy. Także w jego brulionach często spotyka się nazwiska poetów zgładzonych przez NKWD, zaszczytnych, bądź doprowadzonych do samobójczej śmierci.

O własnym zamachu nigdy nie chciał mówić, ale opowiadał o tym, co zdarzyło się później: 27 lutego wrócił do podchorążówki, gdzie zastał wiadomość o przeniesieniu do kompanii 45 Pułku Strzelców Kresowych. Zgłosił się tam i od razu dostał dwutygodniowy urlop zdrowotny. Jednak zanim zdążył się odmeldować, przyszedł rozkaz osadzenia w więzieniu. Przewieziono go do Lublina i zamknięto w więzieniu wojskowym, mieszczącym się w gmachu pokarmelickim przy kościele Św. Józefa. Przyczyną było znalezienie w szafce rękopisów dających podstawę do przypuszczenia, że uprawiał antypaństwową propagandę. [...]

W archiwum zachował się oficjalny dokument wojskowy: Kwatermistrz 45 Pułku Strzelców Kresowych informuje prokuratora Sądu Okręgowego w Lublinie, że Łobodowski zwolniony z Dywizyjnego Kursu Podchorążych Rezerwy i odesłany 27 lutego do macierzystego pułku, został 1 marca aresztowany i odstawiony do wojskowego więzienia śledczego w Lublinie a 13 marca wykluczony na pięć lat ze służby wojskowej. Na końcu Kwatermistrz dopisał: „W cza-

sie pełnienia służby wojskowej w 45 Pułku Strzelców Kresowych nie popełnił

żadnego przestępstwa podlegającego orzecznictwu sądowemu⁶²

10 marca 1934 rok – „Najazd Awangardy na Warszawę”

Irena Szypowska: 10 marca miało miejsce w Warszawie ważne wydarzenie literackie. W sali Towarzystwa Higienicznego przy ulicy Karowej odbył się „Najazd Awangardy na Warszawę”. Organizował tę imprezę tygodnik „Państwo Pracy” organ Legionu Młodych, organizacji związanej z obozem rządowym. W tym piśmie, w którym dział literacki prowadzili Czechowicz i Domański, a także w innych organach Legionu, np. w świetnie redagowanym luksusowym „Pionie”, drukowali wtedy młodzi poeci krakowscy, wileńscy i lubelscy, dobrze widziani przez starszą generację publicystów i działaczy politycznych obozu rządowego. Inicjatorami i pierwszymi redaktorami „Pionu” byli: Adam Skwarczyński – czołowy ideolog piłsudczyzny, Tadeusz Świąciecki, Wiliam Horzyca.

Od pewnego czasu z „Państwem Pracy” i z „Pionem” współpracował już Józef Łobodowski. Drukował tam artykuły propagujące głębokie reformy społeczne przeprowadzane pod auspicjami niepodległościowych i socjalistycznych ideałów młodego Piłsudskiego i gorąco występował w obronie autonomicznych wartości dzieła sztuki przed tendencjami do upowszechniania za cenę zubożenia wartości artystycznych i obniżenia poziomu intelektualnego. Ceniono jego pióro i drukowano chętnie. Dochodziło do znamiennego przesunięcia. Lewica komunistyczna odpychała Łobodowskiego i innych młodych radykałów, gdyż zabierała im poczucie swobody i niezależności, zmuszając do całkowitego podporządkowania celom partyjnym, za to przyciągała ich oficjalna polityka kulturalna, dająca szansę włączenia się

w dzieło szybkiego „uzdrawiania” państwa, wychodzącego właśnie z kryzysu i podejmującego śmiało inicjatywy w wielu dziedzinach życia.

Wyrazem zbliżenia się Łobodowskiego do tego środowiska miał być jego udział w wieczorze literackim w stolicy. Spotkanie miało charakter szczególny. Polską Akademię Literatury reprezentował jej sekretarz generalny Juliusz Kaden-Bandrowski, znany ze swego zainteresowania młodą literaturą i z pomocy udzielanej początkującym pisarzom. Obecni byli przedstawiciele średniej generacji: Kazimiera Iłakowiczówna i Karol Irzykowski oraz redaktor „Gazety Polskiej” Ignacy Matuszewski. W imieniu Legionu Młodych przemawiał Wacław Zagórski z Wilna. W spotkaniu wzięli udział: Józef Czechowicz, Czesław Miłosz, Marian Czuchnowski, Julian Przyboś, Jalu Kurek, Henryk Domański, Adam Ważyk, Bronisław Ludwik Michalski, Józef Maśliński i inni. Zaskoczyła wszystkich nieobecność Łobodowskiego, który także był zaproszony. „Jest w wojsku, odsluguje wojsko w karnej kompanii – szepczą wtajemniczeni” – donosiła czytelnikom sprawozdawczyni „Kobiety współczesnej” (cytuje za Markiem Zaleskim, autorem *Przygód drugiej awangardy*). Poeci czytali jego ostre, społecznie zaangażowane wiersze.

Korespondentka „Kobiety współczesnej” pisze:

Dłuższe owacje spotykają Żagarystów – sztan-darowych niejako przedstawicieli akademickiej Muzy. Ale bezsprzecznie największe wrażenie wywiera *Piłsudski* Łobodowskiego w recytacji artysty [Henryka Ładosza]:

⁶² Tamże, s. 44-49.

Kalendarium życia Józefa Łobodowskiego

*Oto są ręce – młoty w zecerni jak w kuźni,
krew się lepi, nie farba na czarnych literach –
towarzyszu Piłsudski, w trzydzieści lat później
Julian Blachowski zabije Gastona Koehlera.*

*Wiem: Litwa dzieciństwa jest wonią mirry i narodu,
ojczyzna kwitnie w pałacu białego cieniach,
ale gdzie podziąć się z sercem, gdy czarny wstanie Żyrardów
i barykadą kamienną runie na progu sumienia.*

*Pomorze białe włóczęgą w spienione ciało Bałtyku,
Śląsk buchający ogniem, Borysław naftą chlusta –
łatwo uskrzydlić się dumą, piersi nadrywać od krzyków
i czyjeś święte imię po stokroć ślinić na ustach.*

*Łatwo sczerwienić skronie od tętniącego żaru,
gdy miastem marsz uderzy w ułańskie proporce,
a ciężiej przebić się młodym przez słowa: Polska i Naród –
i głowy na barach osadzić jak kosy szto
Sznurki krzaczastych brwi niech szarym zwiążą się lontem,
iskrą ze źrenic do dynamitu mózgu:
trzydzieści lat temu jak teraz groził artykuł sto piąty,
serce człowieka szło na spotkanie liktorskim różgom.*

*Za Belwederu oknami wicher nie ucichł,
spadek duchów umarłych siwą głowę obarcza – –
towarzyszu Piłsudski,
w przeddzień polskiej rewolucji
krwią wasze imię wypisujemy na tarczach.*

Ten utwór najmocniej wyrażał niepokój młodego pokolenia, rozdartego między ideą niepodległej ojczyzny a pragnieniem sprawiedliwości, której nie osiągnięto. To rozdarcie przypisuje poeta także Piłsudskiemu, towarzysowi dawnych walk o wolną i sprawiedliwą. Zapowiada, że jego imię, młodzi rewolucjoniści wkrótce znów wypiszą na tarczach.

Wiersz nieobecnego poety-buntownika zrobił wielkie wrażenie, a wiadomośc, że autor siedzi w więzieniu, poruszyła wszystkich zebranych. Sprawą zajęły się panie: Ewa Szelburg-Zarebina i Kazimiera Iłakowiczówna oraz Józef Czechowicz i Ignacy Małuszewski.⁶³

Umorzenie sprawy Łobodowskiego

Józef Łobodowski: Kazimiera Iłakowiczówna była wówczas osobistym sekretarzem Piłsudskiego, to była wprawdzie funkcja raczej honorowa, ale w wojsku miała swoje wpływy. Bardzo się moją sprawą przejęła i zaczęła

od generała Dobrodzickiego, dowódcy okręgu lubelskiego, bo byłem przewieziony do Lublina. (Nie wiem, czy pani pamięta kościół Św. Józefa, pokarmelicki? – tam było więzienie). I Dobrodzicki dostał podobno dobrą radę od

⁶³ Tamże, s. 50-53.

Kazimierzy Iłłakowiczówny, żeby mnie zwolnić. Zapytał, kogo trzeba, czy już dostałem akt oskarżenia, bo przepis był taki: jeżeli oskarżony dostał akt oskarżenia, to musiał stanąć przed sądem wojskowym, a jeżeli nie, to można było sprawę przekazać do sądu cywilnego. Ponieważ akt ten nie został mi doręczony, Dobrodzicki podpisał wyrzucenie mnie z wojska na pięć lat, bo na tyle opiewały wyroki zawieszenia. Wyszedłem na wolność!⁶⁴

Irena Szypowska: Dla porządku dodajmy, że generał Dobrodzicki przekazał sprawę sądowi cywilnemu w Łucku, a ten ją umorzył.

W końcu marca Łobodowski wyszedł na wolność. Wielkanoc spędził już w Lublinie. Jego żona mówiła mi, że

wiersz Piłsudski spodobał się Marszałkowi tak, że kazał przekazać autorowi tysiąc złotych, za które ten ubrał się elegancko od stóp do głów, czym zachwycił lubelskie panny razem z kawalerami zaproszone do lokalu. W szampańskiej atmosferze odbyło się spotkanie całej paczki. Byli: Czechowicz, Domiński, Madej, Wójcik. Wałkowali sprawę przy wódeczce z dobrą zakąską.

Kiedyśmy to opijali z przyjaciółmi – opowiadał mi Łobodowski – uniesiony proroczym duchem powiedziałem: „Beze mnie nie może być wojny, więc wojna wybuchnie najwcześniej w 1939 roku. Oby był język skołowacia!”

To lubelskie spotkanie miało charakter wyjątkowy, wszyscy bowiem specjalnie na święta zjechali się do rodzinnego miasta.⁶⁵

1934 – wyjazd do Warszawy

W ślad za Czechowiczem i Arnsztajnową, również Łobodowski wyruszył do Warszawy myśląc o nawiązaniu kontaktów ze stołecznym środowiskiem literackim.

Józef Łobodowski: Gdy przyjechałem do stolicy w roku 1934, po wyrzuceniu mnie z wojska na pięcioletni okres (tyle opiewały zawieszenia wyroków i innych spraw sądowych), zbliżyłem się do Tuwima, poznałem Grydzewskiego i Wierzyńskiego, Iłłakowiczównę, Słonimskiego, następnie poetów Kwadrygi, Sabyłę, Dobrowolskiego, Flukowskiego, łódzian: Piechałę, Timofiejewą. Z prozaików: Goetla, Nałkowską, Szelburg-Zarembinę, Uniłowskiego, Andrzejewskiego. Znacznie później przyszła kolej na wileńskich żagarytów: Zagórskiego, Miłosza, Putramenta.⁶⁶

Irena Szypowska: W maju 1934 roku pojechał Łobodowski do Warszawy. Porozumiał się z Michalskim oraz z poznanym niedawno Piętakiem i zdecydowali się razem wynająć pokój.⁶⁷ Znaleźli odpowiednio duży, z balkonem, przy ulicy

Dobrej 9, między Tamką a Solcem, niedaleko gmachu ZNP, w którym mieszkał Czechowicz. [...] Wkrótce dołączył do nich Henryk Domiński i często „waletujący” Wacław Mrozowski. Od czasu do czasu gościli młodych wilnian, których także wessała stolica: Miłosza, Putramenta, Zagórskiego. Liczba lokatorów była nieokreślona. Kiedy wyprowadził się Pięta, jego miejsce zajął grafik Miklaszewski. We wspólnym pokoju zawsze też znajdowali nocleg przyjeżdżający do stolicy lublinianie: Wacław Iwaniuk, Czesław Janczarski, Artur Buksbaum.

Sytuacja finansowa mieszkańców tego pokoju nie była tak zła, jak to się czasem przedstawia. Każdy chętny i zdolny do pracy mógł zarobić piórem, ale oczywiście nie wtedy, gdy ograniczał się do pisanie wierszy. [...] Wystarczyło nawet na wódkę pić u siebie. Kłopoty zaczynały się wtedy, gdy towarzystwo zaszalało w lokalach Śródmieścia, zamawiając „przez roztargnienie” francuskie koniaki i szampany.

⁶⁴ Tamże, s. 52-53.

⁶⁵ Tamże.

⁶⁶ Józef Zięba, *Żywot Józefa Łobodowskiego* (4), „Relacje” 1989, nr 6, s. 4.

⁶⁷ Michalski popełnił samobójstwo 27 lipca 1935. W roku 1936 Łobodowski opublikował o swoim przyjacielu piękne wspomnienie pt. *O Bronisławie Michalskim* („Życie Lubelskie” nr 17).

Lublinianie przenieśli do stolicy „cygańskie” obyczaje. Gdy szli ulicą, cała należała do nich. Śpiewali, żartowali, śmiali się, robili miny do przechodniów i odgrywali różne sceny. Żywioł młodości unosił ich i rzucał od szalonej radości po udrękę i gorycz załamania i rozpacz. Jak zwykle w takiej grupie zdarzały się zabawy ryzykowne i odbywane czyjś koszt. Stanisław Piętaś (w *Portretach i zapiskach* z 1963 roku) opowiada, jak na przykład Łobodowski brał drobnego, niepozornego Rzeczecę za kołnierza, podnosił do góry i tubalnym głosem zapowiadał, ku uciechu innych, że przywiąże go do ściany i będzie wokół niego rzucać nożem – nawet go nie drasnąwszy. „W ostatniej chwili”, oczywiście, rezygnował.

Także i z Piętaśem dochodziło „do scen nieprzyjemnych na tle gwałtownych dyskusji politycznych – przyznaje Łobodowski. – Gdy zbliżałem się do niego z niezbyt dobrymi zamiarami, kładł się

na łóżku, opłatał głowę dłońmi i krzyczał w przerażeniu: Tylko nie po głowie!”. „Ataman Łoboda” tłumaczył ten strach zapaleniem opon mózgowych, które w dzieciństwie przeżył Piętaś.

Łobodowski zresztą rzadko bywał na Dobrej. Opłacał swoją część komornego, miał własną otomanę, mógł więc przyjechać zawsze, kiedy chciał. Gdy zjawiał się rannym pociągami z Lublina, budził wszystkich, dawał pieniądze Rózi posyłając ją po prowiant na śniadanie. A potem wyrwał się na miasto. [...]

Lokatorzy „wspólnego pokoju” mimo libacji alkoholowych pracowali dużo. Piętaś przygotowywał pierwszy tom wierszy *Alfabet oczu* i ćwiczył się w prozie, Domiński zdobywał erudycję, która pozwoliła mu wkrótce stać się jednym z lepszych recenzentów, Łobodowski przygotowywał nowy tom wierszy, przekładał poetów rosyjskich, działał w Związku Pisarzy Lubelskich, i zakładał nowe pismo „Dźwięgry”.⁶⁸

Czechowicz

Irena Szypowska: „Czechowicz mieszkał w pobliżu na Smulikowskiego z tak zwanym „siostrzeńcem”, urodziwym młodziutkim Stefciem. Lubił atmosferę „cyganów” z Dobrej, lepiej się czuł z nimi niż w snobistycznych kawiarniach. Oni też cenili jego towarzystwo i przyjaźń, ale nie byli bezkrytyczni wobec mistrza. [...] Łobodowski doceniał intelektualną opiekę Czechowicza nad przyjaciółmi, to że wprowadzał ład w lekturę młodych literatów, ułatwiał debiuty, czasem pomagał finansowo, ale patrzył z niesmakiem, jak przekazywał młodym swe upodobania literackie, jak zarażał pogardą dla skamandrytów.

Śmieszyło go, gdy nieopierzeni debiutanci wypowiadali krytyczne sądy o Wierzyńskim i Lechoniui.

Cenił Czechowicza jako wybitnego poetę, uważał, że rdzeń jego twórczości tkwi w „tragicznym niepokoju istnienia, w mrocznych podszeptach metafizyki” a nie w swojskiej stylizacji ludowej, dostrzeganej powszechnie. Autorowi katastroficzej *ballady z tamtej strony* (1932) dedykował rewolucyjny poemat *Rozmawiam z Rosją* zamieszczony w tomie *Rozmowa z ojczyzną* (1936). Mimo niewątpliwego uznania i sympatii był Łobodowski krytyczny wobec starszego kolegi.⁶⁹

⁶⁸ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 56, 57, 58.

⁶⁹ Tamże, s. 57.

1934-1935 – „Dźwigary”

Józef Zięba: Łobodowski wrócił do cywila i do przerwanej pracy poetyckiej, dziennikarskiej i redaktorskiej. Natychmiast zaczął zbierać materiał [do pisma któremu] dał tytuł „Dźwigary”. Pierwszy numer ukazał się w listopadzie 1934 roku. Podpisany został przez Kazimierza Wójcika. Łobodowski z zawieszonymi wyrokami, nie mógł już ryzykować. Nikt nie miał jednak wątpliwości, kto jest twórcą i redaktorem pisma tym bardziej, że redakcja w artykule *Pro domo sua* informowała czytelników, iż antenatem „Dźwigarów” jest miesięcznik „Barykady”, który „Zmarł śmiercią gwałtowną, mając dębową trumnę pozewm zatrzaśniętą. Zostało po nim kilka weksli i ożywione stosunki z urzędem śledczym i prokuratorem.”

Artykuł kończył się informacją: „To, że pismo wychodzi w Lublinie, jest najzupełniejszym przypadkiem. «Dźwigary» nie mają żadnych ambicji regionalnych”.

W założeniu miało to być pismo ogólnopolskie. Pierwszy numer można uznać za próbę nawiązania bliższych kontaktów lubelskich poetów z wileńskimi „żagarystami”. Znalazły się w nich bowiem, obok utworów Czechowicza i Łobodowskiego, wiersze Zagórskiego, Miłosza i Putramenta. Poza tym numer przynosił sporo przekładów i materiałów dotyczących literatury i przemian społecznych, dokonujących się w Związku Radzieckim. Publicystykę numeru, jak dawniej, niemal w całości wypełnił Łobodowski, występując pod nowymi i starymi pseudonimami: nie przywołał jedynie poszukiwanego listem gończym Mariana Plizgi.

Ton publicystycznych wypowiedzi był już bardziej zrównoważony i miarowany. Jedynie Nowaczyńskiego nazwano „Jadowitą purchawką polskiej literatury”. W sumie, numer był nie tylko obszerny (liczył 84 strony), ale i in-

teresujący. Łobodowski potrafił skupić dobre pióra.

Gdyby udało mu się utrzymać pismo na zaproponowanym poziomie „Dźwigary” mogłyby się stać ważnym czynnikiem, kształtującym życie literackie kraju. Jednak bez wsparcia finansowego nie można było myśleć o dłuższym żywocie miesięcznika. I wydaje się, że takiego wsparcia zabrakło, a Łobodowski nie mógł liczyć ani na własne dochody, ani na pomoc biednej rodziny. Wydał jeszcze jeden numer „Dźwigarów”: za grudzień 1934 i styczeń 1935 roku. Numer nie uległ konfiskacie, ale i tak pismo umarło śmiercią naturalną.⁷⁰

Irena Szypowska: Miesięcznik ten, „poświęcony sprawie polskiej kultury proletariackiej”, nawiązywał do wcześniejszych „Barykad”. Miał się stać organem lewicowej inteligencji, niezależnej od linii KPP, którą reprezentował „Lewar”. Daleki od ortodoksyjności podkreślał niezależność polskiego ruchu od kierunku sowieckiego i głosił potrzebę łączności kultury współczesnej z tradycją narodową. Próbował odegrać pewną rolę w formułowaniu teorii kultury świata pracy, przede wszystkim zaś określał stosunek młodych poetów do tradycji Skamandra i Awangardy, ostrzegając zarówno przed zbytnim tradycjonalizmem jak i przed uleganiem magii nowej formy.

Ten temat podjął Łobodowski w artykule *Antynomie poezji współczesnej* ogłoszonym pod pseudonimem Szymona Marienholza w pierwszym numerze „Dźwigarów”, który wyszedł w październiku 1934 roku. W tymże samym numerze ukazał się też artykuł *Na froncie poetyckim* (podpisany: Łobodowski, Marienholz) oceniający poezję ośrodka lubelskiego i wileńskiego.

Autorzy, a właściwie autor, krytycznie odnieśli się w nim do twórczości Józefa Czechowicza, zarzucając mu zbytni su-

⁷⁰ Józef Zięba, *Żywot (4)...*, s. 4.

biektywizm i brak poczucia rzeczywistości społecznej. Bardzo wysoko ocenili poezję Czesława Miłosza, uznając go za najzdolniejszego z żagarystów:

Miłosz jest surowy i patetyczny, ale jego patos nie ma nic z rozhukanego żywiołu, jest pełnym znaczenia gestem, który zastygł i oto widzimy

każdy marmurowy załom i każdy fałd szaty spływający ku stopom.

Wiersze Miłosza sąsiadowały z utworami Czechowicza, Piętaka, Zagórskiego. Z ideą „poezji proletariackiej” nie miały nic wspólnego, świadczyły za to o poważnych ambicjach literackich.⁷¹

1934 – odchodzenie od komunizmu

Koniec roku 1934 to początek rozstawania się Łobodowskiego ze środowiskiem komunistycznym.

Irena Szypowska: Łobodowski dojrzał, usamodzielniał się, już wtedy można było dostrzec jego niezdolność do noszenia „efektownej liberii” i „pięknej kokardy”. Budziło to niezadowolenie partyjnych matadorów, którzy coraz częściej zawodzili się na swoim pupilu.⁷²

Józef Łobodowski: Było kiedyś zebranie partyjne [KPP], ja do partii nie należałem, ale mnie zapraszano. [...] Na tym zebraniu postawiono pytanie: czy należy wydawać zakamuflowane czasopismo, czy wydać jednodniówkę, z góry licząc się z tym, że zostanie skonfiskowana. Była dyskusja na ten temat i najstarszy pan, który nie brał udziału w dyskusji, tylko się jej pilnie przysłuchiwał, podziękował nam: „Dyskusja była bardzo ciekawa, ale nie możemy podjąć decyzji teraz, bo w Charkowie odbędzie się za miesiąc zjazd pisarzy proletariackich, z udziałem także zagranicy, a więc zapowiedzieli się: Romain Rolland, Bernanos...” Poderwałem się i powiedziałem: „A co nas obchodzi, co oni tam uchwalą? Co Romain Rolland wie o życiu robotnika czy chłopu lubelskiego, a nawet Illia Erenburg, co on wie?” – Z miejsca zostałem oskarżony o odchylenie nacjonalistyczne. Od tego się zaczęło, to był właściwie punkt zwrotny, to mi potwierdziło wszystkie moje poprzednie podejrzenia.⁷³

Irena Szypowska: Napięcie rosło. Kongres Pisarzy Proletariackich w Charkowie, a potem Związek Pisarzy Radzieckich potępiły awangardę artystyczną, proklamowały realizm socjalistyczny i zażądały od pisarzy całkowitego podporządkowania się partii komunistycznej. Wobec polskich literatów sformułował te postulaty Marian Czuchnowski drukując w „Robotniku” w 1933 roku cykl artykułów *W głąb awangardy*. Zaatakował w nich poetów krakowskich, żagarystów i lublinian, a twórczość Łobodowskiego określił jako dekadencją, burżuazyjną, nie dość zdecydowanie służącą proletariatowi.⁷⁴

Łobodowski odpowiedział artykułem *Pisarz współczesny w teraźniejszości*, który zamieścił w drugim i zarazem ostatnim numerze „Dźwigarów” (grudzień 1934 – styczeń 1935).⁷⁵

W jego tekście można było przeczytać znaczące zdanie: „Sztuka jest narzędziem walki klasowej, ale cecha ta nie może być uważana za jej istotę, ponieważ o tym, czy dany utwór należy do sztuki czy nie, decydują wyłącznie względy estetyczne”.

Irena Szypowska: Broniąc autonomicznych wartości dzieła literackiego podnosił zarazem sprawę upowszechnienia kultury, propagując stanowisko, jakie już wiele lat przed nim zajmowali Przybyszewski i Abramowski: „Udostępnienie literatury masom powinno odbyć się nie przez zubożenie środków artystycznych, ale przez podniesienie kultury ogólnej.”⁷⁶

⁷¹ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 58-59.

⁷² Tamże, s. 59-60.

⁷³ Józef Zięba, *Żywot (4)...*, s. 4.

⁷⁴ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 60.

⁷⁵ Tamże.

⁷⁶ Za: Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 60.

Tłumaczenia z ukraińskiego

Ludmiła Siryk: W roku 1934 Łobodowski dostał zamówienie od ukraińskiego Instytutu naukowego w Warszawie na przekład utworów Tarasa Szewczenki.

Książka ukazała się w roku 1936 w 75. rocznicę śmierci ukraińskiego poety. weszło do niej 21 utworów w tłumaczeniu Łobodowskiego.⁷⁷

1935

1935 – zerwanie z komunizmem

W roku 1935 Łobodowski został prezesem Związku Literatów w Lublinie i pełnił tę funkcję aż do 1939 roku ale najważniejszym wydarzeniem w jego życiu w tym okresie było zerwanie z komunizmem. Zimą i wiosną 1935 dojrzewała w Łobodowskim już bardzo mocno decyzja o zarwaniu z lewicą komunistyczną.

Józef Łobodowski: Nie chcę niczego upiększać, więc wypada dodać, że na decyzji odejścia zaważyły również motywy mniej urodziwe [...]. Miałem 25 lat. Cztery najlepsze lata młodości oddałem temu, cośmy – zapewne za patetycznie – nazwali polską rewolucją. Konfiskaty, rewizje, areszty, więzienia, relegacje, wyroki... A jednocześnie prawie wszystkie zarobione pieniądze wpychane w druki i deficytowe wydawnictwa, „sowieckiemu psu pod ogon”, jak brutalnie w czasie jakiegoś pijaństwa wyraził się Bronek Michalski.

Gdy coraz częściej zaczęły przychodzić chwile zwątpienia, wszystkie uroki młodości osaczały i wzywały ku sobie. A gdyby tak za forszę, przygotowaną na następny numer czasopisma kupić sobie nowe ubranie, odnowić znajomość ze starą sztubacką sympatią, zaprosić ją na kolację do Europy, nie iść do Ka-

zimierza nad Wisłą na piechotę, lecz pojechać wynajętą taksówką, urządzić starej matce święta na Wielkanoc, na jakie sama zdobyć się nie mogła, zjawić się nagle w Kasynie Oficerskiej i wywołać sensację smokiem, którego nigdy przedtem się nie miało?⁷⁸

Irena Szypowska: W marcu 1935 roku znów pojechał Łobodowski do Lublina. Spotkał się tam ze starym znajomym z Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, który zupełnie załamany, opowiedział mu o straszliwym głodzie panującym od kilku lat na ziemi niegdyś mlekiem i miodem płynącej. Wkrótce po jego wyjeździe doszła do Łobodowskiego wiadomość o jego samobójczej śmierci. Zrobiło to na nim ogromne wrażenie. Postanowił nielegalnie przekroczyć granicę i przekonać się osobiście, jak wygląda rzeczywistość pod rządami bolszewików. Mówił mi, że mimo iż zagadywał po ukraińsku, nikt się do niego nie odzywał. Dopiero jakiś Żyd, spotkany na przedmieściu małego miasteczka, odważył się otworzyć usta. „Oczywiście wróciłem całkowicie wyleczony” – kończył Łobodowski.

Napisał wtedy wiersz *Do starego towarzysza*:

*Łudziliśmy się długo. Zagmatwanym śladem
wiodł rozkaz gniewu skłóconą gromadę –
krwawiliśmy bez celu w daremnych odsieczach.
Wiatr postrzącał na ziemi krople ciężkich godzin,*

⁷⁷ Ludmiła Siryk, *Naznaczony Ukrainą. O twórczości Józefa Łobodowskiego*, Lublin 2002, s. 21.

⁷⁸ Za: Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 60-61. Por. Józef Łobodowski, *O cyganach...*, „Kultura” 1964, nr 10.

Kalendarium życia Józefa Łobodowskiego

*Słyszemy – w noc burzliwą powoli odchodzi
krok tych, którzy unieśli swe głowy spod miecza. –*

*Lgną do szyb zwiędłe liście, złej nocy postowie,
jeszcze na stole szklanka, anim jej nie dopił;
mgła w żrenicach – i chyba już dziś wypowiem
myśli, z których się każda przy brzegu utopi.*

*Tylko ty pode mną groźnym cieniem trwasz –
jak mam cię dzisiaj nazwać, stary towarzyszu! –
żyliśmy dniem wróżonym, a dzień ów nie przyszedł,
stopom ziemia uciekła, przed mrokiem na twarz
padły forpocztę jutra. Teraz ostry profil
twój świeci, martwo leżą spracowane ręce –
umilkliśmy. Zostały te zatrute strofy
i świat nie wywalczony. I śmierć. I nic więcej.
[...]*

Zaczął się wtedy zastanawiać nad przyczynami samobójstw rosyjskich poetów: może Jesienin powiesił się nie z powodu alkoholizmu, Majakowski zastrzelił się nie z powodu kobiety, a co z Mykołą Chwylowym?⁷⁹

Jacek Trznadel: Młodziutki pisarz, zaangażowany najpierw prze kilka lat w twórczość „rewolucyjną”, także jako redaktor „proletariackich” lewicowych czasopism (jak lubelskie „Barykady”, „Dźwigary”) i uczestnik bulwersujących opinii wieczorów autorskich, stał się głośny także z powodu konfiskat utworów, procesów i wyroków. Łobodowski dość szybko i głęboko przemyślał jednak niepokojący go „alians” z komunistami i ich „kulturą” (nigdy zresztą nie reprezentował linii KPP). Zachowując radykalne poglądy społeczne (ukazywane w szczególnej poetyce jego wiersz), oskarżył jednak komunistów i kryptokomunistów o fałsz i dwulicowość. Bo też społeczny ton, a nawet niewątpliwie tony lewicowej rewolucyjności u Łobodowskiego nie służyły jakiemuś określone programowi, związane mu z topografią partii politycznych tych lat, lecz miały raczej ukazywać dramat i konflikt tragiczny ludzkiej egzystencji, uwikłanej w ciemne dyktaty historii.

Nie podzielał także Łobodowski obowiązującego w kręgach kryptokomunistycznych nastroju entuzjazmu wobec tak zwanej ojczyzny międzynarodowego proletariatu. Nielegalne przejście granicy do ZSRR, przemycniczą ścieżką, dokonane w 1935 roku, właśnie dla sprawdzenia przystawalności idei do praktyki, z godnym młodości ryzykancstwem, dopełniło tej edukacji.⁸⁰

Józef Zięba: Po latach Łobodowski uprościł proces gwałtownych przemian psychicznych, opowiadając, iż „w 1935 roku dojrzała decyzja, żeby pojechać nielegalnie do Związku Sowieckiego i przekonać się, jak ta rzeczywistość tam naprawdę wygląda. Oczywiście wróciłem całkowicie wyleczony” („Poezja” 1988, nr 6, s. 21).

Wiele wskazuje na to, że poeta po latach, może dla ubarwienia życiorysu, przeniósł do własnej biografii ten fikcyjny epizod ze swojej powieści *Rzeka graniczna*. Obecnie nie jest to już tak bardzo istotne, czy osobiście sprawdził realia, czy tylko śledził coraz bardziej niepokojące wieści napływające z kraju, który brał za wzór przebudowy społecznej i politycznej własnej ojczyzny. W każdym razie tym czasie zaczął tracić wiarę w prawdziwość wyznawa-

⁷⁹ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 60-61.
⁸⁰ Jacek Trznadel, *O Józefie Łobodowskim*, „Arka” nr 2, 1994, s. 105.

nych i propagowanych z taką żarliwością haseł. Buńczuczną pewnością siebie zastąpił niepokój i pesymizm. Kontakty z Czechowiczem i grupą wileńskich

żagarystów odkrywały katastroficzną wizję świata. Wyrazem nowej postawy stał się wydany w 1935 roku tom wierszy *Rozmowa z ojczyzną*.⁸¹

1935 – *Rozmowa z ojczyzną*

Ten nowy tom wierszy ukazał się po raz pierwszy na jesieni 1935 roku w Lublinie bibliotece lubelskich „Dźwigarów”.

Józef Zięba: Józef Łobodowski [...] swoje 64 strony [poezji] w nakładzie stu egzemplarzy opublikował za niecałe 500 złotych. Zabrał się do tego ze znajomością rzeczy. Zaczął od zaproszenia na kolację właściciela Drukarni Popularnej w Lublinie, co obniżyło mu cenę druku do 60 złotych za arkusz, papier kupił sam, sam też zapłacił – niewiele – introligatorowi Goldmanowi, który razem z dwoma synami oprawił mu książkę. Cały nakład bardzo szybko rozszedł się, więc autorowi zwróciły się koszty i mógł jeszcze zaprosić przyjaciół na kolację do Oazy [...]. Miłośnicy twórczości Józefa Łobodowskiego zauważyli od razu, że zmienił poglądy. Ci którzy, jak przedtem, szukali w jego wierszach podniety do buntu i nadziei na szybkie zwycięstwo rewolucji, zawiedli się.⁸²

Irena Szypowska: Znamienne, że słowo „ojczyzna”, którego wcześniej nie używał, teraz wprowadził poeta do tytułu tomu. Rodziło to pewne skojarzenia literackie. Jan Bielatowicz ogłosił, że „urodził się Konrad”, dodajmy: nie wykluczone, że stało się to znowu w celi więziennej:

[...]

*Gdy w młodości zatrutej i gniewnej
jak więzienne na ścianach napisy –
głowa runie na twardy bruk,
gdy się nogi w czarnej krwi poślizgną –
ty mi oczy znużone przysyp
siwym piachem nadwiślańskich dróg
o, zielona, śpiewająca, szumiąca,
o, jedyna, nienawistna ojczyzno.
(Ojczyzna)*

[...] Wacław Kubacki pisał:

Rozmowa z ojczyzną stanowi doniosłe zjawisko literackie. Już od dawna nie słyszało się tonu tak mocnego i szczerego. Ten bunt zahamowanej przez warunki dziejowe energii, to manifest całego pokolenia. Głos pokolenia staje się tu poezją, a poezja dokumentem.⁸³

Janusz Kryszak: Łobodowski opatrzył ten tom krótką notą dającą do zrozumienia, że nie uważa za stosowne, ażeby poeta przyznający się do duchowego pokrewieństwa z ideami proletariatu, z duchem lewicowym, radykalnym politycznie, musiał pisać wiersze agitki, musiał pisać wiersze, które byłyby takimi „czerwonymi ulotkami” poetyckimi. Chciał zachować swoją odrębność, swoją indywidualność i ten głos spowodował, że zaczęto patrzeć na Łobodowskiego z ukosa, zaczęto obserwować go uważniej.⁸⁴

Tom *Rozmowa z ojczyzną* stał się szybko obiektem ataku lewicowych krytyków.

Atak na Łobodowskiego

Irena Szypowska: Rozczarowanie [dotychczasowych wielbicieli poezji Łobodowskiego nowym tomem poety] wyraził Stefan Napierski w fikcyjnej

Rozmowie o Łobodowskim („Ilustrowany Kurier Codzienny”, 15 września 1935), w której zarzuca poecie neuraastenię i anarchizm.

⁸¹ Józef Zięba, *Żywot (4)...*, s. 4.

⁸² Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 69.

⁸³ Tamże, s. 70.

⁸⁴ *Poeta grozy...*

Odpowiedź Łobodowskiego: *Smutne porachunki*

Irena Szypowska: Poeta swą odpowiedź sformułował w artykule *Smutne porachunki*, wydrukowanej na pierwszej kolumnie „Wiadomości Literackich” z 27 października. Przyznaje, że zmienił poglądy, ale dodaje:

Żałuję, że tak późno je zmienił. Wy jesteście przyzwyczajeni do rycerzy niezłomnych. Niezłomnych autorów! Nie myśli, nie rozumuje, nie ma wątpliwości. Oto patent na bohaterstwo. Lunatycy chodzą spokojnie po gzymsie, bo nie widzą przepaści. Jaka szkoda, że nie jestem lunatykiem.

Następnie wyjaśnia przyczyny odstąpienia od dotychczasowych przekonań. Krytykuje postawę lewicy komunistycznej, depczącej dekalog etyczny i gwałcącej wolność jednostki w imię doktryny: Iść z nimi to znaczy co dzień zadawać gwałt sumieniu. Zakrywać oczy na wszystko, czego się widzieć nie poleca. Poddać się terrorowi moralnemu. Wstrzymywać się z wygłoszeniem własnego zdania, póki nie przyjdzie urzędnik i nie uzgodni poglądów w myśl bezimiennego nakazu. Żyć w strasliwym przeświadczeniu, że wszelka krytyka, wszelka próba opozycji ideowej będzie potraktowana jako zamaskowana kontrrewolucja. Mam dość tej zabawy.⁸⁵

Warto przytoczyć obszerniejsze fragmenty z tego artykułu.

Józef Łobodowski: Nie widzę nigdzie sztandaru, pod którym można by złożyć głowę, nie słyszę słów komendy. Słyszę wrzask targowiska, gdzie kupa spryciarzy licytuje się w miłości do proletariatu. Nie ma w Polsce szeregu, do którego mógłbym doszłusować. [...]

Kiedy wydawałem książki i pisma „o treści wywrotowej”, poszła po Lublinie plotka, że za pieniądze Kompartii „zatrnuam ducha narodu”. Dziś, gdy ujrano moje nazwisko na szpaltach zasobnych w gotówkę czasopism, znów wszystkie gamratki jazgoczą, że się dał przekupić i dlatego zatrubiałem na odwrót. Te same grzebieluchy, które parę lat temu kwiczały z uciechy, widząc

moje polatane portki, teraz martwią się po nocach „skądże to Łobodowski ma forszę?”. Nie wiedzą, że wtedy, gdy mnie ścigano, śledzono i osaczano, gdy byle pętał mi pod nogi, gdy srogą zimą marzłem w letnim palcie, gdy w więzieniu wojskowym pisałem wiersze na ścianie – byłem szczęśliwszy niż dziś. [...]

Urągają mi z chwilą, gdy przyszła stosunkowa pomyślność zewnętrzna. Cóż z tego, gdy zabrakło pomyślności ideologicznej. [...] Iść z nimi – to znaczy co dzień zadawać gwałt sumieniu. Zakrywać oczy na wszystko, czego się widzieć nie poleca. Poddać się terrorowi moralnemu. Wstrzymać się z wygłoszaniem własnego zdania, póki nie przyjdzie urzędnik i nie uzgodni poglądów i myśli bezimiennego nakazu. Żyć w strasliwym przeświadczeniu, że wszelka krytyka, wszelka próba opozycji ideowej będzie potraktowana jako zamaskowana kontrrewolucja... Mam dość tej zabawy. Spójrz na wczorajszych żołnierzy wolności, dzisiejszych niewolników frazesu. Ich głowy zaczynają dojrzywać do gilotyny.

Dalej bronił się w następujący sposób przed oskarżeniami o zdradę:

Józef Łobodowski: Nie jest zdradą ani dezercją zrzucanie munduru, w którym duszno. [Nie] jest zdradą wypowiedzenie posłuszeństwa uzurpatorom idei. Nie zdradzam haseł wolności. Opuszczam ludzi, którzy zdegenerowali socjalizm. [...] Uważam, że rewolucja – to przede wszystkim przywrócenie godności każdej jednostce. A nie sądzę, aby godność ludzka święciła triumfy tam, gdzie tylu najwartościowszych musiało jej szukać w samobójstwie.

Józef Zięba: Była to aluzja do samobójstw rosyjskich poetów: Błoka, Jesienina i Majakowskiego. Swoim zaś dawnym towarzyszom zarzucał brak zdolności do krytycznej oceny wydarzeń:

⁸⁵ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 70.

nie wykazać się entuzjazmem dla masakry po śmierci Kirowa, słowem kierować się w ocenie zjawisk sumieniem, a nie partyjnym nakazem – to w języku oficjalnym nazywa się kontrrewolucją. [...] Dla mnie kontrrewolucjonistami są właśnie tępi marksiści i to wszystko, co dzisiaj nosi stempel oficjalnej rewolucji.⁸⁶

Irena Szybowska: Łobodowski nie był odosobniony w swym rozczarowaniu do komunizmu. Od lewicy odstąpiło wielu intelektualistów europejskich. Z partii komunistycznej wystąpił trzydziestoletni Włoch, sławny już Silone, Andre Gide ogłosił w 1937 „uzupełnienia” do *Podróży do ZSRR* zmieniając sens swej relacji. Victor Serge, pisarz rosyjski i komunista, po ośmiu latach prześladowań wydostawszy się z ZSRR, sam demaskował zbrodnie rządzących i wzywał do pisania prawdy.⁸⁷

Jacek Trznadel: Zapomniane dziś artykuły Łobodowskiego z tego okresu warte są przedruku. Pisane z pozycji emocjonalnych lewicowca, który zrozumiał, że komuniści zdradzają ludzkie ideały, ukazując świetność pióra i uderzając znakomitą, celną argumentacją. Łobodow-

ski jasno zobaczył degenerację oficjalnej ideologii Kraju Rad i chęć bezwzględ- nego sterowania przez Sowiety ruchami rewolucyjnymi na świecie. Uderzał go cynizm aparczyków napędzających naiwnych do konspiracyjnej działalności (*Smutne porachunki*):

Odbijać ulotki o treści tak doskonale szablonowej i wyświechtanej, że ją każdy woźny sądowy wyrecytuje znudzony na pamięć? Gnić w więzieniu, podczas gdy komisarz sowiecki pije na bankiecie na cześć króla brytyjskiego?

Napisać czy powiedzieć, że Sowiety, wstępując do Ligi Narodów, zliżały własne plwociny, których przedtem nie szczędziły genewskiej instytucji, skrytykować działalność Kominternu, nie wykazać entuzjazmu dla masakry po śmierci Kirowa, słowem, kierować się w ocenie zjawisk sumieniem, a nie partyjnym nakazem – to w języku oficjalnym nazywa się kontrrewolucja.

I deklarował: „Nie zdradzam haseł wolności. Opuszczam ludzi, którzy zdegenerowali socjalizm” (*Smutne porachunki*). Zwracał uwagę na terror państwa sowieckiego w stosunku do wszelkich odruchów swobody twórczej, na samobójstwa i eksterminację pisarzy.⁸⁸

Reakcja na *Smutne porachunki*

Jacek Trznadel: Zmiana frontu, dokonana jawnie, ostentacyjnym oświadczeniem w „Wiadomościach Literackich” (*Smutne porachunki*, jesień 1935), przeciw temu, co autor nazywa „siuchtą lewicową”, wzbudziło ogromną niechęć kryptokomunistów i ataki z ich strony (Wanda Wasilewska, Lucjan Szenwald). Oskarżono go o zdradę, a nawet – bardzo typowy zarzut komunistyczny – o prowokację dokonaną przez kogoś, kto tylko podszył się pod hasła radykalne, by je kompromitować.

Józef Zięba: Po tym wystąpieniu w prasie krajowej zawrzało. Najgwałtowniej i najostrzej ocenili tę ewolucję dawni towarzysze Łobodowskiego. Pierwsza zabrała głos Wanda Wasilewska w arty-

kule *Ewolucja ideowa* („Robotnik” 1935, nr 333). Pisała:

Nie zabieram w tej sprawie głosu jako literatka, jako człowiek przynależny do tego czy innego obozu – tylko po prostu jako ktoś, kto przeczytał tę „ewolucję ideową” i poczuł głębokie obrzydzenie [...]. Występuje on tu jako typowy przykład „poety”, „literata”, który wyczuwając instynktownie, skąd wiatr wieje, burzy się i fermentuje, głosi swą przynależność do obozu rewolucyjnego, by w końcu trafić tam gdzie przynależał w swej istocie od początku – do obozu reakcji do zaciśniętej, spokojnej zatoczki. Opowiastki o rozpacz i żalu z powodu utraty „dziecinnej wiary” możemy zostawić na boku – pieniądze i powodzenie łatwo obetrą te łzy [...]. Pan Łobodowski pluje na swoją przeszłość – to mu wolno – widocznie sam ocenił, że więcej nie była warta.⁸⁹

⁸⁶ Za: Józef Zięba, *Żywot* (4)..., s. 4.

⁸⁷ Irena Szybowska, *Łobodowski...*, s. 74.

⁸⁸ Jacek Trznadel, *O Józefie...*, s. 105.

⁸⁹ Józef Zięba, *Żywot* (4)..., s. 4.

Irena Szypowska: Wanda Wasilewska w „Robotniku” umieściła artykuł *Ewolucja ideowa*. Nazwała w nim Łobodowskiego „plugawcem”, który „pluje na swoją przeszłość”, stwierdziła, że jest „nacjonalistycznym agentem w służbie faszyzmu”, że „sparszywił” i „budzi obrzydzenie”.⁹⁰

Józef Zięba: Łobodowski odpowiedział Wasilewskiej w artykule *Adwersarze heroizmu* („Wiadomości Literackie” 1935, nr 48). Warto przytoczyć tu chociażby jedno zdanie „Przeraziły mnie dopiero egzekucje po śmierci Kirowa i ter-

ror na Ukrainie, przeraziły mnie obelgi rzucane na socjaldemokrację austriacką w parę dni po zgonie «Münichreitera i Wallischa»». ⁹¹

Poza artykułem Wasilewskiej ukazały się jeszcze inne

Irena Szypowska: Lucjan Szenwald w „Lewarze” (1935, nr 5) oskarżył autora *Rozmowy z ojczyzną* o nacjonalizm i stwierdził, że zawsze był on obcy marksizmowi, ale teraz wreszcie „puścił farbę”: „Poczytujemy to sobie za zasługę, że zmusiliśmy go do gadania w sposób tak otwarty”. ⁹²

Przekłady z języka rosyjskiego

Józef Zięba: W tym samym 1935 roku [...] wydał w Bibliotece Poetyckiej nie istniejących już „Dźwigarów” tom przekładów wierszy poetów rosyjskich pod zamiennym tytułem *U przyjaciół*. Znalazły się w nim tłumaczenia utworów Lermontowa, Błoka, Jesienina i Maja-

kowskiego. W *Słowie od autora* tłumaczył się, iż zmuszony był, wybrać tylko utwory najbliższe mu uczuciowo. Ze względu na trudności finansowe musiał wyeliminować z tomu wiersze Niekrasowa, Wołoszyna, Gumiliowa, Puszkina, Briusowa i Pasternaka. ⁹³

Sprawa ukraińska

Ludmiła Siryk: Po zerwaniu z komunizmem Łobodowski całą energię twórczą skierował na obronę spraw ukraińskich, a „sprawa ukraińska” stała się przede wszystkim „równaniem serca i honoru”. Zadeklarował to w artykułach *Smutne porachunki*, *Uzurpatorzy wolności* i *Adwokacka heroizmu*. ⁹⁴

Irena Szypowska: Pamięć o tym, że rodzina ojca wywodzi się z kozaczyzny, a także, i może przede wszystkim, dzieciństwo spędzone na Kubaniu, kiedy to wchłaniał w siebie pieśni i obyczaje tego ludu, spowodowały trwale zainteresowanie kulturą Ukrainy i sytuacją naro-

du ciągle na próżno zrywającego się do walki o wolność. ⁹⁵

Początkowo Łobodowski krytykował politykę narodowościową państwa polskiego, potem widząc jak zmienia się ona na korzyść (po podpisaniu przez rząd umowy normalizacyjnej z przedstawicielami mniejszości ukraińskiej w 1935 roku), popierał dążenia ku poprawie wzajemnych stosunków i brał udział w wielu przedsięwzięciach do tego zmierzających. Współpracował z Ukraińskim Instytutem Naukowym w Warszawie, który prowadził energiczną działalność wydawniczą i oświatową. ⁹⁶

⁹⁰ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 74.

⁹¹ Za: Józef Zięba, *Żywot (4)...*, s. 4.

⁹² Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 73-74.

⁹³ Józef Zięba, *Żywot Józefa Łobodowskiego* (5), „Relacje” 1989, nr 7, s. 4.

⁹⁴ Za: Ludmiła Siryk, *Naznaczony...*, s. 18-19.

⁹⁵ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 75-81.

⁹⁶ Tamże, s. 75.

1936

Zgłoszenie tomu *Rozmowa z Ojczyzną* do nagrody PAL

Wielkim sukcesem Łobodowskiego stało się zgłoszenie *Rozmowy z ojczyzną* do Nagrody Młodych Polskiej Akademii Literatury w 1936 roku. Konkurentem Łobodowskiego do tego wyróżnienia było *Trzynaście wierszy* Świętopełka Karpińskiego. Zwolennikami Łobodowskiego wśród jurorów nagrody byli: Julian Kaden-Bandrowski, Zofia Nałkowska i Wacław Rzymowski. Wygrał Karpiński przewagą jednego głosu.

Rok po lubelskim wydaniu *Rozmowy z ojczyzną* (1935) i po dyskusji, jaką wywołał ten tomik, wznowił go bez wahania ale w wersji uzupełnionej i poszerzonej warszawski wydawca F. Hoesick. Była to prawdziwa nobilitacja dla poety

Tymczasem wciąż w prasie toczyła się gorąca dyskusja wokół decyzji Łobodowskiego o zerwaniu z komunizmem.

Sprawa Łobodowskiego – ciąg dalszy

Irena Szypowska: Sprawa Łobodowskiego nabrała wielkiego rozgłosu. Koło redakcyjne „Verbum” przeprowadziło zebranie, na którym dr Rafał Bluth wygłosił odczyt *Casus Łobodowskiego*. W dyskusji Wojciech Bąk trafnie spostrzegł, że poeta przechodzi proces „samouświadamienia się indywidualisty”. Sprawozdanie z tego zebrania ogłosił w „Pionie” (1936, nr 3) Karol Irzykowski, tytułując je *Co to jest zdrada*.⁹⁷

Józef Zięba: Wśród kręgów bardziej umiarkowanych decyzja Łobodowskiego została przyjęta z większym zrozumieniem. Karol Irzykowski w artykule *Co to jest zdrada* („Pion” nr 3, 1936) rozpatrywał moralne aspekty decyzji poety, stwierdzając, iż na korzyść Łobodowskiego powiedzieć można to, że „całą tę sprawę swoją przeżył bardzo silnie”. Zaś Andrzej Kruczkowski, włączając się do dyskusji artykułem *Casus Łobodowski* („Wiadomości Literackie” 1935, nr 45), napisał: „Być młodym i nie być komunistą, lub nie komunizować, to – w Polsce – o mało że nie heroizm najczystszej wody”. Kończy zaś artykuł stwierdzeniem: „Trzeba jednak powie-

dzieć, że to, co zrobił Łobodowski, jest krokiem naprawdę heroicznym”.

Kazimierz Wyka recenzując tom *Rozmowa z ojczyzną* pod zmienionym tytułem *Cierpkie pieniądze poety* („Tygodnik Ilustrowany” 1936, nr 50) oświadczył:

Twórczość Łobodowskiego stanowi dumny dowód niezależności poezji. Świadczy, że prawem poety jest prawo ostrzegania i buntu, w którym mieści się więcej wartości, niż w zgubnym śpiewie z barykadową grupą. Świadczy, że w młodym pokoleniu żywym jest ku ciemnej przyszłości skierowane, losem człowieka wytyczone „cierpkie pieniądze poety”.

[...]

Głosów polemicznych i dyskusyjnych było znacznie więcej, ale cytowane tu wypowiedzi chyba najlepiej ilustrują nie tylko sprawę Łobodowskiego, ale problematykę nurtującą ówczesne młode pokolenie literatów.

Wydaje się, że i dziś, kiedy w publicystyce rozważa się różne aspekty epoki stalinizmu z lat trzydziestych, „casus Łobodowskiego”, jako polskie echo tamtych czasów, też godny jest głębszej refleksji.⁹⁸

⁹⁷ Tamże, s. 73-74.

⁹⁸ Józef Zięba, *Żywot (4)*..., s. 4.

Odpowiedź Łobodowskiego: *Uzurpatorzy rewolucji*

Łobodowski jeszcze raz postanowił przedstawić swoje stanowisko i motywy odejścia od komunizmu. Zrobił to w artykule *Uzurpatorzy rewolucji*.

Irena Szypowska: Łobodowski odpowiedział obszernym artykułem *Uzurpatorzy rewolucji*, które „Wiadomości Literackie” w dniu 19 lipca 1936 roku wydrukowały na dwóch kolumnach. Teraz poeta pisze nie tylko o skostnieniu ideologii komunistycznej ale o prześladowaniu wszystkich samodzielnie myślących. Przypomina o doprowadzeniu do samobójstw Jesienina, Majakowskiego, Chwylowego, o rozstrzelaniu profesora Kruszelnyckiego, o absurdalnym oskarżeniu Trockiego, Zinowiewa i Christiana Rakowskiego, o to że są „płatnymi agentami państw imperialistycznych”. Uważa, że pisarze lewicy europejskiej powinni ujawnić wszystkie znane im dobrze zbrodnicze fakty.⁹⁹

Jack Trznadel: To czego autor nie pomieścił w pierwszym artykule [*Smutne porachunki*] napisanym w literackiej formie dialogu, dopowiedział w niecały rok później w konkretnej analizie artykułu *Uzurpatorzy wolności*. Ukazywał tam na konkretnych i bezlitosnych przykła-

dach degenerację kultury i literatury w Sowietach, ale także podobne objawy w kulturze kryptokomunistycznej i „jednolitofrontowej” w Polsce.

Opowiadał się za prymatem wolności myślenia i nakazów moralnych przed nakazami partyjnymi. Bezlitośnie ośmieszał różne „partyjne” sytuacje (czytelnik mógł wyczuć konkretne, własne obserwacje autora): „Nie powinienes tłumaczyć Jesienina. To przecież kułacki poeta! Jakżeś mógł swój poemat zadedykować Czechowiczowi? Może nie wiesz, że Czechowicz jest znanym sanatorem”?

Łobodowski pokazywał też, że wolność kultury narodowej jest w Sowietach folklorystycznym widowiskiem, jeśli chodzi o narodowości zajmujące „kilka powiatów”, natomiast dławi się tam wielkie narody, jeśli nie są posłuszne partyjnej dyktaturze: Co innego Ukraina. Tu już ludność idzie w miliony, tutaj tęsknota do prawdziwej wolności i niepodległości może wstrząsnąć podstawami socjalistycznej ojczyzny. Więc ciągną tabory ukraińskie przez stepy Syberii, którą bez troski Polak zdążył już nazwać krajem bez przekleństw, i na bezszelestnych oponach sunie od wsi do wsi *czornyj woron GPU*.¹⁰⁰

1936 – *Demonom nocy*

F. Hoesick wydał następny tom Łobodowskiego pt. *Demonom nocy*. Wzbudził on duże zainteresowanie krytyki literackiej.

Irena Szypowska: Poszukiwanie duchowej ojczyzny znamionuje [...] tom *Demonom nocy*. Z jeszcze większym niż dotąd uniesieniem emocjonalnym kreuje Łobodowski pejzaż bujnych, lecz posępnych stepów, przypominając krajobrazy Goszczyńskiego w *Zamku Kaniowskim*, Malczewskiego w *Marii*, czy Słowackiego w *Beniowskim*. Powołuje też Kozaków o naturze lirycznej i pełnych żaru odeskich apaszów, walczących o wolność, zbuntowanych przeciw niewoli ciała i ducha.

Brzmi w tych utworach, często bardzo rozbudowanych, echo ludowej poezji śpiewanej, rapsodów, bylin, tego, co zbliża do tradycji Homera. Łobodowski żywo odczuwał związek Ukrainy z Grecją. Nazywał swą mityczną ojczyznę „Helladą scytyjską”. Nie ma tu jednak epickiego spokoju ani dystansu, jest przecucie zagłady. Ton katastroficznego uwydatnia się szczególnie w epizodach będących reminiscencją wspomnień z dzieciństwa w Rosji: rzezi, głodu, pożogi – co nadaje piętno apokaliptyczne.¹⁰¹

⁹⁹ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 73-74.

¹⁰⁰ Jacek Trznadel, *O Józefie...*, s. 107

¹⁰¹ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 72.

Zuzanna Ginczanka w Warszawie

Irena Szypowska: Dużo czasu spędzał Łobodowski z Zuzanną Ginczanką, która przyjechała do Warszawy na studia pedagogiczne w Uniwersytecie Warszawskim. Przy protekcji Tuwima ona też miała szeroko otwarte drzwi redakcji „Skamandra” i „Wiadomości Literackich”. Dzięki temu już w 1936 roku wydała u Przeworskiego, w luksusowej szacie graficznej, swój pierwszy (i jedyne) tomik wierszy *O centaurach*.¹⁰²

Józef Łobodowski: Zastanawiałem się, jaki właściwie jest jego stosunek do Sany – wspomina Łobodowski w tomiku *Pamięci Sulamity*. Widywano ich stale w „Małej Ziemiańskiej”. Gdy jakiś impertynent zapytał Zuzannę: »Czy pani jest kochanką Tuwima?«, ta odparła spokojnie: »Za wysokie progi na moje nogi« Ale czy to była tylko opieka ojcowca starszego o dwadzieścia kilka lat, od dawna sławnego poety, czy coś więcej, trudno dociec. Że nie była jego kochanką – to pewne.

Zdarzyło się któregoś wieczora, że pewien początkujący pisarz, po dobrze zakropionej kolacji, powiedział do Zuzanny: »Pani jest warta nocy!« Nie przypało mi to do gustu, więc ostro zareplikowałem: »Jest pan w grubym błędzie. Zuzanna jest warta nie jednej a tysiąca i jednej nocy!« Tamten chciał coś powiedzieć, ale Tuwim, który był przy tym obecny, śmiejąc się zwrócił mu uwagę: »Panie, po tym, co pan usłyszał od Łobodowskiego, pozostaje panu tylko jedna opcja – natychmiast wyjść«. Winowajca posłusznie wyszedł. Zuzanna była zachwycona.

Bardzo szybko stała się znana i popularna w całej literacko – artystycznej Warszawie. Miała ogromne powodzenie. Nic dziwnego. Wspaniały tors, biodra godne dłuta starogreckiego rzeźbiarza, świetne nogi. Do tego przedziwne oczy, mieniące się, jak morska woda w słońcu, sensualny wykrój ust, ciężki

węzeł kruczonych włosów na karku. Nie mogła się nie podobać.¹⁰³

Irena Szypowska: Początkowo Józek i Sana byli ze sobą blisko. „Szczęśliwy Casanova” – powtarzali dawni przyjaciele z Lublina, pamiętający jego dawne podboje i widzący go teraz u boku niezwykle efektownej panny bywającej w najlepszym towarzystwie. Sana drukowała w „Skamandrze” i „Wiadomościach” wiersze liryczne, w „Szpilkach” – satyry. W Ziemiańskiej przesiadywała przy stoliku Gombrowicza z Otwinowskimi, Piętakiem, który ją, piękną i utalentowaną, nazywał pierwszą damą dworu, a siebie paziem króla Gombrowicza. Razem bywali w Zodiaku, Adrii. Przysiadali się do nich: Jan Śpiewak, Andrzej Nowicki, Eryk i Hanna Lipińscy, Jerzy Pietrkiewicz, Henryk Domiński, Józef Czechowicz, Adam Ważyk ze swą piękną żoną Gizą i Bella Gelbardowa, później znana pod pseudonimem Czajki.

Czy Sana była wtedy szczęśliwa? Jan Śpiewak, jej znajomy z Równego, często przebywający w tym towarzystwie, uważał, że czuła się coraz bardziej samotna, bo zdawała sobie sprawę z tego, że „tumaniono ją kabotyństwem, patetycznymi gestami bez pokrycia”. Czekwała na wielką miłość, ale ta nie przychodziła. „Podchodziła coraz groźniejsza historia i straszyla”. [...]

Łobodowski coraz rzadziej pojawiał się w lokalach, w których bywała Sana (zawsze nazywał ją tak, jak ją wołała babka, lub uroczystie: Szulamit, Giną nazywał ją Gombrowicz i to imię przyłgnęło do niej w warszawskim towarzystwie). Nie znosił atmosfery kultu, a może tylko kultu kogoś innego niż on sam, nie odpowiadała mu snobistyczna atmosfera tego kręgu, w którym obracała się dziewczyna, nie cierpiał też „kabotyństwa” Gombrowicza.

Nie był już Sanie potrzebny, sama świetnie sobie radziła. Oddalali się od siebie, stawali się sobie obcy.¹⁰⁴

¹⁰² Tamże, s. 63.

¹⁰³ Józef Łobodowski, *Zuzanna Ginczanka*, wstęp do: tegoż, *Pamięci Sulamity*, Toronto 1987, s. 7-16. za: Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 63.

¹⁰⁴ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 63-65.

Sprawa ukraińska

Irena Szypowska: Zbliżył się w 1936 roku do kół „wschodoznawczych” (jak wtedy mówiono) Warszawy. Bywał w klubie Prometeusz na rogu Alej Jerolimskich i Brackiej, gdzie spotykali się Tatarzy, Gruzini, uchodźcy z Kaukazu i Ukrainy sowieckiej. Rej tam wodzili prezes Imnadze i profesor Nakaszysze.

Łobodowskiego przyjęto chętnie, cieszył się sympatią Aleksandra Łotoćkyjgo, dyrektora Instytutu i sekretarza Stoćkyjgo.

Współpracował z „Biuletynem Polsko-Ukraińskim”, pismem pod redakcją Bączkowskiego bardzo zasłużonym dla sprawy.¹⁰⁵

1937

Nagroda Polskiej Akademii Literatury

W 1937 do Nagrody PAL został zgłoszony tom Łobodowskiego *Demonom nocy*, który też tą nagrodę otrzymał w styczniu tego roku. Wzmocniło to bardzo pozycję Łobodowskiego jako wybitnego twórcy młodego pokolenia, przedstawiciela tzw. „drugiej awangardy”.

Józef Zięba: Polska Akademia Literatury przyznała Łobodowskiemu Nagrodę Młodych za rok 1937. Było to najwyższe

prestżowe wyróżnienie w kraju, które sytuowało laureata na czołowej pozycji wśród młodego pokolenia poetów. Otwierało przed nim łamy wszystkich najpoważniejszych i najpoczytniejszych czasopism literackich. Łobodowski potrafił tę okazję należycie wykorzystać, drukując swoje wiersze i artykuły w „Skamandrze”, „Wiadomościach Literackich” i innych pismach.¹⁰⁶

Atak na Łobodowskiego i polemika

Zaprezentowany w tomie *Demonom nocy* w oryginalny sposób związek poety z tradycją kresową, kozacką i rosyjską wywołał ostre protesty prawnicowych krytyków.

Irena Szypowska: Napierski zobaczył w poecie odeskiego apasza, Sebyła oskarżył go o tęsknotę za carską Rosją, a Bolesław Miciński w tomie *Demonom nocy* widział: Wsio krugom Rassieja..., Don..., Kozaki...¹⁰⁷

Recenzja Bolesława Micińskiego w „Prosto z Mostu” została opatrzona tytułem: *List otwarty do Osipa Łobody. (2 maja 1937)*

Irena Szypowska: Dla Łobodowskiego była to okazja do repliki. W artykule *Tropicielom polskości* umieszczonym w „Wiadomościach Literackich” 1937

nr 25 przyznaje, że napisał kilka wierszy pod wpływem wspomnień dzieciństwa i lektury poetów rosyjskich, ale nie zgadza się z zarzutem, że jest poetą o duszy rosyjskiej.¹⁰⁸

Józef Łobodowski: Jeśli za jedyne centrum polskości uznać Rypin, Kikuł i Sierpc – no to nie ma dwóch zdań. Mam jednak śmiałość utrzymywać, że Wołyń, z którego pochodzę po kądzieli i, powiedzmy, okolice Czerkas (właśnie nad Dnieprem) gdzie podobno przed wiekami pułkownikował mój pradziad, zapisały się w historii polskiej kultury nie mniej zaszczytnie od Rypina.¹⁰⁹

Bolesław Miciński odpowiada Łobodowskiemu tekstem *Żarty i wyznania* („Prosto

¹⁰⁵ Tamże, s. 75-76.

¹⁰⁶ Józef Zięba, *Żywot* (5)..., s. 4.

¹⁰⁷ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 74.

¹⁰⁸ Tamże, s. 74-75.

¹⁰⁹ Tamże.

z Mostu" nr 136). Reakcja Łobodowskiego jest szybka, ukazuje się jego tekst *Żarty arze-
czywistość* („Wiadomości Literackie” nr 716). W tym samym czasie kiedy trwa polemika pomiędzy Micińskim i Łobodowskim dochodzi do rozprawy sądowej, w której Łobodowski jest oskarżony o zerwanie po pijanemu kilku sztyldów. Oczywiście „Prosto z Mostu” wykazuje to do zdeszkrytowania Łobodowskiego i w przeglądzie prasy zamieszczonym w tym piśmie znajdujemy notatkę *Ataman Łobod bawi się* (11 lipca 1937).

Dwa tygodnie później Łobodowskiego atakuje w prowadzonej przez siebie rubryce „Wycinanki” sam redaktor „Prosto z Mostu” Bolesław Piasecki. Robi to w tekście który zatytułował *Rozkoszny laureat* (25 lipca 1937). Wypomina Łobodowskiemu zaangażowanie w komunizm i kwestionuje szczerłość odejścia od komunizmu przez poetę. Oczywiście mimochodem przypomina o awanturze, w której brał udział Łobodowski.

Sprawa Arnsztajnowej – druga polemika

Zapewne wszystko skończyłoby się na wspomnianym tekście *Rozkoszny laureat*, gdyby nie to że Piasecki obok umieścił jeszcze jeden swój tekst, w którym przytacza satyryczny wiersz Jerzego Pietrkiewicza, wytykający Franciszce Arnsztajnowej żydowskie pochodzenie.

Na reakcję Łobodowskiego nie trzeba było długo czekać. Pisz do „Wiadomości Literackich” (1 sierpnia 1937) przejmujący list zamieszczony w dziale „Korespondencja”. W liście tym broni dobrego imienia Franciszki Arnsztajnowej.

Już 4 sierpnia endecki „Głos Lubelski” drukuje artykuł *Burza na lubelskim Olimpie poetyckim* (P. Łobodowski kruszy kopie o p. Arnsztajnowej w „Wiadomościach Litera-

ckich” i „*Naszym Przeglądzie*”). Autor artykułu z dużą satysfakcją przypomina m. in. o wszystkich procesach i wyrokach ciążyących na Łobodowskim.

Łobodowskiemu odpowiada również Stanisław Piasecki umieszczając w redagowanej przez siebie w „Prosto z Mostu” rubryce „Wycinanki” tekst *Naręcze jajeczek* („Prosto z Mostu”, 8 sierpnia 1937).

Również w następnym numerze „Prosto z Mostu” Piasecki wraca do polemiki z Łobodowskim. W rubryce „Przegląd prasy” ukazuje się tekst *Profesor patriotyzmu*. (15 sierpnia 1937) będący w dużej mierze przedrukiem tekstu z „Głosu Lubelskiego”. Na tym tekście cała ta sprawa właściwie się kończy.

Sprawy kryminalne Łobodowskiego

W listopadzie w „Głosie Lubelskim” umieszczone są dwa teksty:

Chodzi o to, żeby pan mniej pił (mówi sędzia do Łobodowskiego) (19 listopada)

Sprawa p. Łobodowskiego (24 listopada).

Z tekstów tych możemy wnioskować że przeciw Łobodowskiemu toczy się w tym czasie sprawa za wszczęcie awantury na dancingu. Sprawa ta doczekała się finału

w roku następnym. Pisz o tym „Głos Lubelski” w tekście *Młody literat p. Łobodowski skazany na 3 miesiące za obrazę armii* (20 marca 1938). Również z „Głosu Lubelskiego” dowiadujemy się o wyroku skazującym Łobodowskiego w jeszcze innej sprawie dotyczącej zrywania przez niego sztyldów (*Sąd Okręgowy skazał Łobodowskiego za zerwanie godła państwowego*, 16 grudnia).

1937 – „Kurier Lubelski”, nowa inicjatywa Łobodowskiego

Józef Zięba: Nie zrywał kontaktów z Lublinem. Nie opuszczała go jeszcze ciągle ambicja redagowania i wydawania własnego periodyku. W 1937 roku wznowił upadły przed pięciu laty „Kurier Lubelski”. Próba okazała się zupełnym niewypałem. Po kilku numerach dziennik zbankrutował. Jako nieprzyjemne wspomnienie tej niefortunnej inicjatywy jego redaktorowi pozostały spore długi.¹¹⁰

Józef Łobodowski: Wznowiłem wte-

dy [początek roku] dziennik „Kurier Lubelski”, który redagowałem przez ostatni okres w poprzednim wcieleniu w roku 1932. Wtedy położyły mnie konfiskaty, tym razem zbytni optymizm i wiara w niedotrzymane obietnice. W ciągu krótkiego trwania tego nowego „Kuriera Lubelskiego” nadałem mu kierunek „prometejski”, a więc stawiający na rozbiście imperium rosyjsko-sowieckiego na składowe części narodowe.¹¹¹

1937 – Lubelska Szopka Polityczna Józefa Łobodowskiego

Józef Łobodowski dokonał autobiograficznego wyznania i rozrachunku z przeszłością w Lubelskiej szopce politycznej (nie chodzi tu o szopkę „Reflektora”) napisanej przez niego i wydanej w 1937 roku (nakładem Okręgu II Związku Rezerwistów).

W artykule *Lubelska Szopka Polityczna* („Express Lubelski” z 26 listopada 1937) czytamy: „Ustalono termin premiery politycznej szopki lubelskiej na 4 grudnia br., którą organizuje Związek Rezerwistów. Szopka polityczna, w której poruszane będą aktualne, a tak modne w Lublinie ploteczki, wystawiona będzie w teatrze miejskim. W Szopce wystąpi 35 lalek reprezentujących najpopularniejsze osoby.

Wacław Gralewski: Szopka kończy się monologiem atamana Łobodi. Mówi on:

*Oj w Lublinie, w tym Lublinie
tak powoli woda płynie –
jak się wybić
by nie chybić –
głowiłem się tam
O orzekłem – nie ma rady –
Trzeba wydać „Barykady” –
od konfiskat do nazwiska
szybko dojdę sam.
I Zagrałem na tej strunie
i stanąłem przy komunie
w Kominternie służył wiernie*

kilka ładnych lat.

*Parę razy mnie wsadzili,
ale zaraz wypuścili,
raz ostatni w ciężkiej matni
na kolanach padł.*

*Do Warszawy napisałem
i poprawę obiecałem
u ministra głowa bystra
nie podjął mnie źle,
A minister jak powiedział
zaraz o tym Drymer wiedział
wydał rozkaz, znikła troska
wypuścili mnie.*

*Potem zaraz forszę dali
do współpracy zapraszali
i na wódzię dobrzy ludzie
prowadzili wciąż.*

*- Jeszcze rok a – rzekł mi synu
masz na czoło liść wawrzynu –
i tą razą z burżuazją
w jednym kole krąż.*

*A poetka Iłła-Atła
swe poparcie obiecała
co mówiła to zrobiła
bardzo byłem rad.
Przyjmowali mnie w pałacach
i mówili jesteś caca.*

*Pisz tak dalej a pochwali
ciebie cały świat.*

*Na tym koniu dalej jadę
nieźle sobie dając radę*

¹¹⁰ Józef Zięba, *Żywot* (5)..., s. 4.

¹¹¹ Józef Łobodowski, *Fragmenty wspomnień*, „Kontakt” 1987, nr 10, s. 59.

*piszę wierszyk przyjdzie pierwszy
i już forszę mam.*

*Tylko ten „Lubelski Kurier”
kiedy wspomnę wpadam w furie
roczek drugi płacę długi
Straszny z tego kram.*

Trudno o bardziej szczerą wypowiedź. Podkreślić warto i ten szczegół, że podczas przedstawień szopki autor sam recytował swe wyznanie.

Wacław Gralewski: Szopka wywołała dość duże wrażenie i poruszenie w Lublinie. W redagowanym przez siebie „Expressie Lubelskim” w dniu 8 grudnia 1937

roku umieściłem recenzję. Omawiając owe końcowe wyznania, określiłem je następująco: „Pomysł finału jako pewnego rodzaju autorecitalu poetyckiego był oryginalny. Było to chwilami wyznanie poety, a chwilami *Spowiedź chuligana* wyładowana w formę ekspresji literackiej.”

Recenzja wywołała silne echo. Była ostra, ale i rzeczowa. Łobodowski zapowiedział napisanie odpowiedzi polemicznej, ale ostatecznie obietnicy nie dotrzymał. Być może doszedł do wniosku, że recenzję po jego wyznaniach należy uważać za kropkę nad „i”.¹¹²

1937 Sprawy ukraińskie

Wyjazd do Łucka – redakcja pisma „Wołyń”

Józef Zięba: Obarczony długami po upadku „Kuriera” skorzystał z zaproszenia wojewody wołyńskiego do redagowania w Łucku tygodnika „Wołyń”.¹¹³

Józef Łobodowski: Naraił mi to mój serdeczny kolega z gimnazjum Zbigniew Chomicz, krewny i sekretarz osobisty wojewody wołyńskiego Henryka Józefskiego. Początkowo byłem luźnym współpracownikiem, następnie przeniósłem się do Łucka i zostałem faktycznym, chociaż nieoficjalnym redaktorem tygodnika „Wołyń”. Nieoficjalnym, bo wojewoda musiał liczyć się z czynnikami wojskowymi, z którymi i tak miał mnóstwo kłopotu, a ja miałem w wojsku bardzo złą opinię. Upřednio dochodziło do tego, że Bączkowskiemu zabraniano drukować artykuły pod moim nazwiskiem. Wiersze i przekłady z poetów ukraińskich – tak, artykuły polityczne – nie.

Bączkowski wpadł na pomysł i zaproponował mi pisanie pod pseudonimem. Tak zrodził się Stefan Kuryło. Kuryło, bo moja ówczesna narzeczona, a następnie żona była Kuryłówna z domu. A skutek

był dość zabawny. Ten sam wojskowy, który kręcił nosem na moje teksty, gratulował następnie Bączkowskiemu artykułów owego nieistniejącego Kuryły. Skąd pan wytrzasnął tego znakomitego publicystę? No proszę”.¹¹⁴

Ludmiła Siryk: Wiosną 1937 wojewoda wołyński Henryk Józefski zaproponował Łobodowskiemu pracę w tygodniku „Wołyń”, z którym poeta współpracował od roku 1933. Pismo było ściśle związane z polityką wojewody. Dominowała w nim tematyka polsko-ukraińska, główna rubryka „Z prasy ukraińskiej” była zamieniona potem na „Sprawy ukraińskie”. Łobodowski przyjął propozycję, pracując w Łucku od wiosny 1937 roku, tj. do momentu zwolnienia Józefskiego ze stanowiska. Ten krótki okres odegrał ogromną rolę w krystalizacji etycznego ideału pisarza na pograniczu polsko-ukraińskim i spotęgował jego zainteresowania ukrainistyczne. [...]

Jadąc na Wołyń Łobodowski wiedział, że nie zrobi tam żadnej kariery, że znajduje się na straconej pozycji, bo był to schyłek politycznej i społecznej działal-

¹¹² Wacław Gralewski, *Stalowa tęcza*, Warszawa 1968.

¹¹³ Józef Zięba, *Żywot* (5)..., s. 4.

¹¹⁴ Źródło: „Kontakt”, październik 1987, s. 60, za: Józef Zięba, *Żywot* (5)..., s. 4.

ności Józewskiego jako wojewody wołyńskiego. Ale otwarty i bezkompromisowy przyjął propozycję, nie oczekiwał żadnych korzyści i nie zmienił tonu swoich polemicznych artykułów (więcej na ten temat w dalszej części pracy). Łobodowski bliżej poznał kulturę, mentalność, charakter Ukraińców, duchowe współzycie wielu narodów zamieszkujących Wołyń. Wszystko to wpłynęło na powstanie poematów poetyckich *Dumy wołyńskie*, *Duma o atamanie Petlurze*, *Noc na Wołyniu*, *Sen nocy wołyńskiej*, *Polesie*, *Kisielin*, które m.in. aż w roku 1954 złożyły się na książkę *Złota Hramota*.¹¹⁵

Irena Szypowska: [Wojewoda wołyński] Józewski, uważał, że trzeba przygotowywać kadry przyszłej Ukrainy, lojalnej wobec Polski i znajdującej w niej oparcie, toteż wspierał szkolnictwo oraz prasę ukraińską i zmierzał do stworzenia uniwersytetu w Łucku, na czym bardzo zależało mniejszości ukraińskiej. Swą działalność opierał na absolwentach Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Jesienią 1937 roku wojewoda wołyński, znając stanowisko Łobodowskiego, zaproponował mu przeniesienie się na stałe do Łucka i redagowanie tygodnika „Wołyń”.¹¹⁶

Konflikt polsko-ukraiński

Żeby zrozumieć głęboki sens zgody Łobodowskiego na wyjazd do Łucka, trzeba zdawać sobie sprawę z wielkich problemów, jakimi obłożone były relacje polsko-ukraińskie.

Ludmiła Siryk: Problem ukraiński w Polsce międzywojennej należał do jednego z najtrudniejszych i uzależniony był od czynników wewnętrznych Rzeczypospolitej oraz międzynarodowych. Podczas pierwszej wojny państwowotwórcze pragnienia Ukraińców poniosły klęskę zarówno w Galicji, jak i w Kijowie. Nie mając własnego państwa, Ukraińcy mogli liczyć tylko na wyrozumiałość, tolerancję i pomoc innych narodów, z którymi zamieszkiwali obok siebie.

W ZSRR, zwłaszcza w latach trzydziestych, Ukraińców niszczył totalitaryzm stalinowski. W Polsce społeczeństwo ukraińskie stykało się z niekompetencją i brakiem zainteresowania dla ich spraw ze strony państwowej i miejscowej administracji w dziedzinie szkolnictwa, kultury, religii, gospodarki, polityki narodowościowej. Narażone było także na pogardę i niechęć Polaków. Czynnikiem

konfliktogennym była także ziemia, wokół której wybuchały spory [...].

Rozczarowanie i żal rozwinęło w Ukraińcach poczucie obrazy i dystansu. Polityka represyjna wobec Ukraińców stwarzała pokusę nacjonalizmu lub komunizmu. Stan ten wykorzystali potem nie tylko nacjonaści ukraińscy szkoleni w Niemczech i noszący się z ideą państwowości Ukrainy przy pomocy Niemców, ale również faszystowskie i stalinowskie służby wywiadowcze i wojskowe. Przed drugą wojną rozumiały to tylko jednostki, których ostrzegawcze i pojednawcze głosy rozbijały się o mur obojętności, stereotypów, zamknięcia lub ekspansywnych działań różnych instytucji i organizacji. Szansa na ułożenie dialogu polsko-ukraińskiego została zmarnowana. Niemożność porozumienia się obu narodów wyrządziła wiele zła i zostawiała trwałe ślady po obu stronach.¹¹⁷

Józef Łobodowski miał bardzo konkretną wizję relacji polsko-ukraińskich. Mówi o tym jego odpowiedź na ankietę „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”.

¹¹⁵ Ludmiła Siryk, *Naznaczony...*, s. 19-20.

¹¹⁶ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 75-81.

¹¹⁷ Ludmiła Siryk, *Naznaczony...*, s. 168.

Ankieta o stosunkach polsko-ukraińskich

Irena Szypowska: Na przełomie 1937 i 1938 [redakcja *Biuletynu Polsko-Ukraińskiego*] roku rozpisała ankietę zawierającą pytania: „Dokąd zmierzamy w stosunkach polsko-ukraińskich?” oraz „Jak rozwiązać zagadnienie polsko-ukraińskie?” 19 września 1937 *Biuletyn* zamieścił odpowiedź Łobodowskiego.¹¹⁸

Józef Łobodowski: Ostateczna odpowiedź wypadnie mniej więcej tak: jeśli Polacy (nie rząd, cały naród!) nie zrozumieją tej prostej prawdy, że losy Ukrainy i Polski historia spłotła w nierozzerwalny sposób (genialne powiedzenie Szewczenki: „Polska upadła i nas przygniotła” – można by z powodzeniem odwrócić) i pójdą na lep naiwnego pseudorealizmu endeków, przegramy po raz drugi nasze szansę na wschodzie Europy, jak już raz przegraliśmy w walce z rosnącym imperializmem moskiewskim i nie utrzymamy się nie tylko w Dublinie czy Ostrogu, ale i w Tarnopolu i Lwowie.¹¹⁹

Irena Szypowska: Łobodowski był pewny, że naród ukraiński chce należeć do kultury Zachodu i pomagając mu w tym, działamy na własną korzyść, natomiast

próbując mechanicznie podporządkować polskości – zaprzepaszczamy wszystkie szansę. Trzeba pracować nad tym, by animozje i konflikty ustępowały miejsca życzliwości, zrozumieniu, a przynajmniej tolerancji. Odpowiadała mu polityka Tadeusza Hołównki, współtwórcy BBWR (Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem). Miał wiele uznania dla Henryka Józewskiego, który realizował „testament Piłsudskiego i Petlury” i pełniąc w latach 1929-1938 urząd wojewody wołyńskiego prowadził do tego, aby każdy: Ukraińiec, Rosjanin, Żyd czy Polak, czuł się tam u siebie.

Jadwiga Sawicka: W publicystyce prezentuje poeta postawę pesymistyczną; na ankietę *Biuletynu Polsko-Ukraińskiego* „Dokąd zmierzamy w stosunkach polsko-ukraińskich?” odpowiada: „Od bezmyślności do katastrofy. Losy Ukrainy i Polski historia spłotła w nierozzerwalny sposób (genialne powiedzenie Szewczenki: «Polska upadła i was przygniotła» – można by z powodzeniem odwrócić): przegramy z Moskwą”. Powiedziane to było dwa lata przed wojną.¹²¹

1938

Ślub z Jadwigą Kuryłówną

Józef Zięba: Jadwiga Laura Zofia Kuryłówna panienka z dobrego domku, była sympatią Łobodowskiego jeszcze od czasów gimnazjalnych. To ona zapewne sprawiała, że z Warszawy i z Łucka ciągle wracał do Lublina. Jej rodzice początkowo niezbyt życzliwym okiem patrzyli na młodzieńca o fatalnej reputacji, któ-

ry ubiegał się o rękę ich córki. W końcu wyrazili zgodę i pierwszego marca 1938 roku w Katedrze lubelskiej, bez ogłoszenia zapowiedzi, odbył się ślub. „Religijny ten związek małżeński pobłogosławił ks. dr Stanisław Krynicki, wikariusz katedry lubelskiej” (*Z Księgi zaślubionych Katedry za rok 1938*, nr 34).¹²²

¹¹⁸ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 75-81.

¹¹⁹ Tamże.

¹²¹ Jadwiga Sawicka, *Wołyń poetycki w przestrzeni kresowej*, s. 188-189.

¹²² Józef Zięba, *Żywot...* (5), s. 4.

Pobyty na Wołyniu

Irena Szypowska: W kwietniowym numerze „Wołynia” ukazała się fraszka *Na pewną karierę* podpisana pseudonimem „Pszonka” (a więc tym, którym posługiwał się Łobodowski):

*Z każdego pieca facet jadł
(niekiedy z pieca w... kryminale),
Grał czasem w karty, czasem kradł,
z redakcji wylatywał stale...
Aż gdy go los na dobre zgnoił,
gdy nie udały się szantaże,
wykupił bilet... Wio!... na wschód!...
I jest na kresach dziennikarzem.*

Był rzeczywistym redaktorem „Wołynia – tygodnika społeczno-polityczno-gospodarczego”, choć oficjalnie nie mógł jeszcze występować w tej funkcji z powodu swej przeszłości. Dlatego nawet artykuły publicystyczne podpisywał pseudonimem.

„Żelaznemu wojewodzie” poświęcił trochę miejsca w swym notesie prowadzonym w 1982 roku. Zainspirował go zapewne tekst Józefowskiego zamieszczony wtedy w „Zeszytach Historycznych” pt. *Zamiast pamiętnika*. Łobodowski pisze:

Współpracowałem z nim lojalnie, do wewnętrznej polityki wojewody nie wtrącałem się. Można go było krytykować, ale nie można zapominać, że w większości wypadków miał ręce związane.

Trudności wyłaniały się z różnych stron. Przede wszystkim działała wroga Polsce propaganda sowiecka. Nie było też jedności w postępowaniu administracji. Nie wszyscy urzędnicy kresowi zachowywali się lojalnie wobec linii oficjalnej. Niektórzy, podpuszczeni przez tych, którym zależało na mąceniu, usiłowali „polonizować” Ukraińców. Łobodowski był świadkiem haniebnego rewindykacji byłych unickich cerkwi na Chełmszczyźnie i Podlasiu na rzecz Kościoła Katolickiego. W swoim „Wołyniu” zamieścił wtedy kilka okolicznościowych wierszyków, między innymi taki:

*Kaplice i cerkwie zburzyć po wsiach
kazał wielmożny starosta.*

*Na popy i diaki błady padł strach
lament na wszystkich pohostach.*

*I baby zawodzą, wtóruje im bas
spikerów w Kijowie i Mińsku,*

*Najnowsza edycja Reymonta dla mas
tym razem po ukraińsku.*

(Na Ziemi Chełmskiej)

Marszałek Śmigły-Rydz zakazał tej akcji, ale zanim to zrobił, niepotrzebnie zaogniły się stosunki między wojewodą-ukrainofilem a częścią administracji i możliwość porozumienia polsko-ukraińskiego znów się oddaliła.

Wspomnienie o Józefowskim

Józef Łobodowski: Był trudny w życiu, arbitralny, trudno znoszący sprzeciw. Ratował go zmysł humoru. Któregoś dnia poinformowałem go, że muszę wyjechać na parę dni do Lublina: „Ale niech pan wróci na poniedziałkowe posiedzenie Komitetu Redakcyjnego. Są ważne sprawy do omówienia”. Obiecałem solennie, że przyjdę na czas. Pociąg przyszedł pół godziny przed

wyznaczonym zebraniem. Ale akurat nastąpiła odwilż, śnieg stopniał, drożkarze nie zdążyli zmienić płóz na koła. Ostatni odcinek stanowiły kocie łby i sanie niesłuchanie skakały. Więc przyjechałem na zebranie z niewielkim opóźnieniem. W przedpokojach oddaje służącej palto i tuż przed przekroczeniem progu słyszę niezadowolony głos Józefowskiego: „A Łobodowski, świnia,

obiecał, że przyjedzie, a nie przyjechał!” Powiadam: „Łobodowski przyjechał, tylko w konsekwencji odwilży z lekkim opóźnieniem. Czy pan minister nie sądzi, że należałoby staropolskim zwyczajem wleźć pod stół i odszczekać?” Józefowski poczerwieniał, za-

padło przykre milczenie. Ale zaraz mu przeszło. Roześmiał się, wsadził głowę pod stół i zawołał: „Hau, hau, no co, już pan zadowolony?” Zebrani odetchnęli. Któryś z nich mi powiedział nieco później: „Ale się panu udało. Myślałem, że Józefowski pana zabije”.

Twórczość Łobodowskiego z okresu pobytu na Wołyniu

Irena Szypowska: Łobodowski w tym czasie dużo pracował. W „Wołyniu”, „Myśli Polskiej”, „Kurierze Porannym” i w „Biuletynie Polsko-Ukraińskim” drukował przekłady Tarasa Szewczenki, Olega Ożycza, Jewhena Małaniuka i poetki Natalii Liwyckiej-Chołodnej.

Pisał także własne poematy o Ukrainie, pejzażu i dziejach jej synów: kozackich wojowników i polskich poetów. Młodą żonę chciał zarazić miłością do Wołynia. Pisał w wierszu *Zamiast inwokacji*:

*Powróćmy do zielonych lasów, miła moja, młoda
kołysani rytmem białych siół –
jeszcze zmierzch się rozwlecz na rozlanych wodach,
żrebiec zarży, wybiegnie,
dotknie ręki mokrą wargą włochatą,
i napłynie ci kraj do ramion
zbóż zapachem, brzękiem pszczoł,
i że twój jest,
pokochasz go za to.*

Wołyń związał mu się z Ukrainą, poznaną podczas tułaczki wojennej i skrytalizował w jedną mityczną ojczyznę, przeżywaną przez pryzmat romantycz-

nej poezji. Z tego okresu pochodzą wiersze o Krzemieńcu, o Juliuszu Słowackim, o pani Salomei:

*Suchy szelest jedwabiu w staroświeckich skrzyniach,
smukłe dłonie na sukni i lekkość niezwykła,
jakby tylko w przejeździe na drogach Wołynia
u jej stóp siną wstążką związała się Ikwa;
i kwiaty zasuszone na żółtych literach,
gdy je pisał wśród obcych, bardzo tęsknić musiał,
pewnie ujrzał, jak oczy zdumione przeciera
srebrnym snem nawiedzona i drżąca Salusia.*

*Tchną zatrutą słodyczą azaliowe gaje,
po deszczu cały ogród świeżością odurza,
drzewo biegnie ku drzewu, ramiona podaje,
a zmierzch po winogradach, po szlamowych różach
spływa ku sinym klombom i zwolna się kładzie na rzęsach,
na robótce, na kwiatowych wieńcach;*

Kalendarium życia Józefa Łobodowskiego

*to obłok wędrujący z dalekiej Arkadii
zatrzymał się nad ciszą białego Krzemieńca.
[...]*

Łobodowski uważał, że polska poezja nie wykorzystała dorobku romantyków w takim stopniu, w jakim mogłaby to zrobić (*Nawiązujemy do romantyzmu*, „Wołyń” 1938 nr 4). Jemu stała się bliska, bo dominuje w niej człowiek szczególnie i odmienny, nie roztopiony w tłumie, przeżywający stany upojenia i namietności, prowadzące aż do zatracenia. Pragnie on na próżno realizować swe przeznaczenie w warunkach, których sobie nie wybierał.

Bliskie było młodemu poecie zakorzenienie jednostki w historii, sprawiające, że dzieje narodu czy ludzkości znajdują swój wyraz w działaniu poje-

dynczego człowieka. Pociągał go dynamizm romantyczny i żywiołowy pęd do mityzacji świata i epoki. Sądził, że narodziny nowoczesnego eposu „nie są sprawą nadto od nas oddaloną” (to przeświadczenie skłoniło go zapewne do tłumaczenia narodowej epopei gruzińskiej *Szoty Rustawelego*). Za jedyne kontynuatora tradycji romantycznych uznawał Łobodowski Stanisława Wyspiańskiego. *Nota bene* sam spróbował sił pisząc dramat w pięciu aktach zatytułowany także *Wyzwolenie*. Jego akcja toczy się „w Polsce prowincjonalnej w 1939 roku” (tekst w Muzeum im. Czechowicza w Lublinie).¹²³

Józefa Łobodowskiego koncepcja kultury kresowej

Jadwiga Sawicka: Łobodowski miał określoną koncepcję kultury kresowej, formułował ją poetycko i w języku dyskursu. Poeta uważał, że istnieje taka odrębna kultura, i że dobrze się ona Polsce przysłużyła. Dla kultury ukraińskiej żądał samodzielności, uważnie obserwował jej współczesne osiągnięcia. Dopominał się konsekwentnie o „swobodę rozwoju kulturalnego” dla Ukraińców. „Nie wolno – pisał w 1938 roku – nic narzucać Ukraińcom”, trzeba „dopomóc kulturze ukraińskiej do samookreślenia się w granicach zachodnioeuropejskich” (*O swobodę rozwoju kulturalnego*, „Wołyń” 1938, nr 13). „Wschodem jest imperializm moskiewski, nie Ukraina i kraje kaukaskie” (*Rozdroża kulturalne*, tamże, nr 2).

Kresowa kultura żywi się właściwie odrębnymi treściami, korzystając z elementów ukraińskich. Kresy wschodnie „brały kiedyś udział w tworzeniu kultury polskiej”. Skrzyżowanie dwóch narodów zawsze jest kulturalnie płodne. Poeta są-

dził, że współczesnej Polsce brak energii kulturotwórczej, dlatego jej kultura stała się nieatrakcyjna (to samo twierdził Jerzy Stempowski). Kultura kresowa apogeum osiągnęła w XIX wieku.

Żyły wtedy jeszcze na ziemiach kresowych tradycje ukraińskie, nie wyłącznie polskie [...] Kaniów i Humań Goszczyńskiego i Zaleskiego, podolski step Malczewskiego, Krzemieniec Słowackiego – to były wszystko wartości realne [...] I dlatego Słowacki mógł pisać o „Matce Ukrainie” [...] nie przestając być najprawdziwszym Polakiem swego czasu. (*Na łamach kultury*, „Wołyń” 1937, nr 2).

Łobodowski pisze, łącząc głos własny i Słowackiego: „Dawna ojczyzna nasza, matko Ukraino, Ukrzyżowana i w strzępy rozdarta.” (*Testament mój*)

W *Testamencie* poeta mianuje siebie strażnikiem upragnionej zgody między narodami. Łobodowski, nawiązując do tradycji szkoły ukraińskiej sfunkcjonalizował tę tradycję tak, aby przy jej pomocy rozwiązywać współczesne problemy. *Testament* mówi o możliwości powrotu

¹²³ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 75-81.

do przeszłości i możliwości odrobienia win. Teksty Słowackiego mają dla poety znaczenie szczególne. Łobodowski podjął przewijający się przez literaturę wątek Wernyhory; lirnik ukraiński,

obecny trwale w poezji polskiej (Por. S. Makowski, *Wernyhora – przepowiednie i legenda*, Warszawa 1995), tu jakby wyraża myśl, że zgoda między narodami jest jeszcze możliwa.

Powrót do Warszawy

Irena Szypowska: Pobyt w Łucku skończył się wiosną 1938 roku, kiedy wojewoda Józewski został pozbawiony urzędu za swój filoukrainizm. Łobodowski poświęcił zwierzchnikowi wiersz *Wiosna zdradzona*. Uważał, że wojewoda wołyński pozostał wierny aż do końca wiosny 1920 roku, tej wiosny, gdy komendant Piłsudski i hetman Petlura inicjowali przyjazne współzycie obu wolnych narodów. Wiersz kończą strofy:

*A na mrocznej podolskiej stacji
cień Marszałka i cień Hetmana
raz do roku zjawiają się razem na czele rot...
Drży powietrze przesycone wonią
młodych zbóż i rozkwitłych akacji
Suchy szelest jedwabiu w staroświeckich
skrzyniach [...]*

[ciąg dalszy – zob. wyżej: „Twórczość Łobodowskiego z okresu pobytu na Wołyniu”]

*[...] i po sinych, okólnych kurhanach
urwany przetacza się grzmot.
I umiera wiosna zdradzona,
zagubiona w kłótniach i przetargach,
i konając, przystaje w strzemionach,
szuka wzrokiem zagubionych met...
Ale niebem ciemne chmury płyną,
cichnie w mroku rozżalona warga,
tylko wichler gra nad Ukrainą,
jak zakłęty, czarodziejski flet.
(Wiosna zdradzona)*

Z Łucka Łobodowscy przenieśli się do Warszawy. Od czerwca 1938 wynajmowali pokój w Alejach Ujazdowskich, a od grudnia obszerną kawalerkę przy

Litewskiej 10. Było to możliwe dzięki nagrodzie PAL wynoszącej dwa tysiące złotych. Starczyło jeszcze na platynowy pierścionek z brylantem dla pani Jadwigi (niestety, zastawiony w lombardzie i już nie wykupiony). Źródłem utrzymania, poza honorariami, była praca w Polskim Radio, polegająca na tym, że co drugi tydzień (na zmianę z innym literatem) trzeba było kontrolować nadawane audycje. Wymagało to uwagi, oceniano bowiem punktualność, sens i język wszystkich kolejnych programów. Żona wydatnie w tym pomagała.

W życiu Łobodowskiego następową stabilizacją. Wszystko zaczynało się pomyślnie układać. Zbliżał się do trzydziestki, zdobył pozycję pozwalającą spokojnie patrzeć w przyszłość, stworzył dom, miał przy sobie kochającą, oddaną i mądrą kobietę. W kraju od kilku lat, dokładnie, od 1934 roku, gdy nastąpiło korzystne przesilenie, widać było oznaki ożywienia i poprawę stanu materialnego społeczeństwa. A jednak wiersze Łobodowskiego i jego rówieśników: Czesława Miłosza, Jerzego Zagórskiego, Aleksandra Rymkiewicza, Józefa Czechowicza, Władysława Sebyły przenikała katastroficzna wizja przyszłości. Mocno osadzeni w życiu i w historii przewidywali i odczuwali tragizm tego, co miało nastąpić.¹²⁵

Józef Zięba: Pod koniec 1938 roku [Łobodowscy] przenieśli się do Warszawy i wynajęli niewielkie mieszkanie przy ul. Litewskiej. We wspomnieniach żony (nagranie archiwalne w Muzeum Czechowicza) Łobodowski był bardzo dobrym i troskliwym mężem. Utem-

¹²⁵ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 75-81.

Kalendarium życia Józefa Łobodowskiego

perował swój nieujarzmiony charakter. Unikał dawnych, nie stroniących od

mocniejszych trunków, przyjaciół. Do domu nigdy nie wracał pijany.¹²⁶

Sprawa ukraińska

Józef Zięba: Zbliżył się w tym czasie do kół „wschodoznawczych” i do klubu „Prometeusz”. Nawiązał ścisłą współpracę z *Biuletynem polsko-ukraińskim* i dwutygodnikiem „Myśl Polska”. „Prometeusz” skupiał emigrantów rosyjskich, ukraińskich, gruzińskich i innych narodowości z Kaukazu i z basenu Morza Kaspijskiego. Poznał tam poetę ukraińskiego Jewhena Malaniuka, poetkę Natalę Liwycką-Chołodną Tłu-

maczył ich wiersze. Przy współudziale poznanych Gruzinów podjął próbę tłumaczenia narodowej epopei gruzińskiej Szoty Rustawelego *Wapchis Tkaosami*. Utrzymywał się z pióra i skromnej pensji kontrolera programów Polskiego Radia. W tej żmudnej pracy, wymagającej wielogodzinnego ślęczenia przy odbiorniku radiowym, wyręczała go żona, a on tylko przepisywał jej uwagi i sprawozdania.¹²⁷

1939

Katastrofizm

Rok 1939 zaczął się dla poety pełen złych przeczuć. Dał temu wyraz w jednym ze swoich wierszy *Noc nad Warszawą*.

Irena Szypowska: Na początku 1939 roku ogłosił Józef Łobodowski w „Ska-mandrze” przejmujący wiersz *Noc nad Warszawą*. Oto fragmenty:

*Pustka się rozwarła,
przerażeniem śmiertelnym napływa do gardła,
obsiadła wszystkie drogi, zaludniła miasta.
I w tej pustce pieśń nasza nad mrokiem wyrasta,
niesłyszana, żałobna, widnieje z daleka,
jak dłoń zasypanego w zawiei człowieka.*

*Biją pod senną ziemią niespokojne tętna,
mgły północnej jesieni klębią się w kotlinie, widzimy:*

*mroczny jeździec pośród nocy stąpa,
koń zziązany i czarny mętłą wodę pije,
ptactwo się budzi, trwożnie wyciągając szyje,
ludzkie tupoty słyszać,
a ziemia nieskapa na krew,
nasienia czeka.¹²⁸*

¹²⁶ Józef Zięba, *Żywot*

(5)..., s. 4.

¹²⁷ Tamże.

¹²⁸ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 75-81.

Napisał równie proroczy artykuł o tym, co może się wkrótce stać.

Paweł Libera: Musiał stosunkowo do-

brze orientować się w meandrach polityki zagranicznej skoro w kwietniu 1939 napisał dla „Wiadomości Literackich” ar-

tykuł przewidujący uderzenie ze wschodu w wypadku wybuchu wojny z III Rzeszą.

Tekst został skonfiskowany przez cenzurę z powodu nawoływania do paniki.¹²⁹

Pobyt na Rusi Zakarpackiej

W pierwszej połowie 1939 roku Łobodowski przebywał jakiś czas ze specjalną misją na Rusi Zakarpackiej.

Paweł Libera: [Na Ruś Zakarpacką] wyprawił się w 1939 roku tuż po akcji dywersyjnej „Łom”. Odbłyło się to w kwietniu lub maju i zostało zorganizowane najprawdopodobniej na polecenie Oddziału II Sztabu Generalnego w celu „zebrania materiałów na miejscu

i napisania broszury antyniemieckiej przeznaczonej dla Ukraińców.¹³⁰

Józefa Łobodowski: Po powrocie do Warszawy naglono mnie bardzo o tę broszurę po dziesięciu dniach złożyłem ją odpowiednim czynnikom. Z tym wszystkim, mimo że działo się to w początkach czerwca, broszura już się przed wojną nie ukazała.¹³¹

Ostatnie spotkanie z Zuzanną Ginczanką

Józef Łobodowski: Po raz ostatni widziałem ją w czerwcu albo w lipcu 1939 roku. Spotkanie było najzupełniej przypadkowe na warszawskim Nowym Świecie. Nic nas już wtedy nie łączyło, oprócz wspomnień i niewiele mieliśmy sobie do powiedzenia, więc i tym razem rozmowa była krótka. Jakby tknięty przezcuciem, zapytałem, jakie ma zamiary na wypadek wybuchu wojny. Mało kto miał pod tym względem wątpliwości i złudzenia. [...]

Odpowiedziała na moje pytanie, że zamierza wrócić do Równego i przejechać wojnę przy boku babci. A ja bez namysłu: „Radzę ci wyjechać do Hiszpanii. Wojna domowa już się skończyła. Odszukasz matkę, pomoże ci urządzić się.” – „Nie, ja już wolę zostać razem z babcią!”

Irena Szypowska: Nie posłuchała go, tak jak nie posłuchała matki, która w rozpaczliwych listach (o czym nie wspomniała swemu przyjacielowi) wzywała ją do siebie.

Wakacje spędziła w Równem, ale wkrótce przeniosła się do Lwowa. Wyjechała za męża za Michała Weinziehera, krytyka sztuki, starszego od niej o sie-

demnaście lat. Obracali się w kręgu literatów i malarzy współpracujących z „Czerwonym Sztandarem” i „Nowymi Widnokręgami” akceptującymi politykę ZSRR wobec Polski. Tłumaczyła wtedy poezje Włodzimierza Majakowskiego, Pawła Tyczyńskiego i Paula Verlaine’a. W 1942 roku, gdy Niemcy byli już we Lwowie, wyjechała stamtąd i odtąd ukrywała się w okolicach Krakowa bądź w samym mieście. Przy jej wyrażnie semickim typie urody było to bardzo trudne i wpływało niszcząco na psychikę. Prawdopodobnie ktoś ją wydał, bo została aresztowana i rozstrzelana w Płaszowie w końcu 1944 roku, a więc pod koniec wojny.

Irena Szypowska:

Czy rosną jakieś kwiaty na bezimiennym grobie Zuzanny, rozstrzelanej tylko dlatego, że należała do rasy hebrajskiej? Nie uczyniono dla niej, dla jej młodości, urody i poezji żadnego wyjątku. Niekiedy zastanawiam się, o czym mógł myśleć, jeśli w ogóle myśleć był w stanie, ów germański knecht, gdy wpakował kilka kul z rozpylaczem w piękne ciało Zuzanny? Czy była dla niego tylko Żydówką, którą z racji jej pochodzenia należało zlikwidować, czy żywym człowiekiem, którego jedyną winą była rasa, skazana na zgubę? Czy jej

¹²⁹ Paweł Libera, *Aresztowanie i „paryski okres” w życiu Józefa Łobodowskiego w 1940 r.*, w: „Zeszyty Historyczne” nr 165, 2007.

¹³⁰ Tamże, s. 210.

¹³¹ Józef Łobodowski, *Ze wspomnień ukrainofila. W Polsce niepodległej*, „Wiadomości” nr 13 (52), 1947.

morderca żyje jeszcze i czy zdaje sobie sprawę z tego, co uczynił.

– pyta Łobodowski w szkicu zamieszczonym w tomie wierszy poświęconych „pamięci Sulamity”.

Do tradycji hebrajskiej sięgnął, by na *Pieśń nad pieśniami* wystylizować hołd złożony młodej Żydówce – polskiej poetce wielbionej pieśnią króla Salomona. Pod warstwą parafrazowanych metafor, krystalizuje się postać mło-

dej kobiety, której posąg wznosi autor po czterdziestu latach od jej tragicznej śmierci. Z ciała ukochanej, tak pamiętnego, został tylko proch, on jest starym człowiekiem. Jego ostatnie wiersze miłosne ukazują w dawnej świetności późniejszą nędzę. Jest to erotyka naznaczona śmiercią. A jednak zwycięża w niej życie, piękno i miłość przez śmierć i starość uwydatnione z całą mocą.¹³²

Początek wojny

Józef Łobodowski: Dwudziestego siódmego dostałem wezwanie mobilizacyjne. Nie było mnie w domu, przychodzę po południu i stróż, warszawski cieć daje mi wezwanie. Załatwiłem sobie jeszcze parę telefonów, wsiałem w dorożkę i pojechałem do cytadeli. [...] Naszło się ludzi, wszystko w cywilu, nieumundurowani.. Nic nie ma, kotła nie ma, można iść do restauracji. I tak mija dwudziesty ósmy, dwudziesty dziewiąty, trzydziesty, trzydziesty pierwszy. Zadzwoiłem do żony, że tu jestem. [...]

Pierwszego rano zaraz eksplozje bomb. Wszyscy na plac, kupa mundurów, batów, owijaczy, bielizny – każdy sobie wybiera na olaboga. Ubraliśmy się i do magazynów po broń. Karabiny dostajemy bez pasów, amunicję – tak i zwykłą i przeciwpancerną, granatów – nie, broni maszynowej – nie, hełmów – nie. Maski gazowe, chlebaki, a cała reszta gdzie? „Dalej, tam gdzie pójdziecie” – „A... gdzie pójdziemy?” – „Nie wiadomo”. Późnym wieczorem pierwszego idziemy na Dworzec Gdański.¹³³

Józef Zięba: Okazało się, że pułk, zapasowy, do którego został poeta wcielony miał wzmocnić oddziały KOP na granicy słowackiej. Wyszli w Krakowie i przez „Bochnię, piechotę, kierowali się w stronę Wiśnicz, który był broniony przez Dziesiątą Brygadę Pancerną – Motorową pułkownika Maczka.”¹³⁴

Józef Łobodowski: Widać niemieckie samoloty, jak krążą nad Wiśniczem, rwą się dokoła nich obłoczki z pelotek... Mnie tymczasem w ciągu tych czterech dni mianowano demokratycznie kapralem. Kapral, który dowodził drużyną, powiada: „Ty najwięcej gadasz tutaj, to ty bądź, ja nie chcę”. Mówię do moich chłopaków: „Ja już mam dosyć tej harcerskiej wycieczki, jeżeli się tam dziesiąty pułk broni, to widocznie ma dowództwo, i broń – zresztą słychać. Wy jak chcecie, ja występuję trzy kroki.” Cała drużyna poszła za mną, sąsiednia drużyna także, pluton.¹³⁵

Józef Zięba: W taki sposób poeta znalazł się pod dowództwem pułkownika Maczka. Szli przez Łańcut, Lwów, Przemyślany. Po otrzymaniu wiadomości o wkroczeniu w granice Polski wojsk radzieckich dotarli do Tatarowa i przekroczyli granicę węgierską. Tu, wraz z kolegami z jednostki, został rozbrojony i internowany; najpierw w obozie Topolce, a Nagy Kanizsa i Marakeresztuz, skąd przedostał się do Francji. 10 listopada 1939 roku był już w Paryżu. Nawiązał kontakt z przybyłymi wcześniej poetami: Kazimierzem Wierzyńskim i Janem Lechoniem. Zaczął publikować wiersze powstałe pod wpływem przeżytej klęski w wychodzących w Paryżu polskich czasopi-
mach.¹³⁶

¹³² Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 65, 68.

¹³³ Rozmowa z Józefem Łobodowskim, rozmawia Irena Szypowska, „Poezja” nr 6, 1988, s. 24.

¹³⁴ Józef Zięba, *Żywot* (5), s. 4.

¹³⁵ Rozmowa z Józefem Łobodowskim...

¹³⁶ Józef Zięba, *Żywot* (5)..., s. 4.



Żydówki na ul. Zamkowej
ok. 1935 rok. Ze zbiorów
Samorządowej Fototeki
Konservatorskiej.



Ruiny Gmachu Zarządu
Miejskiego, 1939. Fotograf
nieznany. Zdjęcie z albu-
mu *Zniszczenia w Lublinie
na skutek bombardowania
przez Niemców 9 IX. 1939
roku*. Album w zasobach
Wydziału Budownictwa
i Architektury Urzędu Mia-
sta Lublin

Wrzesień 1939 – walki pod Wiśniczem, Łańcutem, Bolechowem

19 września 1939 – przemieszczenie wraz z wojskami gen. Maczka przez Węgry na Zachód

Listopad 1939 – przedarcie do Francji; 10 listopada – Paryż

Luty 1940 – areszt i transport do obozu więźniów w Notre Dame de Liwron nad Tuluzą; później pobyt w obozie dla zdemobilizowanych żołnierzy polskich w Saulus

Sierpień 1941 – uwolnienie z więzienia i nieudana próba przedarcia się przez Hiszpanię i Portugalię do Anglii, do wojska polskiego – w Hiszpanii ponownie trafił do więzienia: do lutego 1943 przebywał w obozie w Figueras (tam nauczył się hiszpańskiego).

Po wojnie pozostał już w Hiszpanii do końca życia

Ruiny kina „Corso” ok. 1945 roku. Z lewej widoczny róg kamienicy, w której mieszkał Józef Łobodowski z matką i siostrą. Fot. Stanisław Radzki. Ze zbiorów Stanisława Radzkiego.



Wojna 1940-1945

Józef Zięba: W lutym 1940 roku został przez policję, francuską, aresztowany i osadzony w więzieniu. Według Ireny Szypowskiej („Poezja” 1988, nr 6, s. 15) powodem aresztowania Łobodowskiego było znalezienie przy nim ulotek pisanych w języku ukraińskim, a przeznaczonych do rzucenia nad Polską. Wydaje się, że wersję tę przekazał jej sam poeta w czasie przeprowadzonej z nim rozmowy w 1985 roku. Natomiast według relacji Henryka Lipko (nagranie archiwalne w Muzeum J. Czechowicza), przyczyna aresztowania była nieco inna.

Pan Lipko był w czasie wojny we Francji i spotkał się z Łobodowskim na jego wieczorze autorskim w Grenoble. Według powszechnie powtarzanej tam wersji, poeta po nieco bardziej zakrapianej czerwonym winem kolacji, wracał do swojej kwatery, ale nie znając jeszcze dobrze miasta, zablądził. Chcąc się upewnić, gdzie się znajduje, zapalił zapalniczkę, by odczytać nazwę ulicy. Obowiązywało już wówczas zaciemnianie miasta. Przechodzący policjant aresztował go za łamanie przepisów. W kręgach emigracyjnego rządu Łobodowski miał jeszcze opinię komunisty, więc nie spieszo się z interwencją, aby go uwolnić. W ten sposób przesiedział w więzieniu do września. Po uwolnieniu znalazł się w obozie demobilizujących się wojskowych polskich w Notre Dame de Livron w okolicach Tuluzy. Tam wydawał czasopismo „Wrócimy”.

Z tego obozu przyjechał do Grenoble na wspomniany przez p. Lipko wieczór autorski. Przywiózł ze sobą tomik *Z dymem pożarów* wydany w oficynie Tyszkiewiczów. Podobno większość zamieszczonych tam wierszy miała po-

wstać w więzieniu. Byłby to więc okres niezupełnie stracony.

Egzemplarze tego tomu były sprzedawane na wieczorze autorskim po pięćdziesiąt franków, a uzyskane stąd pieniądze miały być przeznaczone na planowaną przez poetę przeprawę przez Pireneje, Hiszpanię, Portugalię, do wojska polskiego w Anglii. Niestety, wyprawa zakończyła się niepowodzeniem. Wraz z towarzyszem został zatrzymany przez policję hiszpańską i osadzony w obozie w Figueras. W więzieniu przebywał do lutego 1943 roku.¹³⁷

Józef Łobodowski: Pierwsze kilka miesięcy pobytu w więzieniu hiszpańskim w Figueras było dość nieprzyjemne z racji ciasnoty, robactwa, braku bielizny i podłego jedzenia. W połowie zimy poprawiło się, ale jesień dała się nam dobrze we znaki. Nam, to znaczy mnie i Zbigniewowi Kubińskiemu, młodemu zakopiańczykowi, który poszedł wraz ze mną do Hiszpanii, żeby się nie dać, trzeba było uprawiać ostrą gimnastykę duchową i zabijać głód i zimno ciągłym wysiłkiem psychicznym. Kubiński uczył się więc po całych dniach obcych języków – ja smarowałem wiersze.¹³⁸

Ludmiła Siryk: W lutym 1940 roku został aresztowany [w Paryżu] i odstawiony do obozu więźniów w Notre Dame de Liwron nad Tuluzą. Następnie został przeniesiony do obozu dla zdemobilizowanych żołnierzy polskich w Saulus koło Montpellier. Kiedy wyszedł z więzienia w sierpniu 1941 roku, przedostał się do Hiszpanii z zamiarem dostania się stąd, przez Portugalię, do wojska polskiego w Anglii. Ale po drodze znowu trafił do więzienia, tym razem hiszpańskiego. Do lutego 1943 roku Łobodowski był więźniem obozu w Figueras, gdzie nauczył

¹³⁷ Tamże.

¹³⁸ Za: Józef Zięba, *Żywot* (5), „Relacje” nr 7, 1989, s. 4.

Kalendarium życia Józefa Łobodowskiego

¹³⁹ Ludmiła Siryk,
Naznaczony..., s. 21.

się języka hiszpańskiego. Po uwolnieniu „sympatyk polityki generała Franco”, jak nazywa go Irena Szypowska, na zawsze pozostał w Hiszpanii. Jadwiga

Ostrowska z Madrytu wspomina: „Gdyby chciał zdobyć obywatelstwo, miałby lepsze warunki. On jednak powiedział, że tego nigdy nie zrobi.”¹³⁹

Ulica Staszica 8, kamienica,
w której mieszkał Józef Łobodowski z matką i siostrą.
Fot. archiwum TNN.



Adam Tomanek – Historia Mówiona

Adam Tomanek: Józef Łobodowski był rodzonym bratem mojej matki, Władysławy Łobodowskiej, urodzonej w 1905 roku. W Lublinie mieszkała przyrodnia siostra mojej babci Stefanii, pani Dziewicka. Ona miała taki hotel prywatny przy ulicy Staszica i jeden pokój z tego hotelu dała siostrze – Stefanii Łobodowskiej, która zamieszkała tam razem z Józefem Łobodowskim i Władysławą Łobodowską. To był róg Staszica i Radziwiłłowskiej. Bodajże na pierwszym piętrze mieszkali.

Potem jak moja matka, czyli jego siostra, wyszła za mąż za Eugeniusza Tomanka – dyrektora działu osobowego poczty – dyrekcji Poczty i Telegrafów w Lublinie, to mąż Władysławy Łobodowskiej, mój ojciec Eugeniusz, kupił mieszkanie od Żyda przy ulicy Chopina 16 na pierwszym piętrze u Melzaka. Wówczas zetknąłem się z Łobodowskim, w latach trzydziestych, mając lat cztery lub pięć. Łobodowski mieszkał wówczas na Staszica, u babci. Później mieszkał przy redakcji gazety lubelskiej „Kuriera Lubelskiego”. Mieściła się redakcja przy ulicy Krakowskie Przedmieście. To tam na pierwszym piętrze była

redakcja gazety i on tam przy redakcji mieszkał będąc kawalerem. Najwięcej stykałem się z wujkiem, który często przychodził na Chopina 16 mieszkania 5. Przychodził tu, często nocował też u nas. Ubierał się skromnie, normalnie, nie miał jakiegś tam ekstrawagancji. Nie wyróżniał się ubiorem. Pogadał ze mną, pożartował i poszedł. Bardzo grzeczny był, bardzo przyjemny, hojny – często mi jakieś łakocie kupował, jakieś w miarę możliwości prezenciki dawał.

Pamiętam rewizję przeprowadzoną przez Niemców i wszystko to zabrali, wszystko zabrali. Widocznie, jako antykomunista – on przecież tam na Zachodzie w swoich publicystycznych pracach i w audycjach radiowych krytykował przecież zarówno faszystów, jak i z jednej strony tak i drugiej strony. Także była rewizja i wszystkie te rękopisy zabrali. Nawet potem literaci przychodzili do matki i mówili: „Czy Pani coś ma? Jakież pamiątki po Łobodowskim?”, mówi: „Mam takie czy inne, może zdjęcie, ale jeśli chodzi o rękopisy to wszystko ci, co przeprowadzali rewizje zabrali.”

Rozmowa z Adamem Tomankiem, 22 września 2008. Nagrywał: Marek Nawratowicz. Archiwum TNN. Całość relacji dostępna na stronie www.historiamowiona.tnn.pl.

Do końca lat 80. z powodów politycznych nie mógł wrócić do Polski: w czasie wojny był na liście komunistów i groziła mu kara śmierci z rąk Niemców; po wojnie był na liście antykomunistów, przeciwników i wrogów Polski Ludowej.

1939-1988 – działalność translatorska – poezja: przedrewolucyjna klasyka poezji ukraińskiej XIX i pocz. XX wieku, „rozstrzelane odrodzenie”, poezja Ukrainy radzieckiej i zakazana na Ukrainie radzieckiej „szistdesiatnyki” i „samwydaw”), poezja emigracyjna, proza, krytyka literacka, artykuły publicystyczno-naukowe, przekłady poezji hiszpańskiej)

– podróże do Włoch, Szwajcarii, Francji, Anglii

1941 – tom *Z dymem pożarów* (Nicea)

1945 – *Por nuestra libertad y vuestra* (Madryt)

1946 – *Literaturas eslavas* (Madryt)

1947 – tom *Modlitwa na wojnę* (Londyn)

1947 – poemat *Światosławowi Horodyńskiemu*

1948-1975 – redaktor „Polskiej Audycji” w „Radiu Mary”

– utrzymanie tylko z pracy twórczej – współpraca z Polskim Instytutem Literackim, z prasą emigracyjną wydawaną w Paryżu: „Kultura” i „Zeszyty Historyczne”, z pismami wydawanymi w Londynie: „Wiadomości”, „Orzeł biały”, „Tydzień Polski” (rubryka prowadzona pod pseudonimem Szperacz), „Dziennik Polski”, „Dziennik Żołnierza”

– mieszkanie w hotelu (brak własnego)

1954 – tom *Uczta zadżumionych* (Paryż)

1954 – *Złota Hramota* (Paryż) – książka złożona z 36 utworów powstających od lat 30. – m.in. z poematów poetyckich: *Dumy wołyńskie*, *Noc na Wołyniu*, *Sen nocy wołyńskiej*, *Polesie*,

Kisielin, *Ziemia cmentarna*, *Hulaj-Pole*, *Duma o atamanie Petlurze*, *Wrota Kijowskie* – wszystkie utwory podzielone na cykle przyświecają idej porozumienia polsko-ukraińskiego

1955-1970 – proza o tematyce lubelskiej i ukraińskiej (Londyn) – trylogia: *Komysze* (1955), *W stani-cy* (1958), *Droga powrotna* (1961) i tetralogia *Dzieje Józefa Zakrzewskiego: Czerwona wiosna* (1965), *Terminatorzy rewolucji* (1966), *Nożyce Dalili*, (1968) i *Rzeka graniczna* (1970).

1959 – *Pieśń o Ukrainie* (Paryż)

1961 – tom *Kaskady i gązde* (Londyn)

1969 – tom *Jarżmo kaudyryskie* (Londyn)

1972 – tom *W połowie wędrówki* (Londyn)

Jesień 1977 – pobyt w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych

1984 – tom *Dwie książki* (Paryż)

1984 – poemat *Tryptyk o zamordowanym Kościele* – cykl religijno-cerkiewny złożony z trzech części: *Święty Andrzej u Scytów*, *Metropolita Szeptycki*, *Halickiemu władcy*

1987 – tom *Mare Nostrum* (Brooklyn)

1987 – tom *Pamięci Sulamity* poświęcony pamięci pierwszej miłości autora (Toronto)

1987 – tom *Rachunek sumienia* (Paryż)

1988 – tom *Dytyramby patetyczne* (Londyn)

18 kwietnia 1988 – śmierć poety w Madrycie – ciało zgodnie z wolą twórcy poddano kremacji; po kilku miesiącach zostało przewiezione do Lublina przez Andrzeja Paluchowskiego, dyrektora biblioteki głównej KUL.

Październik 1988 – ceremonia pogrzebowa w kościele KUL w Lublinie, prochy Józefa Łobodowskiego złożono na cmentarzu przy ul. Lipowej w Lublinie, w grobie matki i dziadka

Okres powojenny – emigracja 1945-1988

Życie i praca na emigracji

Józef Zięba: Po uwolnieniu osiadł poeta w Madrycie. Nie wiadomo, co skłaniało go po zakończeniu wojny do pozostawania w Hiszpanii, gdzie nie było początkowo ani silnego ośrodka życia emigracji polskiej, ani czasopism, w których mógłby publikować własne utwory. Zaczął pisać w języku hiszpańskim. W 1945 roku wydał książkę *Por nuestra libertad y vuestra*, a w roku następnym *Literatueras esclavas*. Dopiero w 1947 roku ukazał się w Londynie tom jego wierszy *Modlitwa na wojnę*. Większość zamieszczonych w tym tomie utworów powstała podczas pobytu w hiszpańskim więzieniu.¹⁴⁰

Józef Łobodowski: Szukając więc w owym okresie możliwości wyładowania temperamentu dziennikarskiego, zacząłem układać długie poematy, dla których punktem wyjścia było zawsze konkretne wydarzenie lub zjawisko polityczne [...]. Tak więc dziennikarz, pozbawiony swego warsztatu pracy, ratował się od śmierci z nudów przy pomocy środków udzielonych mu przez poetę.¹⁴¹

Józef Zięba: Wkrótce po zakończeniu wojny zaczęli napływać do Madrytu zdemobilizowani żołnierze z armii Andersa, Otrzymywali stypendia na kontynuowanie studiów. Około stuosobowa grupa zaczęła kształtować środowisko emigracji. Z ich inicjatywy rozpoczęła w 1949 roku pracę polska rozgłośnia Radia Madryt.

Józef Łobodowski był współorganizatorem programów tej rozgłośni i często występował na jej antenie. Wpłynęło to na zakaz publikacji w kraju jego utworów. Odpowiedzialnością za tę działalność obarczono, ówczesnym

zwyczajem, żonę poety, która pracowała w lubelskim szkolnictwie. Wezwano ją do Kuratorium i postawiono ultimatywne żądanie. Jeśli chce pracować w szkole, musi zmienić nazwisko. Na mocy Sądu Okręgowego w Lublinie z 9 czerwca 1950 r. Nr IC 289/0, małżeństwo zostało rozwiązane.

Nie wiadomo, czy Łobodowski został o tym powiadomiony. W każdym razie do końca życia uważał się za żonatego.

W dalszym ciągu przebywał w Madrycie. Od czasu do czasu wyjeżdżał do Francji i Anglii. Oprócz współpracy z radiem zajmował się publicystyką i twórczością literacką. Nie była to jednak twórczość intensywna. Dopiero w 1954 roku ukazują się dwie kolejne jego książki: *Uczta zadżumionych* i *Złota Hramota*. Obydwie wydane w Paryżu. *Uczta zadżumionych* zawierająca satyry i fraszki, została wydana własnym nakładem. Pod względem artystycznym ustępuje poprzednim tomom wierszy.

Znacznie ciekawszy jest tom *Złota Hramota*. Zebrał w nim poeta swoje wiersze i poematy o tematyce ukraińskiej pisane od lat trzydziestych. Propagował w nich idee przyjaźni i zbliżenia dwu sąsiadujących ze sobą, ale mocno zwaśnionych narodów. Występował w tym tomie jako kontynuator romantycznej szkoły ukraińskiej. Opiewał koźacką nieujarzmioną naturę, piękno stepów Ukrainy oraz melancholię Wołynia i Polesia.¹⁴²

Józef Łobodowski: Zdaję sobie sprawę, że niejeden z wydrukowanych tu utworów jest słaby poetycko ale nie chciałem z nich rezygnować, gdyż chodziło mi o to, by *Złotej Hramocie* nie brakowało żadnej karty, choćby zapisanej w po-

¹⁴⁰ Józef Zięba, *Żywot (5)...*, s. 4.

¹⁴¹ Za: tamże.

¹⁴² Tamże.

śpiechu, pismem bardziej publicysty niż poety.¹⁴³

Józef Zięba: W zacytowanym wyznaniu ujawniają się dwie natury Józefa Łobodowskiego. Był on w równej mierze publicystą, jak i poetą. Kiedy nie miał możliwości wyżycia się w publicystyce, wówczas wprowadzał aktualną problematykę, często z nie najlepszym skutkiem artystycznym, do swoich wierszy. W połowie lat pięćdziesiątych spróbował sił jako powieściopisarz. W roku 1955 wydał w Londynie pierwszy tom trylogii opartej na wspomnieniach z dzieciństwa i pobytu na Kaukazie w czasie rewolucji wśród Kozaków kubańskich. Tom nosi tytuł *Komysze*, następny – *W stanicach* – został wydany w roku 1958, a ostatni – *Droga powrotna* – ukazał się w Londynie w 1961 roku. W cztery lata po ukazaniu się trylogii rozpoczął druk tetralogii pod ogólnym tytułem *Żywot Józefa Zakrzewskiego* obejmującej następujące tytuły: *Czerwona wiosna*, Londyn 1965; *Terminatorzy rewolucji*, Londyn 1966; *Nożyce Dalii*, Londyn 1968 i *Rzeka graniczna*, Londyn 1970. W tym cyklu poeta wykorzystał swoje wspomnienia z bujnych i burzliwych lat lubelskiej młodości.

Pod względem artystycznym proza Łobodowskiego nie dorównuje poezji. Na szczęście, pisząc powieści, nie zaniedbał twórczości poetyckiej. Po wymienionych uprzednio, ukazywały się co kilka lat kolejne jego tomy wierszy: *Kasydy i gazele*, Londyn 1961; *Jarżmo kadyńskie*, Londyn 1969; *W połowie wędrówki*, Londyn 1972; *Dwie książki*, Paryż 1984; *Mare Nostrum*, Brooklyn 1987; *Pamięci Sulamity*, Toronto 1987; *Rachunek sumienia*, Paryż 1967; „*Dytyramby patetyczne*, Londyn 1988.

Znamienne jest, że najwięcej książek poetyckich Łobodowskiego ukazało się pod koniec życia autora. Ciągłe nie tracił mocy twórczej. Był nawet świadom, że jest to dla niego najowocniejszy okres. W 1972 roku, kiedy przekroczył już

sześćdziesiątkę, zatytułował nowy tom swoich wierszy – *W połowie wędrówki*. Tytuł ten w nocy *Od autora* skomentował w sposób następujący:

Po prostu wydaje mi się – ba często jestem całkowicie pewien – że jeżeli pożyję jeszcze kilkanaście lat, zdobędę się na znacznie większe od dotychczasowych osiągnięcia. Czas pokaże, czy właściwie oceniłem swoje możliwości, czy też to tylko optymistyczne złudzenie.

Czas potwierdził prawdziwość tego przypuszczenia. Pisarz wydał jeszcze sześć chyba najlepszych swoich książek poetyckich. Nie przerywał jednocześnie współpracy niemal ze wszystkimi emigracyjnymi czasopismami, publikując na ich łamach liczne artykuły, recenzje i felietony. Już po śmierci poety w wychodzącym w Chicago tygodniku „*Gwiazda Polarna*” 28 maja 1988 ukazało się jego obszerne omówienie książki *Lublin literacki*.

Oprócz uprawiania twórczości oryginalnej Łobodowski dużo tłumaczył z języka rosyjskiego, ukraińskiego i hiszpańskiego. Wydawca tomu *Rachunek sumienia*, który ukazał się na rok przed śmiercią poety, informował, iż ma przygotowane do wydania antologię poezji hiszpańskiej, a także dwutomową antologię poezji ukraińskiej, od *Słowa o pułku Igora* po dzień dzisiejszy, antologię poezji białoruskiej oraz antologię poezji rosyjskiej (od Rylejewa do Mandelstama).

W wywiadzie udzielonym Irenie Szypowskiej, zamieszczonym w 6 numerze „*Poezji*” z roku 1988, poeta wspomina jeszcze o przygotowanym do druku tomie *Droga do Toboza* zawierającym wiersze o Hiszpanii i antologię poezji hiszpańskiej, oraz o powieści historycznej XVI wieku poświęconej wojnie domowej w Peru.

Wydawca paryski, Piotr Jegliński, zachęcił poetę do spisania wspomnień. Łobodowski do końca życia nad tomem tym pracował. Można się więc spodziewać, że wkrótce ukazą się jeszcze dalsze książki autora *Rachunku sumienia*.

¹⁴³ Ze wstępu do *Złotej Hramoty*, za: Józef Zięba, *Żywot Józefa Łobodowskiego* (6), „*Relacje*” 1989, nr 8, s. 4.

Zapewne wiele bardzo interesujących szczegółów dotyczących jego biografii przyniesie tom wspomnień, z którego fragmenty opublikowano już w emigracyjnej prasie.

Mimo tak bogatego dorobku twórczego do chwili obecnej nie ukazał się w kraju nawet najskromniejszy wybór wierszy Józefa Łobodowskiego. Były dwa istotne powody takiego stanu rzeczy.

Do listopada 1980 roku obowiązywał w PRL tzw. „zapis” cenzury na nazwisko Łobodowskiego, spowodowany m.in. opinią, którą sformułował 28 marca 1956 roku Andrzej Kuśniewicz w *Biuletynie Rozgłośni „Kraj”* w artykule *Ataman, dziedzic czy po prostu faszysta*. Kuśniewicz zakończył swój artykuł następującym stwierdzeniem:

Ten ekskomunista, fałszywy potomek atamanów (urodził się na Białorusi), w marzeniach syn dziedzica (ojciec jego był urzędnikiem), jest jedynie byłym sanacyjnym agentem i faszystą.

Opinia taka funkcjonowała niemal do końca życia poety.

Z drugiej strony Łobodowski też nie był skłonny do publikowania swoich książek w Polsce Ludowej, uważając to za zdradę wyznawanych idei. Po wydaniu w kraju wyboru wierszy Mariana Czuchnowskiego napisał: „dał się złapać na wędkę mętnych obietnic i poszedł na współpracę z warszawskim reżymem i jego placówkami” („Tydzień Polski”, Londyn 1979, nr 11).

Krajowi wydawcy znający postawę poety i stanowisko cenzury nie podejmowali prób przełamania barier, uprzedzeń i oporów. Moja np. oferta opracowania wyboru wierszy Łobodowskiego złożona wydawcy 29 listopada 1986 roku spotkała się z następującą odpowiedzią: „[...] w czasie najbliższych kilku lat Wydawnictwo nie widzi możliwości wydania zbioru ze względu na dużą ilość inicjatyw przyjętych już do realizacji”. Nie jest pewne, czy poeta wyraziłby wówczas zgodę na wydanie

wyboru swoich wierszy, ale stosunek Łobodowskiego do inicjatyw podejmowanych w kraju, obejmujących jego twórczość literacką, znacznie się zmienił. Kiedy w maju 1981 roku, po zorganizowaniu w Muzeum J. Czechowicza wieczoru poezji Józefa Łobodowskiego, wysłałem mu afisz, zaproszenie oraz informację o przebiegu imprezy bardzo się tym ucieszył. W odpowiedzi przysłał mi list, który warto tu przytoczyć:¹⁴⁴

Józef Łobodowski: Wielce Szanowny Panie! Dziękuję za list i dołączone materiały. Nie potrzebuję zapewniać, że urządzenie tego wieczoru sprawiło dla mnie wielką niespodziankę. Wiedziałem, naturalnie, że w kraju w ciągu ostatnich kilku miesięcy wiele się zmieniło, ale nie przypuszczałem, że aż tak bardzo. Listu od siostry jeszcze nie otrzymałem – poczta jest ostatnio bardzo powolna. Albo weszły w grę jakieś inne czynniki. Pyta Pan o moje plany literackie. Wydawnictwa emigracyjne robią bokami, z tej prostej racji, że emigracja wymiera w coraz szybszym tempie i nikt tego procesu nie zatrzyma. Z powodu stałego deficytu znikły londyńskie „Wiadomości”, a wkrótce poznikają także inne czasopisma. To dlatego niczego nie wydałem od jesieni 1971 roku, a więc prawie od dziesięciu lat. Mam sporo rękopisów, których starczyłoby na kilkanaście tomów (wiersze, proza, przekłady), ale o wydaniu na emigracji tego wszystkiego można jedynie marzyć. Chętnie wyślę Panu fotokopię dwóch tomów: *Kasydy i gazy*, 1961 i *Jarzm kaudyńskie*, 1968, ale to wymaga nieco czasu. Byłbym wdzięczny za przesłanie mi kopii prelekcji dr. Kryszaka oraz spisu czytanych wierszy. Najlepsze życzenia. Józef Łobodowski. Madryt, 26 maja 1981.¹⁴⁵

Józef Zięba: Niestety, ze względu na sytuację, jaka się wytworzyła przed i po wprowadzeniu stanu wojennego, na wysłany list nie otrzymałem odpowiedzi. Moja korespondencja z poetą na kilka

¹⁴⁴ Józef Zięba, *Żywot (6)...*, s. 4.

¹⁴⁵ Za: tamże.

lat została przerwana. Wznowiłem ją w 1987 roku, proponując Łobodowskiemu przekazanie do zbiorów Muzeum J. Czechowicza jego archiwum literackiego. Otrzymałem na tę propozycję następującą odpowiedź:¹⁴⁶

Józef Łobodowski: Wielce Szanowny Panie! Dziękuję za Pański łaskawy list z 14-go grudnia ub. r. Naturalnie, spełnię Pańskie życzenie, choć w tej chwili nie wiem, jak i kiedy będę mógł to uczynić. Może zechce Pan skontaktować się z moją starszą siostrą i jej rodziną. Wszyscy przebywają w Lublinie. Władysława Tomankowa mieszka przy ulicy Parysa 22. Jest chora, nie wychodzi z domu. Proszę ją odwiedzić. Otrzymałem wiadomość, że w miesięczniku „Poezja” mają ukazać się jakieś moje teksty. Będę wdzięczny za utrzymanie kontaktu ze mną. Najlepsze życzenia. Józef Łobodowski. Madryt, 8-lutego, 1988-go roku.¹⁴⁷

Ludmiła Siryk: W latach 1948-1975 pisarz był redaktorem „Polskiej Audycji Radia Madryt”. Jak zaznacza Krzysztof Dybciak, przed powstaniem Radia Wolna Europa była to najpopularniejsza w Polsce, radiostacja zagraniczna. Kierowali nią świetni publicyści Karol Wagner, a potem Wojciech Zaleski, współpracowali profesor Deryng, ksiądz Walorek, publicysta Kazimierz Tylko i szczególnie ton audycjom nada-

wał Łobodowski. Nieopodal swego hotelu Łobodowski (nie posiadał własnego mieszkania) w niewielkim barze, obłożony książkami i gazetami, spędzał codziennie po kilka godzin za stolikiem.

Był on jedynym emigracyjnym pisarzem, który w zasadzie utrzymywał się tylko z pracy twórczej dającej mizerny zarobek. Współpracował z ludźmi oraz instytucjami, przede wszystkim z Polskim Instytutem Literackim i jego pismami „Kultura” i „Zeszyty Historyczne” w Paryżu, z pismami „Wiadomości” (miał tu osobną rubrykę „Worek Judaszów”) i „Orzeł Biały” w Londynie. W londyńskiej gazecie „Tydzień Polski” miał własną rubrykę pod pseudonimem Szperacz.

Wacław Iwaniuk wspomina, że Łobodowski wysyłał do Londynu swoje materiały nawet będąc w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych (przebywał w tych krajach w ciągu trzech miesięcy jesienią 1977 roku). Aktywna i komunikatywna osobowość tego pisarza powodowała, że często bywał we Włoszech i Szwajcarii, sporadycznie w Stanach Zjednoczonych i Kandzie, ale ani razu w Polsce – z przyczyn politycznych. W Hiszpanii przyjaciele nazywali go Lobo, co po hiszpańsku oznacza wilk. Tu miał krąg bliskich ludzi, Polaków, którzy regularnie spotykali się. Utrzymywał też kontakty z ukraińskimi emigrantami.¹⁴⁸

Sprawa ukraińska – podsumowanie

Jadwiga Sawicka: Na emigracji Łobodowski zajmuje się nadal sprawami ukraińskimi. Polemizuje z nacjonalistami polskimi i ukraińskimi, pisze ważny artykuł na ten temat: *Przeciw upiorom przeszłości*. Wypowiedzi publicystyczne zrodzone z pasji politycznych towarzyszą poezji, często do niej przenikają, powstaje publicystyka poetycka, mająca skłonić odbiorcę do przyjęcia proukraińskich opcji autora.¹⁴⁹

Ludmiła Siryk: Łobodowski od najmłodszych lat swojego życia interesował się Ukrainą, jej historią, kulturą, literaturą, „włączył się uczuciowo w polityczną walkę o [jej] niepodległość”. Z czasem stał się doskonałym znawcą problematyki ukraińskiej. Temat Ukrainy zajmuje ważne miejsce we wszechstronnej twórczości tego pisarza, jest częścią własnej mitologii.

¹⁴⁶ Tamże.

¹⁴⁷ Tamże.

¹⁴⁸ Ludmiła Siryk, *Naznaczony...*, s. 21-22.

¹⁴⁹ Jadwiga Sawicka, *Wołyń poetycki...*, s. 188-189.

W ciągu pięćdziesięciu lat Łobodowski promował idee przymierza między narodem ukraińskim a polskim. Jednak „przykład Ukrainy, marzenie o prawdziwym braterstwie dwóch niepodległych narodów i suwerennych państw pokazuje, że polityka Łobodowskiego często była zaprawiona fantazją, co w danym przypadku podnosi tylko jej poetyckie uroki”. Twórczość Łobodowskiego, Polaka, polskiego patrioty i pisarza, człowieka pogranicza kulturowego można uważać, jak sądzę, za wyjątkowe zjawisko w dziejach współczesnej literatury polskiej. Posłannictwo jego twórczości polega na tym, że pomimo całej dziejowej i politycznej zawieruchy niezaprzeczalnie pragnął zmienić wrogą wobec siebie postawę spokrewnionych narodów, pragnął pojednać „dwie ojczyzny sam na pół rozdarty” (*Pochwała Ukrainy*). Pojmował sprawę pisarza jako misję, pozostając wiernym idei racjonalnego równouprawnienia.

Twórczość autora *Złotej Hramoty* ukazuje człowieka, który domaga się wolności, odpowiedzialności i uczciwości, w którego systemie wartości ważne miejsce zajmują takie pojęcia, jak miłość, wiara i prawda, pamięć historyczna i tradycja narodowa. Są nimi także spokój, dostatek, idealna wspólnota, równouprawnienie narodów. Ukazuje ona człowieka pogranicza kulturowego, ujmującego sprawy w kilku aspektach. [...]

Początek emigracji stał się dla pisarza „pęknięciem życiorysu”, jednak potrafił produktywnie pracować twórczo, nawiązać współpracę z wieloma instytucjami wydawniczymi oraz pisarzami polskimi i ukraińskimi. Tłumaczył na język polski literaturę piękną i publicystykę ukraińską. Uczestniczył w wieczorach autorskich i konferencjach. 24 marca 1973 roku Ukraińsko-Polskie Towarzystwo w Londynie (w 1975 roku liczyło 115 Polaków i 75 Ukraińców) zorganizowało wieczór z udziałem autora poświęcony tematowi *Ukraina*

i *Polska w poezji Józefa Łobodowskiego*. Polski „ataman Łoboda” recytował wiersze swoje oraz autorów polskich i ukraińskich.

Krystyna Tyszkiewicz, która była obecna na tym wieczorze, wspomina, że miała tam miejsce dyskusja na temat traktatu ryskiego i stosunków polsko-ukraińskich. W tej dyskusji poeta domagał się obiektywizmu w ocenach przeszłości. Po tym wieczorze autorskim Konstantyn Zelenko pisał, że Łobodowski

jest w rzeczy samej nadzwyczajną postacią w historii stosunków polsko-ukraińskich, która także zajmuje osobliwe, w naszych czasach bardzo wiodące miejsce w wysiłkach obu narodów do ułożenia ich stosunków na zasadach aktywnej i twórczej współpracy i prawdziwego porozumienia.

O treści i znaczeniu tej międzynarodowej imprezy pisało ukraińskie pismo „Сучасність” (1975, nr 5/173) wydawane w Monachium.

W październiku 1977 roku na Uniwersytecie w Hamilton Łobodowski wystąpił na konferencji z referatem o polsko-ukraińskich związkach literackich. Konferencję zorganizowały Międzynarodowy Komitet Zagadnień Komunistycznych i Europy Wschodniej Uniwersytetu MacMaster oraz Kanaadyjski Instytut Studiów Ukraino-znawczych Uniwersytetu Alberta. Wacław Iwaniuk¹ wspomina:

Łobodowski mówił rzeczowo, ze swadą, jego przemówienie wzbudziło ogromne zainteresowanie i dużą dyskusję [...] Po konferencji hamiltonskiej, emigracja ukraińska (co jest znaczącym faktem) zorganizowała Łobodowskiemu wieczór autorski. Wielu wielbicieli talentu Łobodowskiego wśród Polonii brało udział w tym rzeczywiście entuzjastycznym wieczorze. Wszystkie miejsca były zajęte, przejścia i korytarze wypełnili stojący słuchacze.

Łobodowski swoim tubalnym głosem mówił i czytał wiersze doskonale, a robił to z wrodzonym aktorskim talentem. Przypuszczam, że triumf ten przyczynił się wśród nas do za-

cieśnienia więzów przyjaźni polsko-ukraińskiej. Bo Łobodowski swoim entuzjazmem i głosem, który nie znośił sprzeciwów, przekonywał. W zapale dyskusji argumenty same narzucały mu się, płynęły jakby przygotowane i wyuczone z góry, co – jak wiemy – wypływał z encyklopedycznej pamięci autora *Demonom nocy*. Czas ten dla wielu z nas był wypełniony obecnością Łobodowskiego, samo Toronto jakby nabrało żywszych rumieńców życia, tego które utraciliśmy, wybierając emigrację do Kanady.

Na wieczorze autorskim 26 listopada 1977 roku w Ukraińskim Instytucie Literatury w Nowym Jorku poeta przemawiał na tematy ukraińskie i polsko-ukraińskie oraz recytował w kontekście tych tematów takie swoje wiersze, jak *Ballada lubelska*, *Epitafium Generałowi Tarnawskiemu*, *Poetom ukraińskim*, *Taras Szewczenko*, *Tryptyk o zamordowanym Kościele*.

Prezes Stowarzyszenia Pisarzy Ukraińskich „Słowo” Ostap Tarnawski w imieniu całej publiczności podziękował autorowi za „świątynną ucztę poetycką”. Ukraiński poeta i malarz S. Hordyński w swoim referacie zwrócił uwagę na prometeistyczną postawę Łobodowskiego twierdząc, że „po wszystkich katastrofach, idea prometeizmu jest nadal aktualna jako idea potencjalna, która mogłaby zaprowadzić nowy porządek na obszarach wolnej Europy. Idea ta – jakby to powiedział dzisiaj Szewczenko – mogłaby się stać iskrą, z której wyniknie wielki ogień na bezdrożu narodów.

Łobodowski w przemówieniu „Polsko-Ukraińska współpraca i jej znaczenie” wygłoszonym w Nowym Jorku 3 grudnia 1977 roku w Ukraińskim Domu Narodowym konstatował:

W ośrodkach emigracyjnych polsko-ukraińskich podnoszą się coraz to głosy, że należałoby zapomnieć o przeszłości, przekreślić ją niejako i zacząć od nowa, ale ja nie sądzę, aby to było słuszne, przede wszystkim – jest to nie do urzeczywistnienia. Żaden naród o swojej przeszłości zapomnieć nie zdoła, a ten, który o swojej przeszłości zapomina – staje się narodem ahisto-

rycznym. O przeszłości nie należy zapominać, ale pamiętając o tej przeszłości trzeba umieć odróżnić plewę od ziarna, trzeba odróżnić to co było dobre od złego i uczyć się, aby właśnie nie powtarzać tych złych czynów.

Pragnął przekonać Polaków i Ukraińców, że siła i międzynarodowa pozycja zależą w dużym stopniu od ich wzajemnych stosunków. Warta jest najwyższej oceny szlachetna postawa pisarza wymagająca uporczywej pracy, optymistycznej i racjonalnej wizji, narodowej i politycznej świadomości, wiedzy i odwagi.

Polska była jego rdzenną ojczyzną, Ukraina była ojczyzną z wyboru. W tej sytuacji próbował łączyć postawę patriotyczno-prometeistyczną z misją rzecznika dialogu polsko-ukraińskiego. Świadomość spotęgowana emocjami spowodowała stworzenie przez pisarza mitu federacji polsko-ukraińskiej. Realizacja tego mitu w rzeczywistości tak dramatycznej była niemożliwa. Jego postawa na pograniczu jest wyrazem przyjmowania racji obu stron, ale te racje były skłócone. Dlatego nawet kulturowa idealizacja Ukrainy i pogranicza polsko-ukraińskiego oraz swoiste mitotwórstwo pogłębia tragizm pisarstwa Łobodowskiego. Sytuacja tego wrażliwego twórcy unaocznia tragizm i niemoc działacza społeczno-politycznego, któremu oczarowanie pięknem i dobrem nie dało się przełożyć na działania praktyczne.

Pisarz, apelując o przebaczenie win i budowanie przyjaznej przyszłości, działał wbrew tendencjom panującym wśród ogółu społeczeństwa polskiego i ukraińskiego uzbrojonego w stereotypy i uwikłanego w stare i nowe konflikty. Poprzez otwartość charakterystyczną dla całokształtu jego myślenia i działania, dzięki wizji romantycznej i działalności praktycznej przyczynił się do budowania systemu opartego na wzajemnym porozumieniu i obopólnej potrzebie współpracy.

Łobodowski starał się wyjaśnić, jakie powinno być współistnienie polsko-ukraińskie. Swoimi utworami walczył o zmianę myślenia. Próbował dowodzić znaczenia współistnienia inności. Ta świadomość wielości kultury jako wartości oparta była na doświadczeniu kresowym. Ale niestety był to słaby atut, aby przezwyciężyć stereotypowe myślenie Polaków i Ukraińców, aby zmienić sytuację polityczną Polski i Ukrainy. Nie mógł także zmienić stosunku intelektualistów oraz polityków europejskich amerykańskich do tej kwestii.

Wiele prac Łobodowskiego ma charakter bardziej opisowo-informacyjny, niż refleksyjny, nie ukazują one konkretnych propozycji i sposobów działania skierowanych na budowanie dialogu polsko-ukraińskiego, na osiągnięcie niepodległości przez Ukrainę i Polskę. Lektura tych tekstów pozwala stwierdzić, że w odpowiednim momencie pisarzowi brakowało konstruktywnej wizji. Jednak nie jest ostatecznym celem autora proponowanej czytelnikowi książki określić, ile racji a ile iluzji, zawierają dążenia Łobodowskiego. Ważniejsze wydaje się to, że był człowiekiem odważnym i otwartym, „poetą wyciągniętej dłoni” – jak trafnie określiła go Fadwiga Sawicka.

Najcenniejsza w apelach i poszukiwaniach, w tym złożonym splocie emocji i myśli, jest próba tworzenia dialogu, bo Polacy i Ukraińcy byli, są i będą sąsiadami, Słowianami i niewątpliwie dialog ten jest konieczny dla interesów obu stron. Zdaniem autora utwory literackie i publicystyczne Łobodowskiego ujawniają więcej, niż się pozornie wydaje, dostarczając między innymi materiału

do badań nad problemami dotyczącymi zagadnień tożsamości osobowej (przede wszystkim jednostki twórczej w sytuacji totalitaryzmu i bezpieczeństwa) i narodowej, ujawniając podstawowe cechy tożsamości ukraińskiej, kozackiej oraz tzw. „kresowej”. Zwłaszcza ta ostatnia wydaje się bardzo atrakcyjna obecnie, kiedy tak ważny jest problem tolerancji i integracji narodów w nowych warunkach społecznych, politycznych, ekonomicznych i kulturowych.

Dorobek Łobodowskiego posiada wartość poznawczą i wychowawczą, niosąc wiedzę literacką, kulturologiczną, historyczną, politologiczną, socjologiczną. Może stać się impulsem do poznania nie zafałszowanej, a prawdziwej kultury i historii ukraińskiej, do kształtowania obiektywnych ocen i właściwego wyboru opcji etycznej i społeczno-politycznej.

Na koniec przytoczmy słowa ukraińskiego publicysty z Londynu Konstantyna Zełenko, który tak ocenia rolę Łobodowskiego w tworzeniu nowych relacji pomiędzy Polakami i Ukraińcami:

Józef Łobodowski zawsze był wielkim pośrednikiem i ambasadorem, który – z jednej strony – zbliżał nasze narody jeden do drugiego, a z drugiej – odkrywał w możliwie najpiękniejszej formie ukraińskiej kultury swoim współziomkom [...]. Nie będzie na pewno przesadnym, gdy powiem, że żaden ze współczesnych Polaków nie ma większych zasług w wykonaniu tej olbrzymiej pionierskiej pracy, niż Łobodowski [...] Dla nas Ukraińców pozostanie na zawsze przedstawicielem tej najpiękniejszej warstwy polskiej społeczności, zawsze z szerokim horyzontem myśli i jasną wizją przyszłości.¹⁵⁰

1988 – śmierć i pogrzeb

Śmierć poety nastąpiła 18 kwietnia 1988 roku po krótkiej chorobie. Zgodnie z wolą zmarłego jego ciało 21 kwietnia zostało podane kremacji.

Tadeusz Filipowicz: Mimo szczupłości kolonii polskiej w Madrycie, kaplica krematorium wypełniona była do ostatniego miejsca. Oprócz najbliższych

¹⁵⁰ Ludmiła Siryk, *Naznaczony...*, s. 41.

przyjaciół i wieloletniego opiekuna poety, Kazimierza Tylko, który zajął się organizacją uroczystości pogrzebowych z ramienia rządu RP na Uchodźstwie, przybył jego delegat na Hiszpanię Piotr Potocki, z Londynu – bliski przyjaciel poety Marian Łysakowski, z Editions „Spotkania” i Księgarni Polskiej w Paryżu – Piotr Jegliński z żoną, a jako przedstawiciel Ukraińców – prof. dr Teodor Barabasz Seniw.

Mszę św. pogrzebową odprawił prał. Marian Walerek, rektor Polskiej Misji Katolickiej w Hiszpanii. Zgodnie z wolą zmarłego, prochy jego mają być przewiezione do Polski i pochowane w grobie jego matki w Lublinie. Powierzono mi przewiezienie urny z prochami Łobodowskiego do Londynu. Ograniczenie w czasie nie pozwoliło na wygłoszenie mów pożegnalnych w kaplicy; hołd poecie złożono tego samego dnia wieczorem w mieszkaniu prał. Walerka. Od lat odbywają się tam co dwa tygodnie spotkania pod nazwą „O wieczornej godzinie”, w których Józef Łobodowski regularnie uczestniczył – jego nieobecność została zaakcentowana wiązką biało-czerwonych kwiatów złożonych na pustym fotelu. Pierwszą część spotkania poświęcono pamięci Łobodowskiego.

Przed spotkaniem Kazimierz Tylko zaprowadził nas do „Hermanos Portillo”, kawiarenki Łobodowskiego, gdzie przy narożnym stoliku pisał on niemal wszystko co w ostatnich latach ukazywało się w druku. Przy szklance czerwonego wina p. Tylko wspominał przyjaciela, który stał się członkiem jego rodziny, mówiąc o jego kłopotach i cierpieniach.

Następnego dnia wraz z p. Tylko, dr. Sokołowskim, Marianem Łysakowskim i Piotrem Jeglińskim dokonaliśmy likwidacji mieszkania i uporządkowania osobistych papierów poety. Małeńki, spartański w swojej prostocie pokój był dowodem na jak skromnych warunkach spędził ostatnich kilkanaście lat życia: wąskie łóżko przy ścianie, szafa,

miniaturowy stolik zawalony gazetami i papierami, stara maszyna do pisania z rozpoczętym artykułem do „Tygodnia” o gen. Sosnowskim...

Maszynopis ostatniej części przygotowanych do druku w Editions „Spotkania” wspomnień Łobodowskiego zabrał Piotr Jegliński. Mojej opiece powierzono dokumenty.

Zbliżał się czas odlotu do Londynu. Panowie Tylko i Jegliński odprowadzili mnie do taksówki, gdy naraz, pod wpływem impulsu, Kazimierz Tylko zaprosił nas na ostatnią szklankę wina. Tuż obok w małej restauracyjce, postawiliśmy urnę na stoliku, zamówiliśmy cztery szklanki wina, zwykle zamawianego przez Łobodowskiego jako „tracheta” i tak pożegnaliśmy ostatniego wielkiego poetę emigracji.¹⁵¹

Józef Zięba: W czerwcu ubiegłego roku przebywał w Londynie dyrektor Biblioteki KUL pan Andrzej Paluchowski. Od byłego prezydenta emigracyjnego rządu polskiego otrzymał do przekazania list następującej treści:

Magnificencjo, Przewielebny Księżę Biskupie. Jako przyjaciel i w pewnej mierze opiekun ś.p. Józefa Łobodowskiego, zwracam się z prośbą, aby Ksiądz Biskup, jako Rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, zechciał objąć patronat nad ceremonią godnego pogrzebu wielkiego poety w Lublinie w grobie Jego Matki, jak to było życzeniem zmarłego.

Korzystam ze sprzyjającej okazji pobytu w Londynie, p. Andrzeja Paluchowskiego, który gotów jest przewieźć do Polski urnę z prochami ś.p. Józefa Łobodowskiego.

Wdzięczny byłbym Magnificencji za wyrażenie zgody na zorganizowanie ostatniej posługi Zmarłemu.

Łączę wyrazy czci i poważania. Edward Raczynski

Pod koniec czerwca urna była już w Lublinie, jednak ze względu na okres wakacji pogrzeb wyznaczono na październik.¹⁵²

Ludmiła Siryk: Pisarz zmarł 18 kwietnia 1988 roku w Madrycie. Przyjaciele wypełnili jego życzenie:

¹⁵¹ „Dziennik Polski” z 28 kwietnia 1988, za: Józef Zięba, *Żywot* (6)..., s. 4.

¹⁵² Józef Zięba, *Żywot* (6)..., s. 4.

Prosiłem znajomych w Madrycie, aby mnie po śmierci spalili w krematorium i prochy posłali do Lublina. Chcę, by zostały pochowane u stóp mojej matki na lubelskim cmentarzu. I nie jest to żadna sentymentalna fanaberia.

Do Madrytu na ostatnie pożegnanie z wybitnym pisarzem przyjechali przyjaciele z Paryża Piotr Jagliński, z Londynu Marian Łysakowski, Piotr Potocki. Stronę Ukraińców reprezentowała rodzina profesora Teodora Barabasza Seniewa. Urnę z prochami ksiądz Walorek i przyjaciele pisarza zabrali do Londynu „na uroczystości żałobne”. Nekrolog poświęcony Łobodowskiemu autorstwa Tadeusza Filipowicza był zamieszczony w gazecie „Dziennik Polski” (28 kwietnia 1988). [...]

Z pochówkiem zwlekano z powodu nawału różnych spraw. Włączeni do komitetu pogrzebowego Turowicz

i Szczepański nie mogli wziąć udziału w ceremonii, która odbyła się w październiku 1988 roku. W kościele Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego podczas żałobnej liturgii referat o pisarzu wygłosił Jerzy Świąch, przemawiał również Józef Zięba. Łobodowski powrócił do Lublina, swego rodzinnego miasta, miejsca swego dzieciństwa i młodości, pierwszego twórczego natchnienia i marzeń. Pochowano jego prochy, zgodnie z życzeniem, w grobie najbliższych mu osób – matki i dziadka. Jego szlak życiowy ma kształt koła, które zaczęło się i zakończyło w Lublinie. Wędrował po różnych miastach, krajach, kontynentach. Ten „niepokorny wędrowiec”, jak słusznie nazwał go Jerzy Świąch, wierzył w zwycięstwo prawdy i dobra. Nie wzbogacił się materialnie – dbał o sprawy duchowe, które nie umierają.¹⁵³

¹⁵³ Ludmiła Siryk,
Naznaczony..., s. 24-25.



Linoryt Zbigniewa Józwiaka *Aby żyć mieli* (1987) z pierwszej strony zaproszenia na uroczystości pogrzebowe śp. Józefa Łobodowskiego 22 października 1988. Ze zbiorów Józefa Zięby.

Życie Józefa Łobodowskiego fotoreportaż z archiwaliów

I, II, III, IV

Strony z dzienników z ocenami Józefa Łobodowskiego w Państwowym Gimnazjum im. Hetmana Jana Zamoyskiego w Lublinie, wydział (typ) matematyczno-przyrodniczy. Skala stopni: bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny (dwie najniższe oceny ze sprawowania: odpowiedni, nieodpowiedni). Kolejne strony obejmują lata:

- 1924-1925 (kl. V, lat 15-16)
- 1925-1926 (kl. VI, lat 16-17)
- 1928-1929 (kl. VII, lat 17-18)
- 1930-1931 (kl. VIII, lat 18-19).

Ze zbiorów archiwalnych II Liceum Ogólnokształcącego im. Hetmana Jana Zamoyskiego.

V

„Wilczy bilet” rozesłany przez KUL do innych uniwersytetów po decyzji o relegowaniu Łobodowskiego z tej uczelni. Ze zbiorów Archiwum Uniwersyteckiego KUL.

VI, VII

Scenariusz wystawy poświęconej Józefowi Łobodowskiemu przygotowanej w Muzeum im. Józefa Czechowicza przez jego kierownika Józefa Ziębę w 1981 roku. Ze zbiorów Józefa Zięby.

VIII

Lista członków komitetu uroczystości pogrzebowych z druku ogłoszenia o tych uroczystościach (złożenie urny z prochami Józefa Łobodowskiego 22 października 1988 w grobie rodzinnym na cmentarzu przy ul. Lipowej w Lublinie). Ze zbiorów Józefa Zięby.

IX, X

Zdjęcia z działań artystyczno-edukacyjnych w przestrzeniach publicznych II LO im. J. Het. Zamoyskiego w Lublinie (5 stycznia 2009), gdzie przed wojną uczył się Józef Łobodowski: „poetyckie pranie” (wiersze poety wywieszone na szunarch do suszenia prania: erotyki i *Ballada lubelska*, sentencje) oraz „układanka” portretu Łobodowskiego (jej fragmenty, chowane co jakiś czas w zakamarkach szkoły, były odnajdywane przez uczniów). Organizacja: Anny Łukaszczyk (język polski) i Beata Szczerbińska-Budzyńska (wiedza o kulturze). Fot. Beata Szczerbińska-Budzyńska.

[illegible]

472/32

do R

Do Prześwieconego Rektoratu

Wojciech Uniwersytetu Lubelskiego

Mam zaszczyt powiadomić Prześw. Rektorat,
że student 1 roku prawa Katolickiego Uniwersyte-
tu Lubelskiego, Józef Łobodowski za szerzenie
pornografii i bluźnierstwa w wydanych przez
siebie utworach poetyckich, skonfiskowanych prze-
władze prokuratorskie, decyzją Senatu dn. 5 lute-
go r.b. został z Uniwersytetu relegowany.

Rektor
Dr. J. Kłuszyński

JA

WYSTAWA PODWIPPOWA JOSEFOWI LOBODOWSKIMU

Tabl. I

Afisz informacyjny - Wieszcz poezji Josefa Lobodowskiego
prelekcja dr Janusza Kryszaka

Tabl. II

Fot. Rodzina Lobodowskich ok. 1914r.

- Rękopis wiersza "Przedświata"
- Świadectwo dojrzałości J. Lobodowskiego /wydane przez Gimnazjum im. Łomajskiego w Lublinie/
- Fot. Józef Lobodowski wśród młodych poetów chełmskich 1935r.
- Fot. Josefa Lobodowskiego
- "Do Jarsaga Kosacza"-rękopis wiersza

Tabl. III

- Fragment ze "Wstępu" - rękopis
- Tłumaczenie wiersza Aleksandra Błoka - x x x /Pamięć złotych dni nie świeci/ - rękopis.
- Fot. Lobodowskiego
- "Tęskno w ojczyźnie" - rękopis
- "Błowski" - manuskrypt z poprawkami autora
- Tłumaczenie wiersza Aleksandra Puszkina "Prorok"

Tabl. IV

Wycinki prasowe, recenzje dot. przede wszystkim "Romansu z Ojczyzną"

- "Romans z Ojczyzną" -A.I.
- Kasielara Wyka - "Cierpkie pianistwo poety"
- I. Hallander - "Leciśkie rezygnacja"
- Ostap Orwin - "Demony Josefa Lobodowskiego"
- Mironław Starost - "Lobodowskiego Romans z Ojczyzną"
- Wacław Kubiński - "Poezje Lobodowskiego"
- Jerzy Turwies - "Poezje Lobodowskiego"
- E.W. Ławodulski - "Poezje Lobodowskiego"
- Tymon Terlecki - "Poezje Cesarza Baryki - rzecz o Lobodowskim"
- Mironław Starost - "Józef Lobodowski - poeta przełomu"
- Jan Napierański - "Romans o Lobodowskim"

Tabl. I

Manuskrypty

- Trybuna nr.3 - poezje
- Barykady nr. 1 - poezje "Pilsudski"
- Dziwigary nr. 1 - Poezje m.in. "Romans z Ojczyzną"
- Trybuna nr. 1 - artykuł pt. "Niech żyje antysemitizm"
- Dziwigary nr 2 1935 - artykuł "Pisarska rewolucyjny w teraźniejszości"

Sehl. II

Poezja wydana w Polsce w okresie międzywojennym

- Słowo przez sąpary
- o Osienski psaltera
- Osienskiej krei
- W przedziałach
- A. Bick - Wierzę włoskie - Tłumaczenie
- U przyjaźni
- Rozmowa z Ojczyzną
- Rozmowa z Ojczyzną
- Lubelska szopka polityczna

Sehl. III

Wiersze w czasopiśmie

- Łanona

"Pisanie o głodzie", "Rozmowa z Ojczyzną", "Słowo o prokuraturze"

"Fragment poematu"

-Główny z 1. II 1934r. "Wieloletnia mowa"

- Trybuna nr. 2 - "Wieloletnia", "Do ojca"

Buletyn do Komisji Andrzeja Jaworskiego /ostery /

- Fot. Józef Łobodowski i Jerzy Putrament

- Fot. St. Piętek, Józef Łobodowski i Bronisław L. Michalski.

- List do Tadeusza Hollandra

- Odpowiedź J. Łobodowskiego na artykuł w Słowie Lubelskim.

- Druk świadectwa o przyznaniu J. Łobodowskiemu nagrody Polskiej Akademii Literatury dla Młodych

Tabl. VI

Afisz - Wiersze najdłuższe poezji awangardowej - z 10 marca 1934 roku

Sehl. IV

Wydawnictwo anigrocyjne

Modlitwa na wojnę

Wiersze krasnoludów

W polowie wędrowni

Tabl. VII

Wycinki z pism - wiersze

- Wiersze Szczęsnych

- Wiersze rodzinne

- Duma o Atanasiu Petliurze / Buletyn Polsko-Ukraiński/

- List do Wł. Broniewskiego - /Zbiór recenzji z tomu "Kryk ostatnich" /

KOMITET UROCZYSTOŚCI POGRZEBOWYCH

- Bp Jan Śrutwa – przewodniczący
Rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego
- Maria Jasińska-Wojtkowska
Profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego
- Ks. Wiesław AL. Niewęgłowski
Duszpasterz Krajowy Środowisk Twórczych
- Andrzej Paluchowski
Dyrektor Biblioteki Głównej
Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego
- Ks. Janusz Stanisław Pasierb
Profesor Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie
- Jan Józef Szczepański
Literat
- Jerzy Święch
Profesor Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej
- Jerzy Turowicz
Redaktor Naczelny „Tygodnika Powszechnego”
- Józef Zięba
Kierownik Muzeum im. Józefa Czechowicza w Lublinie
- Julian Zieliński
Przew. Pion-Clubu w Polsce





**Kalendarium życia
Józefa Łobodowskiego
– hasła uzupełniające**



ROK.I.NOEI



WŁONCE

W SŁOŃCE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY LITERATURZE – SZTUCE – NAUCE I ŻYCIU.
WYDAWNICTWO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ CIL. IM. H. J. ZAMOYSKIEGO W LUBLINIE.

„W Słońce” 1928-1930, 1933, 1936-1939

1 maja 1928 w Państwowym Gimnazjum im. Hetmana Jana Zamoyskiego ukazał się pierwszy numer miesięcznika uczniowskiego „W Słońce”. Był on poświęcony głównie literaturze i sztuce, nauce i życiu szkolnemu. Założycielem i pierwszym redaktorem pisma był uczeń siódmej klasy Józef Łobodowski. Zachęcony na lekcjach przez doktora Pawła Gdulę, podjął się pracy redakcyjnej.

Józef Łobodowski: Tytuł miesięcznika „W Słońce” nie bardzo mi się podobał. Wiele było projektów. Gdula postanowił sprawę załatwić na drodze demokratycznego głosowania i przeszedł ten okropny, moim zdaniem, tytuł. Demokratycznej większości trudno się było sprzeciwić. Redagowanie miesięcznika z miejsca narobiło mi zjadłych wrogów, gdyż, ponoszony temperamentem i przekonany o własnych racjach, nie liczyłem się z niczym i nikim.

Pisywałem artykuły na różne tematy, drukowałem wiersze i przekłady. Zacząłem używać pseudonimów, aby moje nazwisko nie powtarzało się za często. Opinie były różne, a najbardziej rozpowszechniona: czy wyrobi się z niego prawdziwy poeta, to dopiero czas pokaże, ale już widać, że będzie z niego eseista i publicysta. Byłem wtedy osiemnastoletnim redaktorem, miałem przed sobą wiele czasu.¹

Pismo nie przynosiło żadnych dochodów co doprowadziło do tego, że po dwóch latach

w roku 1930 przestało wychodzić. Na krótko zostało reaktywowane w roku 1933 ale szybko upadło. Następny okres w życiu pisma związany jest z latami 1936-1939.

Powtórne reaktywowanie pisma – maj 1936

W roku 1936 powstał projekt reaktywowania pisma. Służyła temu atmosfera panująca wówczas w literackim Lublinie. Pisze o tym Tadeusz Kłak:

Rozgłos, jaki towarzyszył twórczości poetyckiej Czechowicza, Łobodowskiego i całej grupy poetów lubelskich, wreszcie legenda postaci Bronisława Ludwika Michalskiego sprawiły, iż zainteresowanie liryką zaczęło się upowszechniać nie tylko w kręgach młodzieży akademickiej, ale i szkół średnich. Pojawiły się nowe tematy literackie, a trybuną najmłodszych pisarzy stało się m.in. międzyszkolne czasopismo „W Słońce”²

Opiekę nad komitetem redakcyjnym objął ponownie polonista dr Paweł Gdula. W kwietniu 1936 numer był już gotowy do druku a ukazał się w maju tego roku. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że numeracja pisma nie była ciągła ani konsekwentna (zob. „Scriptores” nr 30, s. 242, przyp. 140), dlatego też zeszyt ten był oznaczony „nr 1, rok VII”.

Nr 1, maj 1936.

W komitecie redakcyjnym pisma znaleźli się: „A. Bier, Hartwiżanka J., Łagoda (Chełm), Pleśniarowicz J[erzy], Romanwski M., Skoczyła S., Strachówna J.”

Winieta pisma z pierwszej strony pierwszego numeru (maj 1928). Pismo w zbiorach biblioteki UMCS.

¹ Józef Łobodowski, *Wspomnienia lubelskie*, „Kresy” nr 8, 1991, s. 133.

² Tadeusz Kłak, *Poezja lubelska 1918-1939*, w: *Lublin literacki 1932-1982*, red. Waldemar Michalski, Józef Zięba, Lublin 1984, s.74.

Na s. 95: Józef Łobodowski, 1986 rok. Fot. Adam Tomaszewski. Jedno z ostatnich zdjęć poety z tomu *List do kraju* (Lublin 1989).

Okladka pierwszego numeru „W Słońce”. Format: ponad A4. Pismo w zbiorach biblioteki UMCS.

Okładki „W Słońce” w kolejności wierszami (wg danych z winiet):

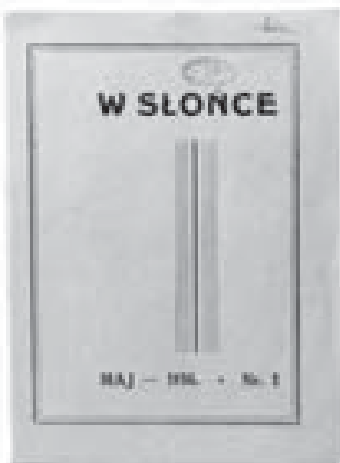
„Rok III, marzec-kwiecień 1933, nr 1”

„Rok IV, październik-listopad 1933, nr 1”



„Rok VII, maj 1936, nr 1”

„Rok IX, kwiecień 1937, nr 3(4)”



„Rok X (1938), nr 4(5)”

„Rok XI (1939), nr 5(6)”



Od 1936 roku podtytuł „W Słońce” brzmi: „Czasopismo młodzieży lubelskich szkół średnich”. Pierwszy z powyższych numerów jest w zbiorach Biblioteki Narodowej, drugi – biblioteki UMCS, pozostałe – WBP im H. Łopacińskiego.

Od tego roku podtytuł „W Słońce” brzmiał: „Czasopismo młodzieży lubelskich szkół średnich”, dlatego, kiedy 21 maja 1936 roku urządzono wieczór artystyczny promujący pierwszy po wznowieniu numer pisma, brała w nim udział młodzieży również z innych szkół. Uczestniczył w nim Józef Czechowicz wygłaszając prelekcję o sztuce.

W numerze tym została zamieszczona m.in. recenzja Jerzego Pleśniarowicza z tomu *Poezji* Tarasa Szewczenki, a także rozmowa o Bronisławie Ludwiku Michalskim, tragicznie zmarłym w 1935 roku poecie z kręgu Czechowicza.

Dodatkowe informacje o piśmie. Wydawcą był samorząd uczniowski. Redakcja i „administracja” mieściła się na ul. Ogrodowej 14, w gimnazjum. Druk: Drukarnia „Narodowa” Leona Milarskiego przy ul. Krakowskie Przedmieście 78.

Nr 2, wrzesień 1936.

W numerze tym ukazał się m.in. wywiad z Józefem Czechowiczem zatytułowany *O poezji* przeprowadzony przez J. Strachównę oraz dwa debiuty poetyckie: wiersz *Daleko las* Jerzego Pleśniarowicza i wiersz Julii Hartwig („J. Hartwiżanki”) *** [Ktoś zgubił słowo „poezja”]. Jest też zapowiedź: „Międzyszkolny Komitet redakcyjny «W Słońce» urządzi w drugiej połowie maja TURNIEJ RECYTACYJNY, w którym weźmie udział młodzież lubelskich szkół średnich Słowo wstępne wygłosi znany poeta J. Czechowicz”.

Nr 3, kwiecień 1937

W numerze tym znajdujemy umieszczone obok siebie wiersze Jerzego Pleśniarowicza (*stąd*) i J. Hartwiżanki (*Wiersz muzyczny*). Wiersz Jerzego Pleśniarowicza jest zapisany w „stylu Czechowicza” (bez wielkich liter) i jemu też dedykowany:

jerzy pleśniarowicz

stąd

józefowi czechowiczowi

Znajdujemy w nim również rozmowę Jerzego Pleśniarowicza z Józefem Łobodowskim. Oto jej fragmenty:

Jerzy Pleśniarowicz: Chciałbym dowiedzieć się od pana, jako założyciela i pierwszego

redaktora naszego pisma, w jakich warunkach powstało „W Słońce”?

Józef Łobodowski: O ile sobie przypominam historia zaczęła się w 7 klasie. Na lekcjach polskiego odbywały się żywe dyskusje na tematy literackie. Brało się romantyzm – materiału dyskusyjnego było dużo. P. Prof. Gdula, wnioskując z zainteresowań uczniów doradził, aby stworzyć szkolne pismo poświęcone literaturze. Praca nastęrczała trudności. W tym czasie wyraźnie zarysowywała się rywalizacja międzyszkolna, zwłaszcza w zakresie przedstawień teatralnych, które organizowała każda szkoła. Zaczęła „Lubelska”, gdzie wyróżniał się Małgorzewski, później my wystawiliśmy *Mazepę* i *Cyrana de Bergerac*.

Czasopismo przyjęto w innych szkołach z niechęcią i zazdrością; z tego powodu było ono deficytowe. Niedobory pokrywała szkoła. Raz fundusz pochłoniął także jedną moją pensję (przez wakacje pracowałem w telegrafii). Z drugiej strony starałem się o amortyzację kapitału. Nie płaciłem za Koło Rodzicielskie i pojechałem na Powszechną Wystawę Krajową do Poznania. Reperowaliśmy finanse imprezami i tak odbyła się zabawa „W Słońca”. Poza zadowoleniem nie dała spodziewanych dochodów.

Głównym działem w piśmie była „Literatura i Sztuka”, obok tego kącik radiowy, sportowy i „Życie szkolne”.

Dział literacki wypełniałem przeważnie sam. Drukowałem utwory pod pseudonimem „Brodzki”, „Rysz. Niwiński”, „Stanisław C-ski”. Najczęściej ukazywały się prace Kunowskiego, Postępskiego i Miklaszewskiego.

Jak kształtowała się pańska twórczość poetycka?

Bardzo dużo pisałem od IV klasy. Jak mię wywalił z budy wydałem książkę *Słońce przez szpary*. Gdyby nie to, ukazałaby się ona w rok, czy dwa lata później. [...]

Dużą rolę odgrywają obecnie poeci Lublina. W jaki sposób ocenia pan znaczenie poezji lubelskiej?

Poezja lubelska jest charakterystyczna, dlatego, że jedynie tematycznie wiąże się z Lublinem. Bo o ile Kraków czy Wilno stanowiły bardzo zwartą grupę, każdy z nich miał coś wspólnego z inny-



Stefan Piotrowski, *Lotnicy*, linoryt, „W Słońce” nr 1, marzec-kwiecień 1933. Pismo w zbiorach Biblioteki Narodowej.

³ Rozmowa Jerzego Pleśniarowicza z Józefem Łobodowskim, „W Słońce” nr 3 (4), kwiecień 1937, s. 5-7.

⁴ *Ciekawość świata*, rozmowa Agaty Koss z Julią Hartwig, „Kresy” nr 1, 1997, s. 115-116.

mi, to o Lublinie nie można tego powiedzieć. Tu każdy poeta stanowi szkołę sam dla siebie. Ostatnio ukazały się zbiorki najmłodszych – Popowskiego, Iwaniuka i Podstawki. Najsłabsze wydają mi się *Pieśni uroczyste* Popowskiego – dużo wpływów i rozgadania. Jeżeli chodzi o jednolitość i czystość liryki, wyróżnić należałoby Iwaniuka – potencjalnie wybijają się *Stopy w niewoli* Podstawki. Są to dopiero zapowiedzi. Ciekawe na ogół ale młode, nie skrytalizowane (odnosi się to najbardziej do Popowskiego). [...] **Co sądzi pan o swoim najwybitniejszym tomiku, za jaki można uważać *Rozmowę z Ojczyzną*?**

Uważam ją za swoją pierwszą książkę. Inne – to błędy młodości, które były nauką i doświadczeniem. *Rozmowa z Ojczyzną* jest jak gdyby

rozrachunkiem poetyckim jednostki z narodem, społeczeństwem i ludzkością. Należy to rozumieć tak, że wszystkie uczucia i przeżycia indywidualne, wyrażone w tych wierszach uległy konfrontacji ze światem uczuć zbiorowych, ponadjednostkowych. Słowem, żeby użyć odpowiedniego cytatu, jest to „cierpkie pieniactwo poety” z ojczyzną i zbiorowością.

Ukazało się drugie wydanie rozszerzone i uzupełnione, nakładem Hoesicka. Jednocześnie wyszedł zbiór dłuższych poematów pt. *Demonom nocy*. Oprócz tego nie rezygnuję z przekładów, gdyż jest to praca przyjemna, jak i pożyteczna. Chcę dać obszerną *Antologię poezji rosyjskiej*, która obejmowałaby kilkanaście tomów.

Wywiad przeciągnął się długo. Skończony. Na ulicach zapada charakterystyczna lubelska noc. „Zatraskuje pyski gwarnych bram, jest dobra, wszystko ucisza”.

*Ręko wytrwała i groźna,
mieszej glinę gwiazd w sinem kuble,
trójkacie nieustępliwy w niebieskiej
w gorzkiej pomroce mgły, wysokości,
nad blademi łakami
żarzy się senny Lublin:
miasto krzyczącej młodości.*³

Podsumowanie – oceny

„W Słońce” ukazało się jeszcze dwa. W roku 1938 – nr 4 i w roku 1939 – nr 5.

Julia Hartwig: Warto wspomnieć o czasopiśmie „W Słońce”, piśmie międzyszkolnym, gdzie debiutowałam kilkoma, pożałujcie Boże, wierszykami. [...] Naprawdę nie było się czym chwalić. Niewiele wiedziałam wówczas o poezji współczesnej i próbowałam pisać, nie mając żadnej kultury literackiej. W piśmie tym dużą rolę odegrał Pleśniarowicz, postać w ówczesnym środowisku literackim legendarna. On chyba jeden tylko z zespołu redakcyjnego wiedział, co to jest awangarda. I pisywał bardzo awangardowe wiersze w stylu Czechowicza, bardziej jednak idąc za techniką niż za duchem tej poezji. Po tem zupełnie zaprzestał pisanie.⁴

TRYBUNA

pismo młodej demokracji wychodzi 1-go i 15-go
każdego miesiąca.

„Trybuna” 1932-1934, 11 numerów

Pismo zaczęło wychodzić w marcu 1932 roku, a jego ostatni, 11. numer pochodzi z kwietnia 1934. Do numeru 5. redaktorem naczelnym był Józef Łobodowski. Od tego numeru zastąpił go Józef Falandysz. Szósty numer „Trybuny” został skonfiskowany za wiersz Łobodowskiego *Słowo o prokuratorze*.

Do numeru 9. adres redakcja mieściła się przy Krakowskim Przedmieściu 70. W numerze 9. widnieje informacja, że redakcja mieści się przy ul. Staszica 7. W kolejnym numerze (marzec 1934) podany adres: Staszica 6. W „Trybunie” ukazywało się bardzo dużo reklam lubelskich sklepów i restauracji. Omówimy kilka najciekawszych numerów tego pisma.

Nr 1, 1 marca 1932

Podtytuł: „pismo młodej demokracji wychodzi 1-go i 15-tego każdego miesiąca”. Numer otwiera artykuł wstępny *O nową cywilizację* będący rodzajem manifestu. Znajdujemy w nim m.in. takie słowa:

Od nas, od naszej dobrej woli, wysiłku intelektualnego i mięśni zależy, aby [...] przyszłość była lepszą od ciemnego dnia wczorajszego, aby następne pokolenia zasłużyły wreszcie w pełni na nazwę ludzi, aby człowieczeństwo, poniewierane tak długo, zatryumfowało nareszcie.

W tym numerze ukazał się tekst Józefa Łobodowskiego *Serce za barykadą*.

Józef Łobodowski: To było pierwsze moje wystąpienie wzywające do zgody między Polakami a Ukraińcami. Oczywiście ten artykuł wywołał tylko oburzenie ze strony polskiej.⁵

Nr 3, 1 kwietnia 1932

W tym numerze w dziale „Nowe wydawnictwa” znajduje się omówienie tomiku wierszy Józefa Czechowicza *Ballada z tamtej strony* autorstwa Józefa Łobodowskiego (podpis: „jł”):

Nowy tom Czechowicza jest nowem objawieniem czystej i bujnej poezji. W porównaniu z *Dniem jak codzień* bardziej chyba jednolity i zwarty, odcina się od przeciętnej produkcji wierszowanej nie tylko wytrzymaniem strony formalnej, o co teraz bywa najłatwiej, ale przede wszystkim niesłychanym napięciem poe-

Winieta z wewnętrznej strony okładki pierwszego numeru „Trybuny”. Ta i pozostałe ilustracje w tym rozdziale pochodzą z egzemplarzy pisma w zbiorach WBP im. H. Łopacińskiego.

⁵ Rozmowa z Józefem Łobodowskim, „Spotkania” nr 33-34, 1987, s. 202.

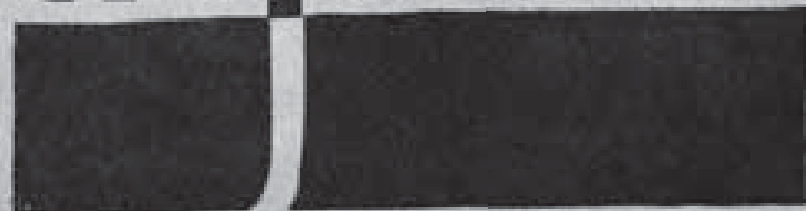


Kazimierz Pieniążek, *Dominiakany*, drzeworyt. „Trybuna” 1932, nr 5.



rok
l nr

trybuna



tyckiej wyobraźni. To jest już inny świat, gdzie migotliwe skrawki rzeczywistości są pretekstem nie celem, a słowa unoszone głębokim nurtem wzruszeń brzmią, jak fujarkowe echo z „tamtej strony”. Wy różniłbym monotonna senne *Przez kresy, Samobójstwo* i cudowny w swej niesamowitej śpiewności wiersz tytułowy.

Czytelnik przyzwyczajony do poetyzujących pianki, do werbalizmu i łatwej gadatliwości przejdzie do porządku dziennego nad tą książką, inny znajdzie cały świat przeżyć i wzruszeń zamknięty w patetycznie skromnych poezjach Czechowicza.

W „Notach” znajdujemy ciekawą zapowiedź:

W bieżącym miesiącu w jednym z kin lubelskich odbędzie się pierwszy w Lublinie pokaz filmu artystycznego. Projektowane jest wyświetlenie *Romansu sentymentalnego* Eisensteina i *Symfonii fabrycznej* Irensa. Pokaz ten odbędzie się staraniem warszawskiego towarzystwa miłośników sztuki filmowej pt. „Start” i redakcji „Trybuny”.

Niestety do zapowiadanego pokazu nie doszło. Dowiadujemy się o tym w następnym numerze (nr 4, 20 kwietnia): „Pokaz filmu artystycznego sygnalizowany przez nas w poprzednim numerze «Trybuny», niestety, nie odbędzie się ze względu na to, że ...filmu nie można wypożyczyć.”

W trzecim numerze „Trybuny” umieszczona jest wklejka z intrygującym rysunkiem Czesława Stefańskiego przedstawiającym Bramę Krakowską.

Nr 6, 1 czerwca 1932

Numer ten został skonfiskowany za wiersz Łobodowskiego *Słowo o prokuratorze*. W tym czasie Łobodowskiego nie było już w redakcji „Trybuny”. W dziale „Nowe wydawnictwa” znajdujemy w nim drugą już, tym razem niepodpisaną, recenzję tomu Józefa Czechowicza *ballada z tamtej strony*:

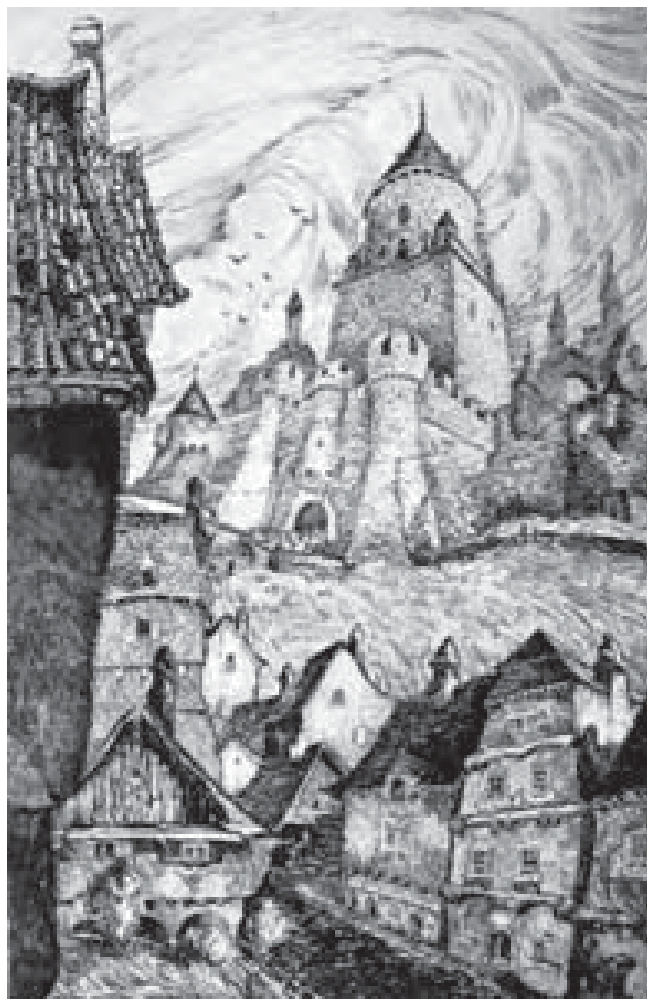
Po dwóch pierwszych tomikach: *kamień* i *dzień jak co dzień* czarujących śmiałą i świeżą dojrzałością treści i formy, ukazała się trzecia książka J. Czechowicza:

ballada z tamtej strony. Tutaj krzywa interesującej twórczości Czechowicza wznosi się stromą linią jeszcze wyżej, niżli w poprzednich tomach. Wyżej – tak gdy chodzi o wyraz wewnętrzny, jak i stronę czysto formalną.

Enigmatyczna treść duszy Czechowicza szuka szczęśliwie właściwego sobie wyrazu w mistycznie wygiętej składni zdań, w sumie układających się w odrębną, zamkniętą w sobie, skończenie piękną architekturkę wiersza. A – od wewnątrz? – Zagęszczona, aż do utraty tchu, atmosfera prawdziwej,

Na sąsiedniej stronie:
Okładka pierwszego numeru „Trybuny”. Autor: Jan Samuel Miklaszewski.

Czesław Stefański, *Brama Krakowska*, rysunek piórkim. „Trybuna” nr 3, 1932.



TRYBUNA

pismo młodej demokracji wychodzi 1-go i 15-go
każdego miesiąca.

Rok pierwszy — numer pierwszy — 1-go marca 1932 r.

TREŚĆ:

" * "	O nową cywilizację.
Józef Falandysz	Na marginesie prawa malteńskiego.
Władysław Wąchala	Demokracja pracy.
Józef Łobodowski	Nie będziem więcej.
" . "	Serca za barykadą.
Stefan Strachocki	Fanatyk ludzkości.

Nowe wydawnictwa — Noty — Polemika (Pod pręgierzem świętej inkwizycji)
— Kronika akademicka.

Kliszę tytułową ciął w linoleum Jan samuel miklaszewski.

Redakcja i administracja — Lublin, Krak.-Przedm. 70 — tel. 13-92
godziny przyjęć 18 — 20 we wtorki i piątki.

Redaktor naczelny i odpowiedzialny:	Wydawca:
Józef Łobodowski.	Zbigniew Chomicz.

Prenumerata roczna 15 zł. — kwartalna 4 zł. — numer pojedynczy 80 gr.

Cena ogłoszeń: $\frac{1}{2}$ strony 150 zł., $\frac{1}{3}$ 80 zł., $\frac{1}{4}$ 40 zł., $\frac{1}{8}$ 25 zł.

Drukarnia „Ludowa” J. Papieła — Lublin, Krak.-Przedm. 80.

tragicznej w swem natężeniu poezji, atmosfera, w kolorze i zapachu przypominająca wieczorne majowe niebo, rozświetlone niespodziewanie błyskawicami metafor, ukazujących nam na chwilę zawrotną otchłań i piękno prawdziwej poezji.

Książka J. Czechowicza jest wyjątkowo rzadkim i pięknym zjawiskiem w skłóconym bałwanami i morzu frazeologii pseudopoetyckiej.

Nr 7, 15 października 1932

W tym numerze „Trybuny” w tekście „Od redakcji” czytamy:

Jako organ lubelski młodej demokracji chcemy nawiązać do tradycji sprzed kilkunastu lat, gdy Lublin był jednym z żywych ośrodków postępowej myśli społecznej. [...] „Trybuna” chce stać się tem ogniskiem dla młodej demokracji lubelskiej i ludzi dobrej woli.

Być może tym tekstem redakcja postanowiła odciąć się od radykalnego w treści wiersza Łobodowskiego *Słowo o prokuratorze* z nr 6,

„Trybuny”, który stał się przyczyną jego konfiskaty. W 7. numerze „Trybuny” znajdujemy informację, że „wyszedł pierwszy numer miesięcznika «Barykady» pod redakcją Józefa Łobodowskiego”.

Teksty Czechowicza w „Trybunie”:

nr 4: *Legion ulicy i jego gwara*

nr 6: *W pejzażu* (wiersz)

nr 7: *Ulica Szeroka w Lublinie* (wiersz), *Muzyka ulicy Złotej* (wiersz)

Wśród autorów okładek poszczególnych numerów „Trybuny” znajdujemy m. in.: Jana Samuela Miklaszewskiego (nr 1, 4, 6) i Wita Chomicza (nr 2, 3).

Miejsca druku „Trybuny”:

Drukarnia „Ludowa” J. Popiela, Krakowskie Przedmieście 60 (nr 1, 2)

Drukarnia „Popularna”, Zamojska 37 (nr 3, 4, 5, 6)

Drukarnia „Sztuka”, ul. Kościuszki 8 (nr 7, 8)

Zakłady Graficzne J. Pietrzykowski, ul. Kościuszki 4 (nr 9)

Drukarnia „Polonia” ul. Nowa 15 (nr 10)



Krakowskie Przedmieście z widokiem na kościół Świętego Ducha, ok. 1920 rok. Fot. Ludwik Hartwig. Z archiwum TNN.

barykady

miesięcznik literacko-społeczny

lublin 1 października 1932

Winieta z wewnętrznej strony okładki „barykad” 1932, nr 1. Na sąsiedniej stronie okładka tego numeru. Ta i pozostałe ilustracje w tym rozdziale pochodzą z egzemplarzy pisma w zbiorach WBP im. H. Łopacińskiego.

„Barykady” 1932-1933, 3 numery

„Barykady” były w zamierzeniu miesięcznikiem literacko-społecznym. Redagował je Józef Łobodowski, a wspierał go Józef Czechowicz. Pierwszy numer ukazał się 1 października 1932, drugi numer (wydany w listopadzie) został skonfiskowany przez cenzurę. W marcu 1933 wyszedł jeszcze trzeci zeszyt „Barykad” w formie gazetowego „dodatku”.

Historia „Barykad”

Irena Szypowska: W październiku 1932 ukazał się pierwszy numer miesięcznika pod znaczącym tytułem „Barykady”. [...] Pierwszy numer poświęcony poezji i publicystyce kulturalnej politycznie był stonowany. „Barykady” od razu dostrzeżono w środowisku literackim Polski, a pisarze należący do nowo założonego Związku Literatów wiązali z nim duże nadzieje.

Niestety drugi numer okazał się zbyt bojowy i agresywny, pełen ostrych oskarżeń pod adresem Kościoła, państwa, szkoły oraz stołecznej inteligencji. Miesięcznik zwany literackim, nabrał zdecydowanie politycznego oblicza. [...] Brak wielkich liter i innych poza myślnikami, znaków interpunkcyjnych – były cechą pisma, co podkreślało bezkompromisowość i wolność od wszystkich zasad i reguł. Ten numer „Barykad” został skonfiskowany zanim dostał się w ręce czytelników.

Czekając na proces, przygotował Łobodowski czterostronicowy dwutygodniowy dodatek do swego miesięcznika. Miał on formę gazetową i bez okładki oraz potrzeby zszycia mógł prosto z drukarni znaleźć się w sprzedaży. Jednak nie znalazł się, 15 stycznia 1933 starosta grodzki nałożył areszt na ten numer, a sąd zatwierdził tę decyzję. Józef Zięba badający wszystkie akta sądów lubelskich dotyczące Łobodowskiego (korzystam z jego pracy) znalazł ten i inne skonfiskowane egzemplarze w aktach sprawy. [...] Nie ukazał się też przygotowany już w 1933 roku trzeci [faktycznie czwarty, licząc razem z „dodatkiem”] numer „Barykad”. [...]

Józef Łobodowski jako redaktor odpowiedzialny i autor wielu tekstów stanął przed sądem za przytaczanie fałszywych wiadomości mogących wywołać niepokój publiczny, za znieważanie godła Polski i urzędników państwowych, za podburzanie żołnierzy do niewykonania rozkazów w przypadku wybuchu wojny, za wzywanie do zmiany przemocą ustroju państwa, za ostre ataki na hierarchię kościelną. Sąd Okręgowy obydwie sprawy: „Barykad” i dwutygodniowego dodatku do miesięcznika – rozpatrywał oddzielnie. Najpierw odbył się proces za dodatek. 23 sierpnia Sąd Okręgowy w Lublinie skazał Łobodowskiego na dwa lata i sześć miesięcy aresztu. Uzasadnienie wnika w biografię skazanego i zwraca uwagę na środowisko, w jakim działał. Biorąc pod uwagę z jednej strony młody



n° 1

Library
Reading

n° 1

Dublin 1 oktobra 1933.

wil chemia — 1. lek. toksologia;
 jasił wczoraj — wcz. 1. jechał
 jasił (obchodząc) — pilnował
 marja encyklopedja — kolumny dem.
 marja pociąg — masy studijny
 grejger timofajew — dwa wiodownicy
 kurał białki — ada de wize
 las (z)er (z)imand — gład (z)im. 1. zuchowca
 siargi (z)akata — jasił (z)im. 1. (obchodząc)
 siargi (z)akata — wysawa (z)im. 1. (obchodząc)
 jasił wydra — lakowca
 marja pociąg — kryty (z)im. 1. pociąg
 stas (z)uchowca — twój (z)im. 1. (obchodząc)
 adam (z)uchowca — kolumny (z)im. 1. (obchodząc)
 (z)im. (z)uchowca — masy (z)im. 1. (obchodząc)
 marja (z)uchowca — masy (z)im. 1. (obchodząc)

© 2004 Blackwell Publishing Ltd *Journal of Internal Medicine* 255: 111–118

© 2005 Blackwell Publishing Ltd, *Journal of Internal Medicine* 258: 105–112

wydaje się, że nie należy nadmiernie wierzyć w ich skuteczność.

Downloaded from <http://ajphaphapublications.sagepub.com/> at 11:01 11 June 2015

Received 15 November 1999; accepted 15 November 1999

...mentum ...

Downloaded from <http://ajph.org/> at University of California, San Francisco on June 11, 2015

sufficient to drive down the performance of the system. 17

wiek i sytuację rodzinną oskarżonego, z drugiej zaś „brak skruchy”, sąd zastosował średni wymiar kary. Wyrok nie był prawomocny. Ktoś od razu wpłacił kaucję w wysokości 200 złotych i Łobodowski wyszedł na wolność. Złożył odwołanie i upoważnił do obrony swego przyjaciela, adwokata Konrada Bielskiego, a sam zajął się sprawami literackimi.⁶

Interpunkcja w „Barykadach” (nr 2)

Teksty z drugiego numeru „Barykad” pozbawione były znaków interpunkcyjnych. Zirykowało to Czesława Miłosza:

Snobizm drukowania małymi literami. Co u licha tym lubliniakom się stało? Niebezpieczne kręcki napadły ich biedne głowy. „Barykady” lubelskie pomimo bardzo dobrej zawartości robią komiczne i żałosne wrażenie dzięki systemowi unikania wielkich liter. Zgadza się, że w wierszach jest to czasem potrzebne. Ale robić z tego principium?⁷

Dlaczego tak się stało wyjaśnia zarówno Czechowicz jak i Łobodowski.

Józef Łobodowski: Używanie małych liter było podyktowane względami cenzuralnymi. Usunięcie interpunkcji daje wiele zajęcia cenzorowi, a w międzyczasie introligator mógł oprawić uratowane egzemplarze „Barykad”.⁸

Józef Czechowicz w liście do Kazimierza A. Jaworskiego z Lublina 6 października 1932:

Co do ich charakteru [„Barykad”], wobec faktu, że redaktorem jest Łobodowski, nie masz chyba wątpliwości. [...] Pierwszy numer wyszedł 1 października i wyszedł z trudem, gdyby nie fakt, że cenzor nie mógł wychwycić wątku artykułów, drukowanych bez znaków przestankowych, prawdopodobnie nie ukazałyby się nigdy. Możliwe, że drugi zostanie skonfiskowany z punktu, bez czytania.⁹

Czechowicz a „Barykady”

Dużo o „Barykadach” dowiadujemy się z listów Czechowicza wysłanych do Mariana Piechała i Mariana Czuchnowskiego.

Do Mariana Piechała 25 sierpnia 1932:

We wrześniu [1932] przyjaciele lubelscy ze „skonfiskowanym poetą” J. Łobodowskim na czele przystępują do wydawania pisma literacko-społecznego. Ja, Madej, Michalski będziemy Łobodowskiemu pomagali i z tego właśnie tytułu proszę Pana o współpracę.¹⁰

Do Mariana Czuchnowskiego 12 września 1932:

Gorąco zapraszam Pana do „Barykad”, które zresztą nie ja wydaję, lecz proletariaczek Józef Łobodowski, że wierzę w to pismo i będę w nim pracował z nadzieją.¹¹

O niezrealizowanych planach dotyczących „Barykad” dowiadujemy się z kolejnego listu Czechowicza do Czuchnowskiego z 3 listopada 1932:

Pracujemy nad planami dalszych zeszytów „Barykad”. Styczniowy numer będzie regionalny. Obejmie wiersze, artykuły i reprodukcje związane z Lublinem i Lubelszczyzną. Między innymi będziemy drukowali większą pracę J. S. Miklaszewskiego o malarstwie Wydry. Numer z lutego 1933 wyjdzie w objętości 100 stron i obejmie wiersze tłumaczone z rosyjskiego, artykuły o literaturze i życiu Rosji etc. Trzeci numer poświęcimy kulturze francuskiej (może Pan ma przekłady?) To w marcu. Dalej plany nasze na razie nie sięgają.¹²

I fragmenty dwóch listów (19 grudnia 1932 i 27 stycznia 1933) opisujące, jak rzeczywistość rozminęła się z planami:

„Barykady” skonfiskowano. Łobodowski od kilku tygodni jest w Warszawie i przypuszczam, że go po prostu list pański nie doszedł. Nie wiem czy „Barykady” będą wznowione i nawet – wątpię. Konfiskata całego nakładu numeru na dobrym papierze, z 3 ilustracjami, to kilkaset złotych straty, a pieniądze ostatecznie nie leżą na ulicy.¹³

J. Łob. wydał 2-gi numer swego pisma – skonfiskowano, podcinając poważnie finanse. W połowie stycznia Ł. wydał dodatek, w formie 4 stronic ga-

Wewnętrzna strona okładki „Barykad” nr 1, 1932.

⁶ Irena Szypowska, *Łobodowski. Od „Atamana Łobody” do „Seniora Lobo”*, Warszawa 2001, s. 30 -33.

⁷ Czesław Miłosz, *Lublin żyje*, w: tenże, *Przygody młodego umysłu. Publicystyka i proza 1931-1939*, oprac.

Agnieszka Stawiarska, *Kraków* 2003, s. 67.

⁸ Rozmowa Jerzego Pleśniarowicza z Józefem Łobodowskim, „W Słońce” nr 3 (4), kwiecień 1937, s. 5.

⁹ Z listu Czechowicza do Kazimierza A.

Jaworskiego, w: Józef Czechowicz, *Listy*, Lublin 1977, s. 182.

¹⁰ List do Mariana Piechała, w: tamże, s. 175.

¹¹ *Listy Józefa Czechowicza do Mariana Czuchnowskiego*, oprac. Janusz Kryszak, „Poezja” nr 1, 1981, s. 36.

¹² Tamże.

¹³ Tamże.

zety, wielkości takiej ja stronie I.K.C. Dodatek ten, w którym zdeklarował się aż zanadto wyraźnie uległ konfiskacie, jego samego zaś przymknięto na parę dni. Obecnie jest na swobodzie za kaucją.

Wszystko to byłoby ważne, gdyby J. Ł. miał więcej wagi w swoich wystąpieniach a mniej kawalarstwa. Dodatek

ów skonfiskowano za dowcipy w rodzaju „tępy łeb satrapy”, „głupawe zarządzanie” itp. drugi numer „barykad” miał też takie kwiatuszki, które niezależnie od treści, zniechęciły mnie trochę do niego. Przecież można powiedzieć i te i inne kwestie w sposób nie-kawalerski. Pierwsza rozprawa J. Łob. Odbędzie się 31 b.m.¹⁴

¹⁴ Tamże.



Wit [Witold] Chomicz, z *tekki lubelskiej*, grafika z „barykad”.

D Ź W I G A R Y

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE
POLSKIEJ KULTURY PROLETARJACKIEJ

Numer pierwszy w Lublinie—Listopad 1934 roku

„Dźwigary” 1934-1935, 2 numery

Pierwszy numer miesięcznika „Dźwigary” ukazał się w Lublinie w listopadzie 1934 roku. Formalnie redaktorem pisma był Kazimierz Wójcik, ale w rzeczywistości pismem kierował Józef Łobodowski. Wyszedł jeszcze jeden numer „Dźwigarów” za grudzień 1934 i styczeń 1935. Po ukazaniu się tego drugiego numeru umarło ono śmiercią naturalną. Redakcja pisma mieściła się przy ul. Narutowicza 37/18.

Józef Łobodowski: Dojrzał we mnie pielęgnowany od dawna zamiar założenia miesięcznika literackiego w Lublinie. Tak powstały „Dźwigary”, łączące radykalizm społeczny z awangardyzmem poetyckim, a mające ponadto ambicje – jakby to określić usadowienia czy usamodzielnienia polskiego marksizmu. Słowem typowe „odchylenie nacjonalistyczne”. „Dźwigary” skończyły się na drugim numerze, ale narobiły sporo hałasu i stały się preludium do ostatecznego zerwania z komunizmem. [...]

Była to próba bardzo ambitna, a zarazem świadomie prowokacyjna pod adresem stojącej i gnijącej topieli polskiej „myśli” lewicowej. [...] Gdyby wówczas istniało takie pojęcie, jak „narodowa droga do socjalizmu”, „Dźwigary” można by było chyba podciągnąć pod ten termin bez większego trudu. Urządziłem na własną rękę coś w rodzaju literackiego „października”, z tą jednak różnicą, że całkowicie na serio i bez błogosławieństwa „z góry”.¹⁵

Józef Czechowicz: W Lublinie znowu odżywa tradycja literacka. Po „Reflektorze”, „Trybunie” i „Barykadach” zaczął wychodzić nowy periodyk literacki pod redakcją K. Wójcika. „Dźwigary” – taki jest tytuł owego miesięcznika – przedstawiającego się bardzo ciekawie. Wysocki poziom wierszy, zacięty marksizm w artykułach, nawet tych, które nic wspólnego z marksizmem nie mają, wojowniczy ton w „wypadkach” i wreszcie paszkwil na Nowaczyńskiego, dają w sumie całość niełatwą do ogólnej oceny.¹⁶

Tadeusz Kłak: Miesięcznik nawiązywał do tradycji radykalnego miesięcznika „Barykady” z 1932 roku, z tym że obecnie cele pisma zostały wyraźniej sprecyzowane. Zapowiadano, że będzie ono poświęcone sprawie „polskiej kultury proletariackiej”. Dodajmy, że chodziło tu po prostu o równoczesną opozycję przeciw Skamandrowi i awangardzie krakowskiej. Taka była oficjalna linia pisma.

Ta jego orientacja oraz opozycyjne nastawienie wobec nowatorów krakowskich nie zmieniały faktu, iż „Dźwigary” reprezentowały tendencje awangardowe. Wystarczy wymienić nazwiska poetów z pierwszego numeru: Zagórski, Piętaś, Czechowicz, Miłosz, Łobodowski, Putrament. Było to więc pismo poetów lubelsko-wileńskich, a więc „drugiej awangardy”, tym bardziej że i sam Łobodowski był wówczas do niej zaliczany. Znajdowały się zresztą wtedy w obiegu opinie, iż „Dźwigary” stano-

Winieta z wewnętrznej strony okładki „Dźwigarów”. Ta i pozostałe ilustracje w tym rozdziale pochodzą z „Dźwigarów” nr 1, 1934. Pismo w zbiorach WBP im. H. Łopacińskiego.

Na następnej stronie: okładka „Dźwigarów”.

¹⁵ Józef Łobodowski, *O cyganach i katastrofistach* (3), „Kultura” nr 10, 1964, s.35-36.

¹⁶ Józef Czechowicz, *W Mieście Poetów* (notka w dziale „Kronika bieżąca”), „Miesięcznik Literatury i Sztuki” nr 4, grudzień 1934, s. 128.

30754.



dxumi
qar'q

n'1

111

wią organ awangardy lubelskiej, niektórzy po prostu uważali je za pismo Czechowicza.

Biblioteka poetycka „Dźwigarów” również publikowała książki tego kręgu, wydając zbiory Piętaka i Łobodowskiego. Numer drugi poszerzył krąg współpracowników o poetów łódzkich

(ze względu na ich radykalne społecznie wiersze), natomiast trzeci miał przynieść teksty przedstawicieli awangardy krakowskiej – Mariana Czuchnowskiego i Juliana Przybosia. [...] Ten numer pisma nie doczekał się już druku, toteż związek Przybosia z lubelskim miesięcznikiem pozostał w ukryciu.¹⁷

¹⁷ Tadeusz Klak, *Czasopisma awangardy. Część I. 1919-1934*, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk 1978, s. 155-156.



Na sąsiedniej stronie rozdziału: Jan Samuel Miłkaszewski, *Joanna d'Arc*, wklejka do „Dźwigarów” nr 1, listopad 1934.

Łobodowski i Czechowicz

Do kontaktów Łobodowskiego z Czechowiczem doszło zapewne około 1931 roku. W tym roku Łobodowski zdał maturę i rozpoczął studia na KUL-u. Wtedy też bez wątpienia zaangażował się w tworzenie przez Czechowicza „Kuriera Lubelskiego”, którego pierwszy numer ukazał się 1 stycznia 1932. Józef Łobodowski: Byłem od poetów lubelskiego „Reflektora” znacznie młodszy – jeszcze sztubak, gdy oni już na uniwersytecie. Z biegiem czasu różnice się zatarły, ale powiedzmy w roku 1928 miały swoje znaczenie. Doganiałem ich powoli, ale stale i już po 1932 byliśmy ze sobą per ty.¹⁸

Co nas wszystkich łączyło w dość sennym, mimo uniwersytetu i licznych instytucji kulturalnych, środowisku prowincjonalnym? Czy tylko bezpośrednie sąsiedztwo? Żeby zapukać do okna pokoju Czechowicza, wystarczyło skrócić ze Staszica na Radziwiłłowską, skąd do redakcji „Kuriera” było sto kroków, do Semadeniego – trzysta. Obijaliśmy się o siebie na każdym kroku, jakże więc nie miało dojść do zbliżenia.

Ale nie tylko to. Ambicje osobiste ludzi o tak bardzo odmiennych indywidualnościach znajdowały wspólny mianownik w zamiłowaniach regionalnych, w sentymencie do miasta urodzenia, czy chociażby tylko zamieszkania.¹⁹ Wątków łączących Józefa Łobodowskiego i Józefa Czechowicza było wiele. Część z nich dotyczyła pism i została omówiona powyżej oraz w rozdziale poświęconym „Kurierowi Lubelskiemu”. Inne – z racji różnorodności ich charakteru – warte są osobnej wzmianki właśnie w kontekście ich wzajemnych relacji, nawet jeśli informacje o nich pojawiają się też w innych miejscach.

Łoża Wielkiego Uśmiechu

W środowisku lubelskiej cyganerii literackiej powstała nieformalna „Łoża Wielkiego Uśmiechu”. Nie mogło tam oczywiście za-

braknąć Czechowicza ale też i Łobodowskiego. Według Łobodowskiego Łoża Wielkiego Uśmiechu, założona została w Lublinie na przełomie lat 1931-1932.

Józef Łobodowski: Inicjatorem był Józef Czechowicz, więc z natury rzeczy wybraliśmy go Bratem Prezesem. Każdy ze szczupłej grupki założycieli miał odpowiednie stanowisko w zarządzie. Ja otrzymałem tytuł Brata Starszego. Posiedzenia Łoży odbywały się w dniach powszednich w niewielkiej cukierni Semadeniego (na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Staszica), w niedzielę i święta u Rutkowskiego. Każde posiedzenie zaczynało się od odczytania rymowanej listy członków. Brat Prezes mówił pierwszy wers, a cała reszta chóralnie – nazwisko. Wyglądało to następująco. Prezes: „Światu urąga...”, chór: „Brat Henio Donga!” – „Piękny jak łandysz” (po rosyjski – konwalia, innego rymu autor nie znalazł), chór: „Józio Falandysz!” – „Piekiel psalmodia... Sancta Łobodia!” i tak dalej. Aż na samo zakończenie: „Dusze chce łowić... Józef Czechowicz!” [...] Kiedy powstała nasza Łoża, grupa „Reflektora” już nie istniała, a czasopismo wydawane przez nią należało do przeszłości.²⁰

Więcej o Łoży – w osobnym hasle poniżej.

Czechowicz żartobliwie o Łobodowskim

Nazwisko Łobodowskiego zostało wymienione przez Czechowicza w dwóch hasłach w napisanym przez niego w 1933 roku „suplemencie” do *Nowości lubelskich*:

Łobodowski Józef – Od wyroku do wyroku – jeszcze jeden raz utwór na fortepian i 2 grzebień. Lublin 1933. Nakładem Zw. Manicurzystek

*Olearczyc starosta (weselny). O dobrodziejstwach konfiskaty. Lublin 1933. Nakładem J Łobodowskiego.*²¹

O Łobodowskim (w związku z jego zerwaniem z komunizmem) ułożył Czechowicz

¹⁸ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 34.

¹⁹ Józef Łobodowski, *O cyganach i katastrofistach (I)*, „Kultura” nr 7/8, 1964, s. 40.

²⁰ Tenże, *Dusze chce łowić...*, „Kresy” nr 9-10, 1992, s. 167.

fraszkę *Kim jest autor książki „Człowiek zmienia skórę”*:

Tom „Człowiek zmienia skórę” znalazłem gdzieś w szafie:

*Co – Łobodowski wydał swą autobiografię?*²²

Łobodowski w listach Czechowicza

O stosunkach Czechowicza do Łobodowskim wiele mówią wzmianki w listach Czechowicza dotyczące działalności Łobodowskiego jako wydawcy „Barykad” i „Dźwigarów”. W liście do Mariana Piechała z Lublina w dniu 25 sierpnia 1932 Czechowicz pisze:

We wrześniu przyjaciele lubelscy ze „skonfiskowanym poetą” J. Łobodowskim na czele przystępują do wydawania pisma literacko-społecznego. Ja, Madej, Michalski będziemy Łobodowskiemu pomagali i z tego właśnie tytułu proszę Pana o współpracę.²³

Do Mariana Czuchnowskiego z Lublina 12 września 1932:

Gorąco zapraszam Pana do „Barykad”, które zresztą nie ja wydaję, lecz proletariaczek Józef Łobodowski, [...] wierzę w to pismo i będę w nim pracował z nadzieją.²⁴

Do Kazimierza A. Jaworskiego z Lublina 6 października 1932:

Przyślij nam coś do „Barykad”. Co do ich charakteru, wobec faktu, że redaktorem jest Łobodowski, nie masz chyba wątpliwości. [...] Pierwszy numer wyszedł 1 października i wyszedł z trudem, gdyby nie fakt, że cenzor nie mógł wychwycić wątku artykułów, drukowanych bez znaków przestankowych, prawdopodobnie nie ukazałyby się nigdy. Możliwe, że drugi zostanie skonfiskowany z punktu, bez czytania.²⁵

Zbieg okoliczności sprawił, że w tym samym liście, w którym jest wzmianka o kłopotach z cenzurą przy wydawaniu pierwszego numeru „Barykad”, 45 lat później znajdujemy ślad cenzury powojennej. W roku 1977 wychodzą Listy Józefa Czechowicza,

ale we wspomnianym liście brakuje zdania o Łobodowskim: „Co do ich charakteru [„Barykad”], wobec faktu, że redaktorem jest Łobodowski, nie masz chyba wątpliwości.” Łobodowski tępiony przez cenzurę jako komunista, po wojnie jest na indeksie m.in. za współpracę z paryską „Kulturą” i poglądy skrajnie antykomunistyczne.

Do Mariana Czuchnowskiego z Lublina 19 grudnia 1932:

„Barykady” skonfiskowano. Łobodowski od kilku tygodni jest w Warszawie [...]. Nie wiem czy [...] będą wznowione i nawet – wątpię. Konfiskata całego nakładu numeru na dobrym papierze, z 3 ilustracjami, to kilkaset złotych straty, a pieniądze ostatecznie nie leżą na ulicy.²⁶

Do Mariana Czuchnowskiego z Lublina 27 stycznia 1933:

J. Łob. wydał 2-gi numer swego pisma – skonfiskowano, podcinając poważnie finanse. W połowie stycznia Ł. Wydał dodatek, w formie 4 stronic gazety, wielkości takiej jak stronice I.K.C. Dodatek ten, w którym zdeklarował się aż za nadto wyraźnie uległ konfiskacie, jego samego zaś przymknęto na parę dni. Obecnie jest na swobodzie za kaucją.

Wszystko to byłoby ważne, gdyby J.Ł. miał więcej wagi w swoich wystąpieniach a mniej kawalerstwa. Dodatek ów skonfiskowano za dowcipy w rodzaju „tępy łeb satrapy”, „głupawe zarządzenie” itp. drugi numer „barykad” miał też takie kwiatuszki, które niezależnie od treści, zniechęciły mnie trochę do niego. Przecież można powiedzieć i te i inne kwestie w sposób niekawalerski. Pierwsza rozprawa J. Łob. Odbędzie się 31 b.m.²⁷

W roku 1934 Łobodowski zaczął przygotowania do wydania następnego pisma – „Dźwigarów”. W liście Czechowicza do Tadeusza Hollendra wysłanym w czerwcu 1934 znajdujemy bardzo charakterystyczne zdanie: „Buntowniczy i ekspansywny Łobodowski już montuje tu w Warszawie, własne pismo pt. «Dźwigary»”²⁸

²¹ Zob. „Scriptores” nr 30, 2006, s. 399-401.

²² Tamże.

²³ List do Mariana Piechała, w: Józef Czechowicz, *Listy*, s. 175.

²⁴ *Listy Józefa Czechowicza...*, s. 36.

²⁵ List do Kazimierza A. Jaworskiego, w: Józef Czechowicz, *Listy*, s. 182.

²⁶ *Listy Józefa Czechowicza...*, s. 39.

²⁷ Tamże, s. 40.

²⁸ List do Tadeusza Hollendra, w: Józef Czechowicz, *Listy*, s. 276.

H[enryk] D[onga], Józef Łobodowski. Karykatura Łobodowskiego wykorzystana w *Antologii współczesnych poetów lubelskich*, Lublin 1939. Oryginał w zbiorach WBP im. H. Łopacińskiego (rkps 2156, k. 328).



W korespondencji Czechowicza znajdujemy jeszcze wiele innych wzmianek o Łobodowskim, często są to drobne uszczypliwości pod jego adresem. W liście do Antoniego Madeja z Warszawy 19 marca 1934 Czechowicz pisze: Łobodia jest w Lublinie. Adres: Świętoduska 18. Więzienie wojskowe.²⁹

Do Madeja z Warszawy 11 kwietnia 1935: Jak tam „Parafia poetów”. Co robi koń atamana Łobody?³⁰

Do Kazimierza A. Jaworskiego z Warszawy 6 marca 1936:

A Łobodowski w ostatniej „Kamieniu” słabiutki.³¹

Chodziło o wiersz Łobodowskiego *Cmentarz lubelski* („Kamena” 1936, nr 6).

Jednak Czechowicz traktował Łobodowskiego również poważnie i po partnersku, o czym można się przekonać z cytowanej już korespondencji Czechowicza dotyczącej współpracy przy tworzeniu pism. W liście Czechowicza do Wacława Gralewskiego wysłanym z Warszawy 28 września 1936 czytamy: Czy montujesz już z Łobodą kolumnę literacką „Expressu Lubelskiego”?³²

Do utworzenia tej literackiej kolumny nigdy nie doszło. W tym samym liście:

Gończę cię proszę, nie dawaj nikomu mego adresu. W Lublinie znają go tylko Kazio [Miernowski] i Łobodowski.

Z próby tej wynika, że Łobodowski był jedną z tych osób, z którą w tym okresie Czechowicz utrzymywał stałe kontakty.

Najazd Awangardy na Warszawę (10 marca 1934)

W ramach organizowanego przez Józefa Czechowicza tzw. „Najazdu Awangardy na Warszawę” odbył się w 10 marca 1934 wieczór poetycki. Miał na nim również wystąpić Łobodowski. Niestety, dzień wcześniej został aresztowany w związku i oskarżony o działalność wyrotową w czasie pełnienia służby wojskowej (co było związane z rewizją w jego szafce po próbie samobójstwa). Sprawa wyglądała bardzo poważnie. Pod nieobecność Łobodowskiego jego wiersz *Piłsudski* odczytał aktor.

Józef Łobodowski: Był na Sali wśród słuchaczy, ówczesny redaktor naczelny prorządowego dziennika „Gazeta Polska” Ignacy Matuszewski i osobista sekretarka Piłsudskiego Kazimiera Hłakowiczówna. [...] Wiersz się podobał. Stąd zainteresowanie nieobecnym autorem. Nikt im nic konkretnego nie mógł powiedzieć. Poszła plotka, że jest w jakiejś karnej kompanii. Dopiero Czechowicz, gdy wrócił z Warszawy do Lublina, dowiedział się od mojej matki, co się stało i puścił wiadomość dalej. Poszły w ruch telefony. Protekcja takich osób jak Hłakowiczówna i Matuszewski to nie było byle co.³³

Tak więc to w dużej mierze dzięki działaniom podjętym przez Czechowicza udało się Łobodowskiemu wypłacić z poważnej opresji.

Praca w radio (1938-1939)

Po pobycie w Łucku (1938-1939), gdzie był redaktorem pisma „Wołyń” Łobodowski od czerwca 1938 przebywał już w Warszawie i zaczął pracować w Polskim Radio. Pracę tę pomógł mu zapewne znaleźć Józef Czechowicz, który zatrudniony już tam był od jakiegoś czasu.

Irena Szypowska: Źródłem utrzymania, poza honorariami, była praca w Polskim Radio, polegająca na tym, że co

²⁹ List do Antoniego Madeja, tamże, s. 261.

³⁰ List do tegoż, tamże, s. 293.

³¹ List do Kazimierza A. Jaworskiego, tamże, s. 325.

³² List do Wacława Gralewskiego, tamże, s. 342.

³³ Józef Łobodowski, *Wspomnienia lubelskie*, „Kresy” nr 8, 1991, s. 136.

drugi tydzień (na zmianę z innymi literatami) trzeba było kontrolować nadawane audycje. Wymagało to uwagi, oceniano bowiem punktualność, sens i język wszystkich programów.³⁴

Biogram Łobodowskiego do *Antologii współczesnych poetów lubelskich*

W roku 1938 Józef Czechowicz przygotował do *Antologii współczesnych poetów lubelskich* biogram Józefa Łobodowskiego. Oto jak napisał o swoim młodszym koledze:

Józef Łobodowski urodził się 19 marca 1909 roku w Purwiskach na Suwalszczyźnie. Ojciec Polak był oficerem w armii rosyjskiej. Wczesne dzieciństwo poety upłynęło w Lublinie. Następnie z rodziną przebywa w Moskwie i na północnym Kaukazie. Rozpoczętą naukę w gimnazjalną w Jejsku przerwała rewolucja. Walki białych z czerwonymi, terror biały i terror czerwony zniszczył dobrobyt rodziny i pozostawiły na młodym chłopcu niezatarte wrażenia. Ojciec poety zginął w rewolucji.

Młody „Czaruś Baryka” po długiej tułaczce o głodzie i chłodzie wrócił z matką w 1922 roku do Lublina. Tu poeta ukończył gimnazjum im. Hetmana Zamoyskiego, tu również zaczął pisać. Studia na Uniwersytecie Lubelskim [KUL] przerwała relegacja. Odtąd następuje szybko radykalizacja ideologiczna, której wyrazem publikacje poetyckie i publicystyczne. Poeta redagował: „Trybunę”, „Barykady”, „Dźwigary”. Konfiskaty i procesy, w których ratował go kolega poeta Konrad Bielski, przecinały krótkie żywoty tych pism. W roku 1935 w ideologii poety zachodzi zmiana. Wyrazem jej są artykuły w „Wiadomościach Literackich” i współpraca z szeregiem pism codziennych i periodyków oraz redagowanie „Kuriera Lubelskiego” i „Wołynia”. W roku 1937 Łobodowski otrzymał Nagrodę Młodych P.A.L-u [Polskiej Akademii Literatury]. Obecnie mieszka w Warszawie.



H[enryk] D[onga], Józef Czechowicz. Karykatura wykorzystana w *Antologii*. Oryginał w zbiorach WBP im. H. Łopacińskiego (rkps 2165 k. 320).

Łobodowski wobec Czechowicza

W „Trybunie” nr 3 (1932) w dziale „Nowe wydawnictwa” Łobodowski omawia tom Czechowicza pt. *ballada z tamtej strony*:

Nowy tom Czechowicza jest nowem objawieniem czystej i bujnej poezji. W porównaniu z *Dniem jak codzień* bardziej chyba jednolity i zwarty, odcina się od przeciętnej produkcji wierszowanej nie tylko wytrzymaniem strony formalnej, o co teraz bywa najłatwiej, ale przede wszystkim niesłychanym napięciem poetyckiej wyobraźni. To jest już inny świat, gdzie migotliwe skrawki rzeczywistości są pretekstem nie celem, a słowa unoszone głębokim nurtem wzruszeń brzmią, jak fujarkowe echo z „tamtej strony”. Wyróżniłbym monotennie senne *Przez kresy*, *Samobójstwo* i cudowny w swej niesamowitej śpiewności wiersz tytułowy.

Czytelnik przyzwyczajony do poetyzującej pianki, do werbalizmu i łatwej gadatliwości przejdzie do porządku dziennego nad tą książką, inny znajdzie cały świat przeżyć i wzruszeń zamknięty w patetycznie skromnych poezjach Czechowicza.³⁵

³⁴ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 81.

³⁵ Jł. [Józef Łobodowski], *Nowe wydawnictwa*, „Trybuna” nr 1, 1932, s. 31.

Również w pierwszym numerze „Dźwigarów” z listopada 1934 w tekście *Na froncie poetyckim* Łobodowski poświęca obszerny fragment (s. 67-69) omówieniu nowego zbiorku poezji Czechowicza w *Wyskawicy*.

Wzruszające są odwołania Łobodowskiego w *Balladzie lubelskiej* do poezji Czechowicza i do miejsc, z którymi był związany:

*Pachnie chlebem rozczyntonym z piekarń,
pachnie sianem w Czechowicza wierszach.
Żaden pies na przedmieściu nie zaszczeka
[...]
Lew na łapach kamiennych wsparł się,
stary zegar wydzwania północ.*

I dalej:

*Lecą liście z kasztanów, umierać im gorzko,
gwiazdy są nad Niecałą,
gwiazdy nad Radziwiłłowską –
śpiewka skrzypek urasta w żalostę,
w balladę z tamtej strony.*³⁶

Łobodowski jest też autorem wiersza pt. *Na śmierć Czechowicza* oraz wiersza *Rozmawiam z Rosją*, który zadedykował Czechowiczowi. Z drugiej strony Łobodowski w *Wierszu niezrozumiałym* podejmuje poetycką polemikę z Czechowiczem:

*uważajcie...
czechowicz twierdzi, że dzień codzienny
jest co dzień*

*ale to pewnie nieprawda,
bo tamta noc
nie będzie przecież codzienna,
tylko czerwona,
taka czerwona jak krew,
którą na próżno się staram
przepoić słowa swych wierszy.*³⁷

W prologu *Lubelskiej szopki politycznej z roku 1937*, której autorem był sam Łobodowski w wypowiedzi Atamana Łobodi przywołany jest Czechowicz:

Tyle lat, o Lublinie, byliśmy ci wierni,

*Ciągnęła nas tu jakaś siła tajemnicza.
Lecz wszystko się skończyło. Dusza*

Czechowicza

*Na Niecałej ulicy wieczorami straszy
I nie chce już powracać, lecz nie pomnąc
naszych.*³⁸

Łobodowski wprowadził Czechowicza (pod nazwiskiem Henryka Gulewicza) do swojej autobiograficznej powieści *Dzieje Józefa Zakrzewskiego*, a na łamach paryskiej „Kultury” w kilku odcinkach opublikował obszerny artykuł pt. *O Cyganach i katastrofistach*, w którym opisał krąg poetów związanych z Czechowiczem.

O relacjach między obu poetami w okresie gdy obaj przebywali już w Warszawie pisze Irena Szypowska:

Łobodowski doceniał intelektualną opiekę Czechowicza nad przyjaciółmi, to że wprowadzał ład w lektury młodych literatów. Ułatwiał debiuty, czasem pomagał finansowo, ale patrzył z niesmakiem, jak przekazywał młodym swe upodobania literackie, jak zarażał pogardą dla skamandrytów. [...] Cenił Czechowicza jako wybitnego poetę, uważał, że rdzeń jego twórczości tkwi w „tragicznym niepokoju istnienia, w mrocznych podszeptach metafizyki” a nie w swojskiej stylizacji ludowej, dostrzegać powszednie. [...] Mimo niewątpliwego uznania i sympatii był Łobodowski krytyczny wobec starszego kolegi.³⁹

Tak więc w stosunkach między Łobodowskim i Czechowiczem, nie brakowało napięcia.

Tadeusz Kłak: [Były one spowodowane] różnicą wieku i doświadczeń, a także odmiennością postaw ideowych i artystycznych. [...] Niemalą też rolę odgrywała niewątpliwie walka o miejsce w grupie, a nawet o jej przywództwo. Na ten ostatni moment zwrócił uwagę sam Łobodowski [...]:

Czechowicz nie był w poźnieniu człowiekiem łatwym. Wbrew łagodnym pozorom odznaczał się wielką apodyktycznością. [Przecież] o sobie napisał: „Dusze chce łowić Józef Czechowicz”.

³⁶ Józef Łobodowski, *Poezje*, Lublin 1990, s. 216, 220-221.³⁷ Tenże, *O czerwonej krwi*, Lublin 1931, s. 135.

³⁸ Tenże, *Lubelska szopka polityczna*, Lublin 1937, s. 7.

³⁹ Irena Szypowska, *Łobodowski...*, s. 57-58.

Tego rodzaju łowcy każdą schwytaną duszę chcą prowadzić na smyczy, choćby nawet jedwabnej, ale na smyczy. Byłem wtedy szczeniakiem krnąbrnym i o zbyt zjeżonym karku, aby taka operacja mogła się udać. Z zarzucania sieci łowca szybko zrezygnował.

W innym miejscu tego szkicu Łobodowski napisał, iż niewiele brakowało, a byłoby doszło między nim a Czechowiczem do całkowitego zerwania, a poza tym zwrócił uwagę na to, że z upływem czasu również wokół innych osób zaczęły się skupiać nowe konstelacje poe-

tyckie. Miał on niewątpliwie na myśli i ten krąg, który tworzył się także wokół jego osoby.⁴⁰

Pomimo licznych różnic osobowościowych i przynależności do różnych kręgów poetyckich Łobodowski na całe życie zachował szacunek do Czechowicza:

Ludmiła Siryk: Krystyna Tyszkiewicz, która była na autorskim wieczorze Łobodowskiego w Londynie w 1973 roku informuje, że on, wspominając Czechowicza i czytając fragmenty jego wierszy, płakał.⁴¹

Knajpa Ojca Grudnia

Legendą lubelskiej cyganerii była tzw. „Knajpa ojca Grudnia” zwana też „Pod siedmioma cyckami”. Był to jeden z ulubionych lokali także Józefa Łobodowskiego.

Józef Łobodowski: Na ul. Narutowicza mieścił się zakład Jana Grudzińskiego, alias ojca Grudnia, cieszył się swoistym powodzeniem w tej części miasta. Niektórzy woleli ordynarną nazwę: knajpa „Pod siedmioma cyckami”.

Przed pierwszą wojną światową mieściła się tu żydowska restauracja. Wieść gminna głosiła, że w czasie odwrotu armii rosyjskiej Kozacy Dońscy zgwałcili cztery córki restauratora, a jednej z nich ucięli po pijanemu pierś. Stąd malownicza nazwa, jednakże w owych czasach była rzadko używana. Najczęściej mówiło się: idziemy do ojca Grudnia albo jeszcze prościej do Grudnia. [...]

Wtajemniczeni twierdzili, że w młodości Grudzień był nożowcem i włamywaczem. Po ożenku wynajął lokal, stojący pusty od wybuchu wojny. [...] Młodsze pokolenie przestępcze traktowało go z szacunkiem PER panie Grudziński a co zaufani klienci mówili panie Grudzień, ale tych drugich było niewiele gdyż stary knajpiarz miał swój ambit i mało kogo dopuszczał do komitywy. [...]

Właściwie była to piwiarnia bez prawa wyszynku wódki, ponieważ Grudzień nie chciał płacić wysokich podatków. Odpuszczał więc wyborową i policyjną tylko zaufanym, podając ją w maszynce do kawy. Piło się zatem filiżankami, mając zawsze baczenie na drzwi, czy nie wejdzie glina. Z policją Grudzień utrzymywał dobre stosunki, ale zawsze istniała możliwość, że zajrzy któryś z niewtajemniczonych i narobi raba-
nu. [...]

Poza dużą salą z szynkasem, lokal składał się z kuchni i dwóch pokoi. W jednym z nich stał bilard z grzybkami, w drugim, o osobliwym wejściu z podwórka, stary, dobrze sfatygowany tapczan. [...] Gdyby ta oto kanapa – mówił ojciec Grudzień – umiała mówić to by takie rzeczy opowiedziała, że ludziom włosy na głowach by stawały. Kto się tylko na niej nie przewracał!! Bywały i mężatki z inteligencji. A mnie co?! Ja jestem człowiek dyskretny. Przychodzą, płacą... udają, że nic nie widzę. Tu jedna pani inżynierowa ... – tu przymrużał opłynn timer tłuszczem oko – at, czy to ona jedna. Ale dla mnie dyskrekcja przede wszystkim! Jeszcze jedna maszynka czarnej wyborowej... [...]

⁴⁰ Za: Tadeusz Kłak, „Lubelskie” powieści Józefa Łobodowskiego, w: *Literatura i pamięć kultury*, Lublin 2004, red. Sławomir Baczewski, Dariusz Chemperek, s. 338-339. Por. Józef Łobodowski, *O cyganach i katastrofistach (1)*, „Kultura” nr 7, 1964, s. 41; Tadeusz Kłak, *Awangarda lubelska*, w: *tenże, Stolik Tadeusza Peipera. O strategiach awangardy*, Kraków 1993, s. 146-147.

⁴¹ Ludmiła Siryk, *Naznaczony Ukrainą. O twórczości Józefa Łobodowskiego*, Lublin 2002, s. 42.

⁴² Józef Łobodowski, *Dzieje Józefa Zakrzewskiego*, Londyn 1965, t. 1, s. 55-56.

Towarzystwo w knajpie było zawsze mieszane. Dziewczęta wątpliwej reputacji, dorożkarze, policjanci, złodziejaski i nożowcy, ale również spokojni roboczarze i rzemieślnicy z sąsiednich domów. Zaglądali pracownicy z pobliskiej fabryki likierów Vettera mieszcząc się na ul. Bernardyńskiej. W lokalu do awantur prawie nigdy nie dochodziło. Mimo dobrze zaawansowanej astmy, Grudzień zachował straszliwą siłę w obu rękach i winnego zaburzenia porządku wystawiał w trybie doraźnym na ulicę. Na rozrabianie odważał się chyba tylko nowy gość, nie znający ojca Grudnia i niepisanego regulaminu knajpy. Grudzień stale podkreślał, że do niego *przychodzą takie panowie*, jakich by i Europa i Oaza mogły pozazdrościć. Redaktorzy, artyści, nawet takie co przez radio przemawiają! Nieraz, gdy po kilku mieszkach czterdziestopięć procentowej kawy rozochocił się odpowiednio, wyrzucił resztę gości i ryglował drzwi od wewnątrz wołając teraz pan Grudzień pije z literatami!⁴²

Wacław Gralewski: Głównym miejscem postoju watahy Łobodi była mała, niepozorna knajpka, zwana „u Ojca Grudnia”. Choć był to lokal trzeciej kategorii i bardziej za piwiarnię niż restaurację mógł być uważany, miał jednak dzięki właścicielowi nieco większe ambicje. Mieścił się przy ulicy Narutowicza 15⁴³ i konkurował dzielnie z takimi kącikami gastronomicznymi w tej dzielnicy jak sławna „piątka” [bar „Piątka”, Kapucyńska 5] lub bar „pod trzynastoma cyckami” [lub też „czternastoma cyckami” – mieszczący się na ul. Kościuszki 7, nie mylić z knajpą ojca Grudnia zwaną „Pod siedmioma cyckami”].

Kto wzbudził w piersi ojca Grudnia silniejsze tęsknoty do lepszego, coś znaczącego środowiska, trudno ustalić. Ale pewną jest rzeczą, że myśl jego wbiegała ponad poziomy zwykłych pijaków i przylgnęła do „zukunftizowanej” paczki poetyckiej. A i ona do Grudnia

również serdecznie przylgnęła, tym bardziej że dysponował magicznym amuletem, który pospolici ludzie w sposób przyziemny nazywają kredytem. I ojciec Grudzień, nieubłagany w stosunku do zwykłych kiziorów, mięł na widok poetów. Zjawisko picia wódki przez watahę w melinie ojca Grudnia miało jedną cechę odwrotnie proporcjonalną – im więcej wataha wypila, tym mniejsze okazywały się możliwości wyrównywania rachunków.

Ale ojciec Grudzień miał w sobie coś z Rostandowskiego Raquenau’a, więc widział widocznie w atamanowskich gołcach co najmniej kadetów od Bergeraca.

Gdy mimo wszystko należności nie pokryte napęczały ponad niepokojącą miarę, z genialną inicjatywą wystąpił znany plastyk, członek watahy, Jan Samuel M[iklaszewski].

– Wymaluje się ściany w różne kombinacje i fidrygałki, co niezmiernie ożywi lokal, tak coś jak u Hawelki w Krakowie – powiedział. – Praca będzie kosztowna, ale w zamian ojciec Grudzień zbonifikuje narosłe rachunki trochę dopłaci w gotówce, a trochę w produktach naturalnych, głównie płynnych.

Romantyczny knajpiarz początkowo się krzywił, ale uległ argumentacji. Inicjator doprosił jeszcze dwóch innych plastyków, którym życie rzucało kłody pod nogi i usiłowało nie popuścić do dobrze zastawionego bufetu. Zaczęła się praca dekoracyjna. Trwała dość długo, jako że plastycy powoli dochodzili do formy. W końcu jednak obstalunek został wykonany i ściany pokryły się z lekka frywolnymi malunkami, zaopatrzonymi w poetyckie sentencje. Plastyki dali swe pomysły – poeci cenne myśli, wyrażone w dwuwierszach. Szkoda, że ten oryginalny, jak na stosunki przedwojenne, kącik uległ zagładzie. Hitlerowskie bomby zburzyły dom, w którym mieściła się restauracja, a wraz z nią i ciekawe malowidła. Dziś, odbudowany, mieści sklep

⁴³ Gralewski błędnie wskazał adres knajpy „u Ojca Grudnia”. W „Ziemi Lubelskiej” nr 6, 6 stycznia 1931 na s. 1 czytamy ogłoszenie, że pod tym adresem w dawnym Hotelu Polskim został otworzony 31 grudnia 1930 bar „Ul Polski”.

Cepelii na dole, a na górze uplasował się Związek Plastyków. Coś jednak z tych malowideł Jana Samuela wyrosło.⁴⁴

Wacław Gralewski w opowiadaniu *Golem* wspomina:

Wkrótce znaleźliśmy się w małej restauracyjce zwanej w sferach konsumentów „Pod trzynastoma cyckami”. Ta trochę ekscentryczna i nieoficjalna nazwa popularnego zakładu gastronomicznego wynikała z faktu, że właścicielkami było siedem sióstr. Jednej z nich operowano pierś, na skutek nowotworu i to było źródłem nazwy. Restauracyjka mieszcząca się przy ul. Narutowicza miała tę zaletę, że czynna była przez całą dobę. Siostry dyżurowały na zmianę, wyręczając często personel kelnerski i kucharza. Specjalnością zakładu były faszerowane ryby i potrawy z ptasich podrobów.⁴⁵

Tekstem tym wprowadza Gralewski niemały zamęt, bo jak w końcu nazywano „knajpę ojca Grudnia”? „Pod siedmioma cyckami”, jak chce Łobodowski, czy też „Pod trzynastoma cyckami”?

Wydaje się, że Gralewski pisze o „małej restauracyjce”, która mieściła się na ulicy Kościuszki 3, a nie na Narutowicza. Stąd wzięło się nieporozumienie. Potwierdzeniem tego jest informacja Mirosława Dereckiego o knajpcie przy ul. Kościuszki 3 (a od 1929 „Bar à la Hawełka” a w 1932 „Bar à la Żywiec”), w której „Reflektorowcy” bywali ze względu na bliskie sąsiedztwo z redakcją „Expressu Lubelskiego i Wołyńskiego”.

Dawniej, przed wojną, kiedy knajpa przy Kościuszki była własnością siedmiu sióstr, zwano ją dość obcesowo „Pod Czternastoma Cyckami”. Specjalnością

szefa kuchni był podawany tam sznycel lubelski – „po męsku”, czyli nie z jednym, ale z dwoma jajami sadzonymi.⁴⁶

Tak więc knajpa „Ojca Grudnia” była nazywana „Pod siedmioma cyckami” natomiast knajpkę przy ul. Kościuszki 3 nazywano „Pod trzynastoma cyckami” (Gralewski) lub „pod czternastoma cyckami” (Derecki).

Być może to właśnie o „knajpie ojca Grudnia” wspominał Feliks Araszkiewicz, opisując jedno ze spotkań z Czechowiczem:

Zaciągnęliśmy go [Czechowicza] kiedyś do nowo reaktywowanego Związku Literatów Lubelskich, na jeden z „wieczorów czwartkowych”, które co tydzień w ciasnych, lecz przytulnych salkach Muzeum [przy ul. Narutowicza 4, obecna Biblioteka im. H. Łopacińskiego] gromadziły miłośników poezji i literatury pięknej. Ktoś mówił o twórczości Czechowicza, potem czytano jego wiersze, bo sam nie chciał, był jakiś smutny, kwaśny. Po skończonym wieczorze poszliśmy do pobliskiej podrzędnej restauracyjki. Byliśmy głodni, zaspokoiłiśmy głód po proletariacku, siwuchą i kielbasą.⁴⁷

Józef Czechowicz, analizując proces powstawania wiersza, napisał, że „znaczenie wyzwalające [przy powstawaniu wiersza] miewają czasem wydarzenia z zewnątrz”. I może to być np. „muzyka zza ośnieżonego okna knajpy »ojca Grudnia«”⁴⁸

„Knajpa ojca Grudnia” była również miejscem spotkań „Łoży Wielkiego Uśmiechu”, o czym pisze Łobodowski: „Posiedzenie [„Łoży Wielkiego Uśmiechu”] odbywało się u ojca Grudnia, albo w bocznej salce u Semadeniego”⁴⁹

⁴⁴ Wacław Gralewski, *Wataha Atamana Łobodi*, w: tenże, *Ogniste koła*, Lublin 1963, s. 173-175.

⁴⁵ Tenże, *Pięść Herostratesa*, Lublin 1958, s. 21-22.

⁴⁶ Mirosław Derecki, *Na gastronomicznym szlaku*, w: tenże, *Weekend wspomnień*, Lublin 1988, s. 86.

⁴⁷ Feliks Araszkiewicz, *Józef Czechowicz. Wspomnienie*, w: *Spotkania z Czechowiczem. Wspomnienia i szkice*, oprac. Seweryn Pollak, Lublin 1971, s. 95.

⁴⁸ Józef Czechowicz, *Mój wiersz*, w: tenże, *Wyobraźnia stwarzająca szkice literackie*, Lublin 1972, s. 70.

⁴⁹ Józef Łobodowski, *Czerwona wiosna*, Londyn 1965, s. 191.

Łoża Wielkiego Uśmiechu

Tak nazywała się nieformalna grupa młodej cyganerii lubelskiej, która literackie i artystyczne tradycje przejęła po nieistniejącej już grupie „Reflektor”. Jedyne zachowane wspomnienia związane z tą grupą pochodzą od Józefa Łobodowskiego.

Tadeusz Kłak: Prawdę mówiąc, można by ją było uznać za wytwór fikcji, albo zmyślenie Łobodowskiego, gdyby nie list Bronisława Ludwika Michalskiego do Czechowicza, pisany z Krakowa w grudniu 1932 roku, w którym właśnie prosił o pozdrowienie w jego imieniu członków Łoży.⁵⁰

Według Łobodowskiego „Łoża Wielkiego Uśmiechu” założona została w Lublinie na przełomie lat 1931 i 1932.

Józef Łobodowski: Inicjatorem był Józef Czechowicz, więc z natury rzeczy wybraliśmy go Bratem Prezesem. Każdy ze szczupłej grupki założycieli miał odpowiednie stanowisko w zarządzie. Ja otrzymałem tytuł Brata Starszego. Posiedzenia Łoży odbywały się w dniach powszednich w niewielkiej cukierni Semadeniego (na rogu Krakowskiego

Przedmieścia i Staszica), w niedzielę i święta u Rutkowskiego. Każde posiedzenie zaczynało się od odczytania rymowanej listy członków. Brat Prezes mówił pierwszy wers, a cała reszta chóralnie – nazwisko.

Wyglądało to następująco. Prezes: *Światu uraga...*, chór: *Brat Henio Donga! Piękny jak landysz* (po rosyjsku – konwalia, innego rymu autor nie znalazł), chór: *Józio Falandysz! Piekieł psalmodia... Sancta Łobodia!* i tak dalej. Aż na samo zakończenie: *Dusze chce łowić... Józef Czechowicz!* [...]

Kiedy powstała nasza Łoża, grupa „Reflektora” już nie istniała, a czasopismo wydawane przez nią należało do przeszłości.⁵¹

Na którymś z posiedzeń „Łoży Wielkiego Uśmiechu”, która akurat wtedy powstała i zbierała się w cukierni Semadeniego, na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Staszica, Czechowicz zjawił się w towarzystwie wybitnie przystojnego bruneta o rozwichrzonej, kędzierzawej czuprynie i melancholijnym spojrzeniu.

Zmusił go do przeczytania kilku wierszy, po czym wstał i zwrócił się uroczystie do zebranych: „Panowie, czy po tym cośmy usłyszeli, mogę oświadczyć: *Ecce poeta!*”. Od tego popołudnia Michalski stał się nieodłącznym towarzyszem naszych zebrani.

„Łoża Wielkiego Uśmiechu”, zbierająca się niemal codziennie przy marmurowych stolikach u Semadeniego, a w niedzielę u Rutkowskiego, nie składała się z samych poetów. Początkujący artysta-malarz, kandydat na rzeźbiarza, aktor z powołania, który nigdy na scenę zawodową nie wszedł – mieli obok nas pełnoprawne miejsce i głos. Nie brakowało kibiców, w dość kapryśnym i często zmieniającym się układzie. Rodziły się przyjaźnie – niektóre z nich miały przetrwać długo.

⁵⁰ Tadeusz Kłak, „Lubelskie” powieści Józefa Łobodowskiego, w: *Literatura i pamięć kultury*, red. Sławomir Baczewski i Dariusz Chemperek, Lublin 2004, s. 336.

⁵¹ Józef Łobodowski, *Dusze chce łowić...*, s. 167.



Cukiernia Semadeniego ok. 1900 r., róg ul. Pocztowskiej (od 1928 roku Staszica) i Krakowskiego Przedmieścia. W kolejnej kamienicy, której fragment widoczny jest przy lewej krawędzi zdjęcia, mieścił się Hotel Europejski. Pocztówka z przełomu XIX i XX w. Archiwum TNN.

Czechowicz [...] ułożył wierszem żartobliwą listę członków łoży i o sobie napisał: „Dusze chce łowić Józef Czechowicz”.⁵²

Literacki opis „Łoży” dał Łobodowski w swojej książce *Czerwona wiosna*:

Ubiegłej zimy [przełom lat 1931 i 1932], po jakimś wesołym pijaństwie, powstał pomysł założenia „Łoży Wielkiego Uśmiechu”. Początkowo członków było pięciu, później doszło jeszcze trzech. Wielkim Mistrzem został poeta, Henryk Gulewicz, którego literacki rozgłos zaczynał już wychodzić poza lubelskie rogatki; godność Brata Mistycznego przypadła również poecie, nieśmiałowemu, wiecznie zamyślonemu, Ludwikowi Zarańskiemu. Józefa wybrano jednogłośnie Czerwonym Katem Łoży, czyli Bratem Straszynem. Posiedzenia odbywały się u ojca Grudnia, albo w bocznej salce u Semadeniego.

Rytuał był nieskomplikowany. Sprawdzano listę członków, ułożoną wierszem. Wielki Mistrz mówił grobowym głosem – „Poezję krzepi...” – na co wszyscy odpowiadali gromkim chórem: – „Henio Gulewicz!” Następnie: „Gęba złowieszcza...” – „Józio Zakrzewszczak” „Bogdanki szuka...” – „Władzio Łazu-ka!” „Cherubin Pański...” – „Ludwiś Zarański!” Że jednak odbywało się to przy dwóch czarnych świecach, przyklejonych do marmurowego blatu, i że na zakończenie odmawiano coś w rodzaju litanii, składającej się z samych niezrozumiałych słów i nieartykułowanych dźwięków, na starych, szanownych emerytów, przesiadujących u Semadeniego długie godziny przy pół czarnej i zaczytujących zawsze te same gazety, padł błąd strach. Przenosili się jeden po drugim do innych spokojniejszych lokali. Kelnerzy początkowo sarkali i burczeli na wariatów, którzy wystraszą im gości, ale gdy się raz przekonali, że „Łoża Wielkiego Uśmiechu” sama jedna konsumuje znacznie więcej, niż wszyscy emeryci razem wzięci, i nie szczędzi su-



tych napiwków, przestali protestować. „Czarne msze”, o których po trybunalskim grodzie krążyły niesamowite wieści, odbywały się bez przeszkód.

Hierarchia była w Łoży ściśle przestrzegana i członkowie – założyciele patrzeli z góry na resztę, a zwłaszcza na Nikodemów, czyli członków wspomagających, zwanych również Mydłkami. Mogli oni brać udział w publicznych posiedzeniach pod warunkiem, że wezmą na siebie lwią część rachunku. Natomiast nie wolno im było odzywać się bez uprzedniego pozwolenia Wielkiego Mistrza, przy czym musieli przemawiać stojąc. Nie brakowało snobów, gotowych na wszystko, byle móc usiąść przy „diabelskim” stoliku, jak go nazywały, spluwając z obrzydzeniem, dewotki,

Gmach Kasy Przemysłowców Lubelskich projektu łódzkiego architekta Gustawa Landau – Gutentegera. Na parterze tego budynku mieściła się cukiernia Rutkowskiego (patrz kadr poniżej). Pocztówka z początku XX w. Fot. S. Zawadzki. Ze zbiorów WUOZ.



⁵² Józef Łobodowski, *O cyganach i katastrofistach (1)...*, s. 39-41.

⁵³ Józef Łobodowski, *Czerwona ...*, s. 190-192.

⁵⁴ Paragraf [Józef Łobodowski], *Masoneria*, „Kurier Lubelski” nr 61, 1 marca 1932, s. 3.

⁵⁵ Jenne Polonaise [Józef Czechowicz], *To jest tam*, „Kurier Lubelski” nr 214, 5 maja 1932, s. 3.

⁵⁶ Tamże, s. 3.

⁵⁷ „Kurier Lubelski” nr 285, 16 października 1932, s. 5 oraz „Kurier Lubelski” nr 286, 17 października 1932,

spędzające całe dni w pobliskim kościele Świętego Ducha i u Kapucynów.

Płeć odmienną dopuszczano wyjątkowo i to po bardzo ścisłej selekcji. Wielki Mistrz w ogóle nie chciał kobiet w Łoży, ale go przekonano. Nadzwyczajne posiedzenia odbywały się w którymś z kawalerskich mieszkań i wówczas obecność Zefiryn – taka była oficjalna nazwa – okazywała się pożyteczna. Jeśli Zefiryna odznaczała się bardziej obfitymi kształtami, przechodziła do kategorii Kolubryn. Na mieście opowiadano sobie zgorszonym szeptem o rozpustnych orgiach odbywających się w Łoży. Nie było w tym przecież ani żdźbła prawdy.⁵³

Dodatkowym materiałem dowodowym na to, że Łoża rzeczywiście istniała są różnego rodzaju notki prasowe. I tak w „Kurierze Lubelskim” z 1 marca 1932 (nr 61) w rubryce „Zgryzty lubelskie” ukazał się tekst zatytułowany *Masoneria*:

Zosiu! Larum grają – a ty nie słyszysz?... Masoni w Lublinie się zjawili a ty nie wiesz?... Przecież ogólnie wiadomo,

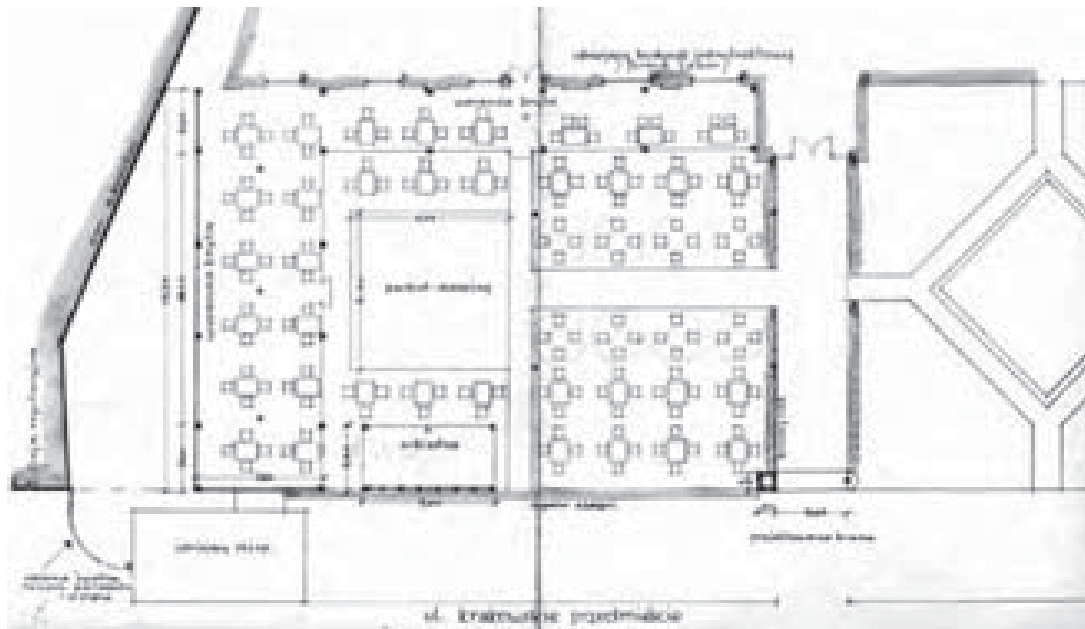
że i kryzys i rewolucja w Rosji i przewroty w Hiszpanii, a nawet prohibicja w U.S.A.to panie dzieju masoni i Żydzi.

Tylko dni majowe nie oni robili, przynajmniej jedno endeckie poślisko stwierdziło, że przełom majowy był dziełem ... anglików. ... A jednak łoża masoniśka w Lublinie jest. I zbiera się – o hańbo – publicznie w czwartki i piątki o ósmej wieczorem u Semadeniego. Zasiadają „bracia”, wielki mistrz otwiera łożę zjedzeniem ciastka obrzędowego. Bezecne hymny śpiewają, ze starszych panów (i panien) się natrzęsają. Nic dla nich świętego nie ma. Masoni tych jest ośmiu, a żydów w Lublinie, tak na optykę z 50 tysięcy. To razem 50008 wrogów zdeklarowanych endecji, a ty, Zosiu, nie biadasz jak Kossakowska; do bronii wołasz, jak Pallas – Atena, nie uderzasz orężem zniecka jak dowcipem z niedzielnej felietonu.⁵⁴

Autorem tekstu jest zapewne Józef Łobodowski.

W „Kurierze Lubelskim” ukazał się tekst *To jest tam*⁵⁵, opisujący, a w zasadzie reklamujący

„Cafe Rumba” Krakowskie Przedmieście 72. Plan kawiarni ogródkowej. Materiały Inspekcji Budowlanej w Archiwum Państwowym w Lublinie (APL, Aml-IB, nr zesp. 22, sygn. 2146, s. 10).



cy kawiarenkę Café Rumba. Artykuł napisał Czechowicz pod pseudonimem „Jenne Polonaise”. Znajdujemy w nim fragment mówiący, że w tej kawiarni spotykała się również „Łoża Wielkiego Uśmiechu”:

Przy wykwintnych stolikach, na których perlą się mrożone napoje, rozbarwione twarze, raz po raz rozszerzające się w uśmiechu. Najlepsza w Lublinie orkiestra, najmodniejszy lokal, najmiłszy dancing. Czegoż chcieć więcej? Co czwartek zbiera się tam Łoża Wolnomularska, co sobota – nie, nie zdradzę wam, że ona też tam przychodzi co sobota.⁵⁶

Również w dwóch innych październikowych wydaniach „Kuriera” (1932) w „Kronice” ukazało się ogłoszenie *Baczność* o następującej treści:

– Baczność stowarzyszeni! Zawiadamia się, że zebrania Łoży W.U. z dniem 21 października r. b. wznowione w zwykłym miejscu i zwykłym czasie. Wielki Mistrz Łoży W. U.⁵⁷

W numerze „Kuriera Lubelskiego” z 14 października, kiedy jego redaktorem naczelnym został Józef Łobodowski, ukazał się „Zgrzyt lubelski” o treści:

My, z łaski śmiechu, Paragraf 1, z racji szczęśliwego powrotu na tron „Kuriera”, ogłaszamy amnestię dla wszystkich przestępców, którzy w czasach ostatnich zgrzeszyli przeciw zdrowym zmysłom, przyzwoitości i dobremu smakowi.

Forma tej notatki i użycie sformułowania „My, z łaski śmiechu” nie budzi wątpliwości, że nawiązuje on do „Łoży Wielkiego Uśmiechu”.

s. 3.

Pamiętki po Łobodowskim

Józef Zięba: W sierpniu [1989] przybyła z Madrytu do Lublina p. inż. Jadwiga Ostrowska z adresowanymi do mnie listami od panów Piotra Potockiego Radziwiłła i Kazimierza Tylko. Ten pierwszy cytuję w pełnym brzmieniu: Przekazując dla Muzeum Lubelskiego tych kilka drobnych, lecz ważnych pamiątek po śp. Józefie Łobodowskim, Synu i Piewcy Lubelskiej Ziemi, proszę o ich łaskawe przyjęcie, godne przechowanie i udostępnienie zainteresowanym Rodakom, z pełnym przeświadczeniem, że taka byłaby wola Zmarłego, który nie zapominał ani na chwilę, że swoim dziełem otwiera sobie i nam drogę, do wolnej i ukochanej Ojczyzny. Madryt, 5 lipca 1989, Piotr Potocki Radziwiłł.

Wraz z listem Muzeum Czechowicza otrzymało następujące materiały: zdjęcie portretowe J. Łobodowskiego w formacie 40x50 cm, medal — Kongres Kultury Polskiej na Obczyźnie. Krzyż Polonia Restituta, Złoty Krzyż Zasługi, notatnik zawierający rękopisy J. Łobodowskiego, paszport poety, sześć wycin-

ków prasowych, kserokopię dokumentu „Cartificiatio Medici de defuncion” oraz taśmę magnetofonową z nagraniem autorskich recytacji wierszy Józefa Łobodowskiego.

Dzięki poprzednim wieloletnim zabiegom oraz ostatnio otrzymanemu z Madrytu darowi Muzeum im. Józefa Czechowicza w Lublinie stało się chyba jedynym w kraju ośrodkiem dysponującym rękopisami i pamiątkami po Józefie Łobodowskim.

A oto fragment listu p. Kazimierza Tylko, najbliższego przyjaciela poety, zawierający bardzo cenne o nim informacje:

Jeśli więc – jak Pan zaznacza – relacja o Łobodowskim może mieć znaczenie dla przyszłych Jego biografów, gotów jestem obszernie odpowiedzieć na najbardziej nawet drobiazgową ankietę na Jego temat, przygotowaną jednak przez kogoś kto życie Poety znał. Oceną bowiem Jego twórczości zajmować się będą specjaliści, mający do dyspozycji cały Jego dorobek

⁵⁸ Za: Józef Zięba, *Żywoć Józefa Łobodowskiego* (6), „Relacje” nr 8, 1989, s. 4.

literacko-publicystyczny. W nim jest Łobodowski pisarz-poeta-publicysta-historyk – pomost wschód-zachód – tłumacz i tyle jeszcze innych Jego specjalności. Ale to jeszcze nie Łobodowski – człowiek! I może tylko tym Jego aspektem mógłbym się na czyjąś prośbę zająć.

Ale wielkie i ważne pytanie – *cui bono?* – musi być tu stawiane z wielką ostrożnością, bo Józiu by człowiekiem niezwykle trudnym, a to trzeba albo pominąć, albo serdecznie, ale szczerze, opracować.

Łobodowski żadnego archiwum po sobie nie zostawił, bo właściwie, co napisał, zostało ogłoszone albo oddane do druku. W Londynie istnieje specjalna fundacja, zajmująca się tą sprawą, pod kierunkiem b. redaktorki londyńskich „Wiadomości”, pani Kossowskiej. „Papiery – jak te swoje szpargały Józiu nazywał – w razie mojej śmierci po prostu spał!” Tak mi to powiedział, a ja Jego woli nie wypełniłem i trochę nieuporządkowanych maszynopisów zabrano po pogrzebie z jego pokoju do Londynu i Paryża.

Załączam kilka ważnych pamiątek po śp. Poecie: Jego emigracyjne, niestety, odznaczenia, paszport stwierdzający, że nigdy nie przyjął obcego obywatelstwa. Data Jego urodzenia jest w dokumentach hiszpańskich inna niż prawdziwa. Jest to wynikiem powojennych tarapatów: Polacy, którzy znaleźli się podczas wojny na terytorium Hiszpanii neutralnej, podlegali in-

ternowaniu, jeśli znajdowali się jeszcze w wieku służby wojskowej czynnej. Taki był stan Łobodowskiego i wielu innych uciekinierów, którzy przeszli przez Pireneje w drodze do polskich jednostek w Anglii, via Madryt (Barcelona), Lizbona. Polskie władze konsularne podwyższały więc wiek uciekinierów, by ich wyłączyć z internowania, na co Hiszpanie patrzyli z dobronliwą pobłażliwością. Po wojnie jednak, z braku dowodów materialnych (metryk, dokumentów, etc.), nawrót, do normalności dla obcokrajowców, nie ubiegających się o hiszpańskie obywatelstwo, był bardzo utrudniony. [...]

No i wreszcie [przesyłam] taśmę z nagraniem recytacji kijku Jego poematów we własnym wykonaniu i z osobistym komentarzem. Historia tych nagrań jest prosta: w 1982 roku Łobodowski borykał się z trudnościami finansowymi, większymi niż Jego normalny stan, zawsze deficytowy. Wpadł mi do głowy pomysł tych nagrań, które sam poeta sprzedawał. Konfekcja jest b. chałupnicza, bo robiliśmy to u mnie na najbardziej amatorskiej radio-cassecie, więc wady są duże. Ale wszystko sprzedał i miał miesięczne utrzymanie zapewnione. Był do wiosny! – w co bardzo wierzył.

Przesyłam te ostatnie już chyba pamiątki po Józiu na własną odpowiedzialność, ale po uprzedniej konsultacji z Komitetem, który się sprawą ostatniej posługi Zmarłemu zajmował...⁵⁸

Na sąsiedniej stronie: list Józefa Łobodowskiego do rodziny z 31 marca 1960. Ze zbiorów rodziny Tomanków.

Kochani!

Ostatni Wasz list otrzymałem w połowie stycznia, a potem nie, z czego wniozę, że moja odpowiedź do Was nie dotarła. Wobec tego powtarzam zgrubeza jego treść.

Włostomół jakobyś ożenił się i miał dzieci, jest zwykłą plotką. Kto się zajmuje wypędzaniem i rozpowszechnianiem tych bań, oszybiście, nie wiem. Widocznie, komś Salezy. Owszem, jestem ojcem i to potrzykroć, ale ojcem... chrześcija. Podziak jest następujący: pięcioletni chłopak z mieszanego polsko-hiszpańskiego małżeństwa, drugi chłopak, z polskiego /obecnie w Nowym Yorku/ i dziewczynka, Hiszpanka. Widzicie, jakie mam pod tym względem powodzenie.

Matka pyta o szczegóły mojej minionej choroby. W jesieni 1939 roku zapadłem ciężko na płucach. Proces był gwałtowny i bardzo szybki. Gdyby to było dziesięć lat wcześniej, gdy jeszcze nie znano antybiotyków, byłbym się przejechał na tamtą stronę Styksu. A tak jakoś się wyliźnałem, choć nie obeszko się bez operacji lewego płuc. Miałem, na szczęście, doskonałych lekarzy i po półrocznym leżeniu w łóżku /przygotowanie do operacji/ i dłuższej rekonwalescencji wróciłem do pracy. Teraz jest zupełnie dobrze. Wydjęto mi tylko jedno śrebro, którego braku wogóle nie odczułem.

Jak już pisałem poprzednio, sporo pracuję, piszę, również po hiszpańsku, oprowadzam bowiem ten piękny język naukowicie. Zarabianie piądem, w naszych warunkach nie jest zbyt łatwe, ale daję sobie rady całkiem dobrze. Często myślę o starym Lublinie, wiem, że bardzo się rozbudował, powstały nowe działy, ale w moim wspomnieniu pozostał taki, jakim go widziałem ostatni raz, w sierpniu 1939-go roku.

Bardzo ogólnikowo pisałem o Waszej zmianie finansowej. Istnieje tam czegoś brak, napiszcie, proszę, piosenkę straganicy nie natrafia przecież od dość dawna na takne przeszkody. Przewodopodobnie tego lata będę w Londynie przez parę tygodni - z tamtą wyrykła najzwyczajniejszą i najzwyklejszą.

Napiszcie, czy uchwalili się z Was egzemplarze moich przedwojennych książek. Chodzi mi przedewszystkiem o "Rozmowę z ojczyzną" /drugie wydanie, to warzawskie, z Hosiaka, po pierwsze mam/ i przekładem z rosyjskiego "U przysiadł". Ale nie wyrażajcie ich, przynajmniej narazie.

Jak się widnie Adamowi? Pomyślałem, że zostawiłem go jako młodego chłopaka, a teraz już dorosły chłop i ojciec dalekim. Niech się pani Stefanja mocno trzyma, jest już psobabką - może doszeka i trzeciłego pokolenia... A czy Adam nie dopisałby paru słów? Również chciał bym wiedzieć, jak Jadwiga układa sobie swoje prywatne życie. Piszcie szczerze - Święta Rozymacja ma mnie już oddawna pod swoją skrzydłami.

To tyle na niedzielną dziesiątkę. List jest, jak widzicie, dość suchy i racowy, ale staram się nie roztkliwiać, przynajmniej w prozie.

Całuję Was wszystkich serdecznie, pozdrawicie również Jadzię i Jej matkę /czyli "Mochasia"/. Odpowiedzcie jaknajrychlej.

Wdzyt 37 - III - 1940

PS. Zapisano numer mego domu z 70 na 68. Obecnie nagram: Joaquim Maria Lopez, 68, 5-B.

Józef Łobodowski a film i lubelskie kina

Łobodowski lubił kino. Bardzo dużo informacji dotyczących życia filmowego w Lublinie lat trzydziestych przekazuje nam w *Dziejach Józefa Zakrzewskiego*. Tak charakteryzuje lubelskie kina w Czerwonej wiośnie:

W Lublinie były dwa przyzwoite kina. Największe „Corso”, przy Litewskim Placu, często wypożyczane na rewie i przedstawienia amatorskie, i znacznie mniejsze, ale bardziej luksusowe „Apollo”. Inne miały źle przewietrzone sale, przestarzałą aparaturę i wyświetlały filmy sprzed wielu lat. Niewielka sala na Bernardyńskiej specjalizowała się w filmach kowbojskich i oblegana była przez wyrostków; stary osiemnastowieczny teatr, przerobiony na kino,

przy ul. Archidiakońskiej, był niemal wyłącznie domeną publiczności żydowskiej. Ale i polscy studenci chętnie tam zaglądali, nie tyle dla filmów, co w nadziei, że uda się przygruchać jakąś przystojną Izraelitkę.³⁹

O tej fascynacji Łobodowskiego kinem pisze Tadeusz Kłak:

Łobodowski należał do stałych bywalców tych kin, tam też zwykle prowadzi swoją narzeczoną Józef Zakrzewski, tam wspólnie przeżywają oni emocje związane z białym ekranem w zaciemnionej sali. Na kartach powieści pojawiają się tytuły filmów z ówczesnego repertuaru, jak np. *Błękitny Anioł*, *Dama kameliowa*, *Bokser książę* czy *X-27*, na-

Projekt reklamy kina „Colosseum”. Materiały Inspekcji Budowlanej. Ze zbiorów Archiwum Państwowego w Lublinie (sygn. 2125, budynek przy ul. Krakowskie Przedmieście 44).



zwiska aktorów takich jak Greta Garbo, Joan Crawford, Emil Jannings, Clark Gable, Robert Taylor i inni. Szczególną sympatią obdarza jednak główny bohater Marlenę Dietrich, o której pamięta również w powieściach. Wspomina ją kilkakrotnie, posługując się zresztą raczej jej imieniem, co również świadczy o zażyłości samego autora *Dziejów Józefa Zakrzewskiego* z jej filmowym wizerunkiem. Dwa razy pojawiają się także słowa śpiewanej przez nią w *Błękitnym aniele* piosenki:

*Ich bin Kopf zum Fuss
auch Liebe.*

Fascynacja Łobodowskiego tą aktorką sięga jeszcze młodości lat, czego świadectwem był między innymi jego artykuł z „barykad” pt. *nogi marleny dietrich* (pisownia oryginalna).⁴⁰

Dodajmy, że w nr. 2 „Trybuny” (15 marca 1932) jest zamieszczony artykuł Łobodowskiego pt. *Film przyszłości*, a w numerze następnym (1 kwietnia 1932) artykuł pt. *O awangardę filmową*.

³⁹ Za: Tadeusz Kłak, „Lubelskie” powieści Józefa Łobodowskiego, w: *Literatura i pamięć kultury*, red. Sławomir Baczewski i Dariusz Chemperek, Lublin 2004, s. 346-347.

⁴⁰ Tamże, s. 347.

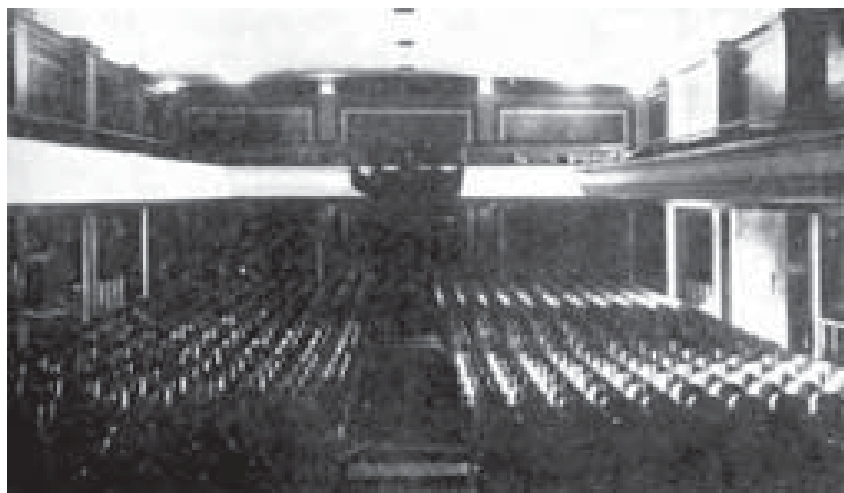
Józef Łobodowski Nogi Marleny Dietrich

Kiedy kino nazywało się jeszcze bioskopem, a technika filmowa stawiała jeszcze chwiejne kroki na drodze do dzisiejszej stosunkowej doskonałości, ludzie poważni zbywali nowy wynalazek pobłażliwym i lekceważącym uśmiechem. W ogólnej hierarchii wartości kino znalazło się gdzieś między budą cyrkową, a występem podwórkowych akrobatów – nieco później gdy na

ekranie zaczął panować sentymentalny i rozwlekły romans rosyjski kino stało się codziennym przytułkiem dla płakających pańienek, którym oczy zachodziły mgłą wzruszenia na sam widok wystawionych fotosów z czekoladowym smutkiem Wierzy Chołodnoj.

Pamiętam całą paradoksalną niewspółmierność tych przełomowych chwil w historii, kiedy ciałem, dyszą-

„Kurier Lubelski” 1932, nr 285 z 16 października, s. 3.



Wnętrze kinoteatru „Corso” przy ul. Radziwiłłowskiej w 1943 (spalony w 1944 roku i rozebrany). Fot. z książki *Dzieje Lublina*, t. II, red. Stanisław Krzykała, Lublin 1975.

cem spazmatycznie w ogniu zawziętych walk, stawało się słowo rewolucji, z codziennymi zajęciami ludzi – w dzień chowano przy biciu dzwonów krasnoarmiejców, przywiezionych na wozach ze stanic i czerwien sztafardów stanowiła dziwny kontrast z uroczystym śpiewem djaków, w nocy na wygonie rozsypywały się ziarna częstych wystrzałów i dalekie reflektory obmacywały czarnogranatowy aksamit limanu i niezmiennie co wieczór o dziewiątej godzinie tłumy oblegały, jedyny w miasteczku kinematograf, przed którym olbrzymie płachty głośiły barwnymi literami, że – osoby ze słabymi nerwami prosimy o nieprzybywanie.

Jeszcze później kino przeniosło się na ulicę – wmontowany byle jak w ściany narożnego domu aparat warczał i trząskał, jak karabin maszynowy, celując salwą światła w wielką płachtę, rozpiętą na dwu słupach, ulicę zalegał tłum tak różnorodny, jak to tylko jest możliwe na Kaukazie, biorąc żywy i bezpośredni udział w tem, co się działo na prymitywnym ekranie: karykatury cara i generałów wywoływały salwy rabelaisowskiego śmiechu sprośne kawały i liczne komentarze, groźny pomruk przelatywał po ludziach, gdy płaskie cienie układały się w obraz komuny paryskiej, walczącej na barykadach, wyświetlaniu krótkich filmów o treści technicznej, czy gospodarczej towarzyszyły fachowe uwagi – nie było biernych widzów, na oczach niemal dokonywał się trudny proces scalania tej różnorodnej i częstokroć obcej sobie masy w imię jakiejś idei mniejsza z tem dobrej czy złej, czyjąś wolą powołanej do życia.

Kiedy teraz siedzę w wygodnym fotelu, w kinie wyposażonem we wszystkie techniczne zdobycze lat ostatnich i przyglądam się postaciom sąsiadów, wrosniętych w śpiączkę nudnej kontemplacji nikomu i na nic niezdatnych filmów mimowoli wracam wspomnieniami do ciasnej uliczki zagubionego w stepach

miasta, wracam do tłumy zahipnotyzowanego przez ekran i niestety porównanie wypada na naszą niekorzyść.

Nic tak bardzo nie dyskwalifikuje cywilizacji dzisiejszej, jak film, najbardziej dokładny, najbardziej bezlitosny, po sejmograficznemu czuły dokument epoki, w której żyjemy. W kinie europejsko-amerykańskim można zobaczyć piękne kobiece ciała i dorodnych mężczyzn, można asystować przy zawiłych procesach wzajemnego zdobywania się, można ujrzeć, jak się ubierają, rozbierają, całują, walą po pyskach, jak przeżywają tragedie i dramaty, słowem chwytą się wizję świata w trójkacie pięknych nóg jakiejś Marleny Dietrich, ale próżnoby szukać tu świadectwa że jednak żyjemy, że o coś walczymy, coś zdobywamy, że posiadamy jeszcze wbrew zakusom godność wolnego człowieka, że jesteśmy ludźmi.

Jeśli słuszne jest powiedzenie, że operator-artysta na każdym kroku arestuje w kamerze swego aparatu świat, to co i kogo – pytamy – arestuje dzisiejsze kino i poco każą nam patrzeć na to – poco te okropne historie miłosne, skoro i tak wiadomo w czyjem łóżku się skończą, poco i dla kogo te słodkie miss, tak podobne jedna do drugiej, że robią wrażenie jajek udających życie, poco te grasanckie wycieczki, apelujące do sentymentów kończącego się człowieka, dziś gdy może na każdym rogu czeka wielka chwila historyczna.

W zagłębiach przemysłowych tłumy bezrobotnych, społeczeństwo i państwo szukają wyjścia z ciasnej uliczki gospodarczego kryzysu, coś powstaje coś nowego dźwiga się powoli z bezkształtnego kotłowniska sprzecznych żywiołów, a do kin po staremu zapraszają nas na „gigantyczne superfilmy, obrazujące tragiczne dzieje zmagania się kobiety uczciwej z występłą miłością”.

Brzmi to coś tak, jak owe natrętne, wieczorne, przed kawiarnią, przed kioskiem ofiarujące się wszystkim za jedne

dziesięć groszy: „jak teściowa ze swoim zięciem się baaawiła”, a na drugi dzień pan recenzent pisze beztrząsowo, że ostatni dźwiękowiec świadczy o ciągłym postępie polskiej kinematografii.

Obywatele, artyści, operatorzy i reżyserzy! –

Dosyć filmowania tych bzdur, wiecznego komentowania przygód dystyngowanych panienek, do luftu Nora Ney, na szmela słodką Jadzię Smosarską! Jakto kiedyś pod adresem literatów wołał stary, zapluty, na łaskawym chlebie u endeków zęby łamiący, ale tyle razy czujny i racją słuszną nabrzmiały Nowaczyński: w lud, w naród, w proletariat, w chłopstwo, w miazgę, w głąb! – tak i wam z kamerą na plecach i krążkiem taśmy w kieszeni rozejść się po kraju, górnika pracę podglądać, z chłopem nad czarną ziemią się schylić, do chałupnika w okno zastukać, byle dalej od Warszawy, od Finkielsztajnow i Łuskinów, Ordyńskich i Szternów, od tej szmiry ludzkiej i artystycznej, od tych pasożytów toczących żywe drzewo kultury polskiej!

Wtedy też rozwiązanie problemu techniczne filmu, znajdziecie podniecie i podstawę twórczą do realizacji nowej sztuki kinowej, która wciąż jeszcze szuka swego wyraziciela i znaleźć go nie

może, krępowana samodurstwem negocjantów i dyrektorów, wtedy wyjdziecie na właściwą drogę kinematografii, którą już zaczynamy dostrzegać w gąszczu luźnych usiłowań, a którą osiągniemy dopiero wtedy, gdy kino stanie się integralną częścią nowej kultury jutra – bo zwycięstwo nowej treści spowoduje zdobyczy formalnych i odwrotnie.

I dobrzeby było, gdyby wszyscy, którzy dość już mają dzisiejszej twórczości kinowej zdobyli się na przejście do jej negocjowania do działalności pozytywnej, zdobyli się na organizację i połączyli rozstrzelone usiłowania i środki. Nakazem chwili powinno być wyrwanie przemysłu filmowego z rąk koncernów, daleko idąca prymitywizacja, coś w rodzaju kinowego rzemiosła czy nawet chałupnictwa, co wprowadzi film w masy i da mu zupełnie nowe możliwości rozwoju.

Takie sny nam się marzą, gdy wychodząc z kina, z furją trzaskamy drzwiami i uciekamy od ponurego budynku, w którym wyświetla się tragiczne dzieje „nieszczęśliwej dziewczyny zdradzonej przez kochanka i w wirze wielkomięskich zabaw szukającej zapomnienia złamanego młodego życia”.

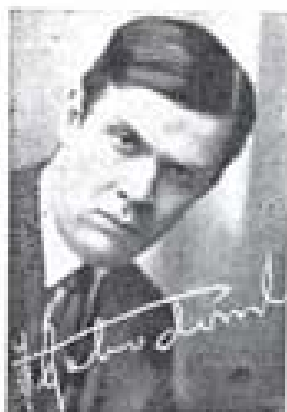
Na następnej stronie: Józef Łobodowski. Fot. ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego (sygn. 1229/II, nr 3418).



Wybór tekstów



Rozmowa z Józefem Łobodowskim



Nota bio- i bibliograficzna.

Józef Łobodowski urodzony 19.III 1903 r. we wsi Parzyski, na Suwalszczyźnie, podczas wojny przebywał w Rosji. W Lublinie uczęszczał do gimn. im. Hetm. Zamiatkowskiego, gdzie redagował „W słońce”. Wydał „Słońce przez napy”—1929, „Gwiazdny psalter”—1930, „O czarnej lili”—1931 (skonfiskowane), „W przeddzień”—1932, „Rozmowa z Ojczyzną”—1935, „U przyjaciół”—1935 (przebił), „Rozmowa z Ojczyzną“ (drugie wydanie) — 1936, „Rozmowa nocy”—1936 (nagroda P.A.L.).

— Chciałbym dowiedzieć się od pana, jako nauczyciela i pierwszego redaktora naszego piśma, w jakich warunkach powstało „W słońce”?

— O ile sobie przypominam historia zaczęła się w 7 klasie. Na lekcjach polskiego odbywały się tyne dyskusje na tematy literackie. Było to romantyzm — materiały dyskusyjne było dużo. P. Prof. Góla, wnioskując z zainteresowań uczniów, dowodził, aby stworzyć szkolne piśmo poświęcone literaturze. Praca następcza trudności. W tym czasie wyrażało się wywołanie się rywalizacja międzyklasowa, zwłaszcza w zakresie przedstawień teatralnych, które organizowała każda szkoła. Zaczęło „Łobodki”, gdzie wyróżniał się Małgorzewski, później my wystawialiśmy „Marek” i „Cyrena de Bergerac”.

Czasopismo przyjęło w innych szkołach z niechęcią i zawiścią z tego powodu było ono dalekowsza. Niedobory pokrywała szkoła. Raz fundusz pochłonął także jedną moją pensję (jesteż wakuje pracowałem w telegrafii). Z drugiej strony starałem się o amortyzację kapitału. Nie pisałem na Kółko Radzieckie i pojechałem na Powozek. Wystawę Krajową do Poznania. Reprezentacyjny finans impozant i tak odbyła się zabawa „W słońce”. Poza zadowoleniem nie dała spodziewanych dochodów.

Głównym działem w piśmie była „Litera-

tura i Sztuka”, obok tego kącik radiowy, sportowy i „Życie szkolne”.

Dział literacki wypełniałem przeważnie sam. Drukowałem utwory pod pseudonimem „Brodzki”, „Rym”, „Niwiński”, „Stanisław C-ski”. Najczęściej ukazywały się prace Kunowskiego, Postępskiego i Miłkowskiego.

— Jak kształtowała się pańska twórczość poetycka?

— Bardzo dużo pisałem od IV klasy. Jak mię wywalili z budy wydałem książkę „Słońce przez napy”. Gdyby nie to, ukazałaby się ona w polu, czy dwa lata później.

Używanie małych liter było podyktowane względami cenzuralnymi. Usunięcie interpunkcji dawało wiele zajęcia cenzorowi, a w międzyczasie intelektualista mógł oprawić uratowane egzemplarze „Basykad”. Dzisiejsza forma nie jest nawrotem do tradycjonalizmu, lecz wyzbycia się graficznych dziwactw, popularnych w okresie „Sturm und Drangperiode”. Obecnie dochodzi się do klarowności, do pewnego dojrzewania. Świadczy to też o wylamywaniu się z doktryn, a o dążności do własnej prawdy poetyckiej, własnej rzeczywistości. Każdy musi wypracować swoje oblicze, nie znaczący to, ażeby poeta nie miał korzyści ze zdobyczy innych. Należy tylko rozróżnić

Józef Łobodowski

Wiersze lubelskie

Ballada lubelska

Ponad łąkami zmierzchy zapadały sine
i woń rozkwitających lip...
Wezbraną wiosną dusił się Sławinek,
koń niewidoczny przy dyszlu zaparskał,
leniwy chłopski głos i wozu skrzyp,
i ciepły kurz, i z karczmy pieśń pijana...

I gwiazdy stały co noc nad Lublinem,
i Lublin w gwiazdach brodził po kolana.

A my brodziliśmy we snach
i dudnił w słowach głuchy grzmot rebelii.
Kto raz w żrenice trwogi spojrzeć się ośmieli,
kto raz poczuje w ustach gorzki piach
zwalonej wiary...

Kiedyśmy się wzięli
za młode ręce, aby iść na przełaj,
bezglowa Nike znowu lot podjęła
w groźnym proteście późnych wnuków
i czyny zbyt pośpieszne, zbyt gorączkowe dzieła
sięgnęły bruku.

Czas się opóźniał. Serca były szybciej.
Już brakowało nam tchu i powietrza.
Więźniowie w miasta kamiennego krypcie
ku nie zrodzonym jeszcze biegliśmy cegielniom
bić szyby okien, rozwalać na przestrzał
i dłonią zgarniać wapno lat
jak szorstką kielnię.

To o polską rewolucję szła rzecz.
Twarda sprawa chłopsko-robotnicza.

Ale taki nasz zawzięty obyczaj,
że w pochodzie oglądając się wstecz,
nie śpiewało się na obcą nutę,
nie deptało się złoconym chamskim butem
uśpionego w jaśminach cmentarza...

Z tomu *Poezje*, wybór
i wstęp Józef Zięba,
Lublin 1990, s. 214-233.

Na s. 131: rysunek Witolda Januszewskiego to-
mu Józefa Łobodowskiego
Uczta zadżumionych (Paryż
1954). Ze zbiorów Jerzego
Święcha.

Na sąsiedniej stronie: Frag-
ment rozmowy Jerzego
Pleśniarowicza z Józefem
Łobodowskim z czasopi-
śmie „W Słońce”. Ze zbio-
rów biblioteki UMCS.

Bo co drugi grób nam się rozżarzał
krwią poległych w służbie Niepodległej,
bo wołały prochy krwawych bitew...

Więc z ojczystej gliny młode cegły
chciał wypalać zbuntowany architekt.
Aby przedłużyć renesans i barok
o twarde dłonie czerwonych murarzy.

Aby co bandos bezdomny wymarzył,
spełnieniem stało się, a nie ofiarą.
By w rozjarzonej ponad miastem łunie
spłonęła nędza
– jak bez ognia zmóc ją?! –

I teraz, młody, w drżących rękach unieś
tę pieśń, ten hymn
przed polską rewolucją!

Gdy się w knajpie zbiorą marzyciele,
myśl namiętna, za nią mowa krewka –
i po którejś tam szklance, ni mało, ni wiele,
zakołuje rebeliancka przyśpiewka:

„... Na skroniach łak zziających
Bystrzycy chłodny bandaż.
Na ratuszowej wieży rozwiany
czerwony sztandar.

Z Piasków, z Kośminka, z Bronowic
pochodem ruszymy razem. Przeciw czarnemu ludowi
chodź, burżuazjo!”

Odwali kamień ksiądz Piotr Ściegienny,
co śnił, obejrzy na jawie.
Tym, którzy w walce niezmienni, pobłogosławi.

„Żwawiej wapno wymieszaj w kubie,
rusztowania wznos jak najprościej!
Zbudujemy na nowo nasz Lublin –
miasto wolności!”

Tak nam było, tak się nam przyśniło:
– sen o polskim, powszednim chlebie,
– gdy ojczyzna znaczyłoby miłość,
– a żyć w kraju piękniej niż w niebie.

Szło się później zaułkiem znajomym,
deszcz raz po raz z rannej chmury bryźnie.

I wznosiły się w marzeniu szklane domy
na Wieniawie,
na Kalinowszczyźnie.

Pachnie chlebem rozcynionym z piekarń,
pachnie sianem w Czechowicza wierszach.
Żaden pies na przedmieściu nie zaszczeka,
gęsty dym... z kasztanów czy z kadzielnic?
Z buntem płacze się miłość najpierwsza,
matki łzy, gorzki opar pijatyk...

Wiatr lubelski na ustach śmiertelnych, jak ostatni wijatyk.

Lew na łapach kamiennych wsparł się,
stary zegar wydzwania północ,
każde drzewo na nogach się ślania,
kołyszącej się dorożki czółno...

Z ócz nie zgarniesz tamtego miłowania,
nie odgrodzisz się trumnami lat.

I naprasza się znowu
wracający z gwiaździstego połowu,
ogrodowy, sławinkowski wiatr.

Żeby jeszcze do wiosny dożyć,
pojedziemy kajakiem do Zemborzyc,
będziem wiosłem odgarniać kaczeńce.
Niech w kościele murowanym, malowanym
znów zahuczą na Creator organy,
kiedy staniesz pod wieńcem.

Jakże mogła do nas trafić zła wojna,
jeśli tamta ulica
Spokojna
nazywała się?

Jakżeś odszedł, nie wrócił i zamilkł,
jeśli siwa matka co dnia łzami
zalewała się?

Nie zaczynaj znowu, nie zaczynaj,
nie pochylaj się nad szklanką wina,
skroń bezsenną do poduszki przytul.
Niech na zawsze rozwieje się widmo Lublina
na ulicach
śpiącego Madrytu.

Coraz rośnie bolesny rachunek.

Pojawiają się twarze zatarte, niejasne,
błyskawica przelatuje z deszczu na deszcz,
jak ze struny na strunę...
... oczy przetrę, zbudzę się, znów zasnę...

Miasto wraca w wojenną zagładę,
syczy piasek pod stygnącym piorunem,
wchodzi w łunę, w ulice od ognia za ciasne,
biegnąc, stopą poznaje ślad za śladem,
okręcam się gorących popiołów całunem,
nim potknę się we śnie o śmierć mą własną i runę.

Przepływają sny zbiegane, ręce,
odzyskują formy wypukłe.
Mroczne lustro na kawałki rozłukłem,
już się spod ich władzy nie wypłaczę;
podnoszę z ziemi najmniejszy nawet kawałek,
odgaduję w każdym dzieje skamieniałe,
wszystkie zamiary zuchwałe,
przetrawione do szczętu ogniem,
tak wiele co zmarnowałem,
tak żalosną garsteczkę osiągnąć.

Huczy, dudni na bruku lubelskim mój śpiew:

„... swoją młodość tragiczną i męską
za pas zatknąwszy jak nagan,
wiemy jedno:
na naszych klęskach znajdzie zgubę miazdzący nas świat...”
(Takeś z własną ojczyzną się zmagał,
taka była nierozumna odwaga,
żeś nie umiał przekroczyć zwycięsko
barykady piętrzących się lat).
Byle ramion nie zabrakło ku czynom,
miód i mleko przez piachy nędzarskie popłyną!
Więcej myśli jasnej, więcej hartu:
– Wstanie Zamość, Krasnystaw, Lubartów!

Tańczy miastem fala rozhuśtana:
– Dzielić morgi! Fabryki dla nas!
Wykuj sobie przyszłość, wykuj,
tam już w górze, na patyku
kapie soczkiem marksistowski ananas!

A tu ojczyźniany dzień, powszedni, słotny
na oślizgłych brukach się ślimaczy.

Wilkiem łypią oczy bezrobotnych,
wzbiera z piwnic rebeliancki zaczyn.

Gdy napłynie szary tłum przed starostwo,
gdy pod gradem kamieni szyby jękną,
trzeba wtedy głowę trzymać prosto
wpatrzonemu w rewolucji piękno.

Błysk przeleci po schylonych lufach –
tak przed laty bywało z obcym wojskiem.
Teraz jeszcze mocniej trza zaufać,

jeszcze twardziej zaciąć drżące usta...
Czy od kuli kozackiej, czy od swojskiej
jednakowo krew do gardła chlusta.

Nasz sztandar płynie ponad trony,
nad miastem płyną robotnicze trumny,
a kolor każdej jest czerwony,
i wpośród ulic wyludnionych
wybija werbel pogrzeb dumny.
Stare groby na alarm huczą –
któż ucieszy się
tą zabawą bratobójczą?!

To nie ludzkie nieszczęście. Dziejowa konieczność!
Mielą żarna historii serca na otręby.
Rozczyń mleczkiem teorii udrękę odwieczną,
walką klas polakieruj i wkładaj do gęby.

A gdy zwątpisz na chwilę, uczony dialektyk
wytknie, żeś padł ofiarą społecznych obciążeń,
skalpel wbije do mózgu, zaliczy do sekty
i tabliczkę z wyrokiem na szyję uwiąże.

Uciekajmy na wiatr od wyroków i anatem,
na ten wiatr, aby winy nam zmazał.
Ukręconym z piachu batem
będziem gonić głupiego Pegaza.
Idzie droga na stary Markuszów,
przez Puławy zakręca na Kaźmierz.
Wrzaski kawek i kruków puszcza mimo uszu,
odpowiada moim stopom wyraźnie:
– ucz się, głupi, ucz,
jak trawa na pastwiskach rośnie,
jak się sójki i dziecióły przedrzeźniają o wiośnie,
na zagaję i orawy zbaczaj,
boczkiem z miasta na wieś się wytaczaj,
tam ci będzie młodziej i radośniej!

Potrąciłem o topole i lipy,
w nadwiślańskie zabrnąłem spichrze.

Do polowym jeszcze wiatru nie wypił,
a już noc do mnie śmieje się chytrze:
– widzisz, głupi,
jak cię uchlał ten trunek!
Toż cię weźmie policyjny posterunek!
Biegaj cwałem na łąki zziązane
świętojańskim wykpiwać się sianem,
leć na gwiazdy jako ćmy na łunę!

Poparzyła mi wargi jak wrzątek,
jakbym brnął po szyję w pokrzywie.
Napatoczył się przydrożny świętek,
ciemną głową pokiwał żałośliwie:
nawojujesz się, chłopcze, do syta, a juści!
Puszczą cię w świat z torbami przemądrzy oszuści!
Wróć do domu wydeptanym śladem,
byś przed wichrem i gradem
mocniej w ziemię korzenie zapuścił.

I usiadłem nad Wisłą jak nad Babilonem —
stopy pokrwawione, skrzypki potłuczone...
Oj, da-dana, da-głupi,
koprowinę za dukaty żeś kupił,
teraz waruj z podkulonym ogonem!

Księżyc w chmurach toporem się zaciął,
drzewa gwarnym obstępują kołem.
Przepływają widziadła niegdysiejszych przyjaciół,
ogłądają się, czy na nich zawołam.
Lecą liście z kasztanów, umierać im gorzko,
gwiazdy są nad Niecałą,
gwiazdy nad Radziwiłłowską –
śpiwka skrzypek urasta w żałości,
w balladę z tamtej strony,
w wiatr, co blizny z dnia na dzień zalecza...
Błyskawica miecza na schylonych szyjach
i przez gwar żywiołów się przebija
rzewna nuta człowieka.

Oj, skrzypki, skrzypki z samorodnej lipki,
oj, struny srebrnopłynne!
Nie wypłatać się wam z nocnej matni!
Dzień wojenny wstanie nad Lublinem
i dla skrzypka wstanie dzień ostatni.

Jedna śmierć spada siarką i ogniem,
druga – dymem krematoriów ziejąc...
Ileż ciosów, upokorzeń i potknięć,
zanim popiół twój w czarną ziemię zasieją!

Zgrzebny pasiak, chodaki drewniane,
w strutych chmurach stoi Majdanek –
śmiertelne pole.
Pieśń na ustach jak cykuta piecze,
kiedy padasz – nie grotem, nie mieczem –
ugodzony wprost w serce fenolem.

I tak widmo za widmem spotykam,
głos każdego żmudnie przypominam.
Grzebię dłonią w spróchniałych ruinach,
w snach się szarpię –
dzikie zwierzę we wnykach.
Wichrem wieje podziemna muzyka,
rozniesione gorzkim dymem ognisko.

Jak i ja szukałeś słowa, które zbawia,
teraz, w noc odchodząc, mnie pozdrawiasz,
szubienicą pozdrawiasz oświęcimską.

Biją tętna w skroniach – młoty w kuźni –
idą tłumem, w las mroczny, wykrot po wykrocie.
Ni jednego słowa nie rozróżnisz
z ust zaszpunktowanych kneblem trocin.

Zimna lufa na karku, w mózgu wybuch,
leczą w głąb bezdenne szyby,
nie wstrzymają ich dłonie skrępowane
ani stopy w dyby pojmane,
dziś ich widzę, jak widziałem przed laty...

To najwyższym nad ziemią kurhanem
płynie w niebo poderwany Katyń.
Przyjacielem pomordowanym,
przyjacielem zakutym w kajdany
jakież słowa ma żyjący przekazać?
Ciągle błądzę ulicami Lublina,
na grobowcach kolana zginam –
krtąń z ołowiu mam, a usta z żelaza.

Jesień pełna zaklęć i wzdychań,
biją dymy z porudziałych ściernisk
i te słowa ze srebra i z czerni,
dłoń bezbronna, która mroki odpycha...

Przez was, śmierci męczeńskiej wierni,
padną w gruzach
mury Jerycha.

Wchodzę w mrok zapleśniały starych ulic,
archeolog przeddziejowych czasów.

Noc rozkłada ramiona, jakby chciała utulić
zwiądłe światła martwego szabasu.

Dłoń wyciągam, długo szukam:
– gdzie kirkut?

Oczy ślepią kłęby chmur kosmatych...
Wzgórze kurczy się
jak chasyd na nędzarskim wyrku
pod wzniesioną prawicą zatraty.

Tu, gdzie wszystkie kamienie przed wiekiem wydeptały,
cień zbrodniarza w każdej bramie się czai
i jęk płacze się w przedświtu szeptach:
– Och, Sabaoth, Sabaoth Elohim!

Szumi wiatr, w ostrzejszą wrasta nutę,
na gałęziach samobójczo się wiesza.
Niebo w burzy nad rozbitym kirkutem –
rozzłochana, zrozpaczona rzesza.

Rozdarto świętą ziemię aż do samych trzewi,
aż do głębi.
Potraskano kamienne serca lwów i gołębi.
Na nic bunt i lament się przydał,
łaski u Jehowy nie wykołatał.
Nie ostała się, nie ostała się proca Dawida
wobec złości silnego Goliata.

Nie wstał mściwy Rabbi z siedmioma synami,
buchnął krzyk mordowanych i zamilkł.
Teraz wracam, proch grobowców stopami gniotę,
staję, oglądam się
za cmentarzem, za Jeszybothem,
biegnę Rynkiem, Podzamczem, Lubartowską,
krew do ust i oczu się klei...

Nie ma ich, wyszli z swoją śmiercią i troską
w krematoriów dym, ku Judei.

Którzyście mi nie skąpili przyjaźni,
których wraz ze mną widok świata drażnił,
szlachetni buntem i gniewem rozumni;

którzyście z getta, znad stronic Talmudu
rwali się w górę i czekali cudu
na krwawej ziemi, tej krążącej trumnie;

których jedynie z daleka pozdrowić
mogłem, gdy zguba ku Izraelowi
szła w huku butów i w kolczastych drutach,

cóż wam w ostatniej godzinie zostało,
jeśli nie dumnej rozpaczy zuchwałość,
krzykiem z wnętrzości na wieki wypruta?!

W nikczemnym wieku, co puszcza na przetarg
i krew, i wolność, bezsilny poeta
kogo powstrzyma wizją takich zgonów?

Jakim przerazić słowem czy melodią?
Tylko w popiele nam siadać i podjąć
„El mole rachmim”
nad grobem milionów.

W sen zapadają się widma. Nim słońce
wstanie na niebie pogodnym Madrytu,
zbudzę się, okno otworzę szeroko –
nic – tylko z dała czymś szybkim krokom
echo wtóruje...

I wciąż nie ma świtu.
Fałszerz i kłamca powie, że kto uszedł
z ziemi ojczystej, usycha jak drzewo
wyrwane z gruntu... Jak liść w zawierusze
pędzony, nigdy gałęzi nie chwyci,
zawsze poddany niechętnym powiewom,
zwiędnie, pług obcy zgniliznę przeorze...

Gdyby znaleźli się tacy wróżbici,
którzy by wówczas, przed laty dwudziestu
przepowiedzieli, że czas ostrym nożem
rozetnie życie i rzuci daleko
nie przystające do siebie połowy;
że z tamtych brzezin, z rdzewiejących rdestów,
z łąk masykalnych nad stalową rzeką
zostanie garstka spopielałej mowy...
I zabronione mi będzie na jawie
słuchać lubelskich cmentarnych słowików,
wyciągać czule ramiona na trawie,
wraz z którą rosłem...
Ale jeszcze zdławię
ten krzyk
i wyjdę za granicę krzyku.

Znam dobrze drogę, znam drogę powrotną,
nie zastawioną doczesnym szlabanem.
Gdy wasze stopy niezdarne się potkną
i z gąb wypadną zęby połamane,
powrócę cieniem z mej dumnej diaspory
przez zarośnięte przeskakiwać tory,
w gwizd lokomotyw na znajomych stacjach...
W śpiewie słowików, w jaśminów parady
kąt na lubelskim cmentarzu się znajdzie,

a dla was
wieczna
przyjdzie emigracja!

Może tylko to jedno się policzy –
ten powrotny w snach conocnych zachwyt,
woń zroszona lubelskich koniczyn,
rozjarzone policzki łubinów...
Wiatr gorący do ramion znów się przypiął...
... to już tu, cicho schody zaskrzypią,
niewidzialne usta szepną:
– synu!

Widzę chłopca i kozę pstrokatą,
biegnie z pyszczkiem wyciągniętym ku marchwi.
W ulach brzęczy miodosytne lato,
siwy obłok srebrnym smyczkiem zaraz zatnie,
srebrne trzmiele rzucą się na sad,
w rozkrzyczaną, upalną matnię...
Miodne ule jeszcze mocniej zabrzęczą
i wyjdziemy z snów ku Twoim tęczom,
nimeś burzą na jawie
na nas spadł.
Lecą gwiazdy – rozszarpane pawie –
świat kotłuje się, zatraca się w kurzawie
nieodwracalnych już lat.

Ach, od jakich modlitw, od jakich kantyczek
śpiewnych słów w tę godzinę pożyczę,
żeby doszły, żeby dotarły?
Odpuść grzech mój i wygładź winę,
daj, bym w oczach, na świat obcy umarłych,
tamte domy i drzewa... tamte chmury sine...

... niech uchwycę je, w stulone przyjmę ręce
i, padając, jak sztandarem się okręcę
ostatecznym widzeniem:
Lublinem.

Lecą lata, płonące pociski,
rozhuśtały się cmentarne drzewa.
Znowu siadam nad grobami przyjaciół i bliskich
proch zetlały w palcach przesiewać.

Bacz, coś zdziałał, co o sobie powiesz
ku zmierzchowi chylącym się dziejom,
gdy już jutro spóźnieni jak zawsze wnukowie
proch twój
w palcach niechętnie przesieją.

Otwórz tamto okno, bliżej drzewom podaj,
niech podejdą ku szybom i rynnom.
Była pełnia pełgająca na wodach,
wczesnych świtów niepowrotna uroda,
rześka dziwność dnia i nocy inność.

Na chodnikach stóp dziecinnych tupot,
wróbli wrzask, by weselej śmiać się dzieciom.
Ku Wieniawy drewnianym chałupom
brzask jaskrawy
spadał mroczną zamiecią.

Weź go w dłonie, czulej struny nie zerwij,
zawiąż mocniej, na usta namotaj!
Tętni koń bułany, skoczył w słońca czerwień,
już jest cały z purpury i złota.
Zaczesałem palce w krwawą grzywę,
przez tę krew i purpurę nie przebrnę.
... Łzawe oczy najładniejsze jeśli siwe,
najpiękniejsze włosy
jeśli srebrne...

Srebrny deszcz w siwe oczy zacina,
srebrne trzmiele rzuciły się na sad,
trzęsie się srebrny dreszcz? na orzeszynach.

Znów się mroczna rozdziera kurtyna,
oszronionych gwiazd
siekący grad.

Jakbym w nocy tej,
rozwleczonej na wyrocznych sądach,
wysrebrzone dachy Lublina
znów oglądał
zza więziennych krat

W nadbystrzyckich gajach naświstuje słowik,
ciepły opar z podoranych borowin,

mgła na łąkach kożuchem się rozwełnia.
Jest czerwcową, świętojańska pełnia,
byś w niej usta obmył i uzdrowił.

W mrok semafor jak zielony motyl
zatrzepotał mi skrzydłem przyjaznem –
to już blisko, to Motycz...
Ileż razy stąd drogę znalazłem!
Już sapaniem zdyszanych lokomotyw,
już kasztanów wonią chmielną i gorzką,
już zadudnił most drewniany pod dorożką,
można jechać nie patrząc, na ślepo...
Przecwalaowały konie,
spod kopyt ostatnia iskra,
tu się zatrzymasz, tu koniec,
tu twoja przystań...

Garść gorącego popiołu
nad ziemi ojczystej polepą.

Położ głowę znuzoną, połów
pod gwiazd chłodniejących trzepot.

„Ręko wytrwała i groźna,
mieszająca glinę gwiazd w sinym kubie,
trójkacie nieustępliwy w niebieskiej wysokości!

W gorzkiej pomroce mgły,
nad białymi łąkami
żarzy się senny Lublin –
miasto krzyczącej młodości...”
Niech odrodzi się ten rebeliancki krzyk
świecić w ślepiu uzurpatorom!
Aby mówić nie odważył się nikt,
że się miasto poddało przemocy.
Groźne widma wczorajszych bojowników
niech się znowu pod ręce biorą,
niech wychodzą w tym namiętym krzyku
naprzeciw nocy!

Niech na próchnie księdza Ściegiennego
buchnie płomień i świeci na wartach.
Niech się zbiegną ku nowym szeregom zapadnięte groby
powstańców!
Dreszcz przeleci wśród zbudzonych kamienic
i chorągiew kulami podarta
szare niebo krwią zarumieni
i powieje na starym szańcu.

Niech się każdy kamień rozkrzyczy
pożarem polskiego buntu!
Niech hardy honor robotniczy
nieśmiertelnej zaświadczy ojczyźnie!
Wiosno lubelska, wybuchaj,
zdławione krztanie odszpuntuj!

Moskiewska, burżujska jucha
niech dzień odwetu użyżni!

Widmo wolności błądzi w ulicach i straszy.
Któryś zaufał przemocy, widmom nie ufaj!
Księżyc sztyłem spiskowca w gęstwę się zaszył,
każda uliczka spoziera w mroku jak lufa.

Któryś się podszył pod imię Proletariusza,
wstrzymaj się, trwożny, w pamięci uważnie zatnij:
– Wicher się budzi, ziemię do trzewi porusza,
na bój wychodzą żywioły, a bój to będzie ostatni!

Drzew różaniec przy białej katedrze,
naradzają się, o coś proszą,
zamawiają...

Niechże szerzej ta noc się rozedrze,
niech podniosą się powieki ślepej śnicy!

Powracają moje słowa, potykają się,
ciężką noszą
utrudzeni przemysłnicy.

A mnie nie ma, ponoć nigdy nie było.

Tom nie ja w lubelski bruk łomotał,
to nie mnie wzywa stara tęsknota
i miłość...

Widma dawnych lat – towarzysze nieuchwytni!
Każdy z nas nielegalny przemysłnik
i banita.

Ocierajcie ślepie z nocnej drzemy,
wyglądajcie, czy jeszcze nie świta...

Doniesiemy nasz przemyt,
doniesiemy!

Przez mrok nocy chybotliwym czołnem...
... luli, luli... kołysanka tułacza...

Nazwy ulic jak perły od starości pożółkłe
między dłońmi czułymi przetaczaj.
Pergaminu postrzępiony zwitek
przed oczami z szelestem się rozkręca.
Któż tam stoi pod białym portalem Wizytek,
kto wygląda zza kulis pustego teatru?
Płynie z żaglem snu drobna postać dziewczęca,
już wśród drzew,
już we mgle się rozwiewa...

Nie pozwólcie,
bym tym snem aż do zgonu się zatruł,
uratujcie mnie,
lubelskie drzewa!

Ku odwiecznym lipom i kasztanom
na Lipowej, na Ogrodowej...
Jeśli kiedy niedołężnym trafię słowem
w waszą gęstwą wiatrem rozhuśtaną,
tamte czułe noce jeszcze raz przypomnijcie,
tamtym szumem skronie obejmijcie,
bym na zawsze
w waszym cieniu przystanął.

Po rozstajach snu, na pół ślepy, po omacku,
fiołkowym, cmentarnym zmierzchem...
Czarnym skrzydłem zrywających się gacków
bije we mnie letnia noc, nim pierzchnie;
deszcz o świcie polną drogę zakurzył,
strząsa płatki z krzaku dzikiej róży,
mąci rzeki przebudzoną powierzchnię.

Przez malignę, przez podstępne potrzaski
ile jeszcze razy dźwignąć stopy?
Więc to ja znów przekradam się ogrodem Saskim
mur przeskoczyć,
gdy już brama zamknięta...?

Głucho zieją ulic okopy,
drwiąco patrzą żółte latarń oczy,
znów się w topiel starych snów zapadam,
słaniający się po wszystkich zakrętach,
po tych samych
nie zgłodzonych śladach.

Dzień nadejdzie – sny natrętne odrzucę,
na lubelski cmentarz powrócę,
wrosnę w groby, w krzewy malin, w jaśmin.
Niech wyręczą wtedy usta

uśmiechnięte i nieme
skowrończychy nad czarnoziemem:

Jużeś tu,
więc uspokój się,
zaśnij!

Zaśnij... luli, luli... mój jedyny synku,
ulżyj sobie,
popłacz jeszcze krzyнкę!

Stoi krzyż próchniejący na Sławinku,
krwawa gwiazda krąży nad Sławinkiem.

Wygrzebuje się z lotnych piachów piosenka:

A jak na wojaczkę go zegnała,
aż się brzoza liśćmi posypała.
A jak listu daremnie czekała,
aż na rzece woda poczerniała.
A jak pieczęć na tym liście łamała,
aż się pod nią ziemia ugiwała.

Ugina się ziemia, ugina coraz mocniej,
podkłada się przyjaźnie tej wędrowce nocnej,
nawołuje, bym przyszedł...
Zawsze chętna ku takiej usłudze,
w stronie swojskiej, nie cudzej
w nieprzespany sen ukołysz.

W lotny piach obróci się piosenka.

Błądzi cień po Europie – odwieczny emigrant –
rozgrzebuje popioły, w wątłe iskry dmucha.
Na minionych, słotnych zawieruchach
tren żałobny za życia wygrał;
gubi się w gwarzym tłoku – a jest mu bezludnie;
słyszy: chmura za niebem dudni,
zapowiada się wśród gromów i błysków.
Oto los wyłączonego z dziejów,
opuszczonego na pobojowisku.

Ocknięty na dnie armatniego leju
zbiera się w sobie, szuka broni i ładunków.
Trafił na stopy trupa w gnijących onucach,
ropą dłonie ubabrał, a w zdławionych płucach
duszą wyziewy zatrutego trunku.

I krzyk, co razem z czarną krwią wyrzuca,
że go skreślono z rachunku.

Iskry z krzemienia lecą, lecz proch zamókł,
na pieśń karczemną hardą przerobiono nutę.
Pośród sprzedajnych klerków,
wśród handlarskich kramów
próżno potrząsać żołnierskim kikutem;
zanim burza przewieje po idących wiekach
i groby pobielone zetrze palec Boży,
trwaj w zacieklej rebelii i ochryple szczekaj
jak pies,
co na sztandarach się położył.

A oczom, którym dawno łez nie stało,
wciąż zwróconym ku goryczom i troskom,
znowu gwiazdy nad ulicą Niecałą,
nad Spokojną i Radziwiłłowską,
i zegar z Bramy bije nad Madrytem,
i świtem widmo do okien zagłada
i żąda spłaty długu.
I znów ostre żądła
snów niespełnionych kłują – jadowite.
W ciągłej wędrówce wśród ruin i zwalisk
kto się doszuka, dosłucha i dalej
kroki na dzieńne czuwanie wywiedzie?

Przed szumem nocy, przed mroczną zgryzotą
skronie skrzydłami mi przykryj i otocz,
ptaku wyroczny, mój wierny sąsiedzie!

Głucho wpatrzony w okna niewidome,
ślepnę jak one, a gniewny barometr
łudzi mnie, zmyśla i kłamie.

I żółć gryząca i ocet na wargach,
aż się nachyli jutrznia-pielęgniarka,
trzęsąc chorego za ramię.
Wstawaj – powiada – nazbyt długo czekasz!
Nic tu nie wskóra najsprawniejszy lekarz,
przyczyn cierpienia nie wskaże.

Nie wydobrejesz na takiej opiece.
Wyrzuć dryjakwie, nie zamawiaj recept,
krwawe pozdzieraj bandaże.

Znowu z wiatrami bądź w spółce i zmowie!
Patrz: przerażeni uciekli widzowie,
trzasnąwszy drzwiami od szatni...

Weź ziemię w dłonie, przykładaj do rany,
idź,
z nocnych snów do reszty wypłątany,
gdzie bój cię czeka ostatni.

Na śmierć Czechowicza

Znowu siano zapachnie w młodych snach,
Lublin ocknie się lipcowym srebrnym świtem.
Kiedy białe gołębie wylecą nad dach,
jakbyś wstrząsnął gałęzią jaśminu...
A tam pola dojrzałe, zboża złotolite,
senna cisza kładzie się na naszych krokach.
Ale ty nas, ziemio, nie winuj,
że żałobny niesiemy ci brokat,
że cmentarne przywidziały nam się smutki
pod tą pieśnią, którą głucho
jęczą, huczą gliniane dzwony...

– życie nasze snem krótkim –
mówi głos,
mroczny głos z tamtej strony.

Było kiedyś weselej i gwarniej,
gasił wiatr mgliste świece dymiącym kasztanom,
ciepłem wiało z przedmiejskich piekarni,
zlatywali aniołowie nad ranem,
kładli skrzydła srebrzyste na lubelskich malwach,
wonią bylin i ziół ochraniali od miecza –
tylko tyle – cichy polski Monsalwat,
śpiwna nuta człowiecza.

Płyną panny wieczorne z ciężkim żniwem w koszach,
światło we włosach im zapala smukła ręka czyjaś;
jeszcze uśmiech młodego dobosza,
gdy idącym żołnierzom takt do rytmu wybija,
jeszcze dzieci w ogrodzie toczą żwawe kółka,
i z kościoła starego dźwięk zleci jak jaskółka,
Zdrowaś, zdrowaś, Maryja...

I już się konie, całe w śnieżnej pianie,
pomiedzy sobą gryzą...
Ach, to nie huczy głośny taniec,
to nie słońce oczerwienia horyzont,
zakołowało czarne ptactwo – i południe jak północ –

*Z tomu *Jarzmo kau-
dyńskie*, Londyn 1969,
s. 71-72.*

chwieje się każdy dom, na złej fali wywrotne czółno,
ład na połowy rozpęka,
na kamienie ognisty spada chrzest,
teraz w bezwładnie rozrzuconych rękach
w brwiach ściągniętych milczenia patos...

O, jakżeś piękna jest,
gdy swój sandał przysuwasz, przyjaciółko nasza,
Thanatos!

Ciemny cmentarz wkołysał w szum liści,
wycia syren nie słyszysz, takeś ciężko się pospał,
ściany domów pokrył trąd i ospa,
twardy zakon ludzkiej nienawiści
w miastach naszych wstał Apokalipsą.

Ale w domu, rodzinnym domu
drzwi tak samo opravione w skrzyp są.
Spoglądają ciemne twarze glinianych świątków,
ach, ta sama Polska, która była od początku,
ojczyzna poetów, uwodząca i gorzka, jak piołun,
z czołem w błyskawicach,
ze stopami w żużlach popiołu,
zadumała się, zasmuciła się,
zbladły lica,
gdy jej synów do wspólnego kładą dołu.

Zmierzch ku drzewom, jak archanioł ku Maryjom,
pochylił się wieść zwiastować w ogrodzie –
zaraz dłonie nocy powieki nakryją,
jabłonie zapachną słodziej,
gwiazda spadnie – kwiat uwiędły z listu.

To tylko twój czas odchodzi,
to na ciemne łono cię przyjął
Porfirogeneta Chrystus.

Żonie

W dolinę rzeki cień od winnic padł,
w górze napięta cienka struna płacze,
to głośno skarżą się w jesienny, mglisty świat
wędrowne stada dzikich kaczek.

Wysoka trawa płacze się u nóg,
dalekie światło gdzieś w topolach błyska,

Z tomu *Poezje...*, s. 317-318.

jakbym się znowu wolno włókł
przez nadbużańskie torfowiska.

Lecz tutaj zmierzch jak fiołków pełny dzban,
a mrok na skronie ciężki kir zarzuca –
wiem, słyszę: w ciszy czterech ścian
męczą się chore twoje płuca.

W dolinę głębszy cień od winnic padł,
o, jakaż noc węgierska gwiezdna, jaka sina!
I mocniej, ostrzej *czuję* w nozdrzach gorzki czad
dopalających się ruin Lublina.
A tam, gdzie gęstwy szept, kasztanów mrok,
gdzieśmy chodzili słuchać świstu ptaka,
jesienne, polskie liście depce obcy krok,
znenawidzony chód żołdaka.

Ta noc... ten wiew... nieogarniony świat...
idę – a w płucach wiatru coraz więcej –
i wiem, że zatrzymuje mnie nie wiatr,
lecz twe bezbronne, słabe ręce.
Wędrownie ptactwo leci znów na żer,
ale tęsknoty klangor ich nie odjął,
gdy szelest twoich kroków, włosów twoich szmer
staje się pieśnią i melodią.
W dolinach cień, znów wiatr na usta spadł,
świecą mi gwiazdy drżące i tułacze,
i głośno skarżą się, i płaczą w mglisty świat
odlatujące stada kaczek.
O, topole lubelskie, nurzające wierzchołki w mgłach,
jakoże się waszym szumem miasto niosło na warszawską
szosę!
Wydawało się: jeszcze krok,
a sam się uniosę, poniosę,
zamienię w gęstwę,
w szumiący zielony popłoch i strach.
O, miła, jeszcze powrócę, umarły lub żywy, do tych drzew,
minę ogród, przejdę ulicę, na lewo skrećę –
a tam już dwa skoki po schodach
i poczuję na oczach twe ręce,
wargi pobledną i do serca spłynie wszystka krew.
Każde słowo grozi eksplozją, każda myśl wybucha jak
mina,
nienawiść truje i pali,
przywiduje się zgon coraz częściej,
lecz spotkamy się, choćby w śmierci,
i znów ulicami Lublina
odejdziemy w miłość i szczęście.

Lubelszczyzna

Z tomu *Poezje...*, s. 315-316.

Dolinami, zielonymi orawami kraina się rozpostarła,
rozlewami torfowisk i łąk podeszła
ku stromym wąwozom...
Złota woń macierzanki napływa do gardła,
ani wiesz,
skąd i dokąd cię wiozą.
Czy tęsknota daleka,
czy rozpacz i strach,
skurcz pod sercem, gdy słów już zabrakło do wyznań,
na pastwiskach, na rzekach,
po majdanach i wsiach
wciąż usypia moja Lubelszczyzna.

Kiedyś wrócę do ścieżek wydeptanych i szos,
gdziem się z wiatrem spotykał i ziemi bił czołem,
dość słyszała tych pieśni,
więc pozna mój głos,
kiedy na nią po imieniu zawołam.

Przyjdą zmierzchy fiołkowe, zatoczy się wóz,
furman cmoknie na roście mierzyny – i ruszę...
Ach... i droga, wiodąca szpalerami brzoź
między polne jabłonie i grusze.

Niby dym, co wieczorem nad jedliną się snuł, mgła mi oczy
przesłoni, lecz do łez się nie przyznam,
i wśród leśnych uroczysk,
śród majdanów i siół
cicho uśnie moja Lubelszczyzna.

Do kraju polnych grusz
i złotych sosen,
gdzie misę z zsiadłym mlekiem nakrywa bochen chleba,
gdzie płatki bzu poranną piją rosę,
od dawna już
powracać mi potrzeba.
Niech tylko Tanwią spłynie pierwsza kra,
niech w zwierzyńskich lasach zakwitną
krzaki leszczyn,
usłyszę, jak o zmierzchu flet pastuszy gra,
jak mi pod stopą
sucha gałąź trzeszczy.

Lubelski cmentarz zarósł gęstwą drzew,
jak dobrze spocząć przy boku swego dziada! –
i niech mi tam jaśminu krzew
o moim kraju opowiada.

Noce lubelskie

Ewie Szelburg-Zarembinie

I

Wiatr północny, rozszumiały okrutnie –
cienie się chronią po bramach smutne i chore –
wbity w mrok miasta jak Szymon Słupnik,
kładę idące lata pod myśli zawziętych toporem.

*Z tomu Poezje...,
s. 70-75.*

Ręko wytrwała i groźna,
mieszająca glinę gwiazd w sinym kubie,
trójkacie nieustępliwy w niebieskiej wysokości –
w gorzkiej pomroce mgły, nad bladymi łąkami
żarzy się senny Lublin – miasto krzyczącej młodości.

Rozbitych pagórków urnom
nocny wiatr obsypuje żółte próchno,
zagony pachną horyzontem,
łąki wyrastają ramionami traw,
kasztan liście palczaste w twych włosach zaplątał,
a półmrok
jest kwaśny w ustach jak szczaw.

Nie wiemy, kto ponad nami przystanął,
kto zgarnął garścią mrok nocy i w niebie napiął –
pod palcami gwiazd uderza czulszą membraną
serce niesione przez miasto,
kiedy, żałobnie wśród ciszy chrapiąc,
zegar wybije dwunastą.

Trudno jest iść milczącemu, łatwiej by było zapłakać,
a jeszcze trudniej utrafić wzrokiem na nerw – obnażony sens.
Bredzą nędzarze przez sen w kamiennych barakach,
obejmują drżącymi rękami
sterty węgla, bułek, kartofli i krwawych, soczystych mięs.

W klatkach, gdzie męczą ludzi, upalne cięży palermo,
płynie czas pokoleń, pęcznieje głód,
kołyszą się łóżka płynne żywicą i spermą:
miłość – drapieżny ptak w rozwidleniu kobiecych ud.

Wali się idącemu na głowę nocny świat,
gwiazdy opadające na drzewach gasną –
teraz już tylko wejść i bramę za sobą zatrzaskać,
bramę, za którą cwałem przebiegają tabuny lat.

2

Ręka upalna lata błękit na drzewach rozpina,
kłujące szpilki słońca jątrzą się w każdym nerwie –
jest świt o trzeciej godzinie,
jest czerwiec,
błyszczący sierp Bystrzycy i kajak ukryty w trzcinach.

Wieczorem objęci wpół
ze skromnym w kieszeni banknotem
idziemy hurmą do knajpy zimny alkohol żłopać,
sączy się z butli przymilnych wódek srebrzysta ropa,
kwitną na obrusach wina zielone i złote.

Gęste powietrze parzy usta witriolejem,
tańczą dziewczynki śliczne na nóg jedwabnych lodygach,
tańczymy wszyscy –
północ nieruchomieje,
pod szklanym wzrokiem księżycza miasto zastyga.

Biją godziny – stąpa koń czarny –
zmydlony na nim popręg.
Nawołują się cienie nocnych przerażeń głosem,
tancerki mają usta purpurowe i mokre,
tancerki lgną ku naszym prężnym torsom.
Runie przez słabe sztachety nocy brunatny wodospad,
porwie stoliki, orkiestrę, służbę i nas –
i białe tancerek ciała pokłuje ospa
ropiejących, nabrzmiątych gwiazd.

3

Na przedmieściach chichocą wesołe dziewczęta,
nad białymi sadami ciepły wiatr powiał,
ciemne drzewa, jak rumaki w pętach,
kołyszące grzywami listowia.

Mroczna Kalinowszczyzna
rozsyłała się w gąszczach i umarła,
ciepły powiew od sadu rosą w twarz mi bryznął,
zapach kwiatów podskoczył do gardła.

Senne cienie na palcach stąpają ostrożnie,
żaden z nocy grobowej
wyrzeć się nie waży –
leżę w mroku bezwładny i kopyta spiżowe
przelatują zabitemu po twarzy.

Na więziennej baszcie czarny topór
utkwiał w nieba fiolecie i grozi –

nasze serca, oblane księżycowym ukropem,
wybuchają w kolejnej eksplozji.

Księżyc wolno zstępuje po dachach wygiętych
ku odległym, nieznany wybrzeżom –
jak umarłym monety
ciężkie gwiazdy na powiekach nam leżą.

Jeszcze strome pagóry, światła na glinianych urwiskach,
czarny Cień za nami idzie,
czarny Cień na krzywych palcach nas liczy –
w gardle dusi, w gęstwie już błyska:
z sinej nocy grozi tajemnicze.

4
Wiatr północny rozszumiały okrutnie
pędził na miasto chmury, kurzawę i chłód –
niebo tryskało mleczem,
konie były kopytami u wrót,
pod kopytami trzeszczy gwiazd spalonych żużel,
wieczór
utonął w sinej głębi żrenic
i silniej serce odurza
samotnym śpiewem jarzębinowej jesieni.

Porzuconemu w jesiennej samotności
brakuje szerokich dróg i morza,
wąwozów i jedlin –
drzewa spopielił pożar.
daleki tętni pościg
i zmierzch
opada popiołem na dachy ludzkich osiedli.

Historio, która się tworzysz
skurczami rąk i w krzyku ust wygłodniałych,
wymierzana tanków tętentem
i marszem okutych nóg,
zbliżają się ku miastu semaforów czerwone sygnały
i przebija mrok nocy
krótkich spięć groźny huk.

W dniach narodowych świąt niebo jest jasne jak flakon,
przeciągają od rana orkiestry dęte,
błyszcza na słońcu księżom tonsury,
mosiężne hełmy strażakom –
i chodzi z puszkami kilka młodych studentek.

Spłynęła krwią szara ściana,
wżarła się w przestrzeń tym herbem,

przecina mrok aksamitny orzeł i krzyż,
krzyż i orzeł!
Dudni na bruku ulicznym nóg natarczywy werbel
dla ciebie, o dyktatorze!

Biało-czerwoną legendę jakże udźwignąć na barkach
i nie zapomnieć o krzyku, co się na ustach położył?
Oto nam w młodej pięści zwija się kastet anarcha
i myśl z ostrego mózgu spływa jak farba po nożu.

Wracam do domu wieczorem.
Głośnik oświadcza miastu:
marszałek Piłsudski, ojczyzna, cześć bohaterom...
Wiem wszystko:
herbata z chlebem, ramiona lat dziewiętnastu...
Świat jest ten sam, ten sam,
który oknem codziennie otwieram.

5
Wiatr północny rozszumiały okrutnie,
tryska spod ziemi krew i huczący wypełnia semafor;
czekając, aż się miasto czerwono zaludni,
zwitek papierów i spluwę chowałem za szafą.

Znowu wieczorem usta parzył powietrza witriolet,
znów kłula wzrok nieświadoma znikomość rzeczy.
Miastem się toczą gwiazdy:
cekinie, piastry, obole –
to sprawy, które są złe, a którym nikt nie zaprzeczy.

Po cóż zaprzeczać dłoniom niosącym spoczynek,
wykwitającym jak jaśmin
z rozpacz mrocznych szacht –
do ramion cichej przystani już nie zawinę,
pędzony przez wszystkie morza korsarski jacht.

Zaszły łzami oczy matki blade,
starym barkom nieposilny ciężar.
Ciężką drogą, niepowrotnym śladem,
jedzie syn własne serce zwyciężać.

Za strzemiona mnie nie chwytaj i nie płacz,
drżącą skronią przytulona do grzywy –
pod pułapem nawisłym wśród ciszy i ciepła,
w czterech ścianach byłbym nieprawdziwy.

Gdy sąsiedzi zapytają o mnie,
urągając twoim siwym włosom,

ty odpowiedz im, stratą swą dumna ogromnie:
– Mego syna dziś na marach przyniosą...

Szumią jesienne kasztany,
północ przez palce przecieka,
siwym gołębiem świt na zgniłych okiennic deskach,
matce, znużonej rozpaczą,
na rozpalonych powiekach
połóż swą dłoń litościwą.
Gwiazdzista Panno Niebieska!

Ręko wytrwała i groźna,
mieszająca glinę gwiazd w sinym kuble,

trójkacie nieustępliwy w niebieskiej wysokości –
w gorzkiej pomroce mgły
nad bladymi łąkami
żarzy się senny Lublin –
miasto krzyczącej młodości.

Drzewa nad drogą przystały smętnie,
nagły i ostry skręt zebrał je w ciemne półkole,
tak jakby obok
szumem wezbranych tętnic
daleka opowiada się kolej.

Błyskawica nad ziemią,
grzmot na spotkanie mi wyszedł,
spadają krople niewidzialne,
niewidzialna ręka nam grozi
wiatr we włosach i serce już słyszy
wybuchy podziemnej eksplozji.

Lublin 1934

Nad miastem wstaje zmierzch. Zachód we krwi się utopił.
Pod stopami rozbitych pomników gruz.
Kamienie znane na pamięć. Niebo, pod którymś rośl,
wierzby zgarbione nad drogą jak smutne pięty,
Wieczór kroplami gwiazd; w otwarte oczy bryznął –
tobie, milcząca, uwięzła w mroku ojczyzna,
cierpkie pieniactwo poety!

Z tomu Poezje..., s. 76.

Nad sennym Lublinem noc. Chmury brunatne.
Ptaki potworne wieją ze świstem żelaznych piór.
Ognie migocą w oknach. Śpiewa samotny chór.
Słowa słyszane po stokroć serce zduszone uwodzą.

Ach, serca! Dzwony alarmu na zapomnianych poddaszach.
Kroki, których stąpanie na zawsze w pamięci zatnę.
Cienie skłębione biegną. Każdy za sobą zaprasza.

Kogo pilnujesz, człowieku? Kto jest twój wróg?
Czyje drapieżne ręce grożą orężem?
Zwyczajną będę w tej walce, choć własnych słów nie zwy-
cięzę.
Przejdę przez wszystkie granice, każdy zdobędę próg,
wywyższę serce człowieka nad rozkład straconych ciał –
wydziedziczony władca
tej jednej jedynej przełęczy,
którąś przekroczyć się bał.

Nad wrzawą słów i pułków tupotem głuchym
szeroka i krwawa łuna wyrasta –
twój granatowy płaszcz unoszą wichru podmuchy,
samotny poręczycielu mieszczańskiej ciszy –
złamały się linie domów,
kamienna rewolta miasta,
której znużony nie słyszysz.

Świerków czubate gromady, jak pęki dzid,
rozwiewa świeży wiatr
popiół żałobnych elegii –
spójrz: nad nami zwichrzony świt –
morze bijące o brzegi.

W Zemborzycach

Z tomu *Poezje...*, s. 267.

Pani Wenus wszędzie zastawia swe zatraski,
więc to samo dzieć się musiało w Lublinie.
Podobno młodzi wciąż całują się w Ogrodzie Saskim,
a Bystrzyca też podobno ciągle płynie.

Spływało się kajakiem do Zemborzyc,
w tamtych lasach było dosyć mchów i czernic.
Po to właśnie wyrok bóstw nas wszystkich stworzył,
więc musieliśmy wyrokowi być wierni.

Pieniła się woda przy starym młynie,
noce i gwiazdy przeglądały się w głębinie,
bo każda noc była znojna i gwiezdna...
I co? – Bystrzyca ciągle jeszcze płynie?
Bez nas?!

List do matki

Późny wieczór się kładzie nad starym Lublinem,
w szelest i w cień uciekają zamglone klony.
Granatowieje niebo, dotąd błękitne i sine,
nad Tatarami opar się wznosi zielony
i zmierzch fiołkowy otwarte bramy nasycy...

*Z tomu Jarzmo kaudyn-
skie..., s. 49-50.*

Kroki moje zgłuszone w mrocznych lubelskich ulicach,
powrotne kroki młodości raz jeszcze niechaj usłyszę!
Głowę moją szaloną niech tamten wiatr ukołyszę,
w gęstwie jaśminów zaszumi,
wzburzone włosy potarga,
niech wszystkie dawne zaklęcia zbudzi na wargach
i starą furtkę zaskrzypi,
gdy klucz z niej wolna przekręcę,
by oprzeć drżące skronie o spracowane twe ręce.

Coraz ciężiej zasypiać, budzić się coraz trudniej,
bezzadna dłoń opada na głowę małego wnuka.
Ognistymi kłami w znużonych oczach południe,
po nocach budzisz się, gdy gałąź w okno zastuka,
nasłuchujesz długo – odwieczna matczyna praca –
gdy się kroki wstrzymują przy bramie:

To może syn mój powraca...

A on nie powraca, zły, niedobry syn,
a on nie pisze nawet, jak zawsze... przedtem...

„Na próżno do przywołuję codziennych modlitw szeptem,
daremnie go rozgrzeszam ze wszystkich win

Nie przychodzi,
zabłąkał się wśród obcych, dalekich ziem,
nie poradzą, nie dopomogą
bezsilne ręce matczyne...”
O, srebrna moja, najbielsza,
teraz dopiero wiem,
naprawdę złym byłem synem.

Noce rzucone na pastwę szalonym snom,
młodość, co była rozterką, gniewem, rebelią i pychą.
Wszystko rozwiało się w burzy,
wszystko przepalił grom,
że się jak liście umarłe po ziemi ścielą...

A tylko gorzki twój płacz zbłąkaną jaskółczą
wciąż krąży nad pogorzela.

W tej drodze, którą idę skroś zbójeckich borów
przez świat, co mnie otacza jak bezludna pustka,
zwierzęta głodu, trwogi i pomoru,
świecąc płomieniem ślepiów, chciwie węszą w ślad,
na skrzydła rudych łun porwany wiatr
na twarz opada zakrwawioną chustką,
znużone stopy potykają się na grobach
i próżno w list do ciebie
chcą się związać słowa,
słowa
stłumione jak płacz...

Cmentarz w Lublinie

Z tomu *Jarzmo kaudyńskie...*, s. 53-54.

Jakiż sens brać w dłonie ciepłe trupy wydarzeń,
jeśli nie można ich wskrzesić,
jeśli nie można ich zmusić,
by po raz drugi umierały inaczej?

Zawodowi tych spraw opowiadacze
potrafią wymierzyć proporcje
między piaskiem, którym rzuca się na powieki zmarłych,
między głowami, które wygłasza się, czkając na stypie;
umieją wymierzyć trumnę
i rękę, kwiaty sypie.

Zawsze lubiłem cmentarze. Lubiłem w nocy
drzemać wśród grobów, porwanych powodzią jaśminów.
Powietrze zalewało krtani chmielnym płynem,
słowiki krzyczały na cały świat o swoim szczęściu,
oszałałe, w miłości niesamowite.

Cmentarz kołysał się, wzbierał wiosną, żył.
Budziłem się późnym świtem.
Na pobliskim pagórze chłop prowadził konie:
szły rześko, pobrzękując kantarami.

Ten cmentarz już nie śpiewa. Dawno zamilkł
głos, co był głosem umarłych,
ale zachęcał mnie do życia.

Nazwiska na kamiennych tablicach się starły,
nie pamiętam ich.
Drewniane krzyże pod murawę się zapadły,
z próchna nie wydobędę ich.

Zapomniałem na ile ciągnął się stajań
i zatraciłem miarę dzisiejszych wydarzeń.

A cmentarze stoją w kwietniach i majach,
w sienie mgły świtów, na plusze i skwarze,
unoszą w dłoniach ciepłe trupy lat –
i po każdym pogrzebie grabarze
przy podziale srebrników klócą się zajadle.

Tak nieraz, gdy kruszyłem suchy chleb, w mój ślad
leciały z wrzaskiem wróble, gile, trznadłe...

I chciałbym je wszystkie wziąć w dłonie
i wskrzesić, aby po raz drugi umierały inaczej,
a to znaczy,
że musiałbym wskrzesić sam siebie,
aby inaczej żyć po raz drugi
i zasłużyć na jaśminy, na słowiki,
na cmentarz...

Przechodzi pogrzeb po pogrzebie
i pod skrzydłem szarugi
wolno wleką się żałobne zwierzęta.



Lublin we wspomnieniach Łobodowskiego

Józef Łobodowski Wspomnienia lubelskie

Po ukończeniu szkoły powszechnej w roku 1924 powstało pytanie: co dalej? Matka myślała przez jakiś czas o seminarium nauczycielskim, ale kierownik szkoły jej to wyperswadował. „Pani syn jest zdolny. Seminarium nie daje prawa wstępu na wyższe studia. Niech zdaje do czwartej gimnazjalnej”. Było to jeszcze przed reformą szkolną i po ukończeniu szkoły powszechnej trzeba było zdawać egzamin. Oczywiście, miało być gimnazjum klasyczne. W Lublinie były dwa takie gimnazja: państwowe imienia Staszica i prywatne, zwane „Szkolą Lubelską”. Okazało się jednak, że u Staszica nie ma miejsc, „Szkoła Lubelska” zaś odpadała ze względu na wysokie wpisywane, na które mojej matki nie było stać. Emerytura zaborcza dla matki i dla mnie (siostra już wtedy pracowała) była zbyt szczupła. Więc volens nolens trzeba było zdawać do gimnazjum matematyczno-przyrodniczego imienia hetmana Jana Zamoyskiego, przy ulicy Ogrodowej 10.

Zanim omówię moje lata szkolne, które trwały zbyt długo, gdyż po drugim roku w siódmej klasie zostałem za różne sprawy z gimnazjum usunięty i przyjęty ponownie po pół roku, co znacznie przedłużyło studia aż do zdania matury, kilka słów o tym, jakśmy się po powrocie urządzili. W roku 1914, gdy matka zdecydowała się na wyjazd do Moskwy, zostawiła cenne meble na przechowanie u przyjaciela rodziny, księdza proboszcza na Kalinowszczyźnie, którego w roku 1922 już nie było wśród żywych. Meble zostały skonfiskowane przez oku-

pacyjne władze austriackie i znajdowały się w różnych biurach, a gdy wybuchła niepodległość, przypisane zostały polskim urzędnikom. Nie od razu można było sprawdzić, gdzie i w czyim ręku się znajdują. Ale powoli matka umieszcowiła prawie wszystkie. Jednak jak je odebrać po tylu latach? Ostatecznie doszło do porozumienia. Niektórzy nowi posiadacze zobowiązali się do stopniowego wypłacenia odpowiednich sum. Dyrektor Poczty i Telegrafów zaś, Dubownik, w którego posiadaniu znajdowało się umeblowanie salonu — kanapa, dwa fotele i krzesła, kryte aksamitem — zaproponował mojej siostrze niezlą posadę w Dyrekcji, mimo że jej wykształcenie skończyło się na czterech klasach rosyjskiego gimnazjum w Jejsku. Teraz już miała dziewiętnaście lat i trudno było myśleć o odrabianiu straconego czasu.

Wszystko razem, plus skromna emeryturka, pozwoliło nam związać koniec z końcem. Dwa pokoje zaś znaleźliśmy w rozległym mieszkaniu przyrodniej siostry matki, córki pierwszej żony mego dziadka, która wynajmowała wolne pokoje podróżnym, nie mogącym zainstalować się w stale przepełnionych w owym czasie hotelach lubelskich. Do kryzysu gospodarczego było jeszcze wtedy daleko. W kilka lat później siostra wyszła za mąż za wysokiego urzędnika Dyrekcji Poczty i Telegrafów, lwowianina węgierskiego pochodzenia. Jego pradziadek był we Lwowie austriackim urzędnikiem, ożenił się z Polką,

„Kresy” nr 8, 1991.

Okładka pierwszego tomu
Józefa Łobodowskiego
Słotce przez szpary (Lublin
1929). Ze zbiorów Biblioteki KUL.

spolszczył i w jego potomkach tylko nazwisko świadczyło o dawnej ojczyźnie. Otoczenie ciotki było skrajnie endeckie. Rodzina również. Piłsudskiego nazywano pogardliwie „Półsuczkiem”, a jednocześnie nienawidzono Ukraińców i przybyszów z Galicji. „Ciotka — mówił z goryczą jeden z moich kuzynów — wydała córkę za Galileusza”. Galicjanie, jak i piłsudczycy byli uznawani w tym środowisku za złych Polaków, a w najlepszym razie podrzędnej kategorii.

Obydwaj synowie ciotki Antoniny, Jan i Edward, uważali swego najstarszego brata, nieżyjącego już Kazimierza, za wyrodka, ponieważ poszedł do Legionów, nabawił się tam gruźlicy i młodo umarł. Ta śmierć zwiększyła jeszcze ich nienawiść do Piłsudskiego. Bliskim przyjacielem całej rodziny, a przede wszystkim swego rówieśnika, dziadka, był Władysław Barwicki, stary dziwak, chodzący w czamarcze i konfederatce. Uczeń Gersona, był niezłym portrecistą, malarzem uprawiającym głównie tematykę religijną, ale lubującym się także w obrazach alegorycznych, jak na przykład w scenie śmierci księdza Butkiewicza. Ręką krasnoarmiejca czy czekisty, mierzącego do księdza, kierował uśmiechnięty Żyd w jarmulce. Antysemityzm łączył się organicznie z postawą ideową endeków. Jeden z moich kuzynów należał do istniejącej przed zamachem majowym prawicowej organizacji „Straż Narodowa”, która odznaczyła się rozbijaniem wieców socjalistycznych i pochodów pierwszomajowych. Z robotnikami lubelskimi zaczynać było niezdrowo, więc skrupiło się wszystko na Żydach.

Barwickiemu największą sławę wśród miejscowej endecji przyniósł obraz, starannie ukrywany przed policją, przedstawiający „męczeńską” śmierć zabójcy prezydenta Narutowicza. Mordercą Niewiadomskiego był Piłsudski, występujący w czerwonym stroju błazna.

Piękna dziewczica, symbolizująca Polskę, składała u stóp Niewiadomskiego wianek kwiatów. Poza tym Barwicki był człowiekiem łagodnym, z tych co by, jak mówi przysłowie, muchy nie uszkodził.

Matka opowiedziała mi zabawną anegdotę dotyczącą jej ojca, Edwarda. Zdarzyło się wszystko jeszcze przed drugą wojną światową. Malując freski w kościele Świętego Ducha, Barwicki sportretował mego dziadka, a swego serdecznego przyjaciela, jako świętego Piotra. Stary miał stałe miejsce w stalach naprzeciw wielkiego ołtarza i nie znośli, gdy mu ktoś tam włożył. Gdy któregoś dnia zastał tam kilka starych dewotek, zdenerwowany, zaczął je wypędzać, grożąc im sękatym kijem. Jedna z dewotek spojrzała na niego, później na fresk i zawołała w przerażeniu: „O Jezu, święty Pieter mnie bije!”. Barwicki przyjaźnił się z młodopolskim, czy raczej postromantycznym poetą, autorem *Królewskiej pieśni*, Kazimierzem Glińskim, i w tajemnicy przed wszystkimi pisywał kiepskie wiersze, które mnie jednak pokazywał. Nie pamiętam już, czy dożył do wybuchu drugiej wojny światowej. Jeżeli nawet, to w każdym razie jej nie przeżył.

Wspomniałem, że moja siostra wyszła za mąż za wysokiego urzędnika z Dyrekcji Pocht i Telegrafów. Eugeniusz Tomanek był owym ćwierć-Węgrem ze Lwowa, nazywanym przez naszych endeckich kuzynów „Galileuszem”. Umarł w kilka lat po ślubie, zostawiając młodą wdowę i dwuletniego synka. Wraz z matką przeniesiliśmy się do mieszkania zmarłego i tam zastała całą rodzinę wojna. Mnie w tych ostatnich latach w Lublinie już nie było. Ale wróćmy do czasów gimnazjalnych. Początkowo byłem uczniem jeśli nie wzorowym, to jednak przykładowym, wybijając się wkrótce w przedmiotach humanistycznych, które stały w tym gimnazjum matematyczno-przyrodniczym bar-

dzo wysoko, dzięki świetnym, wręcz wyjątkowym profesorom.

Polonistą był Wielkopolanin, bodaj poznaniak, Paweł Gdula, zwany pieszczośliwie „Pawełkiem”, profesorem historii kijowianin, Stanisław Horyszewski. Byłem ich ulubionym uczniem, chociaż często swoim gwałtownym postępowaniem doprowadzałem do scysji. Był jeszcze doskonały geograf, Nalepa, ten znowu z Galicji, tak że wszystkie trzy zabory były reprezentowane. Ale Nalepa w starszych klasach już nie wykładał. Fizykę, chemię i matematykę przestałem ostatecznie uznawać już w siódmej klasie. Gdy matka szła na kolejną wywiadówkę, uprzedziłem ją: „Niech mama się nie zdziwi, jeżeli będę miał niedostateczny z matematyki. Nie mam na nią czasu, muszę dużo czytać, zostanę pisarzem, po co mi matematyka?”. Najbardziej zdziwiony był matematyk, Bogucki, nazywany popularnie, nie mam pojęcia dlaczego, „Rułą”. „Nie wiem, co się stało — powiedział do matki — pani syn był zawsze dobrym uczniem, teraz coś się psuje. Wyjątkowo postawiłem mu dostatecznie, za dawne zasługi. I w nadziei, że się poprawi”. Niestety, nie poprawiło się aż do końca.

W siódmej klasie, do której przepchałem się z wielkim trudem, zaczęła się moja kariera literacka i teatralna. Inicjatorem wydawania szkolnego czasopisma był nasz polonista, wspomniany powyżej profesor Paweł Gdula. Zwracając zeszyty z klasówkami, często mówił: „Łobodowskiemu nie postawiłem żadnego stopnia, bo musiałbym wszystkim innym obniżyć”. A gdy o Balladynie napisałem, że Słowacki sięgnął po temat nietzscheański, wyprzedzając literaturę na wiele lat, Gdula uznał, że moje wypracowanie jest na poziomie uniwersyteckim i również stopnia nie wystawił. „Bo gdybym mu dał celujący, nikt by nie otrzymał dostatecznego”. Wyrzucano mnie jednak, bo przestałem w ogóle

pokazywać się na niektórych lekcjach. Przychodziłem do klasy i pytałem kolegów, jaka jest pierwsza lekcja. Jeśli matematyka albo fizyka, szedłem na wagary i wracałem po godzinie albo dwóch. Nie mogło się to oczywiście podobać, choćby ze względu na zły przykład dla innych kolegów. Uznałem lojalnie, że wyrok był słuszny i od razu zacząłem pracować na pocztce, gdzie już uprzednio brałem zastępstwa w czasie wakacji.

Później jednak dyrektorowi, księdzu szambelanowi Kazimierzowi Gostyńskiemu, zrobiło się żal i zaproponował mi powrót. Zgodziłem się pod naciskiem matki ulegając także namowom profesorów i kolegów. Ale postawiłem warunek: „Muszę dostać korepetycje, bo już się przyzwyczaiłem do posiadania pieniędzy”. (Od kilku miesięcy pracowałem na pocztce, a później w telegrafii). Warunek został przyjęty. Korepetycji dostałem mnóstwo, tak że ledwie mogłem nadążyć. Wróciłem — byłem już wtedy autorem pierwszego tomu wierszy, wydanego własnym nakładem.

Z maturą wynikła osobna sprawa. Można było mieć jedno niedostateczne na egzaminie pisemnym, ale trzeba było zły stopień poprawić na egzaminie ustnym. Pocciwy Bogucki „Ruła” — nie wiem, czy z własnej inicjatywy, czy przez kogoś namówiony — przyszedł mi z pomocą. Wezwał mnie do siebie i powiedział: „Wiem, że Łobodowski nie lubi korzystać ze ściągawek, więc znowu Bóg wie, co nam wypisuje w wypracowaniu pisemnym. Umówmy się: Łobodowski ma dobrą pamięć, proszę się nauczyć wszystkich wzorów algebraicznych, geometrycznych i trygonometrycznych, ale wszystkich bez żadnego wyjątku. O nic innego pytać nie będę”.

Tak się i stało. Spędziłem na starym cmentarzu przy ulicy Lipowej kilka nocy i wykułem owe wzory na sto dwa. Dlaczego właśnie na cmentarzu? To dłuższa

historia i żeby ją opowiedzieć, muszę się cofnąć o kilka lat. Po powrocie z Kaukazu miałem w oczach straszne sceny, byłem świadkiem egzekucji z jednej i z drugiej strony: Kozacy wieszali czerwonych, potem czerwoni rozstrzelili białych i Kozaków. Po nocach śniły mi się okrwawione trupy, bałem się wejść sam do ciemnego pokoju. Aż któregoś dnia poszedłem z matką odwiedzić grób mego dziadka, zmarłego w 1918 roku. Po drodze przechodziliśmy koło dużego, ozdobnego mauzoleum w stylu gotyckim. „W 1863 — powiedziała matka — w tym wspólnym grobie rodzinnym mój ojciec, a twój dziadek spędził kilka nocy, zanim przyjaciele załatwili mu ucieczkę do Galicji”. „A dlaczego się ukrywał?” „Bo go poszukiwała rosyjska żandarmeria, jako podejrzanego o udział w powstaniu”. „I tam spał?” „Naturalnie. Między trumnami. Przyjaciele przynosili mu żywność i wodę do picia”.

Zastanowiłem się. Mój dziadek nie bał się spać na cmentarzu między trumnami, a ja się boję wejść do ciemnego pokoju... Wstyd! Trzeba się przemóc. Postanowiłem pójść w nocy na cmentarz. Za pierwszym razem bałem się potwornie, potem szło nieraz lepiej. I właśnie tych wzorów uczyłem się siedząc na ławeczce przy grobie mego dziadka. Było to w maju, księżyc był w pełni, na cmentarzu widno jak w dzień. Koło grobu rosły jaśminy, a w nich było mnóstwo słowiczych gniazd. Darły się te słowiki przez całe noce, jak oszalałe. Nie pamiętam już, czy to trwało trzy noce, czy cztery, ale opanowałem owe wzory dokładnie i egzamin wypadł pierwszorzędnie. Matura została zdana bez większych przeszkód.

Już wtedy mówiono, że stary cmentarz zostanie wkrótce zamknięty. Moja matka bardzo się tego obawiała i zawsze mnie i córce nakazywała: „Kiedy umrę, zróbcie tak, aby mnie pochowano na

starym cmentarzu. Nie chcę leżeć gdzie indziej”. Umarła, gdy jej brakowało do stu lat zaledwie parę miesięcy. Cmentarz był już, oczywiście, od dawna zamknięty. Ale jej życzeniu stało się zadość. Stary urzędnik wygrzebał papiery z roku 1918, z których wynikało, że dziadek leży w podwójnym grobie, o czym nikt nie pamiętał. Znalazło się więc miejsce dla trumny mojej matki i spoczywa w tym samym grobie, przy którym siedywałem przed przeszło pięćdziesięciu laty, w nocie majowej, przesycone upajającą wonią jaśminów i śpiewem oszalałych słowików. Widziałem ją ostatni raz w końcu sierpnia 1939 roku, gdy wyjeżdżałem do Warszawy, gdzie z miejsca zostałem zmobilizowany. Po kampanii wrześniowej i przejściu na Węgry, do kraju już nie wróciłem.

Gdy żegnałem się z matką 28 sierpnia, zapytała mnie, czy dojdzie do wojny. Odpowiedziałem, że na to się zanosi. „Przeżyłam trzy wojny — odpowiedziała — następnej już nie przeżyję”. Przeżyła i umarła przeszło trzydzieści lat po jej zakończeniu. Dochowała się prawnuków. Wiedząc, że o moim powrocie długo nie będzie mowy, a może nawet nigdy za życia nie powrócę, chciałem pójść do kraju nielegalnie, jeszcze podczas wojny i po niej. Zawsze coś stawało na przeszkodzie. Może to i lepiej, bo gdybym wpadł, czy to w ręce gestapo, czy bezpieki, zapewne już bym nie żył. Zatruli bym jej ostatnie lata życia. A tak umarła wiedząc, że żyję, jestem w bezpiecznym miejscu, nic mi nie grozi, mam się nieźle finansowo. Wtedy istotnie tak było, później się pogorszyło. Czy kiedykolwiek mogłem się domyślać, że jako stary, dojrzały pisarz będę zarabiał znacznie mniej niż za szczeniackich lat?! Prosiłem znajomych w Madrycie, aby mnie po śmierci spalili w krematorium i prochy posłali do Lublina. Chcę, by zostały pochowane u stóp mojej matki na lubelskim cmentarzu. I nie jest to żadna sentymentalna fanaberia...

Ustalił się taki zwyczaj, że każda szkoła lubelska — a były cztery gimnazja męskie i aż osiem pensji żeńskich, nie licząc gimnazjum żydowskiego, które było koedukacyjne, szkoły ogrodniczej i dwóch seminariów — musiała przynajmniej raz w roku wystąpić z przedstawieniem teatralnym. Od obowiązku tego były zwolnione jedynie urszulanki i kanoniczki. Zazwyczaj chodziło o program mieszany. Występy chóru, deklamacje, gra na fortepianie, jakaś jednoaktówka, na przykład nieśmiertelne *Kalosze* Fredry (tego młodszego). Zajmowała się tym klasa siódma, bo ośmioklasiści mieli myśleć wyłącznie o maturze. Gdy doszedłem do siódmej klasy i zostałem mianowany przez kolegów „dyrektorem” szkolnego teatru, postanowiłem dokonać rewolucji i sięgnąć do wielkiego repertuaru. Na początek wybrałem *Cyrano de Bergerac* Edmonda Rostanda.

Na siebie wziąłem główną rolę, Roksana była arcyszanka Zosia Grassówna, jej mężem, który w czwartym akcie poległ w bitwie pod Arras, przystojny Czesław Stefański, niezły malarz, podczas wojny jeniec niemiecki, zmarły później stosunkowo młodo w Niemczech Zachodnich. Lublin sztubacki przyjął wiadomość, że wystawiamy Rostanda, z niedowierzaniem: „Na co oni się porywają!” Ale poszło wszystko jak z płatka. Dowiedziawszy się z prasy, że Teatr Polski w Poznaniu wystawił właśnie *Cyrana*, poprosiłem księdza Gostyńskiego o trzy dni urlopu i pojechałem do Poznania, aby się przyrzec przedstawieniu. Gostyński — zamęczony później przez Niemców w Dachau — przychylił się do mojej prośby, wielce dumny, że w jego gimnazjum dzieją się takie rzeczy. Gdy w dwadzieścia kilka lat po premierze byłem po raz pierwszy w Londynie, za telefonowano do mnie, a kobiecy głos się przedstawił: „Tu siostra Klara”. W pierwszej chwili nie mogłem się połapać, o co chodzi. Rzecz w tym, że w ostatnim,

piątym akcie sztuki, w klasztorze, gdzie zamknęła się gorzka wdowa, Roksana, występują trzy zakonnice: przeorysza i siostry Klara i Marta. Klarę grała w lubelskim szkolnym teatrze Zosia Liliensternówna i to właśnie ona odezwała się w londyńskim telefonie. Spotkałem się z nią i opowiedziała mi swoje dzieje. Wywieziona w roku 1940 na Sybir, dostała się po uwolnieniu na mocy osławionej „amnestii” do Anglii, topiła się po storpedowaniu okrętu, którym płynęła, i uratowana wyszła za mąż za wysokiego oficera angielskiego lotnictwa. Podobno już owdowiała. W Londynie mieszkała także — zapewne mieszka po dziś dzień — przeorysza z tegoż piątego aktu, Marysia Górnicka, najpiękniejsza w Lublinie panna z lat mojej młodości.

A później wystawiliśmy *Mazepę* Słowackiego i *Damy i huzary* Fredry. Skutek był natychmiastowy. Wszystkie gimnazja poszły za naszym przykładem i zaczęły wystawiać sztuki z wielkiego repertuaru. Więc arcyszanki — *Odprawę posłów greckich*, unitki — *Skąpca* Moliera (zaproszony przez panny, grałem Harpagona), gimnazjum Staszica — *Warszawiankę*, „Szkoła Lubelska” — *Pana Jowialskiego*. Teatralny Lublin dał z czasem dobrego zawodowego aktora, Józefa Małgorzewskiego, który grał także w niektórych filmach, na przykład w *Młodym lesie*. Szkoda, że w historii szkoły imienia hetmana Jana Zamoyskiego, wydanej w kraju przed kilku laty, nie ma o naszej działalności teatralnej najmniejszej wzmianki. Za to znalazło się sporo miejsca na omówienie miesięcznika literackiego „W Słońce”, którego byłem pierwszym redaktorem.

Jak wspomniałem, inicjatorem był nasz polonista, Paweł Gdula, wiedząc, że w starszych klasach jest — prócz mnie — sporo piszących. Był jeszcze Stefan Kunowski, popularnie zwany „Kundysem”, który przeszedł do nas z Handlów-

ki Vettera. Nie wiem, co się z nim działo podczas wojny. Po wojnie i ukończeniu uniwersytetu został profesorem filozofii na KUL-u; wierszy już wtedy nie pisał. Informowano mnie ostatnio, że nie żyje. Inny zdolny chłopak, Sokołowski, zginął jeszcze w siódmej klasie, po zderzeniu się na rowerze z taksówką na Krakowskim Przedmieściu w Lublinie. Z moich kolegów szkolnych żyje, zdaje się, tylko czterech: malarze i graficy Jan Samuel Miklaszewski w Warszawie i Witold Chomicz w Krakowie. Dwaj pozostali znajdują się na Zachodzie. W jesieni 1977 roku, będąc w Kanadzie, spotkałem Janka Podkowę, chłopskiego syna ze wsi podlubelskiej. Reszta wyginęła podczas wojny lub umarła. O niektórych dowiedziałem się różnych rzeczy przypadkowo. Na przykład o Henryku Dondzie, dobrym karykaturzysty i niezłym rzeźbiarzu. Wypuszczony z sowieckiego łagru umarł zaraz po wyjściu na wolność. Nie zdążył nawet zjeść kromki chleba, o którą prosił. Umarł ze skrajnego wycieńczenia.

Tytuł miesięcznika „W Słońce” nie bardzo mi się podobał. Wiele było projektów. Gdula więc postanowił sprawę załatwić na drodze demokratycznego głosowania i przeszedł ten okropny, moim zdaniem, tytuł. Demokratycznej większości trudno się było sprzeciwić. Redagowanie miesięcznika z miejsca narobiło mi zajadłych wrogów, gdyż, ponoszony temperamentem i przekonany o własnych racjach, nie liczyłem się z niczym i nikim. Pisywałem artykuły na różne tematy, drukowałem wiersze i przekłady. Zacząłem używać pseudonimów, aby moje nazwisko nie powtarzało się za często. Opinie były różne, a najbardziej rozpowszechniona: czy wyrobi się z niego prawdziwy poeta, to dopiero czas pokaże, ale już widać, że będzie z niego eseista i publicysta. Byłem wtedy osiemnastoletnim redaktorem, miałem przed sobą wiele czasu. Wspominam tamte lata, jak gdyby były osnute mgłą.

Prawie nikt z ludzi, z którymi wówczas obcowałem, nie żyje.

Maturę zdałem w roku 1931, gdy miałem dwadzieścia dwa lata. O przyczynach tak wielkiego opóźnienia pisałem powyżej. Miałem już wtedy za sobą dwa tomy wierszy. Pierwszy z nich posłałem Julianowi Tuwimowi z prośbą o opinię. Odpowiedź była równie lakoniczna, jak wymowna. „Za dużo w tomie wierszy, za dużo w wierszach słów, ale są i bardzo dobre (*Atawizm*)”. Nie miałem tamtych pierwocin w rękach od tylu lat, nie pamiętam treści owego *Atawizmu*. Trzeci z kolei tom, *O czerwonej krwi*, został skonfiskowany. Endecka opinia miasta z miejsca uznała mnie za komunistę, podejrzewając, że pieniądze na wydanie książki dostałem od partyjnych Żydów. „Żydokomuna” była słowem załatwiającym wszelkie wątpliwości. Po wielu latach opisałem owe czasy w moich, na emigracji pisanych powieściach — *Czerwona wiosna* i *Terminatorzy rewolucji*. Niewątpliwie wykorzystałem tam sporo moich doświadczeń osobistych, ale wbrew pozorom nie są to powieści stu-procentowo autobiograficzne.

Konfiskata pociągnęła za sobą wydalenie z Uniwersytetu Lubelskiego, na który wstąpiłem ni stąd ni zowąd na wydział prawny. Powód był ściśle materialny — nie chciałem tracić emerytury po ojcu. Było tego bardzo niewiele, ale miało swoje znaczenie. Uprzednio, zanim zacząłem zarabiać korepetycjami, rzadko kiedy miałem w kieszeni kilka wolnych groszy. Wraz z doświadczeniami kaukaskimi spowodowało to u mnie wielką drażliwość na niedostatek i ludzką nędzę. W pierwszych latach w Polsce rzadko kiedy miewałem pieniądze na kino albo na zakupienie biletu na mecz piłki nożnej. Boisko „Lublinianki” otwierało się dla takich jak ja dopiero po przerwie w meczu, gdy puszczano publiczność bezpłatnie. Trzeba było czekać

prawie przez godzinę przed boiskiem. Do kina chadzałem dwa-trzy razy do roku, przeważnie gdy siostra Dziunia dawała mi kilka złotych. Czułem się upokorzony w stosunku do kolegów, którzy na taki niedostatek nigdy nie cierpieli.

Gdy przyszła konfiskata, pracowałem na poczcie, a poza tym dorabiałem korepetycjami, które prawie z miejsca potraciłem. Na rozprawie sądowej w okręgówce lubelskiej dostałem dwa i pół roku z zawieszeniem na pięć lat. Prokurator apelował, także mój obrońca i w wyniku apelacji obniżono mi wyrok do dwóch lat, ale jego wykonanie odwieszono. Konrad Bielski, który mnie bronił za „Bóg zapłać”, zgłosił odwołanie do Sądu Najwyższego w Warszawie, a tam zajął się mną adwokat i zarazem krytyk literacki, Emil Breiter, zamordowany później, jako Żyd, przez hitlerowców. Sąd apelacyjny w Lublinie popełnił kardynalny błąd, uznał w uzasadnieniu wyroku, że moje wiersze nie mają rymu ani sensu. Breiter po zaznajomieniu się z tym głupim uzasadnieniem zatarł ręce i powiedział: „Panie, sprawa wygrana!”. Istotnie, po przeczytaniu na rozprawie paru fragmentów okazało się, że mają rymy i sens. „Jakże można skazywać kogoś za wiersze pozbawione sensu?” Sąd Najwyższy uznał, że widocznie sędziowie lubelscy temu w ogóle nie czytali, wyrok skasował i przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia sądowi apelacyjnemu w Warszawie. Uzasadnienie tej decyzji było dla sędziów lubelskich zabójcze: „Sąd Najwyższy uznał, że atmosfera, jaka wytworzyła się w Lublinie dokoła tej sprawy, nie daje gwarancji sprawiedliwego wyroku”.

W pałestę lubelską uderzył grom. Wszyscy wiedzieli, że nakład książki został po wyroku apelacyjnym zniszczony. Jeżeli apelacja warszawska przyniesie wyrok uniewinniający i znieś konfiskatę, co wtedy? Jak wydać autorowi zniszczony nakład i kto będzie ponosił za to odpowiedzialność prawną? Oczywiście, poszły w ruch zakulisowe wpływy i apelacja warszawska skazała mnie na sześć miesięcy, darowanych na mocy amnestii, za „użycie nieprzyzwoitych słów”, w kilku wierszach. Skutek był taki, że wszystkie inne sprawy karne, na które zarobiłem w międzyczasie, zakończyły się wyrokami skazującymi z zawieszeniem. Sądy lubelskie nie chciały więcej ryzykować.

W tym czasie otrzymałem niespodziewanie wezwanie do odbycia służby wojskowej. Niespodziewanie, bo ze względów politycznych byłem nadliczbowym. A tu nagle jeden z poborowych zachorował i poszedł na operację do szpitala. Byłem pierwszy na liście nadliczbowych. Dowódca 44. Pułku Strzelców Kresowych w Równem na zwróconą mu uwagę o moich wyczynach politycznych oświadczył: „Nic mnie nie obchodzi, co robił w cywilu. Osądzę go według zachowania się w podchorążówce”. I tak oto w ostatniej chwili otrzymałem wezwanie na kurs podchorążych przy 44. Pułku Strzelców Kresowych. Gdy przyszło owo wezwanie, nie było mnie w Lublinie, jeszcze nie zdążyłem wrócić po rozprawie w warszawskim Sądzie Najwyższym.

Początek nie był szczęśliwy, bo spóźniłem się do Równego o całe dwa dni. Dowiedziałem się od dowódcy, że „żołnierz, który się spóźnia, zasługuje na miano dezertera”. Po przeegzaminowaniu mnie z moich poglądów politycznych stwierdził, że nie mogę zostać oficerem rezerwy. Zapytałem skromnie: „To po co mnie zmobilizowano?”, na co otrzymałem lakoniczną odpowiedź: „Po to, abyście nie zadawali głupich pytań!”. Stuknąłem przykładnie obcasami i zameldowałem przepisowo: „Na rozkaz, panie kapitanie”. Skład moich nowych kolegów był różny, ale większość pochodziła ze Lwowa i okolic. Było wśród nich

paru tak zwanych galicyjskich „grenzgrafów”, czyli arystokratów z łaski cesarza austriackiego, jak Baworowski i inni. Szefem kompanii podchorążych był eks-Kozak doński, który w roku 1920 przeszedł ze swoją sotnią na polską stronę, pozostał następnie w kraju, przyjął katolicyzm i ożenił się z Polką. Był małego wzrostu, więc oddano go do szkoły podoficerów piechoty i z biegiem lat awansował do stopnia starszego sierżanta.

Dowódcą mojego plutonu był podporucznik Konstanty Kosiński, wielki służbista, o którym krążyły plotki, że ma skłonności sadystyczne. Wkrótce przeszedł z piechoty do lotnictwa, co stało się jego zgubą. Opowiadano mi, że po kampanii wrześniowej dostał się na Zachód i zginął w Battle of Britain. Nie miałem możliwości, by sprawdzić to osobiście. Gdzieś w listopadzie zmarł jeden z rekrutów z wykształceniem, jak nas nazywano. Zostało wdrożone śledztwo i na jego czas nastąpiła zmiana dowódcy kursu podchorążych. Dowódcą został kapitan dyplomowany Jarski, także wielki służbista, ale sprawiedliwy i odznaczający się dużą inteligencją, czego nie można było powiedzieć o jego poprzedniku. W rocznicę Powstania Listopadowego, gdy odbyła się przysięga rekrutów, miało odbyć się podchorążackie przedstawienie w sali największego rówieńskiego kina. Byłem jego organizatorem.

Były popisy chóru, recytowałem *Mochenackiego* Lechonia i graliśmy kilka scen z *Kordiana*. Dostałem przedtem trzydniowy urlop, by pojechać do Lublina, przywieźć mundury podchorążych z 1831 roku, bo w Równem dostać ich nie było można. W Lublinie idę do znajomego Żyda, który miał kostiumnię, i ten mi mówi, że 28 pożyczyc mundurów nie może, bo już są zamówione na przedstawienie organizowane przez 8. Pułk Piechoty Legionów w Domu Żołnierza. Może je wypożyczyć dopiero

następnego dnia z rana. Co tu robić? Poranny ekspres przychodzi do Równego po południu, a więc już po przysiędze. Więc jedno z dwojga: albo przyjadę na czas i z pustymi rękami, albo przywiozę kostiumy i spóźnię się na przysięgę. Wybrałem to drugie, bo jak tu pokazywać *Kordiana* we współczesnych mundurach?

A przedtem spóźniłem się już dwukrotnie: po raz pierwszy na samym początku i po raz drugi, gdy w październiku pojechałem do Lublina na kolejną rozprawę sądową. Wracam z kilkugodzinnym opóźnieniem, przychodzę na salę, gdzie właśnie odbywało się ćwiczenie z rozbieraniem erkaemu, melduję się. Kosiński pyta, jaki wyrok. Mówię, że rok więzienia z zawieszeniem na pięć lat. Za co? Wymieniam numer artykułu kodeksu karnego. „To mi nic nie mówi. Za co?” „Za artykuł, w którym podburzałem żołnierzy do nieposłuszeństwa, w razie wybuchu wojny imperialistycznej”. „Łobodowski, wy wysoko skończycie”. „Tak jest, panie poruczniku!” Podoficerowie przyglądali mi się z pobożnym przerażeniem. Nie rozumieli, jak to się dzieje, że taki zbrodniarz jak ja nie siedzi w ciężkim więzieniu.

Kosiński mimo wszystko mnie lubił. Pozwalałem sobie z nim na wiele. Wieczorem, po apelu, gdy już wszyscy byliśmy w łóżkach, przychodził Kosiński sprawdzać kostki, czyli spodnie i owijacz, misternie ułożone na szafkach przed łózkami. „Czyja to kostka? Wy byście, Łobodowski, powinni mieszkać nie w koszarach, ale w burdelu”. „Czy mogę odpowiedzieć prywatnie?” — pytam spod koca. „Mówcie!” „Ja w burdelu nie miałbym nic do zrobienia, a pan porucznik tak. Nauczyłby pan kurwy zafajdane majtki układać w kostki”. Na sali nastąpiła śmiertelna cisza, a potem wybuch huraganowego śmiechu. Śmiali się nawet podoficerowie, którzy byli

na służbie. Kosiński poczerwieniał, po czym powtórzył swoje nieśmiertelne: „Łobodowski, wy skończycie wysoko”, co miało znaczyć, że na szubienicy.

Kosiński dowiedział się, że często wychodzę na miasto bez przepustki i wracam bez żadnych przeszkód. Był szalenie ciekawy, jak ja to robię. Założył się ze mną o butelkę wódki, że mnie złapie przy najbliższej okazji. Warunek, że go uprzedzę, kiedy znowu pójdę. Nie złapał. Ale nie dawał za wygraną i zakładał się w dalszym ciągu. Wreszcie po trzeciej czy czwartej przegranej butelce poddał się: „Nie mogę więcej, pensji mi nie starczy na te zakłady. Ale powiedzcie, jak wy to robicie. Oficerskie słowo honoru, że was nie zdradzę”. Wobec tego powiedziałem. Warta przy bramie wyjściowej legitymowała wychodzących i wracających z przepustkami. Warta zaś przy bramie sąsiedniego, 45. Pułku, widziała okucia na daszku czapki, brała mnie, przy słabym oświetleniu wieczorem, za oficera i przepuszczała, salutując i o nic nie pytając. Wystarczyło przeleźć pod drutami kolczastymi, oddzielającymi tereny koszar obydwu pułków.

Historia ze spóźnieniem się na przysięgę skończyła się gładko. Kapitan Jarski przyznał mi rację, że zaczekałem na kostiumy. Przysięgałem w tydzień później wraz z prawosławnymi, ewangelikami i Żydami. Tyle że ksiądz katolicki musiał fatygować się dla jednego rekruta. W tym samym mniej więcej czasie napisałem hymn 44. Pułku, którego przedtem nie było. Stało się tak. Na porannej zbiórce Kosiński mnie wywołuje: „Łobodowski, wystąp. Wyście w cywilu byli podobno – poetą?”. „Tak jest, panie poruczniku”. „No, to wróćcie do koszar, zgłosicie się do szefa kompanii, powiedzcie, że to ode mnie, niech wam da broszurkę o historii pułku. Możecie to napisać jeszcze dziś?”. „Mogę, panie poruczniku. A słowa mam napisać do jakiej melodii?” Zastanowił się. „Znacie hymn «czwartaków» z Po-

wstania Listopadowego?” „Znam, panie poruczniku!” „To napiszcie na tę melodię. Odmaszerować!”

Pułk był hallerowski, więc zacząłem od słów: „Z Francji dalekiej do ojczyzny progów...”, a kończyła się każda zwrotka refrenem: „U granic Polski sprawia czujne warty, z orężem w rękę pułk czterdziesty czwarty”. Nazajutrz podczas zbiórki pada pytanie: „Hymn jest?”. „Tak jest, panie poruczniku”. „Odśpiewać przed frontem plutonu!” Odśpiewałem. Podobało się. „Dobrze było, Łobodowski!” „Ku chwale ojczyzny, panie poruczniku!” „Żeby mi na jutro cały pluton umiał tekst hymnu. A kto się nie nauczy, to mu pokażę taki kształt adwokacki, że mu się woda w jajach zagotuje!” Słownik pana porucznika Kosińskiego odznaczał się dobitną malowniczością.

Po południu robiłem kopie hymnu i cały pluton gorliwie uczył się tekstu. Zapowiedziana perspektywa z ukropem nikomu się nie podobała. Nazajutrz cały pluton śpiewał niczym chór operowy.

Z wakacji bożonarodzeniowych spóźniłem się po raz czwarty. Szef kompanii, gdy mnie prowadził do raportu karnego, tryumfował: „Teraz już się wam nie uda”. Zapytany o powody spóźnienia, odpowiedziałem krótko: „Nieusprawiedliwiony”. Zwolniony od odpowiedzialności wyszedłem nie mniej zdziwiony niż szef kompanii, który rzucił teczkę z raportami na podłogę i zawołał, rozgoryczony: „Nie ma sprawiedliwości!”. Po paru tygodniach stało się to, o czym wolałbym przemilczeć. Ciekawych odsyłałem do lektury odpowiedniego fragmentu z *Zająca Trazymeńskiego* nieboszczki Kazimierzy Hłakowiczówny, która ten wypadek dość dokładnie opisała. Dość że, ponieważ w wojskowym szpitalu rówieńskim, nie mieli aparatu do prześwietlania, pojechałem do szpitala w Chełmie Lubelskim. Po powrocie przeniesiono mnie do 45. Pułku z pozbawieniem tytułu

Lublin we wspomnieniach Łobodowskiego

podchorążego. Otrzymuję zaproszenie do Warszawy na Najazd Awangardy Poetyckiej. Organizuje się Legion Młodych, honorowym prezesem jest Juliusz Kaden-Bandrowski. Otrzymuję urlop od dowódcy kompanii i w przeddzień wyjazdu zostaję aresztowany. Powód wysłany z palca. Podobno prowadziłem w podchorążówce propagandę komunistyczną. I tak, zamiast do Warszawy,

pojechałem pod eskortą do więzienia okręgowego w Lublinie.

Więzienie znajdowało się w starym klasztorze pokarmelitańskim przy głównym lubelskim targu. A w Warszawie na owym wieczorze poetyckim, na który nie dotarłem, Henryk Ładosz czytał moje wiersze. Wiersz *Piłsudski* zaczynał się od słów:

*Oto są ręce-młoty w zecerni, jak w kuźni,
krew się lepi, nie farba na czarnych literach,
towarzyszu Piłsudski, w trzydzieści lat później
Julian Blachowski zabije Gastona Koehlera.
Wiem: Litwa dzieciństwa jest wonią myrry i nardu,
ojczyzna kwitnie w pałacu białego cieniach,
ale gdzie podziąć się z sercem, gdy czarny wstanie Żyrardów
i barykadą kamienną runie na progu sumienia?*

Według zgodnych świadczeń wielu obecnych wiersz zrobił na słuchaczach, zwłaszcza młodych, wielkie wrażenie. Sprawozdawczyni czasopisma „Kobieta Współczesna”, Heymanówna, napisała w recenzji *Młodzież ma głos. Najazd awangardy na Warszawę*, co następuje: „Ale bezsprzecznie największe wrażenie wywiera «Piłsudski» Łobodowskiego w recytacji artysty (Henryka Ładosza)...”

Zjazd odbył się w dniu 11 marca 1934 roku. Czesław Miłosz napisał po latach: „Kogo tam nie było na tej estradzie przy ulicy Karowej: Przyboś i Piętaś, Łobodowski i Kurek, Zagórski i Miłosz, Czechowicz i Kamiński i tak dalej i tak dalej (zresztą naprawdę nie pamiętam, kto był)”. To bardzo dobrze, że się zjawilo to zastrzeżenie w nawiasie. Bo właśnie Łobodowskiego tam nie było.

Kto na pewno był na sali wśród słuchaczy, to ówczesny redaktor naczelny proro-

wego dziennika „Gazeta Polska”, Ignacy Matuszewski, i osobista sekretarka Piłsudskiego, Kazimiera Iłakowiczówna. Także im ów wiersz się podobał. Stąd zainteresowanie nieobecny autorem. Nikt im nic konkretnego nie mógł powiedzieć. Poszła plotka, że jest w jakiejś karnej kompanii. Dopiero Czechowicz, gdy wrócił z Warszawy do Lublina, dowiedział się od mojej matki, co się stało i puścił wiadomość dalej. Poszły w ruch telefony. Protekcja takich osób jak Iłakowiczówna i Matuszewski to nie było byle co. Dowódca OK Lublin, generał Dobrodzicki, znalazł się w kłopotcie, aż zostało znalezione dogodne wyjście z sytuacji. Prokurator wojskowy jeszcze nie napisał aktu oskarżenia. Wobec tego zostałem usunięty ze służby wojskowej na owe pięć lat zawieszenia wyroków politycznych. Wyszedłem z więzienia, sprawa została przekazana do sądu cywilnego w Łucku i ten ją umorzył, do czego, jak się dowiedziałem, przysłużył się właśnie Matuszewski. Była wczesna wiosna 1934 roku.

Józef Łobodowski Cztery Lubliny

Pierwsze echa, jakie miałem po ukazaniu się mego artykułu – wspomnienia pt. *Stary cmentarz w Lublinie*, zachęciły mnie do napisania szerzej o przedwojennym Lublinie, co uzasadnia nie tylko sentyment do tego miasta, ale także jego oblicze społeczno-polityczne za Drugiej Rzeczypospolitej. Lublin nie był pod tym względem wyjątkiem, gdzieindziej działały się rzeczy podobne, lub zbliżone, ale zjawiska, które mnie obchodzą, występowały w starym trybunalskim grodzie w kształcie chyba najbardziej wyrazistym, a tym samym chyba także najbardziej reprezentacyjnym. Tego nie da się sprecyzować w kilku słowach, więc proszę czytelników o cierpliwość.

Obserwacje moje powinny zainteresować nie tylko ludzi w taki czy inny sposób związanych z Lublinem. Przeszłość tego miasta, podobnie jak wszystkich polskich miast, całego kraju, całego narodu, jest starannie załgana przez propagandę reżimowo-komunistyczną, niezmiennie zainteresowaną tym, żeby młode pokolenia nie znalazły prawdy historycznej. Niechże więc moje świadectwo ujrzy światło dzienne, a może dotrze do kraju, choćby w stosunkowo szczupłym zasięgu. Pewnie coś z tego zostanie. Bo to nieprawda, że fałsz i oszczerstwo zawsze triumfują.

Zacznę od topografii. Po drugiej wojnie światowej Lublin mocno się rozbudował, znacznie zwiększył ilość mieszkańców i tym samym wygląda zupełnie inaczej niż w dniu 27 sierpnia 1939, gdy po raz ostatni jechał dorożką z ulicy Szopena na stację. Ówczesny Lublin miał kształt pająka, czy – jeśli ktoś woli – rozgwieżdżony. Centrum niewielkie, a od

niego odchodzące w kilku kierunkach długie ramiona. Była to konsystencja konfiguracji terenu.

Wtłoczone na pagórkach – widły trzech rzek – Bystrzycy, Czechówki i Czerniejówki – miasto w swoim rozwoju trzymało się suchych wyniosłości, omijając bagniste brzegi i podmokłe łąki. Widocznie po wojnie zostały osuszone. Dobrodziejstwo „demokracji ludowej”! Pozostaje pytanie: kto zawinił, że Stare Miasto, odnowione na łapu-capu w roku 1954 na dziesięciolecie „Manifestu” wali się coraz bardziej i, zdaje się, bez ratunku? Kto? Bo chyba nie nieistniejąca od dawna sanacja...

Początki Lublina wyprowadzano przez długi czas z wieku IX, później archeolodzy przesunęli jego powstanie jako grodu warownego o jakieś trzy-cztery stulecia. Do największej świetności doszedł w wieku XVI, gdy został w nim zainstalowany Trybunał dla całej Małopolski. Zbiegło się to prawie dokładnie z Unią, nazwaną od razu Lubelską, gdy południowe prowincje Wielkiego Księstwa włączone zostały do Korony. Tym samym całą dzisiejszą Ukrainę włączono do Korony, co miało dla miasta ogromne znaczenie gospodarcze. W wieku XVI Lublin był skanalizowany (Paryż kanalizacji nie znał), ponadto miał licniejszą ludność (ponad sześćdziesiąt tysięcy) od elżbietańskiego Londynu.

Potężny cios zadały miastu wojny drugiej połowy stulecia, najbardziej okupacja szwedzka i następnie kolejne najazdy Moskwy i Rakoczego. Już pod koniec tego stulecia ludność spadła do jednej piątej, a w kilkadziesiąt lat później, gdy prześmiewca i satyryk Ignacy Krasiński umiejscowił swoją *Monachomachię*

„Kresy Literackie”, nr 1,
1992, s. 7-10.

Na sąsiedniej stronie: plan Wielkiego Miasta Lublina z 1931 roku. Ze zbiorów Archiwum Państwowego w Lublinie.

właśnie w Lublinie, napisał o nim, że ma „bram cztery ułomki, klasztorów dziewięć i gdzieniegdzie domki” (cytuje z pamięci). Ale to oddalone sprawy.

Jak wyglądało miasto między dwiema wojnami, a więc w Dwudziestoleciu Niepodległości? Otóż, zgodnie z tytułem, widziałem w nim podział (z grubsza) na cztery Lubliny: centrum inteligenckie rozbite na endecję i piłsudczyków, mniej lub bardziej liberalnych. Dalej – dzielnice robotnicze, głównie Bronowice i Piaski, częściowo także Kalinowszczyzna, Wieniawa i Kośminek, i wreszcie ludność żydowską: Stare Miasto, Podwale, ul. Lubartowska. Pewnie można było wprowadzić dalsze rozróżnienia, np. społeczność żydowska nie była jednolita, dzieliła się co najmniej na trzy grupy: ortodoksi, spolonizowana inteligencja i pośrodku między jednymi i drugimi – skomunizowana młodzież. Do tego dochodziły podziały społeczno-ekonomiczne: robotnicy, rzemieślnicy, inteligencja pracująca w wolnych zawodach, przemysłowcy, bogaci kamienicznicy, bankierzy. Ideologicznie te podziały nie pokrywały się między sobą. Przykładowo: ciężko pracujący tragarz z Krakowskiej Bramy mógł chodzić do synagogi i odprawiać szabas przy świecach, a syn milionera entuzjazmował się Marksem i Leninem. Ale o tym w jednym z dalszych artykułów.

Lublin miał duże tradycje: jedna z nich to powstańcza i, nieco później, socjalistyczna. Stąd nazwa „Czerwony Lublin”. No, znowu różnie z tym bywało. Na grobie księdza Ściegiennego (już o nim pisałem) stale składano kwiaty, a w dniu 1 Maja wieńce, robotnicze dzielnice były aż do końca 1920 roku całkowicie opanowane przez PPS, tu Rydz-Śmigły i Ignacy Daszyński założyli socjalistyczną „Republikę Lubelską”, a w maju 1926 pół miasta wyległo na ulice, by burzliwie okłaskiwać 8. Pułk Piechoty Legionów, gdy z generałem Romerem na czele ma-

szerował na dworzec, by przyjąć z sukcesem Piłsudskiemu. To była jedna tradycja historyczna, świadcząca się właśnie księdzem Ściegiennym, powstańcem spod Fajslawic, młodym Prusem, Stefanem Żeromskim, bojowcami Frakcji Rewolucyjnej, legionistami, poległymi pod pobliskim Jastkowem, czerwonym sztandarem na wieży magistrackiej w jesieni 1918 roku...

Druga tradycja wyglądała zupełnie inaczej. Jak w całym zaborze rosyjskim inteligencja miejska tworzyła się po roku 1865 głównie ze zdeklasowanych ziemian, pozbawionych majątków na skutek karnych konfiskat, przeprowadzanych przez rząd carski. To oni rozgoryczeni klęską, przekonani do hasła „pracy organicznej” stworzyli z biegiem czasu pożywkę społeczną „Narodowej Demokracji”. Konflikt między pierwszą a drugą grupą nie od razu objawił się z całą siłą; naprawdę się zaczął dopiero podczas pierwszej wojny światowej, a zaostrzył się po roku 1920, aby nabrać znamion prawdziwego paroksyzmu po zamachu majowym. Ale i przedtem. Pamiętam świetnie: po śmierci Narutowicza i egzekucji jego zabójcy¹, śmietanka endecka Lublina zbierała się w mieszkaniu pewnego malarza (przyzwoitego prywatnie człowieka, ale zwariowanego politycznie fanatyka), by w nabożnym skupieniu oglądać alegoryczny obraz przedstawiający ową podwójną tragedię. Wyglądało to następująco: nad trupem Niewiadomskiego stał Piłsudski w czerwonym stroju błazna z sadystycznym uśmiechem na twarzy i z dymiącym pistoletem w ręku. A u wezłowania Niewiadomskiego klęczała dziewczina w powłóczystej sukni, mająca być alegorią zboliałej Polski, z naręczem biało-czerwonych róż. Aplauz był powszechny, znajomy mi fanatyk nabył ten obraz za grube pieniądze.

Inne wspomnienie z tej samej serii: idę Alejami Racławickimi w kierunku Uni-

¹ Prezydenta Gabriela Narutowicza zabił Eligiusz Niewiadomski, skrajny nacjonalista, artysta-malarz, 16 grudnia 1922 r.



PLAN WIELKIEGO MIASTA LUBLINA

WYDANIE 1977
1:50 000

WYDZIAŁ GOSPODARSTWA I PLANOWANIA
URZĄD MIASTA LUBLINA
DZIAŁ PLANOWANIA I GOSPODARSTWA



wersytetu. Widzę afisz o filmie *Dzieśięciu z Pawiaka*. Rzecz o słynnej akcji bojówki Frakcji Rewolucyjnej PPS pod dowództwem Jura-Gorzechowskiego. Film bliski mi rodzinie, gdyż rodzony brat mojej matki Leon Doboreyko-Jarząbkiewicz brał udział w owej słynnej akcji. Podchodzę bliżej: po słowie „dzieśięciu” przekreślono „z Pawiaka” i wpisano grubymi literami „bandytów”. Ergo bojownicy Piłsudskiego byli bandytami. Ci którzy ich z więzienia zwolnili – także. A więc i młodszy brat mojej matki. Śliczne, co?

Były na KUL-u trzy korporacje studenckie: Concordia, Astrea i Hetmania. Ale tylko panowie z Concordii nosili zielone wstążeczki. To zapewne jeden z nich uzupełnił afisz dopiskiem „bandyci”. No cóż, „każdemu wolno kochać”, jak głosił modny ówczesny przebój.

W „Bratniaku” KUL-u większość miała Młodzież Narodowa sprzymierzona z organizacją katolicką „Odrodzenie” ZPMD (Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej) i Legion Młodych tworzący opozycję, która zawsze przegrywała wybory, gdyż stanowiła zdecydowaną mniejszość. Była jeszcze grupka „Ludowa”, ale ta w ogóle nie odgrywała żadnej roli. O większości decydowały panienki pochodzące z dobrych rodzin mieszczańskich. Wiadomo było, że mało która dziewczyna kończyła studia, przeważnie chodziło o znalezienie męża. Oczywiście, były wyjątki, dla porządku wymienię Hannę Malewską, która studiowała historię, a wyrobiła się na pierwszorzędną powieściopisarkę. Inne wychodziły za mąż po dwóch, trzech latach studiów. Ale zdarzały się także studentki-mężatki. Tym nie chodziło już o tytuły naukowe, po prostu nudziły się w towarzystwie mężów, przeważnie starszawych. Zdarzały się, choć rzadko, bo mężatki zakochane, a co najmniej wierne, nie szukały ucieczki w fikcyjnych studiach.

Jak napisałem w pierwszym odcinku tej pracy, kontrasty społeczne i polityczne w Lublinie miały charakter niezwykle wyrazisty i pod tym względem – powtarzam – stare miasto trybunalskie można było uznać za reprezentacyjne okno wystawowe na tło ówczesnej Polski. Inteligencja skupiała się głównie wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia i jego przecznicy (Trzeciego Maja, Kołłątaja, Kościuszki etc.), dzieliła się, jak już napisałem, z grubsza na dwie grupy: Narodowa Demokracja z jednej strony, elementy antyendeckie – z drugiej. Pierwsza grupa była o wiele bardziej zwarta i solidarna. Ta druga – znacznie bardziej różnorodna i tym samym ciekawsza. Przez dłuższy czas łączył ją kult Piłsudskiego, ale już w parę lat po zamachu majowym, zaczęły zarysowywać się poważne różnice, aż doszło do rozłamu na tle Brzeskiego Procesu. Dawny sentyment do Komendanta nie uległ całkowitemu zachwianiu, natomiast BBWR znalazł się od razu pod ostrzałem tych liberalno-demokratycznych inteligentów, którzy zresztą nigdy nie wykrystalizowali się ideologicznie w sposób wyraźny i niedwuznaczny. Byli to przeważnie ludzie w większym stopniu kierujący się uczuciami niż dyscypliną intelektualną; jeżeli nie dochodzili do socjalizmu (pod firmą PPS), błakali się trochę, po ciemku, ideowo raczej bezdomni. Wkrótce Konstanty Ildefons Gałczyński nazwał ich dość celnie „zziębniętą, ginącą nacją”, ale nie zdawał sobie sprawy, że on sam do niej należał, choć udawał „Narodową krzepę”.

Przez długi czas walczyły ze sobą o „rząd dusz” dwa dzienniki: endecki „Głos Lubelski” i liberalno-piłsudczykowska „Ziemia Lubelska”. Były poza tym mutacje dzienników społecznych – najpierw „Ekspresu Porannego”, następnie „Kuriera Porannego”, w ostatnich latach także „Robotnika”. „Ziemia Lubelska” zakończyła swój ży-

wot w grudniu 1931 z przyczyn najzwyczajniej prozaicznych: plałta, czyli bankructwo. Redakcja nie chciała pójść na ścisłą współpracę z „sanacją”, a bez tego baza finansowa wydawnictwa była nie wystarczająca.

W następnym roku założono „Kurier Lubelski”, mający wypełnić powstałą lukę. Redaktorem naczelnym został znany poeta Józef Czechowicz. Dziennik był mały, niewyraźny, tyle że dział literacki stał na bardzo wysokim poziomie. Ale to nie starczyło. Węć znowu bankructwo. W roku 1937 wznowiłem go – bez powodzenia. Żle obliczyłem się z funduszami, naiwnie zawierzyłem paru rzekomym mecenasom, którzy normalnie zawiedli. A więc jeszcze jedna plałta.

Wielce malowniczym epizodem stał się krótki żywot „Nowej Ziemi Lubelskiej”, założonej w 1932 roku przez majora w stanie spoczynku, Tadeusza Zajączkowskiego. Stary piłsudczyk, nie pamiętam czy legionista, na pewno pewowiak człowiek kryształowo uczciwy, stuprocentowy ideowiec, ale polityczny Don Kichot, goniący za urojonymi wiatrakami, ubrdał sobie, że w prowincjonalnym dzienniku dokona wielkiego przewrotu, mianowicie u s a n u j e „sanację”! Może w zasadzie miał sporo racji; taktykę wybrał wręcz zwiariowaną, atakując małe płotki, jak gdyby to one mogły nadawać główny ton życiu społeczno-politycznemu! Gdy po tylu latach przypominam sobie owe wydarzenia, dochodzę do wniosku, że „Nowa Ziemia Lubelska” usiłowała iść po linii, którą na krótko przed wojną, na Jeździe Legionistów, określił dokładnie generał Kazimierz Sosnkowski: „Czas powrócić do ideałów naszej młodości”. Postulat ten przyszedł o wiele za późno. Major Zajączkowski miał autorytet w skali powiatowej, a poza tym okazał się kiepskim graczem. Nic dziwnego, że przegrał z kretelem. „Głos Lubelski”, będący wykładnikiem miejscowej endecji, triumfował. Jakżeby nie?!

Maleńkie wspomnienie osobiste. Zjawiałem się wcale nieczęsto na łamach „Głosu”, przy czym za każdym razem występowałem w cudzysłowie, jako „poeta”. Przyszedł styczeń 1937 roku, otrzymałem Nagrodę Młodych Polskiej Akademii Literatury za tom wierszy²; „Głos Lubelski” pominął tę wiadomość milczeniem, nagrody dla poety nie było, ale pogardliwy cudzysłów odpadł. Ideologiczna elegancja!

Ale zdarzały się ze strony endecków gesty szlachetne, które należy dla potomności zachować, tym bardziej że opinia wychodzi ode mnie, ergo od ich zdecydowanego wroga. Kiedy tenże „Głos Lubelski” pozwolił sobie na obelżywą notatkę o moim ojcu, ponieważ był rosyjskim oficerem³, ostro zareagował dr Skibiński, jeden z najstarszych endecków w Lublinie, a znający dobrze całą moją rodzinę. Atak „Głosu” był o tyle nonsensowny, że przecież, jeżeli chodziło o wojskowych, wszystkie endeckie świątki – Dowbór-Muśnicki, Rozwadowski, Haller, etc. – pochodziły z armii zaborczych. Reakcja dr. Skibińskiego była skuteczna i na jakiś czas zatkała gardło redaktorom „Głosu”. Niechże tej prawdzie stanie się zadość.

Muszę wspomnieć jeszcze o dwóch lekarzach, którzy w tamtych odległych czasach odegrali poważną rolę w życiu Lublina. Jednym z nich był dr Jan Arnsztajn, żonaty z poetką Franciszką z Meyersonów. Był wziętym lekarzem, a jednocześnie filantropem. Od pacjentów zamożnych brał wysokie honoraria, ubogich leczył za darmo; co więcej, wystawiał tym najuboższym recepty do apteki z adnotacją: „rachunek przedstawić lekarzowi”. Gdy umarł, za jego trumną szedł tysięczny tłum: Polacy, Żydzi, przedstawiciele wszystkich warstw społecznych Lublina.

Pani Franciszka czuła się chrześcijanką, ale nie chciała przyjąć chrztu. „Jeżeli to

² Józef Łobodowski, *Demonom nocy*, Warszawa 1936.

³ Ojciec, Władysław, doszedł w armii rosyjskiej do stopnia pułkownika. W 1914 wraz z rodziną został ewakuowany do Rosji, gdzie zmarł podczas wojny.

uczynię, pochowają mnie na cmentarzu katolickim, a ja chcę leżeć na kirkucie, obok Janka". To życzenie nie spełniło się. Na samym początku wojny, wkrótce po kampanii wrześniowej, Arnsztajnowa przeniosła się z Lublina do Warszawy, do krewnych. Gdy wybiła godzina likwidacji warszawskiego getta, pani Franciszka ubrała się w swoją najpiękniejszą, jedwabną suknię, przypięła do niej posiadane order, między innymi Polonia Restituta i Złoty Krzyż z mieczami (to za udział w POW) i zażyła truciznę. Kaci z SS znaleźli jej martwe ciało w fotelu. Wrzucono ją do wspólnego grobu, nie spoczęła jak chciała, na lubelskim kirkucie obok Jana Arnsztajna⁴. Ci, którzy ją znali w Lublinie, wiedzą, że była wielką panią, szlachetną kobietą i kulturalną poetką. Został po niej, między innymi, tom wierszy o Starym Mieście w Lublinie, napisany razem z Józefem Czechowiczem⁵.

Lubiła mnie, choć często krytykowała: „Pan jest jak jedwabna chusteczka, której używają do szorowania brudnych podłóg!” Możliwe...

Równie wielką popularnością cieszył się dr Biernacki⁶, który na starość nie leczył, ale uważany był za nieomylnego diagnostykę. Gdy inni lekarze mieli choćby minimalne wątpliwości, zwracali się do niego i Biernacki nigdy nie pomylił się w diagnozie. Za młodu praktykował w Nałęczowie, poznał tam Stefana Żeromskiego i wkrótce nawiązała się między nimi prawdziwa przyjaźń. Myślę, że niektóre cechy doktora Judyma z *Ludzi bezdomnych* wielki pisarz skopiował z Biernackiego. Ten do polityki bezpośrednio się nie wtrącał, ale jego sympatie osobiste nie ulegały wątpliwości; był umiarkowanym liberałem i zwolennikiem Piłsudskiego, tego sprzed zamachu majowego. Dla równowagi wypada wymienić jeszcze jednego lekarza, dr. Majewskiego⁷, wieloletniego prezesa

miejscowego Stronnictwa Narodowego i twórcy „Straży Narodowej”, organizacji guasi-militarnej, która zajmowała się głównie prowokowaniem ekscesów antyżydowskich. Została zlikwidowana po maju 1926. Ale w śródmieściu „endecja” aż do końca była siłą dominującą. Natomiast na wsi podlubelskiej jej wpływy były nadal minimalne, choć w ostatnim okresie przed wojną zaczęły z lekka rosnąć.

Życie kulturalne było w Lublinie o wiele żywsze w pierwszej dekadzie Niepodległości niż w następnej, co miało swoje dość skomplikowane przyczyny w znacznym stopniu gospodarcze. Należy pamiętać, że wielki kryzys 1929 roku uderzył przede wszystkim w rolników, a Lubelszczyzna była krajem niemal w stu procentach rolniczym.

W dzielnicach robotniczych dominowała Polska Partia Socjalistyczna. O tradycjach socjalistycznych wspominałem już w pierwszej części tej serii. Lublin miał spory przemysł, liczne cegielnie na przedmieściach, rej wodził Związek Robotników Budowlanych, założony w roku 1907. Na wielkim wiecu w 1932, który odbył się w 25. rocznicę założenia, byłem głównym mówcą, choć z malarstwem czy strycharstwem nie miałem nic wspólnego.

Infiltracja komunistyczna była dość intensywna, ale nie cydująca. Związek był starannie inwigilowany przez policję polityczną, mimo to ilość aresztowań i procesów była znikoma. Większe powodzenie miała agencja KPP w TUR-ach (Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych), ponieważ na tym terenie działali ludzie lepiej wyspecjalizowani i potrafiący dobrze kamuflować się. W roku 1944 po zajęciu Lublina przez Armię Czerwoną wiele spraw wyjaśniło się definitywnie. Wyszło wtedy na jaw, kto był przed wojną zakamuflowanym członkiem KPP. Teraz już nie mieli czego

⁴ Kiedy i w jakich okolicznościach zmarła Arnsztajnowa, oficjalne źródła nie podają.

⁵ F. Arnsztajnowa, J. Czechowicz, *Stare kamienie*, Lublin 1934.

⁶ Doktora Mieczysława Biernackiego wspomina Ewa Łoś w: Konrad Bielski w: *Lublin literacki 1932-1982*, Lublin 1984. Opr. W. Michalski i J. Zięba.

⁷ Doktora Adama Majewskiego, autora wspomnień *Wojna, ludzie i medycyna*, wspomina Anna Nasalska w: *Proza w półwieczu w: Lublin literacki*.

⁸ Rodzona siostra Hempla, pani Papińska, prowadziła w Lublinie przez wiele lat wzorowe przedszkole, przez które przechodziły pociechy obojga płci najbardziej nobliwych rodzin Koziego Grodu

się obawiać, teraz czekały ich stanowiska i zaszczyty. Gdybym zechciał podać nazwiska tych panów, którzy w roku 1944 natychmiast zaczęli robić komunistyczno-sowiecką karierę, byłoby dużo sensacji. Na razie zmilczę, może w niedalekiej przyszłości to i owo ujawnię. Kto, co, kiedy i jak – starzy lubliniacy dobrze wiedzą. Niestety coraz ich mniej. Gdyby adwokat i poeta Konrad Bielski (Kundzio dla przyjaciół) żył, mógłby ogłosić niejedną rewelację. Anegdotyczny, a wielce smakowity szczegół: w bezpieczeństwie od samego początku urzędowało paru ex-korporantów, znanych przed wojną ze swych ultra-prawicowych przekonań. Oczywiście, były to wypadki wyjątkowe, więc proszę nie generalizować.

O Bierucie przed wojną nigdy nie słyszałem, jego autentyczna biografia w ogóle nie istnieje. Istnieją jedynie mitologiczne przyczynki. Czytałem, że na początku lat dwudziestych był wielce czynnym działaczem w spółdzielczym ruchu lubelskim, na czele którego stał Dominko i Hempel⁸. Co się stało z Dominko - nie wiem; Hempel wyjechał do Związku Sowieckiego i tam zginął podczas rozprawy Stalina z polskimi komunistami; rozstrzelano wtedy między innymi Werę Kostrzewę i Warskiego-Warszawskiego. To za wielkich czystek, przeprowadzanych przez Jeżowa, Czeszejko-Sochacki⁹ zginął znacznie wcześniej, jeszcze za Jagody. Także Wandurski i Stande¹⁰.

Ale o Bierucie w Lublinie prawie nikt nie słyszał i nie wiedział. Musiał wynieść się z Polski bardzo wcześniej i wstąpić do NKWD. Gdyby nie to, jakże mógłby przeżyć „jeżowszczyznę”? To absolutne nieprawdopodobieństwo. Bierut był agentem NKWD od samego po-

czątku i wyłącznie temu zawdzięczał swoją wielką karierę. Do czasu. Czy jego śmierć w Moskwie była naturalna? O tym wiedzą tylko na Łubiance. W Polsce powiedziano szyderczo o nim: „pojechał w futerku, a wrócił w kuferku”. Był to dość makabryczny żart. Jaka była rzeczywistość – może dowiemy się z czasem. Bierut nie był jedynym przywódcą komunistycznym, na którego śmierć oczekiwano w Moskwie. To samo stało się z Bułgarem Dymitrowem, a przedtem z węgierskim Belą Kunem¹¹. Mimo że moskiewski, kontynentalny, suchy klimat jest bardzo zdrowy.

Komuniści lubelscy byli, jako się rzekło, doskonale zakamuflowani. Ale trzeba podkreślić jedno rozróżnienie. Co innego, jak się mówiło, „ulica polska”, a co innego „ulica żydowska”. Policja polityczna (było wśród niej niemało agentów narodowości żydowskiej) doskonale orientowała się w sytuacji: jeżeli młody Żyd zdradzający zainteresowania polityczne, nie należał do „Bundu”, to był już podejrzany o komunizm. Dla nie dość zorientowanych małe wyjaśnienie; „Bund” to była żydowska partia socjalistyczna, dość bliska PPS-owi, choć z nim nie utożsamiana. Władzom nie wadziła; wiedziały, że nie ma żadnych ważniejszych koneksji, wyłączywszy nieliczne, osobiste z komunistami. W pochodach pierwszomajowych bundziści szli zaraz za PPS i unikali jaskrawych haseł czy wystąpień.

Pan Dąbrowski z... w prywatnym liście, za który serdecznie dziękuję, zwrócił mi uwagę... – „Przecież napisałem, wyraźnie, że mój ewentualny powrót do Lublina w drewnianej skrzynce będzie możliwy dopiero wtedy, gdy cmentarz lubelski odzyska niepodległość”¹².

(na herbowej tarczy ma kozę stojącą dęba i objadającą krzak winnej łoży: kiedyś, bodaj aż do końca XVI wieku, pod Lublinem istniały winnice) (przypis autora).

⁹ Jerzy Czeszejko-Sochacki (1892-1933), działacz KPP i Międzynarodówki Komunistycznej. Następne nazwisko nieczytelne.

¹⁰ Wandurski był w ZSRR od 1928, zginął w 1937 (?), Stande od 1931, zginął w 1939 (?). Nadal archiwa sowieckie są niedostępne i o tragicznym losie polskich komunistów wie się bardzo mało. Przyjmuje się obecnie, że na 3500 działaczy i członków KPP przebywających w Sowietach, przeżyło dwustu. Ci, którzy byli skazani na zsyłkę bez prawa korespondencji, bywali także od razu rozstrzeliwani. Informacje przybliżone znaleźć można w każdej encyklopedii.

¹¹ Bela Kun (1886-1939) działacz węgierskiego ruchu robotniczego i Międzynarodówki Komunistycznej. Od 1920 w ZSRR.

¹² Bardzo często pracował Łobodowski przy stoliku w barze, potem przepisując teksty w domu na maszynie, wprowadzał uzupełnienia. Do odpowiedzi poety możemy dodać, że nie doczekał „niepodległości cmentarza”, urna z jego prochami została jednak złożona w mogile matki 22 października 1988 r.

J. ŁOBODOWSKI



Lublin w powieściach Łobodowskiego

Jerzy R. Krzyżanowski
Lublin Józefa Łobodowskiego

Zmarły 18 kwietnia 1988 w Madrycie Józef Łobodowski związany był z Lublinem w sposób wieloraki, swoją biografią i twórczością, zaryzykować więc można twierdzenie, że to miasto, w którym spędził lata dziecinne i młodość, pozostawiło w psychice pisarza ślad głębszy niż wszystkie inne miasta, okolice i kraje, gdzie przeżył długie i barwne lata późniejsze. Warto więc prześledzić lubelskie tematy w jego twórczości, znaleźć wśród nich bowiem można ważny klucz do jego pełniejszego zrozumienia.

Zacznijmy od suchych faktów, nie zawsze dostatecznie uwzględnianych w krytycznych studiach literackich. Większość bibliografii podaje, że urodził się Łobodowski w 1909 roku na Suwalszczyźnie, „a dzieciństwo spędził w Lublinie”.¹ Później, po ośmioletnim pobycie w Rosji, gdzie Józef Łobodowski senior służył jako oficer w carskiej armii, nastąpił w 1922 roku powrót do Lublina, nauka w gimnazjum im. Jana Zamoyskiego, studia prawnicze na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, początki pracy dziennikarskiej i literackiej, aż do przeniesienia się do Warszawy w 1938 roku. W sumie zatem dwadzieścia z osiemdziesięciu niemal lat życia, jedną ich czwartą, spędził Łobodowski w Lublinie, przy czym były to lata najważniejsze, od trzynastego do dwudziestego roku życia, a zatem okres kształtujący charakter człowieka, formujący jego osobowość i poglądy, ustalający drogę życiową na przyszłość i pozostawiający ślady najtrwalsze, mocniejsze od tych, jakie odcisnąć miały

późniejsze przygody wojenne i niemal pięćdziesięcioletni pobyt w Hiszpanii.

Imponujący jak na początkującego poetę dorobek okresu lubelskiego przynosi sześć tomików poezji — od *Słońca przez szpary* (1929) aż po wyróżniony w 1937 roku Nagrodą Młodych Polskiej Akademii Literatury *Demonomocy* (1936), stawiający Łobodowskiego w czołówce literatury lat trzydziestych, co nie zawsze oznaczało pozostawienie śladów trwałych, wielu bowiem krytyków i historyków mówiąc o tym okresie albo kwituje jego twórczość jednozdaniową wzmianką, albo z powodów politycznych pomija całkowitym milczeniem, w najlepszym wypadku ograniczając się do wspomnienia jego działalności redakcyjnej i wydawniczej.² W opracowaniach emigracyjnych kompendiów stosunkowo najwięcej miejsca poświęcił mu Mieczysław Giergielewicz, ale i ten sumienny badacz współczesnej poezji omówienie zaczął od stwierdzenia, że „nie sposób Łobodowskiego sprowadzić do uproszczonej formuły”.³ To samo jednak opracowanie wymienia w indeksie nazwisko poety 86 razy, niemal równie często jak Balińskiego, Lechonia, Miłosza i Wierzyńskiego, z tym przecież, że nie tylko w kontekście omówienia jego dorobku poetyckiego. Późniejsze o lat dwanaście *Szkice o literaturze emigracyjnej* Marii Danilewicz-Zielińskiej ironicznie wspominają o masowej i różnorodnej „produkcji wytwórni »Łobodowski«”, i przyznają mu rolę „poety autentycznego — ale wczorajszego, dziś osamotnionego, zawieszonego między

Pamiętnik Literacki, Londyn 1998, s. 73-79.

¹ *Słownik współczesnych pisarzy polskich*, praca zbiorowa pod red. Ewy Korzeniewskiej, t. 2, Warszawa 1964, s. 386. Zob. też *Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny*, t. 1, Warszawa 1984, s. 613.

² Tak np. w historiach literatury polskiej wydanych po angielsku, a więc stanowiących niejako sumaryczne, ale reprezentacyjne przedstawienie dzieł tej literatury, Czesław Miłosz w *The History of Polish Literature* (Berkeley 1983, s. 528) wspomina Łobodowskiego jako „the best translator of Ukrainian and Russian poets”, podczas gdy Manfred Kridl (*A Survey of Polish Literature and Culture's*, Gravenage 1956) i Julian Krzyżanowski (*A History of Polish Literature*, Warszawa 1978) pomijają jego nazwisko całkowicie. Natomiast w powojennych opracowaniach ukazujących

Na sąsiedniej stronie: okładka z tomu *Uczta zadzumionych* (Paryż 1954) z ilustracjami Witolda Januszewskiego. Ze zbiorów Jerzego Świącha.

Skamandrem a Awangardą, wyrzucającego przed słuchaczy setki wierszy, satyr, rapsodów”⁴. Podobnie jednak jak Danilewiczowa wysoko ocenia motywy ukraińskie i hiszpańskie w poezji Łobodowskiego krajowy krytyk Janusz Kryszak, od dawna zajmujący się twórczością poety, wyjaśnia ich dominującą rolę jako ucieczkę w „kraj duchowego ocalenia, zdolną równoważyć świat duchowych urazów”⁵.

Wydaje się, że źródła urazów tych szukać należy wcześniej, niż w ostatnim pięćdziesięcioleciu życia poety, a mianowicie w okresie lubelskim, w latach dojrzewania i formowania postaw zarówno pisarskich jak filozoficznych, czy zgoła ideologicznych, zakończonych głębokim kryzysem psychologicznym i światopoglądowym. Trzeba pamiętać o biografii pisarza, o jego najwcześniejszych doświadczeniach w okresie sowieckiej rewolucji, o jego lubelskich związkach z wojującym komunizmem, określanym wtedy eufemistycznie jako zainteresowania „kulturą proletariacką” i wreszcie o dramatycznym zerwaniu tych związków w 1934 roku, po naocznym przekonaniu się do czego doprowadził ukochaną przez poetę Ukrainę sowiecki raj, w latach poprzednich tak gorliwie przezeń propagowany w czynach i słowach. Trzeba pamiętać o doświadczeniach kampanii wrześniowej, o hiszpańskim więzieniu, a potem atmosferze frankistowskiego Madrytu, skąd Łobodowski przez lat wiele prowadził swoje audycje radiowe. „Z cudzoziemskiej korzystając łaski, mówiłem do was co wieczór”, napisze potem gorzko w wierszu *List do kraju*.

Lublin czasów Łobodowskiego obfitował w literatów, choć niewielu wydał pisarzy z prawdziwego zdarzenia. Poza Józefem Czechowiczem i mniej od niego znaną Franciszką Arnsztajnową, działali tam i później spisali swoje wspomnienia Konrad Bielski, Wacław Gralewski, Kazimierz Andrzej Jaworski,

nie mówiąc już o dziesiątkach pisarzy i poetów pamiętanych dzisiaj tylko na tamtejszym terenie. Łobodowski występuje w ich relacjach nie tylko z uwagi na swoją rangę poetycką, ale najczęściej jako ktoś pamiętny swoją kontrowersyjnością i niecodziennymi postępkami, które Gralewski lapidarnie określił jako czyny „intelektualisty z temperamentem chuligana. Tkwiło w nim jakby dwóch ludzi – poetę podjudzał awanturnik.”⁶ Najlepsze jednak świadectwo tych lat wystawi sobie sam Łobodowski w autobiograficznej tetralogii opublikowanej w latach 1965-1970 i powiązanej wspólnym nagłówkiem *Dzieje Józefa Zakrzewskiego*, złożonej z powieści *Czerwona wiosna*, *Terminatorzy rewolucji*, *Nożyce Dalili* i *Rzeka graniczna*. Mówią one nie tylko o przełomowym w życiu poety okresie lat 1932-1934, ale także o Lublinie sprzed lat dzisiaj przeszło pięćdziesięciu, dla nowych pokoleń czytelników z wielu względów zgoła egzotycznym. Ten cykl powieściowy stanowi w twórczości Łobodowskiego pierwszy, realistyczny obraz Lublina i zasługuje na parę słów, zanim przejdziemy do obrazu drugiego, poetyckiego.

Realistyczna narracja powieściowa nie jest najmocniejszą stroną pisarstwa Łobodowskiego. Dziennikarski raczej styl, sztywność kompozycji, opisów i dialogów, schematyzm sytuacji i postaci, czy brak wreszcie prób nadania powieściom jakiegokolwiek głębszego filozoficznie czy po prostu artystycznie znaczenia, krótko mówiąc – brak sztuki pisarskiej sprowadzałby powieści te do poziomu drugorzędnej literatury, gdyby nie ta właśnie „egzotyka” miejsca i bez śladu minionego czasu. Opisy ulic i domów Lublina, w wierszach Łobodowskiego pełne uroku i prawdziwej poezji przekształcające je w ponadczasowe symbole piękna i uczucia, w powieściach są tak zwyczajne, powszednie i płaskie, że tylko u czytelników znających nazwy dzielnic i ulic wywołać mogą jakiejkolwiek skoja-

się w Polsce zapewne względy polityczne spowodowały, że najobszerniejsze opracowanie literatury regionu, *Lublin w życiu i twórczości pisarzy polskich Augusta Grychowskiego* (Lublin 1965), w wydaniu pierwszym Łobodowskiego przemilcza, a w wydaniu drugim (1974) wspomina tylko marginesowo jako redaktora miejscowego pisma literackiego. [Przypis z pierwodruku – przyp. red.]

³ *Literatura polska na obczyźnie 1940-1960*, praca zbiorowa pod red. Tymona Terleckiego, t. 1, Londyn 1964, B. 99.

⁴ Maria Danilewicz-Zielińska, *Szkice w literaturze emigracyjnej*, Paryż 1978, s. 255.

⁵ Janusz Kryszak, *O Józefie Łobodowskim, w: Lublin literacki 1932-1982. Szkice i wspomnienia*, pod red. Waldemara Michalskiego i Józefa Zięby, Lublin 1984, s. 245.

⁶ Wacław Gralewski, *Ogniste koła*, Lublin 1963, s. 175.

zenia czy nawet obrazy. Nieco lepiej pod tym względem prezentuje się ogromna galeria postaci „o łatwo rozpoznawalnych kryptonimach”⁷, co jednak może mieć znaczenie tylko dla wąskiego grona czytelników doskonale obeznanych z historią kulturalną miasta, dla czytelników jednak postronnych nie mających wartości nawet wspomnieniowej. Najciekawsze bodajże w powieściach tych, zwłaszcza w dwóch pierwszych w cyklu, jest ukazanie całych grup społecznych dziś należących do legendy – skomunizowanego żydowskiego mieszczaństwa, lewicującego, choć sceptycznego żydowskiego proletariatu, ewoluujących od socjalizmu ku komunizmowi robotników i obojętnej na wszystko poza urokami knajpy polskiej inteligencji. Bohater cyklu, Józef Zakrzewski, dziennikarz i poeta, dzięki swym niezliczonym przygodom erotycznym z przedstawicielkami wszystkich tych grup, a także głębokiemu zamiłowaniu do starannego badania uroków miejscowych lokali gastronomicznych, staje się idealnym przewodnikiem po tym kolorowym światku rozciągającym się od siedziby KUL-u w Alejach Racławickich, poprzez Krakowskie Przedmieście, aż po żydowską Lubartowską i robotniczą Fabryczną.

Wędruje więc wraz z Zakrzewskim czytelnik po restauracjach, Europejskiej, Oazie i „pokojach śniadankowych” Radzyńskiego, po licznych dansingach (bo w Lublinie ich wtedy nie brakowało), kawiarniach i peryferyjnych knajpach, bierze udział w marksistowskich

dyskusjach i robotniczych demonstracjach, jeździ dorożką czy spaceruje po Ogrodzie Saskim, a w sumie ma możliwość dokładnego, właśnie realistycznego wglądu w życie miasta i jego mieszkańców. I dzięki temu powieściowy cykl Łobodowskiego, przy wszystkich swoich brakach i niedoskonałościach literackich, staje się dokumentem raczej niż artystycznym obrazem epoki. Ale dokumentem ważnym i cennym. Sukces późniejszej o lat prawie dwadzieścia lubelskiej powieści Danuty Mostwin *Cień księdza Piotra* (Warszawa 1986), wyróżnionej nagrodą specjalną przez jury lubelskiego konkursu literackiego im. Bolesława Prusa w 1988 roku, potrzebę takich książek potwierdza ponad wszelką wątpliwość.

Zupełnie natomiast inny Lublin pojawia się poetyckimi obrazami w licznych wierszach Łobodowskiego poświęconych temu miastu. Podobnie jak u bliskiego mu z wielu względów Czechowicza, miasto w poezji Łobodowskiego nabiera ponadczasowych, niezwykle i symbolicznych wymiarów, staje się uosobieniem piękna, a jego obraz wyraża najgłębsze uczucia poety – miłość, tęsknotę, wzruszenia młodości i wieku dojrzałego, wszystko to, czym żył w okresie Lubelskim i co stanowiło treść jego życia w latach późniejszych. Im większy dystans przestrzenny i czasowy dzieli poetę od tamtych dni, tym bardziej pięknieje w jego wierszach ukochane miasto. Píše teraz we wzruszającym *Liście do matki*:

*Kroki moje zgłuszone w mrocznych lubelskich ulicach,
powrotne kroki młodości raz jeszcze niechaj usłysz!*

jakby powtarzając po półtora wieku nowoczesnym wierszem niezapomniane mickiewiczowskie „tymczasem przenieś moją duszę utęsknioną”, owo odwieczne marzenie każdego poety, a polskiego poety emigracyjnego w szczególności.

List do matki opublikowany był w tomie *Dytyramby nieprzejdane*, wydany wraz z *Popołudniem fauna* jako *Dwie książki* w 1984 roku. Pierwszym, otwierającym tom ten wierszem był słynny *Cmentarz w Lublinie* zawierający pamiętą zwrotkę:

⁷ Janusz Krzyszak, *O Józefie Łobodowskim...*, s. 247.

Lublin w powieściach Łobodowskiego

*a to znaczy,
że musiałbym wskrzesić sam siebie,
aby inaczej żyć po raz drugi
i zasłużyć na jaśminy, na słowiki,
na cmentarz...*

W cztery lata później, tuż przed odejściem poety, ukazał się ostatni już jego tom poetycki *Dytyramby patetyczne*, tym razem symbolicznie zamknięty *Baladą lubelską*, będącą pełnym podsumowaniem jego życia i spraw od biografii, poprzez beletrystykę, aż po poezji. Próbuje tu początkowo Łobodowski uwolnić się od trwającego przez całe życie zauroczenia:

*nie ma ich, wyszli z swoją śmiercią i troską
w krematoriów dym,
ku Judei.*

Nieprzekraczalność granicy zniszczenia i granicy czasu może jednak i musi zostać w końcu przełamana, toteż wierzy poeta, że i dla niego:

*w śpiewie słowików, w jaśminów powodzi
kąt na lubelskim cmentarzu się znajdzie.*

W życiu Łobodowskiego poezja nigdy nie była rzeczą abstrakcyjną, towarzyszyła życiu temu najwierniej i w jej to strofkach szukać należy wyjaśnienia problemów pisarza, który pół wieku przeżył w Madrycie, gdzie „wciąż nie ma świtu”. Dlatego też nie można oddzielić od siebie dwóch tekstów, zamieszczonych jeden po drugim w artykule Józefa

*Niech na zawsze rozwija się widmo Lublina
na ulicach
śpiącego Madrytu,*

na próżno jednak, gdyż w chwilę potem powie:

*Mroczne lustro na kawałki roztłukłem,
już się spod ich władzy nie wypłaczę.*

Pojawia się więc kolejno nałożone na wizję przedwojennego Lublina i Katyń, i Oświęcim, i podlubelski Majdanek, wracają zaginieni, zabici przyjaciele-poeci i przyjaciele-Żydzi, o których z rozpaczą powiedzieć tylko można, że:

Zięby w „Kurierze Lubelskim” wkrótce po śmierci Łobodowskiego.⁸ Obok informacji o spełnieniu ostatniej woli zmarłego, który życzył sobie, żeby jego prochy spoczęły obok jego matki w grobowcu rodzinnym na lubelskim cmentarzu przy ulicy Lipowej — cmentarzu wielokrotnie pojawiającym się w prozie i wierszach Łobodowskiego — zamieścił Zięba wiersz poety *Na własną śmierć* stanowiący wstrząsającą prośbę o wieczny spoczynek w ziemi „co mych prochów nie rozgrabi”. Ostatnie linie tego wiersza, który przemawia ze szczególną siłą do każdego, komu bliskie są losy Mickiewicza, Słowackiego i Norwida, brzmią:

*żeby się stracił, zagubił w letniej nocy szeptach
oszołomił listowia zwiędłym aromatem;
żeby, gdy się korzenie w mym sercu rozrosną,
miody krzew ponad głowę zaszumił
i ludziom opowiedział z nadchodzącą wiosną
wszystko to,
czegom ja już nie umiał.
A na obcej ziemi boję się umierać...*

⁸ Józef Zięba, *Józef Łobodowski nie żyje*, „Kurier Lubelski” nr 82, 27 kwietnia 1988, s. 1-2.

Tadeusz Kłak „Lubelskie” powieści Józefa Łobodowskiego

Autor *Rozmowy z ojczyzną* znany był przede wszystkim jako poeta, a także tłumacz i publicysta o nieposkromionym temperamentie, gotowy do polemiki i walki piórem na wszystkie niemal tematy – literackie, ideowe i polityczne. Rzadko się jednak pamięta, iż ma on również poważny dorobek prozatorski, liczący siedem powieści, ujętych w dwa cykle. Pierwszym z nich była trylogia „kozacko-kaukaska”, obejmująca *Komysze*, *W stanicach* i *Droga powrotną*, drugim natomiast – czworoksiąg opatrzone tytułem *Dzieje Józefa Zakrzewskiego*, na który złożyły się *Czerwona wiosna*, *Terminatorzy rewolucji*, *Nożyce Dalili* oraz *Rzeka czerwona*. Żadna z nich nie została dotąd udostępniona krajowemu czytelnikowi, toteż pozostają one w rzeczywistości dla niego niedostępne.

Oba cykle mają niewątpliwie charakter autobiograficzny, chociaż intencja taka rysuje się wyraźniej w *Dziejach Józefa Zakrzewskiego*, gdzie postać, której za pierwowzór służyła osoba pisarza, urosła do rangi bohatera tytułowego¹. Ta tetralogia powieściowa opowiada bowiem przede wszystkim o losie jednostki, podczas gdy cykl wcześniejszy zarysowywał panoramiczny obraz całej społeczności, z dużą grupą bohaterów pierwszoplanowych, ważnych dla powieści, ale żaden z nich nie uzyskał prawa do bezwzględного pierwszeństwa, nawet Staś Majewski, któremu narrator poświęcał najwięcej uwagi, a jego los najbardziej go interesował.

Do tego cyklu można odnieść trafną formułę Tymona Terleckiego², który – omawiając przed wojną wiersze Łobodowskiego – nazwał je „poezjami Cezarego Baryki”. Pisarz ukazał bowiem w swoich powieściach dzieje polskiego

chłopca, przeżywającego – podobnie jak i bohater *Przedwiośnia* – swoje dzieciństwo i przyspieszone dojrzewanie w niepokojnym okresie porewolucyjnego wrzenia na Kubaniu. W odniesieniu do *Komyszy*, pierwszego i najlepszego tomu cyklu, pisał jeden z krytyków:

Przelewa się [w powieści] tłum różnobarwny i różnojęzyczny południowego, pod-kaukaskiego pogranicza cesarstwa. Czerwone bale i pogrzeby, i nieudane jeszcze wyprawy karne przeciw stanicom. Zamierający świat mieszczańskiej Rosji, tych kilka miesięcy, kiedy raz wreszcie żyło się w Rosji grzesznie i dziko, ale swobodnie. Obrazy Łobodowskiego są prawdziwe i urzekające.³

Pisarz ukazał w swych powieściach życie młodego Polaka i jego zawiłą drogę do niepodległej już Polski, ale jest to tylko jeden z wielu wątków, gdyż cykl ten przedstawia szeroką panoramę życia Kozaków oraz ich walkę o utrzymanie dotychczasowego porządku. Te dążenia zderzały się – z jednej strony – z poczynaniami „białych” generałów, jak i rosnącą presją bolszewików – z drugiej. Narrator wobec wszystkich uczestniczących w tym konflikcie stron stara się zachować jednak dystans, nie opowiada się wyraźnie po żadnej z nich.

Pisząc o *Komyszach*, jeden z krytyków zwrócił uwagę, iż w tej powieści Łobodowski ujawnił duży talent artystyczny dzięki – jak to nazwał – nieodmownym ideologicznym, dawał w niej bowiem autor obrazy artystyczne dokonujących się wydarzeń, a nie rozprawy społeczno-filozoficzne w stylu Żeromskiego. Krytyk ów stwierdzał:

Trzeba bowiem dojrzałego umysłu [...], by z tych awanturkizacji i zmysłowo zabarwionych wydarzeń kilku miesięcy, jeśli nie tygodni, rozgrywających się w jakimś zapadłym kąciaku ko-

„Lubelskie” powieści Józefa Łobodowskiego, w: *Literatura i pamięć kultury*, Lublin 2004, red. Sławomir Baczewski, Dariusz Chemperek, s. 338-339.

¹ M. Danilewicz-Zielińska napisała nawet z przekąsem, iż Łobodowski jako prozaik „przerabia swój żywot na cykl powieściowy w zaiste Sienkiewiczowskich rozmiarach” – *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Paryż 1978, s. 255.

² T. Terlecki, *Poezje Cezarego Baryki. Rzecz o Łobodowskim*, „Tygodnik Ilustrowany” 1937, nr 16.

³ Cz. Jeśmian, *W kubańskiej pustyni i puszczy*, „Wiadomości”, Londyn 1956, nr 16.

⁴ J. Kowalewski, *U źródła naszych czasów*, „Orzeł Biały” 1956, nr 11.

zackim, wyłowić głęboki sens, który autor chciał im niewątpliwie nadać.⁴

Istotnie, utwory Łobodowskiego są, zwłaszcza na tle nowszych tendencji w prozie współczesnej, bardzo „upowieściowione”. Bohaterowie ukazywani są w działaniu, nieustannie uczestniczą w różnych, wartko rozwijających się wydarzeniach, a przy tym wszystkie powieści cyklu zostały nasycone elementami bliskimi strukturalnie dramatowi – dominują w nich dialogi lub monologi postaci. Autor nastawiony jest na zjednanie sobie czytelnika, stąd też czyni wszystko, by przyciągnąć jego uwagę i trzymać ją w stałym napięciu. Sprzyja temu również element przygodowy, który odgrywa w „kozackiej” trylogii Łobodowskiego dużą rolę, i on właśnie stanowi jeden z ważnych wyznaczników gatunkowego nacechowania powieści.

Komysze i pozostałe części cyklu mają bowiem niewątpliwie znamiona powieści przygodowej. Odznaczają się urozmaiconą fabułą, licznymi i bogatymi perypetiami bohaterów, a do tego wybrał autor odpowiednią scenerię oraz czas, pełen zmiennych i spiętrzonych wydarzeń. Akcja powieści często zwalnia swoje tempo i napięcie, aby znów zaskoczyć czytelnika jakąś niespodzianką. To wydarzeń (step), przestrzeni (ziemie ukraińskie) oraz niektórzy bohaterowie (Kozacy) sprawiają, iż obok nawiązań do powieści Sienkiewicza *W pustyni i w puszczy* (np. motyw wędrówki chłopca odłączonego od rodziców, Staś i Ogarka jako odpowiedniki Stasia i Nel, zaś pies Rozbój – Saby) widać oddziaływanie na utwory Łobodowskiego również *Ogniem i mieczem*. Zresztą te i inne nawiązania czy aluzje literackie są w pełni świadome, potwierdzone również w tekście powieści. Jedno natomiast różni bardzo powieści Łobodowskiego od wspomnianych utworów Sienkiewicza, a mianowicie wprowadzenie w szerokim zakresie sfery erotycznej, i to przede wszystkim miłosnych

wtajemniczeń młodocianych bohaterów, znajdujących się dopiero u progu dojrzewania.

Narratora, a i autora, interesuje również warstwa obyczajowa, sposób życia Kozaków – ich praca, walka i zabawy, cały ich folklor oraz kultura duchowa. Przedstawia je z sumiennnością i zamiłowaniem etnografa, wrażliwy jest na historię i na całe bogactwo kulturowe, znamienne dla obszarów, gdzie przenikały się różne wpływy, z orientalnymi włącznie.⁵ Owa troska o wierność rzeczywistości, zespolona z autobiograficzną strategią autora powieści, sprawia, iż w *Komyszach* dopatrywano się bardziej reportażowego niż powieściowego ujęcia, a zdaniem Czesława Jeśmiana są one raczej historią, pamiątnikarstwem, a nie literaturą.⁶

Stasia Majewskiego pozostawił Łobodowski w ostatniej części swej trylogii w *Drodze powrotnej*: przygotowywał się on do nowej wielkiej przygody – wędrówki ku utęsknionej ojczyźnie. *Droga powrotna* zamykała się na przedstawieniu wydarzeń z 1922 roku, natomiast akcja *Czerwonej wiosny* rozgrywała się już na terenie Lublina i rozpoczynała się po dziesięciu latach od tamtej daty. Przez ten czas młody Majewski dorasta i przeobraża się w Józefa Zakrzewskiego. On również, jak bohater Żeromskiego, przeżył boleśnie spotkanie z nową Polską, jej szklane domy uległy rozbiciu, toteż przyniesiony ze Wschodu bakcyl rewolucji i buntu znalazł u niego podatny do rozwoju grunt.

Czworoksiąg Łobodowskiego obejmuje powieściowo ujęty okres jego życia z lat 1932-1933, kiedy kształtowała się jego sylwetka jako poety, publicysty oraz działacza politycznego. Był to czas wielkiej aktywności, o czym często przypomina narrator, a także różne osoby z otoczenia głównego bohatera. Oto jedna z jego „zbiorczych” charakterystyk: Przyszła matura, po maturze uniwersytet, pierwsze artykuły w prasie, krótka działalność

⁵ To wczesne zetknięcie się Łobodowskiego z Orientem i jego kulturą miało niewątpliwie wpływ na głębsze i trwale zainteresowanie nią w okresie pobytu w Hiszpanii, który zaowocował m.in. ciekawym zbiorem wierszy *Kasydy i gazy*, Londyn 1961.

⁶ Cz. Jeśmian, *W kubańskiej pustyni i puszczy*. O prymacie swej pamięci oraz jej trwałości pisał sam Łobodowski w szkicu przypominającym m.in. rok 1917 na Kaukazie: „Dla mnie był to rok zupełnie niebywały, a wszystko, co działo się na jego przestrzeni, a i później aż do wyjazdu z Rosji, rysuje się w pamięci tak wyraziście, jakby to było wczoraj” – J. Łobodowski, *Prometeusz skowany*, „Zwierzciadło” 1938, nr 7/8.

w Związku Młodzieży Demokratycznej, awantury polityczne i osobiste, konfiskaty i procesy sądowe. Młody Zakrzewski stał się znaną osobistością. Jedni widzieli w nim zdolnego trybuna politycznego i dobrze zapowiadającego się publicystę, inni – warcholę i, kto wie, czy nie komunistycznego agenta. Policja zaczęła deptać mu po piętach, panny z lepszych domów, dawne partnerki z gimnazjalnych tańcówek i teatru amatorskiego, przestały odpowiadać na ukłony, na uniwersytecie miał ciągle nieprzyjemności, matka załamywała ręce.⁷

Łobodowski ukazał swojego bohatera niejako w szczytowym punkcie ideowego wtajemniczenia oraz całkowitej wierności przyjętym założeniom i zobowiązaniom. Ale od tego momentu drogi Zakrzewskiego będą się od oficjalnej linii i doktryny partii komunistycznej oddalały. W oczekiwaniach partyjnych zwierzchników natomiast ewolucja ideowa tego bohatera powinna była uzyskać jeszcze tendencję wznoszącą się, liczyli oni stale na ostateczne jego „wykrystalizowanie” się i podporządkowanie wszystkim zaleceniom oraz nakazom idącym z góry.

Autor powieści, wykorzystując własne doświadczenia i przeżycia⁸, ukazał nie tylko ideowe przemiany bohatera, ale – i może przede wszystkim – technikę ideologicznej indoktrynacji oraz sposoby podporządkowywania jednostki mechanizmom organizacyjnym partii komunistycznej. Czytelnik nie otrzymał jednak od narratora informacji, w jaki sposób Zakrzewski stał się komunistą, ani też jakie racje zaprowadziły go w stronę marksizmu.

Ideologicznej „obróbce” i przygotowaniu Zakrzewskiego do coraz poważniejszych zadań partyjnych służyły stałe rozmowy i dyskusje z profesorem Mendelsonem,⁹ który w Lublinie reprezentował stopień najwyższego ideologicznego i politycznego wtajemniczenia. On przekazywał mu wytyczne aktualnej linii partyjnej, dostarczał wskazówek, argumentów i lektur oraz dawał

polecenia, których wykonanie miało mu zapewnić otrzymywanie coraz bardziej odpowiedzialnych zadań oraz wzbudzenie zaufania „góry”. Oddziaływaniom tym Zakrzewski poddawał się z coraz to większym oporem, krytycznie analizując zarówno otrzymywane od Mendelsona informacje, jak i zawarte w literaturze partyjnej, które korygował na podstawie materiałów pochodzących z innych źródeł, co pozwalało zachowywać mu niezależność własnych przekonań. W przeciwieństwie do monopolistycznego oraz instrumentalnego traktowania przez KPP sprawy robotniczej, bohater Łobodowskiego dąży do tworzenia przeciw burżuazji i ustrojowi kapitalistycznemu „wspólnego frontu” wszystkich lewicowych ugrupowań z PPS oraz klasowymi związkami zawodowymi łącznie.

Najważniejszym powodem różnic między Zakrzewskim a jego partyjnymi partnerami stały się przede wszystkim sprawy narodowe. Zgodnie z jego przekonaniami, którymi dawał wyraz zarówno w dyskusjach osobistych, jak i w swojej publicystyce, KPP powinna być Polską Partią Komunistyczną, a nie częścią komunistycznej międzynarodówki z ośrodkiem dyspozycyjnym w Moskwie. W gruncie rzeczy Zakrzewski nie tyle rozczarowywał się do ideologii komunistycznej, ile do statusu KPP jako partii pozbawionej samodzielności, dla której ostatnią instancją były osobiste decyzje Stalina, buntował się przeciwko jej polityce podporządkowującej sprawę Polski interesom ZSRR.

Bunt bohatera Łobodowskiego miał dwa aspekty: jeden narodowy, drugi zaś indywidualny. Pragnął on walczyć o komunizm „narodowy”, a jednocześnie domagał się prawa do jawnego i otwartego formułowania swojego stanowiska oraz krytyki niesłusznych – jego zdaniem – elementów programu czy działania partii. Narażało to Zakrzewskiego na coraz częstsze i ostrzejsze konflikty z jego

⁷ Ze względu na mnogość przytoczeń, a zwłaszcza na charakter niniejszego szkicu – raczej narracyjno-gawędowy, a nie analityczny – zrezygnowano z ich lokalizacji [przypis pochodzi z tekstu źródłowego].

⁸ Autor niemal na bieżąco pisał o tym w swoich artykułach i tekstach polemicznych – zob. m.in. I. Krawczenko [J. Łobodowski], *W siedemnastym roku rewolucji, „Dźwigary”* 1934, nr 1; *Pisarz rewolucyjny w teraźniejszości* oraz artykuł redakcyjny *Polemiki i wypadki, „Dźwigary”* 1935, nr 2, a także w szeregu artykułów z lat 1935–1936, drukowanych w „Wiadomościach Literackich”. Zob. również J. Łobodowski, *O cyganach i katastrofistach* (3), „Kultura” 1964, nr 10, s. 35–43.

⁹ Jego pierwowzorem był Samuel Mejerzon – zob. J. Łobodowski, *O cyganach i katastrofistach* (3), s. 43.

zwierzchnikami, na zarzuty o odchylenie nacjonalistyczne, obciążenie tradycją szlachecką oraz skłonności anarchistyczne. Profesor Mendelson próbuje buntującemu się i dochodzącemu do własnych racji publicyście unaocznąć, iż „na walczącym froncie obowiązują inne prawa niż w normalnych warunkach pokojowych”, inaczej bowiem walka polityczna przebiega w warunkach jawnego działania, inaczej zaś, gdy organizacja pozostaje w głębokiej konspiracji. Narrator lojalnie przywołuje opinie, jakie o Zakrzewskim krążyły w partyjnych kręgach Warszawy, mówiące, iż „zajmuje pozycje marksistowskie po to, by je po kolei poddawać wrogom ideologicznym”.

Zakrzewski nie zamierzał jednak brać pod uwagę „żadnych ubocznych względów” ani „liczyć się z niczyją opinią”. Chciał prowadzić otwartą dyskusję, w której przemawiać będą wyłącznie argumenty merytoryczne, zachowywał też sobie prawo do formułowania własnych ocen. „Nie potrafię kształtować swojej opinii na arbitralne polecenie z góry” – oto jedno z licznych wyznań bohatera na ten temat.

W jego „urabianiu” i politycznej edukacji brali udział również przedstawiciele partii komunistycznej z warszawskiego środowiska akademickiego. W jednej z dysput partnerami Zakrzewskiego było – jak informował jeden z bohaterów powieści – „dwóch ważniaków z polonistyki”:

Jeden to teoretyk, zapewniano mnie, że kuty na cztery nogi w doktrynie. Drugi – podobno świetnie zapowiadający się poeta... Zaraz, jakże mu...? Lucja... Lucjan... zapomniałem nazwisko. Krótkie, niepolskie. Bardzo inteligentny gość, poliglota i potworny brudas. Nigdzie nie mieszka, sypia kątem, gdzie się da. Też mocno oświecony w doktrynie.

O pierwszym z nich mówił narrator, że jest to „ciemny szatyn w rogowych okularach”, cechuje go „szeroka, rumiana twarz, rozrośnięte bary, zbyt

jak na młody wiek pokaźna tusza”. Dalej narrator nazywa go już „Grubasem”, co pozwala odnieść to określenie z całą pewnością do Stefana Żółkiewskiego.¹⁰ W poecie natomiast można rozpoznać rysy Lucjana Szenwalda. Potwierdza to bezpośrednio wspomniany szkic Łobodowskiego, w którym opowiada on o swoich sporach ideowych i politycznych z warszawskimi komunistami, w tym z autorem *Sceny przy strumieniu*.

Ukazując rozterki oraz ewolucje ideowo-polityczne Zakrzewskiego, Łobodowski – oprócz zapisu pryncypialnych dyskusji – wprowadza na karty swych powieści wiele materiału źródłowego, cytowanego niekiedy całymi stronami: uchwał Komunistycznej Partii Polski, artykułów z jej organu oraz innych czasopism, odezw i ulotek, przywołuje też nazwiska liderów partyjnych, charakteryzując ich postawy oraz związki z różnymi partyjnymi frakcjami.

Narrator wskazuje również na inne, zarówno drukowane, jak i ustne źródła informacji, którymi byli dla Zakrzewskiego lubelski antykwariusz oraz stary komunista mieszkający na Wołyniu, obaj dobrze wtajemniczeni w różne partyjne i zewnętrzne polityczne sprawy, dzięki czemu dowiadywał się o nich często wcześniej i z odpowiednim naświetleniem, dlatego też mógł on bardziej samodzielnie i skutecznie określać swoje stanowisko wobec zwierzchników ideologicznych i politycznych. Ważną rolę odgrywało również osobiste doświadczenie Zakrzewskiego, uzyskiwane w czasie kontaktów ze środowiskami robotniczymi, a także takie inicjatywy jak potajemna wyprawa przez granicę ZSSR na Ukrainę, by naocznie przekonać się o prawdziwości wiadomości na temat panującego tam wielkiego głodu i jego tragicznych skutkach.

Zbierane obserwacje i doświadczenia prowadziły bohatera Łobodowskiego ku nieuchronnemu zerwaniu z ruchem

¹⁰ Przymiotnik „Gruby” funkcjonował w odniesieniu do osoby Żółkiewskiego także w czasie, gdy był on po wojnie profesorem w Instytucie Badań Literackich.

komunistycznym. W ostatniej powieści cyklu, *Nożycach Dalili*, której akcja rozgrywa się od lipca 1933 roku do początku 1934 roku, pojawiają się następujące rozmyślenia Zakrzewskiego co do swojego położenia:

Odciąć się od całego towarzystwa i iść dalej w pojedynkę, czy grać nadal dwuznaczną rolę wiecznie „nieskrystalizowanego”? Już dość dawno zrozumiał, że żyje i działa w lewicowym środowisku niejako na kredyt. Wszyscy czekają, aż zdobędzie ostateczną świadomość klasową, to znaczy nauczy się słuchać autorytetów partyjnych bez najlżejszego sprzeciwu. Gdy dojdą do wniosku – a dojdą prędzej czy później – że traktuje ten kredyt jako bezterminowy, załatwią się z nim raz dwa. Bezinteresownej herezji nie uznają, więc wiadomo...

Punktem dojścia ideowej ewolucji Zakrzewskiego było ostateczne odejście od partii komunistycznej, przy czym wcześniej odrzucił on propozycję objęcia wysokiej funkcji po aresztowanym i skazanym w procesie profesorze Mendelsonie. Bohater nie zamierzał jednak rezygnować z działalności politycznej, postanowił natomiast radykalnie zmienić front oraz profil redagowanego przezeń pisma: „Pismo będzie miało odtąd charakter antysowiecki i antykomunistyczny, ale ze stanowisk lewicowych”.

Należy w tym miejscu podkreślić, iż największą wagę przykładając Zakrzewski właśnie do swej pracy publicystycznej, prowadzonej w redagowanym przez niego piśmie „Nowa Trybuna”. Na jej łamach umieszczał swoje artykuły programowe i polemiczne, tutaj również zarysowywał kształt nowej kultury i literatury proletariackiej.¹¹ Pismo to zapewniało mu niezależność wypowiedzi, w których nie musiał liczyć się ze zdaniem partyjnych zwierzchników, chociaż nadal narażały go one na represje cenzury i urzędu prokuratorskiego.

Opis działalności Zakrzewskiego w „Nowej Trybunie” oparł Łobodowski na własnych doświadczeniach redakcyjnych, przy czym ujął je w sposób synte-

tyczny w stosunku do jego działalności publicystycznej, jak i podejmowanych przezeń inicjatyw czasopiśmienniczych.

Należy tu przypomnieć, iż autor *Dziejów Józefa Zakrzewskiego* był przed wojną redaktorem „Trybuny” (1932), „Barykad” (1932), „Kuriera Lubelskiego” (1932, 1937) oraz „Dzwigarów” (1934-1935), natomiast w powieściach wszystkie te zdarzenia zamykają się w obrębie lat 1932-1934. Pisarz dokonał tu więc czasowej kondensacji faktów i wydażeń, jak i redukcji wielu rzeczywistych tytułów do jednego¹², dzięki czemu obraz rzeczywistości stał się bardziej ostry, jednorodny i dynamiczny.

Oprócz rysów radykalnego buntownika społecznego i rewolucjonisty, Łobodowski przydał swojemu bohaterowi również wiele cech współczesnego Don Juana. W przeciwieństwie do wielu dawniejszych literackich kreacji, prezentujących zwykle rewolucjonistę jako samotnika i niemal ascetę, odrzucającego sferę osobistych uczuć lub podporządkowującego je wybranej ideologii czy „sprawie”, Józef Zakrzewski z powieści Łobodowskiego postępuje akurat odwrotnie. Stara się żyć – w swoim przekonaniu – pełnią życia, usiłując godzić studia¹³, uprawianie boksu, prace zarobkowe, działalność wydawniczą, publicystyczną oraz polityczno-ideologiczną z bogatym życiem erotycznym.

W *Dziejach Józefa Zakrzewskiego* dałoby się wyliczyć co najmniej kilkanaście postaci kobiecych, które stawały się kochankami tytułowego bohatera, przy czym w większości przypadków to on był inicjatorem i reżyserem prowadzonych romansów, w nielicznych tylko sam stawał się obiektem ich zachodów uwodzieńskich. Większość erotycznych wątków i scen łączy się bezpośrednio lub pośrednio z działalnością polityczną bohatera, zwłaszcza w tak zwanym Klubie Dyskusyjnym, skupiającym – poza osobą Zakrzewskiego – wyłącznie ludzi ze środowiska

¹¹ Mają one swoje odpowiedniki w artykułach Łobodowskiego (niektóre ukazywały się pod pseudonimami) w „Trybunie” (1932), „Barykadach” (1932) i w „Dzwigarach” (1934-1935).

¹² W wypowiedzi jednej z bohaterek *Nożyc Dalili* pojawia się i tytuł rzeczywistego miesięcznika, którego redaktorem był Łobodowski. Warto przytoczyć ten fragment z nieco szerszym kontekstem: „Redaktor Zakrzewski, entuzjasta sprawiedliwości społecznej, który płomienną młodość rzucił jak kamień na barykady polskiej rewolucji. Proletariat go nosi na rękach, radykalne panienki biegają hurmem, czy aby się z którą nie prześpi... Policja też biega, czekając aż się potknie. I wtedy – adje barykady i trybuny! Przyjdzie nieuchronny koniec dialektycznego procesu i zaczniesz się nieprzyjemnie kiblowanie”.

¹³ Jeśli opierać się na materiale powieściowym, to studia Zakrzewskiego miały raczej stanowić pretekst do działania politycznego na uniwersytecie. W *Czerwonej wiosnie* czytamy: „Jeśli [Zakrzewski] zrobi drakę na uniwersytecie i sprawa dojdzie do dziekana, może skończyć się źle. Na studiach zbytnio mu nie zależało, ale teraz otwierały się ciekawe możliwości polityczne i szkoda byłoby wylecieć z uniwersytetu przed ich rozrobieniem”. W *Terminatorach rewolucji* czytamy o „zaprzepaszczeniu”

roku studiów. Nie inaczej wyglądał związek z uniwersytetem samego autora. Łobodowski rozpoczął studia na wydziale prawa KUL-u w październiku 1931, a już w końcu lutego rektor ks. J. Kruszyński skierował do jego matki pismo zawiadamiające ją o relegowaniu go z uniwersytetu. Podstawą tego aktu było pismo prokuratora okręgowego, wysłane do rektora, powiadamiające o wszczęciu postępowania przeciwko Łobodowskiemu jako autorowi książki *O czerwonej krwi*, gdyż „treść książki zawiera cechy przestępstw, przewidzianych w art. 129 i 73 kk”. Rektor KUL-u wystosował również pismo do „prześwietnych rektoratów” wszystkich uniwersytetów państwowych informujące, iż Łobodowski został relegowany za „szerzenie pornografii i bluźnierstwa w wydanych przez siebie utworach poetyckich, skonfiskowanych przez władze prokuratorskie”. Kserokopie dokumentów z archiwum KUL-u otrzymałem za pośrednictwem prof. S. Fity, któremu serdecznie dziękuję.

¹⁴ Informacje te pisarz wprowadzał zapewne dlatego, iż w latach trzydziestych pojawiały się w prasie najpierw sugestie, iż na swoją działalność wydawniczą otrzymywał on pieniądze od partii komunistycznej, a po zerwaniu z nią – iż pochodziły one ze źródeł rządowych na agenturalną i dywersyjną pracę wewnątrz KPP. Zob. też

żydowskiego. Otóż, jak informuje narrator, w Klubie tym rządziły zasady swoistej komuny, co wyrażało się w daleko idącej swobodzie obyczajowej, zwłaszcza w sferze erotycznej, z czego bohater Łobodowskiego korzystał w bardzo szerokim zakresie. Inny krąg jego kochanek rekrutował się z fordanserek lubelskich i warszawskich lokali rozrywkowych, bądź kobiet napotykanych w czasie wyjazdów terenowych w roli ideologa – prelegenta czy agitatora.

Należy zauważyć, iż niektóre z tych romansów bohater Łobodowskiego prowadził równolegle, nie kryjąc się z tym ani wobec swoich kochanek, ani wobec otoczenia. Zarówno we własnym przekonaniu, jak i w opinii narratora był on mistrzem uwodzenia, któremu nie oparła się żadna z upatrzonych przez niego kobiet – były mu one posłuszne i uległe, dając się niemal od razu oswładnąć jego osobistemu urokowi. Wobec „swoich” kobiet był on na ogół wspaniałomyślny i hojny, obdarzając je kosztownymi upominkami oraz podejmując je w najlepszych lokalach.

Był to niewątpliwie jeden z elementów strategii pisarza, zmierzającej do wzmoczonej heroizacji głównego bohatera i wyniesienia go ponad inne postacie i całe środowisko. Zapewnia mu więc zawsze przewagę nie tylko w poczynaniach o charakterze erotycznym, ale i w polemikach prasowych, w dyskusjach politycznych na zebraniach i pozwala mu też zwycięsko wychodzić ze spotkań z policją polityczną, szpicłami i prokuratorem. Czyny też Łobodowski swego bohatera hojnym i wręcz rozrzućnym protektorem kobiet związanych z nim, stać go nawet na założenie własnego teatru i opłacanie aktorów, a wszystko to – jak czytamy w powieściach – miało pochodzić z udzielanych przez niego korepetycji oraz... spadku po krewnym z Ameryki.¹⁴

Jeśli przyjąć w lekturze powieści Łobodowskiego klucz biograficzny, to

zwraca uwagę jedna szczególnie sprawa: modyfikuje on mianowicie w sposób zasadniczy osobowość głównego bohatera w stosunku do jego pierwowzoru. Jest on tu redaktorem pisma, publicystą i działaczem politycznym, odjął mu natomiast autor tę część własnej biografii, która wiązała się z poezją i pisarstwem we właściwym sensie tego słowa.¹⁵ Potwierdzałyby to do pewnego stopnia opinie Łobodowskiego, wyrażone przy innej okazji, iż poezja była przez niego pojmowana przede wszystkim jako sposób społecznego oddziaływania, a nie stanowiła celu samoistnego. Wiersz stawał się, podobnie jak i dla rówieśników poety z „Żagarów”, narzędziem, często przybierał postać wypowiedzi publicystycznej albo pojawiał się zamiast artykułu o charakterze dziennikarskim. Wszak jeszcze po latach pisał Łobodowski w *Dedykacji*:

*Nigdy nie chciałem świadczyć się
wyłącznie dźwięcznym słowem;
ja jestem z tych, co wiersze tylko za
połowę
życia biorą, a później skaczą ku dzikich
koni grzywom.
Skoro już w wojnie trwamy, to od
wiersza wolę
dobrze podsypyany prochem pistolet,
a poezja to tylko krzesiwo.¹⁶*

Ale chyba szkoda, że ta „druga połowa” życia pierwowzoru Józefa Zakrzewskiego została w powieściach Łobodowskiego pominięta, však wzbogaciłaby ona wizerunek głównego bohatera i uczyniła go postacią może bardziej reprezentatywną dla swego pokolenia oraz pełniejszą psychologicznie.

Mimo nadania takiego profilu głównemu bohaterowi *Dziejów Józefa Zakrzewskiego* – sprawy literackie zajęły jednak we wszystkich powieściach tego cyklu Łobodowskiego sporo miejsca, a wszystkie łączą się bezpośrednio z jego osobą i podejmowanymi przezeń

rozmaitymi poczynaniami. Wiadomo bowiem doskonale, iż pisarz ten uczestniczył aktywnie w latach trzydziestych w życiu literackim i kulturalnym Lublina, a także był świadkiem i obserwatorem dziejących się wydarzeń z tego zakresu, chociażby ze względu na swoją pracę dziennikarza i publicysty.

Wszystkie powieści ze wspomnianego cyklu wykorzystują rzeczywistość w szerokim zakresie doświadczenia pisarza z lat 1932–1933, ukazując je na dwa sposoby: albo poprzez wprowadzenie prawdziwych postaci wraz z ich nazwiskami oraz odnoszącymi się do nich danymi, albo też poprzez kreowanie bohaterów o fikcyjnych nazwiskach, które mają swoje odpowiedniki w ówczesnym pejzażu literackim czy kulturalnym Lublina i Lubelszczyzny.¹⁷

Pojawiają się więc w tych powieściach takie osoby jak Ewa Szelburg-Zarembina, Kazimierz Andrzej Jaworski i doktor Biernacki, spotykamy również tytuły ukazujących się w tym regionie czasopism, jak na przykład „Trybuna”, „Barykady” czy „Kamena”, wymienia się imprezy w rodzaju szopek „Reflektora”, instytucje kulturalne (teatr, kina, biblioteki) oraz dydaktyczne i naukowe (szkoły, uniwersytet). Jeśli chodzi o postacie powieści, to obowiązuje dosyć ściśle przestrzegana zasada, iż osoby występujące pod własnymi nazwiskami nie biorą na ogół udziału w akcji powieściowej, bywają one tylko wspomniane albo pojawiają się epizodycznie.

Ze względu więc na swoją merytoryczną rangę i obiektywną rolę należy poświęcić teraz nieco uwagi właśnie problematyce literackiej międzywojennego Lublina, tak jak przedstawia się ona w świetle czworoksiągu Łobodowskiego. Problematyka ta zajmuje tu wiele miejsca, i to zarówno jeśli chodzi o instytucje formalnie istniejące, jak też mające raczej charakter koleżeński i towarzyski.

W latach trzydziestych najbardziej znany był Związek Literatów w Lubli-

nie, będący organizacją czysto regionalną, niezależną od agend ówczesnego Związku Zawodowego Literatów Polskich. Powstał on w maju 1932 roku, a przyczynili się do tego najwięcej Franciszka Arnsztajnowa, Józef Czechowicz i Antoni Madej.¹⁸ W powieściach Łobodowskiego organizacja ta występuje jako Związek Pisarzy Lubelskich, przy czym autor posługiwał się rzeczywistymi realiami dosyć swobodnie, co było może nie tyle wynikiem świadomych czy mimowolnych zniekształceń, ile raczej określonych zamierzeń artystycznych. Autor *Rozmowy z ojczyzną* umiejscawia powstanie Związku w czasie odpowiadającym narodzinom rzeczywistej organizacji, ale skład osobowy jej władz przedstawił w powieści następująco: Na pierwszym zebraniu członków-założycieli wyłoniono zarząd. Prezesem został profesor literatury i etnograf, doktor Mierziński. Godność wiceprezesa przypadła Kamińskiemu; Zakrzewski wszedł do zarządu jako członek bez funkcji.

Oczywiście, Łobodowski jako twórca powieści miał pełne prawo do przetwarzania rzeczywistych zdarzeń i faktów zgodnie ze swoją wizją artystyczną i potrzebami twórczymi, niemniej warto zauważyć, iż prezesem Związku Literatów w Lublinie został wybrany Józef Czechowicz, który rychło zrzekł się tej godności na rzecz Franciszki Arnsztajnowej, przyjmując stanowisko jej zastępcy, natomiast Łobodowskiego wybrano członkiem komisji rewizyjnej.

Dzięki zachowanej dokumentacji najlepiej znana jest wczesna faza istnienia i działalności Związku, to jest z lat 1932–1933, wtedy też wykazywał on największą dynamikę i pomysłowość swoich poczynąń. Po wyjeździe Czechowicza do Warszawy, co nastąpiło latem 1933 roku, a w rok później i Franciszki Arnsztajnowej, tętno życia Związku wyraźnie osłabło, zaś o dalszym jego istnieniu i pracy świadczą jedynie ułamkowe, a nawet dosyć przypadkowe informacje. Jest jednak rzecz

W. Gralewski, *Wataha atamana Łobodi*, w: tenże, *Ogniste koła*, Lublin 1963, s. 173–181.

¹⁵ W *Rzecz granicznej* znajduje się wypowiedź Zakrzewskiego, informująca, iż pisał wiersze jako sztubak, ale potem mu to „przeszło”.

¹⁶ Cyt. za: J. Łobodowski, *List do Kraju*, wybór wierszy i opracowanie J. Świąch, Lublin 1989, s. 56. Taką funkcję swojej poezji widział Łobodowski już u początków twórczości. W redagowanym przezeń miesięczniku „Barykady” (1932, nr 1, s. 38) w niepodpisanym przeglądzie krytycznym, zatytułowanym *U poetów*, być może autorstwa samego pisarza, czytamy: „poprzez gąszcz rytmicznych zdań widać na wskroś człowieka – jest to poeta z gatunku buntowników – wierszy używa jako mieczów w buncie przeciwko złu, krzywdzie, niesprawiedliwości, szarzyźnie, głupocie [...]”.

¹⁷ Pojawiają się zresztą i nazwiska pisarzy spoza Lublina, np. Juliana Tuwima i Władysław Broniewskiego, określano też jako „Władek”, z przypomnieniem jego legionowego pseudonimu „Orlik”.

¹⁸ O jego powstaniu i działalności zob. T. Kłak, *W szeregach awangardy*, „Kamena” 1967, nr 10. Podawane w słownikach biograficznych pisarzy (pod red. E. Korzeniowskiej oraz J. Czachowskiej) informacje, jakoby Łobodowski był od 1933 roku prezesem Lubelskiego Oddziału ZZLP, nie odpowiadają

rozumiała, iż po opuszczeniu Lublina przez Czechowicza i Arnsztajnową, a później także i Antoniego Madeja, sprawy Związku musieli przejąć w swe ręce pisarze młodszy. Jedno z zachowanych zawiadomień, informujących o odczycie Kazimierza Wójcika z 1936 roku, poświęconego poezji Czechowicza, podpisał w imieniu Związku poeta Władysław Podstawka.

Zarówno on, jak i Wójcik będą często pojawiać się na kartach powieści Łobodowskiego pod fikcyjnymi nazwiskami. Nieformalną grupę literacką stanowiła Łoża Wielkiego Śmiechu, mająca również swój rzeczywisty odpowiednik. Prawdę mówiąc, można by ją było uznać za wytwór fikcji albo zmyślenie Łobodowskiego, gdyby nie list Bronisława Ludwika Michalskiego do Czechowicza, pisany z Krakowa w grudniu 1932 roku, w którym właśnie prosił o pozdrowienie w jego imieniu członków Łoży.¹⁹ W jednym z polemicznych szkiców, dotyczących wspomnień na temat lubelskiego środowiska literackiego i spraw związanych z kręgiem warszawskim Józefa Czechowicza oraz tzw. „wspólnym pokojem” na ul. Dobrej, napisał Łobodowski, iż wspomniana Łoża powstała w Lublinie właśnie na początku lat trzydziestych. Pisał on:

„Łoża Wielkiego Uśmiechu”, zbierająca się niemal codziennie przy marmurowych stolikach u Semadeniego, a w niedzielę u Rutkowskiego, nie składała się z samych poetów. Początkujący artysta-malarz, kandydat na rzeźbiarza, aktor z powołania, nigdy na scenę zawodową nie wszedł – mieli obok nas pełnoprawne miejsce i głos. Nie brakowało kibiców, o dość kapryśnym i często zmieniającym się składzie.²⁰

Jaka była personalna konstelacja tego literacko-artystycznego skupienia? Należeli doń na pewno Czechowicz, Bronisław Ludwik Michalski, Józef Łobodowski, Henryk Domiński i Władysław Podstawka, a także wymienieni powyżej bez nazwisk – malarz Jan Samuel Miklaszewski oraz recytator Kazi-

mierz Wójcik. A oto powieściowa wersja powstania Łoży:

Ubiegłej zimy, po jakimś wesołym pijaństwie, powstał pomysł założenia „Łoży Wielkiego Uśmiechu”. Początkowo członków było pięciu, później doszło jeszcze trzech. Wielkim mistrzem został poeta, Henryk Gulewicz, którego literacki rozgłos zaczynał wychodzić poza lubelskie rogatki; godność Brata Mistycznego przypadła również poecie, nieśmiało, wiecznie zamyślonemu, Ludwikowi Zarańskiemu. Józefa wybrano jednomyślnie Czerwonym Katem Łoży, czyli Bratem Starszym.²¹ Posiedzenia odbywały się u ojca Grudnia albo w bocznej salce Semadeniego.

Rytuał był nieskomplikowany. Sprawdzano listę członków, ułożoną wierszem. Wielki Mistrz mówił grobowym głosem: „Poezję krzepi” – na co wszyscy odpowiadali gromkim chórem: „Henio Gulewicz”. Następnie: – „Gęba złowieszczą” – „Józio Zakrzewszczak” – „Bogdanki szuka” – „Władzio Łazuka!” – „Cherubin Pański” – „Ludwiś Zarański!”

Spotkania te odbywały się przy dwóch czarnych świecach, a na zakończenie posiedzeń odmawiano rodzaj litanii, złożonej z samych niezrozumiałych słów i nieartykułowanych dźwięków, co spowodowało odpływ publiczności, przeważnie emerytów, do innych lokali. Wywoływało to początkowo niechęć kelnerów do tych zebrań Łoży, kiedy jednak okazało się, że Łoża „sama jedna konsumuje znacznie więcej niż wszyscy emeryci razem wzięci i nie szczędzi sutych napiwków, przestali protestować” i „czarne msze”, o których krążyły po mieście niesamowite opowieści, mogły się już odbywać bez przeszkód.

Pierwowzorem Gulewica jest Józef Czechowicz, używający – jak wiadomo – w prywatnym życiu również imienia Henryk. Łatwo też wskazać na rzeczywiste odpowiedniki innych członków Łoży: Ludwik Zarański ma rysy Bronisława Ludwika Michalskiego, Władysław Łazuka – Władysława Podstawki, zaś występujący w innych sytuacjach Kazimierz Dań – Kazimierza Wójcika, stałego recytatora wierszy młodych poetów lubelskich. Wiadac więc, iż Łobodowski – zmieniając

prawdzie, gdyż w tym czasie funkcję tę pełniła F. Arnsztajnowa, a poza tym Związek Pisarzy w Lublinie był organizacją autonomiczną i nie miał nic wspólnego z ZZLP. Łobodowski – jak informuje publikacja *Z dziejów ruchu literackiego na Lubelszczyźnie*, opracowana przez S. A. Łukowskiego (Lublin 1998, s. 259) – był prezesem Związku w latach 1935–1939.

¹⁹ Zob. T. Kłak, *Przypomnienia. Grędziński – Michalski – Rzeczyca*, „Kresy” 1995, nr 3, s. 134 [więcej o Łoży Wielkiego Uśmiechu w niniejszym numerze „Scriptores” – przyp. red].

²⁰ J. Łobodowski, *O cyganach i katastrofistach (1)*, „Kultura” 1964, nr 7, s. 41.

nazwiska pierwowzorów swoich postaci – zostawiał, jako znaki identyfikacyjne, ich imiona, pozostawił także Zakrzewskiemu imię własne.

„Powieściowcy” Czechowicz znalazł się w cyklu Łobodowskiego jednak na dalszym planie. Wynikało to po części z faktu, iż omawiane powieści dawały literacką autobiografię samego pisarza, on stanowił centrum obserwacyjne, jego punkt widzenia decydował o przedmiocie narracji i opowiadał o sprawach, w które sam był najmocniej zaangażowany. W grę wchodziły również elementy rywalizacji – wywyższając Zakrzewskiego, pomniejszał Łobodowski Henryka Gulewicz. Inaczej było przy kreacji postaci, których pierwowzorami byli Michalski i Podstawka – czytelnik otrzymał o wiele więcej danych, odnoszących się do ich rzeczywistych pierwowzorów, ale oni nie zagrożali pozycji Zakrzewskiego, gdyż byli jego satelitami, natomiast przyznanie Gulewiczowi wysokiej literackiej pozycji musiałoby prowadzić do przysłonięcia osoby głównego bohatera.

Należy wziąć również pod uwagę istnienie pewnych różnic i napięć wewnątrz Łoży, spowodowanych – co odnosi się przede wszystkim do Czechowicza – różnicą wieku i doświadczeń, a także odmiennością postaw ideowych i artystycznych. Można tu odwołać się do poetyckiej polemiki Łobodowskiego z Czechowiczem, zawartej w utworze *Wiersz niezrozumiały*²², zapowiadającym, iż pewnej nocy wszystko nagle się przemieni. Czytamy tam:

*uważajcie...
czechowicz twierdzi, że dzień codzienny
jest co dzień
ale to pewnie nieprawda, bo tamta noc
nie będzie przecież codzienna,
tylko czerwona,
taka czerwona jak krew,
którą na próżno się staram
przepoić słowa swych wierszy*

Niemalą też rolę odgrywała niewątpliwie walka o miejsce w grupie, a nawet o jej przywództwo. Na ten ostatni moment zwrócił uwagę sam Łobodowski w cytowanym już szkicu wspomnieniowym, dotyczącym spraw ujętych w powieściach na płaszczyźnie fikcji. Pisał w nim:

Czechowicz nie był w pożyciu człowiekiem łatwym. Wbrew łagodnym pozorom odznaczał się wielką apodyktycznością. Ułożył wierszem żartobliwą listę członków Łoży i o sobie napisał: „Dusze chce łowić Józef Czechowicz”. Tego rodzaju łowcy każdą schwytaną duszę chcą prowadzić na smyczy, choćby nawet jedwabnej, ale na smyczy. Byłem wtedy szczeniakiem krnąbrnym i o zbyt zjeżonym karku, aby taka operacja mogła się udać. Z zarzucania sieci łowca szybko zrezygnował.²³

W innym miejscu tego szkicu Łobodowski napisał, iż niewiele brakowało, a byłoby doszło między nim a Czechowiczem do całkowitego zerwania, a poza tym zwrócił uwagę na to, że z upływem czasu również wokół innych osób zaczęły się skupiać nowe konstelacje poetyckie. Miał on niewątpliwie na myśli i ten krąg, który tworzył się także wokół jego osoby.²⁴

Jedną z osób, które pojawiały się najczęściej w otoczeniu literackim sobowtóra Łobodowskiego, był Władysław Podstawka, sportretowany jako Łazuka. Jest on Zakrzewskiemu najbliższy, chociaż ten traktuje go nieco protekcjonalnie i ukazuje dosyć jednostronnie. W opinii zarówno Zakrzewskiego, jak i narratora powieści Łazuka jest sentymentalnym poetą, który szybko i łatwo się upija, szukającym bez powodzenia coraz to innej kandydatki na jego Beatrycze. Imię bohaterki Dantego jest tu o tyle na miejscu, iż Łazuka po pijanemu recytuje często właśnie strony z *Boskiej komedii* w języku oryginału, innym razem wygłasza on po łacinie wiersze Catullusa. „Jak zwykle Władzio upił się pierwszy”; „kochliwy a zmienny jak marcowa pogoda” – takie opinie często

²¹ Warto zwrócić uwagę, iż podobną tytułaturę proponował Czechowicz dla poetów z kręgu awangardy lubelskiej i wileńskiej, którzy mieli tworzyć zespół wydający czasopismo „Zmowa” – zob. J. Czechowicz, *Wyobraźnia stwarzająca*.

Szkice literackie, wstęp, wybór i opracowanie T. Kłak, Lublin 1972, s. 95.

²² J. Łobodowski, *O czerwonej krwi*, Lublin 1931, s. 135.

²³ J. Łobodowski, *O cyganach i katastrofistach* (1)..., s. 41-42.

²⁴ Zob. też: T. Kłak, *Awangarda lubelska*, w: tenże, *Stolik Tadeusza Peipera. O strategiach Awangardy*, Kraków 1993, s. 146-147.

spotykamy na stronach powieści Łobodowskiego.

Pisarz za pośrednictwem narratora próbuje niekiedy docierać do głębszych pokładów osobowości Łazuki oraz jego kłopotów w kontaktach z otoczeniem, starał się też wnikać w jego sytuację. Zakrzewski bowiem:

Lubił i cenił Łazukę, chociaż nieraz wystawiał go na kpiny. Zastanawiał się, skąd u chłopskiego syna w pierwszym pokoleniu tyle kompleksów, urazów i psychicznych komplikacji. Zetknięcie się z miastem? Miał czas przyzwyczaić się, siedzi tu od pierwszej klasy gimnazjalnej.

W powieści nazywa się Łazukę „jaku-bowickim poetą” oraz informuje, iż pochodził on ze wsi Jakubowice Końskie, położonej blisko Lublina, co odpowiada dokładnie miejscu urodzenia Władysława Podstawki. Czytamy też, iż Łazuka miał „lingwistyczne zainteresowania; często występował w uniwersyteckich spektaklach”²⁵, a przy tym był dobrym recytatorem utworów poetyckich, własnych i kolegów-pisarzy. Wszystkie te informacje odpowiadają biografii Podstawki – wtedy studenta Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Dopiero po odbyciu służby wojskowej podjął poeta studia prawnicze.

Pewną korektę rysów Podstawki dał Łobodowski w swoim szkicu wspomnieniowo-polemicznym, pisząc: Był to duży, żywiłowy talent, poddany rabunkowej gospodarce. [...] W przeciwieństwie do wielu innych „cyganów” miał zdrowy chłopski sens i ani odrobiny hysterii, snobizmu, przerafinowania.²⁶

Zarówno rzeczywista biografia, jak i poezja Podstawki miały rysy dwoiste. Liryka jego naznaczona była „ciemną” tonacją, ukazywała bohatera o poplątanym losie, bezbronno wobec świata i udręczonego, ze świadomością zdrady wobec macierzystego środowiska oraz poczuciem obcości miasta, zaś wiersze erotyczne mówiły – istotnie – o miłości zawiedzionej lub niespełnionej. W biografii rzeczywistej Podstawki rysy tragiczne, związane między inny-

mi z uleganiem alkoholizmowi (a praca w charakterze barmana niewątpliwie temu sprzyjała), równoważone były jego poczuciem humoru. Wszak – jak wiemy – pisał on teksty satyryczne do szopek i piosenki do studenckich rewii.

Spośród poetów lubelskich obok Władysława Podstawki został w powieściach Łobodowskiego dokładniej sportretowany Bronisław Ludwik Michalski w postaci Ludwika Zarańskiego. W pierwszych tomach cyklu pojawiał się on przede wszystkim w grupie – widzimy go na spotkaniach literackich i w knajpach, przede wszystkim u „ojca Grudnia” – tam, gdzie w swoich wspomnieniach usytuował Wacław Gralewski całą „watahę atamana Łobodi”²⁷. Dopiero w ostatnim tomie *Dziejów*, ukazującym wydarzenia z 1932 roku, poświęca Łobodowski Zarańskiemu nieco więcej uwagi.

Michalski był rówieśnikiem Czechowicza, ale z Lublinem związał się dopiero w 1929 roku i nie od razu nastąpiło między nimi zbliżenie. Miał on poza tym inny styl życia, dlatego mocniej przylgnął do grupy Łobodowskiego, z którą prócz poezji łączył go również i alkohol. Nie na próżno na egzemplarzu tomu przekładów z rosyjskiego pt. *U przyjaciół* napisał Łobodowski następującą dedykację: „Bronkowi Michalskiemu towarzyszowi spod znaku poezji i alkoholu.”²⁸

Zarański odbiega jednak pod pewnymi względami swoim zachowaniem od grupy, jest „wiecznie zamyślony” i żyje marzeniami o wielkiej sławie. Narrator *Rzeki granicznej* informował, że poeta ten stale wybierał się do Krakowa, twierdząc, że jego twórczość wymaga „najbliższego sąsiedztwa Wawelu i kościoła na Skałce” oraz wyrażając przekonanie o czekającej go tam wielkiej karierze poetyckiej. Zarański nie spieszył się jednak z opuszczeniem Lublina: „na razie się nie ruszał, datę wyjazdu stale przesuwiał, chodził po mieście, medy-

²⁵ Podstawka był m.in. współautorem tekstów dwóch rewii, wystawionych pod egidą „Bratniaka” przez studentów KUL-u w Teatrze Miejskim w lutym 1932: *Wszystko na wesoło* oraz w lutym następnego roku: *Bez tego ani rusz*. Zob. K. Deptułowa, *Czas studiów. Polonistyka 1928-1933*, w: *Katolicki Uniwersytet Lubelski w latach 1925-1939 we wspomnieniach swoich pracowników i studentów*, wstęp i redakcja G. Karolewicz, Lublin 1989, s. 252.

²⁶ J. Łobodowski, *O cyganach i katastrofistach (dok.)*, „Kultura” 1964, nr 12, s. 37.

²⁷ W. Gralewski, *Wataha atamana Łobodi*, s. 153-181.

²⁸ Po śmierci Michalskiego Łobodowski napisał o nim piękne wspomnienie pt. *O Bronisławie Michalskim*, „Życie Lubelskie” 1936, nr 17, poświęcił mu również sporo uwagi w cytowanym tu szkicu.

tował i pił więcej niż którykolwiek z ich paczki”. Pod koniec powieści czytelnik dowiadyuje się już o pobycie Zarańskiego w Krakowie, skąd przychodziły początkowo od niego entuzjastyczne wieści, które później ustąpiły rozczarowaniu.

Michalski znalazł się w Krakowie we wrześniu 1932 roku. Towarzyszył mu list polecający Czechowicza do Jalu Kurka:

Zwracam się do Pana ze sprawą czysto prywatnej natury. Jeden z moich najserdeczniejszych przyjaciół, Bronek Michalski (liryk), jedzie do Krakowa po złote runo.

Bardzo bym sobie życzył, aby Pan, jako autochton, no i człowiek wpływowy, zechciał mu nieco pomóc radą i wskazówką w pierwszych dniach jego pobytu w grodzie „Linii”. Z góry dziękuję za uprzejmość, którą Pan wyświadczy Bronkowi Michalskiemu. Zobowiąże mnie Pan bardzo.²⁹

Rekomendacja Jalu Kurka, który pracował wtedy w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”, niewątpliwie była pomocna, skoro już na początku października ogłosił on w „Kurierze Literacko-Naukowym”, dodatku do tego dziennika, artykuł pt. *Życie literackie Lublina*³⁰, opatrzone zdjęciami Arnsztajnowej, Czechowicza, Gralewskiego i samego autora. W artykule tym poświęcił Michalski kilka pochlebnych zdań również Łobodowskiemu („Po Czechowiczu chyba to najzdolniejszy poeta Lublina”), informując również o jego inicjatywach czasopiśmienniczych („Trybuna” i „Barykady”). Zachowane książki z autorскими dedykacjami dla Michalskiego³¹, między innymi Lecha Piwowara oraz Witolda Zechentera, świadczą, iż poeta szybko nawiązał kontakty w krakowskim środowisku literackim.

Michalski trafił zresztą na czas znakomity, bowiem pod koniec listopada odbyły się w Krakowie wielkie ogólnopolskie uroczystości poświęcone 25. rocznicy śmierci Wyspiańskiego, a jed-

nocześnie miał miejsce ogólnopolski zjazd pisarzy. W imprezach tych Michalski reprezentował Związek Literatów w Lublinie, o czym pisał w obszernym liście do Czechowicza. Wymieniając nazwiska poznanych tam pisarzy, dodał: Poza tym poznałem się z Irzykowskim, Leśmianem, Staffem, z którym wychyliłem kilka wódek na raucie. Bardzo przyjemny człowiek, ale jeszcze miłszy – Zegadłowicz, a nad nim – Gustaw Morcinek. Co za rozkoszny Ślązak. I wielu, wielu innych, że nie sposób naraz o nich wszystkich pisać.³²

Epizodycznie pojawiła się w powieści Łobodowskiego również Ewa Szelburg-Zarembina, do której zwracał się Józef Zakrzewski w związku z zamiarem wystawienia w teatrze amatorskim jej dramatu *Ecce homo*. Oto jeden z fragmentów narracji odnoszących się do tej sprawy, gdzie czytelnik otrzymał również krótką charakterystykę pisarki: [Zakrzewski] chciał poczynić pewne skróty i zmiany, na co konieczna była zgoda autorki. Poza tym Józef żywił nadzieję, że pisarka nie zażąda żadnego honorarium, zważywszy amatorski charakter zespołu. Wiedział, że pani Ewa spędziła pensjonarskie lata w Lublinie i zachowała sentyment do trybunalskiego grodu. Poinformowano go również o jej lewicowych sympatiach. Komunistka? Nie, skądże, nawet nie komunizuje, stanowisko ideologiczne raczej nieokreślone, ale w każdym razie należy ją zaliczyć do literackiej lewicy. Był więc dobrej otuchy, że uzyska zgodę.

Pisarka przy osobistym spotkaniu z nią Zakrzewskiego w jednej z warszawskich cukierni okazała się osobą „miłą w obejściu i bezpretensjonalną”, spełniła też wszystkie życzenia i oczekiwania związane z wystawieniem jej dramatu. Łobodowski miał szczególny powód, by nazwisko tej pisarki wprowadzić do swojej powieści, należała ona do tych twórców, którzy publicznie stanęli w jego obronie po konfiskacie zbioru wierszy *O czerwonej krwi* i skazaniu jego autora na więzienie. W krótkim szkicu *Sprawa poety* pisała:

²⁹ J. Czechowicz, *Listy*, zebrał i opracował T. Kłak, Lublin 1977, s. 177.

³⁰ B. L. Michalski, *Życie literackie Lublina*, „Kurier Literacko-Naukowy” 1932, nr 41. W tymże roku ogłosił tam również opowiadanie pt. *Uśmiech*.

³¹ Zob. T. Kłak, *Przypomnienia. Grędziński – Michalski – Rzeczycy...*, s. 135.

³² Tamże, s. 134. List z 7 grudnia 1932.

wa, *Bokser książę* czy *X-27*, nazwiska aktorów takich jak Greta Garbo, Joan Crawford, Emil Jannings, Clark Gable, Robert Taylor i inni. Szczególną sympatią obdarza jednak główny bohater Marlenę Dietrich, o której pamięta również w powieściach. Wspomina ją kilkakrotnie, posługując się zresztą raczej jej imieniem, co również świadczy o zażyłości samego autora *Dziejów Józefa Zakrzewskiego* z jej filmowym wizerunkiem. Dwa razy pojawiają się także słowa śpiewanej przez nią w *Błękitnym aniele* piosenki:

*Ich bin von Kopf zum Fuss
auch Liebe.*

Fascynacja Łobodowskiego tą aktorką sięga jeszcze młodości, czego świadectwem był między innymi jego artykuł z „Barykad” pt. *nogi marleny Dietrich* (pisownia oryginalna).

Pisząc o powieściowej tetralogii Łobodowskiego, można by eksponować coraz to inne jej aspekty, akcentując na przykład kreacyjność bądź dokumentarność, aż do ujęć autoportretowych twórcy włącznie. Ważną warstwę *Dziejów Józefa Zakrzewskiego* stanowi ich wspomnieniowość, obejmująca nie tylko historię głównego bohatera oraz zdarzenia z jego życia, ale także cały kontekst przestrzenno-geograficzny. Ta sfera została w najmniejszym stopniu poddana prawom fikcji i kreacji artystycznej. W pełnej realności ukazują się pejzaże Ziemi Lubelskiej z takimi miastami i miejscowościami jak Chełm, Krasnostaw, Lubartów, Łęczna, Wąwolnica czy Zamość, a przede wszystkim topografia i oblicze samego Lublina.

Swojego bohatera usytuował Łobodowski w pewnym centrum przestrzennym, które w *Czerwonej wiosnie* zarysował następująco:

Zakrzewski mieszkał w dużej kamienicy przy ul. Szopena. Podnajmował dwa pokoiki, ponieważ jednak wyjście było osobne, czuł się w nich jak

w samodzielnym mieszkaniu. Gospodyni była dyskretna i nie pytała o częste wizyty. Wystarczyło jej, że nie było pijackich skandali i że płacił dosyć słony czynsz punktualnie.

To centrum głównego bohatera pokrywało się niemal w pełni z najważniejszą częścią miasta. Ulica Szopena sąsiadowała bowiem z Krakowskim Przedmieściem, niedaleko od niej było do placu Litewskiego oraz ulicy Kościuszki, przy której miały swoje siedziby miejscowe dzienniki, przy tej bardzo przecież krótkiej ulicy mieściły się aż trzy redakcje: „Ekspresu Lubelskiego”, „Głosu Lubelskiego” i „Ziemi Lubelskiej”. W pobliżu znajdowały się też oddziały dwóch warszawskich dzienników, a także szereg drukarni. Niedaleko było stąd także i do kin, które w życiu i Józefa Zakrzewskiego, i Józefa Łobodowskiego odgrywały bardzo dużą rolę.

Bohater powieści był więc włączony w główną przestrzeń miasta, a jednocześnie mógł pozostać we względnej izolacji od jego gwaru. Zwrócił na to uwagę Zygmunt Mikulski, pisząc o pewnym „arystokratyzmie” ulicy Szopena, przy której mieszkał nie tylko powieściowy Zakrzewski, ale i rzeczywisty twórca całego cyklu. Mikulski podkreślał, iż ulica ta „pod względem taktu, dystynkcji i umiejętności znalezienia się wychodziła na czoło swych sąsiadek w mieście, zaczynała być najciekawsza”. Pisał o niej w swej książce:

Ulica Szopena lat trzydziestych. Któż wywoła jej wspomnienie? Gdzie płyta, na której utrwalono melodię jej poważnego wdziku, jak nagrane są piosenki „Qui pro quo”, chóru Dana, Hanki Ordonówny? [...] Osobliwe, że w charakterze tego miejsca czuło się coś wykraczającego poza zjawiska przestrzenne, architektoniczne, administracyjno-społeczne. Ta ulica to było coś jak obita korkiem sypialnia – pracownia Marcelego Prousta, gdzie poza strumieniem dynamicznych wydarzeń świata, ale z tym celniejszą wobec niej perspektywą, ustalało się miary i znajdowało punkty widzenia.³⁹

³⁹ Z. Mikulski, *Tamten Lublin*, Lublin 1975, cytaty ze s. 152-153.

Łobodowski, wcielając się w postacie narratora i Józefa Zakrzewskiego, odbywa wyobraźniowy powrót do miejsc swojej młodości, niezwykle urozmaiconej, bujnej i bogatej. W *Nożycach Dalili* czytamy o głównym bohaterze: Ilekroć był dłuższy czas poza Lublinem, zawsze wracał z dziwnym uczuciem rozrzewnienia i czułości. Niby nic ważnego, a przecież robiło się przyjemnie pod sercem.

Cóż powiedzieć, jeśli odłączenie od bliskich miejsc trwało już całe dziesięciolecie. Z tego powodu Łobodowski, opowiadając dzieje Józefa Zakrzewskiego, przeżywa na nowo dawne sytuacje i zdarzenia oraz stara się wskrzesić społeczny, kulturalny i literacki klimat Lublina z trzydziestych lat ubiegłego wieku. Wędruje on po ulicach i uliczkach tego miasta, dając opis ich wyglądu o różnych porach roku. „Schodzili w dół Podwała wzdłuż Biskupiego ogrodu” – to cytat z *Czerwonej wiosny*. „Pójdźmy powoli Ogrodową, tam drzewa tak pachną, że aż dech zapiera” – czytamy w *Terminatorach rewolucji*, a z tomu *Rzeka graniczna* warto przywołać przykładowo fragment „zbiorczego” ujęcia, jakich w całym cyklu napotkamy wiele:

[Zakrzewski] Szedł powoli Krakowskim Przedmieściem, wrześnie wieczór był łagodny, dał lekki wiaterek. Minął Europę, plac Unii Lubelskiej, przeszedł na drugą stronę ulicy. Okna cukierni Rutkowskiego oświeślały chodnik, załamywały się w drzewach, cienie od nich szły do połowy jezdni. Dalej ulica była słabiej oświetlona, gmachy sądowe tonęły w mroku.

A oto inna scena z tej powieści z udziałem głównego bohatera:

Wyszli na tyły gmachu seminarium męskiego, gdzie ostatnio odbywały się wieczory dyskusyjne. Można było stamtąd zejść po dość stromym zboczu na Górą Panny Marii. Danusia pośliznęła się raz i drugi na zlodowaciałym śniegu, ale trzymała mocno. Minęli muzeum Łopacińskich i przed Bernardynami Józef złapał dorożkę.

Narrator wspomina też „chłodny wiaterek nadbystrzyckich łąk”, ogląda Lublin od strony ulicy Lubartowskiej i z innych

punktów widzenia. Uwagę jego oraz bohaterów powieści przyciągają również lokale, w których bywał kiedyś Łobodowski ze swoimi przyjaciółmi, by wyliczyć – prócz wymienionych uprzednio – „Pod Strzechą”, „Ul”, „Taba-rin”, restauracje u „Ojca Grudnia” i Józefa Radzyńskiego oraz cukiernię Semadeniego.

Ta imaginacyjna i nostalgiczna wyprawa pisarza do dawnych „magicznych miejsc” odbywała się równolegle, co należy bardzo mocno podkreślić, również na planie poetyckim. Lata lubelskie dały bowiem Łobodowskiemu podstawowy materiał biograficzny i twórczy, z którego korzystał w sposób niemal nieograniczony. Stanowił on również bagaż podobny do tego, o jakim mówił przejmujący wiersz Kufer Kazimierza Wierzyńskiego, patrona wczesnych wierszy autora *Z dymem pożarów* i jednego z najbliższych mu poetów.

Przypomnijmy też, że liryka Łobodowskiego od bardzo wczesnych lat była bardzo mocno związana z pejzażem Ziemi Lubelskiej oraz jej stołecznego miasta, o czym świadczył obszerny poemat *Noce lubelskie, Lublin 1934* czy *Wycieczka do Krasnegostawu*. Również w wierszach pisanych wkrótce po klęsce wrześniowej, takich jak *Ojczyzna* oraz *Dwa wiersze do żony*, wyraża się tęsknota bohatera lirycznego do „mojego Lublina” i „mojej Lubelszczyzny”. Jego pamięć i słuch nakierowane są przede wszystkim ku tym właśnie przestrzeniom, dlatego na przykład będąc w Paryżu, słyszy on kroki matki idącej ulicą Szopena, a żonę zapewnia, iż:

*spotkamy się, choćby w śmierci,
i znów ulicami Lublina
odejdziemy w miłość i szczęście.*

Nie jest więc rzeczą dziwną, iż także w latach późniejszych, bliskich czasowi, kiedy Łobodowski pisał czterotomową powieść o swojej młodości, przybywało utworów poetyckich nawiązujących do

motywów, wątków i przeżyć lubelskich. Były to m.in. *List do matki*, *Cmentarz w Lublinie*, *W Zemborzycach*, a zwłaszcza licząca dwadzieścia stron druku *Ballada lubelska*, będąca jakby poetycką summą Łobodowskiego. Ten właśnie utwór stanowi do pewnego stopnia esencjonalny, liryczny odpowiednik *Dziejów Józefa Zakrzewskiego*, zwłaszcza jeśli chodzi o substancję obrazową, tonację emocjonalną i poetyckie przywoływanie lubelskiego krajobrazu.

Poeta przebywa tutaj swoją „drogę powrotną” do miejsc i spraw najbliższych sercu, spina łukiem poematu dawne i nowe lata, problemy i sprawy, mówi o swojej młodości, co była – jak pisał w *Liście do matki* – „rozterką, gniewem, rebelią i pychą”. Łobodowski podtrzymuje w swym poemacie młodzieńcze wyznanie wiary i marzenia o „szklanych domach”, wspomina o czerwonym sztandarze na wieży lubelskiego ratusza, a w słowach:

*To o polską rewolucję szła rzecz.
Twarda sprawa robotniczo-chłopska.*

– i wielu podobnych – widać zbieżność z przewodnimi ideami powieściowej autobiografii pisarza.⁴⁰

W tekście *Ballady lubelskiej* czyni to między innymi poprzez nawiązania do własnych przedwojennych wierszy, wprowadza też liczne aluzje do utworów Czechowicza, które traktuje zarówno jako element literackiej legendy Lublina,

jak i poetyckie potwierdzenie urody tego miasta oraz otaczającej je ziemi.

Poemat ten, zawierający wielkie zasoby wspomnień i emocji, stanowi też rodzaj spowiedzi i rozrachunku ze sobą, swoim życiem oraz czasami, w których przyszło mu żyć, czynił to również w utworze *Rachunek sumienia*. *Ballada* przybiera niekiedy ton elegijny, gdy bohater poematu zdaje się żegnać ze światem – podobne motywy pojawiają się również w innych utworach Łobodowskiego z ostatnich lat życia. Można tu wskazać choćby wiersz *Na własną śmierć*, otwierający się tą przejmującą frazą: „Na obcej ziemi boję się umierać”, oraz *Zadymkę*, w której „powracają twarze dawnych przyjaciół”. Drugi z tych wierszy zamyka się strofą:

*Nie odpędzajmy przywidzeń i snów,
ani się wstydzę, żem jak niegdyś znów
głową pijaną przyłgnał do skrzypiec.
Z ziemi żem wyszedł, z wiatrem żem rósł,
więc ziemię powrotną przybliżam do ust
i ona mi usta przysypie.*

Łobodowski pragnął wrócić do Lublina, wrócić chociażby po śmierci, i to jego życzenie doczekało się spełnienia.⁴¹ Ale – co dla pisarza jest najważniejsze – powraca on stale w swoich wierszach, a także w powieściowej wersji swego losu z lat przed wielką katastrofą, którą zapowiadały również jego utwory poetyckie z czasów lubelskiej młodości.

⁴⁰ Jest rzeczą oczywistą, że ta wizja Łobodowskiego „czerwonej” Polski nie miała nic wspólnego – o czym mówi bezpośrednio sam poemat – z Polską z czasów „realnego socjalizmu”.

⁴¹ Prochy Józefa Łobodowskiego zostały złożone na lubelskim cmentarzu 22 października 1988.

Józef Łobodowski

– lubelski skandalista

Wacław Gralewski

Wataha Atamana Łobodi

Od tych trzech postaci oddzielało mnie tylko biurko redakcyjne, za którym siedziałem. Były białe-szare, jakby z gipsu zmieszanego z popiołem. Poruszały się irracjonalnie, a zamiast mowy artykułowanej słyszałem bełkot.

Przez osiem dni robiłem wysiłki na najwyższych obrotach, przez osiem nocy sypiałem nie więcej niż dwie, trzy godziny. Siły podtrzymywałem mocną czarną kawą i nie mniej mocną nalewką na spirytusie. Stany euforii zmieniały się w zamglenia – jakby w gęstej chmurze widziałem zarysy i kształty i jakby dochodzące z oddali słyszałem słowa. Kto są ci... Może majaki. Sięgnąłem po stojącą obok filiżankę i wypilem kilka łyków. Identyczną ewolucję wykonałem z kieliszkiem. Raz... dwa... trzy... cztery... Obraz zaczyna się rozjaśniać, nabierać ostrych konturów, słowa są bliskie i wyraźne. Bełkot postaci przemienia się w zdania proste i logiczne. Gipsowe postacie też ludzie. Zdaje się, wypili czy wypili...

Czuję się zorganizowany, rozklejenie minęło. Słyszę teraz wyraźnie.

– Panie Wacku, Czechowicza rozrwało na drobne kawałki. Myśmy wygrzebali się spod gruzów, no i po lekkim wzmocnieniu przyszlismy do pana.¹

– Kto jesteście?

Pierwsza figura pokazała na siebie palcem.

Ja jestem Henio Domiński, ten mały – to Kazio Wójcik, a ten tam – Stefcio Lotnik. Zdaje się, że na pierwszy rzut oka trudno nas poznać...

Zerwałem się z miejsca. Nagłe napięcie przemogło zmęczenie. Podsunąłem przybyłym krzesła. – Jak to się stało? Gdzie?!

Domiński wyjął z kieszeni bardzo brudną chustkę i zaczął obcierać twarz. Potem sięgnął po kieliszek. Nalałem. Wypił. Powiedział – niezła – i wypił drugi. Chrząknął i zaczął mówić jasno i wyraźnie.

Przymaszerowaliśmy z Warszawy. Wie Pan. Wszyscy z Warszawy ruszyli do Lublina, bo jakiś zafajdany pułkownik przez radio powiedział, że trzeba. Kilka dni w drodze, a dziś wreszcie doszliśmy do Lublina. Mieliśmy przyjść do pana, ale Czechowicz zaproponował, aby się najpierw ogolić i umyć u fryzjera. Wstąpiliśmy, o tu, na rogu Kościuszki i Krakowskiego, do fryzjera Ostrowskiej. No i w tym momencie szkopy zaczęły pyrgać bomby. Jedna przebiła strop i wpadła do fryzjerni. Myśmy we trzech skoczyli pod ścianę, a Czechowicz przeciwnie, wprost na bombę. Potem zrobiło się wielkie hallo, czułem w pysku pełno pyłu i jakiegoś świństwa, no i zacząłem się gramolić. Wygramoliłem się i pomogłem Kaziowi i Stefciovi. Nic żeśmy więcej nie mogli zrobić, bo tam, gdzie był Czechowicz, zrobiła się głęboka dziura, zawalona kawałkami muru. Zorientowaliśmy się, że nic nie możemy, a jeszcze nas przywali. Na szczęście był otwór, przez który wysunęliśmy się na zewnątrz, no i jesteśmy tu.

Głos opowiadacza nagle załamał się i stał się znów bełkotliwy.

Wataha Atamana Łobodi, w: tenże, *Ogniste błota*, Lublin 1963, s. 173-175.

¹ Na temat śmierci Józefa Czechowicza zob. „Scriptores” nr 31, s. 163-177. Przypisy do tego tekstu pochodzą od redakcji „Scriptores”.

Cholernie głupio się czuję, oni też, chodźmy, panie Wacku, na wódkę, nic nie wymyślimy, a żyć trzeba. Pierwszy toast za Czechowicza, to nie stypa, ale przyjacielski salut.

Pokręciłem głową odmownie.

Jak nie, to nie, idziemy sami. – I trzy postacie, jakby związane jednym sznurkiem, zakołysały się i wyszły z pokoju.

Wybiegłem na ulicę.

Było to 9 września 1939 roku po gwałtownym bombardowaniu Lublina przez samoloty niemieckie. Nalot zaskoczył wszystkich. A zresztą nie było dokąd uciekać. Nie było schronów i żadnych możliwości ucieczki. Dom, w którym mieściła się redakcja, i domy sąsiednie – ocalały. Ale już o trzydzieści metrów dalej narożny budynek tworzył stos gruzów. Właśnie w tym domu była fryzzeria Ostrowskiej. Pobieżne oględziny wskazywały, że akcja ratunkowa wymagała całej brygady robotników, a i tak ich praca i wysiłki byłyby tylko gestem, bo tam pod złomami na pewno żywych nie ma.

Jak z tego rumowiska wylazł Domiński i towarzysze, pozostanie zagadką. Niezbadany jest duch alkoholu. Podobno, według ich wersji, Czechowicz nie wypił ani kropli...

Dokoła ulice i plac sąsiedni były puste. Widocznie nikt jeszcze nie odważył się wyjść z sąsiednich domów. Wrażenie nalotu tłoczyło ludzi w różne zakamarki. W kilkunastu punktach miasta spoza domów zaczęły ukazywać się płomienie.

To zetknięcie się z Domińskim wyraziście pozostawiło wspomnienie. Nasze poprzednie kontakty były raczej przypadkowe. Wydał tomik poezji (nie tyle tomik, ile arkusze poetycki, F. Hoesick 1938), wiersze jego umieszczone zostały w *Antologii Współczesnych Poetów Lubelskich*, od czasu do czasu zjawiał się w Lublinie i wtedy dochodziły mnie pewne echa. Należał, tak jak i jego cała paczka, do watahy, jak żeśmy ją nazywali, Józefa Łobodowskiego. Albo atamana Łobodi,

bo autor *Demonom nocy* lubił przybierać postawę Kozaka, no i atamana. Domiński po ukończeniu szkoły w Lublinie przeniósł się do Warszawy, gdzie zaczął pracować jako dziennikarz. Uważany był nawet za dobrze zapowiadającego się reportera. Średniego wzrostu, szczupły, ale silny i zwinny, o ostrych rysach twarzy i długim, trochę spiczastym nosie, robił wrażenie człowieka, który chce zadać jakieś niecierpiące zwłoki pytanie. I mimo że posiadacz takiej fizjonomii nie otwierał ust, czekało się na to pytanie. Z natury nie był zbyt wylewny i gadatliwy, ale gdy zaczynał mówić, mówił jasno, logicznie i zwarcie. Wszystko się trzymało kupy.

Pochodził ze znanej kupieckiej rodziny osiadłej w Lublinie od dawna. Domińscy byli papiernikami. A i Henryk po studiach w szkole średniej pracował pewien czas w fabryce papieru w Myszkowie i miał zamiar poświęcić się papiernictwu.

Duży sklep mieścił się w gmachu hotelu Victoria od strony ulicy Kapucyńskiej. Często jako sztubak czyniłem w nim zakupy. Do dziś pamiętam wystawioną w witrynie sklepowej wielką akwarelę Barwickiego. Treść jej była następująca. Brzegiem rzeki Bystrzycy idzie ubrany w powłóczęgą szatę Chrystus. Pochylił się i zapłakaną twarz schował w dłonie. Z tyłu stoi (roznegliżowany, po sportowemu) świetnie zbudowany niby zapaśnik – atleta, diabeł, śmieje się szyderczo i palcem pokazuje za rzekę. A tam Lublin, z jego najbardziej charakterystycznymi budynkami, ogarnięty morzem płomieni. To była wizja artystyczna usymbolizowana w postaciach dobra i zła, a wypłynęła chyba z przecucia katastrofy, jaka ziściła się podczas drugiej wojny światowej. Ale sukces „diabła-zwycięzcy” był przemijający choć były chwile, kiedy się zdawało, że wszystko utopi we krwi i spopieli w ogniu. Z gruzów i ruin, jak feniks z popiołów, powstał nowy, piękniejszy Lublin (zresztą zdarzało mu się to na

przestrzeni ostatniego tysiąclecia kilkanaście razy).

Akwarela ta tkwiła na wystawie u Domińskich przez szereg lat i stanowiła jakby część składową ich sklepu.

Szkoda, że twórczość Barwickiego, niewątpliwie wybitnego malarza, poszła w zapomnienie. Był wizjonerem i człowiekiem zakochanym w swoim rodzinnym mieście. W swych koncepcjach artystycznych przypominał dzisiejszego Ociepkę. Lubował się w przeszłości i legendach Lublina, treść których stała się treścią wielu jego obrazów, jak *Sąd Diabelski* i inne.

Znów przez skojarzenie przypomina mi się obraz, na którym Brama Krakowska w swej szczytowej części ma postać starego brodatego rycerza, zadumanego i patrzącego w dal, a u stóp jego z nurtów Bystrzycy wyłania się rusalka z wieńcem na głowie i piękny kwietny wianek rzuca do stóp olbrzymia.

Rozmówiany był Barwicki (*no-men omen*) w akwareli bardzo barwnej i świetlistej. Wystawiał często swe obrazy w witrynach księgarni i sklepów papierniczych. Tkwiły one tam miesiącami, a nawet latami. Może i dobra to była metoda, bo dzięki temu lublinianie doskonale zapamiętali treść obrazów i nazwisko malarza. A i kupcom również robiła dobrą reklamę, bo obrazy (nie było wtedy w mieście sali wystawowej) przyciągały uwagę i kojarzyły się później ze sklepem, w którym się je oglądało. Tylko, zdaje się, nikt ich nie kupował, choć były miarą znacznego talentu.

Po wrześniowej wizycie w redakcji Henio Domiński zjawił się u mnie w końcu października tegoż roku. Bez żadnych niepotrzebnych wstępów powiedział: – Jestem kierownikiem propagandy „Orła Białego”. Mój pseudonim – Chmura. Wydajemy pismo podziemne na powielaczu, ale o dość dużym nakładzie. Przyszedłem prosić o napisanie dla nas kilku politycznych artykułów wstępnych.

Aczkolwiek byłem już zaangażowany w robocie podziemnej, zgodziłem się pod warunkiem, że nazwisko moje nikomu nie będzie ujawnione.

– Nie mogę zgłosić akcesu do „Orła Białego”, bo jestem już związany i dlatego umowa stoi tylko między nami.

Henio wyraził zgodę i dał słowo honoru, że nikt oprócz niego nazwiska autora artykułów znać nie będzie. W umówionym terminie wręczyłem mu obiecane artykuły, a w zamian po pewnym czasie otrzymałem kilka egzemplarzy „autor-skich” podziemnego pisma.

Żywot „Orła Białego” był stosunkowo krótki...

Wskutek wielu nieostrożności organizacja została wykryta przez gestapo. Aresztowano setki osób, setki rozstrzelano w Zimnych Dołach i na cmentarzu żydowskim na Kalinowszczyźnie. Masakra miała miejsce w początkach 1940 roku.

Henio Domiński zdołał opuścić Lublin. Był u mnie z „pożegnálną wizytą”.

– To nic, że się zawaliło – powiedział – na nowo zbudujemy. Wiele jeszcze razy będzie się walić i wiele razy będziemy odbudowywać.

Głęboko przekonany, że o moich kontaktach z propagandą „Orła Białego” nikt nic nie wie, nie miałem zamiaru uciekać z Lublina.

A jednak sprawa była groźniejsza, niż przypuszczałem.

W końcu 1945 roku po zakończeniu wojny zdjąłem mundur i wróciłem do rodzinnego miasta. Pewnego wieczoru poszedłem do teatru. W hallu spotkałem p. Sabinę T., pracownicę zespołu technicznego teatru.

– O, dawno pan u nas nie był i dawno pana nie widziałam.

Opowiedziałem pokrótce swoje dzieje.

– Ale, ale – dorzuciła p. Sabina – nie wie pan, że u mnie w mieszkaniu podczas okupacji była melina Chmury.

– Henia Domińskiego?

– A tak. W końcu 1939 roku, gdy „Orzeł Biały”, gestapo wpadło do nas na rewizję. Na szczęście miałam kilka minut czasu i archiwum wrzuciłam w piec, a listę członków i współpracowników propagandy zdołałam połknąć. O, pamiętam, że i pana nazwisko było na tej liście.

Otworzyłem usta ze zdziwienia. Choć minęło już kilka lat od tamtej wyspy i choć to było już po wojnie, przeszedł mi po grzbiecie lekki dreszcz. A więc Henio nie dotrzymał umowy i wciągnął mnie na listę. Takie spisy robione przez początkujących konspiratorów były plagą organizacyjną pierwszego okresu okupacji.

Dlaczego mnie jednak nie uprzedził? Ze słów pani Sabiny, której szybkiej orientacji i zdecydowaniu i ja również zawdzięczam życie, dowiedziałem się jednak, że już następnego dnia po rewizji (gestapo nic nie znalazło i nikogo nie aresztowało). Henio zjawił się u niej. Dowiedział się, że wszystko zostało zniszczone, więc ślady są zatarte. Dlatego zapewne nic mi nie powiedział, nie chcąc się przyznać, że jednak w spisie mnie umieścił.

Kolejne nasze spotkanie miało miejsce w połowie 1940 roku. Henio był wtedy kurierem, który z Warszawy przetrzucał materiały informacyjne do Budapesztu i odwrotnie. Granicą mimo silnej obstawy niemieckiej przechodził kilkakrotnie. Ostatni raz widziałem go w parę miesięcy po tym.

– Tym razem zmieniłem kierunek – powiedział i dodał ogólnikowo – idę na Wschód, mam inną misję i inne zadania do wykonania.

I ślad po nim przepadł. Przez parę lat myślałem, że poszedł za Bug i tam pozostał. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że schwytali go Niemcy, torturowali, a potem rozstrzelali w Palmirach. W jakich okolicznościach wpadł w łapy hitlerowców, moi informatorzy nie wiedzieli. Dziś cmentarz w Palmirach został upo-

rządkowany, a setki tabliczek uwieczniło nazwiska pomordowanych. Wśród nich spoczywa i Henio Domiński.

Jego sylwetka jako poety i człowieka ma dla mnie zarys osobliwy. Był człowiekiem osobliwym i tak mi się zapisał w pamięci. Nasze spotkania i zetknięcia miały charakter jakby krótkich śpięć. Ale nie w znaczeniu zderzenia czy scysji. Raczej napięcia.

Pozostał mi w pamięci obraz człowieka szalonego, ale owym zimnym, trochę hamletowskim szaleństwem. Szaleństwo to u niego miało wspólne źródło z determinacją i odwagą, a te znów podsycane były alkoholem. Ciekawe, że trzeźwy Henio mówił jak pijany, a znów kiedy wypił, i to często ponad miarę, mówił zimno, spokojnie, logicznie i jasno, jak człowiek, który nie używa żadnych podniet.

Pił dużo i często. Kiedy zaczął, nie wiem, ale chyba dość wcześnie. Zginął mając 28 lat (urodził się 13 lipca 1913 roku). Alkohol wydobywał z niego dość istotną cechę charakteru – brak poczucia jakiegokolwiek trudności czy przeszkody. Może tacy właśnie zdobywali Somosierrę. Przecież to wtedy podobno powiedział Napoleon do Ney, który twierdził, że szwadron polski był pijany: – Pijcie jak Polacy i bijcie się jak Polacy.

Choć nie ma w tym powodów do dumy narodowej, faktem jest, że mamy w swym zbiorowym charakterze jakąś specjalną cechę, którą po kumotersku alkohol wydobywa na zewnątrz. Wydobywał ją i u Henia i niwelował wszelkie wątpliwości. Nie oznaczało to, że Domiński był optymistą – raczej determinatem. Postawa jego była postawą ułana, który nie rozumuje, a atakuje. I atakuje bez przerwy, bez wypoczynku, bez zastanawiania się.

Dlatego być może nie zwrócił poważniejszej uwagi ani na moje zastrzeżenia, ani na dane słowo i umieścił mnie w spisie propagandystów „Orla Białego”, bo to mu było na przykład potrzebne jako

materiał do kroniki życia i działalności organizacji.

Dokonywał w tym czasie wielu trudnych, a nawet niezwykłych rzeczy. Kilkakrotne przekroczenie granicy polsko-węgierskiej i przenoszenie raportów miało charakter nie byle jakich wyczynów. Lwią część trasy Warszawa – Budapeszt – Warszawa odbywał pieszo lub, jak byśmy to dziś powiedzieli, autocy raczej wozostopem. Natykał się na patrole niemieckie, wymigiwał banderowcom, pokonywał głód, zmęczenie i zimno. I wszystko to czynił z jakimś wrodzonym właśnie ułańskim fasonem.

Poezja, która po nim pozostała, jest raczej skąpa. Charakteryzuje ją ton nieco intelektualny, będący jakby przegrywką do dużych napięć twórczych. Coś z wyczekującej postawy poetyckiej:

*Ale gdy księżyc, zdławiony więzień
gwiazd,
długo się tarzał po polach, o litość
błagając psy,
szedłem z dalekich miast
do Ciebie, Lublinie, po sny.*

Czekał na swój moment, na wielki sen, który go nawiedzi. Czy śmierć przekreśliła wszystko? Na pewno nie. Pozostał zaczątek legendy, jak kwiat nieśmiertelnika rzucony na męczeńską mogiłę.

Leży przede mną tomik poetycki zatytułowany *Stopy w niewoli*. Debiutował nim w Lublinie w 1936 roku młody poeta Władysław Podstawka. Przyniósł go do redakcji z dedykacją i z nadzieją, jaką ma każdy młody autor, że mu napiszę – jeśli nie entuzjastyczną – to przynajmniej pozytywną recenzję. Rozmawialiśmy chwilę. Robił wrażenie nieśmiałego z natury chłopca. Średniego wzrostu, korpulentny, ze skłonnością do tycia mimo młodego wieku (miał wtedy 24 lata), pochylał głowę, gdy mówił, ku przodowi z charakterystycznym gestem ludzi krótkowzrocznych. Miał słaby wzrok i nosił silne szkła.

Przejrzałem tomik skrupulatnie. Przeczytałem wszystkie zawarte w nim utwory. Mam swoją metodę krytyczną. Polega ona na segregowaniu najdrobniejszych nawet efektów poetyckich, wyodrębnianiu wszystkich zestawień słownych, w których bodaj najskromniejsze ziarno poezji się mieści i tworzy choćby tylko z lekka oryginalną metaforę czy zwrot poetycki. No i potem „obliczam”, ile procent czystej poezji zawiera taki zestaw, tak jak oblicza się zawartość czystego żelaza w bryle rudy.

Czasem, rzadko, nawet bardzo rzadko, zdarza się, że takie pierwociny są czystym samorodnym złotem, ale w większości wypadków procent czystego metalu poezji jest nieduży, a nawet żenująco mały. Czy więc warto zaczynać produkcję, czy koszty jej nie będą za wysokie, a wyrażą się zawodem, rozczarowaniem i goryczą. Wiele takich tomików przesunęło się przez moje biurko redakcyjne i jakże niewiele było rewelacji.

Myśli te chodziły mi po głowie w związku ze *Stopami w niewoli*. Autor wydał tomik własnym sumptem, a więc żadna instytucja wydawnicza nie przyjęła go, mało, żadna z instytucji kulturalnych nie dała swej firmy. Nie zdziwił mnie ten fakt. Wiersze były słabe, niedopracowane, często nieporadne. Ale, ale znalazłem kilka metafor, kilka zdań brzmiałych poetycko. A więc coś. Byłem zawsze skrupulatny, jeśli chodzi o debiuty.

Uderzyła mnie jedna okoliczność związana z Podstawką. Jeśli młody chłopak, syn chłopskiej rodziny, borykającej się z trudnościami materialnymi, oszczędza, odkłada, gromadzi, aby za pieniądze tą drogą uzyskane wydać tomik poezji, to z tym faktem musi się wiązać silna wiara w samego siebie i w swoje możliwości. Może te możliwości mało się uzewnętrzniają, ale widocznie są i poeta, który słucha głosu swojej głębi, wie, że je ma.

Rozumowanie to skonfrontowałem ze wszystkimi wierszami Podstawki, które przeczytałem. Konfrontacja nie przemawiała na korzyść twórcy. Napisałem recenzję. Przeanalizowałem cały tomik. Przeczytałem zwroty i zwrotki zdecydowanie złe, ale również i te, które coś mówią, coś obiecują i coś zapowiadają. Zakończyłem tak:

W sumie – mimo że ocena poetyckiego debiutu Podstawki wypada ujemnie – sprawa jego twórczości na przyszłość nie jest beznadziejna. Podstawka musi wyrzec się wiary w „mediumizm poetycki”, a zabrać się do pracy nad przyswojeniem sobie odpowiedniej techniki pisarskiej, pozwalającej na należyte opracowanie i wykorzystanie doznań twórczych. Jeśli to nie nastąpi, Podstawka tkwić będzie nadal nie tylko stopami, ale i głową w niewoli pseudo-poetyckich bełkotów.

Recenzja, choć pozostawiała małą furtką wyjścia, była ostra i twarda. Upłynęło kilkanaście dni, Podstawka znów przyszedł do redakcji. Przywitał się ze mną szczerze, uśmiechnął i powiedział: – Trochę zalał mi pan sadła za skórę. Było mi przykro. Liczyłem na przychylniejszą ocenę. Ale jestem z natury realistą i mam poczucie rzeczywistości. Gdy po kilku dniach uczucie przykrości, tak jak ból zęba, przestało mi dokuczać, wziąłem swój tomik do ręki i zacząłem czytać tak, jakby go pisał ktoś inny. I z tej pozycji dostrzegłem błędy. W kilku wypadkach przyznałem panu rację. W kilku nie, może dlatego, że pewne słowa, użyte w wierszach, mają dla mnie subiektywne, a nawet intymne znaczenie. W sumie zarzuty są słuszne – brak warsztatu, trochę za dużo wiary w natchnienie i w mistyczne siły, kierujące ręką poety. Trzeba się dopracować własnej formy. Jedno jest cenne jako owoc rozmyślań ostatnich dni, zrozumiałem, że od poezji nie odejdę, że będę o nią walczyć, czuję, że jestem poetą.

Po tej rozmowie w redakcji, poszliśmy na wódkę. To taki starolechicki zwyczaj, który płynie ponad trony. Wypiliśmy,

zakąsili, a potem przy kilku kolejnych maszynkach mocnej czarnej kawy gawędziliśmy przez szereg godzin. Rozmowa ta nie zawierała błyskotliwych efektów ani błysków dialektycznych, ale była wymianą poglądów i wglądów w sprawy rzetelnie poetyckie. Była to moja jedyna dłuższa i większa rozmowa z Podstawką.

Potem od czasu do czasu stykałem się z jego utworami, drukowanymi w niektórych periodykach, a inne poznałem z rękopisów. Kilka z nich uchowało się u mnie do dni dzisiejszych.

Ale wraz z postępami w zakresie opanowania rzemiosła i techniki wyrazu poetyckiego zaczęła się do pogodnych dotąd wierszy Podstawki zakradać jakaś obca, trochę rozpacznie brzmiąca nuta. Na zbudowanie sobie katastroficznego światopoglądu, choćby tylko poetyckiego, autora *Stóp w niewoli* jeszcze nie było stać. W zamian za to zaczęły pojawiać się słowa udręki, przemieniające się w próby buntu, będącego trochę szarpaniną, miejscami nawet płacziwą. W wierszu *Wściekły pies*:

*nie znajduję pośród ludzi psiego
przituliska
więc biegam jak pies wściekły zszargany
rozpaczą
i piana nienawiści śący mi się z pyska
a oczy pomętniałe krwi strugami płaczą*

lub w wierszu *Ziemia płacze*:

*płacze ziemia i topi się we łzach jak
w morzu,
o, losie, po coś ziemię i mnie na niej
stworzył?*

Wielka różnica tonu uderza, jeśli porówna się je z pierwszymi wierszami, którymi Podstawka debiutował zaraz po ukończeniu szkoły średniej. Na przykład wiersz *Jesień* wydrukowany na łamach „Trybuny”, pisma Związku Młodzieży Demokratycznej (studenckiej organizacji na KUL-u) w nr 8 w 1932 roku:

*Od ról zoranych świeżo idą szeptu ciche
 Jak modlitw drzenie miłe, lecz smutne
 zarazem
 To lato nim odejdzie, przed niebios
 obrazem
 Pomodli się liliowo za swą złotą pychę.*

Tematyka wierszy Podstawki jest w tym czasie sielska, jeśli pojawia się w nich jakiś nikły odcień smutku, to tylko w stopniu nieznacznym i ot, tak jakby z przekonania, że poecie, zwłaszcza młodemu, z melancholią do twarzy. Przez te kilka lat pobytu na studiach akademickich w Lublinie ton jego utworów jest raczej pogodny. Momenty głębszych smutków, załamania, a nawet rozpacz zjawiają się później, w okresie gdy zamieszkał w Warszawie.

W *Antologii Współczesnych Poetów Lubelskich* opracowanej przez ks. Ludwika Zalewskiego, a wydanej przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie jako nr 3 Biblioteki Lubelskiej, w krótkiej nocie biograficznej dotyczącej Podstawki jest taki passus: „Obecnie mieszka w Warszawie, życie nie szczędzi mu trudności i rozczarowań”.

Ten passus jest niezmiernie ciekawy. Dział zatytułowany „Życiorysy i bibliografia poetów lubelskich”, jakim kończy się *Antologia*, zawiera dane dotyczące piętnastu poetów. Są to zwięzłe, lapidarne informacje dla czytelnika, ograniczające się do przytoczenia daty urodzenia, kierunku studiów i tytułów drukowanych utworów. Tylko w notatce o Podstawce dodane jest to określenie aktualnej sytuacji życiowej poety. Jakiego typu były te trudności i rozczarowania życiowe, z jakich źródeł informacyjnych czerpał je ks. Zalewski i dlaczego uważał za wskazane o nich napisać w dziele tak specyficznym – nie wiem. Nie były to chyba ani dramaty, ani tym bardziej tragedie, bo o tym słuchy by mnie doszły – byłem w stałym kontakcie z całym ówczesnym środowiskiem literackim lubelskim, a i z Podstawką,

jak to wyżej zaznaczyłem, widywałem się co pewien czas. Myślę, że trudności wynikały ze struktury życia autora *Stóp w niewoli*. Zaczętych wyższych studiów nie ukończył, wyraźnego zawodu nie obrał. W Warszawie prowadził cygański tryb życia, którego bazą był „wspólny pokój nr 2”, skupiający kilku emigrantów lubelskich. No i w życie tego jowialnego, z natury spokojnego chłopca wkroczył alkohol. A koledzy i przyjaciele najbliżsi za kołnierza raczej nie wylewali. Z każdej okazji wyciskali bodaj kropelkę, jeśli nie dało się butelki. Zdaje się, że w to nieuregulowane, pełne gorączkowych dreszczy życie wkradła się miłość i to nieodwzajemniona. Konflikty, jakie stąd wynikły, były zapewne przyczyną wielu załamania i zasnucia się horyzontów poetyckich Podstawki ciemną mgłą. Gdy wybuchła druga wojna światowa, jako podchorąży rezerwy, został powołany do wojska. W trakcie działań wojennych dostał się do niewoli niemieckiej. Jako „kriegsgefangener” znalazł się w stalagu, ale już po kilku miesiącach przyjechał do Lublina. Czy to była udana ucieczka, czy też zwolnienie przez komisję lekarską (zdarzały się takie wypadki) lub w jakiś inny sposób, nie wiem. Gdy rozmawiałem z nim i poruszałem tę sprawę odpowiadał wymijająco: – Ano, udało mi się wyskoczyć.

Czasy wtedy były trudne, a sprawy ekonomiczne Polaków bardzo skomplikowane. Wiele osób chwytało się handlu, a nawet przemytu tych wszystkich artykułów, które okupanci reglamentowali. Wiele osób spośród kwalifikowanej inteligencji, nie chcąc pracować w instytucjach niemieckich, otwierało kawiarnie lub małe restauracyjki.

Podstawka zaangażował się jako barman do jednego z takich właśnie lokali z wyszynkiem alkoholu. Czynności swoje wykonywał z humorem. Mam wrażenie, że posadę traktował jak rolę teatralną w teatrze amatorskim. Z jego postawy płynęła jakaś *vis comica*, która

zmuszała bywalców knajp do uśmiechu. A i on sam – jakby odnalazł wreszcie sens swego życia – bywał teraz często uśmiechnięty.

Rozmawialiśmy szereg razy, ale zawsze krótko. Podstawka nigdy gadatliwy nie był. A i powiedzenia jego nie należały do błyskotliwych schlagwortów. Raczej były to krótkie wynurzenia czy stwierdzenia. Słuchał natomiast chętnie i z dużym zainteresowaniem.

W okresie, gdy był barmanem, zawodowe zajęcia zabierały mu dużo czasu – knajpka uruchamiana była wcześniej, a zamykana wraz z godziną policyjną. Na kawiarnie, spacerzy czy odwiedziny towarzyskie nie starczało czasu. A poza tym każdy taki gastronomiczny lokal był oazą wszelkich nielegalnych interesów i punktem kontaktowym różnych podziemnych organizacji. To temat, nawiasem mówiąc, co czeka na swoje pióro.

Po pewnym czasie Podstawka porzucił swą pierwszą posadę i przeniósł się do innej knajpki. Z kolei do następnej. W dość krótkim czasie zmienił kilka lokali. Okazało się, że barman za dużo pił i to na konto zakładu, w którym pracował. Wódka wtedy była droga i często pochodziła z przemytu albo była kupowana za drogie pieniądze z zapasów prywatnych. Obowiązkiem barmana było dbać o każdą kroplę – każda bowiem powinna dawać dochód. Konsumpcyjny stosunek Podstawki do swych obowiązków nie budził entuzjazmu u właścicieli przedsiębiorstw – stąd częste zmiany posad.

Pewnego dnia spotkałem go na ulicy. Przywitaliśmy się.

– Opuszczam Lublin – powiedział – mam dość knajpiarstwa. Wyjeżdżam do rodziny pod Łodzią, ale to, niestety, już na terenie Reichu, trzeba się będzie przekradać.

Udało mu się przekroczyć granicę, bo pisał parokrotnie do wspólnych znajomych. A potem korespondencja się urwała, aby po wielu miesiącach

wznowić się w postaci krótkiego listu... z Oświęcimia. Niemcy aresztowali go i ustalwszy, że nielegalnie przekroczył granicę GG – wysłali do obozu. Potem przyszła wiadomość o jego śmierci.

Splątane nici życia poety, poszukującego swego pełnego wyrazu, przecięte zostały przez hitlerowskie Parki.

Nie wiem dlaczego, ale ile razy patrzyłem na Kazia Wójcika, zawsze przypominało mi się środowisko przestępcze. Aby nie było nieporozumień, stwierdzam, że Kazio był najuczciwszym pod słońcem człowiekiem, więc nie jego postawa życiowa wywoływała to skojarzenie. Tylko jego wygląd zewnętrzny i *façon d'être*. Malutki blondynek, o brwiach wypłowiałych i buzi wesolukiego dziecka, był zawsze uśmiechnięty, ruchliwy i dźwięczący jak szczygieł. Takim go poznałem w latach 1934–1935. I właśnie ten wygląd i to zachowanie wywoływały dziwne skojarzenie.

Tak się złożyło, że jako dziennikarz miałem możliwość zetknąć się z „królami podziemi” Lublina i Warszawy. Obaj byli postawni i ponad miarę wysocy (lubelski przekraczał dwa metry). I obaj mieli „adiutantów” niezwykle małego wzrostu.

W swoim czasie udało mi się zdobyć oryginalne materiały informacyjne o strukturze przestępczego życia podziemnego i o „wyborach” króla podziemi.

O stanowisko to mógł ubiegać się każdy członek ferajny. Rozgrywka toczyła się systemem pucharowym. Kandydaci staczali walkę na noże. Zwycięzca przechodził do następnej rundy, a pokonany wędrował do szpitala. Kadencja władcy była trzyletnia, a potem znów trzeba było bronić tytułu lub udawać się na kurację.

Tylko adiutanci pozostawali na stanowiskach, spełniając różne funkcje od dyplomatycznych do koordynacyjnych. Moje rewelacje na temat życia podziemia wywoływały wielki wstrząs wśród zainteresowanych. Tradycją było, pod groźbą dintojry, milczenie i dyskrecja

w stosunku do świata nadziemnego. Po-dejrzewano, że jakiś zdrajca dostarczył prasie materiałów informacyjnych do reportażu. W związku z tym sam król i jego adiutant złożyli mi wizytę. Władca milczał i patrzył groźnie, a malutki adiutant, niezwykle wymowny i ruchliwy, poruszał się jak baletnica, i prosił, i przekonywał, i z lekka groził. Kto był informatorem?!

Otóż Kazio Wójcik był do niego podobny, no i pełnił też funkcję adiutanta przy osobie atamana Łobodi.

Żywy i ruchliwy, wpadał czasami w charakterystyczną zadumę, z której wyzierał odcień głęboko w nim tkwiącej, ale świadomie ukrywanej melancholii.

Kazio Wójcik poetą nie był. Nie wiem, czy miał w ogóle jakiekolwiek osobiste ambicje literackie. Raczej nie. Był fanatycznym miłośnikiem literatury i środowisk poetyckich. Z zawodu pracownik księgarski, z książkami był mocno powiązany. Czytał wiele i wiedział wiele. Ale skromny ponad miarę nigdy na front nie wysuwał własnej osoby. Cieszył się z sukcesów przyjaciół i czuł się szczęśliwy przebywając w ich gronie. Do atamana przyłgnał na całego. Kazio posiadał zdolności recytatorskie, toteż często recytował wiersze na wieczorach autorskich, szczególnie za tych twórców, którzy mieli zaszarganą wymowę.

Przejawiał również duży talent organizacyjny, toteż jemu powierzano sprawy praktyczne, jak wynajmowanie sal, przygotowywanie afiszów, załatwianie formalności. Inkasował należność za bilety i pokrywał rachunki bieżące. Sława Kazia wzrastała stale.

Nie wiem, kto pierwszy wpadł na pomysł, aby Kazia uczynić poetą.

– Bez poetyckiego papierka nikt cię nie będzie szanował – powiedział uroczyście ataman.

Przy jakiejś większej wódce, w której i my, poeci starszego pokolenia, braliśmy udział, postanowiono wydać Kaziowi tomik poezji. Ponieważ jednak

delikwent kategorycznie odżegnywał się od pisaniny, zdecydowano, że tomik będzie przygotowany systemem składkowym. Każdy z obecnych napisze co najmniej jeden wiersz, który Kaziowi odda na własność. Aby było trudniej zgadnąć, każdy z ofiarodawców ma napisać utwór w stylu innego poety. I tak Czechowicz jak Łobodowski, Łobodowski jak Michalski, ten znów jak Grędziński itd. Niech później historia literatury męczy się, aby dociec dlaczego uzdolniony poeta, Kazimierz Wójcik, autor jednego, ale za to interesującego tomu poezji, pisał pod takim zbiorowym wpływem. Wiersze miał poprzedzać wstęp, w którym Wójcik powinien czytelnikom wyłożyć swe credo poetyckie i naświetlić swoje drogi dojścia do poezji. Wstęp ten miał też być pracą zbiorową. Pomysł był dobry i stałby się swoistym ewenementem, gdyby go zrealizowano.

Czechowicz przez pewien czas w knajpce czy kawiarni podchodził do stolików, przy których siedzieli ludzie pióra, i nadstawiając kapelusz prosił: – Co łaska, na biednego Kazia. Może być wierszyk, fraszka lub epigramat.

Myślę, że główną przeszkodą w realizacji tego dowcipnego pomysłu była niechęć wyzbywania się dobrych wierszy (nielojalnością byłoby dawać niekiepskich), jak też i branie udziału w kosztach wydawnictwa. A szkoda, bo pomysł był wcale, wcale niezły.

Dla Kazia grono jego przyjaciół-poetów było więcej niż rodziną, adorował ich z całego serca.

Gdy ataman i inni poeci przenieśli się do Warszawy, Kazio również porzucił niezłą posadę w księgarni i przeniósł się do stolicy. Klepał podobnie jak inni biedą, ale wiernie trzymał się paczki.

Okres warszawski i historia wspólnego pokoju nr 2 wymagałyby osobnego eseju. Na pewno byłby ciekawy, kto wie, czy nie bardziej interesujący niż znany *Wspólny pokój* Zbigniewa Uniłowskiego.

Z chwilą wybuchu wojny paczka się rozbiła. Niektórzy, jak Podstawka, zostali zmobilizowani, inni opuścili Warszawę. W nieznanych mi okolicznościach Wójcik stracił kontakt z atamanem i przyłączywszy się do Czechowicza i Domińskiego ruszył pieszo do Lublina. Po tragicznej przygodzie w Lublinie udał się na Węgry w ślad za Łobodowskim, który wcześniej, jak się okazało, przedostał się za granicę. Z kolei obaj przemknęli się do Francji i wstąpili do formującej się dywizji grenadierów. Po krótkim okresie bojowym dywizja przekroczyła granicę szwajcarską i tam była internowana.

Po ukończeniu wojny drogi atamana i jego adiutanta rozeszły się. Łobodia powędrował dalej na zachód, a Wójcik gnany nostalgią wrócił do Polski i do rodzinnego miasta. Zaczął pracować w swym dawnym fachu.

Do atamana rozczarował się i to było główną przyczyną ich rozejścia.

Powrót do Lublina był smutny. Miasto, które ongiś było terenem młodzieżowych wlotów jego i jego poetyckich przyjaciół, stało się teraz cmentarzem wspomnień. A Kazio już nie mógł żyć bez środowiska literackiego, bez atmosfery intelektualnej przygody, bez walki o nowe oblicze dnia jutrzejszego.

Nie miał do kogo przylgnąć – jego świat zdarzeń pozostał za inną granicą. To porzucone przez los cygańskie dziecko nie miało dostatecznej w sobie siły, aby żyć samodzielnie. Nie umiał stworzyć sobie nowego celu, do którego by dążył. Przyzwyczał się żyć w gromadce przyjaciół. Czerpał z nich soki żywotne i starał się być dla nich jak najbardziej użyteczny. A teraz zostały tylko wspomnienia. A te, choćby najpiękniejsze, nie posiadają wartości odżywczych. Można je tylko zużytkować jako materiał literacki. A tego znów Kazio nie potrafił.

Zaczął pić. Pił i dawniej. Pił cały wspólny pokój nr 2. Ale wtedy alkohol był tylko podniętą. A teraz miał zastą-

pić energię, której zabrakło, miał wyczarować i ożywić przeszłość i wypełnić pustkę. Powrotów jednak nie ma. Przeszłości nie można ożywić. Kazio załamał się i wkrótce umarł, nie przekroczywszy bodaj czterdziestki.

Głównym miejscem postoju watahy Łobodi była mała, niepozorna knajpka, zwana „u ojca Grudnia”. Choć był to lokal trzeciej kategorii i bardziej za piwiarnię niż restaurację mógł być uważany, miał jednak dzięki właścicielowi nieco większe ambicje. Mieścił się przy ulicy Narutowicza 15 i konkurował dzielnie z takimi kącikami gastronomicznymi w tejsze dzielnicy jak sławna „piątka” lub bar „pod trzynastoma cyckami”²

Kto wzbudził w piersi ojca Grudnia silniejsze tęsknoty do lepszego, coś znaczącego środowiska trudno ustalić. Ale pewną jest rzeczą, że myśl jego wybiegała ponad poziomy zwykłych pijaków i przylgnęła do „zukrainizowanej” paczki poetyckiej. A i ona do Grudnia również serdecznie przylgnęła, tym bardziej że dysponował magicznym amuletem, który pospolici ludzie w sposób przyziemny nazywają kredytem. I ojciec Grudzień, nieubłagany w stosunku do zwykłych kiziorów, mięł na widok poetów. Zjawisko picia wódki przez watahę w melinie ojca Grudnia miało jedną cechę odwrotnie proporcjonalną – im więcej wataha wypila, tym mniejsze okazywały się możliwości wyrównywania rachunków.

Ale ojciec Grudzień miał w sobie coś z Rostandowskiego Raquenau, więc widział widocznie w atamanowskich golcach co najmniej kadetów do Bergeraca.

Gdy mimo wszystko należności nie pokryte napęczały ponad niepokojącą miarę, z genialną inicjatywą wystąpił znany plastyk, członek watahy, Jan Samuel M.³

– Wymaluje się ściany w różne kombinacje i fidrygałki, co niezmiernie ożywi lokal, tak coś jak u Hawelki w Krakowie

² Na temat „knajpy ojca Grudnia” i innych zob. rozdz. *Knajpa ojca Grudnia* w niniejszym numerze „Scriptores” oraz w „Scriptores” nr 32, s. 167-174.

³ Chodzi o Jana Samuela Miklaszewskiego.

– powiedział. – Praca będzie kosztowna, ale w zamian ojciec Grudzień zbonifikuje narosłe rachunki, trochę dopłaci w gotówce, a trochę w produktach naturalnych, głównie płynnych.

Romantyczny knajpiarz początkowo się krzywił, ale uległ argumentacji. Inicjator doprosił jeszcze dwóch innych plastyków, którym życie rzucało kłody pod nogi i usiłowało nie dopuścić do dobrze zastawionego bufetu. Zaczęła się praca dekoracyjna. Trwała dość długo, jako że plastycy powoli dochodzili do formy. W końcu jednak obstalunek został wykonany i ściany pokryły się z lekka frywolnymi malunkami, zaopatrzonymi w poetyckie sentencje. Plastycy dali swe pomysły – poeci cenne myśli, wyrażone w dwuwierszach. Szkoda, że ten oryginalny, jak na stosunki przedwojenne, kącik uległ zagładzie. Hitlerowskie bomby zburzyły dom, w którym mieściła się restauracja, a wraz z nią i ciekawe malowidła. Dziś, odbudowany, mieści sklep Cepelii na dole, a na górze uplasował się Związek Plastyków. Coś jednak z tych malowideł Jana Samuela wyrosło.

Głównym motorem ożywiającym i zasilającym w energię całą watahą był jej ataman. Niski, krępy, silnie zbudowany, o profilu boksera, choć trochę asymetryczny, łączył w sobie cechy intelektualisty z temperamentem chuligana. Tkwiło w nim jakby dwóch ludzi – poetę podjudzał awanturnik. Zainteresowania jego były równie silne w sprawach artystycznych, jak też społecznych, politycznych i sportowych. Rzutki, energiczny, zdolny do pracy i dużych wysiłków, dysponował naprawdę kozackim zdrowiem i wytrzymałością. Po nocy przehulaney w knajpie potrafił, zamiast położyć się spać, pójść pieszo do miasteczka oddalonego o jakieś 40 kilometrów w odwiedziny do osoby zaprzyjaźnionej, aby tam znów przehulać noc. Po krótkim odpoczynku odbywał rejs powrotny i znów lądował w knajpie. A jednocześnie pisał wiersze, organizował imprezy, zajmował

się publicystyką i wydawaniem różnych periodyków.

Po ukończeniu gimnazjum im. Zamoyskiego zaczął studiować prawo na KUL-u. Z miejsca nawiązał kontakt ze Związkiem Młodzieży Demokratycznej, który postanowił wydawać własne pismo. Pierwszy numer wyszedł 1 marca 1932 roku i nosił tytuł „Trybuna”.⁴ Jako redaktor naczelny i odpowiedzialny widnieje Józef Łobodowski, a jako wydawca Zbigniew Chomicz, brat wybitnego młodego plastyka Wita, który opiekował się sprawami graficznymi pisma.

Po pierwszych numerach ataman opuszcza stanowisko kierownika pisma. „Trybuna” wychodzi w tymże roku po przerwie wakacyjnej już jako miesięcznik (poprzednio dwutygodnik) i zawęża swój zakres treściowy do spraw młodzieżowych i pośrednio związanych z życiem młodzieży. Jako redaktor z ramienia Związku występuje Władysław Wąchała, a jako osobowy wydawca – Jan Iracki.

Łobodowski w dniu 1 października 1932 wypuścił nowy miesięcznik literacko-społeczny „Barykady” i podpisał go jako wydawca i redaktor.

Pierwszy numer „Barykad” miał charakter w przeważającej części poetycki. Otwierał go piękny wiersz Czechowicza *Eros i Psyche*.

Powstałe jednak kłopoty finansowe zahamowały na krótki okres aktywność Łobodowskiego, która uzewnętrzniła się znowu w postaci nowego periodyku zatytułowanego „Dźwigary”. Ukazał się on w 1934 roku. Tym razem Łobodowski nie podpisuje go ani jako redaktor, ani wydawca. Wyręcza go w tym wymaganym wówczas akcie prawnym jego osobisty entuzjasta, „adiutant”, Kazimierz Wójcik, biorąc na swe barki odpowiedzialność i ewentualne konsekwencje. „Dźwigary” zostały nazwane „miesięcznikiem poświęconym sprawie polskiej kultury proletariackiej”. Pierwszy numer otwiera

⁴ Informacje o czasopiśmie Józefa Łobodowskiego można znaleźć na początku niniejszego numeru „Scriptores”.

reprodukcja świetnej ilustracyjnej grafiki Jana Samuela Miklaszewskiego *Joanna D'Arc*. To czasopismo też w większej części wypełnione zostało poezją. Wiersze zamieścili i Jerzy Zagórski, i Stanisław Piętaś, i Józef Czechowicz, i Jerzy Putrament, i wielu innych z właściwym redaktorem jako autorem na czele. Mocny dział publicystyczny był uzupełnieniem działu poetyckiego.

„Dźwigary” są ostatnią pozycją wydawniczą w Lublinie Łobodowskiego. Próbował on jeszcze wypłynąć na szersze wody wydawnicze za pomocą prasy codziennej i zaczął wydawać „Kurier Lubelski”. Ale takie wydawnictwo wymaga dużego doświadczenia, specjalnych zdolności organizacyjnych, systematycznej pracy no i... gotówki na przeżycie pierwszego okresu – zanim pismo się przyjmie i zacznie dawać dochody. Tu załamanie nastąpiło szybko i niefortunny wydawca i redaktor obciążony długami musiał zwinąć gazetę.

Zastanawiające jest, że mimo tych trudności finansowych Łobodowski od 1929 do 1932 roku wydał w Lublinie cztery tomiki poezji: *Słońce przez szpary* (1929), *Gwiazdny psalterz*, (1930), *O czerwonej krwi* (1931) i *W przeddzień* (1932). A potem wydawał „Barykady” i „Dźwigary”. Wszystkie te wydawnictwa drukowane są na pierwszorzędnym papierze. Leży przede mną np. *W przeddzień* (z dedykacją autora) – papier pierwszej klasy, okładka – karton kredowy najwyższego gatunku. A i inne także. Ile by to kosztowało dzisiaj – zastanawiam się i biorę pod uwagę, że koszty w dzisiejszych drukarniach państwowych są niżej kalkulowane niż przed wojną w prywatnych zakładach graficznych. A mimo to każde z tych wydawnictw kosztowałoby w dzisiejszej walucie po kilkadziesiąt tysięcy złotych. A wtedy ... w twardej walucie. Hm... Wiem, ile mnie kosztował tylko jeden „Reflektor” (nawiasem mówiąc, drukowałem na tanim papierze). A zara-

białem wówczas dobrze. Mimo to koszty bawienia się w wydawcę odczuła moja kieszeń. Łobodowski natomiast żadnej stałej posady nie miał i nie miał wydawcy, który by jego ambicje wydawnicze finansował.

A do tego dochodzą koszty wódki, dużej ilości wódki... Prawda, że przynajmniej połowę jej wypił na kredyt, ale za drugą zapłacił. Pretensje drukarni też były zaspokojone. Ktoś więc musiał mu anonimowo pomagać i to ktoś dalekowzroczny...

Dlatego też w momencie najtrudniejszym, gdy sytuacja stała się dramatyczna, a strona przeciwna wyciągnęła rączkę, wabiąc nadzieją pomocy moralnej i materialnej, dotychczasowy radykał uległ...

I może wszystko pozostałoby w sferze domysłów i przypuszczeń, gdyby nie akt niezwykłego ekshibicjonizmu.

Bo o tej metamorfozie pisze on sam jak najszybciej w *Lubelskiej Szopce Politycznej* wystawianej w teatrze lubelskim w 1937 roku i w tymże roku wydanej drukiem „nakładem Okręgu II Związku Rezerwistów” (jak uwidoczniło na okładce tytułowej), instytucji popieranej mocno przez wyższe czynniki, a i dzięki temu posiadającej specjalne fundusze. Szopka kończy się monologiem atamana Łobodi. Mówi on:

*Oj, w Lublinie, w tym Lublinie
tak powoli woda płynie
jak się wybić
by nie chybić
głowilem się tam
i orzekłem – nie ma rady
trzeba wydać „Barykady”
od konfiskat do nazwiska
szybko dojdę sam.
I zagrałem na tej strunie
i stanąłem przy komunie
w kominternie służył wiernie
kilka ładnych lat.
Parę razy mnie wsadzili
ale zaraz wypuścili*

raz ostatni w ciężkiej matni
na kolanach padł.
Do Warszawy napisałem
i poprawę obiecałem
u ministra głowa bystra
nie pojął mnie źle.
A minister jak powiedział
zaraz o tym Drymer wiedział
wydał rozkaz, znikła troska
wypuścili mnie.
Potem zaraz forszę dali
do współpracy zapraszali
i na wódkę dobrzy ludzie
prowadzili wciąż.
– Jeszcze rok a – rzekli – synu
masz na czoło liść wawrzynu –
i tą razą z burżuazją
w jednym kole krążę...
A poetka Iłta – Ałta
swe poparcie obiecała
co mówiła to zrobiła
bardzo byłem rad.
Przyjmowali mnie w pałacach
i mówili jesteś caca.
Pisz tak dalej a pochwal
ciebie cały świat.
Na tym koniu dalej jadę
nieźle sobie dając radę
piszę wierszyk przyjdzie pierwszy
i już forszę mam.
Tylko ten „Lubelski Kurier”
kiedy wspomnę wpadam w furję
roczek drugi płacę dług
Straszny z tego kram.

Trudno o bardziej szczerą wypowiedź. Podkreślić warto i ten szczegół, że podczas przedstawień szopki autor sam recytował swe wyznanie.

Szopka wywołała dość duże wrażenie i poruszenie w Lublinie. W redagowanym przez siebie „Expressie Lubelskim” w dniu 8 grudnia 1937 roku umieściłem recenzję. Omawiając owe końcowe wyznania, określiłem je następująco: Pomysł finału jako pewnego rodzaju autorecitalu poetyckiego był oryginalny. Było to chwilami wyznanie poety, a chwilami *Spowiedź chuligana*, wyładowana w formę ekspresji literackiej.

Recenzja wywołała silne echo. Była ostra, ale i rzeczowa. Łobodowski zapowiedział napisanie odpowiedzi polemicznej, ale ostatecznie obietnicy nie dotrzymał. Być może doszedł do wniosku, że recenzję po jego wyznaniach należy uważać za kropkę nad „i”.

Działalności wydawniczo-literackiej i polityczno-społecznej towarzyszyły pijackie wyskoki. Gdy atamanowi znudziła się melina u ojca Grudnia i gdy miał przyływ gotówki, wówczas, prowadził swoją wierną drużynę do lepszego lokalu, np. „Europy”. Po pewnej ilości alkoholu wpadał w wojowniczy nastrój i wyładowywał swój temperament, wywołując bójki i awantury. Hasłem były różne przysłówki. Na przykład:

*I mój tato i twój tato oba były kozaki
poszły w karczmę urznułyśa zarewieły
kak byki...*

I po takiej zwrotce zaczynał ryczeć jak prawdziwy byk, a następnie pochyliwszy głowę rzucał się naprzód i aplikował „byka” z góry upatrzonemu osobnikowi. Wybierał albo tłustych i brzuchatych, albo wysokich i szczupłych. W tym drugim wypadku uderzał w najboleśniej-sze miejsce, tak że ofiara składała się jak szczyryk. Czasami takiemu długoszowi udało się uskoczyć i sierpowym oddolnym przejechać po fizjonomii atakującego. Trzeba przyznać, że te awantury wyczyniał ataman jednoosobowo, a wataha zachowywała się raczej biernie. Wkrótce Łobodia stał się postrachem knajp lubelskich, tak że lepsze lokale mobilizowały na wszelki wypadek silnych wykidajłów, którzy przy pierwszych próbach ataków wyrzucali za drzwi awanturników.

Drugim trickiem knajpianym atamana było zapraszanie frajerów na kolację, a potem w dogodnym momencie ułatnianie się i pozostawianie naiwnych jako zastaw za nie zapłacony rachunek.

Józef Łobodowski – lubelski skandalista

Ta mieszanina życia ideowego i knajpiano-chuligańskiego dawała ujście dwom naturom Łobodowskiego. Często do jego nocnych awantur wkradał się jakby ton manifestacji społecznej, a często odwrotnie, w jego polemicznych wystąpieniach uwidaczniała się skłonność uderzenia poniżej pasa.

Razem wystąpienia obu rodzajów zyskały mu rozgłos w mieście, a nawet uczyniły popularnym. Dopiero zmiana pozycji społecznych i publiczna spowiedź w *Lubelskiej Szopce Politycznej* niewątpliwie odarły go z nimbu buntownika i romantycznego zabijaki.

Silnym wstrząsem było to i dla jego towarzyszy, którym pomieszał szyki. Nigdy wataha nie stanowiła ani ideowej, ani artystycznej spójni, była zbliżeniem przypadkowym ludzi pokrewnych tem-

peramentem i cygańskimi zainteresowaniami, a jednocześnie niewątpliwie utalentowanych.

Wspólne picie wódki różne miało skutki. Najbardziej zaszkodziło Podstawce i świetnie zapowiadającemu się poecie Bronisławowi Ludwikowi Michalskiemu. Pierwszego życiowo wykołowało, a u drugiego stało się przyczyną tragicznej śmierci w Wiśle.

Dla Domińskiego alkohol był motorem w trudnych chwilach podziemnej walki podczas okupacji.

Wykończył on niewątpliwie wiernego adiutanta, Kazia Wójcika.

Tylko po atamaniu wszystko spływało jak po psie. Z watahy pozostało tylko wspomnienie. Mogiły oddzieliły terazniejszość od przeszłości.



Józef Łobodowski w okresie lubelskim. Zdjęcie ze zbiorów Biblioteki im. Hieronima Łopacińskiego.

Alojzy Leszek Gzella

Pod znakiem Łobody. Z dziejów prasy lubelskiej

Obraz życia kulturalnego Lublina okresu dwudziestolecia międzywojennego, a zwłaszcza lat trzydziestych, bez ujawnienia i naświetlenia postaci oraz działalności Józefa Łobodowskiego, jest niepełny, jakiś bardzo ułomny, jakby zawieszony w próżni. Bez tego nazwiska trudno znaleźć wyjaśnienie dla wielu inspiracji kulturalnych, a opisywane zdarzenia i postacie często w rzeczywistości odgrywały drugorzędą rolę i były raczej rezonerami, a nie prowodyrami. Łobodowski prowokował. Inicjował różne pomysły i odważnie je wprowadzał w życie. Bulwersował swoimi czynami mieszczański światek nadbystrzyckiego grodu. Był światoburczy. Nie wahał się atakować Kościoła, marszałka Piłsudskiego oraz rządów jego sierżantów – jak obraźliwie pisał pod adresem przedstawicieli władzy. Agitował na rzecz budzenia sympatii do komunistycznego sąsiada ze Wschodu.

Były to już wystarczające powody, aby przeciwko Łobodowskiemu mogły wystąpić wszystkie sprzymierzone siły polityczne, jakie w Lublinie było można tylko ujawnić. Jedynie Żydzi go szanowali i odnosili się do niego z sympatią, choć wysuwali wobec niego wiele zastrzeżeń, bo nie pozwalał się wodzić bezmyślnie i własne drogi przedkładał nad wszystkie inne proponowane utarte ścieżki. Więc nakładano areszty i konfiskowano jego książki, pisma, które redagował, ocenzurowywano jego artykuły. Relegowano go z uniwersytetu.

A mimo wszystko Józef Łobodowski działał. Był współzałożycielem Związków Literatów Polskich w Lublinie i wchodził do pierwszego zarządu tego gremium, wydawał dzienniki i pisma literackie, współtworzył Lubelski Syndy-

kat Dziennikarzy, uczestniczył w życiu literackim miasta, działał w towarzystwie oświatowym w proletariackich dzielnicach Lublina. Sam był szlacheckiego rodu.

W latach 1932-1937 Łobodowski wydawał i redagował m.in. dwukrotnie KURIER LUBELSKI, TRYBUNĘ, dwie BARYKADY, DŹWIGARY. W czasach gimnazjalnych pisywał w piśmie młodzieży gimnazjum im. Jana Zamoyskiego pt. W SŁOŃCE. W okresie od 1929 do 1937 roku wydał siedem tomików wierszy w Lublinie (jeden tylko w Warszawie). Zbiór wierszy zatytułowany O CZERWONEJ KRWI wydany w 1931 roku został przez cenzurę skonfiskowany. Za zbiory wierszy DEMONOM NOCY (1936) i ROZMOWA Z OJCZYZNĄ (1935, 1936) otrzymał Nagrodę Młodych Polskiej Akademii Literatury.

W aktach Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego Urzędu Wojewódzkiego Lubelskiego z 1932 roku kierowanych systemem wywiadu poufnego do Departamentu II Politycznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wymieniono właściwie tylko trzykrotnie nazwisko Łobodowskiego. Raz przy okazji objęcia przez niego stanowiska red. naczelnego i odpowiedzialnego KURIERA LUBELSKIEGO z 14 października 1932 roku, później przy ustąpieniu z tej funkcji 20 listopada tego roku oraz w związku z drugim zebraniem organizacyjnym poświęconym powołaniu do życia w Lublinie Syndykatu Dziennikarzy. Zwiadowca zauważył, że wśród 18 osób, które zgromadziły się 30 grudnia 1932 na tym spotkaniu, był również Józef Łobodowski. Ponadto mówi się wielokrotnie o Łobodowskim w sposób pośredni. Między innymi

„Kurier Lubelski”,
13 maja 1981, s. 4.

w meldunku o konfiskatach czasopism, kiedy to zatrzymano KURIER LUBELSKI z powodu druku artykułu Łobodowskiego pt. *Dnieprostraj symbolem* (24 października 1932).

Wydawca KURIERA LUBELSKIEGO Władysław Wójcik nie był zadowolony z kierunku pisma nadanego przez Łobodowskiego z powodu strat finansowych poniesionych przez zarządzenie odbierające debit pismu wśród wojskowych (!) i o pozbawieniu prawa do ogłoszeń rządowych. Radca wojewódzki p. Runge w tajnym piśmie z 22 października 1932 podpisanym za wojewodę, a skierowanym do wszystkich starostów powiatowych woj. lubelskiego i do Starosty Grodzkiego w Lublinie, polecał: Wychodzący od stycznia br. w Lublinie KURIER LUBELSKI o kierunku politycznym prorządowym, wskutek zmian na stanowiskach redaktora naczelnego i pracowników redakcji, które miały miejsce w ostatnich dniach, stał się pismem szerzącym ideologię komunistyczną o wyraźnym nastawieniu politycznym robienia dywersji w obozie prorządowym i efektu zewnętrznego dla stwierdzenia, że w Polsce idee komunistyczne przyjmują się nawet w obozie trzymającym ster rządów.

Wobec tego, że od czasu do czasu wydziały powiatowe i podległe instytucje samorządowe umieszczają dotychczas swoje ogłoszenia w KURIERZE LUBELSKIM, proszę Pana Starostę o spowodowanie, aby na przyszłość takie ogłoszenia w wymienionym czasopiśmie nie ukazywały się. Jednocześnie proszę wydać polecenie [zakazu?] abonowania KURIERA LUBELSKIEGO przez urzędy i instytucje zarówno państwowe jak i samorządowe w powierzonym Panu Staroście powiecie.

W dwa tygodnie później (4 listopada 1932) wojewoda lubelski B. J. Świdziński w tajnym piśmie do prezesa Sądu Okręgowego w Lublinie prosił, aby wszelkie ogłoszenia rejestrów i wyroków sądowych, a także ogłoszenia sądowe i komornicze były publikowane w KURIERZE PORANNYM LUBELSKIM lub w mutacji KURIERA PORANNEGO

w Warszawie. To spowodowało upadek pisma, mimo że już od miesiąca Łobodowski nim nie kierował.

KURIER LUBELSKI był dla Łobodowskiego pewnego rodzaju odskocznią. Współpracował z nim już wcześniej, od pierwszego numeru, jaki pod redakcją Józefa Czechowicza ukazał się 1 stycznia 1932. Zamieszczał podpisywane pseudonimem „Paragraf” drobne felietoniki odnoszące się do spraw dnia powszechnego. Były one pisane językiem zgryźliwym, pełne dowcipu i celności obserwacji oraz wniosków. Znamienny ich tytuł – *ZGRZYTY LUBELSKIE*. Wokół tychże *ZGRZYTÓW* rozgorzała nawet dyskusja na łamach prasy. Posądzany o autorstwo Józef Czechowicz oświadczył, że nie był ich autorem. Natomiast przyznał się do pisania *ZGRZYTÓW* Łobodowski (KURIER LUBELSKI, 27 1932).

W numerze KURIERA z 14 października ukazał się felieton pt. *Amnestia*, w którym autor pisał: My, z łaski śmiechu, Paragraf 1, z racji szczęśliwego powrotu na tron KURIERA, ogłaszamy amnestię dla wszystkich przestępców, którzy w czasach ostatnich zgryzeszyli przeciw zdrowym zmysłom, przywoitości i dobremu smakowi.

Ten *ZGRZYT LUBELSKI* staje się jasny w zestawieniu z fragmentem z *DZIEJÓW JÓZEFA ZAKRZEWSKIEGO* stanowiącego I tom trylogii pt. *CZERWONA WIOSNA* wydanego w Londynie. Łobodowski opisuje w tej książce, będącej swego rodzaju wspomnieniami z czasów lubelskich, m.in. historię powstania Łoży Wielkiego Uśmiechu. Wspomina, że początkowo było tylko 3 członków, a wielkim mistrzem został poeta Henryk Gulewicz (oczywiście Czechowicz), którego rozgłos literacki zaczynał wychodzić poza lubelskie rogatki; godność Brata Mistycznego powierzono Ludwikowi Zarańskiemu – pocie nieśmiałemu, wiecznie zamyślonemu, a Czerwonym Katem Łoży został Brat Starszy – Józef.

Sprawdzano listę członków ułożoną wierszem. Wielki Mistrz mówił grobowym głosem:

– Poezja krzepi..., na co wszyscy odpowiadali gromkim chórem: – Henio Gulewicz! Następnie: – Gęba Złowieszcza... – Józio Zakrzewszczak – Bogdanki szuka... – Władzio Łazuka! – Cherubin Pański... – Ludwiś Zarański!

Zresztą zarówno I tom CZERWONEJ WIOSNY, jak i następne – drugi pt. TERMINATORZY REWOLUCJI oraz trzeci pt. NOŻYCE DALILII – są kopalnią materiałów wspomnieniowych do działalności Józefa Łobodowskiego w Lublinie.

Łobodowski prowokował i narażał się. Zanim objął KURIER LUBELSKI redagował i był redaktorem odpowiedzialnym za pisma młodej demokracji TRYBUNY. Kierował nim tylko do numeru 4 z 1932 roku. W tym właśnie numerze w artykule pt. *Niech żyje antysemityzm* rozprawiał się z nienawiścią społeczeństwa mieszczańskiego do Żydów. Numer 6 tego pisma z 1 czerwca 1932 został skonfiskowanym przez arest z powodu wiersza Łobodowskiego pt. *Słowo o prokuratorze*.

W egzemplarzu prokuratorskim podkreślono kilka wersetów o szczególnych cechach przestępstwa. Oto one:

*panie prokuratorze –
protestuję, –
nie stercz jak szubienica
w trybunalskich progów –
przestań pan syczeć jak żmija
[...]
żądaj chleba
dla głodnych
od alamamu do czyty
dla wszystkich gnijących w osiach –
prokuratorze!
tyś syty!
[...]
wyjdę dziś na ulicę
i będę wołał na całe miasto
rozwalcie szubienicę...*

Miesięcznik literacko-społeczny BARYKADY ukazał się z datą 1 października 1932. Cenzurujący ten numer w starostwie i prokurator przełknęli jakoś wiersz Łobodowskiego pt. *Piłsudski*, który kończył się wymownie:

*za Belwederu oknami
wicher nie uciął
spadek duchów umarłych
siwą głową obarcza
towarzyszu Piłsudski
w przeddzień polskiej rewolucji
krwią wasze imię
wypisujemy na tarczach.*

Darowali też bezkompromisowe propozycje po adresem filmu w artykule pt. *nogi Marleny Dietrich*. Ale drugiego numeru tego pisma już nie przełknęli. Został skonfiskowany.

W kilka miesięcy później Łobodowski przystąpił do wydawania nowej BARYKADY jako dwutygodniowego dodatku do miesięcznika BARYKADY. Podtytuł jest zmyłkowy, bo miesięcznik już dawno przestał wychodzić. Pierwszy numer tego osobliwego dodatku trafił od razu na cenzorski stół Starostwa Grodzkiego w Lublinie, które nałożyło arest na czasopismo i przesłało uzasadnienie tego kroku do Sądu Okręgowego. Trzyosobowy skład sędziowski: E. Wikiera (przewodniczący), W. Zakrzewski i H. Jesionowski zatwierdzili decyzję o areście pisma i postanowili je zawiesić. A zarzutów było sporo, bo kwestionowano niemal wszystkie artykuły Łobodowskiego zamieszczone na 4-kolumnowym czasopiśmie. Przestępstw dopatrzone się w artykułach: *Wykładamy nóżki na stół*, *Eksplodzja rzeczywistości*, *Rachunek sumienia* oraz wiersz *Raz ostatni*. Uzasadniali tę decyzję sędziowie:

[...] zawierają cechy przestępstwa w art. 127, 153, 155 i 170 KK., albowiem pochwalają zbrodnie, rozpowszechniają fałszywe wiadomości o bandach dywersyjnych na kresach, znieważają

godło państwowe i władzę, nawiązują żołnierzy do buntu. Nadto, nie kryjąc się z nienawiścią do Polski, czasopismo wyraźnie agituje na rzecz Komunistycznej Partii, co w dostatecznym stopniu uzasadnia zawieszenie [...].

Ten jedyny numer BARYKAD upstrzony jest na każdej stronicie czerwonymi podkreśleniami urzędników Starostwa Grodzkiego, prokuratury i Sądu Okręgowego. A głównymi autorami tych artykułów są poza Łobodowskim Stefan Strachocki, Marian Plizga i Adam Broniewicz. Ci sami, którzy w KURIERZE LUBELSKIM z 20 października 1932 zamieścili artykuł-ostrzeżenie pt. *Jak poznać szpicla i prowokatora*. Poza nimi jeszcze są dwa nazwiska podpisane pod tym ostrzeżeniem – Kazimierz Wójcik (drukarz, wydawca) i Szymon Marienholz.

Józef Łobodowski jeszcze raz podjął próbę wydawania pisma w Lublinie. W 1937 roku wznowił KURIER LUBELSKI, zachowując ciągłość roczników (XI), a więc uznając kontynuację tradycji KURIERA z 1906 i 1932 roku. Ale i ta próba krótko trwała.

Tę burzliwą, niesłychanie barwną, niezwykłą postacią Łobodę – jak go nazywano w lubelskim światku literacko-dziennikarskim lat trzydziestych – opisują w swoich wspomnieniach Konrad Bielski, Wacław Gralewski, Kazimierz Andrzej Jaworski i inni. Jednak na łamy masowych środków przekazu Józef Łobodowski, który żyje na emigracji, mógł wrócić dopiero teraz, kiedy podjęto próbę skutecznej likwidacji cenzury podmiotowej w Polsce.

Notka z „Trybuny” nr 5,
5 maja 1932. Pismo w zbiorach WBP im. H. Łopacińskiego.

Notka z „Trybuny” nr 1,
1 marca 1932. Pismo
w zbiorach WBP im. H. Łopacińskiego.

Powleć przed sądem. W dniu 25 kwietnia r. b. stawiał przed sądem grodzkim w Lublinie p. F. Petruczyński, autor powieści p. t. „Łot bez skrzydeł”, w której atakował nieprawości społeczne, stosunki ludzkie wynikające z formuły *homo homini lupus est*, nie oszczędził nawet, bosa lida, sądów Rzeczypospolitej i ten ostatni szczerze go wprowadził go w bliższą styczność z sądami.

Sąd skazał p. F. Petruczyńskiego na 2 tyg. więzienia z zawieszeniem kary.

Konfiskują

Cenzura warszawska skonfiskowała tom poezji Edwarda Szymańskiego p. t. „20 milionów”.

Na kilka dni przedtem taki sam los spotkał książkę Józefa Łobodowskiego „O czerwonej krwi”.

Sprawa „poety skonfiskowanego” na łamach „Expressu Lubelskiego”

Za działalność wywrotową

Aresztowanie redaktora „barykad”

Jak donosi PAT w dniu wczorajszym został zatrzymany i przekazany do dyspozycji władz sądowo śledczych popularny w Lublinie młody literat p. Józef Łobodowski.

Wydał on kilka tomów poezji, z których większość została skonfiskowana. Ostatnio redagował on i wydawał w Lublinie pismo noszące tytuł „barykady”. Drugi numer tego pisma został skonfiskowany.

W tych dniach Łobodowski wydał „dodatek dwutygodniowy do barykad” zawierający szereg artykułów o treści politycznej i społecznej.

Dodatek ten uległ także konfiskacie i spowodował wydanie nakazu zatrzymania p. Łobodowskiego.

Dowiedziawszy się o tem zgłosił się on do policji dobrowolnie. Po przesłuchaniu wstępnie został jak to powyżej zaznaczyliśmy przekazany władzom sądowym.

„Express Lubelski”,
nr 18, 18 stycznia 1933,
s. 4. Noty niepodpisane.
Pisownia zgodna z oryginałem.

Redaktor „barykad” odzyskał wolność

Jak to już donosiliśmy, został w Lublinie aresztowany popularny młody poeta, redaktor „barykad”, p. Józef Łobodowski. Przetrzymany on został przez policję parę dni. W dniu wczorajszym sędzia śledczy p. Włodarczyk po zapoznaniu się z całokształtem sprawy

wydał decyzję nakazującą zwolnienie p. Łobodowskiego. Zaznaczyć należy że w najbliższym czasie w Lubelskim Sądzie Okręgowym rozpatrywana będzie pierwsza z kilku spraw wytoczonych p. Łobodowskiemu za wydawnictwa poetyckie, które zostały skonfiskowane.

„Express Lubelski”,
nr 20, 20 stycznia 1933,
s. 4.

Za obrazę uczuć religijnych

Proces młodego poety lublinianina

W dniu 31 b.m. to jest we wtorek w Sądzie Okręgowym odbędzie się proces młodego poety lubelskiego p. J. Łobo-

dowskiego, oskarżonego o obrazę uczuć religijnych w swoich utworach. Zapowiedź tego procesu wywołała w naszym mieście dość duże zainteresowanie.

„Express Lubelski”, nr 28,
28 stycznia 1933, s. 4.

Trzy procesy literackie na wokandach sądów lubelskich

„Express Lubelski”, nr 31,
31 stycznia 1933, s. 4.

W dniu dzisiejszym Wydział Karny lubelskiego Sądu Okręgowego rozpatrywać będzie dwie sprawy literackie. W pierwszej sprawie jako oskarżony występuje młody poeta p. Józef Łobodowski, którego pierwszy wydany tom poezji p.t. *O czerwonej krwi* uległ konfiskacie.

W drugim procesie występują jako oskarżeni pp. Łobodowski i Falandysz. Sprawa przedstawia się następująco. W wydawanej przez p. Falandysza „Trybunie”, będącej organem Związku Młodzieży Demokratycznej ukazał się wiersz p. Łobodowskiego p.t. *Słowo o prokuratorze*. Wiersz uległ konfiskacie i stał się przyczyną procesu. Wreszcie w dniu

7 lutego br. w wydziale odwoławczym lubelskiego sądu okręgowego rozpatrywana będzie sprawa p. Feliksa Petruczyka. Napisał on i wydał w swoim czasie książkę pt. *Lot bez skrzydeł*. W związku z nią odbyła się rozprawa w lubelskim sądzie grodzkim w wyniku której zapadł wyrok skazujący. Mimo że kara została na zasadzie amnestji darowana p. Petruczyk prosił o merytoryczne rozpatrzenie jej w II instancji. W procesie tym wystąpią jako świadkowie p. mecenasowa Jadwiga Głuchowska, p. inż. Z. Chmielowski, b. wiceminister Rolnictwa, p. sędzia dr. Borger i profesor Uniwersytetu p. Jakubanis.

Sensacyjne procesy literackie zakończyły się skazaniem poety

„Express Lubelski”, nr 32,
1 lutego 1933, s. 4.

W dniu wczorajszym, tak jak już o tym pisaliśmy, odbyły się w lubelskim Sądzie Okręgowym dwa procesy młodego lubelskiego poety, p. Józefa Łobodowskiego, oskarżonego o nieposzanowanie uczuć religijnych i obrażę władz.

Tło pierwszej sprawy jest następujące.

W początkach roku ubiegłego p. Łobodowski wydał tom poezji p.t. *O czerwonej krwi* w którym władze dopatrzyły się nieposzanowania uczuć religijnych i książkę skonfiskowały. Proces na wniosek oskarżyciela publicznego odbył się przy drzwiach zamkniętych. W rezultacie jego sąd wydał wyrok skazujący p. Łobodowskiego na dwa

lata więzienia z zawieszeniem kary na trzy lata.

Przyczyną drugiego procesu był wiersz p.t. *Słowo o prokuratorze* umieszczony na łamach „Trybuny”. Organu Związku Młodzieży Demokratycznej.

W wyniku tej drugiej rozprawy Sąd skazał p. Łobodowskiego na sześć miesięcy aresztu i karę darował mu na zasadzie amnestji. Drugi oskarżony w tej sprawie, p. Falandysz, redaktor odpowiedzialny „Trybuny” został uniewinniony. Oba te surowe wyroki w procesach literackich wywołały liczne komentarze. Obrona zapowiedziała apelację.

Redaktor Barykad skazany na 2 i pół lat aresztu

„Express Lubelski”,
nr 240, 30 sierpnia
1933, s. 4.

Wczoraj na wokandzie Sądu Okręgowego w Lublinie znalazła się bardzo ciekawa sprawa karna, literacka. Jako oskarżony

występował w niej znany na terenie Lublina literat, p. Józef Łobodowski, b. redaktor pisma literackiego „Barykady”.

Rozprawie przewodniczył p. sędzia Jackiewicz przy udziale pp. sędziów Michalczyka i Czerniaka. Oskarżał p. podprokurator Prokopowicz.

W wyniku rozprawy Sąd po przeszło godzinnej naradzie wyniósł wyrok na

mocy którego Łobodowski skazany został za obrazę urzędu starościńskiego i nawoływania do buntu na 2 i pół roku aresztu. Kilka zaś innych poważnych zarzutów w stosunku do Łobodowskiego Sąd odrzucił. Bronił oskarżonego p. mec. Bielski.

Sprawa Łobodowskiego

Sąd Apelacyjny zawiesił wykonanie wyroku.

Na wokandzie lubelskiego Sądu Apelacyjnego w dniu onegdajszym znalazła się niezmiernie ciekawa sprawa młodego literata Józefa Łobodowskiego, oskarżonego o przestępstwo w druku. W pierwszej instancji w wyniku rozpatrzonej sprawy Łobodowski został skazany na dwa lata i sześć miesięcy aresztu.

Od wyroku tego skazany apelował. Sąd Apelacyjny do dokładnem zapoznaniu się z całokształtem sprawy złagodził znacznie wyrok sądu okręgowego bowiem wyniósł wyrok skazujący Łobodowskiego na dwa lata aresztu i zwiesił jednocześnie wykonanie kary. Przewodniczył rozprawie p. sędzia Kowalski, oskarżał p. prok. Mandecki a bronił p. mec. Konrad Bielski.

„Express Lubelski”,
nr 316, 15 listopada
1933, s. 4.

Notka z „Trybuny” nr 1,
1 marca 1932. Pismo
w zbiorach WBP im. H. Łopacińskiego.

Notka z „Trybuny” nr 7,
15 października 1932. Pis-
mo w zbiorach WBP im.
H. Łopacińskiego.

„Ecce homo” pod „łożycami cenzora

Cenzura zabroniła grać na scenie misterjum Ewy Spielburg-Zarębiny p. t. „Ecce homo”. Pierwotnie zakaz ten dotyczył całości, następnie wskutek interwencji Związku Zawodowego Literatów ograniczono go do paru fragmentów. Rzeczy groźnych mianowicie dopatrzono się w obrazie pierwszym wprowadzającym na scenę inwalidów wojennych. A zatem obawa przed osłabianiem ducha miliarnego w społeczeństwie, ta sama obawa, która stosunkowo jeszcze niedawno w straszliwy sposób zmasakrowała film „Na zachodzie bez zmię”,

Ciekawe, że wszystko to dzieje się w tym samym czasie, kiedy min. Zaleski zabiega przed Ligą narodów o moralne orbrojenie świata. Trudno o jaskrawszy paradoks.

J. I.

Konfiskaty. W myśl mądrej zasady, że jak się nie wie kiedy, gdzie i za co, to na wszelki wypadek lepiej skonfiskować,—lubelski cenzor wybiła kolumny „Nowej Ziemi Lubelskiej”. Nawet ulotka Z. P. M. D. rozpowszechniana legalnie w innych miastach i drukowana w innych piśmiach nie oparła się pokusie cenzorskiego apetytu. Caveant censeor!

Awantury Łobodowskiego odnotowane w „Głosie Lubelskim”

Strzały na dancingu akademickim

„Głos Lubelski”, nr 315,
17 listopada 1936, s. 5.
Wszystkie noty nie-
podpisane. Pisownia
oryginalna.

Oficer zastrzelił kelnera

W sobotę odbywał się w sali Kasyna Garnizonowego dancing akademicki na rzecz Bratniej Pomocy. Dancing cieszył się ogromnym powodzeniem i trwał do rana. W niedzielę rano, już po wyjściu publiczności, na sali pozostał ppor. Feliks Bajlot z lotnictwa morskiego sam pochodzący z Piask luterskich. Młody oficer był w stanie zupełnie pijanym. W pewnej chwili wyjął rewolwer i zaczął strzelać do kelnerów. Jedna z kul ugodziła śmiertelnie w okolicy serca czterdziestoletniego

kelnera Władysława Olszaka, który padł trupem na miejscu. Władysław Olszak był byłym legionistą pierwszej brygady, odznaczonym krzyżem niepodległości i krzyżem zasługi.

Warto nadmienić, że na dancingu miał miejsce jeszcze jeden incydent. „Poeta” lubelski, Józef Łobodowski, znany z tego, że tom jego komunizujących poezji uległ w swoim czasie konfiskacie. Znieважаł słownie Armię Polską, po czym został z dancingu wyprowadzony przez policjanta.

Sprawa p. Łobodowskiego

„Głos Lubelski”, nr 322,
24 listopada 1936, s. 5.

W krótkim doniesieniu o tragicznej śmierci ś.p. Olszaka zastrzelonego na dancingu akademickim, podaliśmy również wzmiankę o zachowaniu się na dancingu p. Łobodowskiego, autora skonfiskowanego za tendencje komunistyczne tomu poezji. Napisaaliśmy, że p. Łobodowski znieважаł armię i został przez policję wyprowadzony z sali. Takie relacje otrzymaliśmy od osób wiarygodnych, ponieważ jednak p. Łobodowski przeczy i w liście do redakcji twierdzi, że armii nie znieважаł, sprawdziliśmy nasze informacje. Przebieg zajść z p. Łobodowskim okazał się następujący:

W trakcie dancingu, p. Łobodowski będąc pod dobrą datą, zaczął na cały głos wyśpiewywać, a gdy z racji takiego zachowania od jednego ze stolików

padła krytyczna uwaga – rzucił w kierunku tego stolika krzesłem. Przy stoliku tym siedział pewien major, który usiłował poetę umitygować, a posłyszał stek ordynarnych wymyślań. Wreszcie z jakimś sierżantem p. Łobodowski wyszedł na podwórze, wezwano policjanta. Policjant rzeczywiście nie ingerował. Co do zniewagi armii, a nie majora X – donoszono nam z paru stron o pewnym epitecie o epoletach, który – gdyby był został rzucony, nosiłby niewątpliwie charakter zniewagi armii jako takiej. Zbadaliśmy tę sprawę i stwierdziliśmy że osoby które nam o tem mówiły – słyszały tę wersję z trzecich ust i nie były bezpośrednimi świadkami rzucenia tego epitetu przez p. Łobodowskiego. Wobec tego przyjąć należy, że p. Łobodowski Armii jako ca-

łości nie znieważył, a jedynie zachował się w sposób całkowicie nieprzyzwoity i pozwolił sobie na używanie w stosunku do mjr. X słów których przyzwoity człowiek nie używa głośno w miejscu pub-

licznym, nawet gdy jest tak pijany, jak nim był p. Łobodowski. Nie wracalibyśmy do tej sprawy, gdyby nie list otrzymany od p. Łobodowskiego i jego forma. Obecnie uważamy za rzecz wyczerpaną.

Chodzi o to, żeby pan mniej pił mówi sędzia do Łobodowskiego

W dniu wczorajszym odbyła się w Sądzie Grodzkim rozprawa przeciwko poecie i redaktorowi efemerycznych dzienników p. Józefowi Łobodowskiemu. Geneza tej rozprawy sięga dancingu akademickiego który odbył się 15 listopada ubiegłego roku. Dancing ten zaszczylił swoją obecnością p. Łobodowski, i tak sobie upodobał zaciszny kącik przy bufecie, że po pewnym czasie upił się kompletnie. Po pijanemu – wszczął awanturę, w wyniku której spisano protokół i skierowano sprawę do Sądu Grodzkiego.

Akt oskarżenia zarzuca mu: a) że publicznie znieważył w czasie zabawy tańecznej wojsko oraz pełniącego służbę st. sierżanta Rossjana, mówiąc „szlify biją w mordę”, b) że w tym samym czasie, miejscu i okolicznościach groził p. płk. dypl. (w tym czasie majorowi) Michałowi Talikowskiemu pobiciem.

Rozprawa dzisiejsza rozpoczęła się od sprawdzenia obecności świadków,

z pośród których zjawili się tylko pp. J. Jakimiński stud. K.U.L. i st. sierżant Rossjan.

Następnie obrońca p. Łobodowskiego postawił wniosek o powołanie dodatkowych świadków. W czasie motywowania wniosku przez obrońcę miał miejsce bardzo ciekawy incydent. W pewnym momencie, kiedy motywował swój wniosek obrońca p. Łobodowskiego, ten przerwał mu i sam zaczął coś mówić do sędziego. Sędzia przerwał wywody p. Łobodowskiego kierując do niego następujące słowa: „chodzi o to żeby pan mniej pił i mniej awanturował się”, poczem sprawę odroczył, celem przesłuchania dodatkowych świadków, o co prosił w swoim wniosku obrońca p. Łobodowskiego. Sprawę prowadzi p. sędzia Bahu, oskarża viceprok. Schulrastele, protokołuje p. Modzelewski. Termin nowej rozprawy nie został ogłoszony.

„Głos Lubelski”, nr 317,
19 listopada 1937, s. 5.

Sąd Okręgowy skazał Łobodowskiego za zerwanie godła państwowego

W środę toczyła się przed wydziałem odwoławczym Sądu Okręgowego sprawa przeciwko p. Józefowi Łobodowskiemu, oskarżonemu o zerwanie godła państwowego z przed Urzędu Śledczego mieszczącego się przy ul. Narutowicza.

Akt oskarżenia zarzuca p. Łobodowskiemu, że po wyjściu z restauracji

„Europa” w stanie mocno nietrzeźwym udał się wraz z paroma kolegami na ulicę Szopena i tam zerwał kilkanaście szyldów, m.in. szyld doktora Dłużniewskiego, Fijałkowskiego, Oborskiej i in. Następnie całe towarzystwo przeszło na ulicę Narutowicza i tam Łobodowski zerwał szyld szkoły muzycznej oraz tab-

„Głos Lubelski”, nr 344,
16 grudnia 1937, s. 6.

licę z godłem państwowym. Sąd grodzki skazał p. Łobodowskiego na 2 miesiące aresztu. Na wczorajszą rozprawę powołała obrona jeszcze dwóch świadków, a mianowicie pp. Wójcika i Władysława Podstawkę.

P. Wójcik niewiele miał w tej sprawie do powiedzenia. Tłumaczył się, że był tak pijany, że właściwie nic prawie nie pamięta. W świadomości jego utkwiła jedynie scena zrywania przez p. Łobodowskiego szyldów na ul. Szopena i wybicia szyby w bramie domu przy ul. Narutowicza 25. Nie wiele więcej konkretnych wiadomości, co do zarzucanego p. Łobodowskiemu czynu, ale za to dużo humoru wnoszą zeznania p. Władysława Podstawki. Z zeznań tego świadka wynika, że wraz z Łobodowskim i Wójcikiem zabawiał się do godz. 3-ej rano w „Europie”. Gdy opuścili lokal, spotkali koło hotelu „Victoria” jakiegoś pijanego osobnika, który groził im nożem. Na pytanie sędziego Zajączkowskiego, czy doszło wówczas

do jakiejś awantury p. Podstawka odpowiedział:

„Nie. On nas rozpędził. Wójcik i Łobodowski uciekli wtedy na ul. Kapucyńską, a ja na Krakowskie Przedmieście w kierunku Rutkowskiego. Odbylem poranny spacer i poszedłem do swojego mieszkania przy ul. Narutowicza. Gdy dzwoniłem na dozorcę zobaczyłem z daleka Łobodowskiego w towarzystwie kilku osobników”. Po zamknięciu przewodu sądowego zabrał głos prok. Binienda i udawadniając winę p. Łobodowskiego na podstawie zeznań świadków przesłuchanych poprzednio przez Sąd grodzki prosił o zatwierdzenie wyroku sądu pierwszej instancji. Obrona starała się wykazać niewinność p. Łobodowskiego, w końcu powołując się na jego poetycką psychikę i nietrzeźwy stan, w rezultacie prosi o uniewinnienie. O godzinie 17-tej Sąd ogłosił wyrok skazujący Łobodowskiego za zerwanie godła państwowego na 2 miesiące aresztu z zawieszeniem wykonania kary.

„Młody literat” p. Łobodowski

„Głos Lubelski”, nr 78,
20 marca 1938, s. 8.

Wczoraj przed Sądem w Lublinie stanął p. Józef Łobodowski, znany już z poprzednich procesów, w których występował jako oskarżony za przeróżne wykroczenia natury politycznej. Wczoraj Łobodowski odpowiadał za obrazę armii polskiej.

Tło sprawy było następujące: W połowie listopada 1936 roku w kasynie Oficerskim odbywała się zabawa Bratniej Pomocy. Już po północy Łobodowski będąc w stanie dość nietrzeźwym rozpoczął awanturę. Najstarszy spośród obecnych na Sali oficerów mjr. Talkowski zwrócił w sposób uprzejmy uwagę Łobodowskiemu, by zachował się spokojnie gdyż kasyno oficerskie nie nadaje się do podobnych awantur. P. Łobodowski przyrzekł zastosować się do prośby

mjr. Talkowskiego, lecz już po chwili znów zaczął zachowywać się hałaśliwie. Wówczas mjr. Talkowski raz jeszcze zwrócił się do Łobodowskiego z prośbą o zachowanie spokoju, a gdy i to nie pomogło, wezwał intendenta gmachu, sierżanta Rossiana i polecił mu załatwienie tej sprawy. Lecz sierżant Rossian również nie mógł sobie poradzić z Łobodowskim, wobec czego zwrócił się skolei do gospodarza zabawy p. Józefa Jakimińskiego w nadziei, że zdoła on wpłynąć na Łobodowskiego i skłonić go do opuszczenia zabawy. Po godzinnej mniej więcej konferencji, która odbywała się w pokojach karcianych Łobodowski zaczął głośno wymyślać mjr. Talkowskiemu, a w pewnym momencie powiedział: Ja szlify biję w mordę. Poza

Awantury Łobodowskiego odnotowane w „Głosie Lubelskim”

tym użył jeszcze kilka innych wyrażen w tym stylu, że zeznający w charakterze świadka p. Podstawka nie nie chciał ich powtórzyć głośno i prosi Sąd, by mógł je napisać.

W charakterze świadków zeznawali pp. sierż. Rossjan, Jakimiński, Donga,

Podstawka, oraz posterunkowy, którego wezwano by ostatecznie zlikwidować zajście. Po wysłuchaniu stron Sąd ogłosił wyrok, skazujący Łobodowskiego na 3 miesiące aresztu. Warto zaznaczyć, że Łobodowski otrzymał w swoim czasie nagrodę „młodych literatów”.



Józef Łobodowski z żoną Jadwigą na Krakowski Przedmieściu w Lublinie. Ze zbiorów Józefa Zięby.

Zgrzyty lubelskie

POCHWAŁA LUBLINA

*Jeżliście, w którym Błok wie co robić
wła i prawica!...*

*Miasto, w którym jest gigantyczny ele-
wator składowy a niema publicznego san-
taria!...*

*Miasto, które wartoby nazwać miastem
ludzi obratających się o byle co!...*

*Miasto nie reagujące na demagii i for-
mor!...*

Miasto kumiewająca własny Teatr!...

*Miasto, w którym smaki królów pań-
skich czerwie oddano na śmietnik skroś-
ni i wyaligdu!...*

*Miasto, w którym okropk „Bij dyktu”
jest popularniejszy niżeli „ucz się!...”*

*Miasto, w którym kryzys objawia się
w wypijaniu trzech butelek „czarek” na
minutę dotychczasowych kartatu!...*

Miasto czarowanej demy!...

*Miasto w którym kielnie Syplica (mę-
drość).*

*Miasto oszukane a prosto serce bła-
kie — czerwie się ja —*

Paragraf.

Reklama z „Kuriera Lubel-
skiego” nr 70 z 11 mar-
ca 1932.

RAZIMY

PAŃSTWU

DZISIAJ

ZAPRENG-
MEROWAC

KURJER
LUBELSKI

KRYZYS GOSPODARCZY

nie powinien się już
powiększyć.
Chcesz wstrzymać je-
go pochod — reklamuj
się.

Uzbrojony tłum przeciwko gajowemu Na 25-ciu oskarżonych 16-tu skazanych

Lubelski Sąd Okręgowy na sesji wy-
jazdowej w Chełmie rozpatrywał w
tych dniach charakterystyczną ze wzglę-
du na stosunki wiejskie — sprawę, w
której na ławie oskarżonych zasiadło
25 osób.

Było to w lutym 1931 roku. Du-
czonego lasów państwowych w kol.
Sawina-Salnicze w pow. Chełmskim
zgłasił się kilku chłopów ze wsi
Ochoda, przedstawiając sędziemu i Na-
dzwierca na zbieranie chrustu. Kiedy
zajawy udał się z nimi do lasu, a wro-
ty zostały należdowne drzewem, nad-
zwierca nagle tłum ludzi z kol. Sawin
uzbrojony w bagnety na drogach, sie-
kiery, łopaty i paliki i przybrawszy
groźną postawę zaczął zmuszać chrust z
wznow i przybyłymi odjechać. W oba-
wie o swe życie ochodowiczy pospie-
śnie spełnili ze sądanie i odjechali.
Wówczas gajowy Jan Kurowski wz-
wał tłum do rozjęcia się w przeciw-
nym razie będzie strzelał.

W odpowiedzi na to, na gajowego

posypał się grad kamieni i laszek, a
tłum zaczął coraz bardziej nacierać na
niego — z okrzykiem „zabij tego starego
dziada, słodzieję”. Kurowski wobec
tego strzelił na postrach z rewolweru
i rasy i zaczął się do ucieczki. Znow
posypały się kamienie, raniąc ucieka-
jącego — adolał on jednak ujęt pogoni
rozwiezionego tłumy i zawiadomił
o zajadzie władze bezpieczeństwa.

Wśród 25-ciu uczestników zajadca
arrestowano, nie przyznali się do wi-
ny, wyjątkując, że nie byli zupełnie
w lesie, ci zaś co byli — nie napasto-
wali gajowego, a nie porwali brat
chrustu, bowiem o las toczył się spór
między gospodarzami z Sawina a pań-
stwem.

Sąd pod przewodnictwem sędziego
Korciała, przy udziale sędziów
Masłukiewicza i Lesławicza, oskarża
podprok. Rymaszewski — skazał 16-tu
oskarżonych na karę 3 mies. więzienia
karnego, pozostałych zaś uniewinnił.

(g).

Artykuł z „Kuriera Lu-
belskiego” nr 68, 8 mar-
ca 1932.

„Kurier Lubelski” 1932

„Kurier Lubelski” Józefa Czechowicza (1932)

„Kurier Lubelski”, którego redaktorem naczelnym był Józef Czechowicz, zaczął wychodzić w Lublinie od dnia 1 stycznia 1932. Czechowicz podpisywał „Kurier” jako redaktor naczelny do 11 maja tegoż roku. Było to pierwsze samodzielnie kierowane i redagowane pismo poety, który miał już za sobą dużą i wieloletnią praktykę dziennikarską w redakcjach lubelskich czasopism. Z „Kurierem Lubelskim” ukazującym się w 1932 roku związany był również Józef Łobodowski, czemu poświęcony jest następny rozdział pt. *Współpraca Józefa Łobodowskiego z „Kurierem Lubelskim”*. O „Kurierze Lubelskim” prowadzonym przez Józefa Czechowicza opowie nam znawca lubelskiej prasy Alojzy Leszek Gzella.¹

Program pisma

„Kurier Lubelski” Czechowicza wyraźnie nawiązywał do tytułu sprzed ćwierćwiecza. Nawet w numeracji roczników zachowano ciągłość podając, że jest to X rocznik. Artykuł wstępny [...] dra Mieczysława Biernackiego, który był redaktorem naczelnym „Kuriera Lubelskiego” w 1906 roku, sugerował również ideowe powiązania z owym pismem cieszącym się przed I wojną światową sławą daleko poza granicami województwa. To miało swój specyficzny wyraz, a dla zdobycia zaufania czytelników niezwykle istotne znaczenie.

Dr Mieczysław Biernacki w artykule zatytułowanym *Zmartwychwstanie Kuriera* przypomniawszy, że pismo od czasów rewolucji 1905 roku do wojny było „ośrodkiem życia umysłowego Lublina”, że na jego łamach „wypracowało się hasło niepodległości narodu”, że z nim współpracował Stefan Żeromski, podkreślał też, że „obowiązywała wszystkich absolutna szczerść myśli bez żadnych ubocznych celów – i wielka tolerancja myśli cudzych”. I dalej podpowiadając

kierunek, jaki nowe pismo powinno obrać, pisał:

„Kurier Lubelski” powinien się wyróżniać dużą życzliwością, a przede wszystkim lojalnością wobec rządu – nie być jednak organem administracji lub nawet partii rządowej, ale być naprawdę bezpartyjnym organem wszystkich obywateli polskich na terenie naszego Województwa, którzy by w nim chcieli zabierać głos z rzeczą i poważną krytyką posunięć tak samo pojedynczych obywateli, jak i rządu.

[...] Pismo już od 2. numeru kieruje apel do inteligencji lubelskiej o współpracę. [...]

Na swoich łamach pismo propagowało reformę szkolnictwa zawodowego, zamieszczało zresztą bardzo dużo materiałów poświęconych sprawom szkolnictwa, występowało w obronie bezrobotnych i często apelowało do społeczeństwa o wspieranie funduszu dla bezrobotnych. Zainteresowania redaktora naczelnego wpływały na to, że w „Kurierze Lubelskim” zamieszczano dużo materiałów literackich. Drukowano na kolumnach „Kuriera” wiersze

¹ Poniżej zamieszczono fragmenty z książki Alojzego L. Gzelli „Kurier Lubelski” Józefa Czechowicza, w: *W kręgu Hieronima Łopacińskiego*, pod red. Henryka Gawareckiego, Marii Gawareckiej, Stefanii Jarzębowskiej, Tadeusza Jeziorskiego i Stefana Wojciechowskiego, Lublin 1977, s. 145-158.

² Prawdopodobnie pseudonim Czechowicza, zob. „Scriptores”, nr 32, s. 237-255.

samego szefa redakcji, jak i innych lubelskich (i nie tylko) autorów.

Felietony Zgrzyty lubelskie

Niezwykle interesująca jest rubryka stałych felietonów, a raczej felietoników zamieszczanych niemal z dnia na dzień pt. *Zgrzyty lubelskie* [...]. W krótkiej formie atakowano rozmaite sprawy, poczynawszy od teatralnych i artystycznych, a skończywszy na nieodpowiednio udekorowanych oknach wystawowych w sklepach lubelskich. One stanowiły też o specyficznym smaczku gazety.

Kino

W „Kurierze Lubelskim” było kilka stałych rubryk. Wspominaliśmy już o felietonikach. Ale pełne prawo obywatelstwa miały też sprawy filmowe. Można nawet powiedzieć, że redaktorzy byli bardzo zafascynowani kinem i byli bardzo zachłannymi obserwatorami filmowych nowości. Od początku istnienia pisma najwięcej ogłoszeń dotyczyło filmów sprowadzanych przez właścicieli Corso, Apolla i innych lubelskich kin. Po każdej niemal premierze ukazywały się recenzje pt. *Na srebrnym ekranie* podpisywane przez Kinomana czy Gamura.

„Kącik bibliofilski”

Pozycję niemal zupełnie niezależną w „Kurierze” wyrobiły sobie materiały zamieszczone pod tytułem *Kącik bibliofilski*, a pisane przez Juliana Kota [Wiktora Ziółkowskiego]. Do czerwca 1932 ukazało się 11 artykułów w tej rubryce. Ich tematyką były sprawy pięknej książki i ekslibrisu, a także działalności Lubelskiego Towarzystwa Miłośników Książki. Oto tytuły poszczególnych artykułów podawane tu chronologicznie: *Nowe czasopismo. Wiadomości Bibliofilskie, Exlibrisy, LTMK, Nowy exlibris Wiszniewskiego, Bibliofil, Wydawnictwa LTMK, Franciszek Biesiedeki, O stronie graficznej biblioteczki LTMK, Druk a re-*

produkcja, Pamiątkowy druk, Wiadomości Bibliofilskie.

Tylko artykuł poświęcony bibliofilowi lwowskiemu, Franciszkowi Biesiedekiemu nie był napisany przez Juliana Kota. Autorem tej publikacji był prawdopodobnie dr Zygmunt Klukowski ze Szczepieszyna (podpisany jest inicjałami – Z.Kl.). Po każdym artykule podawano w porządku chronologicznym tytuły wszystkich poprzednich ukazujących się pod wspólnym tytułem „Kącik bibliofilski”. Jedyń wyjątek stanowi tu *Pamiątkowy druczek ulotny J. Piłsudskiego*, drukowany 19 marca 1932.

Wiadomości

Na stronie trzeciej zamieszczono wiadomości „Z Lublina i okolicy”. Donoszono o wydarzeniach w świecie kulturalnym, artystycznym, informowano o życiu organizacji społecznych i młodzieżowych, a także o wypadkach kryminalno-sensacyjnych. To było coś w rodzaju przeglądu ciekawostek dnia. Dziś po latach wiadomości te zawierają bardzo dużo kolorytu czasu, obyczajowości, są też świetnym portretem tamtych dni Lublina.

Teksty publicystyczne Józefa Czechowicza w „Kurierze”

[Czechowicz] zajmował się różnymi zagadnieniami, ale głównie z dziedziny kultury i literatury. Znajdziemy tu jego reportaże wspomnieniowe z pobytu w Paryżu. Ukazało się *Wspomnienie z bruku paryskiego* i w dwu odcinkach *W Tawernie*. Zainteresowania zagadnieniami folklorystycznymi wyniósł jeszcze z pobytu na wsi wileńskiej, gdzie uczył w szkole powszechnej. Im zresztą został wierny do końca. W „Kurierze” drukuje m.in.: *Dawne pieśni młynkowskie (w powiecie puławskim), Przysłowia lubelskie i Legion ulicy i jego gwara*, w którym zaznajamia czytelników szkicowo z językiem i życiem uliczników. Do tej grupy artykułów można też zaliczyć jego *Mia-*

sto umarłych (o lubelskim cmentarzu) i *Ze starego Lublina*.

Czechowicz pasjonował się turystyką czy raczej krajoznawstwem. Dał temu wyraz również w artykule zatytułowanym *O turystyce w Lubelszczyźnie*. Pisał tam m.in., że największym grzechem jest brak propagandy. Krytykował brak plakatów reklamowych nie mówiąc już o broszurach propagandowych. Wskazywał na to, że na Lubelszczyźnie nie odbywają się żadne targi, widowiska, wystawy. Bolał nad małym zainteresowaniem w społeczeństwie polskim Lubelszczyzną, która przecież kryje tyle pięknych zabytków. Niejednokrotnie dawał wyraz swemu zafascynowaniu pięknem lubelskich miasteczek i samego Lublina w swoich wierszach. Stwierdzał, że dla polepszenia sytuacji w sprawach turystyki „w istocie trzeba energii, inicjatywy i planowości organizacji, a dopiero potem pieniędzy”.

W artykule pt. *Przeciw amerykanizacji* Józef Czechowicz przestrzegał przed groźbą rozpowszechniania się kultury Zachodu. Nie licząc recenzji z nowości wydawniczych, które drukował Czechowicz w „Kurierze”, zamieścił tu większą wypowiedź na temat współczesnej literatury zatytułowaną *Oblicze nowej sztuki*. Reklamowano jako eksperyment zbiorową recenzję z ruchomej wystawy sztuki, która została urządzona w Lublinie. Rewelacja i nowość tego sprawozdania polegały na tym, że kilku recenzentów wypowiadało się na temat jednej i tej samej wystawy, tyle że każdy omawiał inną grupę eksponatów. I tak K[azimierz] Pieniążek pisał o olejach i akwarelach, J[an] S[amuel] Miklaszewski wypowiadał się na temat rzeźby, Wiktor Ziółkowski pisał o grafice, natomiast Józef Czechowicz pod swoim nazwiskiem zamieścił recenzję o rysunkach, rytach i litografiach, a pod pseudonimem „Z. Klimuntowicza” napisał o *Sztuce stosowanej*.

Radio

Redaktor naczelny miał bardzo otwarty stosunek do radia. Wyraźnie tym wynalazkiem był oczarowany. Już w numerze 3 „Kuriera Lubelskiego” ukazał się artykuł Benedykta Hertza² pt. *Radiomika* i po raz pierwszy wydrukowano program warszawskiej radiostacji. Później ukazywał się bardzo regularnie na łamach gazety.

Reklamy Czechowicza

Reklamy wierszowane należy polecić oddzielnej uwadze. Czechowicz ponoć w tym zakresie był nie lada specjalistą. Wykazał duże umiejętności jeszcze w czasach pracy w „Expressie Lubelskim”, kiedy to po udanej reklamie balu prasy podjął się propagowania wierszem wyrobów fabryki czekolad S.A. Piaseckiego. Na łamach zaś „Kuriera Lubelskiego” dał upust tego rodzaju „twórczości” reklamując Komunalną Kasę Oszczędności. Oto niektóre próbki podane we fragmentach:

*Niech każdy z was pamięta,
By nie ronić łez w przyszłości
Że oszczędność to rzecz święta,
A WIEC SKŁADAJ OSZCZĘDNOŚCI
W KASIE POWIATOWEJ OSZCZĘD-
NOŚCI
Narutowicza nr 13*

Albo –

*Zbliża się luty
próbuj szczęścia, bracie,
być może fortuna
także czeka na cię.
[...]
Nie frymarcz, nie zwlekaj,
korzystaj na czasie,
Celowe twe wkłady
Asekuruj w KASIE.*

Albo –

*„Cnota skarb wieczny,
Cnota klejnot drogi”
Powiedział Kochanowski
Chociaż nie ubogi.
I my cnotę szanujemy.
Chociaż ludzie proszą,
A wśród wielu – najbardziej
CNOTĘ OSZCZĘDNOŚCI.
Bo kto żyje cnotliwie,
Grosz do grosza składa,*

*Szczęśliwszy będzie pewno
Niżli w Raju Adam.*

Dbałość o stronę graficzną reklam i ogłoszeń, zresztą nie tylko, bo jak na owe czasy dziennik był bardzo porządnie redagowany od strony graficznej, stawiała „Kurier Lubelski” w rzędzie ciekawszych dzienników Lublina.

„Zgrzyty Lubelskie” w „Kurierze Lubelskim”

W „Kurierze Lubelskim” z roku 1932 na szczególną uwagę zasługuje stała rubryka „Zgrzyty Lubelskie”. Pisze o tym Alojzy Leszek Gzella: Niezwykle interesująca była rubryka stałych felietonów, a raczej felietoników zamieszczanych w „Kurierze Lubelskim” niemal z dnia na dzień pt. „Zgrzyty lubelskie” lub „Zgrzyty po lubelsku”. W krótkiej formie atakowano rozmaite sprawy, poczynawszy od teatralnych i artystycznych, a skończywszy na nieodpowiednio udekorowanych oknach wystawowych w sklepach lubelskich. One stanowiły też o specyficznym smaczku gazety.¹

Najprawdopodobniej autorem znacznej większości Zgrzytów jest Józef Łobodowski. Z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że kilka Zgrzytów napisał Czechowicz.

Łobodowski już po objęciu 14 października 1932 stanowisko redaktora naczelnego „Kuriera” wydał 22 października oświadczenie dotyczące m.in. tego kto jest autorem Zgrzytów Lubelskich. Czytamy w nim:

W związku z tem, że w pewnych sferach krążą pogłoski jakoby autorem „Zgrzytów Lubelskich” były osoby z poza redakcji „Kuriera Lubelskiego”, stwierdzam, że wszystkie „Zgrzyty” pisałem ja. Zatem kierowanie ewentualnych pretensji pod innym adresem jest niewłaściwe.²

Najprawdopodobniej zapewnieniom Łobodowskiego nie dano wiary i powszechnie sądzono, że autorem „Zgrzytów” jest Czechowicz. Czechowicz zaś obawiał się, że ta plotka może mu bardzo zaszkodzić i ze względu na radykalizm publikacji jakie zaczęły ukazywać się w „Kurierze” kiedy jego redaktorem był Łobodowski. Dlatego też 27 października 1932 w „Kurierze” ukazał się list Czechowicza:

W związku z anonimowymi plotkami i pogłoskami jakoby był autorem notatek podpisywanych w „Kurierze Lubelskim” od dnia 13 bm. pseudonimami „Paragraf”, oświadczam iż nie jestem ich autorem. Zainteresowanych, którym to oświadczenie nie wystarczy proszę, aby nie biegali po mieście szerząc plotkę w redakcjach, kuratorium etc., lecz aby zechcieli zgłosić się bezpośrednio, czy też przez zastępców do mnie. Adres mój: Radziwiłłowska 3 m. 20. Józef Czechowicz.³

Obok ukazało się też po raz drugi oświadczenie Józefa Łobodowskiego, w którym przyznawał się do autorstwa tych felietonów. Tym nie mniej oświadczenia te nie wyjaśniają ostatecznie sprawy autorstwa „Zgrzytów lubelskich”, które ukazywały się w „Kurierze” kiedy jego redaktorem naczelnym był Józef Czechowicz.

¹ Alojzy L. Gzella, „Kurier Lubelski” Józefa Czechowicza, w: *W kręgu Hieronima Łopacińskiego*, pod red. Henryka Gawareckiego, Marii Gawareckiej, Stefani Jarzębowskiej, Tadeusza Jeziorskiego, Stefana Wojciechowskiego, Lublin 1977, s. 145-158.

² Nota z „Kuriera Lubelskiego”, 22 października 1932.

³ Nota z „Kuriera Lubelskiego”, 27 października 1932.

Współpraca Józefa Łobodowskiego z „Kurierem Lubelskim”

„Kurier Lubelski”, którego twórcą był Józef Czechowicz, był przez niego redagowany od 1 stycznia 1932 do 11 maja tego roku. W tym czasie Józef Łobodowski współpracował z „Kurierem”, pisząc teksty do rubryki „Zgrzyty Lubelskie” oraz publikując poezje.

„Zgrzyty” przedstawiały w krótkiej i prześmiewczej formie różne sprawy związane z życiem miasta – od teatralnych i artystycznych, po nieodpowiednio udekorowane wystawy. Autorem większości tych tekstów był najprawdopodobniej Józef Łobodowski. Kilka *Zgrzytów* napisał również Czechowicz. Ponieważ „Kurier Lubelski” był dziennikiem, ukazało się w nim bardzo dużo wierszy: samego Czechowicza, Antoniego Madeja, Franciszki Arnsztajnowej, Józefa Łobodowskiego, Tadeusza Bocheńskiego, Bronisława Ludwika Michalskiego i innych poetów.

Od 14 października do 20 listopada 1932 Łobodowski jest redaktorem naczelnym „Kuriera”. W tym czasie pismo w swoich poglądach uległo bardzo szybko radykalizacji co doprowadziło do spadku liczby czytelników pisma oraz do problemów natury politycznej. O obecności Józefa Łobodowskiego w „Kurierze Lubelskim” opowie Alojzy Leszek Gzella¹.

Obecność Józefa Łobodowskiego w „Kurierze Lubelskim”

Nie ma wątpliwości, że od samego początku z „Kurierem” związany był również Józef Łobodowski. Już w pierwszym numerze pisma pojawiła się wspomniana stała rubryka „Zgrzyty Lubelskie”, w której umieszczał swoje teksty głównie Łobodowski. W numerze 8 gazety zamieszczony był wiersz Łobodowskiego *Lat dwadzieścia*. Po nim ukazało się w „Kurierze” jeszcze kilka innych jego wierszy oraz jeden przekład wiersza Siergieja Jesienina. Należy również zwrócić uwagę na teksty publicystyczne poetów.

Bardzo ciekawa i warta odnotowania jest polemika do jakiej doszło pomiędzy Łobodowskim a Czechowiczem po opublikowaniu przez Łobodowskiego tekstu *Literatura proletariacka* („Kurier Lubelski” nr 86, 26 marca). Kilka dni później w numerze 90 „Kuriera” (2 kwietnia) pojawia się artykuł podpisany przez St. Borsę (pseudonim Józefa Czechowicza) o wyjątkowo długim tytule *Prawda o literaturze proletariackiej. Na marginesie art. P. Łobodowskiego*

w „Kurierze Lubelskim” pt. *Literatura proletariacka*. W następnym numerze „Kuriera” (nr 91, 3 kwietnia) można przeczytać odpowiedź Łobodowskiego na ten właśnie artykuł pt. *Prawda i nieprawda o literaturze proletariackiej*.

Kiedy w styczniu 1932 został skonfiskowany tom Łobodowskiego *O czerwonej krwi*, to umiał on świetnie wykorzystać ten fakt do autoreklamy używając do tego m.in. „Kuriera”. Tak więc już 9 lutego w „Kurierze” (nr 40) można przeczytać, że wkrótce ukaże się na półkach księgarskich książka pt. *Gwiazdny Psalterz*. Autorem jej jest p. Józef Łobodowski, poeta którego tom wierszy *O czerwonej krwi* skonfiskowano przed kilkoma dniami.” Zaraz po ukazaniu się zapowiadanego tomu pojawiła się w „Kurierze” (nr 102, 14 kwietnia) recenzja zatytułowana *Gwiazdny Psalterz*, której autorem był Jan Samuel Mikołajewski, jeden z bliskich przyjaciół Łobodowskiego.

Również w „Kurierze” można było czytać na bieżąco informacje o ukazujących się od 1 marca 1932. kolejnych numerach „Trybuny”, której redaktorem

¹ Poniżej zamieszczono fragmenty artykułu Alojzego Leszka Gzelli pt. *Pod znakiem Łoboddy*, „Kurier Lubelski”, 13 maja 1981.

naczelnym był do 5. numeru pisma Łobodowski. Autorem tekstów poświęconych „Trybunie” był sam Czechowicz.

Józef Łobodowski jako naczelny „Kuriera”

Wydawca „Kuriera Lubelskiego” Władysław Wójcik nie był zadowolony z kierunku pisma nadanego przez Łobodowskiego z powodu strat finansowych poniesionych przez zarządzenie odbierające debit pismu wśród wojskowych (!) i o pozbawieniu prawa do ogłoszeń rządowych. Radca wojewódzki p. Runge w tajnym piśmie z 22 października 1932 podpisanym za wojewodę, a skierowanym do wszystkich starostów powiatowych woj. lubelskiego i do Starosty Grodzkiego w Lublinie polecał:

Wychodzący od stycznia br. w Lublinie „Kurier Lubelski” o kierunku politycznym prorządowym, wskutek zmian na stanowiskach redaktora naczelnego i pracowników redakcji, które miały miejsce w ostatnich dniach, stał się pismem szerzącym ideologię komunistyczną o wyraźnym nastawieniu politycznym robienia dywersji

w obozie prorządowym i efektu zewnętrznego dla stwierdzenia, że w Polsce idee komunistyczne przyjmują się nawet w obozie trzymającym ster rządów.

Wobec tego, że od czasu do czasu wydziały powiatowe i podległe instytucje samorządowe umieszczają dotychczas swoje ogłoszenia w „Kurierze Lubelskim”, proszę Pana Starostę o spowodowanie, aby na przyszłość takie ogłoszenia w wymienionym czasopiśmie nie ukazywały się. Jednocześnie proszę wydać polecenie abonowania „Kuriera Lubelskiego” przez urzędy i instytucje zarówno państwowe jak i samorządowe w powierzonym Panu Staroście powiecie.

W dwa tygodnie później (4 XI 1932 r.) wojewoda lubelski B. J. Świdziński w tajnym piśmie do prezesa Sądu Okręgowego w Lublinie prosił, aby wszelkie ogłoszenia rejestrów i wyroków sądowych, a także ogłoszenia sądowe i komornicze były publikowane w „Kurierze Porannym Lubelskim” lub w mutacji „Kuriera Porannego” w Warszawie. To spowodowało upadek pisma, mimo że już od miesiąca Łobodowski nim nie kierował.

Rezygnacja Józefa Łobodowskiego z redagowania „Kuriera Lubelskiego”

„Kurier Lubelski”
nr 320, 20 listopada
1932, s. 3.

W dniu wczorajszym wydawnictwo „Kurjera Lubelskiego” otrzymało od p. Józefa Łobodowskiego następujący list: W związku z ukazaniem się w „Kurjera lub.” Z dnia 19 b.m. artykułów pt. *Walka z człowiekiem i Jaczejki bolszewickie żerują na kryzysie*,

które to artykuły są w całkowitej sprzeczności z moimi poglądami oświadczam, że od dnia 20 b.m. przestaję podpisywać wyżej wymienione pismo, o czym jednocześnie zawiadamiam Starostwo Grodzkie. Józef Łobodowski. Lublin, d. 19. listopada 1932.

Rubryka Paragrafa

Zgrzyty lubelskie

* * *

Kasa Chorych w Lublinie nie zwraca choremu kosztów przejazdu dorożką.

Ażeby się więc udać np. do Zakładu Rentgenologicznego, obłożnie chory, jeśli może sobie na to pozwolić, sam musi przejazd opłacić.

Trudno – przepis przepisem.

Ale jak wytłumaczyć, że ta sama Kasa

Chorych zwraca... aż 15 zł. Pogotowiu Ratunkowemu za przewiezienie pacjentów do wymienionego Zakładu?

Wystarczy wówczas nie zgodzić się na pokrycie własnymi pieniędzmi kosztów przejazdu, a lekarz daje odpowiednią kartkę do Pogotowia, które to chętnie czyni za 15 zł...

„Kurier Lubelski” nr 1,
1 stycznia 1932, s.
5. Za pseudonimem
„Paragraf” krył się Józef
Łobodowski. Zachowa-
no układ wersów, inter-
punkcję i słownictwo
zgodnie ze źródłem.

Potrzeba jest matką wynalazków

W związku z nowymi opłatami przedsięwzięciom autobusowych, wynaleźli oni nowy system obchodzenia przepisów. Ponieważ opłaty podatkowe wymierzone są według ilości kilometrów, którą pasażer przejeżdża, aby zapłacić jaknajmniej, autobusiarze urządzają się jak następuje pasażerom jadącym do Kurowa, ale wiezie się ich do miejsca przeznaczenia. W ten sposób podatek wymierzo-

ny jest od 50 kilometrów, podczas gdy w rzeczywistości pasażer przyjeżdża 47.

Zaznaczyć należy, że dzieje się to za ogólną zgodą właścicieli autobusów i pasażerów.

Odpowiednie czynniki winnyby załatwić sprawę, organizując lotną kontrolę, lub jakiś specjalny system biletów uniemożliwiających takie obchodzenie obowiązujących przepisów.

„Kurier Lubelski” nr 5,
5 stycznia 1932, s. 3.

* * *

Biurokratyczny Paragrafie!

„Paragraf” nasz otrzymał od jednego z czytelników następujący list:

W związku z notatką Twoją a dnia 5 b.m. pod tytułem: *Potrzeba jest matką wynalazków*, w której ubolewasz, że oszustwa biletowe komunikacji autobusowej są dokonywane „za ogólną zgodą właścicieli autobusów i pasażerów” i wzywasz „inne odpowiednie czynni-

ki” do zorganizowania lotnej kontroli – przyjm do wiadomości, że kontrola taka istnieje od dawna w osobie kontrolera ruchu na całe Województwo Lubelskie. Mało tego, w każdym powiecie jest po kilka osób spośród Administracji drogowej upoważnionych do prowadzenia kontroli w obrębie swojego powiatu. Kontrola ta jest wykonywana z całą możliwą energią i skrupulatnością, sypią

„Kurier Lubelski” nr 6,
6 stycznia 1932, s. 3.

się kary po kilkaset złotych, zabrania się oszukującym utrzymywania komunikacji, a mimo to oszustwa nie ustają. I nic tu nie pomoże Twój kuzyn i ten & 30 rozporządzenia Ministra Robót Publicznych z dnia 3. X. 1931 r. (Dz. Ust. Nr. 92/1931), który powiada, że przedsiębiorcom nie wolno dopuszczać do jazdy bez biletów, a pasażerom nie wolno jeździć bez biletów lub za biletami nieważnymi, a nadużycia w tej mierze są karalne w myśl art. 21 Ustawy o P.F.D.,

T.J. karze podlegają tak autobusiarze, jak i pasażerowie, gdyż dopóki same społeczeństwo nie będzie tępić nadużyć i nie przestanie brać w nich udziału, dotąd żadna kontrola nie uchroni funduszu drogowego od strat.

Niech żaden z pasażerów nie pozwoli konduktorowi wydać sobie nieważnego biletu, ani nie toleruje faktu nadużycia przez innego pasażera czy konduktora, a nadużycia znikną same przez się i nie będzie więcej potrzebny.

Gabinet a gabinet

„Kurier Lubelski” nr 10,
10 stycznia 1932, s. 5.

W Warszawie krążą pogłoski o zmianach w rządzie. Przesilenie gabinetowe napawa mnie otuchą. Może tym razem gen. Składkowski „der fligende Minister” wróci do M. S. Wewn. I znów weknie nos go gabinetów intymnych...

A wartoby, szczególnie w Lublinie, wojewódzkim mieście. Nie wątpię, że się we wsiach polepszyły warunki sanitarne, nie wątpię, bo sprawdzić nie miałem okazji, jako korzenny lublinianin istotnie korzeniami wrosły w ten kiepski bruk. Na wsi, może... Na wsi „siano pachnie snem”. Ale w mieście Lublinie intymne gabinety wołają o pomstę do nosa. Do niedawna ogród publiczny ozdabiała

taka kadzielnica wonności, jakiej w Pispidówkach niema. Najelegantsze kino naszego grodu, „Apollo”, ma ubikacje niechlujne, niehigieniczne, w których drzwi albo nie zamykają się, albo są wystawiane z zawias.

Ale rekord bije dom przy ul. Dolnej Panny Marii Nr. 10. Intymny gabinet w tej posesji to buda sklecona z przegniłych belek, brudna jak sumienie czekisty¹, grążąca lada chwila zawaleniem. Jak dotychczas nie pomogły interwencje Wydz. Kultury i Oświaty, ani Kuratorium (w domu tym mieści się Szkoła Powszechna), może coś rekonstrukcja Gabinetu pomoże...

¹ Czekista, wystawiający czek bez pokrycia, na których zrealizowanie trzeba długo czekać [przyp. aut.].

Druh za druha lekko wskocz

„Kurier Lubelski” nr 12,
12 stycznia 1932, s. 3

Od dziś przestaje chodzić do kina. Mam tego wszystkiego dosyć. To prawda że Greta Garbo jest boska, a Chevalier zachwycający. Całą jednak radość i przyjemność jaką sprawia mi oglądanie dobrego filmu, zabija oglądanie dodatku t. zw. „Tygodnika filmowego”. Taki dodatek to drewniana piła, a idzie i idzie... Dwa tygodnie zrządu właściciele kin zmuszają nas do oglądania

ćwiczeń sokolskich – „sympatycznych druhów ze Zdobułowa” lub „uroczych druhów z Kozłówki”. Tego jest stanowczo za dużo! Protestuję!

P. p. właściciele w naszym interesie leży dawać dobre datki (filmy Fleischera, Starowicza i t. p.). nudy jest wszędzie pełno, a nie każdy jest Baudelairem, żeby się w nudzie kochać.

Wesoły przemysł

Już wszyscy zgodziliśmy się na to że pawilonik Przemysłu Ludowego jest bezsensowny. Trudno. Nie udało się. A darowanemu koniowi...

Teraz zobaczymy jak wygląda „ruch w interesie”. Stałem kiedyś ze dwie lub trzy godziny przed kioskiem licząc osoby, które wchodziły doń. Ogółem naliczyłem zero osób płci obojga. Kryzys kryzysem, a dowcip leży gdzieindziej. Ogółem cały ten przemysł, to chybiony efekt. Przedew-

szystkiem – nałęczowskie ramki z portretem Walentyna, Lilianą Gisch w żadnym wypadku nie są wytworem ludowym – po drugie ceny na artykuły przemysłu ludowego są horrendalnie wysokie, wreszcie mało jest tam prawdziwie ładnych rzeczy. Publiczność jest zniechęcona. Sklep robi bokami. Pożytek wątpliwy. A swoją drogą kiosk szpeci w niemożliwy sposób Plac Unji Lubelskiej.

Voila.

„Kurier Lubelski” nr 15,
15 stycznia 1932, s. 3.

Musztarda po obiedzie

Mieszkańcy Lublina obserwują nieraz, omal, że nie codzień takie zjawiska. Dzień, biały dzień, a powiedzmy na ulicy Staszica czy Szopena, lub wreszcie na Krakowskim rząd lamp świeci pięknem, matowym światłem. Możliwe, że to jakoś kontrola linii, czy próba nowych żarówek, czy jeszcze jakiś inny fokus zrozumiał

tylko dla wtajemniczonych, ale taki laik jak ja idzie sobie ulic a o drugiej w południe rżęsiście oświetloną i wylicza w myśli: Ile to taki żart kosztuje? Ile za to płaci niebardzo podłe miasto?

Na musztardę po obiedzie można sobie pozwolić tylko w bogatych domach, bo to i nikt nie zje i zapłacić trzeba...

„Kurier Lubelski” nr 20,
20 stycznia 1932, s. 3.

Dom akademicki

To nie jest zgrzyt. To jest przykra sprawa, przykra i nie zrozumiała. Mam na myśli dziwną gospodarkę w Domu Akademickim. Swojego czasu Domem zarządzała Bratnia Pomoc K.U.L., dziś czasy się zmieniły i bezpośrednio czy pośrednio sprawy Domu podlegają władzom Uniwersytetu.

A panują tam teraz niezwykle stosunki. Wiadomą powszechnie rzeczą jest, że w Domu Akademickim zamieszkuje uboższa część młodzieży, która nie mogąc sobie pozwolić na kosztowne mieszkania prywatne, korzysta z udogodnień, jakie daje młodzieży Alma Mater. To też istotny sens istnienia Domu Akademickiego polega na tem, że daje młodzieży tanie mieszkania.

Niestety. Tej zasadniczej rzeczy brak

jest w naszym domu. Mieszkania są drogie. Przeciętnie bowiem pokój w Lublinie kosztuje od 30 do 50 zł., pokój w Domu Akademickim kosztuje obecnie 40 zł. A biedni studenci słusznie uważając, że lepiej i taniej będą mieszkać na mieście, wyprowadzają się. Pytam – poco wobec tego istnieje Dom Akademicki, jeśli ma w dalszym ciągu trwać taki stan rzeczy, mówiąc teatralnym stylem.

Zamknąć budę!

Tembardziej że mieszkania akademickie nie są rajem. Mówiąc poważnie są kiepskie. Mają wiele braków. Czego dokładnie w nich brak – nie wiem.

Ale są (na pociechę, - zawsze jestem optymistą) i rzeczy nadprogramowe. Pluskwy. To wiem napewno.

„Kurier Lubelski” nr 21,
21 stycznia 1932, s. 3.

Zielona wstążka i inne wstążki

„Kurier Lubelski” nr 22,
22 stycznia 1932, s. 3.

Są w Lublinie ludzie, którzy noszą zieloną wstążkę na znak, że gdyby mogli, toby się z przyjemnością znęcali nad żydami. I są w Lublinie ludzie, którzy jeśli usłyszą słowo „żyd”, uważają, że ten kto je wypowiedział jest antysemitą. Ludzie ci na łamach „Tygblatu” załamują ręce, że „Kurjer” wspomniał o „umojęszowie” Teatru w Lublinie. Ludzie ci nawet uważają „Kurjer” za nowy, żydożerczy „Głos Lubelski”.

No, dwa „Głosy” w barszcz (aczkolwiek żadna praca nie hańbi) to byłoby za dużo. Dwoi się w oczach „Tygblatowi”

Nie przywykł biedactwo w lubelskich stosunkach do rzeczy prostej: obiektywizmu.

A nasze stanowisko jest po prostu obiektywne. Dlatego pochwalimy dobrą sztukę żydowską, ale z „umojęszowienia” Teatru nie jesteśmy zadowoleni. Powie kto: bić żydów! – nazwiemy to chamstwem, ale także jak ktoś powie: zlinczować studenta! – damy mu równie dosadną odprawę.

Anty i filosemici – oto nasza deklaracja – możecie się na nią rzucać jak tur na malowane wrota!

„Kurier Lubelski” nr 23,
23 stycznia 1932, s. 3.

Lubelski Dom Akademicki cieszy się i smuci opinią najbardziej rygorystycznej bursy Koziego Grodu.

Urszulanki mogą także, tylko biedny akademik z Domu nie może. Choćby miał tańczyć na „gruźlicę”, czy „dzieci anormalne” – ni wolno mu popie-

rać szlachetnych celów, bo regulamin Domu Akademickiego nakazuje wrócić do domu przed dziesiątą.

Ostatecznie nie każdy akademik jest cnotliwą Zuzanną i od czasu do czasu ma także prawo zgrzeszyć jak wszyscy.

A Dom Akademicki to nie klasztor Magdalenek.

buty na każdą kieszeń

„Kurier Lubelski” nr 24,
24 stycznia 1932, s. 5.

Samożująca sztuczna szczeka, automat do kłaniania się, „peigne onduleur”, automat do zabijania pluskiew (coś dla Domu Akademickiego) i watowane kołdry to są kpiny.

Kołdry, automaty i szczeki – są nikomu na nic nie potrzebne.

Brak jest natomiast solidnych wynalazków. Rozumiejąc to – znana firma – Bat’a obdarza nas czymś zupełnie Nowem – epokowem.

Są to „buty na kieszeń – buty na każdą kieszeń”.

Od paru dni tylko to mnie interesuje – jak toto będzie się nosić, jaki ma kolor, fason etc.

Mam coprawda pewne wątpliwości. Bo jeszcze rozumiem „buty na kieszeń”, ale buty „na każdą kieszeń” – to chyba przesada – trik reklamowy. Chyba, że zastosowano tu jakiś perfidny automat i w miarę potrzeby buty będą się rozszerzały i kurczyły. Inaczej bowiem obuta musi być dyskretna kieszeń na zegarek i kieszeń wojskowego „french’a”.

W każdym razie cieszę się, że już nie będę miał dziurawych kieszonek i nie będę gubił „drobnych”.

Jutro kupię sobie parę butów na każdą kieszeń, a już dziś się cieszę. (teksty źródłowe: ulotka reklamowa Bat’y kolportowana po całym mieście i w cukierniach).

Czytelnia od siedmiu boleści i trzech czasopism

Zgrzytać i zgrzytać – zęby już mi od tego zgrzytania wypadną i co wtedy? Na jednych zgrzytać, na drugich i trzecich – a najwięcej na sprawy akademickie. Ledwom Dom Akademicki obzgrzytał i pluskwy akademickie, a tu znowu o czytelnici pisze! Jest taki lokal (ładny), w którym sobie Bartnik czytelnię urządził. Leży na stołach „Dzwonek Częstochowski”, „Gazeta Kartuska” i „Głos Lubelski”. Czytaj bracie akademiku, oświecaj się, proszę, ile wlezie!

Przecież nie wypada z samych tylko wykładów mądrość czerpać, trzeba się od czasu do czasu i uboczną lekturą zająć dla gimnastyki umysłu. Więc jest i „Gazeta Kartuska” i „Głos Lubelski”... Po prostu krynica wiedzy...

A propos, dlaczego p. t. zarząd czytelnicy nie sprowadził dla kompletu znanego pisma polonji za oceanem „Ameryka – Echo”...

Paragraf, którego zęby bołą.

„Kurier Lubelski” nr 26,
26 stycznia, s. 3

Lublin odetchnął

Dom narożny, przy zbiegu ulic Krak. Przedm. i Kościuszki, przystroił się i był w dziwne emblematy. Może niebardzo nawet stosowne jest tu słowo „przystroił się”. Faktem jest, że wyrosła na nim jakaś olbrzymia głowa. Kto ją tam umieścił – nie wiem. Dlaczego? Nie wiem. Co oznaczała? Nie chcę wiedzieć. Wystarczy mi to, że była pomalowana ohydnie. Uważam, że wszystkie piękne kobiety Lublina

(a zatem wszystkie Lublinianki), powinny były zaprotestować przeciwko temu perfidnemu obrzydzaniu kobiet w plastyce

Jestem z natury wesoły. Apetyt mam wspaniały. Ale od paru dni nie mogłem się uśmiechnąć i nie mogłem jeść. A nawet zęby mnie bolały.

Wczoraj „dziewica” znikła.

Dzięki Bogu.

Morwa była dziewczica.

„Kurier Lubelski” nr 27,
26 stycznia 1932, s. 3

Szewca pasja

Nie lubię pracować nadaremno. To grzech. Już mam dość zgrzytów. Pokazujemy ludziom czarno na białem – co jest białe, a co czarne. Ślepy by zobaczył. A Lublinianie – nic nie widzą, czy nie chcą widzieć – (tego nie wiem). Ale ja widzę: wystawy sklepowe są po dawnemu doniczego, pod pomnikiem Kochanowskiego śmiecie, czytelnia „Bratniaka” też zaśmiecona „Dziennikiem chicagowskim” i wogóle, dom Akademicki pachnie Flitem, a „Tugblat” ciągle „nie umie rozumieć i nie może zrozumieć”.

Dość tego panowie. To jest wszystko „fumme”. Czas już skończyć z całym

kryzysem, zastojem, stagnacją, dewaluacją, inflacją, gripą i kretynomanją. Czas przestać narzekać na ciężkie czasy, protestowane weksle, Zosię Gołębiowską i wszystkie rzeczy doczesne.

Dość! Obywatele! akademicy! chłopcy od gazet!

Zbierzcie się bandą i oczyście pomnik Kochanowskiego, idźcie do sklepów i żądajcie porządných wystaw, gwizdźcie i tupcie w kinach, gdy pokazują wam nudne pro i nadprogramy. I w ogóle róbcie coś.

Dość spania 24 godziny na dobę.

Czasy nie są złe. Czasów dobrych nigdy nie było.

„Kurier Lubelski” nr 32,
1 lutego 1932, s. 3.

W sprawie ogólnego smutku

„Kurier Lubelski” nr 34,
3 lutego 1932, s. 3.

Czasem jest trochę nieprzyjemnie. Czasem jest nawet bardzo nieprzyjemnie. Na świecie robi się coraz smutniej. Rozmawiamy tylko na tematy zasadnicze. Myśli się automatyzują. Kurczymy się coraz bardziej. Właściwie to dziś potrafiemy tylko narzekać. „Jest źle. Będzie gorzej”. Coraz bardziej psuje się coś, na tym „najlepszym ze światów”. Ludzie są już zmęczeni.

Czas zatem skończyć. Czas już dać sobie spokój z dostojną powagą prowin-

cji. Powagą która męczy jeszcze bardziej Spokojem, który denerwuje i szarpie nerwy. Trzeba już wreszcie odpocząć. Odpoczynek po beczynności i apatii – to zajęcie i gwar.

Musimy nauczyć się wesołości. Zorganizujmy się. Czy nie dobrze byłoby gdyby ludzie pogodni i weseli, Obywatele spod jasnych gwiazd zrzeszyli się i zaczęli propagandę nowej wyzwolonej sztuki – sztuki radości?

Dobrze!

Paragraf a życie

„Kurier Lubelski” nr 35,
4 lutego 1932, s. 3.

Istnieje taki Paragraf, który mówi o charakterze i godzinach handlu. Paragraf ten figuruje w Dzienniku Ustaw, rozliczne władze w rozlicznych rozporządzeniach na ów paragraf się powołują, przypominają, urgują i t. p.

Paragraf swoje a życie swoje...

Pod Bramą Krakowską, naszą czcigodną staruszką, zaledwo zmrok zapadnie, zsiniali z mrozu chłopcy sprzedają „bajgiele” (obwarzanki). Jak się te obwarzanki sporządza – daje o tem pewne pojęcie wygląd sprzedawców: nos nie-

utarty, wyglansowane łachmany. Znamienne jest także drapanie się małych przedsiębiorców.

Niewątpliwie mają prawo do życia (kurczęta nawet chcą żyć-twierdzi Erenburg), ale nie mają prawa do zatruwania bliźnich niehygienicznie wypiekanem i wśród brudu sprzedawanem pieczywem.

Wbrew różnym zarządzeniom, pomimo energii policji codziennie słabe głosiki jęczą pod Bramą i n Zamojskiej: „Bajgiele, bajgiele!”

Paragraf swoje a życie – swoje...

„Śliski” temat

„Kurier Lubelski” nr 36,
5 lutego 1932, s. 3.

Każde miasto ma jakąś specjalność. Wenecja – kanały – Nowy -York drapacze nieba, Bełżyce – fujary, Londyn – mgłę, a Lublin zgrzyty lubelskie.

Dziś zgrzytają ulice.

A ludzie zgrzytają na ulice. Zresztą tylko ci, którzy nie upadli nieszczęśliwie

i nie wybili sobie zębów.

Chodzić po nich jest naprawdę niebezpiecznie. Jeździć na łyżwach – grać w hockey’a, uprawiać scurling i wszystkie sporty zimowe...

Ale chodzić...

Nie!

Zdawałoby się

Ach, ileż zdawałoby się!

Paragrafowi zdawało się, że np. wszyscy zainteresowani wiedzą o mających nastąpić w zmianach mających nastąpić w światku majątkowym miasta Lublina – okazał się, że wiedzą tylko: Paragraf i ci, którzy te zmiany zadecydowali.

Zdawałoby się, że w interesie publiczności leży wiedzieć, że „Ulica” to dobra sztuka i warto ją zobaczyć...

Zdawałoby się, że Zosia, po smutnych z „Dziadami” doświadczeniach nie powinien pisywać felietonów. Niestety, pisuje.

Wreszcie – adres. Kierownictwo Ośrodka wychowania fizycznego – zdawałoby się – powinno popierać sport,

a nie popiera. Gorzej, utrudnia życie niektórym entuzjastom sportu. Wiemy np., że bokserom ze Strzelca odmówiona Sali Ośrodka na najbliższe zawody. Może odmówiono dlatego, że jak to stwierdził p. dr. Freytag w jednym z artykułów, sala ta jest trochę nieodpowiednia dla zawodów... Ale chyba kierownictwo ośrodka zdaje sobie sprawę, że scena kinoteatru „Adria”, do którego zmuszeni byli zwrócić się Strzelcy, przynajmniej w równym stopniu nie odpowiada przepisom sportowym...

A zdawałoby się, że Ośrodek wychowania fizycznego w Lublinie istnieje poto, aby się tam właśnie imprezy sportowe odbywały...

Zdawałoby się...

„Kurier Lubelski” nr 37,
6 lutego 1932, s. 3.

Kadzielnica wonności

Jest w Lublinie ulica. Dość długa. Trochę spadzista. Trochę brudnawa.

Osobliwość tej ulicy jest dom pochłyły, jak pizańska wieża. Stoi sobie taki dom okazały, dwupiętrowy, a jakże. I okna i drzwi w porządku i wodociągi – owszem – działają. Tylko tyle, że mury nie wznoszą się pod kątem prostym, a jakoś na bakier.

Ten interesujący budynek ozdabia za-

kończenie ulicy nad „mietem” pięknej rzeczki. Marzenie! Poezja! „Opodal rzeczkułka i mostek”...

A do tego domu, rzeczkułka i mostka dochodzi się przez ulicę w lecie cuchnącą, a w zimie śmierdzącą dzięki (jest też za co dziękować) ściekowi, który stanowczo, powinien być pokryty. Przecież to nie weksel!

„Kurier Lubelski” nr 38,
8 lutego 1932, s. 3.

14° niżej zera

Dzisiaj chce mi się nietyle zgrzytać ile szczekać zębami. Wczoraj bowiem rozmawiałem z piękną studentką systemu humanistycznego, która mi powiedziała, że w KUL wysiaduje godzinami w nieopалonych salach wykładowych, bo – Uniwersytet oszczędza.

Uniwersytet – ognisko wiedzy przy którym się marżnie.

Czy to nie mróz sprawia, że niektórzy tracą dowcip i domyślność? Jakiś zakałapučkany prenumeratorem przeczy-

tał w niedzielę o kadzielnicy wonności i nie zrozumiał [sic!], że mowa o ul. Dolnej Czechowskiej i dzwonił do redakcji cztery razy, dopytywał się, bo mu ta zagadka życie mąciła. A dzwonił cztery razy, bo mnie cztery razy w redakcji nie było.

Czternaście stopni mrozu – nie żart, ale w każdym razie zima nie jest tak sroga jak poniektóre urzędy. Dwudziestostopniowych mrozów chwala Bogu niema. Może i w „zimowej” branży kryzys?

„Kurier Lubelski”, 10
lutego 1932, nr 41, s. 3.

Smutny zgrzyt

„Kurier Lubelski” nr 52,
21 lutego 1932, s. 5.

Co czuliśmy my, Polacy, gdy nam krzyżackie plemię rzuciło w twarz wyzwiska: polskie bydło...?!

Co czuliśmy my, Polacy, gdy jeden z największych twórców świata. Dostojewskij w swoich arcydziełach traktował nas per „polacziszki...”

Co czuliśmy my, Polacy, gdy w czasach niewoli zmuszono nas do szargania naszych świętości, do niemieckiego pacieryza, do uczestnictwa w prawosławnych galowych nabożeństwach nas, katolików.

Nie wątpię, że coś podobnego czują nasi współobywatele żydzi,

gdy u źródła kultury, w Uniwersytecie, czytają szydercze i niedowcipne ogłoszenie pewnego koła uniwersyteckiego „Dziś jako w szabas, zebranie sekcji żydoznawczej...”

Każdy człowiek ma prawo sumienia i własnych świętości. Tylko ludzki stosunek człowieka do człowieka wytworzyć może współzycie ludów bezkrwawe na globie ziemskim i aż dziwić się należy, że to błędny, wesoły Paragraf musi uczyć miłości bliźniego, tych, którzy tak dobrze wiedzą, jak gorzko naigrywanie się smakuje.

Pies, który dużo szczeka daje mało mleka

„Kurier Lubelski” nr 45,
17 lutego 1932, s. 3.

Imci panna Zofja w poniedziałkowym numerze *Głosu kota na puszczy* rozdziera szaty nad Dziennikiem Urzędowym Kuratorium O.S.L.

I to jest źle, że o wychowaniu państwowem w Dzienniku mowa („bo dlaczego nie o sokolem?”) i to jej nie w smak, że o teatrze ludowym mowa („dla chamów, panie dzieju karczma bezalkoholowa wystarczy!”) i nawet ankietą o udziale nauczycielstwa w pracy społecznej w oczy ją kole („niedowiarki, zła kość, parafian uświadamiają, świecką

kulturę wprowadzać im się zachciało!”).

O nieznajoma i piękna pani, ty nie wiesz, że to wszystko, co napisałaś w 60 wierszach druku ma tylko wówczas szczyptę słuszości, o ile Dziennik Urzędowy Kuratorium jest wydawany z funduszy rządowych.

A ponieważ Dziennik nie jest wydawany z funduszy rządowych, natomiast kosztą jego pokrywają się przez prenumeratę, więc...

Pies, który dużo szczeka daje mało mleka...

Masoneria

„Kurier Lubelski” nr 61,
1 marca 1932, s. 3.

Zosiu! Larum grają – a ty nie słyszysz?...

Masoni w Lublinie się pojawili, a ty nie wiesz?... Przecież ogólnie wiadomo, że i kryzys i rewolucja w Rosji i przewroty w Hiszpanji, a nawet prohibicja U. S. A. to panie dzieju masoni i żydzi...

Tylko dni majowe oni nie robili, przynajmniej jedno endeckie pośliko stwierdziło, że przełom majowy był dziełem... anglików...

A jednak loża masońska w Lublinie jest. I zbiera się – o hańbo – publicznie czwartki i piątki wieczorem u Semide-niego. Zasiadają „bracia”, wielki mistrz otwiera spotkanie zjedzeniem ciastka obrzędowego. Bezcenne hymny śpiewają, ze starszych panów (i panien) się natrzęsają. Nic dla nich świętego nie-ma. Masonów tych jest ośmiu, a żydów w Lublinie, tak, na optykę, z 50 tysięcy.

To razem 50. 008 wrogów zdeklarowanych endecji, a ty, Zosiu, nie biadasz jak Kasandra; do bronii nie wołasz, jak

Pallas – Atene; nie uderzasz orężem znienacka jak dowcipem z niedzielne-go felietonu...

Plamy na słońcu

Pogoda piękna. Wróbelki świergoła, handlarze również. Wszyscy wychodzą na świat boży. Ruch w interesie.

Uliczni sprzedawcy drą się a propos „zabaweczki dla synka i córeczki”, oraz „2 ołówki za jedno 10 groszy”... Słowem -wiosna.

No i w Szanghaju spokój nareszcie, co nie jest pozbawione znaczenia dla poniekórych miejscowych polityków, którzy nie mają się czym zajmować na

miejsku, w Lublinie.

Słoneczko świeci, ale są plamy na słońcu. I są też plamy na palcie. Bo miasto nasze ładne i owszem, ma tę cechę zasadniczą, że jest brudne. Coś w tem jest. Bo Magistrat ma i polewaczki mechaniczne i tabor odpowiedni i o ulice dba i w ogóle robi co może. A miasto jakoś brudne. Założenie takie, na psa urok, czy co... Wszędzie błotko i plamy na palcie.

I plamy na słońcu.

„Kurier Lubelski”, 6 marca 193, nr 66, s. 5.

Pochwała Lublina

Miasto, w którym Blok wie co robi lewica i prawica!...

Miasto, w którym jest elewator zbożowy a niema szaletu!...

Miasto, które wartoby nazwać miastem ludzi obrażających się o byle co!...

Miasto nie reagujące na dowcipy i humor!...

Miasto kamienujące własny Teatr!...

Miasto, w którym zamek królów polskich chwałę oddano na siedzibę zbrodni

i występku!...

Miasto, w którym okrzyk „bij żydów” jest popularniejsze niżeli „ucz się!...”

Miasto, w którym kryzys objawia się w wypijaniu trzech butelek „czystej” zamiast dotychczasowych sześciu!...

Miasto czerwonej damy!...

Miasto w którym kwitnie Soplica (mądrość).

Miasto zadłużone a przeto sercu bliższe – chwałę cię ja –

„Kurier Lubelski” nr 71, 11 marca 1932, s. 3.

Demonstracja bezrobotnych

Imieniny Pana Marszałka minęły, a echa ciągle się jeszcze odzywają w prasie. I w plotkach. Opisów obchodów, nadśływanych z różnych stron, starczy, mniej więcej, jeszcze na cztery tygodnie.

Niechże i Paragraf dorzuci swój skromny głos. Paragraf był na Akademii uroczystej 10 marca w teatrze miejskim i widział tłumy publiczności, oraz...jed-

ną łożę pustą. Była to łoża, która komitet imieninowy zarezerwował dla lubelskiej rady adwokackiej.

Paragraf nie przypuszcza, żeby to była świadoma demonstracja, ale jeżeli to była demonstracja bezświadoma, to hm...hm...jeszcze gorzej...

Paragraf się dziwi i współczuje...

„Kurier Lubelski” nr 86, 26 marca 1932, s. 6.

Paragraf. j Istinnno ruskij gorod

„Kurier Lubelski”,
5 kwietnia 1932, nr 33,
s. 3.

Rosjanie w swoim czasie gwałtownie przyznawali się do Lublina, anektując go w różnych przedhistorycznych publikacjach na rzecz „istinnno ruskich gorodów”. W każdej bajce jest część prawdy. Lublin ma w sobie jakieś „szerokie” pierwiastki. W tem miłym mieście podczas świąt z niejednego mieszkania dolatywała patryjotyczna polska pieśń *Wołga, Wołga...*

Wielu z moich znajomych używa jako wyrażenie pogardy zwrotu „kuwszin-

noje ryło...”

A na domu przy ulicy Plac Bychawski 9, w miejscu połączenia placu z Aleją Marszałka Piłsudskiego widnieje latarka z numerem orjentacyjnym, zaopatrzona w napis „Bichawskaja”. Litery ruskie, grażdanka, ajakże...

Prosimy, kogo należy o zlikwidowanie tego zabytku, na który narazie zwrócili uwagę krakowiacy goszczący w Lublinie. Ale gdyby to byli goście z zagranicy...

Na rozdrożu

„Kurier Lubelski”, 7
kwietnia 1932, nr 95,
s.3.

Przed kilkoma laty w „Kurjerze Porannym” zdarzył się komiczny lapsus.

W nagłówku pisma wydrukowano: „dzisiejszy Kurjer przynosi zamęt w kościele prawosławnym...”

Ale kościół ów nie zląkł się „Kurjera Porannego”.

Obecnie od jakiegoś czasu wychodzi w Lublinie „Trybuna”, dwutygodnik pono Z. P. M. D., który bez nagłówków alarmujących przynosi zamęt w endecji.

Sam wielki „Głos” kota na puszczy z hierofanką i Pythią (... co za Pythia, jaka Pythia, młody ułan Pythia?...) która jest tegoż pisma orłem i reszką – milczą. Nic o „Trybunie” nie piszą.

Milczą, bo nie wiedzą co komu do jemu a mu do go. Dlaczego skonfiskowany Łobodowski redaguje „Trybunę”? Dlaczego ukazują się tam takie radykalne artykuły (komuniści, masoni czy żydzi?), dlaczego tyle wierszy, dlaczego taki atak na miłe sercu endeckiemu tradycyjne zabobony?

Endecja nie wie i milczy. Zaatakować „Trybunę” – hm- ale jeśli to brutalna opozycja lewicująca, bo nawet jedna okładka była czerwona...

Nie atakować-hm- ale jeśli to ukryte niebezpieczeństwo blokowe?

„Głos” na rozdrożu...

Co to jest zgrzyt?

„Kurier Lubelski” nr 98,
10 kwietnia 1932, s. 5.

Wczoraj, gdy szliśmy do kina „Corso” na premierę *Puszczy*, zapytał mnie przyjaciel: – Gdy żona czekając na mnie z obiadem do 3 w nocy, oblewa wodą z syfonu – czy to jest zgrzyt?

– Nie – odpowiedziałem – zgrzyt lubelski jest wtedy, jeżeli ktoś przejedzie autem kobietę, a potem okazuje się, że ten ktoś – to wyższa osoba duchowna,

a ta kobieta, to córka dygnitarza. Słowem, wyższe sfery ale zgrzyt jest.

Poza tem zgrzyt jest, jeżeli, mówca nad mogiłą zasłużonego człowieka podczas pogrzebu pozwala sobie na stwierdzenie, że nieboszczyk był grzeszny. To jest nawet jeden z weselszych zgrzytów lubelskich.

Zgrzyt jest także wtedy, gdy pewne pismo miejscowe w notatce o otwarciu

Ruchomej Wystawy Sztuki (Szpitalna 12) twierdzi, że otworzył ją „wojewoda Grażewicz!” („Głosie” – mój ty marzycielu!)

Zgrzyt jest także, gdy inne pismo opisuje pogrzeb (ten sam pogrzeb) w sposób proroczy, na jeden dzień przed jego odbyciem się...

– A czy – zapytał przyjaciel – jeśli teatr wystawia „W pustyni i w puszczy” aby się dostosować do pustyni widowni to jest zgrzyt?

– Kryj grabulę – krzyknąłem – dobry kawał!

Gusta i guściki

„De gustibus non est suspensorium”, mawiała moja b. p. ciotka, która przeniosła się na włochate łono Abrahama zanim jeszcze zdołałem pojąć wzniosłość tej maksymy.

Przywara ludzka – złe gusta – sprawia, że do „Oazy” ciągle jeszcze niewiele przychodzi osób. Zresztą nie, „osoby” i to nieraz ważne przychodzą, ale przeciętnej publiczności weselej pod „Strzechą”.

I tenże zły gust sprawia, że na ponurej szmirze filmowej p.t. *Rok 1914* codziennie pełno, a na dobrej *Puszczy* w Corsie,

której nawet Warszawa reklamę robi nagradzając Weyssenhoffa – mniej.

I tenże zły gust sprawia, że czytelnicy „Kurjera” (uwaga, coś o sobie samym do potomności), zamiast rozkoszować się artykułem o karalności przerywania ciąży, komentują „zgrzyty lubelskie” rozpiwoczno i na wynos...

A propos de gustibus etc. Znam pewnego prawnika, który na koncercie Michałowskiego gazetę czytał. Założyłbym się, że staruszek od „zgrzytu” oderwać się nie mógł...

„Kurier Lubelski”
nr 103, 15 kwietnia
1932, s. 3.

Ułani, ułani...

Onegdaj, amatorzy grający ułanów na rzecz VIII drużyny harcerskiej, uganiali konno po Krakowskiem w charakterze żywej reklamy.

Sympatycznym harcerzom nie ujmujemy, ale dlaczego ci ułani tak kiepsko siedzieli na koniach? Z czterech zale-

dwie jeden używał konia „kom si, kom sa”, a reszta...

Niektórzy tłumaczyli to zjawisko bardzo prawdopodobnie. Twierdzili mianowicie, że od roku pańskiego 1814 nie jeżdżąc konno, ułani księcia Józefa wyszli z wyprawy...

Trening codzienny to grunt, panowie!

„Kurier Lubelski”
nr 107, 19 kwietnia
1932, s. 3.

Coś zielonego...

Zdarzyło się, że w ślicznej sali dancingu, siedziało towarzystwo złożone z trzech młodych ludzi i dwóch pań. Towarzystwo, choć wytworne i kulturalne, ale niezupełnie katolickie.

Zdarzyło się, że w ślicznej sali dancingu, siedziało Towarzystwo złożone

z bractwa korporacji „C”, towarzystwo i wytworne i bardzo katolickie.

Zdarzyło się, że wytworni danserzy korporacji „C”, usilnie i bardzo agresywnie adorowali urocze niekatolicki, okazując niedwuznaczne zadowolenie z przychylności pań.

„Kurier Lubelski”
nr 115, 27 kwietnia
1932, s. 3.

Panowie – Ubi honor korporacji. Ubi bojkot towarzyski, gospodarczy. Ubi konsekwencja.

Paragraf „Kurjera”, wybacza wam, ale się lekko rumieni.

Jak tu z takimi walczyć co zapominają...

To, czego nie było...

„Kurier Lubelski”
nr 120, 2 maja 1932,
s. 3.

Mój serdeczny przyjaciel, cadyk z Góry Kalwarji, zwykł był mawiać, że wszystko już było.

– Czy aby napewno wszystko? – pytałem z niedowierzaniem.

Wszystko – oświadczył kategorycznie.

Byłem zrozpaczony.

Łaziłem i szperałem, chcąc znaleźć coś, czego jeszcze nie było.

Zabrnąłem do Instytut de Beaté. Instytucja wzniosła i chwały pełna.

Bez urazy –

Tysiące znajomych i nieznajomych pań.

W kącie ujrzałem kogoś, którego obecność w tym miejscu rozrzewniła mnie do łez:

Naczelný i odpowiedzialny redaktor we własnej osobie...

Tego samego dnia pojechałem do Kalwarji. Opowiedziałem cadykowi o zdarzeniu i ryknąłem tryumfalnie: – tego jeszcze nie było, rabi!

Jęk był tylko odpowiedzią.

Zaduszki...?

„Kurier Lubelski”
nr 122, 4 maja 1932,
s. 3.

Jest świętem dla święta obchodzić dzień 3-go Maja.

Wystawiamy i wynosimy na ulicę naszą duszę. Defilujemy, akdemje odprawiamy. Jest uroczystość...

Ale czy biedna szara płyta Nieznanego Żołnierza musi być ślepa na to co ulica mówi:

Bo jakże?

Znicz zapalony! Tłumy defilują. Ale brudne śmiecie zeszlých wieńców z zeszlórocznych zaduszek kryją nieprzeznaczanym grobem, i tak już szarą małą płytę.

Dlaczego?

Tło i obraz

„Kurier Lubelski”
nr 123, 5 maja 1932,
s. 3.

Fotografia jest miłą pamiątką. Fotografia zbiorowa, jest zebraniem miłych chwil życia.

Zespałamy przyjaciół i życie.

Ale każdy obraz musi mieć tło.

Niewinna dziewczica robi słodką minę przed białym ekranem.

Elegancka pani musi mieć żaluzje okienne.

Grupa pracowników społecznych – pomnik.

Ale symbolem czego jest restauracja, przed którą szereg sztywnych i wygalowanych camiltonów C! Hetmanji, bardzo młodych ludzi robi oko do obiektywu. Swoiste upodobanie.

(b.)

Zamiast zgrzytu

Życie nie jest romansem, ale w życiu bywają romanse. Tego samego snąc zdania była i p. E. Młoda i urodziwa.

Dla urzeczywistnienia tej przypowieści, rozejrzała się skwapliwie za obiektem.

Czas szybko mija pomyślała p. E., dzień który przeszedł więcej nie wraca. A obiektu dla miłosnych uniesień, jak niema, tak niema.

I trzeba aż było zapisać się na kursy esperanta, by wśród pięknie brzmiących deklinacji i konjugacji słówek esperanckich, „rzucić okiem” na p. P.

Stało się, co się stać musiało. Panna E. znalazła swój romans.

W tym miejscu jednak zainterweniowała żona p. P. Uczyniła to może zbyt gwałtownie, może nieco niegrzecznie, ale jak tu zmierzyć orkany rozpętane w sercu kobiecem.

Gęsty był deszcz, bo gęsty. Nawet parasolki użyto. Ale ile przykrych słów po-

sypało się w ciszę wieczoru.

Konsternacja ogólna zapanowała dopiero wówczas, gdy na akademii esperantystów, rozsierzdzona magnifika przydybała niewiernych. Na piękną i młodą towarzyszkę posypały się ciosy, zadawane psią smyczą.

Błysnęło coś w powietrzu. Ha, rewolwer – –

Krzyk i samotna ucieczka były odpowiedzią.

Rewolwer okazał się jednak marnym tylko straszakiem, a pani P. stanęła przed sądem.

Była twarda i nieustępliwa. Bodaj kryminał ale przepraszać nie będzie. Za co? Za poszarganą świętość ogniska domowego? Nigdy!

Nie było rady i sąd skazał zbyt zamaszystą żonę niefortunnego amanta na miesiąc aresztu, zawieszając wykonanie kary na 3 lata.

„Kurier Lubelski”
nr 125, 7 maja 1932,
s. 3.

(b.)

Zamiast zgrzytu

Zgrzytów nie będę już więcej pisał.

Życie i tak naogół nie bywa wesołe. Tyle zmartwień człowiekowi w sercu przez jeden dzień osiadzie, że lepiej nie „zgrzytać”.

Doprawdy, że życie nie jest wesołe.

Gdzieś daleko na świecie mądrzy ludzie wiedzą, jak żyć. W Columbji, klub nudystów urządza demonstrację uliczną na goło. Chodzą sobie takie przemile golasy, środkiem najszerszej ulicy, aż serce radośniej jakoś bić zaczyna.

A u nas? Poprostu żółć zalewa. Jeśli się znajdzie nawet któryś wesoły, to i tak go na smutno ubiorą.

Chodzą, szukają, chcą bić. Może to i argument, ale zawsze niewesoły!

Poco odrazu poważnie?

Był sobie naprzykład biedny urzędniczyna nazywał się „Kubuś”. Zupełnie naprawdę. Zresztą żadne imię nie hańbi.

Przychodzi do niego gospodarz i potulnie prosi o komorne, a ten jak nie huknie: „osoba urzędowa jestem, komornego nie płacę”.

Gospodarz w te pędy do urzędu. Poco?

Albo przychodzi do związku spółdzielczego urzędników P. B. R. lustrator, przysłany przez radę nadzorczą. Lustrację zrobił, jak się patrzy. Trwała całutki dzień. Później każe sobie zapłacić za to 300 złotych na rękę.

„Kurier Lubelski”
nr 127, 9 maja 1932,
s. 3.

Nie to jest jednak wesołe, że sobie głupich 300 złociszków kazał zapłacić.

Bynajmniej!

Ale – dalibóg, nie uwierzcie – bez zająknięcia zapłacili.

No?

Zgrzyt

„Kurier Lubelski”
nr 185, 7 lipca 1932,
s. 3.

Poprzez sinawą mgłę lipcowego wieczoru, znieruchomiłą na chwilę ulicą, przesunął się majestatycznie pięknie przystrojony karawan. W otoku wieńców spoczywała metalowa, błyszcząca trumna. A przed trumną księża, księża, księża.

Poprzez sinawą mgłę lipcowego wieczoru, gwarną, szumiącą ulicą, jakgdyby nigdy nic, przemknął szybko, prawie galopem karawan. Na karawanie czarna

trumna, zbita w pośpiechu z chropawych, nieheblowanych desek. A przed trumną człapał pręciutko jakiś człowieczyna z krzyżem w rękę.

Pomyślałem, że właściwie, wszystko pozostało po staremu i Charon nie chce przewieźć biednej duszyczki, która nie ma monety, by mu wcisnąć w garść.

Uporczywie przyczołgało się na myśl stare już słowo: żal.

Filip z konopi

„Kurier Lubelski”
nr 283, 14 października
1932, s. 3.

„Nowa Ziemia Lubelska” z dnia 11 b.m. zainteresowała się nagle literaturą.

Uroczyście zwraca się do Związku literatów „by przypomnieli Lublinowi, że istniał gdzieś, kiedyś, jakiś malarz, poeta, dramaturg Wyspiański”.

Inicjatywa piękna i chwalebna, ale odrobinę spóźniona. Już przed pół rokiem Związek postanowił urządzić akademię ku czci „gdzieś, kiedyś żyjącego poety”, o czym wzmianki ukazy-

wały się w prasie nie tylko miejscowej i o czym „Nowa Ziemia” powinna wiedzieć.

Dziwna rzecz, że pan redaktor, który tak idealnie zorganizował wywiad, jeśli chodzi o prywatne grzeszki swoich znajomych, w tej dziedzinie przejawia całkowitą ignorancję, niewłaściwą, jak na takiego opiekuna sztuki i literatury.

Eh, starość, nie radość, panie redaktorze.

Ankieta teatralna

„Kurier Lubelski”
nr 284, 15 października
1932, s. 3.

Pismo nasze postanowiło wy badać opinię lubelską w sprawie obecnego sezonu teatralnego i zwróciło się do szeregu wybitnych jednostek z prośbą o wyrażenie swoich poglądów na tę sprawę. Oto niektóre z nich:

Wacław Gralewski: „teatr nie posiada minimalnej wartości, linii repertuarowej niema, aktorzy żadni, reżyserja

bezbarwna, słowem zupełna miernota artystyczna”.

Eugeniusz Dziewulski: „czy publiczność będzie chodziła do teatru, czy nie, to dla mnie rzecz obojętna, główną rzeczą panowie jest duch i atmosfera. Jutro wystawiamy operetkę z Kolles Krauze i własną Reginą na dodatek, pojutrze gram Kordjana, wiwat wielka dusza

w małym ciebie, jestem entuzjastą, sezonu nie skończę, niech żyje scena narodowa!”

Zosia Gołębiowska: „w szóstym roku ery sanacyjnej, gdy rządzą walety i sanatorznicy śmiech jest zjawiskiem niezmiernie rzadkim. Kto chce się uśmieć i cały dom rozweselić niech idzie do teatru i cały miłe spędzi wieczór”.

Adam Zajączkowski: „my ludzie czystych rąk, ideowcy, którzyśmy przyszli

poto, aby zrealizować ideje Komentanta (baczność!) zapytujemy gdzie był pan dyrektor Dziewulski, gdy powiacy i legjoniści walczyli, ginęli, znowu walczyli, nie bali się ani bojówek endeckich, ani konfiskat. Przy okazji stwierdzam, że nie my jesteśmy ludźmi skostniałymi, ale pan poseł Cecyljan Ptasieński. Dlaczego pan, panie pośle i t.d. i t.d.”.

Amnestja

My, z łaski śmiechu, Paragraf 1, z racji szczęśliwego powrotu na tron Kurjera, ogłaszamy amnestję dla wszystkich przestępców, którzy w czasach ostatnich zgrzeszyli przeciw zdrowym zmysłom, przyzwoitości i dobremu smakowi.

Z amnestji wyłączeni są:

a) handlarze, dla osobistych celów frymarczący krwią towarzyszy, poległych w dobrej sprawie.

b) oszuści, nadymaniem pustych pęcherzy udający sztandary ideowe,

c) idealisci, mielący otręby własnych zasług na puder do przesypywania niemowląt,

d) wszyscy, którzy usiłowali, usiłują lub będą usiłowali uzurpować sobie prawo do „zgrzytania”, jak to uczynił pewien nieogłędny i bezzębny autochton, za co też zostanie słusznie skarcony w jednym z następnych komunikatów.

Dan w Lublinie, dnia 16 października Anno Domini 1932.

„Kurier Lubelski”
nr 285, 16 października
1932, s. 5.

Satysfakcja niehonorowa

Istnieje jeszcze t. zw. forma honorowego załatwiania sprawy przez zbrojne spotkanie na udeptanej ziemi. Przygodni dwaj sztywni panowie z odpowiednią dozą krochmalu u piersi, wymieniają grzecznościowe ukłony i wizytówki, a kończy się wszystko we wspólnym uścisku nad rynsztokiem. Czy jest to głupie, czy nie, w każdym razie pojedynek taki wymaga pewnej dozy odwagi, chociażby tchórzem podszytej, bo niby

niewiadomo, czy partnerowi co do łba nie strzeli i nie wpakuje szpady na serjo w bebech przeciwnika.

Na podstawie informacji pewnego poczciewego dziennikarza, dowiadujemy się, że istnieje inny sposób załatwiania zatargów honorowych. Posyła się sekundantów, z góry wiedząc, że się sprawę zakończy bezboleśnie, bo przeciwnik nie może stanąć na placu z tych czy innych względów.

To też jest forma... satysfakcji.

„Kurier Lubelski”
nr 287, 18 października
1932, s. 3.

Jesienne manewry

„Kurier Lubelski”
nr 288, 19 października
1932, s. 3.

Ożywienie w stutysięcznym grodzie jak nigdy. W świecie nowoziemskim załopotano, zafalandyszyło, zajączki latają, prawdziwa lampa ideowa z brenerem i knotem w środku.

Wczoraj zgłosiła swój akces organizacja zawodowa praczek, jutro spodziewane jest przystąpienie związku stróżów nocnych. Konfiskat dotychczas było sześć, dalsze są spodziewane. Ruch w interesie jak nigdy. Manewry jesienne.

Ale chodzą słuchy, że to niedługo się skończy. Główny szef dostanie jeszcze dwie koncesje wódczane, pani X krzyż na klatkę piersiową, pan Y nominację, drobne zet premdziatko po parę złotych na ryło i budę się zamknie.

Cyrk przyjechał, cyrk odjedzie. Zostanie zmięta trawa i trochę nawozu końskiego. Zdrowo. Przyjemny zapach. Jak po każdym ekskremencie ideowym.

Chorzy koledzy

„Kurier Lubelski”
nr 289, 20 października
1932, s. 3.

Tam, gdzie królują denuncjatorzy i szpicle, łatwo nawinie się i hochsztapler. Tam, gdzie kwitną, jak fijołki w trawie usmarkane falandyszyki, tam nie trudno spotkać i „pospolitego szopenfeldziarza” w sile wieku. Jakże szybko wywęszą kanale swoich pobratymców, jak się czule obejmują, jak prędko do-

chodzą do zgody!

Ale niech tam – nie przeszkadzajmy tej czulej sielance na bagnistych łączkach nad słodko szemrzącym Nikandrem. Niech piszą, niech zarabiają.

Wsiakają swołocz tożę choczet żyt’.

„Dajcie się wypowiedzieć choremu koledze, panowie”.

Zagadka

„Kurier Lubelski”
nr 293, 24 października
1932, s. 3.

Nie człowiek, raczej bydlę, ma sześć stron papieru, na wzniosłe ideały nacina frajerów od śledczego urzędu bardzo niedaleka co dzisiaj nagryzmoli, to jutro odszczeka, a pojutrze bez zmiany dawną złością dyszy, Zajączkuje, brenerzy, nawet falandyszy i zakwita w Lublinie, niby kwiatek rzadki. I cóż to jest takiego? Odgadnijcie dziatki.

„Osobiste!”

„Kurier Lubelski”
nr 294, 25 października
1932, s. 3.

Pod takim to tytułem kroniki dzienników zamieszczają krótkie wzmianki o wydarzeniach rodzinnych, wyjazdach, urlopach osób nie tyle znanych na grun-

cie lokalnym – ile znakomitych t. zn. pełniących ważne funkcje urzędowe.

Wzmiankę taką daje się zazwyczaj po to, aby ewentualni interesanci nie na-

chodze danego urzędu w dniach urlopu, czy wyjazdu zainteresowanej osoby.

Zwyczaj ten więc ma znaczenie przede wszystkim praktyczne, a jeżeli się do niego przyplącze pewnego rodzaju snobizm – „patrzcie jaki jestem ważny” – to już jest wykwitem partykularza i pidowskich stosunków.

Niestety – moda wzmianek p.t. „osobiste” zakręca w głowach różnym podrzędnym funkcjonariuszom, skromnym sekretarzynom – ot prawie lokajom.

Jako szef miał niedawno wzmiankę w prasie o urlopie – a sekretarz nie-miałby?

Zwłaszcza o ile niedawno wyłabudał się na stanowisko prezesa – dajmy na

to – bractwa różańcowego? – już się robi! Usłużne krewniaki i kolegalasy sypią wzmiankę i forują na znakomitość przepychającego się łokciami człowieka.

I w rezultacie dowiadujemy się z dzienników, że pan Y-grek wyjechał na dwa dni do Warszawy – znając tego y-greka i jego „odpowiedzialne” funkcje, otwieramy szeroko zdziwione oczy – i pytamy – „a cóż do diabła nas obchodzi?” – „i – niech jedzie na złamanie karku!”.

– A może niezadługo w rubryce „osobiste” będziemy się dowiadywać o tem – jaki stolec miał wczoraj pomocnik pana sekretarza – wyższego dygnitarza?...

Dzikie muły na stepie („N. Ziemia Lub.” nr, nr,125,127,128)

Oto fragment z powieści:

„młodziutkie ciało przesłaniało swym czatem wszystkie te, które miał już w swoich ramionach... W pożądaniu gorącym nie było żadnego wspomnienia, żadnych porównań – i nic z zapomnienia... Miłość wygładziła wszystko... Pierwsze olśniewające światło nowej ery”

drugi fragment: „Jerzy patrzył na nią całą duszą... wchłaniał woń świeżych płatków, woń subtelną. W tem jedwabistym kwieciu jak ciele Lizy witał tajemniczy porządek spraw...”

To rozumiem! – oto piękny kawałek prozy! Już wiemy skąd ma przyjść olśniewające światło nowej ery! Ale kto to tłumaczył, kto – pytam wzruszony. Czy nie znać tu lwich pazurów literata, który genialnie spolszczył historję Rasputina?

Ale to jeszcze fume, towarzysze! Cóż, powieść, czytamy artykuły! Odrazu uderza nas sensacja. Dowiadujemy się, że p. X jest adoptowanym ojcem własnej córki. A czy własną babcię można adoptować? Okazuje się, że można, bo wogóle od pewnego czasu dzieją się takie cuda, o których nawet falandyszkom się nie śniło. Z kolei przechodzimy do spraw kobiecych i czytamy:

„taka jest natura naszych młodych <<gąsek>>, które nie znają tajników życia wojskowego i dlatego nie umieją go należycie ocenić!”

Rzeczywiście, młode panny, bo o nich tu mowa, nie znały dotychczas „tajników życia wojskowego”, ale kto wie, za sprawą św. Nikandra, może poznają, zwłaszcza, gdy wezmą za dewizę powiedzenie: „Omnia pro Partja”

Eh, ty duralej afrikanowicz.

„Kurier Lubelski”
nr 295, 26 października
1932, s. 3.

Jan Samuel Miklaszewski **Oświadczenie**

„Kurier Lubelski”
nr 296, 27 października
1932, s. 3.

W związku z artykułami p. Nikandra K. Miklaszewskiego ukazującymi się w „Now. Ziemi Lubelskiej” oraz powsta-

łemi z tego powodu nieporozumienia-
mi, oświadczam, iż ani z artykułami, ani
z ich autorem nie mam nic wspólnego.

Józef Czechowicz **Oświadczenie**

„Kurier Lubelski”
nr 296, 27 października
1932, s. 3.

W związku z anonimowymi plotkami
i pogłoskami, jakoby był autorem notat
podpisywanych w „Kurjerze Lubelskim”
od dnia 13 b. m. pseudonimem „Paragraf”
oświadczam, iż nie jestem ich autorem.

Zainteresowanych, którym to oświad-

czenie nie wystarczy, proszę, aby nie
biegali po mieście szerząc plotkę w re-
dakcjach, kuratorjum, etc., lecz aby ze-
chcieli zgłosić się bezpośrednio, czy też
przez zastępców do mnie. Adres mój:
Radziwiłłowska 3 m. 20.

Józef Łobodowski **Oświadczenie**

„Kurier Lubelski”
nr 296, 27 października
1932, s. 3.

Pomimo mego kategorycznego stwierd-
zenia na łamach „Kurjera Lub.”, że
autorem *Zgrzytów lubelskich*, jestem
wyłącznie ja i jedynie ja za nie odpo-
wiadam „N. Ziemia Lub.” uporczywie

przypisuje ich autorstwo komu inne-
mu.

Wobec tego stwierdzam świadome
i rozmyślne kłamstwo ze strony redak-
torów „N. Ziemia Lub.”

Sztuka gliniańska i mydło toaletowe

„Kurier Lubelski”
nr 297, 28 października
1932, s. 3.

Jest w Dubnie szyld głoszący: „Zegar-
mistrz, pobija beczki, w dni pogodne
kosi” (autentyczne – przynajmniej tak
twierdzi Nowakowski).

Lublin jednak pobił rekord interesu-
jących szyldów. Na ulicy 3-go Maja 22
jest sklep z najrozmaitszą tandetą we-
wnątrz, opisaną na frontowej ścianie
sklepu w najfantastyczniejszy sposób.

A więc „Wystawa sztuki gliniańskiej,

ludowej Koszowskiej, sprzedaż myd-
ła i towarów galanteryjnych. Wejście
i obejrzenie nie obowiązuje do kupna”.

Szanowny właścicielu! Racz przyjąć
do wiadomości, że niema żadnej sztuki
gliniańskiej, koszowskiej etc, a jest jedna
i jedyna sztuka przez duże S.

Spotyka się ją bardzo rzadko i nie
w towarzystwie mydła.

Sztuka z mydłem to zgrzyt.

II.

„W błyskawicy”. Nowy, już cawarty z kości tam Czechowicza. Pierwsze wrażenie raczej ujemne. Po „Kamieniu”, który był rewelacją zapowiedzią wielkiego talentu i „Dnia jak codzień”, który tą zapowiedź realizował, poszedł Czechowicz w innym kierunku i zawiodł tych, którzy oczekiwali rozwinięcia wszystkich możliwości. Stąd rozczarowanie i zdziwienie, stąd pośądzenie o kwietyzm. Ale o obniżeniu poziomu poetyckiego i o twórczej stagnacji na podstawie tego tomu wogóle mówić nie można. Linja poetycka Czechowicza jest nadal wymierzona ku górze i dalszemu rozwojowi, a tylko zakres jego twórczości uległ rwęceniu; to, co wielu wydaje się drcpieniem w miejscu, jest poprostu rezygnacją z pewnych możliwości, przeważnie natury bezpośrednio-pozapoetyckiej, na rzecz zdobytych wyłącznie estetycznych. W wyniku tego, zdaje się najzupełniej świadomego stanowiska rwęcenie problematyki wynagrodzone zostało oczyszczeniem poetyckiego tonu, wysubtelnieniem środków artystycznych i powstaniem zdobyciami wersyfikacyjnymi. A więc przedewszystkiem dalsza modyfikacja strofy, która jeszcze w „Balladzie z tamtej strony” miała bardziej wyrazistą budowę, (podstawą do niej była kombinacja ababc). Czechowicz raz po raz ociera się o *vers libre*, ale całkowicie wedł nie wpada; zachowanie dyscypliny stroficznej trzyma go na uwiek.

Kilkakrotnie uitywa białego wiersza, ale nie sądzę, aby miała to być jego winiciwa droga; rezygnacja z agonizansu zabedy go raczej, niż wzbogaci. Dudy krok naprzód zrobił Czechowicz w rytmie, o wiele dźwięczniejszej niż dawniej, obfitując w ciekawe zestawienia i oryginalne postrukiwania. Należy z radością zanotować fakt, że czołowy przedstawiciel awangardy przedkwasnia rozwyrżeniu i anarchji wersyfikacyjnej wielu młodych i najmłodszych zdyscyplinowaną i ściśle kontrolowaną rytmikę, poszukując nowych osiągnięć na drodze modyfikowania i uwspółcześniania daw-

Recenzja w *błyskawicy* Józefa Czechowicza Józefa Łobodowskiego i Sz. Marienholza w rubryce „Na froncie poetyckim”. „Dziwigary” nr 1, listopad 1934, s. 67-69. Pismo w zbiorach WBP im. H. Łopacińskiego.

nych stóp i rytmów. Pilnie przyjrzawszy się, znaleźliśmy u Czechowicza i gładki dźwięczno-zgłoskowiec, tak ulubiony przez romantyczną poezję rosyjską od Kierosza aż do Błoka, i tradycyjny aleksandryn mickiewicowski, a nawet spotkamy się z powolnym rytmem heksametra, odmłodzonego i dzielnie dobrze czującego się w marjażu z nowoczesną metaforą. Doprowadzona do wysokiego kunstn rytmika jest niezwykle czujna w stosunku do podokrotnego toku wzmuszeń, idealnie sprawna i posłusznie odpowiadająca na każdy gest poetycki. Wzniosłość, oparta na pięknej i czystszej w tonie metaforze, jest niemal błokowska; pokrewieństwo z genialnym Rosjaninem sięga tu zresztą jeszcze dalej. Cała metafizyczna podszewka poezji Czechowicza, jej aresztowość oparta na dokładnej filtracji rzeczywistości i destylacji wzmuszeń zblita go do autora „Nierakomki” i decyduje o postrzycie zwołaniu. Interesujące, że poeta, którego narodzinom patronował Apollinaire, jest w gruncie rzeczy najbardziej romantyczny z pośród młodych. Filjarze formalistyczne, a później pokrewieństwa z integralizmem nie zapełniły Czechowicza z właściwej drogi, ale bardzo jej uwspółcześniły jego rzemiosło. Przewaga Czechowicza nad „zwrotnicowcami” czy „linjowcami” polega właśnie na tym, że nie obciążony balastem futurystycznego lawentarsza, wypracował własną, irracjonalną ekspresję liryczną i ustrzegł jej od pomieszczenia, lub, co gorzej jeszcze, identyfikacji z rzeczami drugorzędnymi, ściskał już tylko technicznymi. Jednakże owe nałężenie czystego liryzmu, doprowadzone do maksimum, i oczyszczenie poetyckiego tonu zamieciło się na Czechowiczu w inny sposób. Atmosfera, z której dokładnie wypompowano powietrze, jest krystalicznie czysta i mroźna, gwałtowna i ciężowa, ale jej spokój jest tylko pozorny. Poprząz estetyzm autora przetrza, nie dość zamaskowany niepokój człowieka, którego słodzy barw i dźwięczna muzyka słów uskrzydlała i unosiła, lecz całkowicie nasycić nie mogła. W świetle zestrojoną orkiestrę wyrwa się jakiś dysonans, który przenika nawskroś i mroźnym oddechem dębi włosy na głowie. Ten odwieczny strach przed czarną otchłanią nieba, nieprześlągniętego ciemną atmosferą, nie znajduje żadnego równowatnika życiowego w psychicznej konstrukcji tego rodzaju, co autor „W błyskawicy”. Zamknięcie się w świecie wzmuszeń i wznoszących się osobliwych, irracjonalnych odręgiło Czechowicza od społecznych korzeni i pogłębiając zasadniczy ton poetycki, wpędziło go w ślepią uliczkę metafizycznego przerażenia. I dlatego te piękne wiersze są jak sny i widzenia człowieka opętanego przez poezję i obnoszącego ją po świecie, niby sztandar, niby jedyny sens swego istnienia, które bez niej zawaliłoby się nieuchronnie, nie znajdując żadnego oparcia w rzeczywistości. Wszystkie te względy decydują o aśpoleczności i schyłkowości poezji Czechowicza i o jej — na tle dzisiejszej konfiguracji w świecie ideał — burzajowości. Jednakże schyłkowość i burzajowość — to nie są jedyne słowa, któremi można byłoby bezapelacyjnie załatwić się z Czechowiczem. Korzenie tej poezji wyrwane zostały z gleby, która jako podstawa obowiązuje każdą społecznie odpowiedzialną i w konsekwencji tego czynnie usposobioną jednostką, ale jej szczyty kąpią się w atmosferze osobistej religii, której dyskwalifikowanie na nic nam się nie przyda, ponieważ jest ona nierozłącznie związana z samą twórczością poety. Stąd jej wielość niepopularności i odosobnienia.

wicza i o jej — na tle dzisiejszej konfiguracji w świecie ideał — burzajowości. Jednakże schyłkowość i burzajowość — to nie są jedyne słowa, któremi można byłoby bezapelacyjnie załatwić się z Czechowiczem. Korzenie tej poezji wyrwane zostały z gleby, która jako podstawa obowiązuje każdą społecznie odpowiedzialną i w konsekwencji tego czynnie usposobioną jednostką, ale jej szczyty kąpią się w atmosferze osobistej religii, której dyskwalifikowanie na nic nam się nie przyda, ponieważ jest ona nierozłącznie związana z samą twórczością poety. Stąd jej wielość niepopularności i odosobnienia.

Zerwanie z komunizmem

Józef Łobodowski Smutne porachunki

W niedzielnym dodatku literacko-naukowym „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” z dnia 15 września b.r. ukazała się recenzja Stefana Napierckiego z *Rozmowy z Ojczyzną* Józefa Łobodowskiego p.t. *Rozmowa o Łobodowskim*. Rozmowę tę prowadzą dwie fikcyjne postacie – Karol i Tadeusz, przy czym Karol zarzuca Łobodowskiemu anarchizm, neurastenię i żąda od poety „heroizmu” w obronie kultury europejskiej. Dialog poniższy jest nie tyle obroną zaatakowanego autora, ile raczej próbą przedstawienia jego ewolucji ideowej i obecnego stanowiska.

PRZYJACIEL Uderzając ręką w wyciniek: Czytałeś?

AUTOR Czytałem.

PRZYJACIEL I co?

AUTOR Ano cóż. Nie można krytykowi robić wyrzutu, że szczerze wyraził swoją opinię.

PRZYJACIEL Oczywiście. Subiektywnie ma rację. Jednak obiektywnie... Czyżbyś się godził ze wszystkimi zarzutami Karola?

AUTOR To kłopotliwa rzecz. Trzeba mówić o sobie, odpiarać zarzuty, efektowne uproszczenia, wydobywać na światło łęk, któremu podporządkowane są twarde żądania, poprosić surowego sędziego o rachunek sumienia. (...)

PRZYJACIEL I znów cię posądzą o histериę...

AUTOR Ci co udają, że są z jednej bryły wykuci. Zawodowi mistyfikatory. Uwodziciele zredukowanych młodzińców. Fabrykanci nieletnich

więźniów politycznych. Żandarmi stojący na straży partyjnej prawomyślności. Rewolucjoniści... Jakże podle nadużywa się tego słowa! Rewolucji prawdziwej, która nie tylko krwawo kształtuje powierzchnię ziemi, ale i zbliża ludzkość do prawdy, nie rozpętają talmudyści uczeni w piśmie, kłopotący się o to przede wszystkim czy ten i ów nie wpadł w herezję, w „zbrodnicze odchylenie polityczne”.

PRZYJACIEL Przesada. Dostarcz argumentów, skoro oskarżasz tak ostro.

AUTOR Dostarczę. Poczekaj trochę. Ja dopiero wychodzę do walki. Nie wybiła jeszcze moja godzina. Niech im się zdaje, że „zziębłem o szarym świecie” i cierpię na katzenjammer. Przecierpię.

PRZYJACIEL To samo zapowiadał w jednym ze swych poematów Jasienin. Nie spełnił niestety. Uważaj, to niebezpieczna analogia.

AUTOR Dobrze. Nie zaszachujesz mnie tym przykładem. Majakowskij też się zastrzelił. Chwyłowyj tylko na chwilę wyprzedził samobójstwo Skrypnika. A Sosiura? A szaleństwo profesora Kruszelnyckiego? Czy to także neurastenia pijanych anarchistów? Żle się dzieje w królestwie duńskim, mój ty trzeźwy królewiczu!

PRZYJACIEL Daleko odbiegliśmy od tematu. Mieliśmy mówić o recenzji twojej książki.

AUTOR Jestem konsekwentny. Uzasadniam swój pesymizm.

PRZYJACIEL Usprawiedliwiasz się.

AUTOR Znów uproszczenie. Nie mam nic do usprawiedliwiania. Nie

„Wiadomości Literackie” 1935, nr 43, s. 1.

czuję się oskarżonym. To ja zaczynam oskarżać.

PRZYJACIEL Gdzie twój trybunał, prokuratorze! Jesteś sam, samotny...

Nie jest samotny, z kim słuszność.

PRZYJACIEL Gorzka to słuszność i desperacka. Zważ swoje słowa. Dziś podyktowało ci je rozgoryczenie. Jutro, zmienione w pociski, przeciwko komu się obrócić?

AUTOR Nie terroryzuj mojej szczerości. Znam te metody, ale już się ich nie przestraszę. Z kim mam pójść w jednym szeregu do walki? Co zrobić? Wieszać transparenty na słupach telegraficznych ku ucieście ulicznej gawiedzi? Wędrować po wsiach, namawiając chłopów, żeby wybierali delegatów na kongres antywojenny w Amsterdamie? Odbijać ulotki o treści tak doskonale szablonowej i wyświechtanej, że ją każdy woźny sądowy wyrecytuje znudzony na pamięć? Gnić w więzieniu, podczas gdy komisarz sowiecki pije na bankiecie na cześć króla brytyjskiego? Zbytek optymizmu, towarzysze!

PRZYJACIEL Raz jeszcze: wracajmy do tematu!

AUTOR Nie lękam się słowa – anarchia. Sporo wyszło na świecie wysiłkiem ludzi, których piętnowano tą nazwą, brzmiąca dziś jak obelga. Brak dyscypliny to niekoniecznie dążenie do zrzucenia z siebie wszelkiej odpowiedzialności. Bywa tak, że wszystkie aktualne dyscypliny jednakowo stają się wstrętne i potrzebna jest odrobina odwagi, żeby się przyznać do tej katastrofy.

PRZYJACIEL Więc jednak katastrofa...

AUTOR Katastrofa jest niekiedy zwolaniem. Zarzuca mi Karol, że nie widząc wyjścia dla samego siebie, na zagładę skazuję cywilizację. Jestem skłonny uderzyć w pokorę i zapytać, gdzie mój mentor widzi zbawienie? Jeśli znalazł formułę zaklęcia, niechże się podzieli ze znękanym światem. Ale nasz mędrzec tylko udaje, że wie. Przeto nie

ma prawa dyskwalifikować moich „pijanych majaczeń”. Nie żałujcie mi, klerkowie, kieliszeczka wódki. Nie sądzicie, że bez reszty zamieszczę się w knajpie. To za niska cena jak na mnie. Nie przeliczcie się, taksatorzy!

PRZYJACIEL Unosisz się, zatem nie masz słuszności.

AUTOR Łatwo wykazać się wobec ludzi spokojem i równowagą. Pisać wiersze o doskonale optymistycznej poincie, które entuzjazmem napełniają gromadę żydowskich podlotków, demaskować innych poetów, licytować się w ortodoksyjności. Wtedy byłbym „mądrym marksistą” i wezwania Karola do obrony cywilizacji zachodniej nazwałbym „zamaskowanym interwencjonizmem antysowieckim”. Jakże naiwni są nasi klerkowie!

PRZYJACIEL Nie atakuj zbyt ostro Karola. W tej rozmowie o tobie ostatnie słowo należało do oponenta. Było przyznaniem się i do własnej bezsilności.

AUTOR Wiem o tem. Już mówiłem, że natarczywość jego żądań jest grubo watowana niemością ukrytym lękiem. Za surowym połyskiem sędziowskich szkieł kryją się przestraszone oczy bezradnego człowieka. Staje na palce, wkłada broń heroizmu, ale spod pancerza wiszą żałosne poły dobrze skrojonej marynarki. Miejmy nadzieję, że w kieszonce tej marynarki tkwi uperfumowana chusteczka, a nie piersi wydętej wzniosłością zasobny portfel. Na tym przecież polega zasadnicza różnica między klerkiem a ... anarchizującym apaszem-inteligentem. Widowisko dość żałosne, choć nie trudno je zrozumieć i współczuć.

PRZYJACIEL Współczuć... z kim...

AUTOR Właśnie z Karolem. Z tym całym światem ginącym, który gwałtownie pragnie żyć i postawiony pod ścianą, jeszcze mówi wzniosłe słowa o ratowaniu cywilizacji. Ale ich ręce, przyzwyczajone do pióra, nie sięgną do gardła wroga.

PRZYJACIEL A ty?...

AUTOR Ja jeszcze nie zdążyłem czynem usprawiedliwić swego istnienia i swojej twórczości. Gotów jestem przekreślić ostatnie lata wewnętrznej szarpaniny i hardości nazewnątrż. Stać mię na tę rozrzutność. Nie jeden klerk byłby na mojem miejscu oszczędniejszy i żył z tego kapitału do późnej starości.

PRZYJACIEL Nie atakuj osób. Zwalczaj argumenty.

AUTOR Karol spostrzega u mnie „dążenie do zatrąty”, „w pustkę”, „w nicość” – Szczudłami literackimi, rekwizytami z papier-maché nazywa różgi liktorskie. Nie odczuł ich ciosów na sobie, ukryty za wysokim murem willi, pod której bramą przechadza się policjant. Z jakiejże to wysokości trafiają mnie gromy?

PRZYJACIEL A jednak te gromy rozległy się dość szeroko. I wielu ucieszyły.

AUTOR O tak... Przyjaciół nigdy mi nie brakło. Opinia publiczna zawsze znajdowała czas, aby zająć się moją skromną osobą. Kiedy wydawałem książki i pisma „o treści wywrotowej”, poszła po Lublinie plotka, że za pieniądze Kompartji „zatrnuwam ducha narodu”. Dziś, gdy ujrzano moje nazwisko na szpaltach zasobnych w gotówkę czasopism, znów wszystkie gamratki jazgoczą, że się dał przekupić i dlatego zatrąbiłem na odwrót. Te same grzebieniuchy, które parę lat temu kwiczały z uciechy, widząc moje połatane portki, teraz martwią się po nocach: „skądże to Łobodowski ma forse”. Dla nich pieniądze są wszystkim. Nie wiedzą, że wtedy, gdy mnie ścigano, sądzono i osaczano, gdy byle pętał pluł mi pod nogi, gdy srogą zimą marzłem w letnim palcie, gdym w więzieniu wojskowym pisał wiersze na ścianie – byłem szczęśliwszy niż dziś.

PRZYJACIEL Jakże to udowodnisz?

AUTOR Urągają mi z chwilą gdy przyszła stosunkowa pomyślność zewnętrzna. Cóż z tego, gdy zabrakło pomyślności ideologicznej! Nasi rewolucjoniści są szczęśliwi w tym względzie.

Nie mają wątpliwości. I skądże. Partja za nich myśli, wszelkie niejasności rozwiła. „Cirkular... sidi.. nam dumat' niezia koli duma jut woźdi” – Ale dla mnie najwyższą instancją jest moje własne sumienie.

PRZYJACIEL Nie bądź jednostronny. Ty sam nie jesteś bez winy.

AUTOR Iść z nimi – to znaczy co dzień zadawać gwałt sumieniu. Zakrywać oczy na wszystko czego się widzieć nie poleca. Poddać się terrorowi moralnemu. Wstrzymywać się z wygłoszeniem własnego zdania, póki nie przyjdzie urzędnik i nie uzgodni poglądów w myśl bezimiennego nakazu. Żyć w strasliwym przeświadczeniu, że wszelka krytyka, wszelka próba opozycji ideowej będzie potraktowana jako zamaskowana kontrrewolucja. Mam dość tej zabawy. Spójrz na wczorajszych żołnierzy wolności, dzisiejszych niewolników frazesu – ich głowy zaczynają dojrzywać do gilotyny.

PRZYJACIEL Miałeś odpowiedzieć na zarzuty Karola. Poniosło cię. Buchnęła twoja nienawiść do sprawy, którą zdradziłeś.

AUTOR Nie jest zdradą ani dezercją zrzucenie munduru, w którym duszno. Nie jest zdradą wypowiedzenie posłuszeństwa uzurpatorom idei. Nie zdradzam haseł wolności. Opuszczam ludzi, którzy zdegradowali socjalizm.

PRZYJACIEL Wiesz jak cię nazwą...

AUTOR Wiem. Ale powiedz, któż to mnie będzie sądził. I w imię jakich wartości? Pokaż mi filozofów prowadzących dalej myśl socjalistyczną, wymień mi uczonych, poetów, bohaterów, którzy podpiszą na mnie wyrok. A jeśli podpiszą, gdzież gwarancje, że ich ręką nie kieruje urzędnik terroryzujący odwagę sumienia i niezależność przekonania?

PRZYJACIEL Powtarzasz się beznaście. Stare to zarzuty i wyświechtane.

AUTOR Starsze są przyczyny tych zarzutów. Starszy jest fałsz, który stał się

codzienną bronią socjalizmu. Nie można kłamać bezkarnie zbyt długo, licząc na naiwność słuchaczy.

PRZYJACIEL Ten dekalog jest codziennie łamany w twojej ojczyźnie.

AUTOR W mojej ojczyźnie nie brak ludzi, którzy zbrodnię nazywają po imieniu...

PRZYJACIEL Uważasz, że wystarczy ta zabawa w piękne słówka?

AUTOR Uważam, że to zabawa szlachetniejsza niż prestidigitatorstwo ludzi, których spryt wysila się na udowadnianie słuszności tego, co się wczoraj potępiało. Uważam, że rewolucja – to przede wszystkim przywrócenie godności każdej jednostce! A nie sądzę, aby godność ludzka święciła tryumfy tam gdzie tyłu najwartościowszych musiała jej szukać w samobójstwie.

PRZYJACIEL Majakowski zastrzelił się z miłości...

AUTOR Oczywiście. Wszędzie erotyzm. Na przykład, przyczyną upadku towarzysza Janukidze stały się nóżki baletnie. To wzruszające, taka dziwkologia wśród marksistów.

PRZYJACIEL Skończmy tę rozmowę zbyt wiele już powiedziałeś.

AUTOR Dostatecznie, aby mnie odsądzono od czci i wiary. To jest właśnie terror, który uprawiacie. Napisać, czy powiedzieć, że Sowiety, wstępując do Ligi Narodów, zlizyły własne plwociny, których przedtem nie szczędziły

genewskiej instytucji, skrytykować działalność Kominternu, nie wykazać entuzjazmu dla masakry po śmierci Kirowa, słowem, kierować się w ocenie zjawisk sumieniem a nie partyjnym nakazem – to w języku oficjalnym nazywa się kontrrewolucją. Więc teraz może czas na odwrócenie pewnych pojęć i rewizję szablonów. Dla mnie kontrrewolucjonistami odsuwającymi o dziesiątki lat zwycięstwo socjalizmu są właśnie tępi marksści i to wszystko co dzisiaj nosi stempel oficjalnej rewolucji.

PRZYJACIEL I dlatego, że widzisz w socjalizmie szereg ciemnych plam, chwilowych zapewne, przechodzisz do szeregów faszyzmu...

AUTOR Wiedziałem, że nie oszczędzisz mi tego zarzutu. Podzieliliście świat na dwa obozy i nie dopuszczacie myśli, że coś jeszcze istnieje poza ich granicami. Poczesczajcie się jak długo będziecie mogli. Kto wie, czy wiele macie czasu.

PRZYJACIEL Grozisz...

AUTOR Nie, mój kochany. Tylko mam niezłomną wiarę w ostateczne zwycięstwo sprawiedliwości i prawdy. Wierzę, że wichry dziejowe zmiotą naszą nędzę i tchórzostwo, że nareszcie zasłużymy na miano wolnych ludzi. Potoczy się światem lawina obrazoburstwa. Rozbijemy posągi bożków wszystkich dogmatów i wyznań. To będzie rewolucja godna ofiary naszych ramion i serc.

Józef Łobodowski Uzurpatorzy wolności

Dając do „Wiadomości Literackich” na jesieni ub. r. artykuł atakujący ideowy radykalizm marxowski, wiedziałem dobrze i od razu w artykule napisałem, co mnie za to czeka. Jakoż nie myliłem się. Wystąpienie p. Wandy Wasilewskiej, generalny atak „Lewara” [...] i inne posunięcia [użytkowników] pióra przyniosły właśnie te intrygi i obelgi, które przewidziałem i przepowiedziałem. Nikt nie zdobył się na słowność w zniewagach, [...] wymysłach: sięgnięto znanego dobrze repertuaru określeń [...]: Łobodowski długi czas [grał] radykała, aby prowadzić [samowolę], a gdy nasi demaskatorzy zaczęli deptać mu po piętach, zrobiło się ciasno i zdecydował się wystąpić w arnese innej roli faszystowskiego pana.

Pewne metody są stosowane przez [...] skrajnie lewicowych zawsze podobnie. Pierwszy niezawodny cios – cios prowokacji organizacyjnej [...] Dla karnego komunisty w ogóle nie istnieje możliwość ideowej opozycji. Jeśli ktoś staje w szeregach tej opozycji, powiedzmy trockistowskiej czy prawicowej, ten jest albo [panem] za pieniądze przechodzącym [do ruchu] faszystowskiego, albo poprostu szpieg kapitalistycznej Europy, przygotowującym grunt pod zbrojną interwencję przeciw Z.S.R.R. Przecież całość narodowo zorientowanej części [...] komunistów zwalono na karb działalności kilku agentów. Czy nie przypomina to najbardziej tępych spośród naszych [...] endeków uważających, że komunista to szpieg [...] czerwonej Moskwy? [...] To podobieństwo jeszcze nie raz będzie się rzucało w oczy. Nic bowiem tak ludzi nie dzieli jak różne korzenie kulturalne, nic tak nie łączy jak kołtuństwo [...].

PROLOG DRAMATU

Przyznanie się do klęski osobistej i mówienie o tem jest aktem małodusznym i poniżającym, jeśli nie towarzyszy mu dokładna świadomość przebytej drogi i popełnionych błędów, jeśli gorczyz zawodu nie stanowi impulsu do dalszej walki o swoją prawdę. Pokolenie moje, a przynajmniej ta jego część, której obca jest rezygnacja, bierność i chroniczne załamywanie rąk, coraz częściej przekonują się w osobach swoich przedstawicieli, że ubite trakty, reklamowane jako jedyna droga wiodąca do celu, prowadzą w zaułki, zabite na głucho deskami i ogrodzone tysiącami szlabanów. Ale o tem rzadko się mówi, a jeśli – to prywatnie i nieobowiązująco. Dziś bowiem nie wypada mieć żadnych wątpliwości i grzechem jest czynić zastrzeżenia. Starzy i doświadczeni wyjadacze, sutenerzy na utrzymaniu rewolucji, monopoliści na głód, nędzę i trupy, potrafią zawsze wytłumaczyć młodszemu koledze, że jego wątpliwości są wynikiem braku ideowego wyklarowania, a zastrzeżenia, choćby podyktowane wstrętem do etycznych machlojek, to po prostu inteligentkie błędzenie po manowcach.

Wielu z nas młodych (nie śmiem napisać: większość) zradykalizowała się nie z przyczyn gospodarczych. Osobista nędza, brak posady, słowem zdeklasowanie, jako źródło radykalizacji młodego inteligenta, często wogóle nie istnieje. Jakże wytłumaczyć, że zdolny maturzysta, któremu niezła posada sama wchodzi w ręce, przed którym widnieje obiecująca kariera, rezygnuje z posady, uniwersytetu, kariery, zaczyna się ciskać i awanturować, aż wreszcie jego nazwisko zostaje wciągnięte do kartotek urzędu śledczego, a jego działalność

„Wiadomości Literackie”, 19 lipca 1936, nr 31 (663), str. 1-2. Pisownia oryginalna.

zyskuje uroczne określenie: antypaństwowa. Uświadomienie klasowe – prawie marxsta. Ale pochodzenie młodzieńca nie jest proletariackie, wręcz przeciwnie, pochodzi on z klasy „wyzyskiwaczy”. Przejście z obozu mieszczańskiego do proletariackiego, podyktowane dialektyką epoki – nie poddaje się marxsta. Pięknie, ale szkolny kolega młodzieńca, będący w znacznie gorszych warunkach, z całą świadomością pozostaje w obozie mieszczańskim i ani rusz nie chce skapitulować przed dialektyką.

A więc musi być jakiś imperatyw, tkwiący poza kategoriami ekonomicznymi, który naszego młodzieńca popycha w objęcia „wrogów religii i narodu”. Widocznie mocno w nim siedzi poczucie sprawiedliwości, widocznie jego zasady etyczne nie pozwalają mu godzić się z otaczającą rzeczywistością i każą szukać drogi wyjścia. Że w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto uwierzy w rewolucję społeczną i pójdzie tam gdzie się o tej rewolucji ciągle mówi, to już kwestia przesądzona. I oto mamy świeżo upieczonego komunistę, który zabiera się do lektury teoretyków socjalizmu wyłącznie po to aby znaleźć w niej rozumowe podstawy dla istniejących już i jedynie decydujących dyspozycji uczuciowo-moralnych; aby egzaltacja uczuciowa i roznamietnianie nie zamykają mu oczy na szereg zjawisk, które pierwotnie lekceważone i pomijane, szcenasem zaczynają zbyt gwałtownie apelować do autokratyzmu, wyrastać do wielkości szkopułów o znaczeniu zasadniczym.

I tu zaczyna się pierwszy akt melodramatu.

„POSZOŁ WON, SZCZENOK!”

Byłem w Rosji przez najgorętsze lata. Rewolucję przeżywałem na ulicy. Już wtedy, jako sprzedawca papierosów i tytoniu, wchodziłem w konflikt z władzą (handel uliczny był od czasu do czasu czynnością zbrodniczą i nielegalną

zależnie od osobistych poglądów komendanta milicji; trzeba się było wtedy wymykać obławom i strzec dobrze przed nahajką – jedynie małym kaukaskim pucybutom nic nie groziło, ci byli nietykalni: towarzysze komisarze lubili „szczegolat” lśnącymi butami). Przyjaźniłem się z bezdomnymi dziećmi portowymi ku rozpacz moich rodziców. Widziałem jak Kozacy wieszali bolszewików, a bolszewicy rozstrzelali Kozaków. W miesiącach głodu kradłem. Nienawiści do rewolucji nie czułem, choć jako syn oficera i obszarnika, mógłbym mieć pretensje podobne do nieukojonych żalów ziemian, wyeksmitowanych razem z pudlem Gagą z zacisznych dworzków kresowych. O ironjo! – gdy kiedyś w mroźna kaukaską noc marzliśmy w kilku pod drzwiami teatru i moi towarzysze, dzieci autentycznych portowych proletariuszy, zaczęli psioczyć na władzę:

*... za cara Nikołaszki
jeli my wdowol kaszki,
a nie stało cara Nikołaszki...*

– ja jeden, może z wrodzonej przekory, usiłowałem oponować.

Zresztą miało się wtedy do całej ówczesnej rzeczywistości rosyjskiej stosunek lekko szyderczy, a nawet pobłażliwy. Wiedziało się przecież i wierzyło; to tylko tutaj pijane chamstwo dorwało się do władzy i szaleje, a tam, gdzie we mgłę giną stalowe szyny kolei, za granicami, za lasami, wyrasta polska ojczyzna, kraj szklanych domów... Zatrzyma się repatriancki eszelon, zabierze polskich bieżniaków i ... pominaj jak zwali! Tak łatwiej było znosić głód, chłód, tyfus i wszy. I przez to wszystko miało się dystans do rewolucji. Poprzez jej krwawe opary lepiej było widać człowieka przedewszystkiem, a nie tylko burżuja i proletariusza. Obok rzeczy straszliwych, obok pełnego upodlenia i zezwierzęcenia widziało się czyny tak anielskie i wypływające

z tak szlachetnych pobudek, że śmieszne-
by były wszelkie wysiłki wytłumaczenia
ich miarką socjologiczną.

W dziesięć czy jedenaście lat póź-
niej byłem w alejach Ujazdowskich
świadkiem szorstkiego potraktowania
nieletniego żebraka przez eleganckie-
go porucznika lotnictwa. Dzieciak nar-
tarczywie skamlał o datek i otrzymał
w odpowiedzi brutalne: „Idź precz,
szczeniaku!”. Prowadziłem wtedy dys-
kusję z młodym komunistą: „Oto masz
przykład – zawołał na widok odpędzo-
nego dziecka – to jest ustrój kapitali-
styczny”. Nie odpowiedziałem. Miałem
wtedy przed oczami inną a tak podob-
ną scenę. Widziałem siebie samego w r.
1922 na bulwarach Rostowa, żebrzące-
go u spacerujących budionowców we
frenczach i odpędzonego przez jakiegoś
porucznika w ten sam sposób: „Poszoł
won, szczenok!”

Opowiadam te sentymentalne histo-
ryje, choć pozornie nic nie mają do rze-
czy, aby podkreślić rolę, jaką odgrywa
w życiu sam człowiek, jednostka, in-
dywiduum, złe lub dobre, ale przecież
w wielu swoich poczynaniach niezależ-
ne od tych czy innych procesów społecz-
nych i gospodarczych.

Gdy na wiosnę 1920 r., w czasie ma-
sakry czerwonych powstańców przez
karny batalion markowców, ojciec mój
uratował od stryczka bolszewickiego ko-
misarza, mało go obchodziła burżuazja
i proletariat całego świata i nie oriento-
wał się, co by na to powiedziała święta
Karła-Marła, a uczynił to jedynie z li-
tości: gdy ten sam komisarz w rok póź-
niej, skoro karta się odwróciła, uratował
mego ojca a swego niedawnego dobro-
czyńcę od wojażu na wyspy Sołowieckie,
kierował się prawdopodobnie zwykłą,
ludzką wdzięcznością, nie interesem
klasowym. A czy litość, wdzięczność
i inne ludzkie uczucia zawsze takie same
w epoce kamiennej i dziś za panowania
żelbetonu można zamykać bez reszty
w kategoriach społecznych?

Pamiętacie u Szołochowa piękny opis
powrotu martwego Pietro pod dach oj-
czystej zagrody, lament żony, niemą
rozpacz starego ojca, żalosną zadumę
samego autora? Wśród krytyków sowie-
ckich, ostro atakujących Szołochowa,
najbardziej umiarkowany nie posiadał
się z oburzenia, że uświadomiony pisarz
mógł nad trupem kontr-rewolucyjnego
kozaka dać folgę „osłabiającym rozkła-
dowym uczuciom”, a nie samej radości
z tej racji, że zabito wroga klasowego.

A czytaliście *Dwie siostry* Wieriesa-
jewa? Jak to bohaterka opisuje spot-
kanie ze swoim byłym szlafkamratem,
widzi przy nim inną kobietę i zaznacza:
„Żyje obecnie z jakąś literatką z Mos-
kwy. Oczywiście, komunistka. On nigdy
nie upadłby tak nisko, żeby zakochać się
w bezpartyjnej.” Ot, i macie miłość, re-
gulowaną przez świadomość klasową,
jak traktor przez stachanowca.

I tu właśnie tkwi sedno rzeczy. Orto-
doksyjni partyjniacy chcą życie ludzkie
bez reszty wpakować w ciasne ramy wal-
ki klasowej i dlatego przegrywają kam-
panię o rząd dusz.

„PRZEDYSKUTUJEMY I WYKONAMY”

Porcelanowe upodobania towarzysza
Diemjana, o których przed chwilą wspo-
mniałem, to nie tylko prywatna sprawa
kiepskiego bajkopisarza, ale poniekąd
symbol przemian dokonywających się
w Rosji. Trudno, trzeba to raz powie-
dzieć – jak trójkolorowy sztandar po-
wiewa nad Francją niekoniecznie taką,
jaką sobie wymarzyli Saint-Just czy
Desmoulins, tak i dzisiejszy czerwony
sztandar niezupełnie przypomina sta-
rych rosyjskich rewolucjonistów. Dziś
każdy rentjer poniewiera wspaniałe sło-
wa *Marsylianki*, melodia *Międzynaro-
dówki* inaczej brzmiała w moich uszach,
gdy ją słyszałem śpiewaną przez błądych
chłopców, prowadzonych pod kozacką
eskortą na śmierć, a inaczej brzmi dziś,
zagrana na powitanie pana Litwinowa.

„Demokracja” socjalistyczna zrazu bardzo przypomina rządy silnie zorganizowanej i na prawach hierarchii opartej grupy. Centralizacja o jakiej nie myślał żaden samodzierżca Wszechrosji! Wychodzi dekret i przewala dogóry nogami ustalone, zdawałoby się na mur pojęcia. Ogłoszono kolektywizację i gorliwy ze skóry wyłażą prześcigając się w tępieniu kułactwa i organizowaniu kołchozów. Nagle Stalin wydaje orędzie, w którym piętnuje zbytnie upajanie się sukcesami, zaleca ostrożność w postępowaniu, i oto wczorajszy bohater socjalizmu zostaje sprowadzony do rzędu szkodnika. Droga prowadząca między Panteonem a skałą Tarpejską jest tu wąska i napięta jak struna. Niezłych ekwilibrystów i linoskoczków wychowuje sobie kraj zwycięskiego socjalizmu.

Wspaniałe, istotnie, zdobycze sowieckie w dziedzinie uprzemysłowienia kraju nie miały imponują ludzom myślącym kategoriami wyłącznie cywilizacyjno-technicznymi. Nie wszystkim jednak to wystarcza. Piotr Wielki stworzył flotę i armię, wiercił szyby, budował huty, sprowadzał speców zagranicznych, zakładał winnice nad Donem, na kościach robotniczych wznosił miasta w tempie niemniejszym niż dzisiejsze Magnitostroje, ale niewolniczej psychiki narodu nie zmienił, swobody w myśleniu nie dał, zdrętwiałych rąk nie rozwiązał.

Jeśli więc w dzisiejszej Rosji istnieją jeszcze niepowodzenia i niedociągnięcia natury technicznej i ekonomicznej, nieważna to sprawa. W kraju gdzie dochód społeczny został wydarty z rąk prywatnych, wszelkie trudności gospodarcze są tylko kwestią czasu, lepszej organizacji, szybszego tempa cywilizacyjnego. Ale cóż mi z tego, że będę mieszkał w mieście skanalizowanym i zelektryfikowanym, że będę ciepło spał i słodko jadł, jeśli nie przyznają mi prawa do swobodnego myślenia i własnego sądu. „Być komunistom – pisze Majakowski – eto znaczyt dumat', dierzat', smiet'” Ma-

jakowski istotnie należał do tych co myśleli i mieli odwagę, toteż rychło zszedł z tego świata.

Jak tu gadać z ludźmi, dla których słowo „dyscyplina partyjna” jest synonimem ślepego posłuszeństwa, w każdym odchyleniu od przyjętego wzorca widzą złośliwą herezję, w każdej poprawce do oficjalnego projektu wężą zbrodniczą rękę. Człowiek prawdziwie wolny nie jest podejrzliwy. Wspaniałością własnej duszy mierzy poczynania innych. Kto się otacza na każdym kroku szpiegami i zbrojną eskortą niewolników, sam ma serce niewolnika i szpiega.

Jakże żalona jest ta licytacja w prawowierności marxowskiej i partyjnej. Łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Wczorajszy demaskator dziś sam zasiada na ławie oskarżonych, a jutro jest świadkiem jak jego prokurator skolei zamienia się w delikwenta. Toteż nie ma ludzi bardziej ostrożnych w myśleniu i wypowiedzianiu się od marxistów.

Kiedy przed kilku laty miało w pewnym mieście powstać radykalne pismo społeczno-literackie zostałem zaproszony do komitetu redakcyjnego. Odbywał się właśnie zjazd pisarzy w Charkowie. Gadałiliśmy parę godzin aż wreszcie główna ryba tego zebrania milczący dotychczas matador, na którego każdy młodzik spoglądał jak uczeń na cadyka, przeciął dyskusję: „My tu narazie nie mamy nic do gadania. Przyjdą uchwały zjazdu charkowskiego, wtedy je przedyskutujemy i wykonamy”. To tylko drobny przykład, ale jakże charakterystyczny. Stwarza się cały aparat organizacyjny, wszelkie pozory demokracji, dyskusja, wnioski – a wynik? Rzecz prosta, „Wykonamy” to co uznał za właściwe postanowić nieomylny niemal mistyczny aparat partyjny.

A jeśli ktoś stanie kantem i nie wykona, jeśli ktoś „siedząc przy zielonym stoliku, zacznie się mądrzyć” i krytykować? Wtedy co? Zapytajcie, kochani, rozstrzelanych bez litości Ukraińców,

przeprowadźcie wywiad z wieloletnim więźniem a przedwojennym jeszcze starym rewolucjonistą, towarzyszem Rakowskim, policzcie tych socjalistów – mieniszewików i komunistów opozycyjnych, którzy zapełniają cele więzienne wolnej ojczyzny robotniczo-chłopskiej. Naturalnie, będziecie mogli to wykonać tylko w tym wypadku jeśli nie złożycie już deklaracji jednolito-frontowej. Albowiem, jako orzekł towarzysz Włoszczowski, za którym stoi autorytet Komunistycznej Partii Polski „rola trockistów i mieniszewików w Z.S.R.R. jest rolą świadomych kontrrewolucjonistów, szkodników związanych z białogwardziistami i z wywiadem państw imperialistycznych”, a zatem „żądanie jednolitego frontu w Z.S.R.R. jest podstępą próbą sabotażu jednolitego frontu proletariackiego w krajach kapitalistycznych i blokowaniem się z antysowieckim frontem międzynarodowej reakcji burżuazyjnej”.

I oto teraz maleńka uwaga pod adresem tych wszystkich pisarzy lewicowych w Polsce, którzy podpisali deklarację jednolito-frontową, a których przyzwyczailiśmy się szanować i wierzyć w ich uczciwość pod adresem Struga, Broniewskiego, Millera, Rogowicza, Czuchnowskiego, Dobrowolskiego, Dembińskiego. Czy wobec takiego postawienia sprawy przez oficjalnego reprezentanta K.P.P. nie warto by zdecydować się na jedno z dwojga: albo uznać raz na zawsze, że Trocki, Rakowski, Zimowjew, rozstrzelany Kuszelnicki, samobójcy Skrypnik i Chwyłowyj oraz dziesiątki i setki opozycjonistów, to „płatni agenci państw imperialistycznych”, „świadomi kontrrewolucjoniści”, albo zrewidować swój stosunek do jednolitego frontu.

Chyba że panowie wolą przemilczeć ten bolesny dla każdego uczciwego socjalisty fakt, że jedyny w Europie rząd robotniczo-chłopski, do którego istnienia proletariat całego świata przywiązuje tyle znaczenia i nadziei, zbrojnymi

rękami dławi każdą próbę ideowej opozycji i krytyki.

W ATMOSFERZE OGÓLNEJ TOLERANCJI

Montowanie wspólnego frontu intelektualistów i pisarzy odbywające się w imię walki z faszyzmem, miało przynieść odprężenie, pakt o wzajemnej nieagresji, przerwę w ciągłym odgrzaniu się socjal-zdrajcom. Czy koniecznie trzeba udowadniać, że jest to tylko okres przejściowy, obliczony wyłącznie na to, żeby obłaskawić kogo się da i zadomowić się na tyłach znienawidzonej II Międzynarodówki? Jak rozumieją wspólny front komuniści? Cytowany już przeze mnie Włoszczowski pisze dosłownie: Międzynarodówka komunistyczna stawia zagadnienie jedności politycznej proletariatu jako zagadnienie stwarzania jedynej partii proletariatu... Komunistom chodzi... o partię nowego typu, wzorowanej na bolszewickiej W.K.P. (b) zbudowanej na zasadzie demokratycznego centralizmu, jedności ideologicznej i karności organizacyjnej.

Tyle jeśli chodzi o teren polityczny. A jak w dziedzinie myśli, piśmiennictwa? Wiemy już, że niedawno odbyty we Lwowie zjazd pisarzy nie pozwolił na wypowiedzenie się grupie ukraińskiej w sprawie prześladowań na Ukrainie sowieckiej. Godzi się też wyciągnąć pewne nieznanne szerzej fakty z zeszłorocznego kongresu paryskiego. Trzeba sobie przypomnieć entuzjastyczne korespondencje z Paryża, drukowane w prasie lewicowej, że się wszystko odbywało w atmosferze wzajemnej tolerancji, poszanowania cudzych przekonań i t.d. Pomijam tę drobną okoliczność, że każdy kto jakotako zna literaturę rosyjską, bez większego trudu wykrył w przemówieniach delegatów sowieckich szereg oszczerstw i świadomych kłamstw (najjaskrawsze chyba to, że znakomity poeta Lermontow został zabity przez specjalnie naśląnogo carskiego agenta). Chodzi o coś ważniejszego, o „wzajemną tolerancję”.

Nie wszyscy zapewne wiedzą, że na kongresie grupa surrealistów francuskich wspomagana przez wybitnego pisarza czeskiego Vítězslava Nezvala, wystąpiła z protestem przeciw narzucaniu pisarzom socjalizmu realistycznego jako jedynej właściwej drogi twórczej. Zdawałoby się – sprawa prosta: realizm socjalistyczny wam nie dogadza, chcecie stosować inną metodę bardziej odpowiadającą waszej strukturze artystycznej – w porządku, w porządku, piszcie chłopcy, starajcie się na chwałę socjalizmu. Ale to jest tylko piękne złudzenie zgniłych liberałów, naiwnych, „mięgotitych” inteligentów. Jeśli ktoś nie chce być „inżynierem dusz” według recepty kremłowskiej, jest oczywiście ukrytym, białogwardyjskim agentem kontrrewolucjonistą szkodnikiem. Wprawdzie na samym kongresie unikano starannie takich brzydkich słów, ale po powrocie do rodzinnych pieleszy szara eminencja sowieckiej delegacji, towarzysz Michaił Kłocow, dał folę owemu oburzeniu na buntowniczych surrealistów. Lista niebłagonadożnych powiększyła się o kilka nowych nazwisk.

Tak w praktyce wygląda bohaterska harmonia i wzajemna tolerancja twórców, oddychających świeżym ozonem niedawnej burzy rewolucyjnej.

„CIOTKA EMMA CIĄGLE CHORUJE”

Przeciętny endek oprócz urazu antysemitckiego ma jeszcze kompleks bolszewicki, t. zn. Wszędzie widzi agentów Kominternu. Wszystko co się stanie złego, zrobił ktoś z nieśmiertelnej trójki: Żyd, mason albo bolszewik, co zresztą na jedno wychodzi. Podobnie postępują komuniści. Jeśli nie uda się strajk, zastryumfuje faszyzm, sparaliżowana zostanie akcja robotnicza, zgóry wiadomo, że działała tam kontrrewolucyjna ręka socjal-faszysty. I odwrotnie: gdzieś tam bezrobotni wytlukli szyby w urzędzie pośrednictwa, zajechała baba sekwestratora pazurem po gębie, już ci taki

chodzący sejsmograf rewolucji zaczyna radośnie drgać i nachylać się tajemniczo do ucha: to nasi...

Bankructwo komunizmu w Niemczech, który w decydującej chwili zdobył się zaledwie na odsłonięcie własnej kapitulacji fałszywie zastosowaną leninowską teorię o tymczasowym wycofaniu się, bankructwo tem jaskrawsze, że odbywające się na tle bohaterstwa jednostek, przypisano zbrodnie i odpowiedzialność zwalono przede wszystkim na niemiecką socjaldemokrację. Ale gdy ta sama socjaldemokracja ginęła pod gruzami robotniczego Wiednia i Linzu, uczyniono wszystko, nie cofnięto się przed niczem aby zdyskontować jej heroizm i powiększyć konto własnych zasług, oszczerstwem nagradzając męstwo Wallischa i Muniekreitera.

Gdziekolwiek jątrzy się otwarta rana – pełną jak czerw, gdziekolwiek poleje się krew – zważaj jej każdą kroplę, gdzie padnie trup – zlatują się gromadą kruków. Nie mówię tu o wierzących i naiwnych, ale o tych, którzy świadomie dyskontują krew i łyżę dla dokonywania brudnych matactw politycznych, którzy ideę socjalizmu rzucili na szalę szacherek dyplomatycznych, którzy jedną ręką podpisują sankcje antywłoskie, drugą biorą pieniądze za ropę do czołgów, miażdżących nieszczęsna Abisynię.

Półdzikim plemionom, liczących po parę tysięcy głów, dają oświatę, własną gramatykę, możliwość kulturalnego rozwoju i chępią się z tego pod światem, słusznie wskazując na doniosłość i cywilizacyjną wartość tej pracy. Spójrzmy jednak na odwrotną stronę medalu. Drobnym ludkom można pozwolić na podtrzymywanie odrębności plemiennej, wato nawet pomóc, bo to i egotyzm nie zamarzą o niepodległości, nie zechcą budować niepodległości, nie zechcą budować państwa na terenie kilku powiatów. Inna sprawa z Gruzją, co innego Ukraina. Tu już ludność idzie w miliony, tutaj tęsknota do prawdziwej wolności

i niepodległości może wstrząsnąć podstawami socjalistycznej ojczyzny. Więc ciągną tabory ukraińskie przez stepy Syberii, które beztroski Polak zdążył już nazwać „krajem bez przekleństw” i na bezszelestnych oponach sunie od wsi do wsi „czornyj woron” G.P.U.

A tymczasem polski robotnik szarpie się w kleszczach wyzysku i nędzy, głoduje, walczy, wychodzi na ulice, pada pod ciosami swego brata w policyjnym mundurze, albo chwytą się, jak tonący brzytwy, rewolucyjnej nadziei, schodzi w mrok konspiracji, za nędzne grosze, odkładane z głodowego posiłku, wpłaca składki na „Mopr”, wpada wysłędzony podstępnie lub wydany przez tchórza, wypływa zębą w bohaterstwie odmownych odpowiedzi, aby potem długie lata konać w czterech więziennych ścianach.

Lubicie pisać o zemście, która czeka burżuazję, o celnych strzałach, które mają paść z pokładu polskiej „Aurory”, o rachunku przed sądem historii. Szczera to prawda. Ale kiedyż wy sami zdacie sprawę z losu setek i tysięcy walczących, marnujących się bez celu, bo kierowanych przez sztaby, których życie i postępowanie nie ma nic wspólnego z moralnością proletariacką i prostoprostu ludzką.

Wojskowy regulamin rosyjski kazał uważać straty do pięćdziesięciu procent za normalne. Toteż nieszczęsny żołnierz szedł do ataku bez żadnego przygotowania artyleryjskiego i zdobywając zasięki z drutów kolczastych, musiał je zarzucać szynelami w dziesiątkującym ogniu karabinów maszynowych. Dzisiejsi polscy rewolucjoniści wzorują się widocznie na tym regulaminie. Nie tu miejsce i nie czas potemu, aby te sprawy spokojnie omawiać, ale kto się z nimi zetknął wie, co o tem sądzić. Nietyle chodzi mi o straszliwe niedołęstwo roboty partyjnej, która tem tylko różni się od dziecinnej zabawy w chowanego, że jej koszty płaci się wolnością i zmarnowaniem życia, bo dość rzadko jest to wynikiem

złej woli, chodzi mi o nieuczciwy stosunek do własnych towarzyszy, których się traktuje jak mięso armatnie, składane na ołtarzu rewolucji w myśl zbożnej zasady: im gorzej tem lepiej.

Znając wielu starych „beków” pepesowskich, wiem dobrze jaką pogardą i lekceważeniem otaczają dzisiejszych matadorów ludu, uzurpujących sobie prawo reprezentowania sztandaru wolności. Ta pogarda weteranów rewolucji, mających możność porównywania, pogarda ludzi pamiętających tamte czasy i tamtą robotę, prowadzoną w ileż trudniejszych warunkach, niechże mi będzie świadectwem.

Tam, gdzie kosztuje ideologia, nie może być dynamizmu rewolucyjnego. Tam, gdzie żądza wolności wyczerpuje się w nagrywaniu, wciąż tej samej płyty frazeologicznej, żywa idea zmienia się w talmudyczne tabu. Bezwód myśli paraliżuje ciało. Sparaliżowane ciało nie ma siły do myślenia.

I oto ciotka Emma choruje, choruje. Biedna, schorowana ciotka.

ŻYDOWSCY POLICJANCI ŻYDOWSKICH KOMUNISTÓW...

Skolei nie podobna pominąć milczeniem kwestii, która dla wielu wogóle nie istnieje, ale którą uważnemu i bezstronnemu obserwatorowi narzuca się z nieodpartą siłą. Niechętnie ją poruszam, bo wiem że zostanę ukamienowany tytułem oenerowskiego antysemity i pogromowca, trzeba to jednak raz zrzucić z wątroby. Są pewne koła, dla których zauważenie istnienia Żydów jako narodu, całości, bez jednoczesnego podkreślenia podziału na burżuazję i proletariat, daje wystarczający powód do oskarżeń o antysemityzm.

Czem się tłumaczy fakt, że Żydzi dostarczają najwięcej kadr rewolucyjnych przyczep procent ich wzrasta zależnie od ważności zajmowanych posterunków partyjnych? Specjalną wrażliwością na nędzę, umiłowaniem

wolności, skłonnością do spiskowania, buntowniczym uosobieniem? U jednostek – u ogółu – sądzę, że nie. Natomiast jestem przekonany, że komunizm jest dla większości zradykalizowanych Żydów formą, w której wyżywa się, często zupełnie podświadomie, ich ukryty nacjonalizm. Powiedzmy sobie szczerze – sytuacja młodego Żyda, czy to będzie inteligent z zamożnej rodziny, czy dziecka rzemieślnicze czy robotnicze, któremu rodzina potrafi dać wykształcenie – jest nie do pozazdroszczenia. Co dla przeciętnego maturzysty Polaka staje się celem życiowym – zdobycie tytułu magistra i wyładowanie na posadzie w administracji czy szkolnictwie – dla Żydów jest w przygniatającej ilości wypadków marzeniem ściętej głowy. *Numerus clausus* nominalnie nie istnieje, ale życie jest silniejsze od prawa. Świadomie więc czy podświadomie, bezrobotny, nie zarabiający Żyd, a także taki, który zmuszony został do wolnego zawodu, łączy swoje gospodarcze czy też społeczne upośledzenie z kwestią rasową religijną. Ciągłe upokorzenia, które są udziałem Żydów od najwcześniejszego dzieciństwa, pogłębiają w nich kompleks niższości – tak powstaje negatywny stosunek do społeczeństwa i narodu z którym współżyją. Niema w tem nic ani dziwnego, ani oburzącego – przeciwnie, byłoby nienaturalne, gdyby naród, który ma taką przeszłość i w takich warunkach bytuje, nie lgnął do ruchu niwelującego granice, wynikłe z różnicy pochodzenia, a tem samem dającego mu maximum szans rozwojowych.

Sam fakt istnienia społeczeństwa, nie związanego z ziemią, nie posiadającego warstwy pracującej na roli, wydaje mi się wysoce niemoralny. Nie widzę w tem żadnego zarzutu – a poprostu stwierdzenie przyczyn tragedii żydowskiej. Znam Żyda, który nie ukrywał swojej radości na wiadomość o awanturach arabskich w Palestynie.

„Bo my, proszę pana, musimy własną krwią okupić utracone prawo do swojej ziemi, do ojczyzny, tak jak je w ciągu wieków okupiły inne narody.”

Zakwestionowanie wartości radykalizmu przeciętnego Żyda (zastrzegam się przed posądzeniem o generalizowanie) wymaga jednak mocniejszej argumentacji. Im więcej przeszkód piętrzy się na drodze ideologicznego rozwoju przed radykalizującą się jednostką, tem wartościowszy będzie jej radykalizm. Uczucie narodowe, religia, środowisko, prawie zawsze rodzina, matka, dziewczyna, to są te ściany, przez które musi przebijać się polski inteligent, a w mniejszym stopniu i proletariusz, idący ku komunizmowi. Walka, którą ze sobą stacza na każdym kroku – a i to trzeba podkreślić, że mocniejsza jednostka przeżywa ją intensywniej – jest gwarancją wartościowego i szczerego radykalizmu. Żyda natomiast, niemal wszystko predysponuje w tym kierunku. Znad ksiąg Starego Testamentu bliżej do materializmu niż z kościoła katolickiego; uczucie narodowe jest raczej bodźcem niż hamulcem, środowisko nietylko nie przeszkadza ale pomaga w procesie rewolucjonizowania się.

W związku z tem stoimy obok faktu oponowania młodej „ulicy żydowskiej” przez marxizm. Marxizm to przeważnie płytki, występuje w najbardziej ordynarnej formie ortodoksyjnej, często jest historyczny, wyładowujący się w dziecinnych wybrykach, które kosztują wiele niepotrzebnych ofiar, a tolerowane są i pochwalane jako swego rodzaju przedszkole rewolucyjne. Wiem dobrze i wiedzą o tem zainteresowani, ile młodzi żydowskiej siedzi po więzieniach dosłownie za nic. Wpada się bez większej winy, dla towarzystwa, w tłoku; rozegzaltowanemu umysłowi niezmiernie takie męczeństwo imponuje, towarzyszom celi będzie opowiadał o niepełnionych czynach, na sali sądowej da się ponieść histerii – a rezultat: wyrok naj-

zupełniej niewspółmierny z odegraną rolą. Tak się odbywa fabrykowanie bohaterów i rewolucjonistów z urojenia.

Pozostaje do kompletu rozstrzygnięcie zagadnienia, jakby wygląda sytuacja w narodowym państwie żydowskim, w wymarzonem Erec Izrael chaluców i brandstaetterów. Oddajmy głos samym Żydom. Słyszałem kiedyś taką mocno ironiczną piosenkę nieznanego mi autora, opisującą, jak to... „żydowskie policjanci żydowskich komunistów w żydowskiej defensywie...” będą leli po łbie i karmili bananami niemniej sprawnie niż to się dzieje, powiedzmy, w Albanji. Jeśli się nie mylę, piosenka ta wymierzona była w syjonistów; rynsztokiem jednak trafiła w żydowski radykalizm.

GRAFOMAŃSTWO PSEUDOREWOLUCYJNE

Zgłaszając zastrzeżenia wobec radykalizmu żydowskiego, nie mam zamiaru ryzykować twierdzenia że każdy Polak-komunista wnosi z reguły do ruchu same cechy dodatnie. Nie ulega wszakże wątpliwości, że grzechy „polskiej ulicy” są nieco innej natury, jej demagogia naogół mniej krzykliwa, ortodoksja bardziej wyrozumiała, rewolucyjny snobizm nie tak jaskrawy. Jedno niewątpliwie jest wspólne. Straszliwy zalew grafomanii. Co drugi młodzieniec piórem chce służyć rewolucji. Co trzeci wydaje tomy wierszy, od lat wróżących że już... już... jutro, pojutrze... Któż ich wyliczy, kto spamięta ich imiona? Optymista powie: napięcie nastrojów rewolucyjnych wyładowuje się w literaturze. Sceptyk pokiwa głową i doda: konjunktura.

Istotnie, tytuł pisarza rewolucyjnego, to dziś pewna droga do chwały i rozgłosu. A także tarcza ochronna: nie rusz mnie. Bo jeśli krytyka zerznie takiego typka, rozlega się krzyk, że chce się go utracić ze względu na ideologię. Grafo-man dobrze zdający sobie sprawę z tego

że w normalnych warunkach nie wytrzyma konkurencji prawdziwych poetów i zostanie niezauważony, robi z siebie Majakowskiego, zaczyna uważać swoją twórczość za „wytwór mózgu, woli, mięśni i walki klasowej”, a na ostrą krytykę macha pogardliwie ręką: „jestem rewolucjonistą, więc staraję się mnie zgnać” ale to nic bo i tak „czerwone sztandary proletariatu, ciężkie od krwi i potu, łopocą nieugięte i groźnie, napawając obawą przerażonych burżujów”.

Jednocześnie widowisko godne zastanowienia. Zdolni poeci z chwilą, gdy zaczynają dostosowywać swoją twórczość do doktryny, obniżają gwałtownie poziom. Jeśli więc pod ciężarem ortodoksji i terroru doktrynerów usycha nawet poezja, skłonna zawsze do wywalczenia sobie autonomii, coś dopiero musi dziać się z krytyką artystyczną. W nie wychodzącej już „Akcji Literackiej” wydrukowano, fatalny zresztą, przekład z Nadsona, a przy wierszu: „złem ziemia zalana cała zalana” – taki komentarz: „wówczas, gdy autor ów pisał, nie było jeszcze Rosji sowieckiej, ani sowieckich Chin”. Cóż za niepowetowana szkoda że Nadson nie żyje współcześnie – nie byłoby w jego wierszach pesymizmu, gorzkości i „upadoczych nastrojów”, ale rewolucyjna, proletariacka krzepa.

Pisałem już kiedyś o straszliwie upokarzającym systemie moralnej inwigilacji, stosowanej przez koła marxowskie. Każdy „rewolucjonista” ma tam takie uczucie, jakby znajdował się na bezustannym śledztwie. Każda jednostka jest zgóry uważana za predysponowaną do załamania się, zdrady, w najlepszym razie – herezji i trockizmu, lewactwa i t.d.

„Wziąłeś udział w wieczorze awangardy, który się odbył pod protektorem faszysty Kadena. Czy to znaczy, że odchodzisz od nas?”

„Nie powinienes tłumaczyć Jasienina. To przecież kułacki poeta!”

„Jakżeś mógł swój poemat dedykować Czechowiczowi? Może nie wiesz,

że Czechowicz jest znanym sanatorium?”

I tak bez końca, aż do ogłupienia jedynych, zupełnego odstręczenia drugich. Gdybyż w tym była przynajmniej jakaś konsekwencja. Bo nagle okazuje się, że w „Cyruliku” wolno drukować, a umieszczisz przekład w „Pionie”, lament i pogrozki. Dałem do tego „Pionu” wiersz i „Dwutygodnik Ilustrowany” rzuca na mnie anatemę, co mu nie przeszkadza zaraz w następnym numerze drukować noweli Szemplińskiej, jak wiadomo, częstego podówczas gościa w pałacyku przy alei Róż. Bądź tu, braciszku, mądry.

Ten bałagan możnaby zresztą przeboleć, gdyby nie siedł on w parze z bałaganiem moralnym. Wiemy jaki jest stosunek lewicy do cenzury i opinia o niej. Że stoi na straży klasowych interesów burżuazji. Że boi się prawdy, że wycina z filmów sowieckich to co według niej zagraża interesom klasy panującej. Także zgoda. I nie miałbym pretensji do lewicy, gdyby ograniczała się do ataków na polską cenzurę jedynie ze swojego stanowiska klasowego. Prostu wykazać że jest burżuazyjna – i szlus. Ale w tem sęk, że to przeciętnemu czytelnikowi nie wystarczy, bo trzeba jeszcze zaapelować do jego uczuć ludzkich, do jego poczucia sprawiedliwości i prawdy. „Cnota prawdy się nie boi”. Takie stwierdzenie zobowiązuje. Czy to przypadkiem nie Broniewski pisał kiedyś w „Wiadomościach Literackich” o losach *Przedwiośnia* w Sowietach? Jak to cenzura zachowując pieczołowicie opisy znęcania się polskiej policji nad więźniami, jednocześnie wyrzuciła fragmenty omawiające zbrodnie popełnione w czasie rewolucji bolszewickiej. To było przed laty. A dziś jak ta rzecz w Z.S.R.R. wygląda? Czy cnota komunistycznych cenzorów nabrała odwagi wobec prawdy?

Ale co to jest prawda? Przed paroma laty Kazimiera Muszałówna napisała reportaż, w którym opisywała, jak to policjantom, rozpędzającym tłum bez-

robotnych, spływały łzy po twarzy. Węć oburzenie w mieście i w „Przedmieściu”. Dyskusja. Aż ktoś oświadczył: „Nawet gdyby istotnie to była prawda, pisarz, stojący po lewej stronie barykady, nie ma prawa o tem pisać. Nie wolno osłabiać świętej nienawiści proletariatu do sług jego ciemniejszych”.

Z kwiatków rozkwitłych na tej niwie możnaby ułożyć niejeden bukiet. Możnaby do wieczora opowiadać rzeczy, które budzą naprzemian wesołość i czarną rozpacz.

Lamentowałem przed chwilą, uskarżając się na niski poziom poezji lewicowej. Może mi ktoś zarzucić, że tak ostra krytyka jest jednostronna, skoro istnieje np. twórczość Broniewskiego. Odpowiadam: Broniewski należy do wspólnego frontu, ale jego poezja nie należy, z przyczyn, o których zbyt wiele trzeboby pisać. W tem stwierdzeniu wyręczyli mnie już dawniej sami marxiści, opiniując że Broniewski jest poetą, ale rewolucjonistą nie jest, w przeciwieństwie do Standego, który wprawdzie nie jest poetą, ale zato jest rewolucjonistą.

O Standego krzyżować szpady nie zamierzam. Jedno jest pewne. Autorzy krwawych rymów, jezechjele i jeremjasze kapitalizmu, masturbanci zachłystujący się wizją paździenika pełne temperamentu panienczki opisujące swą miłość do proletariatu, zdrowe a leniwe chłopcy, którym się nie chce pracować, więc chwytają za pióro – nie są ani poetami, ani rewolucjonistami. Są gromadą pseudoproletariackich grafomanów, kupą zgonin na podwórku zdychającego porządku.

MARXOWSKA KRYTYKA

Pisząc ten artykuł byłem zgóry przygotowany na porcję wymysłów i obelg, nie mniejszą niż po *Smutnych porachunkach*. Gdyby jednak stał się cud i ktoś z jednolitego frontu chciał odpowiedzieć rzeczowo i spokojnie, może m. in. wyjaśni przedewszystkiem pewne wątpliwości,

które mi się nasunęły przy lekturze „Kultury Mas”, pisma polityczno-literackiego, wydawanego w języku polskim przez „Trybunę Radziecką” w Moskwie.

Leży przede mną dziewięćdziesięciostronicowy zeszyt w czerwonej okładce, zadrukowany dość gęsto artykułami, wierszami, sprawozdaniami. Nakład – dwa tysiące. Numer podwójny, styczeń-kwiecień 1935 rok. Zatem czasopismo poważne, o charakterze zapewne teoretycznym, może coś w rodzaju polskiej „Drogi”; w każdym razie autorytatywne źródło, z którego będziemy się uczyli, jak powinna wyglądać kultura mas.

Sam pisuję wiersze, ta więc dziedziną interesuje mnie przedewszystkiem. Przekłady: Białorusin Janko Kupała, nieśmiertelny Władimir Wielikowicz. Oryginalne – bardzo słabe. Coś w tym rodzaju:

*Moskwo nasza, ech, Moskwo! Wspaniale!
Lenin żyje w sercach bojowej
bolszewickiej partji spiżowej,
partji, którą prowadzi nasz Stalin!*

A przy każdym prawie wierszu uwagi redakcji, zastrzeżenia że to niby twórczość nie całkiem prawowierna. Więc przy, mocno Bagrickim zalatującej próbie epickiej: „Nie zgadzamy się z apologią buntarstwa, którego wyraz daje tow. Porajewicz w *Bondarywnie*.” Przy wierszu Stanisława Wygodzkiego żadnego komentarza; okazuje się jednak, że radość przedwczesna. Kartka z erratą, a na niej: Na str. 45 nie została zamieszczona następująca uwaga redakcji do wiersza Stanisława Wygodzkiego: „Jest to młody poeta proletariacki w Polsce, który w przytoczonym wierszu wypowiada swoje wrażenia w związku z dekretem o wprowadzeniu sądów doraźnych w Polsce. I w danym wypadku ujawnia się charakterystyczny dla twórczości poety nastrój pesymizmu, obcy proletariackiej poezji rewolucyjnej.

Dużo kłopotu macie z wierszami, towarzyszu redaktorze Kowalczyk. Prawowiernej poezji mało – jeden Standa,

a drukować trzeba. Więc zastrzeżenia, uwagi, poprostu wiersze na prawach artykułu dyskusyjnego!

Patrzmy dalej. Reportaż – *Przeklęty port*. O Gdyni. Zaczyna się od stwierdzenia, że w Gdyni jest „Dziesięć kościołów i katedra”, pomodlić się lubię na intencję zguby komunizmu. Niema. Jeden... dwa... trzy... są. A reszty niema. Katedry także. Mają budować, biskup Okoniewski prosił, żeby te 80 tysięcy, które zebrano na pomnik Niepodległości, przekazać komitetowi budowy ale Żydzi uparli się i nie pozwalają. Że to ich pieniędzy sporo w tych ośmiu setkach. Więzienie też chciałbym zobaczyć. Niema. Powiadają – w Wejherowie. A do Wejherowa daleko. Z Gdyni nie widać. Z Moskwy także nie widać. Jakże czytelnik „Kultury Mas” sprawdzi – czy redaktorzy prawdę piszą. Musi wierzyć biedak. Albowiem „prawdziwa cnota prawdy się nie boi”.

Na str. 50 tow. Wiślak „ostatecznie zdemaskowanego trockistę Kamieńskiego”. Ot, i niepotrzebnie Irzykowski przestraszył się w swoim czasie groźnego odbronzowiacza polskiej literatury burżuazyjnej. Zdemaskowany. Nareszcie. Ale nie martwcie się towarzysze. Za kilka lat, a może tylko miesięcy, to samo przeczytamy o Wiślaku. Powolutku do każdego dojdzie. Po oczeredii, gaspada!

Nieco dalej tow. Budzińska zdaje sprawę z kwitnącego stanu polskiego dramatopisarstwa o Sowietach. Czytajmy arcydzieło Stankiewicza *Sen wielkanocy* [...]. Budzińska krytykuje tę barbarzyńską brechtę, ale nie ze względu na jej beznadziejny poziom. Chodzi jedynie o to, że wprowadzie sztuka ta może wywoła śmiech na widowni, składającej się z młodzieży, bardziej uświadomionych robotników, aktywistów wiejskich i t. d. Ale najmniej uświadomione elementy, które zachowały jeszcze wiarę w boga, przyjmą tę sztukę wręcz odwrotnie niż myśli autor.

Budzińska nie tylko krytykuje, ale również wskazuje powody tego niskie-

go poziomu sztuki scenicznej. Mianowicie jest to skutek „szkodniczej roboty agentury faszyzmu na polskim odcinku kulturalnym”. Jednakże – potężny jest Bóg faszyzmu, budzi żywą troskę redaktorów czasopisma. Że dostają po rękach Bąk, Tuwim i Krzywicka – to rzecz aż nadto zrozumiała. Bardziej nas ciekawi opinia o swoich, o lewicowych. Więc *Pawie pióra* Leona Kruczkowskiego. Chwałą. Dobrze pokazał „klasowe rozwarstwienie wsi polskiej”, za co krytyka burżuazyjna przyjęła jego powieść z wyraźną niechęcią. Ale są na tem słońcu i poważne plamy. Najważniejsza:

Kruczkowski ani słowem nie wspomina, że galicyjski ruch strzelecki był narzędziem w rękach imperializmu habsburskiego... u Kruczkowskiego sprawa wygląda tak, jakby „strzelcy” byli jakąś organizacją powstańczą, występującym przeciw

wszystkim rządóm zaborczym. Jest to, rzecz prosta, rażąca wypaczenie rzeczywistości.

Dość obszernem sprawozdaniem zaszczycone zostało *Oblicze dnia* Wasilewskiej, od paru lat czołowej polskiej Kassandry rewolucji. Powieść Wasilewskiej jest „dokumentem... straszliwej nędzy... świadczącym o radykalizowaniu się mas pracujących...” Ale mimo to „maskujący się reformizm... może ją wykorzystać”, ponieważ

Wasilewska ani słowem nie krytykuje P.P.S., przemilczając zaś jednocześnie jedyną organizację rewolucyjną – K.P.P., przemilczając wpływ Z.S.R.R., przez to samo ułatwia reformistom i faszyzmowi podszywanie się pod robotnicze dążenia rewolucyjne, czyli pomaga przechwytywać rewolucyjne nastroje mas.

Skończy już zdemaskowali agentkę faszyzmu na terenie literatury, zobaczmy co słyhać u malarzy. Bardzo źle, towarzysze! [...]

Józef Łobodowski Adwokatka heroizmu

„Wiadomości Literackie” nr 48, 1935, s. 7.

W nr. 333 „Robotnika” ukazał się artykuł p. Wandy Wasilewskiej, atakujący moją osobę z racji *Smutnych porachunków* w nr. 623 „Wiadomości Literackich”. Nie tu miejsce na szczegółową polemikę, uczynię to kiedy indziej. Ale Pragę odrazu na gorąco stwierdzić, że p. Wasilewska, imputując mi lekceważenie i przekreślanie heroizmu poszczególnych członków Kompartji, postąpiła nie uczciwie, poprostu sfaulowała mnie. Nigdy i nigdzie nie dyskwalifikowałem poświęcenia i heroizmu bojowników tej czy innej idei. Mógłbym łatwo poprzeć to twierdzenie cytatami ze swoich prac publicystycznych, których p. Wasilewska zapewne nie czytała, zajęta pisaniem bajeczek do „Płomyczka”.

Trzeba też odróżnić heroizm życiowy, polegający na bojowej niezłomności

i odrzuceniu wszelkiego kompromisu, od heroizmu myśli, nie lękającej się nieustannej krytyki i rewizji własnych założeń. Często ludzie, którzy idą śmiało na wiele lat do więzienia, nie mają odwagi przyznać się przed samymi sobą, że ich poświęcenie jest bezużyteczne albo co gorsza, służy złej sprawie. W tym sensie nie jeden bohater i rewolucjonista jest intelektualnym tchórzem i wstecznikiem. Wątpię, czy p. Wasilewska, która w swoich powieściach dała jaskrawy przykład, do jakiego prostactwa doprowadziła ułatwiona ideologia, zrozumie to rozróżnienie.

Pozatem stwierdzenie czyjegoś heroizmu nie wyczerpuje zagadnienia. Ukraińscy nacjonałści siadają po piętnaście lat i giną na szubienicy, a mimo to nie jestem skłonny chwalić roboty Kono-

walca. Podobnie niewątpliwy, lecz pod kierownictwem Kompartji bezskuteczny heroizm polskiego proletariatu nie może mnie natchnąć sympatią do jego leaderów i do Kompartji.

Pani Wasilewska radzi mi, abym poszedł za Cytadelę i obejrzał słup egzekucyjny. Nie zastosuję się do tej rady. Widziałem w swoim życiu dość słupów i ścian egzekucyjnych, gęsto posiekanych śladami kul. Pod jedną z takich ścian staną w swoim czasie mój ojciec. Ale nie to mnie przeraziło. Rozumiałem – rewolucyjna konieczność. Przeraziły mnie dopiero egzekucje po śmierci Kirowa terror na Ukrainie, przeraziły mnie obelgi rzucane na socjaldemokrację austriacką w parę dni po zgonie Münichreitera i Wallischa. „Robotnikowi” i p. Wasilewskiej, która, o ile wiem, też nosi trzy strzały na białym, nie potrzeba chyba tego przypominać.

I jeszcze *ad persona*. Autorka *Oblicza dnia* nieomieszkała oczywiście napomknąć o pieniądzach, które mają mi „obetrzeć łzy”. Obliczmy się, groźna pani! A więc: do niedawna miałem stypendjum, które prawie całe weszło w wydane książki. Obecnie zarabiam wyłącznie pracą literacką od 120 do 160 złotych miesięcznie. To są te judaszowe srebrniki. Wszystkich demaskatorów i wywiadowców i wszystkie wyżły policyjne proszę uprzejmie skorygowanie tej

sumy i ewentualne podanie tajemniczych źródeł moich dochodów. Zwłaszcza byłbym za to wdzięczny p. Wasilewskiej, wielkiej rewolucjonistce, stypendystce burżuazyjnej Akademii Literatury, sprzedającej swoje elaboraty burżuazyjnej firmie wydawniczej, współpracującej z „Płomykiem” i „Płomyczkiem”, gdzie o bohaterach proletariatu naogół dość cicho, a ogólny kierunek z ortodoksyjnego punktu widzenia – wyraźnie „faszystowskiej”. Ja osobiście w tym czasie, gdy wierzyłem w rewolucję, stypendjum nie brałem, posady nie miałem, a jeśli gdzie drukowałem, to bezpłatnie. Tak wygląda moja „szeroka asfaltowa droga”.

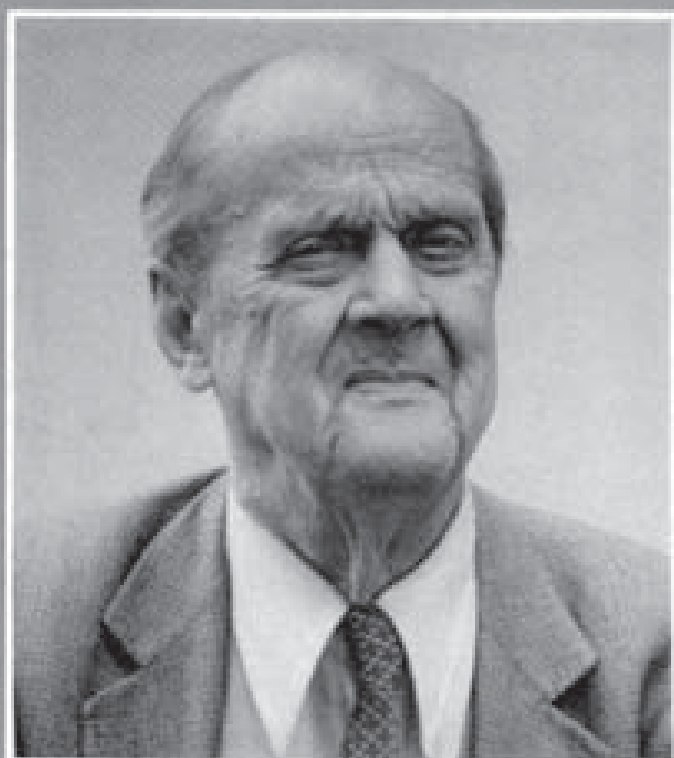
Cóż jeszcze dodać? Pani Wasilewska chce, abym policzył, ile jest w roku ciężkich godzin więziennych. Liczyłem już kiedy, zresztą nie długo. Najdłużej trzy tygodnie. Inaczej inni. Naprzykład Witold Wandurski, którego zrobiono prowokatorem, aby po roku pokryć całą sprawę głębokiem a jakże wymownym milczeniem.

A redakcja „Robotnika”, tego pisma „socjal-zdrajców”, powinna pamiętać, że gdyby Alfred Lampe, o który pisze p. Wasilewska, zamiast w więzieniu znalazł się w Belwederze, nie mielibyśmy możliwości prowadzenia tej smutnej polemiki. Liczylibyśmy wspólnie „długie więzienne godziny”, o ile wogóle licznoby czas między żywymi.

WYDAWACTWO KULTURALNE

JÓZEF ŁOBODOWSKI

DYTYRAMBY
PATETYCZNE



Atak na Łobodowskiego

Bolesław Miciński

List otwarty do Osipa Łobody

Zamiast recenzji, sałatka á la maniere russe

Mottos: Zdieś russkij duch – zdieś Rus-sju pachniet.

Nuss, tas znaczens-sas (pa maskowskama gawaria) nada was-Łobodia-razdiełat pad ariech. Dlerżys Wania wozducha, naczynajem (praszu nie nierwniczat).

Znacie taką piosenkę: *Żurawiel?* Słaaawna piosenka, zaunywna, szyroka-ja kak russkaja dusza, kak matuszka Rassiejka, „kak Wołga mat” radnaja, kak paslednije stichatwarieńja Łabadowska-wo. Słaaawnaja piesieńka, i z piercom – czort pabieri! Krecpcze krecpczewo.

Tak się to ta istinno russkaja piesieńka zaczyna:

*Czto nam diełat’ – ni czerta
Tak zatianiem Żurawla...*

Nu, i tiani, brat ty mój, pa bałotie. Dobra piosenka, wygodna, bo to i końca nigdy nie ma i kuplety można przestawiać i środek opuścić, a zawsze: přímo prielest. Można śpiewać z góry w dół i z dołu w górę – istny circulus vitiosus jak w innej, słynnej piosence:

*U papa była sabaka
On io lubił
Ana sjela kusok miasa
On io lubił.
I pastawił pamietnik
I napisał:
U papa była sabaka
On io lubił...*

Wańka wstańka – naczynaj a naczała: „W nieprzemożonych brzegach miota się Dniepr szeroki, porywa ciężkie głazy, srebrzystą pianę przedzie”...

Ładny wiersz? – ładny. Nawet bardzo ładny... no, tolico, nabstawienna gawaria, wy uże mnogo, mnogo takiet stichow napisali. Eto nże – znajetie – wsiem izwiestno nie bywszy w seminarii („Da” – skazał Tolstoj wychadiaz iz bani.) Jej Bahul Zamieczatielnyje stichi, no – sami panimajetie – skuczno..., skuczno... wsio krugom Rassieje... Don.. barba... ticha ukrainskaja nocz... Dniepr...Kozaki...

Rosyjska „bieszennaja zakus” zawsze taka sama: ryby (śledź), wino (wódeczka) i owoce (ogórek). Zakąseczka się nie zmienia ale piosenki... szeroki przecież repertuar: *Swiniam my radilis, swiniam my pamriom, Kawaliery nie chwalajtie damy niżi talji wam gawariat, Da czewo narod dachodit – samawar pa relsam chodit, Pticzki kanariejki, Saławiej, Ja a wami siewodnia, teneuja kiekwok, Za caria za rodinu za wieru, Altawerdy!* Bałajajkarzom aż ręce mdleją, cyganie się zanoszą, liryczeskije piewce z kafeszantanów aż poczerwieniały z wysiłku taka rozmaitość melodii bo to i *Oczy czornyje* i *Czajka*, i *Jamszczyk*, i *Liłowyjnięgr* – już i kozaka tańczym na stale bit’ pasudu, my nie możemy żyć bez szampanskawo) już brylantowym pierścieniem na lustrze piszem: Nina, Tania, Marusia – a wy, krugom niepiერიemniom.

„Prosto z Mostu”
nr 20, 2 maja 1937, s. 4.
Artykuł nt. wydania
tomu Józefa Łobodowskiego *Demonom nocy*,
Warszawa 1936, wyd.
Hoesick.

Na sąsiedniej stronie:
okładka kolejnego tomu
emigracyjnego pt. *Dyt-
ramby patetyczne* (Londyn
1988). Zdjęcie na okładce
wykonał Piotr Jegliński.

Atak na Łobodowskiego

Trzeba przestroić lutnię, nie ma rady,
najwyższy czas. Chod – parachod, a kak
niet z czewo tak z bubian:

*My wsie garim adnym żelaniem
Skariejdabratsa da Maskwy
Uwidiet' wnaw karanawanie
I wspiet' Boże Caria chrani!*

Nie chcecie „białych”, mogą być „czerwone”: *Car ispugaśa, Jabłaczko, Sonce wschodit i zachodit a w naszej turmie tiemno, Wstawaj padymajska raboczij narod*. Mogą być i białosino-czerwone (choć wiadomo: „bielyj-sinij-krasnyj-żyd prakrasnyj”, jak to dowcipnie śpiewali bojownicy trzeciej międzynarodówki).

Nie o przekonania tu chodzi, ale o wiersz. Trzeba przestroić lutnię, obojętne na jaki ton, byle na inny. Dobre były wiersze, nawet świetne, ale już

własną substancję zjadamy więc przez szacunek dla poetyckiej przeszłości i poetykę trzeba zmienić i repertuar. Może by tak o francuzikach iz Bardo, o kiczowatych polaczyszkach, o giermancach co to wydumali abiezianu. Ja tożę russkij czelawiek i łatwinja nie nawizuno sami panimajetie – o wiersze tu chodzi, prawda? Żeby to czasem waszym Demonom nie zaśpiewali:

*Madam Katz ubieritie Boriu
Wied' rebionok sam nie rad
Na pale on zdjełał morie...
...Szag w pierod i szag nazad!
Szag w pierod, szag w pierog.
A tiepier: Daj miłyj drug na szczastie
ruku!*

Wasz

Bolesław Kazimierowicz Mitinskij.

Krakowskie Przedmieście,
ok. 1938. Fotograf niezna-
ny. Pocztówka ze zbiorów
Zbigniewa Lemiecha.



Josif Władisławowicz Łobodowski [Józef Łobodowski] **Tropicielom polskości**

Mnogouważajemyj Bolesław Kazimirowicz!

Zławriednyj jewriejskij żurnał „Prosto z Mostu” czytaju redko, i patamu pismo Wasze niemnego apazdało. Na dniach tawariszczi pakazali. Kanieczno praczoł, a praczytawszy, zdumiałsia. Izriadno wy eto napisali. Zaduszewno. Ja, tak skazał, nyncze daże i nie wypimszy, a wot w głazach wsio tak i zawiertieło. Patamu oczeń wy uż w intieriesom widie mienia przedstawili. Pachoz, jej Bohu, pachoz! Każe eto riebiatizski razrisowywajut? „Toczka, toczka, a zapitoj, wot i obraz twój takoj!” N-da! Daże prosleziłsia. Praczmno jeszcze raz. I jeszcze. Zzadu napieriod. Triždy na pieriekriest. Tudy siudy i obratno. Wasiemnadcat’ razow i tak daleje pri damach gawarit’ nie pałagajetsia. A wyrugawszyś, wspomnił ja niekij stizsok niezabwionnawo Władimira Władimirowicza. Charoszyja słowca: „pisatieli, nas mnogo, sbieromtie Miljon i kritikam pastawim bagadielniu w Nicce!” Prawiono! A za wami, mnogouważajemyj Bolesław Kazimirowicz, pierwaja oczeried’! Sprasziwajetie: razpaczemu? Pazwoltie razjasnit’sa. No pa polski! Czylatielam wied’ toże palezno. A inym patiecha.

Dobrem prawem każdego krytyka jest negowanie wartości artystycznych omawianego utworu. I tu autor niewiele ma do powiedzenia. Nie będzie przecież sprzeczał się z recenzentem i udowadniał, że to co tamten nazwał złem, jest dobre. W tym wypadku jednak chodzi o coś innego, mianowicie o zarzuty dotyczące treści i tematyki. Słowem, repertuaru. Otóż, jeśli chodzi o repertuar, materiał dowodowy jest zawsze na miejscu, i konfrontacja może się

zawsze odbyć. Przytem nie będzie to, choć na to pozornie wygląda, załatwianie wyłącznie osobistej sprawy. Zaczyna się bowiem od pewnego czasu rozwielenia zwyczaj gilotynowania utworów na podstawie ich rzekomej obcości. Uprawnienia egzekutorów są przeważnie bardzo wątpliwe, a przewód sądowy oparty na przesłankach kruchych i nieustalonych.

Nie dziś i nie wczoraj przyklejono mi etykietkę: poeta o psychice rosyjskiej. Miało to wszelkie pozory słuszności. Rozlewność, rytmika, tematyka, wreszcie zapożyczenia leksykalne zdawały się nie pozostawiać żadnej wątpliwości. A że skłonności do operowania gotowymi szablonami u naszej niedołej krytyki nie brak, więc też tak i przyschło. I oto Napierski widzi we mnie odeskiego apasza przygrywającego na zachrypniętej harmonji, Sebyła posądzającego o tęsknotę do bujnych czasów carskiej Rosji, a Miciński dochodzi na tej drodze do absurdu i beztrósko załatwia się ze mną cytata z *Żurawia*. Można i tak! Ale czy należy?

Napisałem kilka wierszy i poematów na tematy rosyjskie. Wyładowały się tu zarówno wspomnienia i przeżycia dzieciństwa, jak i znalazła swoje odbicie lektura poezji rosyjskiej. Jednakże te wspomnienia i przeżycia, to niekoniecznie i nie tylko Rosja. „Wsio krugom Rassieja... – nudzi się Miciński – Don... kazaki... Dniepr... ukraïnskaja nocz... barba...” i na poparcie cytuje wiersz z poematu o powieszonych Ukraińcach. Możliwe, że w oczach „madam Katz”, którą wspomina Miciński, „Don, Dniepr, kazaki, ukraïnskaja nocz” – to po prostu „chmielnaja, aficerskaja Rassieja”. Jeśli tak, chętnie rozszerzę ten rejestr. Moż-

„Wiadomości Literackie” 1937, nr 25, s. 5.
Odpowiedź Józefa Łobodowskiego na żartobliwą recenzję tomu *Demonom nocy* zamieszczoną przez Bolesława Micińskiego w czasopiśmie „Prosto z Mostu” w formie *Listu do Osipa Łobody*.

na opowiadać dalej: Kawkaz, Madżurskija sopki, Pribaltijskij Kraj, Czuchna, Wılna, Priwislinje itd. Czymże gorsze te „impierskija prowincji” od Dniepru i Kajaków?

W tem właśnie sęk! Pewien krytyk, a jednocześnie poeta, uznany przez niektórych za reprezentacyjnego przedstawiciela „biało-czerwonej”, pod auspicjami endecji narodowo odrodzonej poezji, również kwestjonował polskość moich wierszy. Wszystko zależy przecież od perspektywy. Jeśli za jedyne centrum polskości uznać Rypin, Kikół i Sierpc – no, to niema dwóch zdań. Mam jednak śmiałość utrzymywać, że Wołyń, z którego pochodzę po kądzieli, i powiedzmy, okolice Czerkas (właśnie nad Dnieprem), gdzie podobno przed wiekami pułkownikował mój pradziad, zapisały się w historii polskiej kultury niemniej zaszczytnie od Rypina. Jeśli bowiem z Rypina wyszedł sam Jerzy Pietrkiewicz, to ziemie ukraińskie mogą znów zasłonić się przed hańbą osobą niejakiego Juliusza Słowackiego, który w lwiej części swej poezji jest kresowcem, wielbicielem i piewcą stepu, Dniepru, konia, Kajaków i innych „miazmatów”, stawianych dziś przed wyczulone narodowe sejsmografy w jednym szeregu z „pticzką kanariejką” i „Aławerdy”.

Szkoda, że Miciński nie zauważył w moim ostatnim tomie świadomych i wyraźnych nawiązań właśnie do Słowackiego (*Na śmierć Ukraińców*, *Duma o żołnierzu*). Ale cóż dziwnego! Dużo łatwiej było wykpić się cytatami z *Żurawia* i *Marusi*, wykazując w tej dziedzinie istotnie ekspercję i pamięć imponującą. Jeszcze tylko *Tuła*, *Rodina maja*, a byłby komplet. Tylko że z tą Tułą też dziwne rzeczy się dzieją. Znaleźli się i tacy, którzy udowadniają, że Tuła, stolica samowarów, to gród o nazwie pochodzenia polskiego, jako że plemiona Wiatyczan (Wentyczów) i Radzimiczan wyemigrowały niegdyś na wschód i tam w sercu dzisiejszej Rosji nad brzegiem

rzeki Oki założyły swoje dziedziny. Nie jest to, oczywiście, powód żeby pieśń o samowarach zaliczyć do polskiej poezji. Wspominam o tem, żeby podkreślić iż utarte szablony dobre są przy malowaniu ścian pokojowych a nie w zawitych i trudnych sprawach kulturalnych. Aż do XV wieku okolice Tuły były daleko na wschód wysuniętą placówką kultury zachodniej, a to że dziś są całkowicie zwielkoruszczone, nie znaczy, aby pisarza, który zechciałby świadomie nawiązywać do tamtych tradycji, wolno było nazywać Rosjaninem piszącym po polsku.

Inna rzecz, że dla „Prosto z Mostu”, które artykuł Micińskiego zamieściło, problemy te nie istnieją. Endecki pseudonacjonalizm nigdy nie miał świadomości kulturalnego posłannictwa i roli Polski na Wschodzie, rezygnując zawsze i wszędzie na rzecz właśnie „jedynoj i niedielimój”. Dla „Prosto z Mostu” moje poematy o Kajakach kubańskich, to jeszcze jedna wersja „pticzki kanariejki”. Zapewne! – w oczach mieszkańca Wilczej czy Złotej kozak kubański z eskorty Skałłona był tylko nienawistnym symbolem Moskwy. Ale dla mnie – i nie tylko dla mnie – Kozak kubański jest potomkiem Siczy Zaporoskiej, a więc Ukrainy, a znowuż Ukraina, proszę panów, to nie tylko Gonta i Humań, i nie tylko „lupanar narodów”, jak ją raczył określić Roman Dmowski, ale zespół pojęć, które nie powinny być obce żadnemu Polakowi, co dopiero kresowcom. „Dawna ojczyzna moja, o jak trudno zakochanemu w twej śmiertelnej twarzy...” – pisał Słowacki. Kultura, to taka „chitraja sztuka”, że nie zawsze daje się ogrodzić szablonami granic państwowych. A z wschodnią kresową psychiką wogóle ostrożniej. Poza wspomnianym Słowackim, mógłbym się tu świadczyć nienadaremnie nazwiskami Mickiewicza, Kościuszki, Piłsudskiego...

Czy to nie Croce powiedział, że każda historia jest historią współczesną, to znaczy, że teraźniejszość rozpatrujemy

z punktu widzenia tej przeszłości, która jest w niej zawarta, tworzy ją i w niej żyje? A charakter narodowy nie wskazuje na widownię historyczną z próżni, ostatecznie wykrystalizowany i zapięty na ostatnie guziki; charakter narodowy wciąż staje się i rozwija; przeszłość zaś nasza nie jest odrębną własnością tylko naszego narodu. Nie pójdzie to w smak szowinistom, ale na to niema rady.

Nie będę przeczył: fakt, że właśnie „Prosto z Mostu” odmawia mojej poezji miana polskości, ubódł mnie podwójnie. Między mną bowiem a „Prosto z Mostu” zachodzi ta różnica, że wprawdzie niejednen z moich przodków był prawosławny, a jeszcze więcej zaliczało się do unitów, przechrztów jednak nie było zupełnie. A skutek stąd taki, że swoich praw do polskości na Sali sądowej nigdy nie dochodziłem i dochodzić nie zamierzam.

Przy okazji mała uwaga: czem się tłumaczy zastanawiający fakt, że obóz, uzurpujący sobie monopol na nacjonalizm, nie posiada ani na lekarstwo dobrych poetów. Jest Gałczyński, a i ten przez nieporozumienie – taki z niego oenerowiec jak ze mnie kwakier. A właściwie jeden Pietrkiewicz, mianowany wieszczem „biało-czerwonej” poezji, i Dobrzyński, siódma woda po Majakowskim. Czyli, żeby znowu użyć rosyjszczyzny – „na bezpticzij i ż... saławiej!”. W tych warunkach szlify i orderzy wydaje się poetom na wzór sowiecko-hitlerowski. Nasz czy nie nasz? Zależnie od tego awans lud degradacja. A czasem bywa i tak: Miciński pisze o Karpińskim

w superlatywach, *Mieszczaiński poemat* wita się jako wydarzenie poetyckie, a po roku Piasecki dyskwalifikuje tego samego Karpińskiego, wymyśla mu od kuplecistów itd. Skąd ta zmiana? Może stąd, że ktoś kogoś w *Szopce warszawskiej* obsztorcował na perłowo? Tak czy nie? Ale w pryncypialnym piśmie to chyba nie uchodzi.

A teraz wróćmy do adresata. „Możeby tak kiczliwych polaszczykach napisać” – radzi mi żartobliwie Miciński. No, a o kimże traktuje cały spory poemat *Duma o żołnierzu*? Czytali wy, ili nie czytali? A *Złota legenda* też o Rosji? A cały czwarty cykl tomu? Pakorniejsze prasim atwieta. Oczeń už nam żelatielno uznať, gdzie imiennie zażirieli w naszej paezji isczad’ja rassiejaskawo Ada. A to żiwu w užasie i smiatienji. Razoblaczytia wa wsiu, ili patałajtie zwajej miłos’ju. Inaacz zyt’ mnie pratiwno.

Pazwoltie, bezcenniejszyj drog mój, priebyt’ z wysoczajszem pacztinajem i proczeje i proczeje.

P.S. Osipom mienia wpriod’ nie wieliczajetje. Imieju czest’ priedupriodit’, czto czelawiek ja wspyłczywyj i ka wsialuj drakie maładiec maładcom. Pomniu, w 1920. godu budnczy uczniom pierwawo paralejnawo klasze Jejskoj Gimnazja, zestoko pakafatił towariszcza, imieniom za Osipa. S tiech por wsiakij zwał mienia Juzikom ili Iozifom, samotria na boleje ili mienieje drożeskije ataszetja. Zasim kanczaju pismo. Ubiedion w tom, czto kritik wy akuriodnyj, a diajunjn waszyparoczny i begoprotiwny.

Bolesław Miciński Żarty i wyznania*

„Prosto z Mostu” nr 28,
20 czerwca 1937, s.
3. Pisownia oryginal-
na. Przypis do tytułu
pochodzi od autora.

* W odpowiedzi na artykuł J. Łobodowskiego zamieszczony w „Wiadomościach Literackich” (Nr. 25) pt. *Tropicielom polskości. Tropicielom polskości...* i cóż to właściwie ma znaczyć? Nie rozumiem tego tytułu. O ile mi wiadomo tropieniem polskości zajmowali się tak zw. „zaborcy”, a teraz – Bogu dzięki – nikt już polskości nie tropi. Polskość zresztą nie mieszka ani w lasach ani pod stołem – nie jest także ani zajęciem ani bakcyłem i nie warto jej tropić przy pomocy lupy czy na podstawie nikłych śladów, skoro można sobie poczytać *Pana Tadeusza*.

I À la polonaise

Do pułkownika czerkaskiego Josipa Łobody:

Mości, a mnie wielce miły Panie Łoboda!

Tandem tedy Mocium Panie, kiedy pismo Waszmościne przeczytał, tom jeno czuba przyglądał, wąs musnął, konfederatkę na ucho zsunął i lekko odrzucając wyłoty kontusza... do korda! Do karabeli! Kupą, mości Panowie! Bigosować! Sam do tu!...

Takiś mi właśnie Waszmość konterfekt wysztychował. Już chyba każe malarza w pierze a polem w smołę wsadzić i po rynku biczykiem pędzać abym *in lactu* był pocieszony.

Konfederatka? – Bogać tam: kapelusik od Lauera. Karabela? – Masterdziejasku: wieczne pióra firmy „Pelikan”. Książeczki *lawarytne* przeglądam – ani tam tej książki nie masz, gdzie obok antyfony rozmaite *instructiones militares* są przyłączone, ani *Protokółów Mędrców Syjonu* – *philosophia* jeno i żydowiny truciele: Freud, Adler, Stekl. Metrykę z *sepeciku* dobywam – bójże się Asan Boga – nie z Rypinam mój dobrodzieju, ani ze Złotej ulicy, lecz z Ukrainy szczerzej, z Bałckiego powiatu, z Mokrej co to za Jampolem przy Waładynce leży, przy onym srogim jarze, gdzie druh Waścin Bohun Helenę więził jak Kalypso Uliśsesa. Z „Wrażego Uroczyszczu” mój Mosanie z „Tatarskiego Rozłogu” (sic!) ród mój wiodę co łącno wykazać mogę choć ojcowską substancję dzicz zagarnęła.

Josif! Szczu z tobaju? Toż ja szczyryj Ukrainiec. Szczu ne wzmerła Ukraina wid Kijowa do Berlina!

I nie świeć mi Waśc w oczy swoją parantelą z pułkownikiem czerkaskim bom

z Wyhowskimi skuzynowany, a batko Wyhowskij atamanem był, buńczuk nad nim nosili, i z Waścinem Dziadem za oseledce się wodzili jak my dziś – *si licet parva componere magnis*. Oj, bo necit tepetr lude, szczo buwały... Więc mi Waszmość nie mów, żem ze Złotej i że Ukrainy nie rozumiem... „z wschodnią kresową psychiką w ogóle ostrożnie”. Mawczy! Ne Twoje diło brechniu mene zadawaty – chodi na dwir, nauczu ja Tebi pułkownikow zaporozskich szanowaty!

Ja Waści... ja Waści do grodu... ja Waści w dyby... ja Waści kozakami. Ja Waści uszy obetnę! Jednemu z nas nie żyć na świecie. Dobądz kozacz szerpetynyi!

II Proceder tatarski

Jena bić się z Waszą miłością nie łatwo, boś u słynnego zagończyka pana Słonińskiego proceder tatarski praktykował i raz wraz dobruckim sposobem zapadaś pod brzuch bachmeta Kłuczysz Wasze jak ta liszka, tu ogonem machniesz, tam się umkniesz, a zawsze się wykręcisz. *O uolpes astuta* Toć wyraźnie napisałem że „nie o przekonania mi chodzi, ale o wiersze” a Waśc mi morały prawisz – *Pater Noster* czytasz i „tropicielem polskości” nazywasz. A wolno to zapytać, na jakiej podstawie? A no, na takiej: „Może by tak o kiczliwych polaczyszkach napisać – radzi mi żartobliwie Miciński”. Bardzoś to Waśc misternie wykoncypował, jam wszelako inaczej napisał: „Maże by tak o francuzikach iż Bardo, o kiczliwych polaczyszkach, o germanach, co to wydumali abieziance”. Równie więc dobrze można by mnie było nazwać „tropicielem francuskości” czy „niemieckości”. Prawda? Ale Łobodia o tym milczy. Woli

mi konfederatkę na łeb wsadzić, wąsy sumiaste przypawić, słomiane wiechcie wetknąć w cholewy i napisać tak: „W tych warunkach szlify i ordery wydaje się poetom na wzór sowiecko-hitlerowski. Nasz czy nie nasz?”

A tymczasem.. a tymczasem w tymże samym „złowrzednym żurnalje” nie kto inny tylko właśnie Łobodia i to właśnie za przekłady z rosyjskiego, z rąk niżej podpisanego orderu otrzymał i w „gieniały” go odkomenderowano. A działało się to w miesiącu maju (1936):

Zbyt mnie pochłania ta książka, aby się mógł zdobyć na obiektywny stosunek. O tomie tych przekładów należałoby napisać duże studium – albo nie pisać wcale. Ale czy wolno pominąć milczeniem ten tom właśnie dlatego że przekłady tak są «wyczute», tak autentyczne, że brak słów, które mogłyby uzasadnić nasz entuzjazm.

No, i jakże to tam z tymi „szlifami i orderami”?

A o *Wichrach Republikańskich* niejakiego pana Demczyka tak się kiedyś pisało w tym „złowrzednym żurnalje”: „Nie dziwi w tym kontekście wiersz *Reinkarnacja* jako nieodzowny element stylu p, Thea von Harbon, popularnej reprezentantki minionej epoki, zyskującej wyraznie na tle *Schlageterów* i *Mitu XX wieku*.” Proszę mi więc nie „amputować” – jak mówi Maszyński – hitlerowskich czy sowieckich metod – bo to typowo tatarski proceder w którym się pan Słonimski wyspecjalizował ale, którego wam – Łobodia – jako kozakowi stosować nie przystoi. Proceder ten na tym polega, że się każdą ujemną krytykę tłumaczy „mado psychoanatico” przez wskazanie ukrytych motywów oceny (zawiść, nienawiść, endecja). Jak krytyk pochwali, to dobra nasza! Ale niech no się tylko ośmieli łąć przypiąć – wrzask: endek... tropiciel polskości – bratia rydnyje spasajtie.. naszych biut – kitający nastupajut!

Jest to tak zwany proces kompensacyjny, wyraz ambicji czyli zarozumiałości za którą, się Waść będziesz w piekle

smażył. A nie łaska to było przypuścić, że rosyjskość – wytknąłem, nie dlatego, że „żadne żaby nie grają tak pięknie jak polskie”, ale dlatego, że wiersze Waszmościne osnute na jednolitej podszewce tematycznej słabo są zróżnicowane, nudnawe, monotonne i polane uczuciowym sosikiem (tatarskim) czut’ czat’ zjelczałym... (Nie gniewaj się Waszmość, chcę tylko wykazać, że inne były motywy mego żartu niż te, które mi Wasza miłość „amputuje”).

A poza tym czyż to była krytyka? Nic podobnego. Wyraźnie napisałem: „zamiast recenzji sałatka *à la maniere russe*”. A więc nie recenzja, nie krytyka, tylko żart. Ale w takich już czasach żyjemy, że cokolwiek by się nie napisało, to wszyscy bez wyjątku odczyta ją albo „fasyzm” albo „komunę”... nawet we wzorach dekadencyjnego systemu rachunku zdań... nawet w żarcie. Kto lubi Reymonta ten jest „witosowiec”, kto Sienkiewicza ten endek, kto Dąbrowską, ten jest Poniatowski. Ja lubię Homera, więc pewnie jestem Grekiem.

III Wyznania

Widocznie jestem „Grekiem” bo do spraw socjalnych nie mam większego. Jak to się mówi, „interesu” a to z tej prostej przyczyny, że ich nie rozumiem i co gorsza, zdaje mi się, że ich nikt zrozumieć nie może. Na świat uwikłany w tragicznych konfliktach patrzę jak na organizm wstrząsany groźną nerwicą, której determinant nie rozumiem. Podstawą naszej wiary w rzeczywistość jest periodyczna ciągłość i powtarzalność zjawisk. Wierzymy w słońce i księżyc, które jutro nadejdą, bo nadchodziły wczoraj, przedwczoraj, przed tygodniem, przed wiekiem. Gdyby się jednak pewnego razu dzień zmienił w noc, gdyby to wieczne pióro wbrew prawu ciężenia i wieloletniemu doświadczeniu sfrunęło nagle z nad papieru, gdyby gruszki wyrosły na wierzbie, gdyby Krzywika przestała pi-

6 pułk Legionów Polskich w Lublinie na Placu Litewskim, 1917. Fotograf nieznany. Zbiory Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków.



Rzeka Cechówka, ok. 1939 r. Fotograf nieznany. Zdjęcie z albumu: *Roboty publiczne finansowane przez Fundusz Pracy w Lublinie (1939r.)*. Album w zasobach Wydziału Budownictwa i Architektury Urzędu Miasta Lublin.



sać o „płci” a Łabodia o Rosji – przestali-
byśmy wierzyć w rzeczywistość i oszaleli,
bo rzeczywistość zrównałaby się z snem
z fantasmagorią.

Otóż tempo i fantastyczna zmienność
spraw socjalnych sprzeczna z wiarą i do-
świadczeniem normalnego człowieka,
każe mi wątpić w realność tych spraw.
Rosja Sowiecka przypomina mi właś-
nie np. przedmioty fruwające wbrew
prawu ciężenia, słońce krążące dokoła
ziemi i makabryczne gruszki wyrosłe
na zatrutej wierzbie. I dlatego – chro-
niąc się przed grożącym obłędem po-
wtarzam uporczywie „to nie jest realne,
tego w ogóle nie ma”, a postępując tak,
postępuję jak podróżny, który wyszedł-
szy z Baedekerem na spacer i nie znaj-
dując zapowiedzianych w Baedekerze
jezior i drzew woła: „ten krajobraz nie
jest prawdziwy”.

Mimo pozorów nie widzę w tyra cech
absurdalnych. Jest to po prostu wiarą
w realność i niezmienną zasad takich
jak: kochaj bliźniego jak siebie same-
go. I dlatego mój moralny Baedeker
każe mi wątpić w realność tych spraw,
w których jestem uwikłany: to tyl-
ko sen... to niemożliwe. Oportunizm,
tchórzostwo, krótkowzroczność? Nie to
raczej instynkt samozachowawczy chro-
nić przed obłędem kwalifikuje jako sen
tę rzeczywistość, która sprzeczna jest
z normalnym pojęciem o rzeczywisto-
ści. Gdyby mnie „pad stienku” postawili,
to i tak w tę rzeczywistość nie uwierzę
(są przecież sny lękowe, sny straszne).
Uwierzyć w taką rzeczywistość, to zna-
czy zwątpić w człowieka, a tej wiary ni-
gdy się nie wyrzeknę.

Człowiek normalny uwierzyć może
w to tylko, co mu się narzuca dzięki re-
gularności przebiegów (np. tak zwana
„przyroda”) i w to co w jakikolwiek spo-
sób zrozumieć może np. świat procesów
psychicznych które sam w sobie odtwa-
rza. Wszak proces psychiczny, który na-
zywamy rozumieniem innych procesów
psychicznych polega tylko na psycholo-

gicznym przekształceniu, lub osłabio-
nym odzwierciedleniu owych afektów
w sobie. A „jeśli dzieje nie mają i być
teatrem marionetek – pisze Geord Sim-
mel w swojej *Filozofii historii* – to mu-
szą być historią objawów psychicznych”.
Otóż przyznaję to z całą szczerością –
nie umiem, odtwarzać w sobie, nie ro-
zumiem owej tkaniny psychicznej, która
jest podłożem dzisiejszych przemian.
Objawy mówią o poważnej nerwicy,
a z procesów świadomych jak wiado-
mo, objawy tworzyć się nie mogą i dla-
tego pod powikłaną tkaniną widzę owo
niepojęte „Es”, groźnego „Urmenscha”.

Ludzie krótkowzroczni tłumaczą
często życie przy pomocy kategorii
„celowości”. Jest to jednak jak się zda-
je potężne złudzenie historiozofii. Raz
jeszcze odwołam się do Simmla:

Jak celowość w budowie organizmów skłania
umysły refleksyjne da przyjęcia przyczyny in-
teligentnej jako ich źródła, gdyż przywykliśmy
uważać celowość za następstwo jedynie świa-
domej woli, tak, a zapewne równie błędnie,
wyobrażamy sobie liczne czynności ludzkie, jako
celowo uwarunkowane, gdy w rzeczywistości
są one wynikiem mechanicznych, urządzeń
i nieświadomej konieczności.

W ramach krótkiego naszego życia
umiemy automatyzować czynności
proste (ukłon, podanie ręki, konwen-
cjonalny uśmiech, prawidłowy uchwyt
karabina) – w wielowiekowym życiu
grup społecznych uległy już automaty-
zacji czynności i procesy złożone, a jeśli
nawet cel tych ruchów istnieje realnie
to świadomość tego celu już dawno za-
nikła. Czynności te odbywają się więc
– że tak powiem – w zarządzie rdzenia
pacierzowego, z wyłączeniem kory móz-
gowej. Nerwica jest sprawą psychicz-
ną i nóż chirurga nie potrafi uśmiercić
groźnego „Urmenscha”: tu trzeba prze-
de wszystkim „psychoterapii”, która by
wzmocniła „Kulturmenscha” i dodała
mu sił do walki. Jest to zgoła pozytywny
program socjalny i dlatego w miarę mo-
ich skromnych możliwości chciałbym

Atak na Łobodowskiego

śledzić poprzez ściegi krzyżowe w delikatnej i powikłanej tkaninie jedną tylko nitkę; rozwój wartości kulturalnych. I dlatego też szczerze jestem wdzięczny red. Piaseckiemu, że mi umożliwia tę pracę w przeciwieństwie do innych redaktorów (miałem niedawno taki wypadek) nie wymaga odemnie rezygnacji z współpracy w innych pismach i nigdy w niczym nie krępuje mojej wypowiedzi.

Tak się właśnie złożyło – mój Łabodia – że właśnie w tym „złowiednym żurawie” znalazłem rzecz bezcenną: wolność.

Jeszcze „pra dama sua”. Pisałem o Homerze i Schelerze o Kartezjuszu i Adlerze – i pies z kulawą nogą nie przeczytał. W przystępie dobrego humoru „sztuki – przybantki” napisałem o Was. Kochany Josif Władisławowicz, już i przedruki, i polemiki. W Wilnie się podobało, z Poznania list pasterski przysłali, nawet „same” Wiadomości odezwały się. Widocznie ciągle jeszcze panuje dyktatura „witza” (nie humoru, bo humor jest rzeczą bezinteresowną). Racz Waszmość przyjąć etc, etc.



Kościół garnizonowy na Alejach Racławickich, ok. 1937 rok. Ze zbiorów rodziny Margulów.

Józef Łobodowski Żarty a rzeczywistość

Nie udawaj Greka!

Dla odmiany i rozrywki Bolesław Miciński kontynuuje rozpoczętą dyskusję ze staropolska po ukraińsku. Wprawdzie ukraińska jego mowa przypomina nie tyle kuzyna Wyhowskiego co wujaszka Sienkiewicza, ale dobre i to jak na kogoś, komu „ojcowską substancję dzicz zagarnęła”. Niestety nie odpowiem mu w ten sam sposób; obawiam się, że taka korespondencja przedłużałaby się w nieskończoność. Licho wie, jakby to wyglądało. Wspomina przecież Miciński o tem, że jest Grekiem, gotów więc następny list napisać po grecku, i do tego, broń Boże, heksametrem. A zatem lepiej skapitulować i pisać zwyczajnie bez żadnych wtrętów makaronicznych.

Miciński jest adresatem nieuważnym i zbyt zachłannym. List, wrzucony do jego skrzynki i na jego ręce zaadresowany, choć w znacznej części w kogo innego wymierzony, zapisuje bez reszty na własne conto. A szkoda! Dałoby się uniknąć wielu nieporozumień i spychania dyskusji z głównego gościa. Wobec tego spróbuję jeszcze raz. Ale już bez żartów, wyznań i udawania Greka. Ściśle według tematu.

Rzeczywistość i żarty

Przerzucam *Demonom nocy*. Pierwsze dwa poematy. Istotnie, tematyka rosyjsko-kozacka. Don, step, walka, pijane pieśni marynarskie, Rosja zmyta krwią, Krasnystaw na Kaukazie, dwunastu jeźdźców niby dwunastu apostołów, a na ich czele „spełnicie straszliwy”. Scytyjski mesjanizm czy jak tam! Ale to dopiero pierwszy cykl tomu, jedna czwarta całości. Wymieniam następne. *Duma o żołnierzu* – poemat o polskich ruchach wyzwolenczych: rok 1831, prze-

myt bibuły socjalistycznej, towarzyszy Markowski z Lublina, wojna światowa, bajorczycy, Murmań. W tekście apostrofy, nawiązujące do *Grobu Agamemnona*, wyraźne podkreślenie łączności ze *Snem o szpadzie* Żeromskiego. A Miciński nic, jeno wciąż słyszy ćwierkanie „ptaszki kanariejki”.

Na śmierć powieszonych Ukraińców to znów nawiązanie do Słowackiego i Żeromskiego, a geneza tego cyklu tyle ma wspólnego z Rosją co tragedia Biłasa i Danyłyszyna z tulskim samowarem. W *Złotej legendzie* mówi się o wszystkim, prócz Rosji. Jest i maraton (Grecja! Grecja! – cieszcie się wielbiciele Homera!) i bogowie egipscy, i norweska wyprawa polarna, i boks, i pochód mastodontów przez puszcze. Nie znajdzie też najpilniejszy szperacz owej rosyjszczyzny ani w *Nike samotrackiej*, ani na *Cmentarzu lubelskim*, ani w żadnym innym wierszu tego tomu. Uogólnienie – rzecz efektowna, nie należy jednak przez stosowanie go na codzień upraszczać sobie recenzenckiego zadania. Nie będę protestował, gdy Miciński odsądzi od czci i wiary moje książki, ale niech nie imputuje Alainowi Gerbault tatarskiego nosa, a marmurowej dziewczki samotrackiej nie stroi w sarafan rizańskiej Duniaszy. Pisali na temat rosyjszczyzny w moich wierszach również tacy krytycy, jak Terlecki czy Ortwin. Ale ci uzasadnili swoją opinię, nie ułatwili sobie zadania na tyle, żeby dziesięć wierszy mierzyć łokciem jedenastego.

To przecież były tylko „szutki, pri-bautki, napisane w przystępie dobrego humoru” – sumituje się na zakończenie Miciński. No, proszę! – żyjemy w czasach niezwykle dla poezji przychylnych. Dziesiątki czasopism literackich, wraź-

„Wiadomości Literackie” 1937, nr 30, s. 5.

liwa i inteligentna krytyka, wydawcy chętni i hojni, dlaczegożby przy okazji nie dać sobie folgi i nie pożartować z tych „słowików tuczonych nagrodami”? A niechby mi Miciński po przyjacielsku wytłumaczył, dlaczego redakcja rodzonego pisma nie uwzględniła jego intencji i potraktowała ten recenzencki żarcik tak poważnie, że aż na tej podstawie odmawia mojej pracy poetyckiej wszelkiej wartości kulturalnej?!

Rozdwojenie jaźni

I oto zbliżamy się coraz bardziej do sedna rzeczy. Nie odpowiadałem w „Wiadomościach Literackich” na żart Micińskiego, dopóki w nr. 25 „Prosto z Mostu” nie wyczytałem w polemice z „Kulturą”, że „rosyjskość z ducha wierszy Łobodowskiego nie jest pożytecznym wkładem w kulturę polską”. Nieprawdaż, jakie to wesołe! Jeden żartował, a drugi już pisze akt oskarżenia. A przy sposobności, żeby już wszystko było do maści, ten drugi dopełnia delikatne nadużycie, cytując w dyskusji o *Demonach nocy* wiersz z wcześniejszej, jeśli chodzi o datę powstania zakwestjonowanego utworu, o trzy lata *Rozmowy z Ojczyzną*. Wszystko poto, żeby udowodnić, że jestem nie tylko Rosjaninem, ale i bolszewikiem. Przyzna mi Miciński że cytowanie mego wiersza o bolszewikach, napisanego i wydrukowanego na długo przed ogłoszeniem znanych mu chyba artykułów w „Wiadomościach” – jest świadomym i celowym wprowadzaniem w błąd czytelnika i fałszowaniem rzeczywistości. Osobiście wcale mi to nie przeszkadza. Przyzwyczaiłem się już do tego, że jednocześnie jestem i bolszewikiem, i faszystą.

Kiedy przyznano mi nagrodę Polskiej Akademii Literatury, „Dziennik Popularny” pisał o faszystcie, który robi karierę na szkoleniu proletariatu, a „Głos Lubelski” ubolewał, że wyróżnienie spotkało autora bluźnierczych

i komunistycznych wierszy. „Robotnik” umieścił wzmiankę o przyznaniu nagrody w kronice sportowej, a niektóre pisma endeckie komunikat PAT-a wogóle wrzuciły do kosza.

To tylko jeszcze jeden drobny przykład więcej na dowód, że na wyższej ponadpartyjnej platformie utworzył się i stale krzepnie wspólny front kołtunerji wszystkich wyznań i przekonań. Znaleźć się pod ostrzałem takiego wspólnego frontu, to nawet nie miała przyjemność, zaszczyt i wyróżnienie. Więc się nie skarżę. Ale ulec takiemu rozdwojeniu jaźni na łamach tego samego pisma i w stosunkowo bardzo krótkim przeciągu czasu zdarzyło mi się po raz pierwszy. Właśnie w „Prosto z Mostu” w polemice z poznańską „Kulturą” redakcja dała wyraz swemu zdziwieniu, jak to można bronić takiego bolszewika, jak Łobodowski, zapominając widocznie, że kilka tygodni wstecz usadowiła mnie na jednym stolcu z Kostką-Biernackim, jako że ideologia wspólna: Brześć, Bereza itd. Teraz sam nie wiem. Totalniak czy komunar? Bereza czy Sołówek? Gestapo czy GPU. „Heill” czy „rady starać się”? Może mi to św. Miciuś, jako cudów zwyczajny i w sprawach podświadomości oblatany, łaskawie wyjaśni.

Pudel Gaga

Fakt, że Miciński pochodzi z Ukrainy ani mnie wzruszył, ani w moje argumenty ugodził. Wiedziałem zresztą o tem bardzo dobrze. Można przecież urodzić się koło Jampola, a w stosunku do spraw ukraińskich zachować umysłowość mieszczucha z Rypina czy Złotej. Nie wiem jak tam jest pod tym względem u Micińskiego, wiem za to jak na całą sprawę zapatrują się Dmowski, Stroński, Giertych, Wasiutyński i idące za nimi gromady. A jeśli Miciński istotnie taki „szczyryj Ukrainiec”, to mógłby mego wiersza o powieszonych Ukraińcach w kacapskie łapcie nie stroić. Pudel Gaga, który zdechł z tęsknoty za introni-

zaczął do rodzinnego pałacu, też urodził się na Ukrainie.

Żydowskie wynalazki

Niepotrzebnie Miciński sądzi, że krytykę moich wierszy wytłumaczyłem sobie „modo psychoanalitico”. W kontusz też go nie stroiłem. A jeśliś tam na endecję wjechał, to z tej prostej przyczyny, że recenzja jego (czy też żart, jak wola) umieszczona została właśnie w „Prosto z Mostu” i z niej zaczerpnięto argument, użyty następnie w polemice z „Kulturą”. Chodzi o to, że według mego, mylnego być może, zdania „Prosto z Mostu” stosuje wobec zjawisk kulturalnych chwyt symulanckie, a recenzja Micińskiego stała się punktem wyjścia dla jeszcze jednego uproszczenia. I niech się nasz skromny „Kulturmensch” nie wykręca, że go sprawy społeczne niewiele obchodzą. Obchodzą, nie obchodzą, a pośredni związek jest.

Nie ulega wątpliwości, że „Prosto z Mostu” stosuje polityczny, a nawet, o zgrozo, klasowy (chłopy idą!) punkt widzenia przy ocenie pisarzy. Wystarczy, aby początkujący beletrysta nazywał się Kosela albo Nędza i pisał do „Prosto z Mostu”, a już staje się znakomitością. Wystarczy być robotnikiem z „narodowej Łodzi”, żeby kiepskie, choć z temperamentem pisane, wiersze otoczono dymem kadzideł. Polskie dwadzieścia lat Pietrkiewicza, to jeszcze jeden powód *ad maiorem Prowinciae gloriam*, żydowskie dwadzieścia latek Hertza budzi wzruszenie ramionami. Nie entuzjazmuję się Hertzem, który mnie ani ziębi, ani grzeje, i którego wbrew warszawskiej opinii nie uważam za geniusza, ale teoria względności – to też żydowski wynalazek, i lepiej zostawić ją w spokoju.

Znalazła się i prywatka!

Oświadczam Miciński, że w „Prosto z Mostu” znalazł „rzecz bezcenną – wolność”. Bardzo to ładne i przyjemne. Ja sam nie zniósłbym krępowania mnie w czemkol-

wiek przez redakcję i umiem to cenić. A jeśli tak jest naprawdę, mam skromną osobistą prośbę. Taka mała prywatka. Niech Miciński napisze obszerną a uczciwą recenzję z utworów tych poetów, których tak zdecydowanie lansuje „Prosto z Mostu” – Dobrzyńskiego, Pietrkiewicza, jeszcze paru. Niech ich solidnie zerżnie.

Znam na tyle poetyckie upodobania Micińskiego, że orientuję się, co sądzi np. o rozwlekłych, rozmamłanych, rozmokłych, niekontrolowanych, wyszukanych stylistycznie, „podlanych czut’ czut’ zjełczałym sosem” sentymentalizmu, manierycznych poematach Pietrkiewicza. Więc śmiało! Prosto z mostu! Cztob malcziszka nai zaznawałsia! A także wartoby poprosic redaktora, żeby nie drukował takich koszmarów, jak np. wiersze Zdzisława Lardellego. Wsiowe to one są, a wiadomo, chłopcy idą, ale zato z poziomem artystycznym coś nie bardzo. I nie pasuje Micińskiemu sąsiadować z taką poezją, gdzie autor, żałując gospodarza, któremu się zmarło, dodaje filozoficznie: „to się zdarza, to się zdarza”. Że niby śmierć się zdarza? – wiadomo, ale poco zaraz poemat!

Tu mi się nasuwa smutna uwaga, spowodowana melancholijnym stwierdzeniem Micińskiego, że gdy pisał o Homerze, Adlerze, Schellerze i Kartezjuszu, „to pies z kulawą nogą nie przeczytał”. Właśnie! – powiem nawet Micińskiemu, dlaczego. Jedni czytali powieści Migowej, a drudzy, młodzież narodowa i radykalna, uchwaliła, że „do Boga dochodzi się, służąc ojczyźnie”. A Kartezjusz powiada inaczej. Więc po jaką cholere?!

Jak już zaznaczyłem, w całej tej polemice chodzi mi nie tyle o Micińskiego i jego żarty ile o wnioski, które na oczekaniu wysnuła sobie redakcja „Prosto z Mostu”. Miciński ci udowodnił, że grzęzniesz w tematyce rosyjskiej, a zatem twoja praca poetycka nie ma dla kultury polskiej żadnego znaczenia i wogóle jesteś bolszewik.

Atak na Łobodowskiego

Takie potępiające wyroki wydaje „Prosto z Mostu” z wysokości swoich nacjonalistycznych pozycji nie od dziś i nie na mnie pierwszego. Jeśli więc wszcząłem tę, pozornie, być może, bardzo osobistą, polemikę, to jedynie w przekonaniu, że upominam się nie tylko o swoją krzywdę. Nie widzę bowiem żadnego mandatu, który uprawniałby „Prosto z Mostu” do stawiania pisarzy na cenzurowanem i wydawaniu wyroków. Przewinięło się w tem piśmie sporo ciekawych wystąpień – i to są jego aktywa. Chcą panowie tworzyć wielką narodową kulturę i sztukę? Bardzo ładnie. Dobremi chęciami dawno już piekło wybrukowano. A jak z realizacją? Na razie trochę chłopomanstwa i „czerwono-białej” poezyjki. A ci co wprowadzają szerszy oddech i wyższy poziom, właśnie Miciński, Andrzejewski, Gałczyński – to wszystko raczej „poputczyki”, niejednokrotnie odcinający się od właściwego tła.

Tak więc proskrypcje i eksterminacje „Prosto z Mostu” nie znajdują przeważ-

nie pokrycia w rzeczywistości, podobnie jak bez pokrycia działa najczęściej nasz polski nacjonalizm. Nie miejsce tu na argumenty, podmurowujące ten zarzut. Może kiedyś indziej. Narazie powiem tyle, że „nie każdy kto woła: Boże! Boże! – wejdzie do Królestwa Niebieskiego”. Nie wystarczy wołać: „Naród, Polska!” – trzeba przede wszystkim swój nacjonalizm uzgodnić z historyczną polską racją stanu i kulturalną przeszłością narodu.

W tem miejscu słyszę, Jak Miciński stawia mi zarzut, że rozszerzam niepotrzebnie dyskusję, i wielkim brzękiem słów staram się osłonić przed uderzeniami skierowanymi wyłącznie pod adresem moich wierszy. Ale racji nie ma. Rzeczy drobne wynikają z wielkich – i odwrotnie. A to co w „Prosto z Mostu” czytuje na temat poezji „czerwonej «Kameny»”, „subsydowanego «Pionu»” itd., składa się na całość na tyle zajmującą, że chętniebym jeszcze podyskutował, byle z wyłączeniem przyczyn, które z niniejszą polemikę sprowokowały.

Ataman Łoboda bawi się

„Prosto z Mostu” nr 32, 11 lipca 1937, s. 4. Notka niepodpisana.

„Głos Lubelski” zamieszcza sprawozdanie z procesu sądowego Józefa Łobodowskiego, autora *Demonom nocy* i b. redaktora „Kuriera Lubelskiego”:

W Lubelskim Sądzie Grodzkim odbyła się sprawa redaktorów niewychodzącego już „Kuriera Lubelskiego”, pisma, które miało reprezentować „Ozon” na lubelskim terenie. Redaktorzy ci, pp.

Łobodowski i Wójcik, oskarżeni byli o zerwanie szeregu szyldów m. in. szyldu wydziału śledczego z godłem państwa.

Za te pijackie występy Sąd skazał Łobodowskiego na 2 mies. aresztu bez zawieszenia. P. Wójcika sąd uniewinnił.

Z okazji procesu okazało się, że p. Łobodowski był już czterokrotnie karany przez różne sądy.

st. p. [Bolesław Piasecki] Rozkoszny laureat

Laureat nagrody młodych PAL.-u Józef Łobodowski ciągle jeszcze nie może się uspokoić, że jego zbiorek wierszy pt. *Demonom nocy* mógł się spotkać z krytycznymi zastrzeżeniami. Splanowany odpowiedzią Micińskiego („Prosto z Mostu” nr 136, Żarty i wyznania), tłumaczy się w „Wiadomościach Literackich” (nr 716 Żarty a rzeczywistość), że właściwie to mu nie o Micińskiego chodzi, tylko a „Prosto z Mostu”, które w polemice z poznańską „Kulturą” przypomniło probolszewicki wiersz z dawniejszego zbiorku laureata: *Rozmowa z Ojczyzną*. Bardzo się więc Łobodowski oburza. Jakto?! To można teraz cytować jego wiersz, napisany i wydrukowany na długo przed ogłoszeniem jego „znanych” artykułów w „Wiadomościach”, w których odwołał swoje dawniejsze wyznanie wiary?

Słuszna racja – jak mówią w Warszawie. Oczywiście, nie możnaby cytować, gdyby... Otóż to „gdyby” będzie bardzo charakterystyczne dla poczynañ naszego laureata. Zacytowany przez nas wiersz nie pochodzi bowiem wcale z „wcześniejszej o trzy lata” *Rozmowy z Ojczyzną*. Pochodzi z drugiego wydania *Rozmowy* opatrzonego na okładce datą „Warszawa, 1936”, które otrzymałmy w redakcji z opaską objaśniającą czytelnika, że jest to utwór laureata nagrody PAL-u. Jak zaś świeżo informuje w „Roczniku Literackim” Zawadzinski, to drugie wydanie spowodowane zostało wyczerpaniem tomiku poprzedniego, wydanego „w bardzo szczupłej ilości egzemplarzy”. Na miejsce więc wydania bibliofilskiego – wydane dostępne dla wszystkich, ze stemplem laureackim. Otóż z tego nowego wydania Łobodow-

ski bynajmniej nie wycofał wiersza *Do bolszewików*. Wydrukował go bez żadnych zmian. Nie opatrzył także tomiku żadnym komentarzem.

Nie wiemy więc, które wyznanie wiary Łobodowskiego należy traktować serio: to z odwoławczych artykułów w „Wiadomościach”, czy to dawniejsze powtórnie zaakceptowane drugim wydaniem *Rozmowy z Ojczyzną*. Może zresztą żadnego z nich na serio brać nie należy. W tym może znajdzie Łobodowski odpowiedź na dręczące go pytanie, dlaczego docinają mu zarówno od „komunarów”, jak i od „totalniaków”. I uśmiechają się, bo jak się nie uśmiechać, gdy Łobodowski, krojąc apolitycznego estetę, zżyma się że „Prosto z Mostu” nazwało kiedyś „Kamenę” – „czerwoną”, a „Pion” – „subsydiowanym”, a równocześnie z czarującą konsekwencją w tymże samym artykule przypisuje „Prosto z Mostu” do „endecji” i z pewną siebie miną obwieszcza: „Nie ulega wątpliwości, że «Prosto z Mostu» stosuje polityczny, a nawet o zgrozo, klasowy (chłopy idą) punkt widzenia przy ocenie pisarzy”. Zrozumieście? Teraz, już wszystko jasne. Cóż za pociecha! „Oni mi dlatego łatki przypinają, że stosują polityczny punkt widzenia, a ja nie jestem ich!”

No i jaki rozkoszny jest ten laureat, do niedawna zaprzysiężony obrońca ludu pracującego, gdy drwi z endeckiego „Prosto z Mostu”, że otworzyło szeroko swe łamy twórczości pisarzy wiejskich, że daje im możliwość próbowania swych sił i rozwijania się, lub gdy z wyżyn swego „estetyzmu” i znawstwa ironizuje: Wystarczy, aby początkujący beletrysta nazywał się Koseła albo Nędza i pisał do „Prostu z mostu”, a już staje się znakomitością. Tak samo świetnie

„Prosto z Mostu” nr 34,
25 lipca 1937, s. 5.
Pisownia oryginalna.

Atak na Łobodowskiego

List Józefa Łobodowskiego do siostry Władysławy z Madrytu, 12 czerwca 1975. Ze zbiorów rodziny Tomanków.

Na sąsiedniej stronie: list Józefa Łobodowskiego do siostry Władysławy z Madrytu, 12 sierpnia 1976. Ze zbiorów rodziny Tomanków.

wie, że Kosela jest początkujący, jak że Nędra (który w sam raz pisuje wiersze, a nie prozę) jest beletrystą. Ale wystarczy, że pisują do „Prosto z Mostu”.

Panie laureacie! Szalej, tłucz szylidy w Lublinie, pisz wiersze (byle dobre), ale nie usiłuj w nas wmawiać, żeś zasad pełen i reformator obyczajów polemicznych.

Kochana Danusia!

dziękuję

Martyna się, że nie odpowiadam na Twoje listy. To nie zupełnie tak. W Anglii ostatnio ciągle strajkowy bałagan i korespondencja chodzi bardzo kapryśnie. Od końca roku jestem w Madrycie, ale za kilka dni znów lecę do Londynu. W styczniu i lutym chorowałam. Zeszło się głupio, ale przeszedłam przez dwie operacje i dość długą rekonwalescencję. Teraz już zupełnie dobrze; za mnie wszystko przaychło, jak na pała.

Najważniejsze, że nie straciłam w najmniejszym stopniu zdolności do pracy pisarskiej; przeciwnie, zwiększyłam wydajność po chorobie. W najbliższym czasie oddam do druku obszerną antologię przekładów z poezji hiszpańskiej (700 lat, od wielki XIII-go do dziś dzień). Była to pierwsza kompletna antologia literki hiszpańskiej w przekładach na polski.

Z listami bywa rozmaicie, ale nie tylko z powodu niekiedy sprawnego funkcjonowania poczty; również wpływ na to ma mój kołpowniczy tryb życia. Tak na przykład, dwa lata temu ktoś napisał do mnie list z Włoch, na Madryt. List przyszedł z pewnym opóźnieniem, do Madrytu dotarł już po moim wyjeździe do Londynu, przesłano go, ale zanim ~~dotarł~~, odawcy w Włoszech już nie było. To bardzo komplikuje porozumiewanie się.

Matka radziła, że u mnie wszystko dobrze. Pisał mi, że Matka została pochowana w grobie Jej Ojca, a naszego Daniusia. Byłby Ci wdzięczny, gdybyś mi przysłała ~~moją~~ fotografię grobu. Pamiętam, że stał nad nim ~~krzyż~~ wysoki krzyż z nieokreślanego drzewa, a opodal gęsta jaskiniowa słowików było tam zakrzęcenie w majowe noce.

tygodni

Jak już wspominałam na wstępie, po przejęciowej chorobie i rekonwalescencji czuję się doskonale i bardzo dużo piszę. W Londynie będę przez kilka ~~tygodni~~, cierpię na zmierzchu opóźnić w Hiszpanii, nad morzem i odświeżam. Potem zabiorę.

Jeżeli więc otrzymasz ten list szybko, pisz na Londyn; jeżeli za zwłoką - na Madryt. Po powrocie nad morze, pocztą w Madrycie aż do mojego przyszłego roku.

Ściskam Cię serdecznie i wszystkich Twoich

Madryt
12 czerwca 1975

J. Łobodowski

Kochana Dziuniu!

Just sporo czasu upłynęło, odkąd otrzymałem od Ciebie ostatni list. Przeważa tryb życia dość koczowniczy, w ciągłych reorganizacjach, co ma swoje pozytywne, ale również negatywne. Często listy przychodzą do mnie z dużym opóźnieniem. Przykładowo: przed paru laty otrzymałem list z Włoch od kogoś bliskiego, który tam był przejeżdżając. A ja akurat wyjechałem do Londynu i, zanim list do mnie dotarł, już było za późno na odpowiedź, bo ten ktoś udał się dalej. I takie rzeczy powtarzają się niejednokrotnie.

Pytałeś w jednym liście, na co chorowałem w ~~ostatnim~~ roku, a nie wiem czy moja odpowiedź do Ciebie dotarła! Było to niestety głupstwo, a mogłem mieć poważne konsekwencje. Zaryzykowałem wrzód, ale z perforacją do jamy brzusznej, co spowodowało grube komplikacje. Skończyło się dobrze, ale dwie kolejne operacje sporo mnie kosztowały i przez cały rok spłacałem wynikiem stąd dług!

W drugiej połowie lipca wyjechałem nad morze, teraz wpadłem na kilka dni do Madrytu, by załatwić różne formalności, a jutro znów na plażę aż do końca sierpnia. W październiku wybieram się do Anglii, a za rok czeka mnie dłuższa wyprawa za Ocean. Stary Zjednoczony i Kanada, co potrwa prawdopodobnie kilka miesięcy (cztery do sześciu). Powinno dać dobre wyniki finansowe.

Ze zdrowiem różnie, ale ze mną, jak z kotem, który zawsze upada na ostery łapy. Najważniejsze, że nawet choroby nie przeszkadzają mi w pracy i moja przeszłość - około osiem godzin pracy maszyną - utrudnia mi się nadal. Wrócić widzę opóźnioną antologię poetów hiszpańskich w moich przekładach; ponad pięćdziesiąt autorów, ponad dwadzieścia wierszy - obejmuje przeszło siedem wieków, od drugiej połowy XII w. po dziś dzień. To wynik wieloletniej pracy, tymczasem wiersze hiszpańskie zaczęłam w roku 1945. Również ukaza się nie długo tom moich wspomnień literackich (pozytywa, proza), a jeżeli dobrze pójdzie, to jeszcze ze dwie inne książki. Przy różnych kłopotach życiowych to zawsze spory satysfakcja.

Jak wiesz, skończyłem w ub. marcu 67 lat. Niety starość, a nie zupełnie, bo zdolność do ciągłej pracy, jak za dobrych czasów, a może nawet większa. Czyli, że metryka w takich wypadkach nie decyduje. Co u Ciebie? Jeżeli będziesz mogła odpisać jeszcze we wrześniu, to na adres madrycki jeżeli dopiero w październiku, to na Londyn.

Ziśka, pozdrów serdecznie wszystkich Twoich

M a g r y t
12 sierpnia 1976

JÓZEF ŁOBODOWSKI

JARZMO KAUDYŃSKIE



KSIĘGARNIA POLSKA ORBIS
66, Kenway Road, London, S.W.5

Sprawa Arnsztajnowej

Poniższa polemika prasowa ilustruje tematykę, wielowątkowość, styl i temperaturę sporów, które angażowały inteligencję II Rzeczypospolitej. Jej wiodącym wątkiem (choć jeszcze nieobecnym w pierwszym tekście) jest problem stosunku do Polaków żydowskiego pochodzenia i postawa Łobodowskiego, ale pojawia się w niej także wiele innych kwestii bliskich nam również dzisiaj.

st.p. [Bolesław Piasecki] „Pion” przegląda prasę

Z dużym zainteresowaniem przeglądamy od kilku tygodni „Przeglądy prasy” w „Pionie”. Zdarzyło się bowiem, że w nrze 133 „Prosto z Mostu” wzięliśmy w obronę młodego poetę Jerzego Pietrkiewicza przed niesprawiedliwą naszym zdaniem recenzją z *Prowincji*, jaką w „Pionie” zamieścił Wł. Sebyła. Zestawiliśmy opinie Sebyły z zdaniami kilku innych recenzentów (wśród których nie brakło nawet współpracującego w „Pionie” L. Frydego) i przy okazji wypowiedzieliśmy kilka cierpkich słów na temat recenzji poetyckich w „Pionie” w ogóle.

Rezultat nie dał na siebie długo czekać. Oczywiście nie odpowiedź wprost. To byłoby wbrew wszelkim przyjętym w Warszawie regułom. Przeglądacz prasy „Pionu” zaczął szukać czegoś sposobnego na innym terenie. Jest, jest! List otwarty redaktorów poznańskiej „Kultury” do redaktora „Prosto z Mostu” (fragment znanej naszym czytelnikom polemiki). Więc oczywiście cytaty, określenie listu otwartego jako „pierwszorzędny dokument chwili”, no i kilku soczystych opinii o „Prosto z Mostu”, wśród których nie brak było zarzutu używa przez nasze pismo w walkach

metody przemilczania. Uśmialiśmy się serdecznie, określenie bowiem tej metody jak ulał pasowało właśnie do notatki „Pionu”, która była dość klasycznym przykładem... przemilczenia istotnego powodu wypadu polemicznego.

Z tym większą ciekawością obserwowaliśmy, jak się sprawa rozwinie dalej. Nie było zawodu. Z kolei ofiarą przeglądacza prasy w „Pionie”, szukającego okazji, aby nam dociąć, padł Bogu ducha winny prof. Henryk Życzynski, który jakoś w tym czasie zamieścił w „Prosto z Mostu” artykuł p.t. *Nowinkarstwo w polonistyce*. Sam artykuł nie nasunął przeglądaczowi żadnych refleksyj, skądżeby! Po jego ukazaniu się było zrazu w „Pionie” głucho. Ale oto prof. Roman Ingarden drukuje u nas w „Prosto z Mostu” kilka sprostowań drobnych nieścisłości artykułu prof. Życzynskiego. Przeglądacz z „Pionu” zaciera ręce. To dopiero gratka! Nie czekając więc co odpowie prof. Życzynski i zatajając, że całą mądrość swą zaczerpnął z wyjaśnień prof. Ingardena drukowanych w „Prosto z Mostu”, atakuje w własnym imieniu artykuł prof. Życzynskiego, pozwalając sobie przy tym na zupełnie niedopusz-

„Prosto z Mostu” nr 34,
25 lipca 1937, s. 5.

Na sąsiedniej stronie:
okładka tomu *Jarzmo kau-
dyrskie*. Okładka i ilustra-
cje: Miroslaw Sokolowski.

czalne, nieprzyzwoite zwroty pod adresem wybitnego uczonego lubelskiego.

Po tym dopiero obstrzale terenu przypomina sobie przeglądacz, że „Prosto z Mostu” zaatakowało przed kilku tygodniami „Pion” z powodu recenzji Sebyły. „Nie polemizowaliśmy z tą wzmianką ze względów zasadniczych” – oświadcza z całym spokojem. Teraz już „względów zasadniczych” nie ma. I polemika jest niepotrzebna. Dlaczego? Bo w „Prosto z Mostu” ukazał się nowy poemat Pietrkiewicza *Wyzwolone mity*, w którym „doszły do głosu (bardzo

kakofonicznie) wszystkie braki i grzechy *Prowincji* a znikły zupełnie jej nikłe wdzięki”. Tyle ma pan przeglądacz prasy do powiedzenia o utworze młodego poety. Na dokładkę jeszcze dowcipiek: „Nie będziemy tu cytowali co pikantniejszych, kawałków nieszczęsnego «poematu», nie chcąc znęcać się nad niewinnym autorem któremu po prostu przewrócili w głowie kadzidła recenzentów i mało wyrobionego artystycznie środowiska”. Pietrkiewicz zatem zoperowany. „Prosto z Mostu” też się dostało co się zmieści przez kilka tygodni: dobra nasza!

st.p. [Bolesław Piasecki] **Skutki**

„Prosto z Mostu” nr 34, 25 lipca 1937, s. 5.
Składnia oryginalna.
Skróty dotyczą zdania:
„że «Pion»: «w ezoterycznej, oczyszczonej z treści empirycznych postaci odsłania fenomenologię współczesnej kultury francuskiej»”, które pojawia się dwukrotnie prawdopodobnie przez pomyłkę zecera (w pierwszym miejscu pojawia się tylko zdanie w cudzysłowie: „w ezoterycznej ... francuskiej”).

Ale tu się zaczyna druga część programu, nieprzewidziana przez przeglądacza prasy: fałszywa gra zaczyna wyłazić bokiem. Prof. Życzynski. oburzony niesłychanym potraktowaniem go przez „Pion”, oświeśla metody polemiczne anonimowego przeglądacza w liście do „Prosto z Mostu” i protestuje przeciw nim w liście do „Pionu”. I oto redakcja „Pionu” (tym razem działał zapewne nie przeglądacz prasy, ale naczelny redaktor Wilam Horzyca) czuje się w obowiązku zamieścić oświadczenie, że: „nie mieliśmy wcale intencji obrażać p. Życzynskiego, jako człowieka i profesora, i dlatego za użycie ostrych i napastliwych słów niniejszym bardzo Go przepraszamy”.

Nie przeszkodziło to zresztą wcale panu przeglądaczowi w kilka tygodni później zaczerpnąć z artykułu prof. Życzynskiego p.t. *Filozofia literatury* (tym razem oczywiście bez cytowania źródła) pewnych nazwisk i określeń („mitologia literacka w stylu Bertrama i Gundolfa”), którymi się popisał w nekrologu ś.p. prof. Ujejskiego.

Pietrkiewicz z kolei, dotknięty bezceremonialnym osądzeniem jego poematu w jednym zdaniu przeglądu prasy

„Pionu” i dowcipkami na ten temat, wali w „Myśli Narodowej” (nr 29) wierszyk satyryczny, dedykowany „Pionowi”:

*Wstyd mi bardzo, że się bronię,
kiedy mnie zjeżdżają w „Pionie”.
Pseudo-epik, pseudo-talent,
megaloman i tak dalej.*

*Poco taki ciągle pcha się,
kiedy pełno na parnasie.*

*Eiger, Peiper i Turower,
Koloniecki i Łazower –*

*-tówna oraz Arnsztajnowa
wznoszą pomnik polskiej mowy.*

*Szkoda, że nie jestem Frydem.
ani jakimś innym żydem,*

*Taki Fryde bierze pióro
– i co za styl, co za urok!*

[...]

*Oto wykwit polskiej mowy
pod egidą Arnsztajnowej.*

*Proszę sprawdzić numer „Pionu”,
drugi w czerwcu, 5 strona,*

*I co na to pan Horzyca,
czy go taki styl zachwyca?*

*Czy zachwyca go Rzeczycja
pod redakcją Czechowicza –*

*I Eigery, Łazowery,
Kołonieccy i Peipery –*

*A na końcu listy żydek,
recenzencki rabin Frydek*

*U nas byle pederasta
talent ma, talentem szasta.*

*Tomik, wierszyk; trzy wizyty –
i już sukces jest zdobyty.*

*A ty Jerzy Pietrkiewiczzu,
koniunktury żeś nie wyczul.*

*Nie wiesz kto to Proust, Valery,
oraz inne Bodlery,*

*Pseudo-epik, pseudo-talent
nic zrozumie tego wcale.*

[...]

*Bo tak pisze brzydki bżydek,
rabin „Pionu”, Ludwik Frydek.*

Takie oto reperkusje wywołuje, brykanie pana przeglądacza prasy z „Pionu”. Mniejsza o to zresztą. Nie warto byłoby się tą całą sprawą zajmować, gdyby nie pewien względ zasadniczy. Zastanawiająca mianowicie jest ta uciecha, z jaką

anonim z „Pionu” obwieszcza same „braki i grzechy” w nowym poemacie Pietrkiewiczza, zastanawiający jest tupeć, z jakim Łobodowski dyskwalifikuje wszystkich (z małymi wyjątkami) młodych pisarzy z „Prosto z Mostu”.

Otóż w przeciwieństwie do pogardy Łobodowskiego dla „początkujących” i debiutantów w przeciwieństwie do tępego a wyniosłego estetyzowania „Pionu”, my tu właśnie w „Prosto z Mostu” tych „początkujących” otaczamy opieką, dajemy im możliwość wypowiadania się i samokontroli. Wolimy drukować nie wolne nawet od pewnych braków utwory młodych pisarzy, jeśli w nich widzimy takie rzetelne wartości niż „iść na pewniaka”, co najczęściej oznacza drukowanie miernych utworów ustalonych firm literackich, których nikt nie zaatakuję. Nie cieszymy się także jak przeglądacz prasy w „Pionie” z braków i niedociągnięć, nieuchronnych w utworach „początkujących”, choć te braki doskonale dostrzegamy. Uważamy jednak, że konieczne dla rozwoju pisarza jest, aby także braki swoje zobaczył w druku; aby mu je przyjaźnie wytknięto, oczywiście odnosi się to tylko do pisarzy niewątpliwie utalentowanych, choć szukających dopiero swej twórczej drogi. Dlatego może na łamach „Prosto z Mostu” rozwinął się już niejeden talent pisarski i dlatego zapewne „Pion”, choć jako pismo subsydiowane przede wszystkim miałby obowiązek społeczny poszerzania literatury, przez kilka lat swego istnienia i nie przysporzył piśmiennictwu polskiemu ani jednego nowego talentu ani też żadnym nowym talentem bliżej się nie zaopiekował.

Do redaktora „Wiadomości Literackich”

Proszę o zamieszczenie kilku słów poniższych, które napisane zostały pod wpływem oburzenia i obrzydzenia, jakie mnie ogarnęło po przeczytaniu Nr 34 „Prosto z Mostu”. Proszę mi uwierzyć, że nie chodzi mi tu o dalsze przeciąganie polemiki

„Wiadomości Literackie”, nr 32, 1937.

Sprawa Arnsztajnowej

ki osobistej, aczkolwiek p. Piasecki i tym razem popełnił szereg nieścisłości czy też fałszów.

Pragnę jedynie zareagować na ton, w jakim p. Pietrkiewicz w przedrukowanym z „Myśli Narodowej” wierszyku ośmiela się pisać o poetce lubelskiej, Franciszce Arnsztajnowej. Arnsztajnowa jest z pochodzenia Żydówką, stąd też zapewne lekceważące zestawienie jej z „Turowerem, Łazowerem i Frydkiem” i umieszczenie w sąsiedztwie obelżywej uwagi o pederastach. Nie pierwszy to raz zdarza się pp. „nacionalistom”. Czytaliśmy już kiedyś coś takiego o sędziwej pisarce w „Podbięcie”. Żydówka! - i sprawa przesądzona. Pp. Publicyści zapomnieli jednak dodać, że ta Żydówka prowadziła intensywną pracę niepodległościową w Lublinie mniej więcej wtedy, gdy babcia niejednego „narodowego” redaktora chodziła w rudej peruce, że jej dom w Lublinie był przystanią dla wszystkich konspiratorów i żołnierzy Niepodległości, jacy się wówczas przez miasto przewijali. W uznaniu owych zasług ta Żydówka, którą dziś byle niepełnoletni pętał bierze na cel swoich grafomańskich wyczynów została kilkakrotnie odznaczona przez Najjaśniejszą Rzeczpospolitą. Potrafiła wreszcie wychować swego syna, ś.p. Jana Arnsztajna, na dzielnego oficera polskiego, który wprost z szeregów skautowskich poszedł na pole chwały, a jak tam sobie poczynił, sprawdźcie, panowie, we właściwych papierach. Pan Pietrkiewicz, który nie tylko prochu ale nawet zupy rekruckiej jeszcze nie wahał, powinienby zrozumieć, jaki dystans dzieli go od tej Żydówki, którą łaskawie raczy znieważać. Tu nie chodzi o filosemityzm czy antysemityzm. Tu chodzi po prostu o elementarną przyzwoitość w stosunku do kobiety, pisarki i patriotki, która nie potrzebuje dowodów uznania od pp. Pietrkiewiczów i Piaseckich, bo je miała od takich ludzi, jak Stefan Żeromskiego i Józef Piłsudski. Tyle co do meritum tej sprawy.

A do p. redaktora „Prosto z Mostu” przy okazji załączam uniżoną prośbę. Nie pisz pan odpowiedzi na ten list o lubelskich szyldach. Jak tam było, to było, nie ulega wszakże wątpliwości, że zdemolowanie po pijanemu szyldu dowodzić może wyłącznie awanturniczego usposobienia i skłonności do kieliszka, natomiast wyczyny, które się pod pańskim kulturalnym protektorem dzieją w ostatnich czasach w „Prosto z Mostu”, są dowodem jaskrawego duchowego prostactwa, tem gorszego, że bijącego w sędziwą kobietę, która zapewne nie zechce poniżyć swojej starości obroną przed napaściami ekonomskich synków.

Józef Łobodowski (Lublin)

Bolesław Piasecki

Burza na lubelskim Olimpie poetyckim.

P. Łobodowski kruszy kopie o p. Arnsztajnową w „Wiadomościach Literackich” i „Naszym Przeglądzie”

Lubelskie sfery polityczne stają się coraz bardziej głośnie, nie tyle z tytułu poezji, jakie tworzą, ile z racji polemiki, jaka rozgorzała między p. Łobodowskim a tygodnikiem „Prosto z Mostu”. Jeśli zresztą chodzi o Łobodowskiego, poezje jego – pomijawszy ich tendencję – są naogół lepsze od recenzji i krytyk jakie się o nich czytuje. Niestety Łobodowski głośny jest nie tylko z racji waloru swoich utworów, ale znacznie bardziej z ich właśnie tendencji.

Ostatnia polemika w świecie poetyckim wybuchła z racji wierszyka poety Pietrkiewicza, drukowanego w „Myśli Narodowej”. Wiersz był cięty i chłostał ostrą satyrą grupę poetów żydowskiego pochodzenia, „uprawiających” poezję polską i robiących sobie wzajem dość głośną reklamę, a usiłujących często zakrzyczeć pisarzy nie należących do ich grupy. W wierszu znalazło się nazwisko poetki lubelskiej Arnsztajnowej, obok innych pisarzy-żydów.

W „Wiadomościach Literackich” rzucił się na Pietrkiewicza p. Łobodowski w liście otwartym, skwapliwie przedrukowanym przez „Nasz Przegląd”. W liście tym czytamy m. in.:

Pragnę zareagować na ton, w jakim p. Pietrkiewicz w przedrukowanym z „Myśli Narodowej” wierszyku ośmiela się pisać o poetce lubelskiej Franciszce Arnsztajnowej. Arnsztajnowa jest z pochodzenia żydówką, stąd też zapewne lekceważące zestawienie jej z „Turowerem, Łazowerem i Frytkiem” i umieszczenie w sąsiedztwie obelżywej uwagi o pederastach. Nie pierwszy to raz zdarza się pp. „nacionalistom”. Czytaliśmy już kiedyś coś takiego o sędziwej pisarce w „Podbipięcie”. Żydówka! – i sprawa przesądzona.

Pp. publicyści zapomnieli jednak dodać, że ta żydówka prowadziła intensywną pracę nie-

podległościową w Lublinie mniej więcej wtedy, gdy babcia niejednego „narodowego” redaktora chodziła w rudej peruce, że jej dom w Lublinie był przystanią dla wszystkich konspiratorów i żołnierzy Niepodległości, jacy się wówczas przez miasto przewijali. W uznaniu owych zasług ta żydówka, którą dziś byle niepełnoletni pętał bierze za cel swoich grafomańskich wyczynów, została kilkakrotnie odznaczona przez Najjaśniejszą Rzeczpospolitą. Potrafiła wreszcie wychować swojego syna, ś. p. Jana Ajnsztajna, na dzielnego oficera polskiego, który wprost z szeregów skautowskich poszedł na pole chwały, a jak tam sobie poczynił sprawdzić, panowie, we właściwych papierach. Pan Pietrkiewicz, który nie tylko prochu ale nawet zupy rekruckiej jeszcze nie wąchał, powinienby zrozumieć, jaki dystans dzieli go od tej żydówki, którą łaskawie raczy znieważać.

Tu nie chodzi o filosemityzm czy antysemityzm. Tu chodzi poprostu o elementarną przyzwoitość w stosunku do kobiety pisarki i patriotki która nie potrzebuje dowodów uznania od pp. Pietrkiewiczów i Piastekich, bo je miała od takich ludzi jak Stefan Żeromski i Józef Piłsudski. Tyle co do meritum tej sprawy.

A do p. redaktora „Prosto z Mostu” przy okazji załączam uniżoną prośbę. Nie pisz pan w odpowiedzi na ten list o lubelskich szyldach. Jak tam było, to było, nie ulega wszakże wątpliwości, że zdemolowanie po pijanemu szyldu dowodzić może awanturniczego usposobienia i skłonności do kieliszka, natomiast wyczyny, które się pod pańskim kulturalnym protektorem dzieją w ostatnich czasach w „Prosto z Mostu” są dowodem jaskrawego duchowego prostactwa, tem gorszego, że bijącego w sędziwą kobietę, która zapewne nie chce poniżać swojej starości obroną przed napaściami ekonomskich synków.

List p. Łobodowskiego jest bardzo znamieny. Gorąca obrona żydówki, p. Arnsztajnowej z powołaniem się na jej zasługi niepodległościowe, budzi pewne

„Głos Lubelski” nr 211,
4 sierpnia 1937, s. 5.
Pisownia oryginalna.

podejrzenia. Bo p. Łobodowski głośny był dotąd raczej z przekonani komunistycznych niż „niepodległościowych”, tak, że nie wiemy doprawdy, kogo, broniąc p. Arnsztajnową broni – żydówkę czy działaczkę. Pełne patosu patriotycznego słowa nie przystoją karanemu sądownie b. wydawcy i b. redaktorowi komunistycznych „Barykad”.

P. Łobodowski jest najmniej powołany by dawać komukolwiek, zwłaszcza narodom lekcje patriotyzmu i szacunku dla zasług patriotycznych. Bo komunizm jest, cokolwiek byśmy o tem powiedzieli ostatecznej konsekwencji, działaniem przeciw Polsce a na rzecz Rosji sowieckiej. Nie chodzi tu bynajmniej o sprawę sztyldów i skłonność do kieliszka, o których sam p. Łobodowski wspomina. Chodzi o inne sprawy i wyroki, kwestionujące p. Łobodowskiego już jako Polaka. W roku 1933 wyrok skazujący (6 mies. aresztu) za komunistycz-

ne „Barykady”, następnie 2 lata aresztu z art. 127 (zniewaga władz, urzędów, wojska lub marynarki) i art. 154 k.k. (publiczne nawoływanie do popełnienia przestępstwa). Następnie 6 mies. więzienia z art. 155 k.k. (rozpowszechniania druków nawołujących do popełnienia przestępstwa) i art. 172 k.k. (publiczne bluźnierstwo przeciw Bogu). Oraz wreszcie rok więzienia z art. 173 (łżeństwo religii, zniewaga przedmiotów czci religijnej lub miejsc przeznaczonych dla wykonywania obrzędów religijnych).

Wyroków tych i przeszłości żadnymi czynami dotąd nie wyrównał i nie zagładzi. Tyle tylko, że komunistą – jak sam twierdzi – podobno być przestał. Ale to stanowczo za mało by wchodzić na koturny i kierować patriotyczne wyroki.

I jeszcze jedno. Poco wymyślać komuś od ekonomicznych synów gdy się samemu jest synem... rosyjskiego urzędnika czy intendenta?

st.p. [Bolesław Piasecki] **Naręcze jajczek**

„Prosto z Mostu” nr 37,
8 sierpnia 1937, s. 8.
Pisownia oryginalna.

O polemice z laureatem Akademii Literatury p. Łobodowskim nie może być już mowy. Polemista który postawione sobie konkretne zarzuty określa głośno jako „nieścisłości, czy fałsze” i zadowolony galopuje dalej, młody poeta, który w utarcze słownej z młodszym kolegą nazywa go „niepełnoletnim pętakiem”, ex-socjalista, który pod adresem swych adwersarzy kieruje epitet „ekonomiczne synki” – że przytoczymy tylko te przykłady z ostatniego popisu p. Łobodowskiego na łamach „Wiadomości Literackich” (nr 718) – scharakteryzował sam w sposób wystarczający swoją sylwetkę zarówno jako pisarza, tak i jako człowieka.

Toteż – niech tam sobie. W danej chwili chodzi o co innego. O to mianowicie, że wiadomościowy popis p.

Łobodowskiego zastał przedrukowany przez kilka pism, które nigdy by go nie przedrukowały, gdyby nie pewien wymuszeniowy chwyt, zastosowany przez obiecującego laureata. Jest to t.zw. wymuszenie, „na zasługi niepodległościowe” i „na Piłsudskiego”.

Rzecz tak się przedstawia: Jerzy Pietrkiewicz zamieścił w „Myśli Narodowej” satyryczny wierszyk na styl i polszczyznę niektórych współpracowników „Pionu”, wiążąc to z żydowskim ich pochodzeniem. Wśród nazwisk, wymienionych przez Pietrkiewicza znalazła się m.in. p. Arnsztajnowa. Wierszyk był odpowiedzią na niesprawiedliwy atak, z jakim poezja Pietrkiewicza spotkała się w „Pionie”. Referując całą polemikę w tej sprawie, przytoczyliśmy w „Prosto z Mostu” wierszyk Pietrkiewicza jako

przykład, do czego prowadzą, nieodpowiedzialne metody, stosowane ostatnimi czasy w „Pionie” wobec młodych pisarzy. Nie uważamy zresztą wcale, żeby kontrmetoda załatwiania spraw przez wierszyk satyryczny, jaką obrał Pietrkiewicz, była szczęśliwa. Jest to zły zwyczaj, wprowadzony swojego czasu przez Słomskiego w polemice z Nowaczyńskim (*Rudy do budy*); poeta nie ma potrzeby bronić się wierszami satyrycznymi, jeśli rzeczywiście jest coś wart; obroni go skuteczniej jego własna twórczość. Ale Pietrkiewicz jest młody. Bardzo młody. Ponosi go temperament. Przeżywa jeszcze ten okres, w którym się myśli, że na każde zaczepne słowo trzeba odpowiedzieć. Wierc odpowiada na lewo i prawo, rozsyła listy do redakcyj, drukuje wiersze satyryczne. A wygi czyhają, żeby go złapać za jakieś słówko.

Jest! Hurra, hurra! Arnsztajnowa. Jak śmie taki „niepełnoletni pętał” (tak, tak!) napadać na Arnsztajnową, która „prowadziła intensywną pracę niepodległościową w Lublinie”, której dom „był przystanią dla wszystkich konspiratorów i żołnierzy Niepodległości”, która „została kilkakrotnie odznaczona przez Najjaśniejszą Rzeczpospolitą”, która miała uznanie „takich ludzi jak Stefan Żeromski i Józef Piłsudski”. Tak to z lekkiej ręki autora wiersza *Do bolszewików* i bohaterskiego pogromcy szyldu Urzędu Śledczego w Lublinie – zostały zmobilizowane przeciw Pietrkiewiczowi: 1) Niepodległość (przez wielkie N), 2) Najjaśniejsza Rzeczpospolita (przez wielkie R) i wielkie R), nie mówiąc już o Stefanie Żeromskim i Józefie Piłsudskim.

Wobec takich wielkoliterowych argumentów – natychmiastowy przedruk z „Wiadomości Literackich” w „Kurierze Porannym”, tym samym „Kurierze”, który zresztą ostatnio jest z „Wiadomościami” w ostrej wojnie. Przedrukował z soczystym własnym komentarzem pan h. d. (Henryk Domański), dawny współpracownik tegoż „Kuriera” z czasów Rzy-

mowskiego. Ten sam p. Domański, który swojego czasu ubolewał nad młodymi pisarzami chłopskimi, że nie przystępują do folkstrontu, tylko dają się wodzić na pasku nacjonalistycznego „Prosto z Mostu”.

Pietrkiewicz próbuje się bronić. Wy stosowuje list do redakcji „Kuriera Porannego”. Że przecież jego wiersz wcale nie dotyczył działalności polityczno-niepodległościowej p. Arnsztajnowej, tylko działalności literackiej. I w odpowiedzi dostaje drugą reprimendę od p. Jerzego Hulewicza, który acz prowadzi ostatnio bardzo pożyteczną, walkę z żydowskimi wpływami w polskiej sztuce, też uległ sugestii nic nie mających w danym wypadku do rzeczy wielkoliterowych argumentów Niepodległości. Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i Józefa Piłsudskiego, za co natychmiast doczekał się gorącej pochwały w... syjonistycznym „Naszym Przeglądzie”. Ta pochwała powinna go zastanowić...

Czytam tedy powtórnie wierszyk Pietrkiewicza. Cóż tam była za obraza majestatu Rzeczypospolitej w związku z nazwiskiem p. Arnsztajnowej? Jest ono wymienione dwa razy: „Łazowertówna oraz Arnsztajnowa wznoszą pomnik polskiej mowy” i „Oto wykwit polskiej mowy pod egidą Arnsztajnowej”. Przypomina mi się historia sprzed jakichś lat dziesięciu. Oto w „Myśli Narodowej” poddano rozbiorowi krytycznemu twórczość literacką p. Arnsztajnowej. Recenzenta uderzył zwłaszcza jeden zwrot, użyty przez nią w jakimś wierszu: „naręcze jajeczek”, zaczęłam radziłam dobrotliwie uważać, bo „jajeczka z pewnością wypadną, potłuką się i splamią pasiasty wełniak kumy Arnsztajnowej”. Okazuje się, więc, że i to było obraza majestatu Rzeczypospolitej. Wara od polszczyzny p. Arnsztajnowej, bo... Niepodległość, bo... Najjaśniejsza Rzeczpospolita, bo... Józef Piłsudski.

Jest to pospolite nadużycie, które trzeba stanowczo napiętnować. Jest to

nadużycie tego samego rodzaju, jakie popełniono świeżo w interpelacji sejmowej przeciw min. Poniatowskiemu – któremu demagogicznie wyciągnięto jego okólnik, przypominający postanowienia reformy rolnej, że działki parcelacyjne mają być przydzielane fachowym rolnikom, a nie zawodowym wojskowym, urzędnikom i.t.d. Ukuto z tego argument, że jest to obraza armii, wyciągnięto z słownika wielkie słowo o pokrzywdzeniu „obrońców niepodległości i granic Rzeczypospolitej”. A sprawa jest przecież prosta: zawodem wojskowych jest służba wojskowa, zawodem rolnika jest uprawianie ziemi. Wysłużonym wojskowym, o ile mogą się wykazać fachowymi kwalifikacjami rolniczymi, ustawa i tak przewiduje pierwszeństwo w nabywaniu ziemi. Natomiast absurdem byłoby przydzielać ziemię wojskowym niewykwalifikowanym rolniczo, z pominięciem prawdziwych rolników. Takim

samym absurdem jest żądanie przywilejów dla osób, „zasłużonych w pracy niepodległościowej” na terenie literatury. Żeby być rolnikiem – trzeba umieć uprawiać ziemię. Żeby być pisarzem – trzeba umieć pisać po polsku. P. Arnsztajnowej obcy jest duch polszczyzny, co zapewne łączy się z jej obcym pochodzeniem. Jest literatką bardzo słabą. Czyż tego nie wolno wytknąć?

Takie to przecież jasne – a jednak, gdy ktoś w dzisiejszych czasach użyje w jakiegokolwiek dziedzinie argumentu „zasług niepodległościowych”, argument ten działa niezawodnie. Nie zdają sobie nawet ludzie z tego sprawy, że właśnie wprowadzanie do rozgrywek osobistych argumentu Niepodległości jest największą obrazą majestatu Rzeczypospolitej i że właśnie stosowanie takiego chwytu powinno wywołać odruch oburzenia. Bo to jest w całym tego słowa znaczenia – kupczenie świętościami.

[Bolesław Piasecki] Profesor patriotyzmu

„Prosto z Mostu” nr 38,
15 sierpnia 1937, s.5.
Artykuł niepodpisany.

Zamieszczany w „Wiadomościach Literackich” list p. Łobodowskiego, który w imieniu Niepodległości Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, Stefana Żeromskiego i Józefa Piłsudskiego wystąpił w obronie zasług politycznych p. Arnsztajnowej, znieważonych jakoby wierszem satyrycznym Jerzego Pietrkiewicza – wywołał silną reakcję na łamach prasy lubelskiej. „Głos Lubelski” pisze w tej sprawie:

List p. Łobodowskiego jest bardzo znamienny. Gorąca obrona żydówki, p. Arnsztajnowej z powołaniem się na jej zasługi niepodległościowe, budzi pewne podejrzenia. Bo p. Łobodowski głośny był dotąd raczej z przekonania komunistycznych niż „niepodległościowych”, tak, że nie wiemy doprawdy, kogo – bronić p. Arnsztajnową, broni – Żydówkę czy działaczkę. Pełne patosu patriotycznego słowa nie przystoją ka-

ranemu sądownie b. wydawcy i b. redaktorowi komunistycznych „Barykad”.

P. Łobodowski jest najmniej powołany by dawać komukolwiek, zwłaszcza narodom lekcje patriotyzmu i szacunku dla zasług patriotycznych. Bo komunizm jest, cokolwiek byśmy o tym powiedzieli – w ostatecznej konsekwencji działaniem przeciw Polsce, na rzecz Rosji Sowieckiej.

Nie chodzi tu bynajmniej o sprawę sztyldów i skłonność do kieliszka, o których sam p. Łobodowski wspomina. Chodzi o inne sprawy i wyroki, kwestionujące p. Łobodowskiego już jako Polaka. W roku 1933 wyrok skazujący (6 mies. aresztu) za komunistyczne „Barykady”, następnie 2 lata aresztu z art. 127 (zniewaga władz, urzędów, wojska lub marynarki) i art. 154 k.k. (publiczne nawoływanie do popełnienia przestępstwa). Następnie 6 mies. więzienia z art. 155 k.k. (rozpowszechnianie druków nawołujących do popełnienia przestępstwa) i art. 172

k.k. (publiczne bluźnierstwo przeciw Bogu). Oraz wreszcie rok więzienia z art. 173 (łżenie religii, zniewaga przedmiotów czci religijnej lub miejsc przeznaczonych dla wykonywania obrzędów religijnych).

Wyroków tych i przeszłości żadnymi czynami dotąd nie wyrównał i nie zagładzi. Tyle tylko, że komunistą – jak sam twierdzi – podobno być

przestał. Ale to stanowczo za mało by wchodzić na koturny i kierować patriotyczne wyroki.

I jeszcze jedno. Poco wymyślać komuś od ekonomskich synów gdy się samemu jest synem... rosyjskiego urzędnika czy intendenta?

Istotnie, na profesora patriotyzmu, ma p. Łobodowski kwalifikacje bardzo osobliwe.



Aleje Racławickie, widok w kierunku Krakowskiego Przedmieścia, ok. 1937 rok. Ze zbiorów rodziny Margulów.

Józef Łobodowski



POLSKI FUNDUSZ WYDAWNICZY W KANADZIE

Środowisko literackie Lublin i Warszawa

Józef Łobodowski Zuzanna Ginczanka

W roku 1933 zgłosiłem się do 44. pułku strzelców kresowych, stacjonowanego w Równem Wołyńskim, aby w miejscowej podchorążówce odbyć służbę wojskową. Jeden z moich kolegów, lwowianin ormiańskiego pochodzenia, powiada mi któregoś dnia, że ma w Równem dalekiego krewnego, który pisuje wiersze i, dowiedziawszy się o moim pobycie w podchorążówce, bardzo mnie chce poznać. Tak doszło do kontaktu z młodym ówczesnie poetą Janem Śpiewakiem. Właściwie był to literacki pseudonim, syn nieco zmienił nazwisko. Swego czasu przejrzałem wspomnienia Jana Śpiewaka pt. *Przyjaźnie i animozje* wydane jeszcze za życia pisarza zmarłego w roku 1965. Był on chyba rok, albo dwa ode mnie starszy, więc należy uznać ten zgon za o wiele przedwczesny.

Potem książkę odłożyłem i dopiero po kilkunastu latach przeczytałem dokładnie. Jan Śpiewak! Komu na emigracji nazwisko coś mówi?! Czytając książkę, bez trudu wyłowiłem wszystkie błędy i niekonsekwencje, od których ten tekst się roi. Wystarczą tytułem przykładu dwa fragmenty. Oto one: „Pewnego dnia – pisał Śpiewak – matka wspominała, że córka znajomych pisze wiersze. Jest w 7 klasie. Zaciekała mnie ta znajomość... W 1934 roku poznałem w Równem Zuzannę Ginczankę (s. 190)”. Nie, bo ja poznałem dziewczynę za pośrednictwem tegoż Śpiewaka w jesieni 1933 roku.

A w ostatnim rozdziale książki rozmowa ze Stanisławem Piętakiem:

„Kiedy i gdzie poznaliśmy się? „Poznaliśmy się wczesną jesienią 1934 w Warszawie na ulicy. Szedłem z Zuzanną i Józkiem Łobodowskim, był to róg Mazowieckiej i Traugutta, południe, Zuzanna szła w stronę uniwersytetu...”. „Podziwiam twoją pamięć – zachwylił się Śpiewak – jak plastycznie przypominasz minione czasy. Idźmy dalej śladami wspomnień! „Byłem wtedy – Piętał dalej snuje swoją bajkę – po wydaniu drugiego mego tomu, *Legendy dnia i nocy*, chorowałem, mieszkalem na Radnej 10, razem z Domińskim...” (s. 431).

I wszystko odbyło się zupełnie inaczej. Uważny czytelnik już miał okazję do stwierdzenia, że daty kłócą się ze sobą. Jeżeli Ginczanka była w roku 1934 uczennicą siódmej klasy w Równem, to nie mogła wczesną jesienią tego roku studiować na uniwersytecie warszawskim. Obydwaj rozmówcy pomylili daty. Ginczankę poznałem (powtarzam) za pośrednictwem tegoż Śpiewaka w roku 1933, zimowała w siódmej klasie (jakieś kłopoty z matematyką), maturę zrobiła w 1935, lato spędziła nad Bałtykiem, we wrześniu przeniosła się do Warszawy.

Z powodów, o których poniżej, zainteresował mnie w książce Śpiewaka głównie obszerny rozdział (pięćdziesiąt stron), poświęcony właśnie Ginczance pt *Zuzanna, gawęda tragiczna*. I tu także mnóstwo niedokładności. Z książki wynika, że Piętał już wczesną jesienią 1934 roku był po drugim tomie poezji, *Legendy dnia i nocy*. W rzeczywistości debiutował dopiero w roku 1935 *Alfabetem oczu*. Wiem coś o tym, bo ja mu

Wstęp do: Józef Łobodowski, *Pamięci Sulamity*, Toronto 1987, s. 7-16.

Na sąsiedniej stronie: okładka tomu *Pamięci Sulamity* poświęconego Zuzannie Ginczance. Projekt: Genowefa Staroń (Toronto 1987).

wydałem ten pierwszy tom w założonej przeze mnie „Bibliotece Dźwigarów”. Najpierw, jako numer pierwszy poszła moja *Rozmowa z Ojczyzną*, a jako numer drugi – *Alfabet oczu*. Daty łatwe do sprawdzenia.

Widywałem się w tamtym czasie z Ginczanką dość często, w lutym 1934 nastąpiła kilkumiesięczna przerwa. Pod koniec roku pojechałem wraz z Kazimierzem Andrzejem Jaworskim do Równego na wieczór autorski (Józef Czechowicz był również zaproszony, ale dostał nagłej grypy i nie pojechał). Po wieczorze spędziłem kilka godzin w towarzystwie Zuzanny. A w roku 1935 przybyła, jako się rzekło, na studia do Warszawy. Otworzył się nowy rozdział. Krótki, ale intensywny.

Myląc zasadnicze daty, Śpiewak zapamiętał jednak to i owo, „Zaznajomiłem Józka z Zuzanną – wspomina – odtąd rozdawała się, często przepadała u niej na górze. O czym rozmawiał z Giną godzinami? Myślałem, że kocha się w niej...” Rzeczywiście – o czym? Ech, nieżyjący Jasiu! O czym dwudziestoczteroletni poeta może rozmawiać ze wspaniałą szesnastoletnią dziewczyną, której podobają się jego wiersze? Od czasu do czasu z dołu dolatywał niezadowolony głos babci, która Zuzannę wychowywała. Nie знаła dostatecznie dobrze języka polskiego i rozmawiała z wnuczką wyłącznie po rosyjsku. „Sanoczka, kto ciebie?”, albo „Sanoczka, czto ty tak dołgo rosgowariwajesz z etim sołdatom?”. „Babuszka – odpowiadała zazwyczaj Zuzanna – my wiediom litieraturnyj razgawor”.

Kiedyś stara przyłapała mnie w korytarzu. Podniosła pince-nez w złotej oprawie, obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem. Uprzedzając ewentualną indagację, zapewniłem energicznie: „Madam ja wied, wlublion w Sanoczku tolko płatoniczieski!” (zakochany platonicznie). Babcia uśmiechnęła się z widoczną ironią, „Isz jewo! Nam charaszo

izwiestno pra eti płatoniczieskija lubwi. (Znamy się na tych platonicznych miłościach!).” Sana śmiała się wesoło. W nagrodę otrzymałem podwójną porcję pocałunków. Ale nie tyle ile bym chciał. „Śmierdzisz koszarami i żołdackim juchtem”. W Warszawie, gdy byłem już w cywilu i babci nie było już w pobliżu, wyglądało to trochę inaczej.

Z niektórych wspomnień wynika, że Zuzanna miała po przyjeździe do Warszawy trudne początki literackie. Nonsens! Jechała do stolicy dobrze pewna siebie. Od przeszło dwóch lat prowadziła korespondencję z Julianem Tuwimem. Był znany z tego, że lubił protegować młodych, początkujących poetów. A tu szesnastoletnia dziewczyna, jeszcze sztubacka z dalekiego wołyńskiego miasta, urodzona w roku rewolucji w Kijowie. Jeszcze na wiosnę 1933 roku Zuzanna posłała Tuwimowi kilka swoich poetyckich pierwocin, między innymi wiersz *Szesnastolatki*.

Ten wiersz nigdy nie ukazał się w druku, nie chciała mi, mimo usilnych prób, dać go do przeczytania. Tuwim zachował się dyskretnie i też nikomu go nie pokazał. Ale nie trudno było domyślać się o co w nim chodziło. Zuzanna bardzo wcześnie dojrzała. Gdy ją poznałem późną jesienią 1933 roku, była już kobietą, wprawdzie młodziutką, ale w pełnym rozkwicie pysznej, egzotycznej urody. Wiedząc, że rozczytuje się w *Pieśni nad Pieśniami* Salomona (jednemu z późniejszych wierszy dała tytuł *Canticum canticorum*), z miejsca nazwałem ją Sulamitką (Szulammit), co się Sanie niezmiernie spodobało.

Po przyjeździe do Warszawy nie musiała szukać dróg, by dostać się do „Wiadomości Literackich” i odnowionego na wiosnę 1935 roku „Skamandra”. Protekcja Tuwima w zupełności wystarczała. Dla Grydzewskiego każde słowo autora *Biblii Cygańskiej* było święte. Skoro Ginczanka znalazła się pod protekcją Tuwima, już miała drzwi do redakcji

przy ulicy Złotej szeroko otwarte. Stąd opowieść Tadeusza Wittlina (*Ostatnia Cyganeria*) o wizycie Sany u Grydzewskiego wydała mi się od razu malowniczą fantazją. Ginczanka znalazła się pod protekcją Tuwima i to załatwiło właściwie wszystko. Nie tylko u Grydzewskiego. Pierwszy i niestety ostatni tom wierszy Ginczanki pt. *O centaurach*, wyszedł w roku 1936 u Przeworskiego. Było to wydawnictwo niesłychanie ekskluzywne i wydanie w nim tomiku nikomu dotychczas nieznaney, dziewiętnastoletniej debutantki, do tego w luksusowej szacie graficznej, było ewenementem wręcz wyjątkowym. Także i tu zadziałała ręka Tuwima.

Zastanawiałem się, jaki właściwie jest jego stosunek do Sany. Widywano ich stale w „Małej Ziemiańskiej”. Gdy jakiś impertynent zapytał Zuzannę: „Czy pani jest kochanką Tuwima?”, ta odparła spokojnie: „Za wysokie progi na moje nogi”. Ale czy to była tylko opieka ojcowiska starszego o dwadzieścia kilka lat, od dawna sławnego poety, czy coś więcej, trudno dociec. Że nie była jego kochanką – to pewne. Zdarzyło się któregoś wieczora, że pewien początkujący pisarz, po dobrze zakropionej kolacji, powiedział do Zuzanny: „Pani jest warta nocy!”. Nie przypadło mi to do gustu, więc ostro zareplikowałem: „Jest pan w grubym błędzie. Zuzanna jest warta nie jednej, lecz tysiąca i jednej nocy!”. Tamten chciał coś odpowiedzieć, ale Tuwim, który był przy tym obecny, śmiejąc się, zwrócił mu uwagę: „Panie, po tym, co pan usłyszał od Łobodowskiego, pozostaje panu tylko jedna opcja – natychmiast wyjść!” Winowajca posłusznie wyszedł. Zuzanna była zachwycona.

Bardzo szybko stała się znana i popularna w całej literacko-artystycznej Warszawie. Miała ogromne powodzenie. Nic dziwnego. Wspaniały tors, biodra godne dłuta starogreckiego rzeźbiarza, świetne nogi. Do tego przedziwne oczy, mieniące się, jak morska woda na słońcu,

sensualny wykrój ust, ciężki węzeł kruczyczych włosów na karku. Nie mogła się nie podobać. Któregoś dnia poznał ją, za pośrednictwem tegoż Tuwima znakomity poeta ukraiński Jewhen Małaniuk.

Wpadł do redakcji „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego” niezwykle podniecony. „Macie – zawołał – nową, doskonałą poetkę!”. Małaniuk natychmiast wtajemniczył Zuzannę w swoją teorię o kobietach. Uważał, że istnieją dwa podstawowe prototypy: Salome (albo Carmen) i Beatrycze (albo homerowska Nauzykaa). Reszta się nie liczy. Zuzanna bardzo się tą teorią przejęła, ale gdy ją zapytałem, do którego typu można ją samą zaliczyć, nie mogła się zdecydować. „No, pewnie – tryumfowałem – bo ani do jednego, ani do drugiego nie pasujesz! Ta teoria to jeszcze jedna malownicza fanaberia pana Eugeniusza. Możesz czuć się dumną, zrobiłaś na nim duże wrażenie!”

Niejednokrotnie chciała, żebym ją wziął na dancing. Nigdy do tego nie doszło – nie chciałem. Była mego wzrostu, a na wysokich obcasach, w których się lubowała, znacznie wyższa. Jako się rzekło, miała wielkie powodzenie, co przyjmowała z łaskawym uśmiechem, jako rzecz samą przez się zrozumiałą. Przez pewien czas zalecał się do niej Leon Pasternak. Wyglądało to dość zabawnie. Mały, krępy, niższy od niej o głowę, do tego z czaszką ogoloną na zero, niczym wzorowy funkcjonariusz GPU, nie miał najmniejszych szans. Ponadto Sana nie lubiła jego wierszy. Zemścił się w bardzo brzydki sposób, mianowicie, zamieścił w „Szpilekach” paszkwilancki wiersz, gdzie było coś o tym, że Zuzanna wyjdzie w końcu za aptekarza, który będzie zawijał proszki i pigułki w kartki, wyrwane z jej tomu wierszy *O centaurach*.

Pasternak Pasternakiem – wiadomo, ale dlaczego redakcja „Szpilek” zamieściła ten wiersz? Logiczną odpowiedź miałem tylko jedną: wszyscy po kolei dostawali kosza od pięknej panny. Stąd

zbiorowa zemsta. Jeden Andrzej Nowicki (zmarł przed kilkoma miesiącami) cieszył się przez pewien czas jej łaskami, ale chyba do niczego między nimi nie doszło. Co do mnie, przestałem się liczyć od marca 1938 roku, gdy Zuzanna dowiedziała się o zawartym przeze mnie małżeństwie. Pewnego dnia Pasternak i Lec uciekali przede mną cały Murdział (Muranów), ale to było z zupełnie innego powodu, jeszcze nie chodziło o Zuzannę. Po ogłoszeniu owego brzydkiego pamfletu, który Zuzannę dość boleśnie dotknął, Leon Pasternak starannie mnie unikał, dowiedziawszy się od wspólnych znajomych, że mam zamiar, mówiąc po war-

szawsku z knajacka, „spuścić mu manto”, względnie „pokazać kształt adwokacki”. A pamiętał, że od czasu do czasu uprawiam boks (naturalnie po amatorsku), więc groźby nie lekceważył.

Sanie bardzo się podobał mój tom, *Rozmowy z Ojczyzną*, natomiast skrytykowała dość ostro tom następny, *Demonom nocy* (odznaczony w roku 1937 „Nagrodą Młodych” Polskiej Akademii Literatury), oraz inne, późniejsze wiersze drukowane przeważnie w „Skamandrze”. Zacytuję urywki, które najbardziej przypadły jej do gustu, przede wszystkim poszczególne zwrotki z *Poematu barbarzyńskiego*:

*Czerwonej mojej tarczy nie ugryzie krzemieny grot,
mam siłę nosorożca i szparkość strusia,
głowami zabitych wrogów mego domu pyszni się płot
i nie ma takiego wodza, przed którym paść w piasek bym musiał.
A oto leżę wśród liści i nie ma szczęścia w mej pysze,
krążę myślami nad wioską – nad stadem nie głodny sęp...
Głowę księżycy strumień w srebrnych ramionach kołysz,se,
lampart leniwie się otarł o ciszę
drzemiących kęp...*

O najbliższej rodzinie Zuzanny wiedziałem niewiele. Tyle, że ojca straciła, gdy była dzieckiem, matka po jakimś czasie wyszła za mąż po raz drugi, co zostało przyjęte bardzo źle przez krewnych zmarłego, tym bardziej, że chodziło o małżeństwo z goimem, czeskim browarnikiem z Wołynia. Wkrótce wyjechała z mężem z Polski, zawędrowali aż do Hiszpanii. Najpierw Kordoba, potem Pamplona. W dalszym ciągu opowiem, jak nawiązałem z nią listowny kontakt. Mniej więcej w tym samym czasie przeczytałem o wielkim dziwaku i fantascie, którego w Kijowie przed rewolucją nazywano „baronem”. Baron Ginzburg!

Był artystycznym cyganem z natury, mecenasem poetów, malarzy i w ogóle artystów. Miewał okresami duże pieniądze, szybko je tracił, równie szybko bogacił się w niewytłumaczalny dla

otoczenia sposób. Przyjaźnił się z Osiem Mandelsztamem, poetą wielkiej klasy, ale wtedy jeszcze mało znanym (urodził się w Warszawie, ale wychował się w Sankt Petersburgu). Po zestawieniu pewnych faktów i dat doszedłem do wniosku, że ów fantastyczny „baron Ginzburg” był ojcem Zuzanny. Ale uprzednio, za jej życia cała ta sprawa mnie nie interesowała. Sama Sana na tematy rodzinne odzywała się tylko półgębkiem. Tyle, iż wiedziałem, że jej matka jest w Hiszpanii.

Ojciec Ginzburg¹, a córka Ginczan-ka? Jeżeli któryś z czytelników jeszcze się nie domyślił, wyjaśniam: Zuzanna przerobiła sobie Gincburżankę na Ginczanek, bo w jej przekonaniu ten pseudonim brzmiał lepiej. Słusznie! Za ojcostwo barona nie ręczę; zbieżność faktów i dat mogła być zwykłym przypadkiem. Niemniej, jestem przekonany,

¹ Nazwisko Ginczanki brzmiało „Gincburg”, ale ten wątek dotyczy mężczyzny znanego pod nazwiskiem Ginzburg, które prawdziwa tożsamość nie jest znana, stąd pojawienie się pozornej nieścisłości.

że Zuzanna była córką owego fantasty-utrcjusza i hojnego mecenasa w dniach obfitości. Ale, jak już podkreśliłem, nigdy z nią na ten temat nie rozmawiałem. O Gincburgu dowiedziałem się różnych szczegółów z lektur rosyjskich w dobrych kilkanaście lat po tragicznej śmierci Zuzanny.

Po raz ostatni widziałem ją w czerwcu, albo w lipcu 1939 roku. Spotkanie było najzupełniej przypadkowe na warszawskim Nowym Świecie. Nic nas już wtedy nie łączyło oprócz wspomnień, i niewiele mieliśmy sobie do powiedzenia, więc i tym razem rozmowa była krótka. Jakby tknięty przecuciem, zapytałem, jakie ma zamiary na wypadek wybuchu wojny. Mało kto miał pod tym względem wątpliwości i złudzenia.

Tu mała dygresja. W jesieni zamierzałem wydać dwie książki; jedna miała się ukazać w słynnej poetyckiej serii Mortkowicza (warunki już zostały omówione), drugą usiłowałem zainteresować księgarńię Hoesicka. Dyrektor wydawnictwa, popularny Marian Sztajnsberg, wysłuchał mnie, zastanowił się, pocmokał swoim zwyczajem przez dłuższą chwilę... Wie pan, panie Łobodowski, ja tę książkę chętnie wydaję, ale musimy troszkę poczekać, powiedzmy do 1 września. Jeżeli do tego czasu wojna nie wybuchnie, to już jej aż do następnej wiosny nie będzie. Hitler jest wariat, ale nie taki głupi, żeby zaczynać wojnę późną jesienią. To niech pan do mnie wróci 1 września. Wtedy pogadamy!

A więc biedny „Marianek” (tak go powszechnie nazywano w warszawskich kołach literackich i teatralnych; był żonaty z wybitną aktorką Mieczysławą Ćwiklińską) przewidział dokładnie datę wybuchu. Co się z nim stało, nie wiem. Wojny nie przeżył, a więc z całą pewnością zamordowali go hitlerowscy barbarzyńcy.

Rozmowa ta zbiegła się mniej więcej z moim spotkaniem z Saną. Odpowiedziała na moje pytanie, że zamierza wrócić do Równego i przeczekać wojnę przy boku babci. A ja bez namysłu: „Radzę ci

wyjechać do Hiszpanii. Wojna domowa już się skończyła. Odszukasz matkę, może ci urządzić się...” Roześmiała się. „Nie, ja już wolę zostać z babcią!”. Gdyby posłuchała mojej rady, żyłaby zapewne po dziś dzień.

Do Francji, przykucniętej za linią Maginota (na propagandowym papierze – niezdobytą), a po klęsce podzielonej na dwie zony, wiadomości o krewnych i znajomych, pozostałych w kraju, przychodziły rzadko i przeważnie bardzo mętne. Ze wspomnień Śpiewaka wynika, że wojna zastała Zuzannę w Równem, potem przeniosła się do Lwowa. Dowiedziałem się, że jeździła do Moskwy, przekładała Majakowskiego, co było nieporozumieniem, bo trudno o bardziej przeciwstawne formacje psychiczne. Według Śpiewaka wyszła za męża „za znacznie od niej starszego krytyka”. Nazwiska tego krytyka nie podał. Ale powtarzam, co napisałem uprzednio: wspomnienia Śpiewaka są bardzo bałamutne. Kiedy i w jakich okolicznościach zginęła Zuzanna?

Kiedy w nieistniejących już londyńskich „Wiadomościach” ukazało się moje obszerne wspomnienie o Ginczance, oraz jeden z wierszy jej poświęconych, otrzymałem list od kogoś, kto ją w tamtych lwowskich czasach dobrze znał i z nią obcował. W liście było sporo nieznanymi mi szczegółów, częściowo pokrywających się z *Tragiczną gawędą* [Zuzanna, gawęda tragiczna] Śpiewaka. Przez pewien czas – ukrywała się we Lwowie... przyjaciele pomogli jej wyjechać do Krakowa, wystarli się dla niej o dokumenty ormiańskie... Katastrofa przyszła nagle. Wydała ją gospodyni, u której mieszkała. Tyle lat żyła nadzieją, aż do ostatniego dnia, do egzekucji. Ostatnim zachowanym wierszem Ginczanki jest utwór pod tytułem *Non omnis moriar*...

Została rozstrzelana na dziedzińcu więziennym, tuż przed wyzwoleniem miasta.

Kto inny mnie informował, że podczas krótkiego śledztwa zachowała się

bardzo dzielnie i nikogo nie wydała. Miała w chwili zgonu 27 lat.

Jeżeli przed wyzwoleniem Krakowa, to znaczy, że przeżyła pod okupacją hitlerowską grubo ponad trzy lata i zginęła na początku roku 1945. Ale wspomniany wiersz datowany jest w roku 1942 i napisała go (podobno) w więzieniu. Cóż znaczą te dwa wiersze:

„Chominowo, lwowianko, dzielna żono szpicla, donosicielko chyża, matko folksdojcera...?”

Wynikałoby z tego, że Zuzanna została zamordowana we Lwowie, a nie w Krakowie, zaś cytowany wiersz powstał tuż przed śmiercią, albo też data jest niewłaściwa. Śpiewak tej oczywistej sprzeczności nie wyjaśnił, więc w dalszym ciągu nie wiem, która data jest właściwa. Ów lwowski świadek, autor wspomnianego listu, twierdzący kategorycznie, że Zuzanna zginęła tuż przed odejściem Niemców z Polski, także nie bardzo wie, co zrobić z datą tego przedśmiertnego wiersza. Sprawa jest zatem otwarta.

Wiersze Ginczanki – i te zawarte w tomiku *O centaurach* i te inne, drukowane albo nie, które dała mi do przeczytania – były zmysłowe, potrącające o biologię, niejednokrotnie nurzające się w sensualizmie, wypełnione przeczuciami prawdziwej miłości. Ot, choćby ta zwrotka z *Canticum canticorum*:

*Zaklinam was panny w wonnościach,
przez sarny w kniei,
przez łanię nagłą, jak zamach:
nie szukajcie za wcześniej miłości,
nie budźcie jej,
pokąd do was nie przyjdzie sama.*

W Warszawie nigdy nie brakowało jej adoratorów. Lubiła się nimi otaczać, zrażała ich, odchodzili, wracali. Zawsze podejrzewałem, że nawet zbliżenia fizycznego nie traktowała zbyt serio, czekała cierpliwie na miłość, która ją pochłonie bez reszty, która „przyjdzie sama”. Czy przysłała?

Na wiosnę 1939 roku ukazał się w „Wiadomościach Literackich” znamienny, choć artystycznie dość słaby wiersz Ginczanki, w którym powtarzał się refren: „Jakaż to wiosna? Miłosna. Jakaż to wiosna? Wojenna.” Mało kto wiedział, kim był szczęśliwy bohater wojenno-miłosnej wiosny. Dowiedziałem się o tym od niego samego, gdyśmy się po wielu latach spotkali i poznaliśmy w Londynie. Nie żyje, ale nie jestem upoważniony, by podać jego nazwisko. Przez jakiś czas prowadził z nią korespondencję z Budapesztu, gdzie przebywał po klęsce wrześniowej. Ton listów Zuzanny z okupowanego przez bolszewików Lwowa stawał się z miesiąca na miesiąc coraz bardziej minorowy, atmosfera, wytworzona w mieście, najwidoczniej napawała ją wstrętem, choć początkowo brała udział w różnych oficjalnych aktach, jak złożenie wieńców przed pomnikiem Adama Mickiewicza i Iwana Franko, czemu sowieckie władze okupacyjne nadały wyraźny polityczny charakter. Ale to było jeszcze przed aresztowaniem Broniewskiego i Czuchnowskiego. Zrodziła się inicjatywa, by Zuzannę przerzucić na Węgry, przez „zieloną granicę”, ale z nieznanymi mi powodów spała na panewce.

Ponieważ w ostatnich paru latach Ginczanka dość intensywnie współpracowała nie tylko z „Wiadomościami Literackimi” i wskrzeszonym „Skamandrem”, ale także z mocno lewicowymi „Szpilkami” posądzano ją o określoną pozycję polityczną. Nic dalszego od rzeczywistości! Sana była pod względem politycznym całkowicie aseptyczna, mimo, że rosnący antysemityzm przerażał ją i budził w niej wstręt. Ale, gdy przyjechała do Warszawy i pokazano jej „Czarny Łąd” za „Żelazną bramą”, wpadła w przerażenie. „To ma być mój naród?!” Żydzi na wschodnim Wołyniu nie używali średniowiecznego ubioru i nie nosili pejsów. Byli to przeważnie litwacy, jak i cała rodzina Zuzanny. Kul-

turalnie czuła się Polką, sprawy różnorodności rasowej dla niej nie istniały. W gimnazjum rówieńskim jej żydowskie pochodzenie nie było brane pod uwagę, z antysemityzmem zetknęła się po raz pierwszy dopiero w Warszawie.

Środowisko, w którym przebywała, łagodziło te sprawy. W jidysz nie znała ani jednego słowa. Religijnie była obojętna, ale rozczuływała się z satysfakcją w mistycznych dramatach Słowackiego. Ale, jak już to powiedziałem, jej ulubioną lekturą była *Pieśń nad pieśniami* Salomona. Gdy wybuchła wojna, była w pełni kobiecej urody – miała dwadzieścia dwa lata. Gdyby pozostała podczas pierwszej okupacji sowieckiej w Równem, zginęłaby razem ze swoją starą babcią w masakrze Żydów wołyńskich w Zdołbunowie. W dużym mieście łatwiej było się ukrywać. Pomysł z ormiańskimi papierami był znakomity – Zuzanna miała typ egzotyczny i południowy, mogła bez pudła udawać lwowską Ormiankę. Po co ją wyprawiono do Krakowa, gdzie Ormian nie było, nie mam najmniejszego pojęcia.

Zdarzyło się, że w latach sześćdziesiątych drukowałem w londyńskich „Wiadomościach” wiersz pt. *Pamięci Sulamity*, poświęcony pamięci Zuzanny Ginczanki. Jeden z młodych studentów polskich pojechał w okresie świątecznych wakacji do Pamplony i po powrocie opowiada mi, że poznał tam małżeństwo z Polski; on, piwowar z Wołynia, spolszczony Czech, żona, zdaje się Żydówka. Zapytała go, czy coś wie o poecie, Zuzannie Ginczance, której jest ciotką. Wydało mi się dziwne, że ciotka, ale poinformowałem chłopaka o losach Zuzanny i dałem mu odpis wiersza. Po jakichś dziesięciu dniach otrzymuję małą poleconą paczuszkę z Pamplony. Tekturowe pudełko, w nim drugie, mniejsze, następnie trzecie, jeszcze mniejsze. Co u diabła! – myślę – jakieś kpiny, czy kawał? Ale w trzecim pudełeczku mała flaszeczka, a w niej

w kawałku waty złota szpilka do krawata z diamencikami. Szpilka przebija małą karteczkę z napisem „Od matki Zuzanny”. Opisałem tę historię w czasopiśmie hiszpańskim „Polonia” wydawanym w owym czasie przez Polski Czerwony Krzyż w Madrycie. Takie były późne echa mojej znajomości z Zuzanną – „Sulamitą”.

W ostatnich latach przedwojennych Zuzanna była stałym gościem przy stoliku Witolda Gombrowicza w Warszawskim „Zodiaku”. Czego tam szukała, daremnie dziś pytać. Co wieczora siadywał tam Stanisław Piętak, „owczarz”, jak go w celnej recenzji z *Jasie Konefala* nazwał Jarosław Iwaszkiewicz. Sentymentalny Piętaszek podkochał się wtedy w Ginczance, wierząc, że to będzie jedyna prawdziwa miłość w jego życiu. Opisał z entuzjazmem owe wieczory w swoich wspomnieniach. Królem przy stoliku był, naturalnie, Gombrowicz, reszta stanowiła rodzaj dworu. „Ginczanka – pisał Piętak – była pierwszą damą, ja – paziem”. Gombrowicz lubił otaczać się ludźmi, wpatrzonymi w niego z bezkrytycznym uwielbieniem; wyobrażam sobie, że o to samo chodziło Zuzannie, która przy tym ekskluzywnym stoliku była jedyną piękną kobietą. Inne się przy niej nie liczyły. Intelktualnie nie mogła wiele skorzystać, Gombrowicz chciał jedynie oddychać kadzidłami na jej część.

Czy rosła jakieś kwiaty na bezimiennym grobie Zuzanny, rozstrzelanej tylko dlatego, że należała do rasy hebrajskiej? Nie uczyniono dla niej, dla jej młodości, urody i poezji żadnego wyjątku. Niekiedy zastanawiam się, o czym mógł myśleć, jeżeli w ogóle myśleć był w stanie, ów germański knecht, gdy wpakował kilka kul z rozpylacza w piękne ciało Zuzanny? Czy była dla niego tylko Żydówką, którą z racji jej pochodzenia należało zlikwidować, czy żywym człowiekiem, którego jedyną winą była rasa, skazana na zgubę? Czy jej morderca żyje

jeszcze i czy zdaje sobie sprawę z tego, co uczynił? Zuzanna Ginczanka – „tragiczna gawęda”, jak wspomnienie o niej określił także już nie żyjący Jan Śpiewak! Więc oto kilkanaście wierszy, spisanych

o niej w różnych okresach, a zawsze tak, jak gdyby żyła i miała znowu zapytać, niczym przed przeszło czterdziestu laty: „Słuchaj, ty, zdaje się, chcesz mnie uwieść...”

Adam Tomanek – Historia Mówiona

Rozmowa z Adamem Tomankiem, 22 września 2008. Nagrywał: Marek Nawratowicz. Archiwum TNN. Całość relacji dostępna na stronie www.historiamowiona.tnn.pl.

Zuzanna Ginczanka

Adam Tomanek: Miał przygodę miłosną w Równym – jak był w wojsku, to tam poznał młodą literatkę pochodzenia żydowskiego [Zuzannę Ginczanke]. Wiem, że przyjeżdżała tutaj do Lublina, a rodzina była przeciwna. Wtenczas były te antagonizmy narodowościowe:

jak to! Żeby do rodziny weszła Żydówka? Wykluczone. Wszystko robiły, żeby obrzydzić Łobodowskiemu tą „Sulamit”, jak ją nazywał, Żydówkę, bardzo piękną. Pamiętam, ona na Chopina przychodziła. Wywiązał się romans, chcieli się pobrać, ale matka z babką nie pozwoliły.

Józef Łobodowski „Dusze chce łowić...”

Przed kilkunastu laty, pisząc w paryskiej „Kulturze” o środowisku literacko-artystycznym Lublina, wspomniałem o Łoży Wielkiego Uśmiechu, założonej w tymże grodzie trybunalskim na przełomie lat 1931-1932. Inicjatorem był Józef Czechowicz, więc z natury rzeczy wybraliśmy go Bratem Prezesem. Każdy ze szczupłej grupki założycieli miał odpowiednie stanowisko w zarządzie. Ja otrzymałem tytuł Brata Starszego. Posiedzenia Łoży odbywały się w dniach powszednich w niewielkiej cukierni Semadeniego (na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Staszica), w niedziele i święta u Rutkowskiego. Każde posiedzenie zaczynało się od odczytania rymowanej listy członków. Brat Prezes mówił pierwsze wers, a całą resztą chóralnie – nazwisko. Wyglądało to następująco. Prezes: „Światu urąga...”, chór: „Brat Henio Donga!” – „Piękny, jak łądysz” (Po rosyjsku konwalia. Innego rymu autor nie znalazł), chór: „Józio Falandysz!” – „Piekiel psalmodia... Sancta Łobodia!”. I tak dalej. Aż na samo zakończenie: „Dusze chce łowić... Józef Czechowicz!”

W poetyckiej grupie „Reflektora”, zanim zdążyła się rozlecieć, Czechowicz był najmłodszy i początkowo przez starszych kolegów traktowany dość lekceważąco. Rej wodził Konrad Bielski, któremu powszechnie wrócono wielką przyszłość, na drugie miejsce wysuwał się Stanisław Grędziński; zaraz po nim Wacław Gralewski (żartobliwie: Gacio Wralewski). Kiedy powstała nasza Łoża, grupa „Reflektora” już nie istniała, a czasopismo wydawane przez nią należało do przeszłości. Grędziński wyjechał nie wiadomo dokąd i zmylił pogonie; nikt

więcej o nim nigdy nie usłyszał. Bielski po ukończeniu aplikantury prawnej i ożenku, przeniósł się do Krasnegostawu i założył tam kancelarię adwokacką. Gralewski przestał pisać wiersze i uprawiać sport (głównie tenis), pilnował fotela redaktorskiego, zalecał się do aktorek i grał w brydża. Na placu pozostał Czechowicz.

Już pierwszym tomem *Kamień* zyskał sobie pozycję wśród młodych poetów. „Mocne macie ręce, Czechowicz!” – pisał o nim w „Kwadrydze” K. I. Gałczyński. Drugim tomem *Dzień jak co dzień* wypłynął na szerokie wody: entuzjastyczna recenzja Stefana Napierńskiego (onże Marek Eiger) ukazała się w „Wiadomościach Literackich”. Zawiera ważne znajomości i przyjaźnie. Cenili go wysoko mający duże wpływy Adam Skwarczyński i trzęsący warszawskimi teatrami Wilam Horzycy, a gdy powstał „Pion”, Stefan Flukowki, który był sekretarzem redakcji, natychmiast wprowadził go do tygodnika. „Pion” został pomyślany jako konkurencja dla „Wiadomości Literackich”, ale po pierwszych przelotnych sukcesach okazał się dzieckiem niezbyt udanym (w Warszawie mówiono o nim z jadowitą ironią: „Pion nie ma poziomu”!).

Z grupą „Wiadomości Literackich” stosunki bardzo szybko się popsuły. Gdy Czechowicz opierzył się literacko i zdobył sobie nazwisko (początkowo tylko wśród młodych z tzw. Drugiej Awangardy), zaczął prowadzić podjazdową walkę z „Wiadomościami”. Skamandrytów nie cenił, więc mu odpłacano pięknym za nadobne. Po obu stronach było więcej złej krwi niż słuszości. Nie szczędzono sobie nawzajem złośliwych uwag. Gdy

„Kresy” 1992, nr 9-10,
s. 135.

ukazał się trzeci z kolei tom Czechowicza, odnotowano go w rubryce nowych książek w „Wiadomościach” w zgryźliwy sposób: *Ballada z tamtej strony* (Wistły). W roku 1935 Grydzewski wznosił „Skamandra”; Czechowicz nie został do niego zaproszony. Najmocniej sztychł z niego Słonimski: „Pożyczyłem sobie tego Czechowicza”. Po czym z potężnego poematu *Dom świętego Kazimierza* (naturalnie, rzecz o Norwidzie) i po cytowaniu jednej, niezbyt udanej, wyrwanej z kontekstu metafory, przekreślił go jednym zamachem pióra. Wreszcie doszło do nieprzyjemnego konfliktu, z którego Czechowicz wycofał się bardzo niezręcznie.

K. W. Zawodziński wrócił po dłuższej przerwie do „Wiadomości Literackich”, jako krytyk poetycki. Czechowicza także nie doceniał. Zaraz po powrocie do tygodnika Zawodziński ogłosił recenzję z nowego tomu Słonimskiego *Okno bez krat*. Czechowicz w odpowiedzi na ankietę „Okolicy” Stanisława Czernika, ojca i teoretyka tzw. autentyzmu, oświadczył, że recenzja ta była ceną za powrót do „Wiadomości Literackich”. Recenzja była istotnie pochwalna bez zastrzeżeń, ale Czechowicz nie miał racji. Zawodziński napisał ją szczerze, bo mu prozodia Słonimskiego całkowicie odpowiadała. Na niesłuszną insynuację Czechowicza zareagował w sposób gwałtowny, niemal brutalny. Powstał skandal literacki.

Ten w liście do jednego z czasopism zapytał dość naiwnie, a w każdym razie nieogłędnie, co właściwie ma zrobić – wyzwąć pana rotmistrza na pojedynek? (Zawodziński miał za sobą karierę rotmistrza ułanów oraz instruktora jazdy konnej.) Replika była zabójcza. Zawodziński odpowiedział, że o żadnym pojedynku nie może być mowy, ponieważ zgodnie z obowiązującym kodeksem Bożewicza mężczyźni typu Czechowicza nie mają prawa do postępowania honorowego. Wszyscy dobrze wiedzie-

li, co to znaczy. Rozżalony Czechowicz zapowiedział kategorycznie, że wycofuje się z dalszej twórczości literackiej i nazwał swój następny tom *Nic więcej*. Były to czcze pogroźki. Nieprzyjemna sprawa, sprowokowana przez niego samego, rychło rozeszła się po kościach; po krótkiej przerwie poeta zaczął znowu drukować. Jeszcze przed wojną zdążył wydać swój ostatni tom *Nuta człowieka*. A we wrześniu 1939 przyszła podczas bombardowania Lublina śmierć, którą Czechowicz od dawna przeczuwał i poświęcił jej nadejściu wiele najświetniejszych liryków.

Kiedy poznałem Czechowicza, już nie uznawał kobiet. Podobno zmiana upodobań nastąpiła nie od razu; w poprzednim okresie miał prowadzić dość intensywne i najzupełniej normalne życie erotyczne. Jak wielokrotnie podkreślał, trwało krótko, ale intensywnie. Znajdujemy ślady tego okresu, choćby w takim fragmencie wiersza: „*Tapczan zgrzany, jak rola, orzą lemiesz kolan*...”. Ale wkrótce sytuacja zmieniła się o 180 stopni. Beznadziejnie kochała się w nim mała, skromna nauczycielka i tej zadykował poniższe, jakże delikatne wersy: „*Słuchaj te słowa, co cichną, to dla ciebie erotyk, srebrna duszyczko zwrotek, Marychno!*”. To było wszystko.

Kilkunastoletni Stefanek G. uchodził oficjalnie za siostrzeńca, ale nim nie był. Po paru latach, już w Warszawie, gdy chłopak zmężniał i zgłosił się ochotniczo do służby wojskowej w lotnictwie, doszło do zerwania, które Czechowicz przeszedł bardzo boleśnie. Napisał wtedy poemat, dla postronnych całkiem enigmatyczny, zakończony takim zwrotem do odchodzącego: „Nie żałuj, wstąpiłeś w mit!”. Wysilone komentarze tych krytyków, którzy nie znali intymnej podszewki utworu, wypadły rozczulająco naiwnie. Po przeniesieniu się do Warszawy i objęciu redakcji czasopisma literackiego wydawanego przez Związek

Nauczycieli, Czechowicz zarabiał bardzo dobrze, tym bardziej że miał dostęp do „Pionu” i radia. W „Płomyku” i „Płomyczku” drukuje czarujące wiersze dla dzieci. Oto wymowne: *„Gliniany konik wszedł na wazonik, by się spokojnie przespąć do świtu. Synku maluśki, do swej poduszki i ty się przytul”*

Mimo to z funduszami było wciąż krucho. Stefanek sporo kosztował, a po jego odejściu następny był jeszcze bardziej wymagający. Zwykły los tego rodzaju romansów. Swego czasu Czesław Miłosz opisał te sprawy najpierw w „Kulturze” paryskiej, następnie w tomie *Kontynenty*.

O wiele bardziej zajmuje mnie co innego, mianowicie stosunek poety do jego matki. W każdym tomie Czechowicza (wydał ich sześć) mamy co najmniej jeden wiersz o matce, a wszystkie bardzo urodziwe. Stąd powstała wersja, że żywi do niej niezwykle intensywną miłość. Tu rodzi się problem obchodzący [...] zawodowych psychologów, niż krytyków i historyków literatury. Jeszcze w Lublinie uderzyło mnie, że nigdy, przy żadnej okazji, nikt z nas nie zetknął się z matką Czechowicza. Domyślałem się, że nie chce się nią popisywać, że to prosta, niewykształcona kobieta. Ale wiersze jej poświęcone zmuszały do przekonania, że syn nie tylko ją kocha, ale wręcz ubóstwia. Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy na krótko przed jej śmiercią dowiedziałem się, że przez całe lata pracowała w lubelskim magistracie jako pomywaczka, szorując podłogi i schody i zarabiając psie pieniądze. Stara, schorowana kobieta! A ponadto nigdy nie chciała mówić z nikim o swoim synu. Tak wyglądała rzeczywistość.

Więc jak – udawał? Absolutnie to wykluczone; wiersze o matce należą do najczystszej, najmocniej wyczonej, najoczywistej szczerej liryki. Rozdziwienie jaźni? Powtarzam – to raczej temat dla psychologów. Dodam, że gdy

Czechowiczowa umarła, jej syn wrócił z cmentarza rozbity, roztrzęsiony, z trudem powstrzymujący płacz. Aktor? Także i w to nie wierzę. Całą sprawą nie mieści mi się w głowie i staję przed nią najzupełniej bezradny. Nie dla mnie takie zawiłe komplikacje, niemal potrącające o patologię. Czy był mitomanem? Wiele na to wskazuje, ale to chyba tylko pozory. Mitoman wierzy we własne zmyślenia. Sądzę, że Czechowicz tworzył dokoła swojej osoby różne legendy z całą świadomością upiększając własny żywot, który w gruncie rzeczy był szary i monotony. Ale w te legendy nie wierzył. A było ich mnóstwo. Opowiadał mi Konrad Bielski, że Czechowicz nagle zawiadamiał przyjaciół o rzekomym wyjeździe do Warszawy w doniosłych sprawach, po czym zamykał się w mieszkaniu i nie wychodził z niego przez kilka dni. Kiedy indziej zapewniał, że otrzymał z Hollywoodu zamówienie na scenariusz filmowy, który przyniesie grubsze pieniądze. Był oto jeszcze jedno malownicze zmyślenie. Gdy go złapano na kolejnej fikcji, rumienił się, przyznawał rację i gorąco przeproszał. Prawdziwi mitomani tak nie postępują.

Tadeusz Kłak, zamieszkały w Lublinie i tam pracujący, specjalizuje się w badaniu życia i twórczości Czechowicza. Czyni to z nadmierną wiarą, a mianowicie bierze za czystą prawdę wszystko, co poeta oświadczył publicznie i opowiadał w swoich listach. Szanowne złudzenie i w konsekwencji grube nieporozumienie.

Oto reprezentacyjny przykład. Utrzymuje się legenda, że głównym motorem i animatorem Związku Pisarzy Lubelskich był Czechowicz. Nic podobnego! Owszem, był, jak tyle razy, inicjatorem, ale tylko tyle. Pierwsze zebrania Związku, który jeszcze niczego nie mógł organizować publicznie, bo nie był zalegalizowany, odbywały się w prywatnym mieszkaniu poety przy ulicy Radziwił-

łowskiej, gdzie przy stole mieściło się siedem, osiem do dziesięciu osób. Sam gospodarz, Franciszka Arnsztajnowa, Antoni Madej i ja, jeszcze trzy albo cztery osoby plus sprowadzony prelegent. Jednym z najpierwszych był Jerzy Braun, który naturalnie przyjechał z dokładnym omówieniem filozoficznej doktryny Hoene-Wrońskiego.

O wystąpieniach publicznych nie mogło być nawet mowy. Gdy na wiosnę 1934 wróciłem po kilku miesiącach nieobecności do Lublina, dowiedziałem się, że zalegalizowanie Związku wymaga uzupełnienia listy członków-założycieli. Lubilem wtedy chadzać na piechotę. Więc poszedłem pieszo najpierw do Krasnegostawu i wziąłem podpis od Konrada Bielskiego; następnie do Chełma, po podpis od Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, popularnego KAJ-a, i wreszcie do Stołpia (ludna, międzynarodowa wieś: Polacy, Ukraińcy, Niemcy, Żydzi), gdzie akurat osiedlił się po ukończeniu seminarium nauczycielskiego Wit Kasperski z młodziutką żoną.

Przyniosłem do Lublina brakujące trzy podpisy, Związek został zalegalizowany i zaczęła się dość intensywna akcja kulturalna: co tydzień referat z publiczną dyskusją.

Czechowicz już od przeszło roku w Lublinie nie było. Żadnej roli w naszej akcji nie odgrywał, tyle że parę razy przyjechał na wspólne wieczory autorskie. Ale w prywatnych listach z uporem przypisywał sobie rolę kierowniczą, podtrzymując absurdalną legendę. Zawsze przypuszczałem, że było w tym więcej przekornej zabawy niż świadomej megalomanii.

Czechowicz chciał redagować pismo literackie; miesięcznik Związku Nauczycieli mu nie wystarczało ze względu na swój ograniczony charakter. Ciągle miał pretensje do Jaworskiego, że ten nie zgadzał się oddać mu w pacht chełmskiej „Kameny”, oraz do mnie, że w „Dźwi-

garach” rządził się udzielnie i nie liczył z postronnymi mentorami. Jego marzenie spełniło się po latach, ale zbyt późno. Kierownik księgarni Hoesicka Marian Sztajnsberg dał się namówić na wydanie kwartalnika „Pióro” pod redakcją właśnie Czechowicza. Pierwszy numer wypadł bardzo okazale: garść dobrych wierszy mało jeszcze znanych, a doskonale zapowiadających się poetów (Stachowski, Marian Niżyński), ciekawe eseje. Ale ogólną tendencję literacką „Pióro” w większym stopniu zawdzięczało młodemu, coraz bardziej wybijającemu się krytykowi Ludwikowi Fryde niż nacelnemu redaktorowi.

Drugi numer czasopisma, który miał wyjść na jesieni 1939, a więc z dużym opóźnieniem, spłonął w pożarach wrześniowej Warszawy. Trudno przesądzać, jakby wyglądał dalszy rozwój „Pióra”, gdyby wojna nie wybuchła. Czy nastąpiłoby złagodzenie wyraźnie sekciarskiego charakteru pierwszego numeru, czy odwrotnie: skrajna postawa zostałaby utrwalona? W Polsce lat trzydziestych krytycy i teoretycy poetycy byli w większości ekstremistami. Z jednej strony Zawodziński, z drugiej – Peiper, Przyboś, Fryde, Eiger-Napierski, kapryśny, przewrażliwiony, często niesprawiedliwy, zachował się najbardziej umiarkowanie, potrafił uwzględnić przeciwstawne prozodie, unikając typowego u innych sekciarstwa. Właściwie oceniany w pewnych środowiskach literackich, a nawet czczony, Czechowicz boleśnie przeżywał brak powszechnego uznania, pocieszał się: „Kiedyś sława ciemnym złotem zaleje mój grób”.

Nieraz zastanawiałem się: jakby się zachował, gdyby przeżył wojnę i pozostał w kraju? Czy poszedłby na poniżający kompromis, jak Tuwim, Iwaszkiewicz, Słonimski, Broniewski, Gałczyński i tylu innych, czy też zamilkłby i usunął się w cień? Trudno przesądzać! Jedno pewne: do socrealizmu zupełnie by nie pasował. Gdyby spróbował do niego do-

szlusować, doszłoby do kompletnej plasty artystycznej.

Przez dłuższy czas o Czechowiczu było w kraju głucho, nikt go nie przypominał, jego poezja nie miała reedycji, nie docierała do czytelnika. Upomniano się o niego najpierw na emigracji (Czesław Miłosz w paryskiej „Kulturze”), potem także w kraju (Jan Śpiewak i Seweryn Pollak). Wkrótce posypały się wspomnienia, eseje, całe książki. Tu i tam święciły swe triumfy tendencje różnego rodzaju. Miłosz pisał o Czechowiczu z sympatią nie zawsze celną. W ostatecznej konkluzji pisarz uznał, że był to poeta *minor*, z czym trudno się zgodzić.

Zdarza się, że przesadna ocena własnej twórczości i zadrażniona ambicja popycha ku ocenom nie zdającym egzaminu już w najbliższym czasie. Poirytowany Jan Lechoń zanotował w swoim *Dzienniku*, że po dwudziestu latach nikt nie chce czytać Józefa Czechowicza i Czesława Miłosza. No cóż, wypadło zupełnie inaczej. Obydwaj spostonowani poeci mają po latach znacznie więcej czytelników, niż zadufany w swojej wielkości Lechoń. Megalomania nie sprzyja bezstronnym ocenom. Oczywiście, Lechoń gdy pisał *Dziennik*, był już człowiekiem psychicznie zwichniętym, aż ten stan, pogłębiający się z każdym rokiem doprowadził go do tragicznego rozwiązania. Lektura jego notatek jest, wbrew opiniom niektórych entuzjastów, niestrawna i niezmiernie przykra, przy najmniej dla mnie.

Najdziwniejsze, że o tym mało kto wie, Czechowicz miał duże ambicje polityczne. Jeszcze w Lublinie chciał zostać posłem do Sejmu i poważnie zabiegał, aby BBWR wysunął jego kandydaturę. Ale nie wzięto tych starań pod uwagę. W roku 1932 był przez pewien czas redaktorem naczelnym dziennika „Kurier Lubelski”. Redaktorem był mizernym, nie potrafił nadać dziennikowi jasnego oblicza politycznego. Natomiast dział literacki stał na dość wysokim poziomie.

Było tego za mało, by zyskać licznych czytelników. Działo się to w okresie kryzysu i bezrobocia. Klęska gospodarcza dotknęła przede wszystkim województwa rolnicze, między innymi Lubelszczyznę. „Łońskiego roku nieurodzaj – szemrali bezrolni bandosi – teraz jakiegoś tam krezusa wymyśliły!”

Był Czechowicz poetą krajobrazu i wsi, rozmiłowanym w polskim folklorze. Stąd naturalna śpiewność jego rytmiki, istniejąca w twórczości Awangardy Krakowskiej. To cecha chyba najsilniej różniąca go od Przybosia, choć ten, jako autentyczny chłop, powinien był Czechowiczowi co najmniej pod tym względem dorównywać. Może to wynikało z różnicy między lubelską urodziną borowiną i piachami w Gwoźnicy? Nie wiem, ograniczam się do stwierdzenia faktu. Przyboś, bodaj świadomy swej klęski, zawsze usiłował Czechowicza lekceważyć, a jego rytmikę utożsamiał ze śpiewnością lenartowiczowską, co było niewątpliwym nonsensem. Zakładam, że na krótko przed wojną „papież awangardy” zaczynał zdawać sobie sprawę ze smutnej prawdy, iż poetycki „rząd dusz” na jego własnym terenie szybko przechodzi w ręce autora *W błyskawicy*. Bomba niemiecka pozbawiła Przybosia późniejszego konkurenta.

Kiedyś przypominałem sobie mój dialog z Franciszką Arnsztajnową, która była poetką niezbyt dużej klasy, ale wielką panią w każdym wymiarze. Zapytała o mój stosunek do Czechowicza. Gdy zwlekałem z odpowiedzią, stwierdziła, że to znakomity poeta, więc trzeba przyjmować go „z całym dobrodziejstwem inwentarza”, co znaczy patrzeć przez palce na wszystkie jego wady. Bo poezja przechyla szalę na korzyść grzesznika, choć o wielu rzeczach nie było łatwo zapomnieć. Musiałem zgodzić się z Arnsztajnową: trzeba przyjąć Czechowicza „z całym dobrodziejstwem inwentarza”.

Niewątpliwie jest to jeden z najczystszych liryków w polskiej poezji wszystkich czasów. Na temat „poezji czystej” i „nie-czystej” wylano morze atramentu, przeważnie z mizernym skutkiem. Koło tego zagadnienia narosło tyle nieporozumień, fałszów, frazeologicznych nadużyć, że prawda przeważnie tonęła w brudnych mydlinach retorycznych rozważań. W gruncie rzeczy różnica między poezją czystą i zaangażowaną przebiega bardzo kapryśnie, a często jest zupełnie niewidzialna. Ta granica u Czechowicza (podobnie jak u Marii Pawlikowskiej – inny typowy przykład) prawie zawsze świeci nieobecnością. A zresztą potępienie w czambuł tzw. poezji publicznej polega na nieporozumieniu.

Przecież *Grób Agamemnona* to publicystyka, a jednocześnie jeden z najwyższych wzlotów poezji nie tylko polskiej – światowej! Owszem, zdarzają się poeci całkowicie niezaangażowani, ale ich obojętność na to, co nie jest intymną liryką, uważam za kalectwo, a nie za zaletę. Naturalnie, tu otwieram szeroko drzwi przed zasadniczą polemiką, która ze zmiennym szczęściem toczy się od dawna i, jak sądzę, toczyć się będzie nieustannie aż po granice czasu, chyba, że poeci przestaną przychodzić na świat. Gwiazdy nade mną, prawo moralne we mnie... I wszystko co jest do wysłowienia w czułym wzruszeniu, zachwycie, albo w słusznym gniewie i buncie. I gwiazdy kobiecych oczu i błyskawice mistycznych doznań, i płacz nad ludzką krzywdą, i serdeczna radość na widok jedynego na świecie, niczym nie zastąpionego, ojczystego pejzażu.

Czechowicz był na swój sposób poetą zaangażowanym, raz po raz wyrastając ponad kameralność innych, najbardziej ściszonych wierszy. Gdy we wczesnej młodości marzył, aby „ludu karabinem być z wiosną”, gdy dawał się porywać legendzie starego komendanta, gdy w roku 1938 cieszył się: „rąbek granicy nam wzeszedł” – i gdy groźnie zapo-

wiadał: „przez was runą mury Jerycha!”. Zginął młodo, w pełni sił twórczych, przepełniony wielkimi planami i zamiarami. Ciągłe zapowiadał napisanie dużego, epickiego poematu, który dojrzewał w nim powoli: *Ziemia – gwiazda dziwna*. Nie spieszył się jak wielu innych, lękał się przedwczesnego porodu.

Jego próby dramatu były raczej nieudane, choć gdzieś tam znać było przejście lwiego pazura. Wystawienie jednoaktówki *Czasu jutrzeźnego* przyjęte zostało przez krytykę teatralną ze zdziwieniem, przeważnie wzruszono ramionami. Kazimierz Wierzyński, który prowadził felieton teatralny w „Gazecie Polskiej” i z okazji premiery spotkał się z Czechowiczem osobiście, mówił mi później, że w debiutanckiej sztuce jest dużo gęstej mgły, widać niepewną jeszcze, niedoświadczoną rękę, ale nie należy odbierać Czechowiczowi animuszu: „Coś w tym tkwi, tylko jeszcze w stanie nie dość wykrystalizowanym”... I dał recenzję ze sztuk wielce umiarkowaną. Daremnie zastanawiać się, co by było, gdyby było. Wkrótce po wybuchu wojny poeta wyszedł z Warszawy na piechotę. Szosa lubelska była nieustannie bombardowana. Garwolin, Markuszów, Kurów stały w ogniu i dymach pożarów. Henryk Domiński, który towarzyszył Czechowiczowi w tej wędrówce, opowiadał następnie Stanisławowi Piętałowi, że autor *Nuty człowieczej* coraz to wpadał w panikę. Ledwie doszedł do niego ryk silników lotniczych, już leżał w przydrożnym rowie.

Przecucie rychłej śmierci, zawsze obecne w jego poezji, nawiedzało go teraz materialnie. Ale do Lublina doszedł i tu dopiero czekała go śmierć. Spoczął na starym lubelskim cmentarzu, tym cmentarzu, któremu poświęcił jeden z najpiękniejszych swoich utworów zakończony napisem z drewnianej, na dawną modłę ciosanej, cmentarnej bra-

my: „Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz w dniu ostatecznym”. Osobny temat, w dostatecznej mierze, jeżeli się nie mylę, nie uwzględniony przez badaczy i glosatorów twórczości Czechowicza, to autentyczna, choć dyskretnie

stonowana religijność jego liryki. On sam lubił mawiać, że słowo Bóg nigdy się u niego nie zjawia, ale najważniejsze wiersze są nasycone triumfującą metafizyką. I nie była to pusta przechwałka. Zaprawdę: dusze chciał łowić!



Ruiny dzielnicy Wieniawa po 1942 roku. Fotograf nieznany. Zdjęcie ze zbiorów Wydziału Budownictwa i Architektury Urzędu Miasta Lublin

Józef Łobodowski O cyganach i katastrofistach

Józef Łobodowski,
*O cyganach i katastro-
fistach (I)*, „Kultura”
nr 7-8, 1964, s. 38-48.

1

Wspólny pokój przy ulicy Dobrej w Warszawie zrobił nie byle jaką karierę. Kiedy przed kilkunastu laty zamieściłem w „Wiadomościach” krótkie o nim wspomnienie, anim się mógł spodziewać, że z biegiem czasu potoczy się prawdziwa lawina przyczynków, artykułów, ba, książek, częściowo lub w całości poświęconych pokojowi, wynajętemu pewnego majowego popołudnia 1934 roku przez trzech młodych literatów. Byli to – Bronisław Ludwik Michalski, Stanisław Piętaś i Józef Łobodowski. Wkrótce dołączył Henryk Domiński. Z tej czwórki tylko ja jeden pozostałem przy życiu.

Prawda, zjawił się również Wacław Mrozowski, ale tego nie biorę pod uwagę, gdyż nigdy nie był pełnoprawnym lokatorem, „waletował” jedynie przez jakiś czas. Najważniejsze, że nie brano go na serio, tolerowano zaledwie, kręcił się na literackim i przyjacielskim marginesie i do prawdziwej konfidencji nie był dopuszczany. Przysłowiowe piąte koło u wozu.

W kraju weszło już w zwyczaj pisać o mieszkańcach „wspólnego pokoju” i najbliższych im rówieśnikach jako o poetach z „kręgu Czechowicza”. Tak właśnie końcówą i najdłuższą część swoich *Ballad przed burzą* nazwał Wiesław Szumański. Sądzę, że to nieporozumienie. Oczywiście, wpływ Czechowicza był niewątpliwy – na jednych trwały, na innych przelotny. Ale ważnych kręgów poetyckich było więcej, stykały się ze sobą, zachodziły jeden na drugi i rzadko kiedy wykluczały się nawzajem.

Bliskie stosunki osobiste z autorem *Dnia jak codzień* nie zawsze były równoznaczne z bezkrytycznym podda-

niem się jego wpływowi. Satelitów mu nie brakowało, co nie znaczy, że stał się planetą dla wszystkich. Michalski np. skryształizował się poetycko, zanim poznał Czechowicza i jego poezję. Piętaś zawdzięcza mu to i owo, zgoda, tym niemniej szedł od początku własną drogą i, niezależnie od tego, jak jego lirykę ocenimy, stanowił swój własny krąg, mocno zindywidualizowany i samowystarczalny.

Czy warto raz jeszcze pisać o „wspólnym pokoju” na Dobrej i o tym prawdziwym, czy wymyślanym „kręgu czechowiczowskim”? Chyba tak, gdyż dokoła tej sprawy narosło zbyt wiele legend i fałszywych interpretacji. Z tym jednak, że przy okazji warto tematykę rozszerzyć, obejmując możliwie największy wachlarz nazwisk i zjawisk. Dzieje „wspólnego pokoju”, owszem, ale na tle tego, co działo się w młodej poezji w Warszawie i poza Warszawą. A działo się w owych latach sporo rzeczy interesujących nie tylko dla historyka literatury – również dla socjologa.

Preliminaria lubelskie

Poetyckie początki Czechowicza łączą się ściśle z Lublinem. Był najmłodszym członkiem grupy „Reflektor”. Zapowiadało się bardzo ciekawie i skończyło krótkotrwałym fajerwerkiem. Po Grędzińskim została garść niezłych, a nawet tęgich wierszy – bez dalszego ciągu. Tylko jeden Czechowicz poszedł dalej i stanął w pierwszym szeregu poetów dwudziestolecia.

Na początku lat trzydziestych wydawało się, że Lublin zdobędzie się na własny ośrodek literacki z widokami na trwałość i kontynuację. Wychodzący przez czas jakiś „Kurier Lubelski”, po-

czątkowo właśnie pod redakcją Czechowicza, poświęcał bardzo wiele miejsca sprawom literackim, coraz to urządzało wieczory w samym Lublinie i w sąsiednich miastach powiatowych: Chełm, Krasnystaw, Lubartów – coraz to ukazywały się efemerydy periodyków, jak „Trybuna”, „Barykady”, „Dźwigary”

To wtedy Czechowicz „odkrył” Michalskiego. Bronek drukował już to i owo w dodatkach literackich prowincjonalnych pism, nie miał jednak jeszcze debiutu książkowego, nie bardzo wierzył we własne siły, zachowywał się nad wyraz skromnie. Na którymś z posiedzeń „Łoży Wielkiego Uśmiechu”, która akurat wtedy powstała i zbierała się w cukierni Semadeniego, na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Staszica, Czechowicz zjawił się w towarzystwie wybitnie przystojnego bruneta o rozwichrzonej, kędzierzawej czuprynie i melancholijnym spojrzeniu. Zmusił go do przeczytania kilku wierszy, po czym wstał i zwrócił się uroczyście do zebranych: „Panowie, czy po tym, cośmy usłyszeli, mogę oświadczyć: *Ecce poeta?!?*” Od tego popołudnia Michalski [stał] się nieodłącznym towarzyszem naszych zebrzań.

O Henryku Domińskim nikt z nas wtedy jeszcze nie słyszał. Dopiero w jesieni 1932 roku zjawił się w redakcji „Kuriera Lubelskiego” chudy i długonosy, niemal przezroczysty od niedojadania młodzieniec i wręczył mi wiersz, prosząc o przejrzenie: „Jeżeli pan uzna, że nadaje się do druku...”. Uznałem, że po paru poprawkach nadaje się, i wydrukowałem. Chyba to był jego debiut, a nie w „ABC”, jak podaje Szymański. Domiński pisał wiersze jakby „na siłę”, w każdym razie bardzo rzadko, długo je w sobie nosząc i poddając wielokrotnym poprawkom. Męczył się w niepewności, czytał gorące jeszcze teksty kolegom, radził się... Z lubelskiej paczki był bodaj najbardziej „czechowiczowski”. Niektórzy mawiali żartem, że wiersze pisze

z ambicji, bo uparł się, że także potrafi. Myślę, że był lirykiem wtórnym, bez wyraźnej indywidualności; gdyby nie zginął tak młodo – dwadzieścia osiem lat! – miałby zapewne poważne szanse w prozie i krytyce literackiej.

Wszystkie publikacje o „wspólnym pokoju” i Czechowiczu, że wymienię wspomnianą już końcową partię *Ballad przed burzą*” Wiesława Szymańskiego, *Portrety i zapiski* Stanisława Piętaka, *Cyganerię* Wacława Mrozowskiego, także esej o Czechowiczu Czesława Miłosza z tomu *Kontynenty*, grzeszą brakiem uwzględnienia okresu 1930-1934, lubelskich preliminarzów przed przeniesieniem się do Warszawy. Czechowicz w tych latach porastał w pióra literackie a następnie finansowe; dla Michalskiego i dla mnie był to czas zdobywania ostróg poetyckich, dla Domińskiego wczesnego terminowania. Władysław Podstawka, syn chłopca z pobliskich Jakubowic Końskich, świeżo upieczony maturzysta, trzymał się na razie na uboczu, miał doszłusować nieco później, chociaż aż do końca pozostał wolnym strzelcem, zjawiającym się nieczęsto i w najmniej spodziewanych chwilach.

Co nas wszystkich łączyło w dość sennym, mimo uniwersytetu i licznych instytucji kulturalnych, środowisku prowincjonalnym? Czy tylko bezpośrednie sąsiedztwo? Żeby zapukać do okna pokoju Czechowicza, wystarczyło skrócić ze Staszica na Radziwiłłowską, skąd do redakcji „Kuriera” było sto kroków, do Semadeniego – trzysta. Obijaliśmy się o siebie na każdym kroku, jakże więc nie miało dojść do zbliżenia.

Ale nie tylko to. Ambicje osobiste ludzi o tak bardzo odmiennych indywidualnościach znajdowały wspólny mianownik w zamiłowaniach regionalnych, w sentymencie do miasta urodzenia, czy chociażby tylko zamieszkania. To dlatego Lubelski Związek Pisarzy, powstały po długim i skomplikowanym porodzie, nie miał nic wspólnego

Kochana Dziśmii!

Tylko kilka słów, bo mam
ciężko pakować - mam do samolotu
zaledwie parę godzin. Byłem prze-
dny tygodnie w Kanadzie, na-
stępnie przenieśliśmy się do Stanów
(Chicago, Filadelfia, Nowy York, Wa-
shington i t.d.). Dziś wracam do
Madrytu, trochę napięty.

Uścisk i najłagodnie

zyczenie

Nowy York

17-X-1977

z centralnym Związkiem Zawodowym, był niezależną, regionalną organizacją. Gdyby nie wyjazd na stałe najwybitniejszych jego członków, miałby wiele w Lublinie do zdziałania. Niestety, stary gród trybunalski nie dawał możliwości utrzymania się z pióra, Warszawa była nadal swoistą pompą, która żarłocznie wysysała prowincję. Nie tylko lubliniacy, również wybitni wilnianie (Miłosz, Zagórski) ulegli zachłanności stolicy.

Emigranci nie zrywali jednak kontaktu ze Związkiem. W rok po wyjeździe Czechowicza ukazał się zbiór wierszy o Lublinie pt. *Stare kamienie* – owoc współpracy poetyckiej z seniorką pisarzy tego miasta Franciszką Arnsztajnową. Zwoływano się od czasu na wspólne wieczory autorskie, dawna współpraca przypominała się na łamach „Antologii poetów lubelskich”, zredagowanej przez znanego bibliofila i historyka, księdza Ludwika Zaleskiego, który akceptował i lubił tytuł proboszcza parafii poetyckiej, „bez rządu dusz”, jak sam skwapliwie podkreślał.

Wspomniany już Podstawka i przybyły z Chełma Zdzisław Popowski reprezentowali młodsze pokolenie. Na uniwersytecie powstała grupa poetycka o dużych pretensjach, lecz niewielkich możliwościach. Związana z młodzieżą narodową i z jedną z wielce nobliwych korporacji, boczyła się wyraźnie na Związek. Tylko jeden z nich, Jerzy Szczepowski, był autentycznym poetą w stadium fermentu i poszukiwania. Była to interesująca zapowiedź wkrótce przecięta kulą sowieckiego mordercy w łasku katyńskim. Niewiele młodszy od niego Jerzy Pleśniarowicz, kijowianin z pochodzenia przeniósł się zaraz po maturze do Warszawy na studia. Wojnę przeżył, ale do liryki, zdaje się, już nie powrócił.

„Łoża Wielkiego Uśmiechu”, zbierająca się niemal codziennie przy marmurowych stolikach u Semadeniego, a w niedzielę u Rutkowskiego, nie skła-

dała się z samych poetów. Początkujący artysta-malarz, kandydat na rzeźbiarza, aktor z powołania, który nigdy na scenę zawodową nie wszedł – mieli obok nas pełnoprawne miejsce i głos. Nie brakowało kibiców, w dość kapryśnym i często zmieniającym się składzie. Rodziły się przyjaźnie – niektóre z nich miały przetrwać długo.

Jedna z legend głosi, że wszyscy z „kręgu czechowiczowskiego” byli przyjaciółmi autora *W błyskawicy*. To nieprawda, naturalnie, jeśli brać słowo „przyjaciół” na serio. W owych lubelskich latach byłem bardzo blisko Czechowicza, a jednak nie zamierzam twierdzić, że istniała między nami kiedykolwiek prawdziwa przyjaźń. Po prostu pasowaliśmy do siebie jak pięść do nosa, a jest to zbyt dobre sąsiedztwo.

Czechowicz nie był w pożyciu człowiekiem łatwym. Wbrew łagodnym pozorom odznaczał się wielką apodyktycznością. Ułożył wierszem żartobliwą listę członków łowy i o sobie napisał: „Dusze chce łowić Józef Czechowicz”. Tego rodzaju łowcy każdą schwytaną duszę chcą prowadzić na smyczy, choć by nawet jedwabnej [...].

Sprowadziliśmy się na Dobrą w pierwszych dniach maja, przykładnie zapłaciwszy za miesiąc z góry. Komorne wynosiło 60 złotych, po dwadzieścia od łebka, z tym że mieliśmy prawo korzystać z prymusa i niejakich posług gospodyni Rozalii Sawickiej, która w opinii komentatorów i wspominkarzy była stręczycielką i lichwiarką albo znów awansuje do roli „dobrego ducha” niesfornych lokatorów. Ani jedno ani drugie. Stary Tartuffe w spódnicy, z rączkami nabożnie złożonymi na brzuchu, dość głupia i nieco rozwydrzona baba, nie stroniąca od nikłych uciech, jakich mogła jeszcze skąpo zaznać od życia, lubiła nas po swojemu, a najbardziej Bronka Michalskiego, nacierpiała się też z naszej przyczyny немало. Niekiedy próbowała zarywać, ale bez

Na sąsiedniej stronie: list Józefa Łobodowskiego do siostry Władysławy z Nowego Yorku, 17 grudnia 1977. Ze zbiorów rodziny Tomanków.

powodzenia, przeciwnie, sama padała ofiarą stałych zapewnień: „Niech Róża zaczeka do następnej wypłaty...”. Bała się tylko mnie, a zresztą tylko ja płaciłem regularnie, bo zarabiałem znacznie więcej niż reszta.

Z niektórych wspomnień czytelnik może odnieść wrażenie, że prawie cały czas mieszkańców „wspólnego pokoju” pochłaniały libacje alkoholowe. Po literackiej Warszawie krążyły wersje, jakoby zakasowaliśmy nawet „wspólny pokój” nr 1, uwieczniony w słynnej i osławionej

powieści Zbigniewa Uniłowskiego. Ano, co tam gadać, od kieliszka wódki nikt z nas nie stronił, ani przedtem w Lublinie, ani potem na Dobrej, z wyjątkiem jednego Czechowicza, który rzadko tylko, od wielkiego dzwonu, przekraczał granicę dwóch-trzech kolejek. W okresie „Reflektora” również nie pijał, jeśli wierzyć świadkom, choć były to lata – dla mnie jeszcze sztubackie – stojące pod znakiem *Ody* Konrada Bielskiego. Znana była w Lublinie szeroko i w wiele lat później:

*W Paryżu Wezuwiusze szampana tryskają w górę,
na Ukrainie piją spirytus i politurę,
po dwóch butelkach Murzyn jest przyjacielem Anglika...
Jeden jest duch alkoholu od zwrotnika do zwrotnika.
O, najpiękniejsza z chorób, biała gorączko!*

Odę wydrukowałem jeszcze w roku 1932 w pierwszym numerze lubelskiego miesięcznika „Barykady”. Znalazła się w towarzystwie wiersza Stanisława Grędzińskiego o romansie diabła z urodziwą dziewczyną, oraz *Erosa i Psyche* Czechowicza. Na domiar złego dałem na wkładkę litografię Witolda Chomicza (dziś profesor w Krakowie), przedstawiającą kościół Bernardynów. Tkwiła w tym zarówno chęć zbicia z pantałyku pana cenzora, jak i prowokacyjna przekora w stosunku do miejscowych marksistów, oskarżających mnie o brak „wykryształowania”, bo poza tym treść numeru była skrajnie lewicowa. Cenzura dała się wodzić przez krótki czas, następne numery „Barykad” uległy konfiskacie (za jeden dostałem rok, za drugi dwa lata, zawieszono w apelacji); ortodoksi zaś odezwali się w jednodniówce, ostro zmywając mi głowę. „Eros i Psyche? – dziwił się anonimowy choć znany mi dobrze autor – I cóż ta para ma do roboty na barykadach?”

Relacje z naszego alkoholizmu były jednak mocno przesadzone. Michalski wpadł w nałóg, który po roku doprowadził go samobójczej śmierci, w koń-

cowym stadium istnienia „wspólnego pokoju”, gdy ja bywałem w nim tylko rzadkim gościem. Na codzienne pijaństwo nie starczyłoby zresztą pieniędzy. Zupełne banialuki opowiada na ten temat Mrozowski w *Cyganerii*. Ciekawe, że trzech wymienionych powyżej książek: Mrozowskiego, Szymańskiego – najuczciwsza, choć miejscami bardzo nieścisła jest książka właśnie Szymańskiego, które informacje czerpał z drugiej, lub trzeciej ręki, zaś z większością mieszkańców Powiśla w ogóle się nie zetknął, bo już nie żyli.

Pamiętnik Mrozowskiego – pisze w posłowie do *Cyganerii* jej lubelski wydawca – należy traktować jako literacki dokument epoki, pewnego rodzaju „spowiedź dziecięcia wieku” zbeletryzowaną kronikę mieszkanka przy Dobrej 9. Autor prostuje i wyjaśnia wiele fałszywych sądów i faktów, związanych z historią „wspólnego pokoju”, jego mieszkańcami i gośćmi.

Wydawca informuje ponadto, że książka „ze względu na obfitość materiału, kompozycję i inne względy, została poważnie zredukowana i czytelnik otrzymuje właściwie pewną część wspomnień autora”. Po przeczytaniu *Cyganerii* nie trudno zdać sobie sprawę co by

to było, gdyby nie dobroczynny ołówek wydawcy.

Na dwa lata przed swoją tragiczną śmiercią Stanisław Piętaś wyrwał się na krótką eskapadę do Paryża. Przysłał mi stamtąd dwa ostatnie tomiki wierszy i długi, serdeczny list, wspominający dawne czasy. „Mrozowski – pisał między innymi – przygotowuje dużą rzecz o nas wszystkich. Dał mi do przejrzenia czego on tam nie ponawypisywał, zwłaszcza o tobie! Starałem się to i owo skorygować, ale to beznadziejna robota”.

Według Mrozowskiego, na Dobrej piło się właściwie co dzień. I to jak! – nie jakąś tam zwykłą wódkę – z reguły wódki gatunkowe. „Wyjął z kieszeni pół litra cytrynowki” (str. 57). „Napijemy się, co? Mam tu jakiś spirytusik!” (str. 61), „nalewałem jakąś słodką wódkę” (str. 75), „wróciłem niebawem z żytniówką” (str. 68). I tak stale. A francuskiego koniaczku i szampana nie było? Oczywiście bzdury! Piło się czystą wyborową a jeżeli z pieniędzmi było bardzo źle, Rozalia przynosiła butelkę z „granatową kartką”. Bronek Michalski zaczął z czasem, gdy już zjawiały się pierwsze groźne oznaki *delirium tremens*, upijać się spirytusem, było to jednak znacznie później. Oczywiście, nie ma większego znaczenia, czy piliśmy zwykłą wódkę, czy żytniówkę, ale różnica ta świadczy jak bardzo Mrozowski fantazjuje i mija się z prawdą nawet w drobnych, obyczajowych szczegółach.

Gdyby pijaństwa były tak regularne, jak to z wielu relacji wynika, kiedyż byśmy mieli czas na pracę? A przecież owego lata Piętaś wykończył do druku swój pierwszy tom *Alfabet oczu*, żmudnie szlifując wiersze w ostatecznej redakcji, czytał, powstawały pierwsze fragmenty z *Legend dnia i nocy*, próby prozy, z których później wykluła się *Młodość Jasia Kunefata*. Usilnie pracował nad sobą Domiński. Gdy go poznałem w jesieni 1932, był to niedokształcony złotodziej, chciwy wiedzy i życia, pod pozorami

skromności kryjący duże ambicje. Zdawał sobie sprawę z olbrzymich braków i nadrabiał je szybko, może w chaotyczny, źle zorganizowany sposób, ale z konsekwentnym uporem. Już w rok po śmierci Bronka i zlikwidowaniu wspólnego pokoju, na łamach „Kuriera Porannego” zaczęły ukazywać się jego recenzje literackie, coraz lepsze i o coraz solidniejszym podkładzie niewątpliwej erudycji. Tego zaimprovizować nie można. A więc wódkę zagryzał nie tylko serdelkami i jajecznicą, ale również lekturą książek, których obecność dawała się odczuć z każdym rokiem. Było tych książek więcej niż butelek.

Co do mnie... Co raz to wypadałem do Lublina, skąd robiłem piesze wycieczki do Krasnystawu, Zamościa, Chełma... Uprawiałem sport – intensywnie, choć niesystematycznie. W jesieni założyłem miesięcznik „Dźwigary”, co kosztowało mnie sporo pracy i jeszcze więcej wysiłku finansowego, który znowu był wynikiem pracy zarobkowej. Wkrótce zacząłem brać żywy udział w działalności Związku Pisarzy Lubelskich i przez jakiś czas byłem jego prezesem. Przygotowałem i wydałem tom wierszy *Rozmowa z ojczyzną* oraz przekłady z rosyjskiego *U przyjaciół*. Do tego dochodziły prace i zajęcia bardziej osobistego charakteru. To wszystko w ciągu niespełna roku. A tu z niegdyśszych wspomnień okazuje się, że chodziłem bez przerwy pijany!

Z Michalskim było gorzej, ale to osobny temat. Natomiast Mrozowski istotnie wałkonił się i cała jego działalność literacka w ciągu sześciu lat (1934-1939) ograniczyła się do jednego szczupłego tomiku wierszy pt. *Dobranoc... dobranoc....* Zajmował się innymi sprawami, raczej oddalonymi od zainteresowań pisarskich. Pamiętam, że gdy Domińskiego ktoś zagadnął o przybyśza z Chełma, odpowiedź brzmiała zazwyczaj następująco: „Dobranoc, dobranoc, do widzenia, znam inne tematy...”

Swego rodzaju opiekunem gromadki z Dobrej stał się od pierwszej chwili Józef Czechowicz. Ze Smulikowskiego, gdzie w gmachu Związku Nauczycieli miał swoje mieszkanie¹, było do nas dosłownie sto kroków. Nie ma racji ani Jan Śpiewak, napisał że „do wspólnego pokoju Czechowicz nigdy prawie nie zaglądał”, ani Roman Rosiak, gdy twierdzi, iż „był on niemal codziennym gościem”. Ani jedno ani drugie. Po prostu zaglądał dość często. Nie musiał windować się na drugie piętro – po schodach chodzić nie lubił. Przecież było lato, drzwi od balkonu stale otwarte, wystarczyło zawołać z ulicy.

Czechowicz wywierał bardzo duży wpływ, jako poeta i na Domińskim i Piętaku, chociaż z czasem, gdy nieco podrosli i opierzyli się, potrafili zdobyć się na stosunek krytyczny do mistrza. Po Michalskim w owym czasie wszelkie wpływy ześlizgiwały się, żył własnym, bardzo trudnym i bolesnym życiem wewnętrznym i ta izolacja zapewne przyspieszyła nieuniknioną katastrofę. Ze mną było inaczej. Ceniłem autora *Ballady z*

drugiej strony bardzo wysoko, ale rozumiałem, że jego tor poetycki prowadzi w kierunku dla mnie obcym i niewłaściwym. Prawa do arbitralnych posunięć mu nie przyznawałem, do roli giermka nie nadawałem się, pewne postawy i nawyki odrzucałem kategorycznie. Toteż w późniejszych latach stosunki nasze – wówczas przyjazne, nie przyjacielskie – znacznie ochłodziły i mało brakowało, a byłoby doszło do otwartego zerwania.

Jaką właściwie rolę odegrał? Był znacznie starszy, wyjąwszy Michalskiego, od każdego z nas: sześć do dziewięciu lat to w tym wieku poważna różnica. Gdy inni dopiero zaczynali, miał już ustaloną pozycję pisarską. Orientował, sugerował w sposób nie natarczywy, pożywał książki, wprowadzał jakiś ład do wiedzy literackiej młodych, przeważnie słabo zaopatrzonych w bagaż intelektualny poetów. Ułatwiał debiuty i współ-

pracę, chętnie służył pomocą finansową, zresztą w skromnej skali i dość kapryśnie, to znaczy nie zawsze wtedy, gdy była najbardziej potrzebna. Ale jednocześnie zarażał własnymi urazami i kompleksami, na przykład, doprawdy zbyt już przesadzoną niechęcią do skamandrytów.

Wyglądało to dość zabawnie, gdy taki młodziak, idąc za przewodem mistrza i mentora, przekreślał za jednym zamachem Lechonia czy Słonimskiego, w najlepszym razie udzielając amnestii niektórym wierszom Tuwima. Wkrótce po powstaniu „wspólnego pokoju” zjechał triumfalnie do Warszawy Tadeusz Hollender, zdobywca pierwszej nagrody na konkursie mickiewiczowskim „Wiadomości Literackich”. Miotał się między stołem i kanapą, w oburzeniu nie mogąc dopiąć szelek, i wychodził ze siebie. Właśnie Domiński „zlikwidował” przed chwilą Wierzyńskiego. „Nie do wiary – wołał rozwścieczony Hollender – wszędzie wielki poeta, a w tym pokoju – grafoman!”. Domiński twardo stał przy swoim, zachwycony wywołanym wrażeniem.

Własnej szkoły, w sensie twórczej kontynuacji, Czechowicz nie stworzył, a liczni naśladowcy przynieśli mu więcej szkody niż chwały. Co prawda, trudno przesądzać; gdyby nie wybuch wojny, ośrodek, który zaczynał się koło niego krystalizować, być może, nabrałby z czasem cech określonego kierunku poetyckiego tym bardziej, że do liryków dołączyli młodzi, obiecujący krytycy.

Sam Czechowicz miewał często złudzenia. Najmocniej poczuł się w roku 1934. Wyszedł wtedy tom *W błyskawicy*, który ostatecznie utwierdził niewątpliwe przewodnictwo w poezji zwanej awangardową; miał poważne wpływy w „Pionie” i „Drodze”, zamierzał wydawać własne pismo. Doskonała sytuacja finansowa dała mu po raz pierwszy całkowitą niezależność i pewność siebie. Mimo woli – pisał do Czernika – przez agresywność charakteru, osiedlenie się w Warszawie,

¹ Myli się Szymański, pisząc, że na Smulikowskiego Czechowicz mieszkał w „wysokiej suterenie”. To był wysoki parter. Pamiętam doskonale że aby zapukać do okna, trzeba było – przy średnim wzroście, jak mój, wspiąć się na palce. W pół-suterenie mieściło się mieszkanie na Narbutta.

zaczęłam przewodzić awangardzie. Montuję teraz pismo literackie, miesięcznik typu „Drogi” tylko ściśle literacki. Poganiam Lubelski Związek, trenuję wileńczyków, do Krakowa sięgam. Przyboś chętnie się podporządkował, Czuchnowski również, a Piętaka po prostu sprowadziłem do Warszawy. Rozruszam ich – nie ma obawy.

Z tych buńczucznych zapewnień ani jedno nie odpowiadało rzeczywisto-

ści. Nie rozruszał po swej myśli nikogo, każdy poszedł własną drogą, rzadko tylko równoległą do drogi Czechowicza. Wbrew pozorom, mimo licznego dworu, pozostał samotnikiem aż do końca [...], kiedy w małym lubelskim mieszkanku przy Radziwiłłowskiej pisał gorzkie wiersze o zbliżającej się śmierci.

2

„Na progu sumienia”

Kiedy po dziesięcioletniej przerwie zaczęto w kraju pisać o Czechowiczu skazanym na przemilczenie w okresie „błędów i wypaczeń”, starano się podkreślać akcenty społeczne w jego liryce. Było ich bardzo niewiele, ale były. Głównie w latach młodzieńczych. Więc w artykułach i antologiach wysuwano na pierwszy plan takie nieliczne utwory jak *Ja karabin*:

*Tylko taki czas odmienny chciałbym
poznać,
w którym ludu karabinem będę z wiosną.*

Za to pomija się inne, dojrzałe już wiersze, w których poeta wyraźnie dawał do zrozumienia że lewicowe ciążoty wczesnego czasu uległy odwołaniu. Ten i ów usiłował powoływać się na wiersz *Pod Dworcem Głównym w Warszawie*, na owe – „mówię wam, przez nie runą mocne twierdze Jerycha...” – z ostatniego tomu *Nuta człowiecza*. Ale w tym samym zbiorze znajdziemy fragmenty, wielce żenujące dla marksistowskiego komentatora. Chociażby poetycką aluzję do zajęcia Zaolzia: „rąbek granicy nam wzeszedł” – albo gorzej jeszcze, o kopułach katedry w Mińsku!

To notuję na marginesie. Czechowicz nie tylko uciekał od tematyki społecznej – uważał ją za zabójczą dla poezji. Bardzo przykro odczuł odejście Czuchnow-

skiego, na którego tak mocno stawiał, ku problematyce społeczno-politycznej. Takich rozczarowań było więcej, ale żadne nie zachwiało postawą poety. Nie mogło być inaczej, gdyż rdzeń jego twórczości – nikt z krytyków tej zasadniczej cechy wciąż jeszcze należycie nie uwydatnił – tkwi w tragicznym niepokoju istnienia, w mrocznych podszeptach metafizyki. Wystarczy wymienić trójcę poetów, których liryka przyciągała go najbardziej: William Blake, Rimbaud, Aleksander Błok. Koneksje te na pewno nie były przypadkowe.

A jak inni z najbliższego sąsiedztwa? W recenzji z *Cyganerii* Mrozowskiego, ogłoszonej w „Kulturze” (październik 1963) przez Tymona Terleckiego, czytamy następującą uwagę:

Z toku wspomnień wynika – i to stanowi jedno z charakterystycznych znamion wspomnianego zjawiska – że ani autor, ani jego współtowarzysze nie mieli ówczesnie „świadomości społecznej” i żadnych zainteresowań politycznych.

Tak by wynikało ze wspomnień Mrozowskiego. Wesołe lumpy istotnie nie miewają świadomości społecznej i politycznych zainteresowań. Ale opinia ta nie może dotyczyć całej grupy. Już w końcu lata dojrzał we mnie pielęgnowany od dawna zamiar założenia miesięcznika literackiego w Lublinie. Tak powstały „Dźwigary”, łączące radykalizm społeczny z awangardyzmem poetyckim, a mające ponadto ambicje

Józef Łobodowski,
O cyganach i katastro-
fistach (2), „Kultura”
1964, nr 9, s. 59–68.

– jakby to określić – unarodowienia czy usamodzielnienia polskiego marksizmu. Słowem, typowe „odchylenie nacjonalistyczne”. „Dźwigary” skończyły się na drugim numerze, ale narobiły sporo hałasu i stały się preludium do ostatecznego zerwania z komunizmem. Założona przy nich „Biblioteka poetycka” wydała trzy tomy: na pierwszy ogień poszedł *Alfabet oczu*, debiut Stanisława Piętaka.

Otóż sam fakt, że mieszkańcy „wspólnego pokoju” wciągnięci zostali w atmosferę tych zamiarów wydawniczych i prac przygotowawczych, ustawia nieco inaczej sprawę ich zainteresowań ideologicznych. Nie były obce Piętakowi, tyle że mgliste, nieskoordynowane, wylęgle raczej z instynktu, niż z porządnego przemyślenia. Natomiast Domiński jeszcze w Lublinie starał się z całą świadomością dopracować własnej postawy, od początku zdecydowanie radykalnej. Łagodził ją wpływ Czechowicza, a może bardziej nawet wrodzony niedowierzający stosunek do każdego autorytetu.

W czerwcu, za pośrednictwem Bolesława Piacha poznał Helenę Boguszewską i Jerzego Kornackiego. Piach, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Zandberg, był lubliniakiem, znał znał mnie od kilku lat i śledził z bliska moje peregrynacje literackie i polityczne, od studenckiej „Trybuny” poczynając, poprzez „Kurier lubelski” i „Barykady”, konfiskaty i procesy. Kontakt z autorami *Jadą wozy z cegłą* doprowadził do dalszego zbliżenia, aż wreszcie – częstemu już gościowi na Grochowie II – zaproponowano przystąpienie do grupy „Przedmieście”. Należeli do niej, prócz Boguszewskiej i Kornackiego, Halina Krahelska, Kazimiera Muszałówna, tenże Bolesław Piach, Degal, Sydor Rey, Władysław

Kowalski i kilku innych, których nazwiska wyleciały mi z pamięci. Byli to wszystko prozaicy, często po prostu reporterzy o pewnym zacięciu beletrystycznym; Boguszewskiej zależało

na włączeniu do grupy poety i stąd te umizgi pod moim adresem. Liczne aresztowania, konfiskaty i procesy dały mi odpowiedni rozgłos, ktoś nawet raczył mnie nazwać „bohaterskim tenorem polskiej rewolucji”.

Fala lewicowej radykalizacji szła wtedy przez całą młodą literaturę. Wileńscy żagaryści już dawniej zerwali ze „Słowem” Mackiewiczza, wkrótce ich część, z Henrykiem Dembińskim i Stefanem Jędrzychowskim na czele, miała przejść na skrajne pozycje i doszłusować do komunizmu; założone w roku 1935 „Po Prostu” było niewątpliwie pismem partyjnym, choć odżegnywano się od tego oficjalnie. Ostrożniej, ale w podobnym kierunku szła grupa lwowskich „Sygnałów”. Zaczynało się montowanie „Zjednoczonego Frontu Pisarzy przeciwko faszystom i wojnie”, odpowiednik Frontu Ludowego na terenie literackim. W tym samym mniej więcej czasie wybuchła awantura z „Legionem Młodych”.

Po moim przyjeździe do Warszawy w końcu kwietnia 1934 roku z miejsca zaproponowano mi współpracę ze wspomnianym już tygodnikiem „Państwo Pracy”. Jeden z zasadniczych artykułów ukazał się w tym piśmie właśnie wtedy, pod przydługim tytułem wziętym z mego wiersza *Piłsudski: Ale gdzie podziać się z sercem, gdy czarny wstanie Żyrardów i barykadą kamieni runie na progu sumienia?*. Propozycja wydała mi się interesująca, chociaż redakcja nie płaciła honorariów. Zgodziłem się i napisałem trzy czy cztery wstępniaki, idące po identycznej linii: rewolucyjne reformy społeczne auspiciami niepodległościowych tradycji Piłsudskiego.

„Legion Młodych”, którego rozwojowi ideowemu nadawali ówczesnie ton Zbigniew Zapasiewicz, Wacław Zagórski, Stefan Wędrzychowski, szedł całą parą na lewo. Opozycję uprawiali Janusz Łaskowski i Stachurski, zanim sami radykalizowali się z biegiem czasu. Dość rychło skończyło się niewypałem. Se-

niorzy „Legionu” odmówili dalszego poparcia i wydęty balonik pękł z hukiem. Najbardziej ideowe elementy odeszły – Zapasiewicz wstąpił do PPS – organizacja przetrwała aż do września 1939 roku, ale dawny dynamizm skończył się bezpowrotnie. Rola „Legionu Młodych” na uniwersytetach skurczyła się od tego czasu do minimum. W przełomowym okresie nagle dał znać o sobie Henryk Domiński. Wydelegowany przez Komendę Główną do Lublina, wycygał od Czechowicza listy polecające do kilku seniorów. Ci w dobrej wierze, że Domiński przyjeżdża, aby uspokoić bardziej podniecone elementy. Tymczasem ten stanął zdecydowanie po stronie „skrajnych” i doprowadził do rozłamu, przy czym nie obeszło się bez pewnego skandalu.

Czechowicz był rozżalony i długo nie mógł tego „kłapaczowi” wybaczyć. Nie tyle chodziło o lekką kompromitację wobec lubelskich znajomych, co o pierwszy dowód, że mistrz nie panuje całkowicie nad uczniem, że ten w ważnych sprawach potrafi już wziąć na kiel i wyłamać. Na to nie było rady. „Domińszczak” patrzył w poetę nadal jak w tęczę, ale pod innymi względami uniezależniał się zdecydowanie.

Większość młodych poetów, mieszkających w Warszawie, zerknęła na lewo, często bardzo zdecydowanie. Coraz to powstające z wielkim hałasem nowe grupy poetyckie – „Kwadryga”, „Meteor”, „Kadra” itd. – z reguły były mocno radykalne, tym przeciw najbardziej w Polsce międzywojnia rozpowszechnionym radykalizmem, który nie miał żadnych podstaw doktrynalnych ani nawet światopoglądowych. Sentymentalne tendencje utożsamiano z postawą – podobnie rozgorączkowany wyrostek myli ciągoty erotyczne z prawdziwą miłością.

Grupy te szybko rozpadały się: autentyczne talenty wchodziły na własne drogi, pomniejszych nieubłagana selekcja czasu przesuwiała ku margine-

som. Dzieje „Kwadrygi” były najbardziej może pouczające. Pismo istniało niecałe trzy lata. Wychodziłoby zapewne dłużej, gdyby nie to, że w międzyczasie urwała się nić więzi, łącząca członków grupy. Na samym początku wystąpiono w sposób, wyraźnie obliczony na rozgłos; z jednej strony ostre ataki na skamandrytów i „Wiadomości Literackie”, z drugiej – proletariackie manifesty, pod wysiłonym patronatem bardzo niewłaściwie dobranej pary świętych: Karola Marksa i Cypriana Norwida.

Gdy przyjechałem do Warszawy i nawiązywałem pierwsze znajomości, „Kwadryga” była już w całkowitym rozkładzie. Tylko nieliczni pozostali wierni temu, co usiłowano określać jako „postawę proletariacką”. Lucjan Szenwald stał się czołowym publicystą komunistycznego „Lewaru”, Dobrowolski pisywał kiepskie poematy: *Powrót na Powiśle* i *Janosik z Tarchowej*, później wydawał przez jakiś czas „Nową Kwadrygę”, nieudaną próbę zgalwanizowania nieboszczyka. Flukowski, Sebyła, Gałczyński nie mieli już wtedy nic wspólnego z Marksem i proletariatem. Ninę Rydzewską, niegdyś konfiskowaną za „błuznierstwo”, poznałem w charakterze żony jednego z działaczy klubu „Prometeusz”, politycznego emigranta z Kaukazu, Osetyna Ahmeta beja Barasbi Baytugana.

Przy „Lewarze”, który zaczął ukazywać się, jeśli mnie pamięć nie myli, w 1934, skupili się najskrajniejsi, więc tenże Szenwald, Leon Pasternak, Juliusz Grot, Stanisław Jerzy Lec, Szemplińska, Wygodzki. Degal... Czy wszyscy należeli do partii? Większość z wymienionych na pewno; Pasternak i Wygodzki mieli już za sobą odsiedziane wyroki, ale z tym bywało rozmaicie. Znany był wypadek Andrzeja Wolicy, postaci wręcz tragicznej; zagarnięty przez policję w czasie jakiejś masówki, w areszcie śledczym zaczął chwalić się rzekomymi wyczynami rewolucyjnymi, znalazł się, oczywiście, donosiciel i Wolica otrzymał dość ciężki

wyrok, właściwie za... gadulstwo. Po wyjściu z więzienia własni towarzysze oskarżyli go o trockizm, a później nawet o prowokację. Słaby poeta, zdążył na krótko przed wojną wydać interesującą powieść *Ulica Ogrodowa*. Zginął w tajemniczych okolicznościach na samym początku okupacji.

Posądzenie o trockizm mogło pociągnąć za sobą skutki wielce nieprzyjemne; między innymi padł jego ofiarę Stefan Gołąb, kiedyś nieźle zapowiadający się liryk. Naturalnie, lista śmiertelnych grzechów przeciw ortodoksji była znacznie obszerniejsza: lewactwo, odchylenie prawicowe, odchylenie nacjonalistyczne, *et cetera*. Specjalistą od węszenia herezji na terenie literackim stał się Szenwald i, jak się zdaje, wytrwał w tej chwalebnej roli pod okupację sowiecką i później, w armii Berlinga, gdzie dochrapał się jako politruk rangi kapitana. Obok niego robił identyczną karierę Adam Ważyk.

W tym wypadku Czechowicz miał rację: marksizm zjadł świetne talenty Szenwalda i Elżbiety Szemplińskiej. Wystarczy zestawić poemat *Kuchnia mojej matki*, drukowany w „Wiadomościach Literackich” w roku 1931 z wierszami, które Szenwald ogłaszał w późniejszych latach w „Lewarze”, czy choćby z dłuższym utworem *Scena przy strumieniu* bardzo ambitnie zakrojonym, lecz poronionym i w założeniu, i w wykonaniu mimo rozsianych tu i ówdzie piękności.

Szemplińska zapowiadała się wręcz rewelacyjnie. Dwudziestoletnia ledwie dziewczyna pisała śmiało, odkrywczym poezje, przesycone gwałtownym bio-

logizmem, ale w szczęśliwym stopie z bardzo oryginalną wizją życia. Ten „biologizm odrealniony”, czy raczej przeniesiony w inny wymiar, świecił nie byle jakie triumfy w takich młodzieżowych wierszach jak *Ciało* czy *Nogi sprzątaczek*. Potem jednak Szemplińska zaczęła ogłaszać utwory zapewniające, że ma we krwi „klasową świadomość”, i wszystko rozlało się. Świetna zapowiedź nigdy nie została spełniona.

Nie był na pewno komunistą Edward Szymański, bardzo ciekawy człowiek, zupełnie nie dbający o swoją twórczość poetycką. Jego także należałoby uznać za zmarnowany talent, nie tylko dlatego, że zginął przedwcześnie w Oświęcimiu. Krępy, bardzo szeroki w ramionach o mocnym uścisku dłoni i kanciastych ruchach robociarza wiecznie pochłoniętego przez pracę zarobkową i społeczną. Szymański miał ogromną łatwość pisanie i mało czasu. Przykro powiedzieć – nie zostawił po sobie książek na miarę swego talentu. Był wybitnym poetą *in potentia*. Antologia Matuszewskiego i Pollaka skrzywdziła go, ukazując od strony łatwych wierszy plakatowych, pisanych od ręki, nieraz od razu w drukarni, na czekającej maszynie. Raczej należałoby zamieścić nieliczne wiersze, powstające bez doraźnej tendencji publicystycznej. Szymański był bodajże jedynym poetą, z którym Konstant Gałczyński zaprzyjaźnił się naprawdę i, co więcej, czuł się wobec niego zażenowany.

To chyba w „Drodze” ukazał się krótki wiersz Gałczyńskiego *Do Edwarda Szymańskiego*:

*W twoje gospodarstwo, gdzie trzeba chleb za wiersze kupować
(że to najbardziej złoty chleb, wyznasz otwarcie),
prosto z gospody z latarniami i kwiatami prowadź,
Edwardzie.*

*Oto twój dom. W ciszy serca Lukrecjusza tłumaczysz.
Jeszcze będziesz bardzo, bardzo sławny – zobaczysz.
Tobie trud, ale tobie miłowanie jedynej i palma.*

*Niech się święci twój przekład „De natura rerum”
i twoja córka, czarna morwa z zapachem ajeru
i Pani twoja – Venus Alma.*

Na tę czułą epistolę Szymański odpowiedział gwałtowną repliką, której tekstu, niestety, nie pamiętam. W każdym razie gromił Konstantego Ildefonsa za jego nieodpowiedzialne lirycznie [strofy] i zapowiadał groźnie przyszłą katastrofę twórczą w zetknięciu się z siłami historii. „Oślepniesz! Ogłuchniesz!” – powtarzało się przy końcu każdej strofy. Powojenne peregrynacje Gałczyńskiego, które jaskrawo wykazały słabość poety i jego bezbronność ideową, potwierdziły w pewnym sensie bezlitosną ocenę Szymańskiego.

*Przyjechało toto tramwajem
i taniutko, za groszy dwadzieścia,
popatrzyło, gdzie tramwaj staje,
by opisać piękno przedmieścia...*

Karpiński chodził mocno zakłopotany. „Czegoż chcecie? – powiadała nagabującym go przyjaciółkom. – Wiersz jest doskonały i można by na niego odpowiedzieć tylko wierszem. Ale jeszcze lepszym lub przynajmniej równie dobrym”.

Jednak Duch Święty tchnie gdzie chce. Ten sam Karpiński, pozornie pięknoduch i bawidamek, salonowy, estetyzujący

Z jeszcze bardziej gwałtownym wierszem wystąpił on przeciw Światopełkowi Karpińskiemu. Jeśli pamięć mi dopisuje, było to w roku 1938. Karpiński pisał wówczas, później luksusowo wydany *Poemat o Warszawie*, na zamówienie prezydenta miasta, Starzyńskiego, i fragment, poświęcony Woli wydrukował w „Robotniku”. Ujął temat bardzo sielankowo, mało realistycznie i bez śladu jakichś zainteresowań społecznych. Szymański wpadł w pasję i wybuchnął gwałtowną diatrybą wydrukowaną również w „Robotniku”:

poeta, doskonale czujący się w otoczeniu takich cynicznych mięczaków jak Janusz Minkiewicz, kalamburzysta i mieszczański dowcipniś, stały bywalec eleganckich lokali oświadczający prowokacyjnie: „Nie rozumiem jak można żyć bez stu złotych dziennie...” – jest jednak autorem wiersza może najlepiej wyrażającego dławiącą atmosferę tamtych lat:

*A nam jest duszno w jaśminach. Czarno idziemy zgarbieni.
Nie czas już zrywać z wieczorów gałęzie kwitnących gwiazd.
Nie można chodzić po niebie. Nie umie się chodzić po ziemi.
Patrz, jak ciężko ojczyzna oddycha piersiami miast.*

*Przetnij tę ciszę piaszczystą, poezjo ostra i wieszczą,
śpiewałaś wielkość tej ziemi, teraz jej małość zlicz.
Otwórzcie okna i oczy: „Powietrza! Powietrza! Powietrza!”
K r z y c z !*

Ale to były chwile wyjątkowe. Popularny Świątek powracał do dalekich, satyrycznych wierszyków, do *Szopki Warszawskiej*, do Simona i Steckiego, zapraszał wesołych koleżków do swego

mieszkania, przy czym stara niańka Jadwiga, wciąż widząca w swym wychowanku psotnego chłopczyka, burczała nieodmiennie na widok każdej nowej twarzy: „Znowu jakiegoś pijaka i dar-

mozjada przyprowadził...”. O wspólny język z Karpińskim było

trudno. Myśmy tworzyli cyganerie – z przeproszeniem! – proletariacką, z trudem i wysiłkiem przebijającą się przez życie; autor *Giocondy* należał do cyganerii burżuazyjnej, zawsze rozporządzającej pieniędzmi.

Kontakty z innymi ośrodkami lewicowymi były raczej luźne i dorywcze. Mało kto spoza Warszawy zakotwiczył na stolecnym bruku na stałe. Nie pamiętam czy kiedykolwiek po „Najeździe Awangardy” w roku 1934 zawitał Marian Czuchnowski, którego za to spotkałem kilkakrotnie w Lublinie. Czuchnowski zaczął radykalizować na ostro właśnie wtedy, gdy ja przestawałem. Poemat *Powódź i śmierć*, skonfiskowany częściowo przez cenzurę zbiegł się w czasie z moim artykułem *Uzurpatorzy wolności*, który przypieczętował ostateczne rozstanie się ze skrajną lewicą. Nie popsuło to jednak naszych stosunków osobistych, a tylko je rozluźniło. Czuchnowski zawałował o Lublin w związku z wypadkami na wieś krasnostawską i zamojską, na wiece organizowane przez ludowców. Zarabiał na tych wiecach na nowe procesy, więc musiał przyjeżdżać znowu, zawsze, jeśli to zdarzało się w zimie, w chłopskich butach, szlagońskiej (nie ma sławuckiej) burce i okrągłej futrzanej czapeczce, dość przypominającej papachy Kozaków kubańskich. W takim oryginalnym przyobleczeniu ściągał na siebie uwagę i ułatwiał robotę tajników i łapsów.

Bronił go niezastąpiony Kundzio Bielski, niegdyś poeta z „Reflektora”, a ówczesnie adwokat, osiadły od kilku już lat Krasnymstawie. Przedtem tenże Bielski występował wielokrotnie na moich sprawach wynikłych z licznych konfiskat, Na ogół miał szczęśliwą rękę i w ostatecznym wyniku nawet najcięższe sprawy kończyły się nieźle.

Przez jakiś czas kontaktowałem się dość blisko z Adamem Galisem. Lub-

liniak, daleki krewny, czy powinowaty Radka-Sobelsona, umiał doskonale godzić swój zakamuflowany komunizm z pracą w „Tygodniku Ilustrowanym”, posadą w radio i poparciem Kadena-Bandrowskiego. Tom wierszy *Bryły* (1933), w którym Galis wróżył zgubę „światu plugawszemu od piekła”, zapowiadał mocną indywidualność poetycką. Skończyło się na zapowiedzi.

Zwarszawizował się całkowicie przybyły ze Lwowa Tadeusz Hollender. Pisywał wówczas niezłe satyry i mocno retoryczne poezje, dużo i przeważnie dobrze przekładał z literatury ukraińskiej. Zamierzona antologia współczesnej liryki ukraińskiej pt. *Sześćdziesięciu z tej i tamtej strony Zbrucza*, już nie zdążyła ukazać się przed wojną. Hollender był chyba jedynym z młodych pisarzy nie żydowskiego pochodzenia, który stale współpracował z „Naszym Przeglądem”. Noszony na rękach przez liberalne środowisko inteligenckie, zbliżone do tego dziennika, pływał jak pączek w smalcu, a zwłaszcza bardzo sobie chwalił awanse pięknych warszawskich Sulamitek. Mało kto spodziewał się, że niepozorny chudeusz o czerwonych ciągotech wykaże tyle siły charakteru i zachowa się z taką godnością w okupowanym przez Sowiety Lwowie. W czasie wojny poezja jego, po plakatowemu powierzchowna i, jako się rzekło, retoryczna, dojrzała, pogłębiła się i zyskała na dramatycznym oddechu. Kula hitlerowska zabiła go właśnie wtedy, gdy zapowiadał najwięcej.

Komunistą w stosunkowo najłagodniejszym wydaniu był Jan Śpiewak, którego poznałem w Równem, gdy odbywałem służbę wojskową w tamtejszej podchorążówce. Przeniósł się do Warszawy na krótko przed wojną i cierpliwie dorabiał się własnego poetyckiego wyrazu. Nie spieszył się, toteż jego pierwsza książka – miał wtedy lat trzydzieści – przyniosła wiersze dojrzałe, pozbawione potknięć typowych

dla najzdolniejszych nawet debiutantów. *Wiersze stepowe* prawie nie miały akcentów społecznych, Śpiewak nie wypowiadał się też na tematy polityczne i jako krytyk literacki chętnie współpracował z prasą pravicową, np. z zachowawczym „Czasem”. Wiarę w marksizm, dość żarliwą, zachował na czysto prywatny użytek.

I on wciągnął się, jak tyłu innych w „krąg czechowiczowski”, zresztą o wiele luźniej niż przedtem mieszkańcy „wspólnego pokoju”. Gdy zacząłem prowadzić z Czechowiczem i jego grupą wspomnianą powyżej wojnę podjazdową (głównie w „Myśli Polskiej” a także w „Kurierze Porannym”), Śpiewak informował mnie co się dzieje na Narbutta i jakie są reakcje zaatakowanych.

To właśnie przez niego poznałem w jesieni 1933 uczennicę rówieńskiego gimnazjum, szesnastoletnią ówczesnie Zuzannę Ginczanę, której sądzono było zginąć osiem lat później z hitlerowskiej ręki. Sana – w Warszawie chętniej nazywano ją Giną – nie miała jednak żadnego powołania na Amazonkę rewolucji i nie poszła śladem Elżbiety Szemplińskiej czy Henryki Łazowertówny, mimo że z racji nawiązania współpracy ze „Szpilkami” nie brakowało lewicowych powiązań i znajomości. Ale Zuzanna zasługuje aby o niej napisać szerzej i osobno.

Młoda lewica nie wydała żadnego polskiego Majakowskiego ani Bertolda Brechta. Broniewski nie miał powodu obawiać się zwycięskiego rywala, który nie przychodził. Nie spełniły się nadzie-

je pokładane w czołowych żagarystach, również wyłamało po drodze kilku innych. O Szenwaldzie i Szemplińskiej już była mowa. Im bardziej konsekwentnie szli na lewo, tym większemu „zamąceniu ulegało źródło ich liryki”. Okazywało się po raz nie wiadomo który, że marksizm i poezja stanowią stadło zdecydowanie niedobre.

Nurt radykalny dawał najpiękniejsze wyniki wtedy, gdy ograniczał się do humanistycznego protestu, bez doktrynalnych uzasadnień. Stąd niezaprzeczalne pierwszeństwo Broniewskiego, który swoją popularność i wpływ zawdzięczał szczęśliwemu stopowi hasła społeczno-rewolucyjnych z odnowioną i unowocześnioną tradycją niepodległościowo-romantyczną. Słynne – „a umarłych w wieczności rozpostrzyj, jak chorągwie podarte na wicher!” – łączyło się bezpośrednio z najszlachetniejszym patosem romantyków i to on zaważył mocniej, niż konkretne postulaty walki. Ci, którzy, jak lewicowa awangarda krakowska z Ignacym Fikiem na czele, zechcą do poezji rewolucyjnej wprowadzić „rachunek i sylogizm” i odczarować uczuciowe mgiełki, nie wyjdą poza formalnie ciekawe, ale w gruncie rzeczy dość jałowe eksperymenty. „Kocham nowy plan świata” – te słowa mogły trafiać do przekonania, ale miłości w sercach na pewno nie budziły. Bo tak już zawsze było i jest, że wiersze społeczne, aby stać się poezją, muszą, przekraczając „próg sumienia”, uderzyć o niego zgiętym kolaniem. W dwudziestolecie udawało się to jedynie niewielu.

3

„Uzurpatorzy wolności”

Ktoś, kto by zadał sobie trud przejrzenia polskich czasopism literackich z końca roku 1935 i z 1936, natrafiłby na liczne artykuły i polemiki, związane z dwoma

moimi artykułami, zamieszczonymi w „Wiadomościach Literackich” w odstępie kilku miesięcy: *Smutne porachunki* i *Uzurpatorzy wolności*. Wyjaśniam w nich motywy, jakie skłoniły mnie do

Józef Łobodowski,
O Cyganach i katastrofistach (3), „Kultura”
1964, nr 10, s. 35-53.

zerwania z komunizmem. Tu trzeba cofnąć się wstecz, do lubelskiego miesięcznika „Dźwigary”, którego pierwszy numer ukazał się w październiku 1934 roku.

Była to próba bardzo ambitna, a zarazem świadomie prowokacyjna pod adresem stojącej i gnijącej topieli polskiej „myśli” lewicowej. Z odległości tylu lat nietrudno zdać sobie sprawę, jak bardzo byłem nieprzygotowany do tej roli, jaką wzięłem na siebie z optymizmem wręcz nieodpowiedzialnym. Zamiar był naprawdę szaleńczy, a jednak, gdybym się przy nim uparł dłużej narobiłbym niesamowitej kaszy. Ale i tak skandal wypadł dość imponująco.

Przeciw ortodoksji i wbrew przyjętym w środowisku obyczajom popełniłem szereg karygodnych wykroczeń. Po pierwsze pozwoliłem sobie postawić pod znakiem wątpliwości bezwzględny autorytet Związku Sowieckiego; po drugie – wyraźnie podkreśliłem, że polski ruch lewicowy nabierze siły i oryginalnych rumieńców z chwilą, gdy się usamodzielní i uzna za istotną swoją odrębność narodową, ze wszystkimi dalszymi konsekwencjami. I wreszcie po trzecie – żądałem całkowitej autonomii dla literatury i sztuki, odrzucając, a raczej dając odmienną interpretację teorii o nadbudowie kulturalnej. Wiersze Czechowicza, Miłosza, Zagórskiego i Piętaka, zamieszczone w pierwszym numerze „Dźwigarów”, a nie mające nic wspólnego z „poezją proletariacką”, stanowiły wymowną ilustrację do poglądów autora.

Gdyby wówczas istniało takie pojęcie, jak „narodowa droga do socjalizmu”, „Dźwigary” można by było chyba podciągnąć pod ten termin bez większego trudu. Urządziłem na własną rękę coś w rodzaju literackiego „października”, z tą jednak różnicą, że całkowicie na serio i bez błogosławieństwa „z góry”. Reakcja była natychmiastowa. Szenwald wystąpił w „Lewarze” z ostrą, choć po-

wstrzymywaną w słowach krytyką, zarzucając mi wprowadzanie dywersji do ruchu lewicowego. Tyle, że na razie nie pisał o brudnych intencjach, ograniczając się do sugestii ubranych dla elegancji w styl szekspirowski: „Jeżeli to szaleństwo, dlaczego w nim tyle metody?”

Szaleństwo było niewątpliwie, me-toda – również. Gdybym był bardziej powściągliwy i nie walił kłody przez pień, „Dźwigary” wychodziłyby przez czas dłuższy i niewątpliwie zrobiły swoje. Ale młoda niecierpliwość i temperament przemo-gły. Atak „Lewaru” stworzył dokoła mnie odpowiednią atmosferę. Władysław Kowalski, którego opowiadanie dała mi do numeru Bogusze-wska, wystąpił publicznie, oświadczając, że nadużyto jego zaufania (ale honorarium nie zwrócił), część członków „Przedmieścia” zażądała wydalenia mnie z grupy, jak to przedtem uczyniono z Haliną Krahelską. Były jednak i reakcje pozytywne. Zachęcający list napisał do mnie Broniewski, zgłosił akces do pisma i przysłał kilka wierszy Julian Przyboś. Lewicowe środowisko w Lublinie zachowywało się powściągliwie. Zbyt na mnie stawiali, więc postanowili przeczekać: co się też z tego wykluje...?

W drugim numerze miesięcznika odpowiedziałem gwałtownie na atak Szenwalda i wyraźniej jeszcze sprecyzowałem własne stanowisko, które sprowadzało się mniej więcej do takiego rozróżnienia: nie Komunistyczna Partia Polski, lecz Polska Partia komunistyczna. „Herezja nacjonalistyczna” została tym samym przypieczętowana. Ale nie było to jeszcze zerwanie, tym bardziej, że w gruncie rzeczy napisałem to, co niejeden myślał po kryjomu.

Dochodziły mnie jednocześnie nieprzyjemne wiadomości, z których wynikało, że cokolwiekbym w dalszych numerach napisał, i tak zostanę potępiony. Zjawiło się niedwuznaczne, powtarzane z ust do ust pytanie: – Za-czyje pieniądze wydawane są „Dźwiga-

ry”? Akurat przyjechał do Lublina Bolesław Zandberg. Wiedziałem, że mnie lubi i ufa, więc zagadnąłem wprost, co o tym sądzi. Był zakłopotany, więcej – zażenowany. „No, ja wiem, że na pismo poszło stypendium literackie i dochody z korepetycji, ale kto w to uwierzy?”. Istotnie – nie wierzone. Łatwiej było uwierzyć, że jestem agentem, a nie wariatem, wydającym ciężko zarobione pieniądze na pismo „dywersyjne”. A ja znowu nie należałem do tych, którzy nad tego rodzaju posądzeniami przechodzą do porządku dziennego.

Jak to często bywa, o dalszym ciągu zadecydował przypadek. Znałem dobrze pewnego starego komunistę, który rozpoczął swoją działalność jeszcze przed pierwszą wojną światową, w SDKPiL-u. Pracował gdzieś na wsi wołyńskiej pod Kowlem, a ze względów sentymentalnych dość często wpadał do Lublina. Z racji miejsca zamieszkania był członkiem KPZU (Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy). O taktyce partyjnej wyrażał się pogardliwie, śniła mu się akcja bezpośrednia, włącznie ze zbrojnym terrorem i ekspropriacjami. Ostrzegano mnie przed nim wielokrotnie, jako przed niebezpiecznym „lewakiem”, a kto wie, może nawet prowokatorem. Ostatni raz widziałem go w marcu 1935, właśnie w chwili, gdy ważyłem decyzję – ciągnąć „Dźwigary” dalej, czy machnąć na to ręką i zająć się osobistymi sprawami.

Mój znajomek przyjechał rozstrzęsiony. Niemal płacząc, opowiadał o tym, co działo się na Ukrainie w strasznych głodowych latach 1932-1933. „Dochodziły mnie słuchy już dwa lata temu, ale wszystko uważałem za kapitalistyczne oszczerstwo. A teraz wiem, wiem na pewno, że to prawda. Więc jak? Jak teraz żyć? Splugawili święty ołtarz rewolucji...” W dwa miesiące później popełnił samobójstwo.

Na temat rosnącego terroru w Rosji Sowieckiej nie można było nawet za-

jąknąć się. Niedawny Zjazd Pisarzy Proletariackich w Charkowie dał wiele do myślenia uważnemu obserwatorowi. Denerwował i wręcz rozśmieszał prymitywizm metod, stosowanych przez krytyków literackich, uznanych za marksistowskie autorytety.² To akurat wtedy wzięto na warsztaty postulat realizmu socjalistycznego, sprezentowany lekką ręką Maksyma Gorkiego, tuż przed śmiercią, która niejednemu wydała się podejrzana. Zastanawiałem się: jeżeli w warunkach nielegalnej konspiracji, przy nieustannym, wewnątrzno-partyjnym żarciu się i wzajemnym wyklanianiu różnych frakcji i frakcyjek, istnieje sztywna cenzura wypowiedzi, jakże to będzie wyglądało, gdy ci sami surowi doktrynerzy uchwycą w ręce władzę, a wraz z nią możliwość sankcji?

Powodów było aż nadto, by na serio zrewidować swój stosunek do „proletariackiego” obozu. „Dźwigary” na razie zawiesiłem, powoli zbierając materiały dla ewentualnego wznowienia. Mając teraz nieco więcej wolnego czasu, zacząłem przygotowywać do druku przekłady z rosyjskiego (Lermontow, Błok, Jesienin, Majakowski), oraz tom poetycki *Rozmowa z ojczyzną*, który, po wyparciu się przeze mnie licznych i zbyt pośpiesznie wydawanych juveniliów z lat wcześniejszych, miał stać się moim prawdziwym debiutem.

A więc w maju dowiedziałem się o samobójstwie znajomego z Kowelszczyzny. Zdarza się niekiedy, że samotnego, nocnego wędrowca dopadnie w czystym polu gwałtowna burza. Czarne zwaliska chmur, nie ma księżycy ani gwiazd, ciemność absolutna, idący na przełaj stracił orientację w terenie. Nikłe wybuchy dalekich błyskawic są nadto krótkotrwałe, by tę utraconą orientację odzyskać. Aż nagle oślepiające światło rozedrze niebo od horyzontu do horyzontu, zaleje niebo potokiem jasności, wyrwie z mroku okoliczny las i wzgórze, pola i domy wsi, niemal na wyciągnięcie

² Jaskrawym przykładem tego prymitywizmu – więcej: prostactwa! – niech posłuży komentarz do jednego z najświetniejszych wierszy Tuwima o tygrysie skradającym się w ciemnościach samotnego pokoju *Stąd nie widać, oczywiście, tu nie słychać naturalnie...*. Czy istnieje lek metafizyczny? Mroczne przeczucia, nie mające nazwy w ludzkim języku? Sowiecki krytyk, wlepiwszy ślepią w marksistowską kość, nie dostrzegł, oczywiście, prawdziwego sensu wiersza, za to odkrył w nim symbolikę polityczną: ów tygrys to faszyzm, którego nadzieje przeczuwa poeta, zaś owe „w uszach wata, cztery kąty i ja piąty i papirus i herbata” – to znowu symbole drobnomieszczańskiej ślepoty politycznej! Typowa reakcja szewca przed obrazem Apellesa.

dłoni, i już wiadomo, gdzie droga i jak na nią trafić. Taką błyskawicą stała się dla mnie owa tragiczna śmierć przypadkowego bądź co bądź człowieka.

Więc tak. A inne samobójstwa? Więc może to prawda, że Sierioży Jesieninowi nie tylko sama wódka zarzuciła stryczek na szyję? Więc może Majakowskiemu nie tylko jedna odmowa powrotu ukochanej kobiety włożyła nagan do ręki? A co z Mykołą Chwylowym? Ten nie był alkoholikiem i żadna piękna Lili nie pogmatwała mu życiowych ścieżek. Podobno Immanuel Kant lękał się snów, bo go wytrącały z uporządkowanego raz na zawsze trybu. Szermierze jedynej idei, zapatrzeni w nią jak cielę w malowane wrota, powinni lękać się i wystrzegać jak ognia podejrzliwych myśli, nawiedzających w samotne noce, a jeszcze bardziej widziadeł ludzi umarłych, ofiarowujących im swoje zagadki do rozwiązania.

Nie chcę niczego upiększać, więc wypada dodać, że na decyzji odejścia zaważyły również motywy mniej urodziwe. Miałem 25 lat. Cztery najlepsze lata młodości oddałem temu, cośmy – zapewne za patetycznie – nazywali „polską rewolucją”. Konfiskaty, rewizje, areszty, więzienie, relegacje, wyroki... A jednocześnie prawie wszystkie zarobione pieniądze wpychane w druki i deficytowe wydawnictwa, „sowieckiemu psu pod ogon”, jak brutalnie w czasie jakiegoś pijaństwa wyraził się Bronek Michalski. Gdy coraz częściej zaczęły przychodzić chwile zwątpienia, wszystkie uroki młodości osaczały i wzywały ku sobie. A gdyby tak za forszę, przygotowana na następny numer czasopisma, kupić sobie nowe ubranie, odnowić znajomość ze starą sztubacką sympatią i zaprosić ją na kolację do „Europy”, nie iść do Kazimierza nad Wisłą na piechotę, lecz pojechać wynajętą taksówką, urządzić starej matce święta wielkanocne, na jakie sama zdobyć się nie mogła, zjawić się nagle na zabawie w Kasynie Oficerskim i wywołać sensację smo-

kingiem, którego przedtem nigdy się nie miało?

Mieszczkańskie ciążoty, prawda? Wylazła burżujska mentalność spod czerwonego lakieru? A wy co? Może naśladujecie Judymów? Zrezygnował który z Joasi? Przypomniała się uwaga zacnej poetki lubelskiej, Franciszki Arnsztajnowej: „Bo u nas to już taki zwyczaj, że podłogi szoruje się jedwabnymi chusteczkami”. A jeszcze do tego posądzacie z za węgla, że tę jedwabną chusteczkę wyciągnięto z policyjnej kieszeni?! Tak?! No, to ja wam teraz pokażę!

Powoli, przez resztę zimy i wiosnę 1935 roku dojrzewała ostateczna decyzja. W międzyczasie przyszedł list od Grydzewskiego, zawiadamiający o wznowieniu „Skamandra”, z zaproszeniem do współpracy. Pierwszy numer był zakrojony w intencji redaktora reprezentacyjnie: otwierały go nazwiska Staffa i Leśmiana, potem szli czołowi skamandryci, K. W. Zawodziński gromił krakowską awangardę w zasadniczej rozprawie, *Wehikuł bez kół*; w drugim szeregu szli młodzi. Wznowienie pisma odbyło się w atmosferze pewnej sensacji. Nie brakowało takich, co twierdzili, że młodzież wypadła o wiele lepiej od starszych.

Gdy w parę dni po wyjściu tego numeru wpadłem do Warszawy, spotkałem w „Ziemiańskiej” Tuwima i Broniewskiego. Zastanawiali się, przerzucając kartki egzemplarza leżącego na stoliku, komu dać pierwszeństwo. Broniewski bez zastrzeżeń głosował za moim *Powrotem Alaina Gerbaulta*; Tuwim długo wahał się, wreszcie wybrał *Bramy arsenału* Czesława Miłosza. Niewątpliwie, był to duży sukces nowych roczników poetyckich.

O świeżo wydanej *Rozmowie z ojczyzną* Stefan Napierski (Marek Eiger) napisał w formie dialogu ni to esej ni to recenzję, w krakowskim „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym”. Były w niej pewne sformułowania, które posłużyły

mi jako punkt zaczepienia do napisania artykułu *Smutne porachunki*, również w formie dialogu, toczącego się między „poetą” i „przyjacielem”. Pozornie chodziło o polemikę z Napierskim, w istocie, o frontowy atak na polskich komunistów i ich sprzymierzeńców rozlicznej maści i autoramentu.

Smutne porachunki ukazały się na pierwszej stronie „Wiadomości Literackich”, co było, jak zaraz zobaczymy, okolicznością obciążającą, i wywołały skandal, jakiego nie słyszano od dawna. Pierwsza ruszyła do ataku Wanda Wasilewska, zaraz po niej odezwał się „Lewar”, znowu niezawodnym piórem Szenwalda, chociaż bez podpisu. Wasilewska nawymyślała mi ile włązło: zwroty „plugawiec”, „sparszywił”, „obrzydzenie” szły w zawody z określeniami w rodzaju – „pluje na swoją przeszłość”, „szuka pieniędzy i powodzenia” itd. Nie obeszło się bez dramatycznego rozdarcia szat, ponieważ „Wiadomości Literackie” nie wahały się umieścić mego artykułu akurat w tygodniu, „kiedy w pismach pojawiła się krótka notatka o tym, że Alfred Lampe za przynależność do partii komunistycznej został skazany na piętnaście lat więzienia”.

Dla każdego, logicznie myślącego czytelnika stało się jasne, że autorka tej diatryby albo sama należy do KPP, albo posiada intymne z nią powiązania. Ale naiwność polskiej lewicy i lewicujących liberałów była w Polsce przedwojennej bezgraniczna. Wasilewska aż do końca chodziła w glorii sztandarowej socjalistki. Redaktorzy „Robotnika” nie mieli co do tego najmniejszej wątpliwości. Zresztą, co tu gadać... Po wojnie, w prasie emigracyjnej także nie brakowało głosów, utrzymujących, że nawet bezpośrednio po wrześniu Wasilewska nie należała do partii. Widocznie wstąpiła do niej dopiero po wyjściu za mąż za Kornijczuka i włożeniu berlingowskiego munduru.

Wesołe, wielce wesołe wspomnienia! W obronie Alfreda Lampego naczelny

organ PPS-u drukował płomienne wezwania Wasilewskiej. Ta sama Wasilewska nie odezwała się ani słowem, gdy współtowarzysze i następcy Lampego skazywali na więzienie jednego z najszlachetniejszych polskich socjalistów Kazimierza Pużaka. Tak oto bezlitosny czas sam wprowadził najlepszą korektę do tamtych zapomnianych polemik sprzed trzydziestu lat.

A znowu wileńskie „Po Prostu” miało specjalne powody do złego humoru. Za ledwie na parę tygodni przed ukazaniem się *Smutnych porachunków* Henryk Dembiński w bardzo przyjaznym liście prosił mnie o współpracę; najwidoczniej sprawa „Dźwigarów” go nie zraziła. Putrament napisał w „Pół wieku”, że po *Smutnych porachunkach* przestałem istnieć dla młodych pisarzy lewicowych, zwłaszcza w środowisku wileńskim. No, nie bardzo. Szarpano mnie przecież w „Po Prostu” i w innych pismach przy każdej okazji. Ataki wzmożyły się w roku następnym, gdy ogłosiłem – także w „Wiadomościach Literackich” – obszernie rozwinięcie i uzasadnienie mego stanowiska pt. *Uzurpatorzy wolności*. Wspomniany już parokrotnie Bolesław Zandberg (Piach) powiedział mi w chwili szczerości – bo mimo wszystko nasze osobiste stosunki nie urwały się, ani uległy pogorszeniu – że moje odejście mocno zaszkodziło montowaniu Wspólnego Frontu Pisarzy, kierowanego przez komunistów. Bądźmy skromni. Może przesadzał, w każdym razie trzask tego kija, wstawionego między komunistyczne szprychy rozległ się donośnie i napsuł wiele krwi.

Zandberg ubolewał, ale nie czynił mi zarzutów natury moralnej. Za to „Lewar” użył sobie na całego, przedstawiając mnie jako dywersanta i agenta.

Łobodowski – pisał Szenwald – podawał sfalszowany, idealistyczny preparat marksizmu i, przeciwstawiając go marksizmowi autentycznemu, zatruwając pięknobrzmiące hasła jadłem interwen-

cjonistycznego nacjonalizmu usiłował wnieść w szeregi radykalizujących pisarzy zamęt ideologiczny, próbował zdobyć ich dla faszyzmu.

I nieco dalej:

Masy robotnicze, chłopskie, pisarze, którzy służenie tym masom poczytują sobie za najwyższy zaszczyt i obowiązek, widzą w Łobodowskim kogoś, kto od początku stał po reakcyjnej stronie barykady, kogoś, kto zawsze był tylko nacjonalistycznym agentem na usługach faszyzmu... Łobodowski puścił farbę. Poczytujemy to sobie za zasługę, że zmusiliśmy go do gadania w sposób tak otwarty...

Wiedzano jednak o licznych procesach i wyrokach, więc trzeba to było jakoś załatwić. Szenwald dał sobie radę w bardzo nieskomplikowany sposób: po prostu napisał, że „coś tam było... przygodne areszty, przeważnie za burdy pijackie...”

Wspominając te sprawy, Wacław Mrozowski kwituje moje odejście w następujących słowach:

Dla nas postępowanie (Łobodowskiego) było jasne. Po prostu chęć polepszenia spraw materialnych. Marksistą prawdopodobnie nigdy nie był. Wystartował pod jego firmą, aby zdobyć rozgłos bezsilnego cierpiennika za ideę, a potem ten rozgłos zdyskontował niemoralnym skandalem i kompromitacją.

Książka Mrozowskiego ukazała się przeszło ćwierć wieku po opisywanych wydarzeniach. Któż je pamięta? Zapewne, nie brakuje, co najmniej w Lublinie, osób, które dobrze je znają. Ot, choćby Konrad Bielski, który cztery razy występował jako obrońca w moich procesach. Tylko, że siły nierówne. Paszkwil ex-waleta z ulicy Dobrej został wydany ze smakiem przez towarzysza Romana Rosiaka. A gdzie w kraju szukać redaktora, który by zamieścił sprostowanie wszystkich kłamstw i kalumnii? Może tenże Rosiak? Więc dla porządku i z myślą o dniu, w którym „żelazne prawa hi-

storii” pójdą na złom, kilka konkretnych informacji.

W ciągu jednego tylko roku 1932 byłem konfiskowany dziesięciokrotnie. Oto lista tych konfiskat:

- tom wierszy *O czerwonej krwi*
- wiersz *Do prokuratora*
- drukowany w miesięczniku „Trybuna”
- zbiór wierszy *W przeddzień*
- artykuły w „Kurjerze Lubelskim” (pięć razy)
- drugi numer „Barykad” (za dwa artykuły)
- trzeci numer (w całości).³

Prawie wszystkie konfiskaty spowodowały procesy, jedynie konfiskatę zbioru *W przeddzień* sąd uchylił. W pierwszym procesie, w styczniu 1933 Sąd Okręgowy skazał mnie na dwa i pół lata więzienia z zawieszeniem na trzy lata; w apelacji obniżono mi wymiar do dwóch lat, ale jednocześnie, uwzględniając odwołanie prokuratora, zniesiono zawieszenie. Sprawa poszła do kasacji. W międzyczasie dostałem jeszcze jeden wyrok: sześć miesięcy darowane na mocy amnestii. Odpowiadałem z wolnej stopy za kaucją.

Rozprawa przed Sądem Najwyższym okazała się decydująca. Bronił mnie Emil Breiter, znany krytyk literacki, zamordowany podczas okupacji przez Niemców. Po krótkiej naradzie sąd skasował wyrok, przekazując sprawę do ponownego rozpatrzenia apelacji warszawskiej, z motywacją, że atmosfera, jak wytworzyła się dokoła mnie w Lublinie, nie daje gwarancji sprawiedliwego wyroku.

Łatwo sobie wyobrazić, co się działo w lubelskiej palestrze. Wyrok kasacyjny stał się przysłowionym jasnym gromem z nieba. Nie sam fakt skasowania orzeczenia apelacji lubelskiej, lecz przekazanie apelacji warszawskiej, a nade wszystko druzgocąca motywacja zrobiła ogromne wrażenie. Na jesieni przypadało parę innych spraw, znacznie gorszych od pierwszej. Ale sędownicy grodu trybunalskiego byli już tak wystraszeni,

³ Wypunktowanie: redakcja „Scriptores”.

że wprawdzie wyroki zapadły skazujące, ale wszystkie mi zawieszono. Przed upływem roku miałem konto „kryminalne” niemal całkowicie oczyszczone. Na rozprawy przyjeżdżałem do Lublina z rówieńskiej podchorążówki i dla dodatkowej sensacji zasiadałem na ławie oskarżonych w mundurze. Dopiero po kilku miesiącach wpłatałem się w konflikt z wojskowym kodeksem karnym. Uwięziono mnie i wytoczono proces, który zapowiadał się bardzo nieprzyjemnie. Ponieważ jednak w międzyczasie skończył się mój stosunek do służby wojskowej, sprawę przekazano Sądowi Okręgowemu w Łucku, a mnie wypuszczono na wolność. To zresztą osobny temat, o którym wypadnie wspomnieć w dalszym ciągu.

Bilans tych przeszło dwóch lat wyglądał dość okazale. Dziesięć konfiskat, osiem procesów, jeden areszt zakończony zwolnieniem za kaucją, blisko miesięczny pobyt w więzieniu wojskowym. To były owe „burdy pijackie” według oceny „Le-wara”. Mrozowski w „Cyganerii” pominął procesy milczeniem, chociaż przebywając podówczas w niedalekim Chełmie, wiedział o nich doskonale.

To zrozumiałe. Gdyby uczciwie opisał jak się wszystko działo od początku, czytelnik ujrzałby moją działalność ustawioną w zupełnie innej perspektywie. Mój portret wypadłby wtedy Mrozowskiemu niezgodnie z zamówieniem. Bo jeżeli rzeczywiście miałem od początku chytry plan, obliczony na rozgłos i korzyści materialne, to czy nie dałoby się ich osiągnąć nieco tańszym kosztem?

Dla większego efektu komunisty lubelscy przygotowali na zakończenie bardzo miłą niespodziankę. Już od wiosny 1936 roku zaczęły krążyć pogłoski, rozsiewane z uporczywą konsekwencją, że to ja sygnąłem swego czasu profesora Mejersona, odgrywając w jego sprawie rolę prowokatorską. Samuel Mejerson, były dyrektor gimnazjum żydowskiego w Grodnie, w końcu lat dwudziestych

przeniósł się do Lublina i zamieszkał w domu swego szwagra, dość wziętego adwokata. Prowadził żywą działalność partyjną i był inwigilowany od dawna. Często go widywałem, korzystając z bogatej biblioteki profesora.

Wiedział dobrze, że go śledzą, ale był bardzo nieostrożny i wpadł w najbardziej dziecinny sposób, jaki można sobie wyobrazić. Wielki proces, w którym Mejerson był głównym oskarżonym, toczył się przez kilka dni; bronili znani adwokaci warszawscy, z Duraczem i Berensonem na czele. Śledztwo dostarczyło jednak niezbitych dowodów i Mejerson dostał osiem lat więzienia. Dokładnej daty procesu nie pamiętam, w każdym razie było to w lecie 1933 roku, bodajże w lipcu, a najpóźniej w sierpniu.

Ani wtedy, ani w ciągu dwóch lat następnych nie spotkałem się z żadnym oskarżeniem, czy choćby cieniem posądzenia. Czuli „przyjaciele” wpadli na ten pomysł dopiero po upływie trzydziestu kilku miesięcy, już po moim zerwaniu z komunistami. Tak zawsze było i tak pozostało po dziś dzień. Gdy ktoś odchodzi od komunizmu, natychmiast staje się szpiclem i prowokatorem. Względy ideowe i moralne nie mają prawa wchodzić w grę.

Legenda męczeńska

Również pewne sukcesy literackie, odniesione w owym okresie, przypisano memu „odstępstwu”. „Ukoronowaniem działalności Łobodowskiego – napisał Mrozowski po latach

— było przyznanie mu przez Polską Akademię Literatury Nagrody Młodych za tom *Demonom nocy*”. Ma to znaczyć, że dla osobistej kariery i zysków finansowych odszedłem od komunizmu i w kalkulacji nie pomyliłem się, bo zaraz dostałem nagrodę Akademii. Godzi się przypomnieć, że po raz pierwszy zgłoszono mnie do Nagrody Młodych o rok wcześniej, w styczniu 1936, a więc już po ogłoszeniu *Smutnych porachunków*.

Mimo to przepadłem na rzecz Światopółka Karpińskiego.

Mojej kandydatury bronili najmocniej Kaden-Bandrowski, Irzykowski, Nałkowska i Rzymowski; przeciwstawiali się Szaniawski, Kleiner, Berent, Zieliński. Zestawienie tych nazwisk mówi samo za siebie. Konserwatyści byli przeciw i ostatecznie położyli kandydaturę, popieraną przez pisarzy bardziej zbliżonych do lewicy. Nagrodę w roku następnym otrzymałem po prostu dlatego, że zmienił się skład osobowy: do Akademii weszli w międzyczasie Wierzyński i Goetel. Zresztą główny kontrkandydat z roku 1937 Tadeusz Breza nie mógł się utrzymać ze względu na nazbyt, powiedzmy – „gide'owską”, czy też „corydonową” tendencję jego *Adama Grywałda*.

Najlepsze recenzje z tomu *Rozmowa z ojczyzną* wydano na wiosnę 1935 miałem przed publicznym aktem „odstępstwa”, gdy nikt jeszcze o powzięcie takiej decyzji mnie nie podejrzewał. Sebyła w „Pionie” uznał *Rozmowę* za najlepszą książkę poetycką roku, pochlebnie pisał Zawodziński w „Wiadomościach” i inni. Krytyka literacka w Polsce przedwojennej powodowała na ogół sprawdzianami artystycznymi i politycznej „taryfy ulgowej” nie stosowała.

Trzeba jednak w ogóle zakwestionować tezę, według której odejście od skrajnej lewicy z miejsca decydowało o karierze. Powstała cała legenda „męczeńska” o pisarzach lewicowych, gorliwie podtrzymywana w Polsce dzisiaj, a niekiedy, jak przy okazji śmierci Broniewskiego, i na emigracji. Legenda o straszliwym terrorze sanacyjnym, prześladowającym pisarzy lewicowych. Konfiskaty, procesy, szykany, więzienia... a w konsekwencji nędza, głód, męczeństwo.

Rzeczywistość nie wyglądała tak groźnie. Jeżeli ten i ów łądował w więzieniu z wyroku, to za udowodnione należenie do legalnej Partii Komunistycznej, a nie

za wyczyny pisarskie. Na nie było rady. Ale i tak w wielu wypadkach udawało się zagrożonych ratować. Wieniawa rozbijał się o Broniewskiego, Wandurski i Stande mogli wyjechać zagranicę dzięki wstawiennictwu i doraźnej pomocy Związku Pisarzy, Leona Pasternaka wyciągnęła z Berezy Maria Dąbrowska. Że niejeden lewicowiec klepał biedę? Zgoda, ale również żyło w niedostatku wielu literatów dalekich od wszelkiego radykalizmu.

Mógłbym podać długi spis komunistów, którym doskonale powodziło się na różnych ciepłych [posadkach] i synekurkach. Wspomniałem uprzednio o Emilu Breiterze, który prowadził moją sprawę kasacyjną w Sądzie Najwyższym. Przypominam sobie dobrze, że gdy Breiter dowiedział się, iż przewodniczy Leon Supiński, zataił ręce z radością i powiedział: „Sprawa wygrana! Supiński jej nie puści.” Otóż w rok później, już po likwidacji najgrubszych awantur, tenże Breiter, dowiedziawszy się, że jestem w Warszawie, zaprosił mnie do siebie i zagadnął, czy przyjąłbym stypendium z ministerstwa. Na mój negatywny gest uśmiechnął się ironicznie: „Niechże pan nie będzie taki nieprzejednany. Nie warto!” Wysunął szufladę, wyjął arkusz zadrukowany maszynowym pismem: „Może pan rzuci okiem” – zaproponował kpiącym tonem. Rzuciłem okiem i zdębiałem. Wśród kilkudziesięciu nazwisk stypendystów znalazłem niemal *in corpore* późniejszych redaktorów i współpracowników „Lewara”, z Elżbietą Szemplińską na czele. Taki to był ten sanacyjny terror w stosunku do lewicowych pisarzy!

W Polsce międzywojnia nie brakowało lewicowego snobizmu, który może najsilniej przejawiał się na terenie literacko-artystycznym. Tradycyjnie liberalny, wcale liczny odłam inteligencji brzydził się wszelką prawicowością, widząc w niej nietolerancyjną reakcję, natomiast do przerostów lewicowych

ustosunkowywał się z przyjaznym po-
błażaniem. Młodemu, początkujące-
mu pisarzowi po prostu nie wypadało
nie być radykałem. Chyba, że jawnie
i zdecydowanie palił mosty, stając pod
sztandarem narodowym, jak to uczynił
Gałczyński, idąc do Stanisława Piase-
ckiego. Co prawda „zielony Konstanty”
miał już wtedy mocną pozycję litera-
cką, a zresztą jego groźnych zapowiedzi
„nocy długich noży” prawie nikt nie brał
poważnie.

Jeden Nowaczyński mógł sobie po-
zwolić na pisanie prawą ręką w „Myśli
Narodowej”, a lewą – w żydowsko-ma-
sońskich „Wiadomościach Literackich”,
ale co wolno było wojewodzie pamfle-
tu, nie uchodziło zwykłym „smrodom”,
ledwie zaczynającym wybić się na
powierzchnię. Lewicowość była w li-
teraturze owych lat glejtem i niejako
świadcstwem dobrego prowadzenia.
Kto odchodził, i do tego z trzaskiem,
w atmosferze skandalu, musiał liczyć się
z tym, że jeśli tu i ówdzie znajdzie jaw-
nych przyjaciół, narobi sobie znacznie
więcej ukrytych wrogów.

Wkrótce po moich głośnych arty-
kułach, zrywających z komunizmem,
młody, ruchliwy lwowianin, Andrzej
Kruczkowski (nie mylić z Leonem!), na-
pisał do „Wiadomości Literackich” arty-
kuł pt. *Casus Łobodowski*. Wywołał nie
byle jakie zgorszenie twierdzeniem, iż
gwałtowne zerwanie z lewicą „wymaga-
ło odwagi”. Była w tym sformułowaniu
pewna racja, jak zresztą rychło miałem
się przekonać na własnej skórze.

Wśród wielu polskich siucht istniała
także siuchta lewicowa, przejawiająca
się w sposób nieraz najbardziej niespo-
dziewany. Może ktoś lepiej zorientowa-
ny ode mnie, napisze przy jakiejś okazji
o działalności Koła Polonistów na Uni-
wersytecie Warszawskim, wcale sprawnie
inspirowanym przez komunistów.
Na przykład, towarzysz profesor Stefan
Żółkiewski mógłby sporo na ten temat
opowiedzieć, gdyby zechciał. Takich in-

spiracji było więcej i na pewnych odcin-
kach miały one wpływ poważny, nieraz
decydujący.

Powyższe uwagi mogą wzbudzić nie-
dowierzanie. Jak to? Przecież wszyst-
ko szło w ostatnich przedwojennych
latach „na prawo”. Ozonowa sanacja
kokietowała młodą endecję w radykal-
nym wydaniu; Rydz-Śmigły zjawiał się
na korporanckich komerszach; Adama
Doboszyńskiego sąd potraktował wyjąt-
kowo łagodnie za „zajazd myślenicki”;
Jerzy Pietrkiewicz został redaktorem li-
terackim „Polski Zbrojnej”; pod preteks-
tem walki z komunistyczną infiltracją
usiłowano opanować Związek Nauczy-
cielstwa Polskiego, i tak dalej i tak dalej.

Co innego jednak oficjalna po-
wierzchnia, a co innego powszednie ży-
cie, uzależnione od tysiąca osobistych
i zawodowych powiązań, gdzie noga
nogę wspiera i ręka rękę myje. W co-
dziennych stosunkach literackich klucze
do otwierania większości drzwi pozo-
stawały nadal pod kontrolą liberałów
i lewicowców. Jak zazwyczaj w Polsce,
system ten szwankował, był anarchicz-
ny, ale istniał i dawał o sobie znać czę-
sto w najbardziej zaskakujący sposób.
Umiejętnie stosowana plotka stanowiła
jeden z chwytów ulubionych, choć nie
jedynych.

W lutym 1937, już po Nagrodzie Mło-
dych, otrzymałem zaproszenie na obiad
w znanym klubie przy ulicy Pierackiego.
Gospodarzem był pułkownik Koc, star-
sze pokolenie literackie reprezentowali
Goetel i Wierzyński, młodsze – wspo-
mniany już Andrzej Kruczkowski i ja;
poza tym przyszedł architekt Bohdan
Pniewski, malarz Rafał Małczewski, ak-
tor Stefan Jaracz. Były jeszcze dwie albo
trzy osoby, z których zapamiętałem wi-
ce-ministra Spraw Wewnętrznych Pa-
ciorkowskiego. Przy dobrym jedzeniu
i jeszcze lepszych wódkach toczyła się
nieprzymuszona, swobodna i nieobo-
wiązująca rozmowa, która pod koniec
skręciła na tematy ideowo-polityczne.

Jak się zdaje, Kocowi zależało na orientowaniu się w opiniach tego dość kapryśnie dobranego towarzystwa. Gdy nazajutrz ktoś zapytał Jaracza, jakie kwestie były przy obiedzie roztrząsane, ten rozłożył szerokie dłonie i odpowiedział zachrypniętym głosem: „Z punktu widzenia aktorskiego żadnej kwestii nie było”.

Po tygodniu nawet do Lublina zdążyła dotrzeć wiadomość, że wstąpiłem do Ozonu i zostałem mianowany przez Koca członkiem komisji do spraw literackich, z pensją miesięczną, według jednych – pięćsetzłotową, według drugich – dochodzącą do tysiąca. Na zaprzeczenie reagowano sarkastycznym chichotem. Gdy w jesieni tegoż roku przyjąłem propozycję wojewody Józewskiego i pojechałem do Łucka redagować tygodnik „Wołyń”, rozległy się głosy triumfu: „A nie mówiliśmy! Robi na całego sanacyjną karierę”. To że Józewski był wówczas celem skoncentrowanych ataków, w czym brylowały czynniki wojskowe, że jechałem na placówkę z góry straconą, której upadek był tylko kwestią czasu, nikogo nie obchodziło.

W końcu stycznia 1940 roku, w emigracyjnym Paryżu, miałem dłuższą rozmowę z profesorem Stanisławem Kotem, świeżo upieczonym ministrem w rządzie Sikorskiego: „Pan był ściśle związany z sanacją”. „Na czym pan profesor to opiera?” – „No, jakże! Taka była w demokratycznych kołach powszechna o panu opinia. Bywał pan na obiadach u Koca, współpracował z Józewskim...”

Ale wróćmy do legendy. Na liście „męczenników wolności” znalazły się na honorowym miejscu Wanda Wasilewska i Janina Broniewska, rozwiedziona żona poety. Było to w roku 1937. Chodzi o aferę „Płomyka”, o słynną sprawę sądową, wytoczoną krakowskiemu „IKC-owi” przez Zarząd Związku Nauczycielstwa Polskiego i wreszcie o strajk okupacyjny w lokalu Wydziału Wydawniczego Związku, zorganizowany przez wymie-

nione panie. Wiele pisano na temat tych wydarzeń, przeważnie niedokładnie i tendencyjnie; Wacław Mrozowski w *Cyganerii* poświęca im bitych siedemnaście stron.

Z wydawnictwami Związku współpracowało wielu pisarzy, nic więc dziwnego, że cała afera wywołała żywe poruszenie także w środowisku literackim. W telegraficznym skrócie wypadki rozwinęły się następująco. W marcu 1936 roku ukazał się numer „Płomyka”, pisma przeznaczonego dla starszych dzieci, poświęcony w całości Sowietom. Wybuchła prawdziwa burza, szereg pism, z IKC-em na czele, rozpoczął wielką kampanię przeciw Związkowi, oskarżając go o propagandę pro-bolszewicką. Zarząd energicznie bronił się na łamach „Głosu Nauczycielskiego”, a gdy kampania nie ustawała, przeciwnie rozszerzała się, zaskarżył redakcję IKC-a przed sądem o oszczerstwo. Proces zapowiadał się sensacyjnie, a skończył się całkowitą porażką Zarządu: sąd uniewinnił oskarżonych, przyznając tym samym rację ich zarzutom.

Niekorzystny wynik procesu pociągnął natychmiastowe skutki. Przewodniczący Wydziału Wydawniczego i redaktor „Płomyka” Stanisław Machowski musiał ustąpić, zaszło sporo innych zmian personalnych, zaś po kilku miesiącach, rzekomo za jakiś niedokładności gospodarki finansowej, Związek otrzymał kuratora w osobie śląskiego nauczyciela i działacza, Pawła Musiała. To właśnie wtedy zaczął się ów strajk okupacyjny, zakończony usunięciem Wasilewskiej i Broniewskiej z wydawnictw Związku.

Gdy po dwudziestu ośmiu latach odświeżam w pamięci szczegóły tej afery, którą śledziłem z bliska, zdaję sobie dokładnie sprawę, że sowiecki numer „Płomyka” należy wyodrębnić, potraktować go osobno, nie mieszając z generalnym atakiem na Związek Nauczycielstwa, idącym jednocześnie z kilku stron. Bo

„Płomyk” był tylko pretekstem i to bardzo zręcznie wybranym.

Nie ulega wątpliwości, że rząd ówczesny chciał położyć rękę na Związku i szukał dogodnej okazji. Nauczycielstwo w swojej masie dalekie było od pewnych tendencji, ożywiających koła rządowe. Komuniści zawsze twierdzą, że Polska przedwojenna szła szybkim krokiem ku faszyzacji. Faszyzacja to przesada, ale niewątpliwie zwolennicy trzymywania „za mordę” coraz częściej dochodzili do głosu.

ZNP cieszył się opinią organizacji potężnej i z natury rzeczy posiadającej duże wpływy w społeczeństwie. Przeciwny nauczyciel szkoły średniej był liberałem. Nauczyciele szkół powszechnych wywodzili się głównie ze wsi, więc ich związki z ruchem ludowym w najróżniejszych postaciach były oczywiste. Nie brakowało zdecydowanych radykałów. Zdarzali się komuniści, ale wersja mówiąca o skomunizowaniu szerokich rzesz nauczycielskich w najmniejszym nawet stopniu nie odpowiadała rzeczywistości. Stanowiła chwyt demagogiczny i nieuczciwy.

Zdarzało się przecież, że tu i ówdzie, ten i ów nauczyciel uwikłał się w kontakty komunistyczne. Sporo hałasu narobił wielki proces lubelski, w którym rola głównej bohaterki przypadła córce miejscowego kuratora szkolnego Lewickiego. Młoda Lewicka nie była nauczycielką, jej ojciec nie miał nic wspólnego z robotą nielegalną, ale od czego „dobra wola” dziennikarzy pewnego pokroju. Ciesząc się błogosławieństwem z góry, propaganda antynauczycielska starała się odpowiednio urabiać opinię publiczną.

Jak powiedziałem, zakwestionowany numer „Płomyka” stanowił dogodny pretekst. Zarząd Związku popełnił zasadniczy błąd, usiłując bronić także i tej pozycji, straconej od początku. Bo „obiektywna wymowa” tego numeru – że użyję typowo marksistowskiego zwrotu – była prosowiecka i prokomunistyczna.

Pod pozorem informowania o dzieciach sowieckich, w swoisty sposób dobrane teksty stwarzały niemal idealny obraz życia w Rosji. Weźmy jako przykład wiersz niemłodego już wówczas poety Stanisława Maykowskiego o amerykańskich traktorach. Nikt uczciwy nie posądzał Maykowskiego o prokominizm; o naiwność polityczną posądzić go było wcale nie trudno.

Uczeń polski czytał i dowiadywał się, że w Sowietach bywało ciężko, nie zawsze zdarzał się urodzaj, nieraz do wsi zaglądał głód, ale teraz przybyły traktory i wszystko natychmiast zmieniło się na lepsze. Ze zdjęć, ilustrujących numer, patrzyły roześmiane twarzyczki sytych, schludnie ubranych dzieci, komentarze informowały, jak bardzo władza sowiecka dba o szkoły, o wysoki poziom nauki, a zwłaszcza o rozbudzenie zainteresowań artystycznych. Poza tym numer kładł duży nacisk na rzekomo swobodną rozbudowę życia narodowego w republikach nierosyjskich. Jako całość stanowił ponad wszelką wątpliwość propagandę prosowiecką.

Rozmawiałem w owym czasie z młodą nauczycielką z Wołynia, pracującą we wsi dość silnie skomunizowanej. Chodziło o swoisty, tak zwany „nacjał-kominizm” rozwijający się pod [hasłem]: „Haj żywe wilna Ukraina pid rukoju bat’ki Stalina!”. „Proszę pana, ja dzieciom opowiadam, że w Sowietach nędza, terror i prześladowanie mniejszości narodowych, a tu przychodzi taki numer! Jak ja teraz wyglądam?!”

Zarząd mógł i miał prawo odciąć się od numeru i rzucić z siebie odpowiedzialność. Wystarczyło oświadczyć, że winę ponosi parę osób z Wydziału wydawniczego i wyciągnąć wobec ich konsekwencje. Takie posunięcie pomieszałoby szyki atakującym. Ale prezes ZNP Kolanko wziął na kiel i postanowił bronić się na całym froncie, żyrując bez zastrzeżeń dotychczasową politykę wydawniczą. Toteż wyniki były opłakane.

Kto redagował ów nieszczęsny sowiecki numer? Formalnie – Machowski. Nieformalnie – maczała w nim ręce Wasilewska. Była ona typową wtyczką partyjną i co do jej roli nie połączono się ani wtedy, ani później, chociaż Wasilewska zachowywała się niekiedy bardzo nieostrożnie. Wystąpiła jako świadek obrony w głośnym procesie wileńskim grupy „Po Prostu”. W pewnej chwili wypłynęła sprawa różnych kwot wpłacanych na fundusz wydawniczy tego pisma. Wasilewska nie bardzo pamiętała, ile tego było i w jakim czasie. Gdyby prokurator zorientował się i przycisnął świadka, wyszłoby na jaw, że sumy były o wiele za duże, jak na możliwości publicystki, zarabiającej piórem. Oczywiście, chodziło o pieniądze z MOPR-u, przekazywane „Po Prostu” za pośrednictwem Wasilewskiej.⁴

Legenda „męczeńska” sprawiła, że na tle afery ZNP Wasilewska zyskała sobie sławę „niezlomnej bojowniczką o wolność” i ofiary sanacyjnego terroru. Zaś narzucony Związkowi kurator, ów myślowicki nauczyciel, Paweł Musiał, na domiar złego mający koneksje z ONR-em, stał się symbolem czarnej reakcji, administracyjnego zamordyzmu i faszyzujących prohitlerowskich tendencji. Co prawda, Musiał źle się czuł w roli kuratora i wkrótce ustąpił z niemiłego stanowiska, ale i tak w opinii demokratycznej był już pograżony.

Przyszedł wrzesień 1939 roku, klęska i okupacja. Różne „symbole” uległy konfrontacji z rzeczywistością. W tym samym mniej więcej czasie, gdy Gestapo – usłużnie spełniając prośbę NKWD – transportowało do Lwowa meble z warszawskiego mieszkania towarzyszką Wasilewskiej, Paweł Musiał został ścięty na rynku katowickim toporem hitlerowskiego kata. Historia jest wielką ironistką i lubi wprowadzać takie niespodziewane poprawki.

Powszechny brak orientacji co do techniki pracy komunistycznej ułatwiał

niezmiernie kamuflowanie się. Znałem marksistów dobrze urządzonych w radio, pisujących recenzje literackie do konserwatywnych dzienników, cieszących się poparciem „samego” Kadena. To osobny i wielce malowniczy temat. Kiedyś w Lublinie przejezdny działacz z Warszawy proponował mi kontakt z osobnikiem prowadzącym robotę na Uniwersytecie Katolickim. Przychodzę na punkt i ze zdumienia rozdziawiam gębę. Autentyczny barwiarz w dekle korporacji „Hetmania”. Od razu połąpał się, uśmiechnął, dotknął dłonią dekla. „Tak wygodniej. Wiecie... jest się poza podejrzeniem”.

Wanda Wasilewska była poza podejrzeniem, bo przecież córka Leona, bo socjalistka, bo współpracowniczką pepesowskiego „Robotnika”. Jakub Hoffman napisał kiedyś w „Kulturze”, że Wasilewska należała prawdopodobnie do MOPR-u a nie do partii. To nieporozumienie. MOPR był przybudówką partyjną i obowiązywała w nim taka sama dyscyplina jak w partii. Granice często zacierały się. Kto zaczynał od niebieskiego bloczku wielkości pudełka od zapalek, z czasem przechodził do poważniejszej roboty. Sądy Rzeczypospolitej stały na słusznym stanowisku, że praca w MOPR-ze jest równoznaczna z należeniem do partii.

Krótką a malowniczą dygresją, dobrze uwypuklająca metody komunistycznego kamuflażu. W parę miesięcy po osadzeniu mnie w hiszpańskim więzieniu w Figueras przybyło tam dwóch cudzoziemców: Węgier i sudecki Niemiec z austriackim obywatelstwem. Obydwaj marksiści; Węgier – członek partii komunistycznej, zresztą o pewnych ciągłotkach trockistowskich. Minęło kilka tygodni. Do dyrektora więzienia zgłasza się braciszek z pobliskiego klasztoru, z koszem wyładowanym specjałami: biały chleb, kiełbasa, sery, owoce. Katalońscy mnisi podkarmiający marksistów? A cóż to za heca?!

⁴ Pisał o tym dość szczegółowo Jerzy Putrament w pierwszym tomie swoich wspomnień, pt. *Pół wieku*.

O aresztowaniu naszej pary dowiedział się były sekretarz osobisty pewnego arcykatolickiego polityka jednego z krajów Europy Środkowej. Napisał do nuncjusza w Madrycie, którego dobrze znał z czasów swego sekretarzowania. Nuncjusz do przeora najbliższego od Figueras klasztoru, polecając jego względem parę przyjaciół. Odtąd kosze z wiktuałami przychodziły regularnie dwa razy na tydzień, co sobie zresztą chwaliłem, bo i mnie się z tego dostawało to i owo. Pozostaje tylko wyjaśnić, że ów sekretarz, mający duże chody wśród kleru katolickiego, był podobnie jak Węgier członkiem partii komunistycznej. O protekcji nuncjusza dowiedział się, naturalnie, kapelan więzienia, i będąc święcie przekonany, że chodzi o dwóch sztandarowych katolików, z miejsca popędził ich do spowiedzi. Nieliczni wtajemniczeni w mechanizm tej zwirowanej historii mieli okazję do niebawalej uciechy.

Koniec „wspólnego pokoju”

Poza mną, lokatorzy „wspólnego pokoju” tylko obijali się o skrajne środowiska lewicowe, ale nie dali się wciągnąć głębiej. Najradzykalniejszy był Domiński, jednak wyniesiony z Lublina kult Piłsudskiego nie pozwolił mu stoczyć się ku komunizmowi. Po trosze działał wpływ Czechowicza, który marksizmu nie atakował zasadniczo – kłuf go ironicznymi szpileczkami, co na młodych czyniło większe wrażenie niż gwałtowne przeciwstawienie się. Moje odejście w rok później również zrobiło swoje. W międzyczasie „wspólny pokój” rozleciał się.

Nigdy zresztą nie miał żadnych szans dłuższego przetrwania. Mieszkalem w nim z krótkimi przerwami tylko do jesieni, gdy w związku z wydaniem „Dźwigarów” wróciłem do Lublina. Ale ilekroć wpadałem do Warszawy na tydzień, dwa, miałem swój tapczan do dyspozycji. Rozalia dostawała wtedy w łapę

dychę, albo i więcej, zaś wiecznie „waletujący” Mrozowski szedł spać na podłogę. W lecie doszłusował Domiński, który zarabiał zbyt mało, by zdobyć się na samodzielny pokój. Potem skład lokatorów ciągle się zmieniał. Wyprowadził się Piętak, poszukujący większego spokoju do pracy. Na krótko sprowadził się malarz i grafik Miklaszewski, czasem zostawał na noc Artur Rzeczyca, znacznie później zjawił się Wacław Iwaniuk. Michalski i Domiński przenieśli się do sąsiedniej kamienicy. Mieli tam o wiele wygodniej: dwa pokoiki, jakaś łazienka, wysoki parter, więc w razie czego można było po zamknięciu bramy wyskoczyć na ulicę przez okno i wejść z powrotem po wyrzuconym sznurze, aż wreszcie dozorca, reprezentacyjny warszawski cieć, spostrzegł się i urządził piekielną awanturę. W tej „filii” wspólnego pokoju zatrzymywałem się parokrotnie, chociaż gospodyni krzywo patrzyła na gości.

Był rok 1935. Wyglądało, że całe towarzystwo zaczyna się powoli statkować i zdobywać miejsce w literaturze. Piętak był po debiucie, przygotowywał do druku nowy tom wierszy, Michalski również miał gotowy spory zbiór *Spotkanie z brzozą*, który ukazał się już po jego śmierci. Nawet Domiński odgrażał się że wkrótce zadebiutuje, ale ciągle odkładał i tak się to ciągnęło przez dalsze trzy lata. Z czego ci poeci żyli? Czy rzeczywiście cierpieli skrajną nędzę i głodowali?

Sytuacja finansowa nie była taka straszna, jakby to wyglądało z wielu wspomnień i sprawozdań. Zdarzały się miesiące, gdy „wspólni lokatorzy” wyciągali razem grubo ponad pięćset złotych, co przy odrobinie zmysłu praktycznego powinno było wystarczyć. Rozalia zawsze chętnie służyła garnkami i patelnią, w „Dołku”, na rogu Tamki i Solca, można było opchać się za głupie 60 groszy. Ani „mama”, ani jej córeczka Celinka nie oszczędzały na nieśmiertelnej zupie pomidorowej, rzeczywiście znakomitej.

Na stół wjeżdżała wielka waza, wystarczało na dwa głębokie talerze na każdego, wolno było umizgnąć się o repetę, chleba też nam nie wydzielano.

Nawet wódka, jeśli się ją piło na miejscu, w pokoju, nie nadwierała zbytnio budżetu. Ale za często zdarzały się szaleństwa, wyprawy do śródmieścia, które kosztowały za drogo. Po drugiej butelce liryczni poeci tracili poczucie rzeczywistości. No, co tam, jeszcze półsztofa, no, jeszcze po porcji zrazików, tu przysiadły się fordanserki, niegrzecznie byłoby odmówić, tu znowu kolejka koniaku i czarna kawa, albo znowu Staś Piętaś w chwili powszechnego roztargnienia zamówił butelkę wina. „Ja myślałem – sumitowałem się z niewinną miną, – że będzie «Złota Reneta», a oni zaraz francuskie wino przynoszą...” I tak jednej nocy potrafiło pęknąć sto pięćdziesiąt, dwieście złotych. A nazajutrz zęby na półkę. Potem nazywało się, że młodzi pisarze nie mogą utrzymać się w bezlitosnej stolicy.

Ale nie tylko to. Niektórym wydawało się, że aby wystarczy pisać poezję. Przyjechał ze Lwowa Stanisław Rogowski, młody, zdolny liryk, trochę po linii leśmianowskiej i bardzo dziwił się, że honorariami za wiersze nie jest w stanie opłacić nawet komornego. Na Dobrej 9, także usiłowały kwitnąć identyczne złudzenia i szybko zwiędły. Możliwości stałego zarobkowania istniały, ale w prozie: dziennikarka, reportaż, krytyka literacka, wreszcie radio. Najkonsekwentniej zachował się Domiński – od razu uznał, że tylko współpraca z jakimś dziennikiem może mu dać podstawy finansowe. Znalazł je później w „Kurierze Porannym”.

Wiele czasopism literackich w ogóle nie płaciło. Ale były i takie, które płaci-

ły dobrze. W „złotym” okresie „Pionu” (1933-1934), gdy redaktorem był Tadeusz Świącicki, a sekretarzem redakcji Stefan Flukowski, za nieco dłuższy wiersz otrzymywało się 50-60 zł; za artykuł na całą kolumnę w „Wiadomościach Literackich” dostawałem 150 złotych, a więc na pokrycie zasadniczych całomiesięcznych wydatków. Po dziś dzień przetrwała plotka o skrajnej ekskluzywności najważniejszych czasopism. To nie była prawda. Każdy utalentowany pisarz, jeśli chciał i potrafił pracować, prędzej czy później otwierał sobie drogę do rzekomo „nieprzystępnych” redakcji.

Oczywista, istniały idiosynkrazje, ale gdzie i kiedy ich nie było? W wielu wypadkach można je było przezwyciężyć, nie uszczuplając swobody wypowiedzi, ani przekonań. W ostatnich latach przed wojną byłem stałym współpracownikiem „Myśli Polskiej”, do której zbliżyła mnie wspólna postawa wobec zagadnień wschodnich a jednocześnie stale drukowałem u Grydzewskiego. Jeśli ktoś znał dwa-trzy języki obce, nieźle dorabiał przekładami. Na wiosnę 1936 roku, na zamówienie Instytutu Ukraińskiego w Warszawie przełożyłem sporo wierszy do polskiej antologii Tarasa Szewczenki (75-lecie śmierci). W ciągu dwóch miesięcy zarobiłem na tym około ośmiuset złotych. Kto jednak poza poezję liryczną nie wychodził, musiał klepać biedę, chyba że miał oparcie w rodzinie.

Domiński zaczął nieźle zarabiać dziennikarką od 1936 roku; Piętaśowi poprawiło się na dobre dopiero po otrzymaniu Nagrody Młodych (styczeń 1938); Broniek wtedy już nie żył, skończył samobójstwem w lipcu 1935. Któż z nas mógł przypuszczać, że po dwudziestu kilku latach Stanisław Piętaś również popełni samobójstwo!

4

Bronisław Ludwik Michalski

Michalskiemu prawie we wszystkich wspomnieniach wyrządzano krzywdę. Wyłania się z nich histeryk i nałogowy alkoholik, żyjący na koszt starszych kobiet, a do tego awanturnik, tym niebezpieczniejszy, że łudzący ofiary pozorami łagodności.

Bronek – pisał Piętaś w swoich *Portretach i zapiskach* – żył z jakimiś przypadkowymi starszymi kobietami, nie miał łączności z domem rodzinnym, z nikim ze swego dawnego świata, który pewnego dnia rzucił.

A o dwie strony dalej:

Z przerażeniem spostrzegałem, że po kilkunastu dniach pijackich kiedy to Bronek wracał z komisariatu, gdzie go zatrzymywano, lub od starych kochanek, zmieniał się [nie] do niepoznanienia.

Michalski wprowadzał w błąd – relacjonuje Szymański, nie wiem na podstawie czyich informacji. Był po prostu zaskoczonym. Wielkiej urody, wielkiej delikatności, miły i bardzo ułożony, do chwili, kiedy nie pił. Wówczas wszystko stawało się odwrotnością. Ten drugi Michalski był zjawiskiem częstym.

Szymański Michalskiego nie znał, podaje charakterystykę z drugiej, albo trzeciej ręki. Stwierdzam kategorycznie, że ten „drugi Michalski” w ogóle nie istniał. Nie istniały „stare kochanki”, wyimaginowane przez Piętaśkę. Owszem mieszkał przez parę tygodni z Teresą, córką naszej Rozalii, ale to był ośrodkowy epizod. Smakowicie opisana przez Mrozowskiego w *Cyganerii* nocna scena w mieszkaniu Teresy przy ulicy Wolskiej została zmyślona od A do Zet. Zbyt dobrze znałem tę historię, abym mógł choć na chwilę uwierzyć w prawdopodobieństwo powyższej sceny. Zresztą Mrozowski opisuje wyłącznie mroczne, ponure pijaństwa, jak gdyby do nich ograniczało się życie Michalskiego.

Wypiłem z Bronkiem – najpierw w Lublinie, potem w Warszawie – niejed-

ną beczkę wódki i zjadłem niejedną beczkę soli, chociaż soli było znacznie mniej. Nigdy nie byłem świadkiem awantury przez niego wywołanej. Po pijanemu zachowywał się równie łagodnie i przyjaźnie jak po trzeźwemu. Jeździł robił kawę, to prawie zawsze bezbolesne i w dobrym guście. A nie brakowało mu przy tym wdzięku i fantazji. Więc może dla kontrastu z przeczerzonymi relacjami, kilka historyjek naprawdę dla niego typowych.

Idziemy we trójkę Krakowskim Przedmieściem w Lublinie. Miasto jeszcze śpi. W głowach huczy. Jest jakaś piąta nad ranem, słońce już wzeszło, ale go za domami nie widać. Śpiewamy. Naprzeciw dwóch policjantów. Paski pod brodą – są na służbie. Zatrzymują nas. „Panowie nie szanują nocnej ciszy!” „Jaka tam nocna cisza? – odpowiadam. – Dzień jak wół?”. Rozmowa zaczyna schodzić na nieprzyjemne tory. Nagle interweniuje Bronek, który dotychczas stał na boczku, melancholijnie przyglądając się podskakującym wróblom:

Panowie pohuszają nieciekawe tematy (po pijanemu zaczynał zjadać literę er), a tu macie jedyną okazję, żeby po zniżonej cenie nabyć tom wiehzy genialnego poety Bhonisława Ludwika Michalskiego. W przedpłacie tylko złoty pięćdziesiąt, a potem będzie kosztować dwa złote. Tytuł tomu *Wczohaj*. Phoszę – do jednego z policjantów, wyciągając notes i pióro – pańska godność i adhes?

Kto chce, może [nie] wierzyć, ale policjanci oszołomieni potokiem bronkowej wymowy, podali nazwiska i adresy, zostali wciągnięci na listę prenumeratorów i posłusznie wpłacili trzy złote. „Ghatuluję panom – powiedział Bronek wyniośle. – Zrobili panowie wyjątkowy intehes.” Wylewnie uściski dłoni, władza salutuje zawianych poetów, idziemy długą ulicą ku Ogrodowi Saskiemu i dalej, na Sławinek.

Inna scena. Bronek jedzie na tylnej platformie tramwaju, jest pod lekkim ga-

Józef Łobodowski,
O Cyganach i katastrofistach (4), „Kultura”
1964, nr 11, s. 49-61.

zem. Wsiada wyjątkowo piękna dziewczyn. Przy najbliższym przystanku stoi wózek z kwiatami. Bronek, rzuca się ku wózkowi, chwytając pęk białych bzów, nie licząc rzuca bilon wygrzebany z kieszeni, a stanowiący w owej chwili cały majątek, dogania tramwaj, który już zdążył ruszyć, wskakuje w bieżący. Zgina kolano przed zdumioną panną i wręcza kwiaty: „Gdybym był Dantem, pani byłaby moją Beathyczą. Ale jestem nieznanym lihicznym poetą i tylko mogę włożyć te kwiaty w hołdzie pani ułudzie...”

Panna piecze raka, ale kwiaty przyjmuje, publiczność śmieje się ubawiona. Bronek wraca na tylną platformę i zapada w melancholijne rozmarzenie.

A propos Dantego. Specjalistą od autora *Boskiej Komedii* był Lucjan André, słaby poeta, a tęgijak, operujący zwyczaj w okolicach Dworca Głównego. Wpadał z rozwichrzonym włosem do bufetu pierwszej klasy, przysiadł się do pierwszego lepszego stolika, wychylał najbliższy kieliszek i mówił demonicznym szeptem: „Panowie nazywam się Dante Alighieri, włócznie wróciłem z piekła. Dajcie jeszcze wódki, to wam opowiem *Per me si va nella città dolente...*” Przeważnie chwytano. Ale raz narwał się na stolik, przy którym siedzieliśmy we czterech: Czechowicz, Domiński ja i jeszcze ktoś, bodajże właśnie Michałski. Znałem pierwsze tercyny trzeciej pieśni *Piekiła* na pamięć. Więc gdy André zaczął swoje *per me si va* wyrecytowałem mu dalszy ciąg. Gdy doszedłem do *queste parole di colore oscuro*, André wstał ze skwaszoną miną, postawił kołnierz od paletka – „Przepraszam pomyliłem się...” i natychmiast ulotnił się.

Siedzimy przy herbacie w pokoju na Dobrej. Jest już późna godzina. Bronka nie ma, przypuszczalnie wróci pod dobrą datą. Otwierają się drzwi, orientujemy się, że stało się coś doniosłego. Bronek jest wyraźnie przejęty, krucz włosy spadają aż na brwi, ciężko odycha.

Przyjaciele – mówi uroczystym głosem – przed chwilą rozmawiałem z mistrzem Wyspiańskim. Zaphosił mnie do stolika i postawił kieliszek jarzębiaku, a ja...

Alóż Bronek – Wyspiański od dawna nie żyje!

Nie przehybaj! Wchodzę do knajpy i stać jak whyty. Przy stoliku – Wyspiański. Podchodzę mówię „Mistrzu!” i całuję go w hękę. A on wcale się nie zdziwił. „Siadaj – powiada – młodzieńcze”. Zahaz kelneh przyleci z dhugim kieliszkiem...

Wyspiański umarł przed prawie trzydziestoma laty. Gdzież to było?

W „Myśliwskim”. Umarł czy nie, a ja z nim piłem. Rozmawialiśmy o poezji, a on gładził długą czahną bhodę i potakiwał.

Oczywista Bronek pomylił z Wyspiańskim Kazimierza Przerwę-Tetmajera, który istotnie często siadywał w Barze Myśliwskim, a kto wie, zważywszy na ówczesny jego stan umysłu może dał w siebie wmościć, że jest zmartwychwstałym autorem *Wesela*. Ale i po wytrzeźwieniu Bronek nie przyjmował żadnych perswazji i twierdził z całą powagą, że pił wódkę z Wyspiańskim. Był po swojemu dowcipny i lubił, jako się rzekło, płać figle, ale bez przykrej złośliwości. Również lubił zasadnicze dyskusje.

Kiedys wpadł w towarzystwo marksistów, których organicznie nie znosił. Dyskutował zaciekle, ale z biegiem czasu przygodni polemici nabrali pewnych wątpliwości. Wreszcie jeden odważył się zapytać: „A właściwie czy pan czytał Marksa? Bo pańskie interpretacje wydają się dość...” Bronek z wdziękiem przechylił kędzierzawą głowę: „Za kogo pan mnie bierze? Czy ja rzeczywiście wyglądam na takiego duhnia, żeby czytać Mahksa? Jestem lihiczny poeta i pan mnie obhaża...”

Piętak napisał, że Michałski nielitościwie wyszydzał jego chłopskie pochodzenie.

Zwłaszcza – czytamy na str. 86 *Portretów i zapisków* – bicie we mnie chłopstwem raniło mnie... Jakież było moje zdumienie, kiedy w rok później dowiedziałem się, że Bronek pochodził, tak samo jak ja, z chłopów. Był synem kowala z małej osady małopolskiej, Sieniawy, który wzbogacił się na handlu czy kuźni...

I znowu muszę zaprotestować. Piętaś był przewrażliwiony i żarty brał za nadto na serio. Wszyscy z niego trochę pokpiwaliśmy, a już najbardziej Domański. „Ciemny kmiotek z Wielowsi” – trudno było w tym dopatrzeć się jakiegś klasowej pogardy, jak to podejrzewał Piętaś. Miewał on częste zamyślenia, nieraz jedząc obiad, nagle sztywniał i zastygał, z widelcem zatrzymanym w połowie drogi do ust. Bronek śmiał się: „Stasiu, ty byś spróbował kotleta łyżką – widelcem to dla ciebie za trudno”. Któregoś dnia Piętaszek potknął się na schodach i potłukł dość dotkliwie. „A widzisz – pouczał go Bronek – trzeba schodzić tyłem, jak ze stodoły po drabinie, to sobie nic nie zrobisz...”

Mój Boże, a któż z nas nie pamięta ze szkolnych czasów choćby takich odezwań się, jak: „Ty ciemna maso! Z jakiej wioski przywieźli cię w worku? Ależ z ciebie kmiotek!” – i tak dalej. Miałem wśród kolegów gimnazjalnych dwóch autentycznych hrabiów, a można było usłyszeć z ust syna woźnego pod adresem hrabiczka: „Ach, ty żłobie z głębokiej prowincji!” Dalibóg, z walką klas nie miało to nic wspólnego.

Czy Michalski był chłopskim synem, jak twierdzi Piętaś? Że ojciec miał kuźnię w starej, lepsze czasy pamiętającej Sieniawie, jeszcze niczego nie dowodzi. Po katastrofie powstania styczniowego zawaliły się tradycyjne hierarchie społeczne, degradacji gospodarczej podlegali nie tylko szaraczkowie i średnia szlachta, ale i poniektórzy karmazyni. Miały te sprawy swoje reperkusje także w nędzarskiej Galicji. Ze skąpych wiadomości jakich Bronek niekiedy udzielał półgębkiem mogłem wywnioskować, że

pochodzą albo z mieszczaństwa, albo z drobnej, zdeklasowanej szlachty. Wrodzona kultura osobista, zupełnie wyrażonego typu, świadczyła, że nie wyniósł jej tylko z gimnazjum czy uniwersytetu. To zresztą nie jest takie ważne jeśli chodzi o Samego Michalskiego; większe posiada znaczenie jako przyczynek do obolałej wrażliwości Piętaka.

A cóż z tymi „starymi kochankami”, z ową Teresą, córką Rozalii Sawickiej, gospodyni na Dobrej? Niestara wdówka, niewiele starsza (może o trzy, cztery lata) od Michalskiego przystojna i dość jeszcze ponętna, zakochała się w Bronku i zagięła na niego parol. Była stroną atakującą i przy milczącej aprobachie matki dopięła swego, wyczekawszy aż zdybie Bronka samego. „Panie Józiu – mówiła mi Rozalia – przecież wdowa, to nikt się nie zgorszy, a pan Bronio sam jeden na świecie, czemuż by się nie mieli pokochać? Nie grzech!” Bronek długo wahał się, zanim zdecydował się przenieść do Teresy. Miała spore, całkiem przyzwoite mieszkanko na Woli, piętnastoletnią bardzo ładną córkę. Zarabiała jako szwaczka. Bronek zwierzył mi się pierwszemu. Akurat otrzymał stypendium z Funduszu Kultury Narodowej w wysokości pięciuset złotych. Trzeba było wykupić maszynę do szycia, zastawioną w lombardzie na placu Napoleona.

– Kobieta spokojna, pracowita – uzasadniał Michalski swoją decyzję. Będzie szyc, ja będę zarabiał korepetycjami. Muszę się o coś zacząć, jakoś ustatkować nie mogę tak ciągle od knajpy do knajpy. Chcę zabrać się do uczciwej pracy. Wykupię maszynę, zostanie mi przeszło trzysta złotych do wspólnej kasy – jakoś to pójdzie.

Żywiłem poważne wątpliwości, ale nie odmawiałem. Gdyby Teresa miała obok pewnego wdzięku sprytną samizki, nieco inteligencji i wrażliwości, gdyby potrafiła stworzyć Bronkowi miłą atmosferę dnia powszedniego i znalazła coś wspólnego poza stołem i łóżem,

ich związek miałby jakieś szanse przetrwania.

Czego Michalski szukał na Wolskiej? Nie zysków, bo wkładał więcej niż otrzymywał. Szukał ostatniej szansy życiowej, ale trafił pod niewłaściwy adres. To był rozpaczliwy gest człowieka ginącego, który chwytą się przysłowiowej brzytwy, zanim pójdzie na dno.

W dwa dni po zainstalowaniu się Bronka na Woli, „wspólny pokój” został zaproszony na wystawną kolację. Teresa promieniała, wyglądała całkiem przyjemnie. Powiedziałem jej, że bardzo ostatnio wyładniała. Błysnęła zębami: „To od tej roboty. Udał mi się ten czarny Cygan, ależ udał!” Biedaczka, nie orientowała się, że czarnowłosa uroda cygańska kryje problemy, których samą „robotą” nie można było rozstrzygnąć, ani okiełznać. Po paru tygodniach Michalski wrócił na Dobrą. Teresa rozpaczała, próbowała ściągnąć go z powrotem – nadaremnie. Na otarcie lez pozostała jej maszyna do szycia, wykupiona przez Bronka z lombardu.

„Stare kochanki!” Mógłby je mieć, gdyby chciał. Jakoś trafił do Zofii Nałkowskiej, która lubiła otaczać się młodzieżą literacką. Potem malowniczy Geoffrey Montalk of Potocki, „król polski i wielki książę litewski, Władysław V”, z którym w owym roku 1934 widywaliśmy się dość często, karmił Bronka, że nie wraca do salonu, gdzie autorka *Granicy* efektownie drapowała się pod przyćmionym abażurem. „Przecież – przekładał – taki Boguś Kuczyński nie umywa się do ciebie! Mógłbyś załatwić sobie raz na zawsze wszystkie kłopoty”. Bronek rzewnie uśmiechał się, do salonu Nałkowskiej więcej nie poszedł.

Przyjaźnił się z Haliną Dąbrowską, ale o żadnych intymnościach nie było mowy. „Bronek Michalski – insynuuje z cicha pęk Mrozowski w *Cyganerii* – w pewnym czasie, w tajemnicy zresztą przed nami, utrzymywał bliski kontakt z pisarkami średniego pokolenia i cie-

szył się u nich dużym wzięciem” A na tej samej stronie (229) informacja, że do Dąbrowskiej „wprowadził nas Michalski”. Jeżeli wprowadził, to gdzie tajemnica? Ach, ci „przyjaciele”, rozgrzebuający popioły, jak gdyby chodziło o wielkomięskie śmietniki!

Nałóg alkoholowy pogłębiał się. Nie byłem już wtedy stałym lokatorem, wpadałem do Warszawy na kilka dni, niekiedy na parę tygodni. Staraliśmy się ratować Bronka, jak się dało. Jeśli nie było innego sposobu, buty szły pod klucz i poeta siedział w skarpetkach. Nie protestował. Miał zresztą swoje sposoby, a i durna Rozalia stawiała się cichą współniczką. Przyjeżdżam rano z Lublina – ekspres Budapeszt-Warszawa przychodził, jak mnie pamięć nie myli, koło 8-ej – załatwiam parę spraw, wpadam na Dobrą. Towarzystwo – w międzyczasie doszedł wspomniany już malarz Jan S. Mikłaszewski – jest bez grosza. Całej ferajny zapraszać do knajpy nie będę. Zresztą widzę, że buty Bronka są pod aresztem. Wołam Rózię, daję kilka złotych. Ma być chleb, masło, jajka, kiełbasa... Po kwadransie siedzimy grzecznie, zjadamy jajecznicę, pijamy herbatę.

Ku ogólnemu zdumieniu Bronek zaczyna zjadać literę er – nieomylny znak, że jest pod gazem. Co u diabła? Przecież był najzupełniej trzeźwy! Widzę, że coraz to sięga do czajnika i dolewa herbaty. Nigdy go o takie herbaciarstwo nie posądzałem. Coś mnie tknęło, wyjmuję szklankę z ręki, wacham – spirytus! Naturalnie usłużna Rozalia przyniosła ółemkę, wręczyła ją w chwili naszej nieuwagi ubóstwianemu Bronowi, ten ukradkiem, z kieszeni, dolewał spirytus do herbaty i załał się w cuglach.

„Nie miał łączności z domem rodzinnym – napisał Piętek w *Portretach* – z nikim ze swego dawnego świata..” To znowu nie tak. Od jesieni 1934 do wiosny 1935 Michalski był dwukrotnie w Lublinie, u siostr i szwagra. Ostatni bodaj raz przed zgonem spotkałem go

także w Lublinie gdzie zatrzymał się po drodze z rodzinnej Sieniawy. Był w dobrej formie. Parę tygodni spędzonych w Sieniawie znakomicie mu posłużyło. Opalił się, wyglądał zdrowo, ładnie opowiadał o łąkach i kwitnących sadach nad Sanem. „A wiesz – trzepnął mnie łagodnie po plecach – przez cały czas nawet pół literka nie wypilem”. A przecież pamiętałem go sprzed miesiąca zaledwie, zdradzał wyraźnie objawy *delirium tremens*.

Poszliśmy do knajpki na bigos. Chciałem sprawdzić i Bronek zaskoczył mnie. Ćwiartka na dwóch to było niewiele. Zazwyczaj Bronek nie wytrzymał, każda kolejka prowokowała następną. Tym razem pierwszy uznał, że czas na nocleg. Jeszcze spacer starym szlakiem poza Ogród Saski. Był zupełnie trzeźwy, poważnie mówił o planach na przyszłość, o tomie *Spotkanie z brzozą*, już gotowym do druku, wiele sobie po tej książce obiecywał. Następnego dnia odprowadziłem go na dworzec. Po miesiącu przyszła depesza od Czechowicza: „Bronek nie żyje – zawiadam rodzinę”.

Wiele deliberowano i wówczas i w wiele lat później nad przyczyną samobójczej śmierci. Że jakiś sentymentalny dramat w młodości, że alkoholizm, że brak sukcesów literackich... Zapewne, mogły to być gwoździe do trumny, ale sama trumna spod innego wyszła hebla. Może najbardziej do prawdy zbliżył się Lew Gomolickij młody poeta rosyjski, zamieszkały w Warszawie, przyjaciel Czechowicza. Napisał on o Michalskim, że zabiła go bezbronność wobec życia. Podobno gdy w szpitalu Bronek odzyskał na krótko przytomność wymamrotał: „To jest słuszna kara za wszystkie łajdactwa...” Więc także skrajne wyczerpanie moralne, maskowe pozorną beztroską i kpina.

Owe bzy, ofiarowane nieznanej dziewczynie w tramwaju i bezsilne „Gdybym był Dantem, pani byłaby moją Beatrycą...” Nie, nie był Dantem. Ale za życia

przeszedł przez piekło udręk psychicznych i moralnych, więc w pewnej chwili przykrył się chłodnym nurtem Wisły, by nie oglądać więcej świata, do którego nie nadawał się. Po innych takie same udręki spływały jak woda z gęsi. Ilekroć myślę o Michalskim, zawsze przypominają mi się wiersze romantycznego poety, który wprowadził samobójstwa nie popełnił, ale od najwcześniejszych lat chodził w cieniu przedwczesnej śmierci:

*Ich dusze z światła Bóg pospłatał,
w jasnych promieniach wiódł z otchłani.
I nie stworzeni są dla świata,
jak świat stworzony był nie dla nich.*

Niektórym obserwatorom z boku szarpanina mieszkańców „wspólnego pokoju” wydawała się dość żalosną i niepotrzebną farsą. W wypadku Michalskiego była to jednak farsa, za którą w epilogu płacić się życiem.

„Owczarz z Wielosi”

Rozpisałem się o Michalskim dłużej, gdyż we wspomnieniach osób, które znały go bliżej, tragiczny jego profil rozplywa się i nabiera cech karykaturalnych. U Piętaka portret stał się niejako projekcją przeżyć samego autora; Mrozowski zapamiętał tylko to, na co było go stać: tylko pijacką powierzchnię, tylko najbrutalniejszą anegdotę. Najuczciwiej, najbardziej bezstronnie, starając się dotrzeć do wnętrza, pisali o Bronku ludzie, którzy albo w ogóle go nie znali, jak Wiesław Szymański, albo tacy, którzy stykali się z nim przelotnie, jak choćby wspomniany już Lew Gomolickij.

Po ćwierćwieczu Pięta przypomniał, że odprowadzający go po pogrzebie Michalskiego „młody poeta chłopski” Marian Kubicki powiedział, żegnając się: „Wiecie, wszyscy byli przekonani, że to nie Michalski, ale wy pierwsi zrobicie z sobą koniec... że jesteście całkiem spustoszeni na duchu i że te wiersze wasze ostatnie, to aż jęczy, jakby kto was du-

sił...” Czyżby już wtedy dostrzeżono znamię przyszelego samobójstwa?

Przy zupełnie odmiennej poetyce, Piętaka łączyło z Michalskim nadzwyczaj intensywne odczucie pejzażu. Ale w innym ujęciu. Michalskiego nie bez pewnej racji posądzano o panteizm, o utożsamianie się z pejzażem. U Piętaka krajobrazy, bujnie wezbrane niekontrolowanym przypływem, są jakby szeregiem umówionych znaków, pod które zawsze można podstawić doznania wewnętrzne. Dlatego też mimo wszelkich załamań i trwogi głucho tętniącej pod skórą, liryki Michalskiego są bardziej jednolite i zharmonizowane. Wyobrażenia Piętaka jest potężniejsza, ale trudniej poddająca się kształtowaniu: to żywioł, występujący z brzegów i zrywający wszystkie mosty. I dla wielu na tym właśnie polega jego autentyczna chłopskość.

Próżno jednak i w nim, i w jego twórczości dopatrywać się „ludowej krzepy”. To był pisarz niezmiernie skomplikowany i uwrażliwiony, a nawet zakompleksiony. A jednocześnie w całym sposobie bycia dziwnie chłopięcy, naiwny i łatwowierny. Łatwo spływał ciemnym rumieńcem, wtedy wargi napływały krwią i – wypisz, wymaluj! – wyglądał jak zażenowana panna. Jakoś w lutym 1938 roku, wkrótce po otrzymaniu Nagrody Młodych, Piętaś z paroma innymi poetami występował na „podwieczorku” w Simie, u Zofii Arciszewskiej. Recytował wiersz z pamięci, zaciął się, zaczął od początku, zaciął się znowu w tym samym miejscu, bezradnie rozłożył ręce, gęsto poczerwieniał. Dwudziestoośmioletni rośli mężczyzna zamienił się w zakłopotaną pensjonarkę. Kontrast był tak niezwykły, że rozbawieni bywalcy kawiarniani dali mu huczne brawo. Potknął się jeszcze raz, zawsze na tym samym kamieniu, i dopiero czwarta próba skończyła się zwycięsko. Rozbroił całe towarzystwo i zszedł z estrady przy akompaniamencie szczerych okłasków i radosnego śmiechu.

Łatwowierność Piętaka była bezgraniczna. Wobec kawałów był najzupełniej bezbronny. Umówiliśmy się, że projektowaną przez mnie Bibliotekę Poetycką „Dźwigarów” zainauguruje jego debiut *Alfabet Oczu*. Papier i introligatora wzięłem na siebie, do rozliczenia w przyszłości, koszt druku pokrywał sam autor z przyznanego mu właśnie stypendium. Skład i druk szesnastki kosztował w lubelskiej drukarni 60 złotych. Nie pamiętam już, czy tomik miał trzy czy cztery arkusze, w każdym razie wypadło od 180 do 240 złotych.

Siedzę więc w Lublinie, zanieśliśmy do drukarni ostatnią maszynową korektę, papier – pocięty, introligator – zamówiony. Z Warszawy przychodzi list. Długi, rozpaczliwy nabrzmiały łzami, inwektywa goni inwektywę. Piętaś wymawia mi przyjaźń i kończy list następująco: „Mam do ciebie wiele szacunku jako do poety, ale żadnego – jako do człowieka. Nie odpowiadaj – nie potrzebuję twoich usprawiedliwień!”

Cóż się stało? Ano, Domiński i Michalski, w przystępie dobrego humoru, postanowili zabawić się kosztem Piętaszka. Zjawili się z grobowymi minami i oznajmili, że właśnie rozmawiali z jednym z przyjaciół, który był w Lublinie. Łobodowski przepił sumę przeznaczoną na druk, książki nie będzie. „To, może nawet lepiej – dodał niewinnie Bronek, – bo debiut chyba przedwczesny.” Piętaś uwierzył, wpadł w rozpacz i wykropił ów groźny list.

Minął tydzień. Zjawiam się w Warszawie z pierwszą partią *Alfabetu oczu*. Akurat „wspólny pokój” był w komplecie. Otwieram walizkę, wydobywam z niej pachnące farbą drukarską i klejem egzemplarze. Pokazuję z daleka, ale do siebie nie dopuszczam. „Nie, najpierw włącz pod stół i odszczekaj coś nagryzmolił!” Piętaszek zamienił się w żonę Lota, a potem przy akompaniamencie homeryckiego śmiechu pozostałych,

rozkładał ręce, rumienił się i mamrotał jakieś usprawiedliwienia.

We wczesnej młodości ciężko chorował – nie pamiętam, a może w ogóle nie wiedziałem, o co chodziło – i choroba ta zostawiła mu dość częste i przewlekłe bóle głowy. Ponicznie lękał się odnowienia dolegliwości. Czy to właśnie w niej należy szukać źródła tragicznego rozwiązania życia, nie mam oczywiście pojęcia. Sam Piętał kilkakrotnie, przy różnych okazjach, wspominał o młodszej chorobie, nigdy przecież bliżej jej nie określił. Bodajże chodziło o ostre zapalenie opon mózgowych.

Krytyka literacka długo nie mogła Piętaka rozgryźć, chociaż już pierwsza jego książka miała sporo omówień, między innymi dość wnikliwą recenzję Hieronima Michalskiego w „Zecie”. Piętał na pewno nie był typem poety o wielkiej samowiedzy artystycznej, a jednak sam siebie najlepiej z biegiem lat określił. „Cała siła tych wierszy – pisał w roku 1942, a więc prawie w osiem lat po debiucie – tkwi w splątaniu uczuciowym, w żarze serca i wyobraźni”.

I dziś – to już notatka z lat powojennych – nie opuszcza mnie przeświadczenie, iż w wierszach tamtych mieści się potężny ładunek nowości i prawdy, że poezja czai się nawet zza porwanych zdań i niekształtnej strofy... Sztuka moja jest uczuciowa, wielokrotnie bezkształtna, całkowicie pogrążona w ciemnym wnętrzu osobowości, pełna kompleksów, aluzji i bólei niemal namacalnej... Jest w niej coś z ekstatycznego zaśpiewu bosego chłopca na pastwisku „urzeczonego i chorego”.

„Chłopskim nadrealistą” nazwał Piętaka Iwaszkiewicz i ze wszystkich etykietek przyklejanych poecie, ta chyba pasowała do niego najbardziej. A jednocześnie Iwaszkiewicz odkrył w autorze *Młodości Jasia Kunefala* odpowiednik wiejskiego „owczarza”. Osobom nie znającym dawnej polskiej wsi nic to określeni nie powie. Owczarz to nie był zwykły pastuch. Zazwyczaj znał się na ziołach, umiał zamawiać chorobę, więc

uprawiał znachorstwo, a przede wszystkim łączył w sobie dwie cechy, pozornie wykluczające się nawzajem: samotność, zamknięcie się w życiu wewnętrznym i umiejętność opowiadania, bajczarstwa raczej, bo te opowieści zawsze przenosiły rzeczywistość w inny, nierealny wymiar. „Owczarz z Wielowisi” – tak, to nienajgorsze określenie.

W *Młodości Jasia Kunefala*, powieści bardzo niedoskonałej, a na swój sposób czarującej, coraz to natrafiamy na miejsca typowo bajczarskie, urzeczone, „znachorskie”. Jest tam historia z Rasputinem, przeniesiona na polski, chłopski grunt, przy czym znikło i samo nazwisko ponurego bohatera i wszystkie realia carskiego dworu, rzecz wręcz kapitalna, nasycona surrealistycznym humorem, a tak autentyczna, że chyba Piętał musiał ją usłyszeć w dzieciństwie z ust jakiegoś „bajczarza” i zapamiętać. Przypominam sobie, jak bardzo smakował ten urywek Czechowicz, wcale nieskłonny do zachwytów nad innymi pisarzami, a zwłaszcza tymi, których uważał za swoich „podopiecznych”.

W jakiś czas po rozleceniu się „wspólnego pokoju” Piętał dał się wciągnąć w kawiarniano-knapiarskie życie literackiej Warszawy.

Coś z narkotyku – przypomni w 1961 – miały dla mnie te posiedzenia w „Ziemiańskiej”, a później w „Zodiaku”. Chodziłem do kawiarni codziennie... Królem niekoronowanym naszego stolika był Witold Gombrowicz... pierwszą damą dworu piękna i utalentowana Zuzanna Ginczanka⁵, ja natomiast pierwszym pazurem, Otwinowsky marszałkostwem.

Narkotyzował się kawiarnią, ale czuł się źle.

Nie czułem się wolny, byłem jak spętany przeszłością. Dym rozsnuwał się i widziałem skrawki wielowiejskiego nieba i przesywał mnie jak spazm, jak lęk we śnie, strach przed dalszym życiem.

„Stolik w «Ziemiańskiej» – pisał do niego ówczesnie jeden z przyjaciół – to

⁵ W wywiadzie, ogłoszonym pośmiertnie w „Twórczości” przez Jana Śpiewaka, czytamy, że Piętał poznał Ginczankę w Warszawie, w jesieni 1934 roku. To oczywiście omyłka. Ginczanka mieszkała wówczas w Równem, była uczennicą ósmej klasy gimnazjalnej. Do Warszawy zjechała na studia po maturze, a więc w rok później. O wcześniejszym, parodniowym nawet przyjeździe musiałbym wiedzieć, gdyż w tym okresie prowadziłem z nią stałą korespondencję.

rozpaczliwa pozycja, myślę, że wrócisz do Wielowisi – ostatecznie”.

W *Portretach i zapiskach*, złożonych przez Piętaka wydawnictwu dokładnie na rok przed śmiercią, uderza zarówno szczerość, nieraz posunięta niemal do ekshibicjonizmu, jak nieumiejętność obiektywizacji swoich wrażeń i wspomnień. Pisząc o przyjaciółach żywych i zmarłych, Piętaś nie był w stanie usunąć się na bok, pozwolić czytelnikowi zapomnieć o autorze, skupić całe światło na twarzach wymienianych osób. Widzi ich poprzez siebie, istnieją po to, by mówić o nich, mógł pełniej pokazać samego siebie. W najlepszej swojej prozie Piętaś jest egotystą, lirykiem, którego „ja” wypełnia cały świat. Próby obiektywizmu, ilekroć je podejmował, zawodziły całkowicie.

To dlatego lata, w których Piętaś usiłował włączyć się w nurt „soc-realizmu”, przynosiły same klęski, wyniki kompromitujące artystycznie. „Dałem się na jakiś czas – pisał do mnie w paryskim liście – ponieść fali rewolucji”. Taka to była rewolucja i takie skutki. Pisał powieści, o których lepiej nie wspominać, próbował tworzyć poematy i wiersze o przemianach na polskiej wsi, męczył się, łudził, wpadał w przerażenie. Przerobionej i uzupełnionej powieści o Jasiu Kunefale nie chciano mu wydać, „bo za błaha, za egocentryczna”. Oczywiście – notuje Piętaś w dzienniku pod 27 września 1951 – kilkunastu utworów z obecnego cyklu wierszy nie będę mógł wydrukować nawet w zbiorze. Są one za osobiste, za pesymistyczne, żal mi jednak, że nikt ich nie pozna.

Trudno osądzić, w jakim stopniu ciężkie przeżycia tamtych lat wpłynęły na rozwój choroby nerwowej, która po jednym z nawrotów zmoęła go ostatecznie. Opublikowane w 1963 roku *Kartki z dziennika* pozostawiły niejeden trop, mogący prowadzić ku rozwikłaniu zagadki. Chociażby zapis z 3 marca 1961 w którym poeta spowiada się, dlaczego od dłuższego czasu nie pisał wierszy:

Cofałem się ciągle – to kłopoty codzienności mnie odrywały, to gnuśność moralna, wynikająca z niechęci i rozpacz do tego, co mnie otaczało... Przemogłem się i oto staję sam na sam z męką słowa, z materiałem, który jest tak nabrzmiały od napięć ciemnych, rozkładowych, że gotów mnie unicestwić, a nie unieść ku słońcu, ku wyżynom czystego powietrza. To, co chcę pisać, trudne jest jeszcze do sprecyzowania... Może to będzie fantastyczny poemat, a może monolog wewnętrzny artysty, który na próżno szuka dla siebie miejsca w najbliższym świecie.

Chwilami przecież jego liryka, prawie zawsze bolesna i wytężona, uspokajała się i zdobywała harmonijny kształt. Tom *Pośrodku żywiołów* wydany na początku 1960 roku przyniósł kilka wierszy wyjątkowo zrównoważonych, choć i w nich czai się na dnie przerażenie i rozpacz.

*Ofiaruję nam podziemne morza
i niezbadane, szczęśliwe przestworza,
a my jednak patrzymy nimi,
bo trzeba nam tylko tyle Ziemi,
ile starczy na ukrzyżowane,
rozpostarte ciała,
na rękę w powietrzu szukającą,
oniemiałą.*

W ostatnich latach krytyka krajowa zaczęła przyznawać poezji Piętaka bardzo wysoką rangę. Szymański w *Balladach przed burzą* uznał go za „jednego z najciekawszych twórców w dwudziestolecie”.

Jest to poezja – napisał Zbigniew Bieńkowski już po śmierci Piętaka – w każdej chwili swego rozwoju nie podobna do szkół, kanonów, ideałów estetycznych, tak samo zwyciężających jak i przewyciężonych.

I zakończył swój szkic takim zapewnieniem („Twórczość”, 4 nr 1964):
Jest to chyba najbardziej osamotniona poezja współczesna. Nie wywoływała sporów, nie prowokowała polemik. A przecież była ustawiczną polemiką, ustawicznym sporem ze Światem. Tragiczna śmierć przecięła tę twórczość w chwili, gdy osiągnęła ona pełnię dojrzałości, gdy wątplenie przełamało własną słabość i stało się

tym, czym być powinno dla każdego artysty, solą mądrości.

Lecz o poetach najlepiej świadczą ich własne słowa:

*...było tak, że nawet w jej ruchu najweselszym
widział poeta kształt niedopowiedzianego cierpienia.
Lecz było tak, że nawet w jej ruchu doskonałym
widział poeta, że słowa dla piękności nigdy nie miał...*

5

„Henio, Wacek, Rzeczyca...”

Ciężkie myśli człowieka – pisał Czechowicz do Piętaka w lutym 1936-go – który chce być zdobywcą, a za teren działania ma bagno, mieszają się z blahymi rozmówkami, w których rolę partnerów grają Henio, Wacek, Rzeczyca, pan Włodzimierz i Samuel.⁶

Henio – to Domiński, Wacek – Mrozowski, pan Włodzimierz – chyba jeden z braci Stępniewskich, Samuel – to malarz Miklaszewski, bliski Czechowiczowi jeszcze z Lublina. Uderza lekceważący ton, w jakim Czechowicz pisze o swoim otoczeniu. To nie poza: istotnie czuł się niezmiernie od nich wszystkich wyższy i w chwilach szczerości traktował z góry. Jakąż rolę odegrali ci partnerzy-statysty w owym – przyjmuję umowne określenie – „kręgu czechowiczowskim”?

Zacznę od Domińskiego, choćby dlatego, że Czechowicz lubił go najbardziej i pozwalał nawet na „obrazę majestatu”, jako „kochanemu kłapaczowi”. Domiński był kostyczny, przekorny, na pozór oschły, w głębi, gdzieś pod siódmą skórą, mocno sentymentalny, chociaż krył się z tym starannie, tak że niejednego wprowadzał w błąd. Miał manię obalania wszystkich autorytetów i nieraz potrafił być wręcz nieznośny. Zaczepny, często prowokował scysję i awantury, przeważnie z żalonym skutkiem, bo chociaż bardzo odważny, był słabeuszem i nie umiał się bić. Ode mnie oberwał kilkakrotnie, ale też nie raz i nie dwa bywałem przez niego wrabiany w grubsze historie i musiałem nadstawiać karku z najgłup-

szych powodów, byle ratować „kłapacza” z ciężkich opalów.

Gdy miałem już dość jego psich figli, doszło między nami do zerwania (w lecie 1938). Wiedziałem, że mocno to przeboleć, ale wygórowana ambicja długo nie pozwalała mu uczynić gestu pojednania, tym bardziej że przy różnych okazjach przejeżdżałem się po nim w druku bez litości. Byłem wtedy w wojnie podjazdowej z całą „czechowiczowską” grupą, mimo, że przy przypadkowych spotkaniach zachowywaliśmy pozory poprawności. Terenem moich wypadów był dwutygodnik „Myśl Polska”, gdzie zdomowiłem się na dobre, oraz kolumna literacka „Kuriera Porannego”, redagowana – oficjalnie przez Jerzego Hulewicz, faktycznie przez Jerzego Zagórskiego.

Strona atakowana wpadła w załopotanie. Przypomnieć trzeba, że z młodych, debiutujących na progu lat trzydziestych Czechowicz, po odejściu Czuchnowskiego ku problematyce społeczno-politycznej, największe nadzieje wiązał właśnie z Zagórskim. Sam siebie mianował „Wielkim Xięciem Litewskim” (tak – przez wielkie X), w ciszy serca dopowiadając „król polski”, zaś Zagórskiego nazywał „infantem”, ergo następcą na tronie poetyckim. Z trzech debiutów żagarystowskich na pierwszym miejscu stawiał *Ostrze mostu*. Spierałem się z nim, wysuwając *O czasie zastrygląt* Miłosza. Ale Czechowicz trwał

Józef Łobodowski,
O Cyganach i katastrofistach (dokończenie),
„Kultura” 1964, nr 12,
s. 31-50.

⁶ Cytuję za Wiesławem Szymańskim, *Ballady przed burzą*, s. 173.

przy swoim: pierwszy – Zagórski, drugi – Miłosz, a gdzieś w dali Bujnicki. Rymkiewicz jeszcze się wtedy nie objawił, Putrament w ogóle się nie liczył.

No, więc co? Łobodowski ośmiela się występować przeciw „Wielkiemu Xięciu” i jego dworowi, a ukochany „infant” puszcza to do druku, zasłaniając się Hulewiczem? Zbrodnia przeciw majestadowi, której na domiar złego nie można było ukarać bo jak i gdzie?! „Pióro”, pomyslane jako miesięcznik, miało na skutek wydawniczego kunktatorstwa Mariana Sztajnsbera, wielkie szanse zamienienia się na rocznik: ukazał się tylko pierwszy numer, drugi, już wydrukowany, zginął w pożarach wrześniowej Warszawy.

Wykluwały się wówczas i nawiązywały różne inicjatywy, rodziły interesujące indywidualności twórcze. Myślę z głębokim żalem o takim Józefie Stachowskim, który wojnę przeżył, a umarł wkrótce po jej zakończeniu; katastrofa przyszła w chwili najtrudniejszej dla każdego poety, gdy doskonały debiut zostaje poddany próbie confirmacji i ustalenia dalszej drogi rozwojowej. Trzeba też wymienić Mariana Niżyńskiego, którego wszechstronny⁷, poetycko rewelacyjny talent zapowiadał wielkie rzeczy. Podobno zginął w absurdalny sposób, przejechany przez niemiecką ciężarówkę. Inna rzecz, że w warunkach „budującego się socjalizmu” Niżyński, skrajny przykład neurotycznej mimozy, nie miałby nic do zrobienia. Głucho o nim we wspomnieniach i omówieniach, a przecież, obok Krzysztofa Baczyńskiego, największa to strata, jaką poezja polska poniosła w latach wojennych. Gdyby przeżył, a ewentualnie udało mu się wydostać na Zachód i tam jako tako urządzić, mielibyśmy dziś na emigracji jeszcze jednego poetę dużej miary.

Na Domińskim kończy się lista lokatorów „wspólnego pokoju” w pierwszym wydaniu, jeśli nie liczyć Wacława Mrozowskiego. Ten zjawił się przy końcu

lata 1934, oczywiście bez grosza przy duszy i z bardzo mglistym pojęciem co do dalszej przyszłości. Po ukończeniu seminarium mógł bez trudu uzyskać posadę nauczyciela, ale praca gdzieś na zapadłej wsi zupełnie mu nie odpowiadała. Zajął się nim Czechowicz, starając się namówić na pisanie do wydawnictw ZNP. Na początek trzeba było zdobyć dla przybyśza nieco gotówki. Wynikła z tego dość zabawna historia.

Czechowicz lubił mistyfikacje, zresztą przeważnie nieszkodliwe. Wiesław Szymański, cytując poetów, którzy drukowali w kolumnie poetyckiej „Zetu”, wymienia Henryka Zasławskiego. Otóż Zasławski w ogóle nie istniał. Był to jeden z licznych pseudonimów Czechowicza. Ilekroć napisał wiersz, we własnym przekonaniu niezbyt udany, rzecz szła do druku pod nazwiskiem Zasławskiego. Ale tym razem zdarzyła się wyjątkowa okazja ukrycia się nie za „martwą duszą”, lecz za żywym pseudonimem.

Jako redaktor związkowego „Miesięcznika Literatury i Sztuki”, Czechowicz nie chciał drukować zbyt wiele, by mu nie zarzucono, że nadużywa swego stanowiska. Mając gotowy artykuł, zaproponował Mrozowskiemu jego podpisanie. Tekst Czechowicza, nazwisko Mrozowskiego, honorarium również dla niego. Przybyśz z Chełmna zgodził się z radością i z miejsca zainkasował kilkadziesiąt złotych. Nie pamiętam dokładnie treści tego artykułu, w każdym razie chodziło o jakieś rozważania muzykologiczne, gęsto przetkane wycieczkami w dziedzinę filozofii. Wśród niewtajemniczonych w mistyfikację „debiut” ten dał Mrozowskiemu kilkunastu koterijny rozgłos.

Zwłaszcza zainteresował się rzekomym autorem Bolesław Miciński, często kontaktujący się z Czechowiczem i jego otoczeniem. Filozof i meloman, nie mógł nie zwrócić uwagi na młodego seminarzystę, który od razu pierwszym wystąpieniem wykazał duże odczytanie

⁷ Był również wcale tęgim grafikiem i nie-najgorszym kompozytorem.

i znajomość zarówno muzyki jak filozofii. Doszło więc do spotkania i rozmowy, w obecności Czechowicza i jeszcze kilku osób. Byłem i ja. Nie trudno domyśleć się, jakie męki przechodził Mrozowski. Już po kilku minutach wyszło na jaw, że nie ma pojęcia ani o poruszanej problematyce, ani o kompozytorach i filozofach cytowanych w artykule. Delikwent bladł i czerwieniał się. Miciński patrzył po nas z rosnącym zdumieniem, zaś Czechowicz pykał z fajeczki i sypał do mnie, jako do wprowadzonego w sekret, perskie oko, dusząc się od powstrzymanego śmiechu. Wreszcie musiał przyznać się do mistyfikacji, po czym wszyscy zgodnie uznali, że wymyślona przeze mnie nazwa „poeta z Cycowa” pasuje do Mrozowskiego jak ulał.

Była wtedy moda na pisanie wierszy o matce. Zawinił w równej mierze wpływ Jesienina (*Żyjesz jeszcze, moja starowinko?*), jak i Czechowicz, autor wielu pięknych liryk na ten temat. Oczywiście, Mrozowski nie mógł pozostać w tyle i wydrukował wiersz, w którym melancholijnie deklamował, że matka gdzieś daleko martwi się i płacze, a syn w nieprzyjaznej stolicy spędza noce nad Kantem i Hebblem. Dałem w „Dźwigarach” zgryźliwą notatkę, że czas rzucić „kanty” i zająć się jakąś uczciwą pracą, choćby przy „heb1u”. Być może, obsmarowując mnie w swojej *Cyganerii*, Mrozowski chciał wziąć spóźnioną zemstę za tamto. A że zemsta poszła idealnie po linii „zamówienia społecznego”, tym lepiej.

Mrozowski niemal wszystko zawdzięczał Czechowiczowi. Dzięki jego protekcji otrzymał stałą, całkiem dobrze płatną posadę w Centrali Wydawnictw Związku Nauczycieli. Stracił ją, gdy po opisanych już awanturach z „Płomyczkiem”, Machnowski musiał ustąpić. A że Czechowicz odszedł jeszcze wcześniej, zabrakło dwóch głównych protektorów. W gruncie rzeczy posada Mrozowskiego wyglądała raczej na przedwczesną

synekurkę, bo zajęcia jego były dość fikcyjne. Czechowicz lubił trzymać przy sobie kogoś zaufanego do wykonywania różnych, mniej czy bardziej delikatnych funkcji. Domiński na przykład, którego z Czechowiczem łączyło bez porównania więcej, nie nadawał się do tego: miał za dużo godności osobistej. Mrozowski był elastyczniejszy; podobnie jak w czasach „wspólnego pokoju” posyłało się go po kielbasę czy piwo, Czechowicz w razie potrzeby dawał mu liściki do któregoś ze „stefanków”. Rola takiego *postillon d'amour* nie psuła „poecie z Cycowa” radosnego światopoczucia.

Niewiele później po Mrozowskim objawił się Artur Rzeczyca. Kiedy go poznałem, byłem pod lekkim gazem i zacząłem wypytywać, czy pochodzi z Białorusi (skojarzyło mi się z miasteczkiem Rzeczyca w Homelszczyźnie). Aż Domiński krzyknął: „Nie męcz Buksbauma! Abramek pochodzi ze świętej Galilei. Jaka tam Białoruś!” W wielu wspomnieniach „zaczarowany Arturek” nabrał eterycznych cech jegomościa nie z tego świata. „Myślę, że zbrodniarz hitlerowski, który go zabił, zabił dziecko”. „Miły, delikatnie i cicho mówiący jakąś ultrastaranną, literaturoznawczą mową...” „Z okrągłą, rumianą buzią, układny, w granatowym ubranku...” „Mały, chudziutki Żyd w okularach... Lubiliśmy go bardzo, mimo że był często uciążliwy...”

Oto cztery świadectwa współczesnych. Sporo w tym prawdy, ale powierzchownej. „Dziecko” – może, ale chyba krewnie psotnego Dyzia. Żył przez te pięć warszawskich lat, aż do wojny, jak ten ptak niebieski, nie orząc, nie siejąc. Bo jednak, zarabiając z rzadka jakieś iluzoryczne sumy, potrafił objąć się po Warszawie przez tyle czasu i był jak te automatyczne zabawki, zachwalane przez ulicznych sprzedawców: „Nie je, nie pije, a chodzi i żyje!” Nigdy nie mogłem zorientować się, czy siedzi w nim fenomenalny megaloman, czy wyracho-

wany kanciarz. Może jedno i drugie, w dziwacznej, nie kontrolowanej przez samego właściciela proporcji. Zestawiał siebie z Joyce'm, przekładał, zresztą nieźle Ungarettiego, pisał nijakie, pozbawione indywidualności wiersze, które sam określał jako genialne.

Czasem to i owo mu się udawało. Niewątpliwie był zakochany w poezji. Może w innych okolicznościach byłby z niego niezły krytyk. W mojej pamięci pozostał jako bezbronny wróbel, trzepocący skrzydłami na pograniczu nędzy i megalomanii. A wiersze? Więc oto taki utwór: „Światło śpiewa: – Przyjdź Królestwo Twoje!” Koniec. Ktoś usiłował go przekonywać, że owszem, zdanie ładne, mogłoby stać się punktem wyjścia do poematu, albo zakończeniem, ale Arturek z miłym uśmiechem wyższości zapewniał, że w tych pięciu słowach zawarta jest cała metafizyka poetycka. Gorzej było gdy pisał: „Wyprowadź swe serce na spacer” albo wypełniał butelkę „pianiem koguta”. Niepoprawny Domiński obiecywał z poważną miną, że kupi mu na imieniny obrożę i kaganiec („żeby, jak wyprowadzisz serce na spacer, hycel nie złapał”).

Aż za układny i słodko-grzeczny w stosunku do pisarzy ustabilizowanych i wpływowych, Rzeczyca umiał zachować się opryskliwie i niechętnie wobec początkujących, takich jak on sam, traktując ich z pogardliwą wyższością. Nie znał umiaru przy – już nie wypraszaniu – wymuszaniu pożyczek, jeśli znalazł się w sytuacji wyjątkowo ciężkiej. Normalnie działał według dobrze opracowanego rozdzielnika. Zasada polegała na tym, żeby nie zwracać się do tych samych osób za często: tego można zaatakować raz na dwa tygodnie, tamtego – raz na miesiąc. Jednych oceniał na złoty-dwa, innych na piątkę albo nawet na dychę. Wyżej aspiracje Rzeczycy sięgały bardzo rzadko i trzeba przyznać, że węż na możliwości pożyczkowe miał mocno wyczulony. Ale niejednokrotnie najlepiej opracowane plany i rachuby brały w łeb.

Któregoś wieczoru Rzeczyca zjawia się u Jasińskich. Źle wycelował, bo było już po kolacji. Prosi o kilka złotych. Jasiński mówi, że jest bez forsy, weźmie zaliczkę dopiero jutro. Arturek zwraca się do Wandy⁸. „Niestety, mam tylko dwa złote...” „Dwa złote – odpowiada słodko Arturek – w zupełności mi wystarczą”. „Ależ ja nie mam więcej – to na jutrzejsze śniadanie i na tramwaj dla nas obojga!” „Tak – stwierdza rzeczowo Rzeczyca – ale ja nie jadłem obiadu i nie mogę obejść się bez kolacji... Do pracy macie niedaleko, możecie pójść na piechotę”. Piękna Wanda uniosła się gniewem, wyjęła dwu złotówkę z portmonetki i cisnęła nią w natręta. Arturek podniósł monetę z niezmaczonym spokojem, podziękował, cały w ukłonach i uśmieszach, po czym przezornie ulotnił się, nie czekając na dalsze komentarze.

Nie wydał żadnego zbioru, pozostało po nim kilkanaście wierszy, rozrzuconych po czasopiśmie. Źle pokierowana inteligencja, estetyczny szczebiot, wieczne koczowanie na marginesach życia, dumnie podkreślana deklaszacja ze świadomego wyboru, snobistyczne zgrzywanie się na homoseksualizm, chociaż nie miał tym kierunku żadnych predylekcji. „Dostawcą wesołości” i „niepoważnym człowiekiem” nazwał go Marian Jachimowicz w swoich wspomnieniach literackich. Istotnie, Rzeczycę trudno było brać na poważnie. Innym pomagano w imię nadziei w ich przyszłość, Arturkowi chyba tylko do dość pogardliwej litości.

Większość z młodych, którzy mieli jakikolwiek związek ze „wspólnym pokojem” albo „kręgiem czechowiczowskim” zginęła z rąk hitlerowców. Nie zawsze można było stwierdzić w jakich okolicznościach. O Domińskim na przykład jedni twierdzą, że dostał kulę przy przechodzeniu granicy na Węgry, inni że rozstrzelano go w Palmirach. Rzeczyca został zamordowany w Drohobyczu,

⁸ Wanda Karczeńska drukowała ówczesne słabe wiersze o tematyce przeważnie marynistycznej. W powojennych latach dojrzała jako autorka dobrej prozy. Zbiornik Jasiński również wykazywał głównie zainteresowanie marynistyczne. Odwiedził nas parę razy na Dobrej, potem spotkaliśmy się dorywczo w Lublinie. Po przejściu wcale urozmaiconej, nawet jak na Polaka, epopeji wojennej, przeniósł się na stałe do Australii. Jeśli się nie mylę, początki działalności literackiej Jasińskiego związane były z Poznaniem i bodaj z grupą poetycką „Prom”.

Ludwik Fryde gdzieś na kresowej wsi, gdzie próbował ukrywać się. Na tę listę trzeba wciągnąć również Władysława Podstawkę, który zginął w Oświęcimiu, podobno na szubienicy (rok 1942).

Debiutował tomem wierszy *Stopy w niewoli* dopiero w 1936. Drukował jednak bardzo dużo w czasopiśmie. Gdy w roku 1932 powstał w Lublinie dziennik „Nowa Ziemia Lubelska”⁹, Podstawka ogłaszał na jego łamach po trzy, cztery wiersze tygodniowo. Pisał wtedy tradycyjnie, za dużo i za łatwo. Z biegiem czasu jednak jego obrazowanie stawało się śmielsze i bardziej oryginalne, pogłębiał się ostry pesymizm i poczucie nadchodzącej katastrofy. Waław Gralewski, niegdyś poeta i krytyk „Reflektora”, schlał Podstawkę bezlitośnie za zbytne poddawanie się „wpływowi Łobodowskiego”. Były niewątpliwe, zwłaszcza w pierwszych latach, ale nie podejmowałbym się określić, gdzie kończyły się te wpływy, a gdzie zaczynała się liryczna koincydencja.

Dopóki mieszkał w Lublinie, sytuację miał dość ustabilizowaną. Po przeniesie-

niu się do Warszawy chwycił się różnych zajęć, pracował nawet przez jakiś czas w knajpie przy ulicy Koziej stał się stu-percentowym „cyganem” właśnie wtedy, gdy inni zaczynali się statkować. Był to duży, żywiołowy talent, poddany rabunkowej gospodarce. Poszedł do Oświęcimia, nie mając jeszcze trzydziestu lat. Trudno powiedzieć, czy rozwinąłby się i jak, gdyby przeżył obóz koncentracyjny. W przeciwieństwie do wielu innych „cyganów” miał zdrowy chłopski sens i ani odrobiny hysterii, snobizmu, prze rafinowania.

Wytknąłem, pisząc o Mrozowskim, modę seryjnego płodzenia wierszy „o matce”. Trzeba przecież uczynić nie jeden wyjątek dla tych, którym nie chodziło o modny temat, lecz o potrzebę uczuciową. Między nimi – także dla Podstawki. Oto zakończenie jego wiersza *Do matki* powstałego bodaj w okresie, gdy młody poeta znalazł się na bruku warszawskim i nie bardzo wiedział co z sobą począć. Sądzę, że autentyczność przeżycia w tym lirycznym drobiazgu nie podlega wątpliwości:

*Marzyłaś: syn daleko i wysoko – biały...
O, matko, jakże wzlecieć, kiedy serce cięży!
Zostanę już do końca w gorzkich dni upręży.
Płakały twoje oczy i będą płakały.
Wąwozem iść mi głuchem, ponurym parowem,
i śpiewać, wołać pieśnią żelazem zakrzepłą.
Nie żałuj. Połóż ręce na płonącą głowę.
Na chłody, zawieruchy chcę mieć rąk twych ciepło.*

W przeczuciu katastrofy

Gna nas wielki niepokój naszego czasu, wahający się między próbami naukowego ujmowania schematu człowieka, dążeniem do znalezienia praw, rządzących żywotami całych narodów i ras, a jednocześnie wspierający poczynania możliwych tego świata gusłami astrologii. Dyktatorzy wierzą w znaki zodiaku, tłumy nie mają czasu ani myśleć, ani wierzyć, żyją i nie mają bóstwa ponad życie. „Mienią się być mędrkami, a to tylko szał ich ogarnął” – powiada Pismo Święte. W tym straszliwym zamęcie, w którym

jedyną troską społeczeństw jest, czy wojna będzie dziś, czy jutro, w tej epoce nie do opisanie, wieśczonej przez średniowieczne proroctwa, obliczające koniec świata na rok 1944, gdzież znaleźć grunt pod stopami? Czego mają dotknąć upadający w nawałnicy, by odżyć, by zaczerpnąć siły nowej?

Te słowa wyszły spod pióra Czechowicza na niewiele miesięcy przed nadejściem wrzesniowej burzy, w której on sam miał swoje trzydziestosześcioletnie życie utracić. W tych słowach

⁹ „Nowa Ziemia” cieszyła się krótkotrwałym, ale bujnym i skandalicznym żywotem. Wydawca Zajączkowski, major w stanie spoczynku, nadał pismu kierunek legionowo-demokratyczny, o ambicjach zreformowania obozu rządzącego, czyli – jak mawiano w Lublinie z przekąsem – „usana-wania sanacji”.

odnajdujemy ten sam podskórny nurt, który głucho szumiał w utworach najwybitniejszych przedstawicieli młodego pokolenia. Przeczucie nieuchronnie zbliżającej się katastrofy, u jednych zamącone, o zatartych konturach, u innych bardziej wyraziste, rzucane na konkretne tło historyczne. Wtedy też, gdzieś w połowie laty trzydziestych, ukuto terminy – „katastrofizm”, „katastrofiści”.

Twórczość Czechowicza może najmniej odpowiadała temu pojęciu, gdyż zbliżający się kataklizm przełamywał się w jego wizji zbyt osobiście, po prostu łączył się z dawną, a pogłębiającą się z czasem obsesją śmierci. Najpełniej „katastrofizm” zaznaczył się u poetów wileńskich i to od pierwszych ich wystąpień. Ponieważ przez kilka lat występowali zespołowo, utrwaliło się w krytyce powojennej przekonanie, że właśnie tamtędy przebiegał główny nurt. Zwarcie maszerująca drużyna zawsze robi większe wrażenie, niż liczniejszy lecz bardziej rozpieczęty tłum indywidualnych wolontariuszy.

Akcenty katastroficzne były widoczne już w najwcześniejszych młodzieńczych wierszach Miłosa, Zagórskiego, Bujnickiego. Łączył się z tym „niepokojem naszego czasu” ostry protest przeciw rzeczywistości społeczno-politycznej. W pierwszym okresie, to znaczy do połowy lat trzydziestych, wszyscy katastrofiści radykalizowali, z większym czy mniejszym nasileniem, zanim każdy poszedł własną, indywidualną drogą, Jerzy Zagórski na przykład – ku katolicyzmowi.

W roku 1935 ukazały się dwa tomy wierszy, które nieco późniejsza krytyka uznała za najbardziej reprezentacyjne książki „katastroficzne”: *Przyjście wroga* Zagórskiego i *Rozmowa z ojczyzną* Łobodowskiego. *Przyjście wroga* to poemat, ale ujęty bardzo luźnie, żeby nie powiedzieć – kapryśnie, przeładowany wzburzonymi wizjami, miejscami surre-

alistycznymi, kiedy indziej nurzającymi się w groźnej eschatologii. Nie brakuje w nich poetyckich nieporozumień, a nawet niezamierzonej groteski, jak owe: „Rzeźnik w Otwocku rąbał świnie, zgrabnie siekierą rąbał w pół...”¹⁰ – ale są także fragmenty o niezwyklej sile wyrazu i czystości lirycznej.

Nie chciałbym narazić się na zarzut nieskromności, muszę jednak napisać i o sobie. Wymieniłem obok *Przyjścia wroga* moją *Rozmowę z ojczyzną*. W półtora roku później wyszedł tom *Demonom nocy*, słabszy zapewne poetycko, ale również utrzymany w tonie „katastroficznym”. Podkreślali ten charakter tacy krytycy jak Tymon Terlecki i Kazimierz Wyka (obydwaj w „Tygodniku Ilustrowanym” – 1937), Wacław Kubacki w „Gazecie Polskiej”), wcześniej jeszcze Władysław Sebyła (w „Pionie”). Nawet odezwał się Ostap Ortwin, rzadko schodzący ze swoich olimpijskich wyżyn ku młodej poezji. Wymieniam recenzję najważniejsze, które najbardziej utkwiły mi w pamięci; było ich znacznie więcej. Artykuł Terleckiego, w którym utrzymywał, że gdyby Cezary Baryka był poetą, pisałby właśnie takie wiersze, sprawił mi wówczas największą satysfakcję.

To bardzo żenujące upominać się samemu o należną pozycję, cóż jednak poradzić, jeśli w kraju jestem na indeksie, jeśli potężna rozmiarami antologia Matuszewskiego i Pollaka, uwzględniająca nie tylko poetów drugo- i trzeciorzędnych, ale i zwykłych grafomanów, nie umieściła mnie nawet w spisie pominionych, choć uwzględnionych przy dokonywaniu selekcji. Obok mnie identycznego zaszczytu dostąpił Marian Hemar. Posmak jeszcze większego skandalu miało pominiecie Hemara w bardzo obszernej antologii satyry i fraszki międzywojnia. Ktoś, z lekka zawstydzony, wspominał o tym w krakowskim „Życiu Literackim”, dodając zaraz skwapliwie, że banicja ta jest o tyle usprawiedliwiona, iż wynikła ze wzglę-

¹⁰ Cytuję z pamięci więc może niezbyt dokładnie.

dów „polityczno-pedagogicznych”. Już to na brak genialnych pedagogów komuniści nie mogą się skarżyć!

Lojalnie przyznaję, że przemilczanie nie jest absolutne, owszem, od czasu do czasu pada i moje nazwisko, prawie zawsze, gdy zdarza się okazja, aby napisać o mnie coś nieprzyjemnego. A już największą wdzięczność jestem winien „Wydawnictwu Lubelskiemu”. We wspomnieniach Mrozowskiego (cytowana już *Cyganeria*) i Wacława Gralewskiego wypadłem wielce malowniczo. Wystarczy zacytować choćby taki passus: „Tak brzydkiej i odrażającej twarzy jeszcze nie widziałem. Miała coś z małpy i trochę z człowieka...” Nie wiem czy z tymi dwoma panami Wacławami spotkam się jeszcze kiedykolwiek, w każdym razie bardzo bym się na takie spotkanie pisał i cieszył. Wiem, że wypadłoby bardzo zabawnie.

Ale i teraz nie brak wesołej zabawy. Czytam w „Twórczości” (kwiecień 1964) wywiad z Piętakiem, podanym do druku już po jego śmierci przez Jana Śpiewaka. „Ustalmy – mówi Śpiewak – gdzie mieszkales w 1934 roku”. „Na Dobrej – pada odpowiedź – razem z Domińskim, Józkiem, Bronisławem Michalskim”. Cóż to za tajemniczy Józek? Czy przypadkiem nie Łobodowski? A więc jednych wymienia się z nazwiska, mnie – tylko z imienia. Nazwisko – trefne.

Albo na przykład, we fragmencie wspomnień Piętaka (też w „Twórczości”) występuję w pewnym miejscu pod imieniem i nazwiskiem; w nieco późniejszym wydaniu książkowym tych wspomnień już zamieniam się w „poetę J.”. Otwieram w parę dni później numer innego czasopisma, trafiam na przekłady z Borysa Pasternaka. Rzucam okiem – cóż u diabła?! – toż to moje! Przedruk z emigracyjnego wydania polskiego przekładu *Doktora Żiwago*. Przewracam kartki w poszukiwaniu tłumacza, jest! – „Z rosyjskiego przełożył J.Ł.”. No, jakże się tu nie cieszyć!

Pisarz emigracyjny jest w tej sytuacji całkowicie bezbronny. W roku 1935 wydałem tom przekładów z czterech poetów rosyjskich, pod tytułem *U przyjaciół* (Lermontow, Błok, Jesienin, Majakowski). W dwadzieścia kilka lat później Leopold Lewin wydaje tom przekładów, głównie z rosyjskiego, pod identycznym tytułem – *U przyjaciół*. Plagiat czy przypadek? O przypadku nie może być mowy, bo pamiętam doskonale, że w kilka tygodni po wyjściu tej książki była o niej mowa w mieszkaniu Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego i między innymi brał w niej udział Lewin. Więc? Ale zaprotestować, czy choćby tylko poinformować czytelników o nadużyciu – nie podobna.

Jeszcze dowcipniej postąpił Seweryn Pollak. W obszernej antologii „poetów radzieckich” zamieścił w dziale rosyjskim parę moich starych przekładów z Błoka, gdzieniegdzie tylko zmieniając dwa, trzy słowa, czy jakiś rym. Nic bym przeciw temu nie miał, gdyby dołączył do tego króciutką informację: „Przekłady Łobodowskiego, w przeróbce Pollaka”. Ale nie. I znowu człowiek jest całkowicie bezradny.

Ale dość tej dygresji. *Ad rem*. Niektórzy przedwojenni pomniejszyciele młodej poezji machali lekceważąco rękami. Ot, ktoś zaczął zgrywać się na mętny, kassandryczny ton i potoczyła się cała lawina. Że niby więcej w tym wzajemnego oddziaływania czy naśladowania, niż autentycznych przeżyć i przeczuć. Ważne jednak, że te przeczucia sprawdziły się, więc nie były pozą, a poza tym tendencje katastroficzne rodziły się w różnych, odległych od siebie ośrodkach zupełnie niezależnie, zatem spontanicznie. Kontakt Lublina z Wilnem początkowo zupełnie nie istniał, więc nie mogło być oddziaływania. Gdy gdzieś koło roku 1933 powstały warunki ku temu, było za późno, bo najwybitniejsi poeci znad Wilii i znad Bystrzycy już się skrystalizowali.

zowali. Co do mnie, pierwsze wiersze „katastroficzne” pisałem przed rokiem

1931, gdy o istnieniu przyszłych zagarystów w ogóle nie wiedziałem:

*Ciemne są nasze mieszkania i nędzne są nasze losy –
głęboka i zapomniana, mchami zarosła studnia;
Wieczorem niebo u góry milczeniem gwiazd zaludnia
i twarda ręka rozpaczy chwyta za włosy.*

*I nie ma na nas wyroku, nie ma na nas osądu,
co by wiechurą się zwałił w tę przestrzeń pustą.
Jest śmierć wyciągająca rękę ku ustom, jest śmierć
sypiąca popiołem
na twarz konającym łądom.*

Tom *Rozmowa z Ojczyzną* (1935) przyniósł wiele wierszy, mówiących bezpośrednio o zbliżającej się katastrofie. „Nad wrzawą słów i pułków tupotem głuchym szeroka i krwawa łuna wyrasta...” „Starannie na zagładę sposobiony

rocznik, mijamy zwiędłe, zamroczone pola”. A kiedy indziej jeszcze wyraźniej, jeszcze ostrzej, bezbłędnie nawet gdy chodzi o przybliżoną datę. Oto kilka urywków z wiersza *Samemu sobie*, pisanego na wiosnę 1934:

*...ciągnie nas ręka wiatru,
jak strzyk zarzucony na gardziel
i mamy powagę skazańców w niepewnych ruchach.*

*Za kilka lat obwieszczą
przy trąb bębnow larum
śmierć nadchodzącą nad miasto z szrapneli wyciem,*

*w oczy struchlałych mieszczan
zguba zaświeci pożarem,
rozplakatuje wyrok na życie.
Znowu napłyną na mokry tor rezerwiści,
granaty wylecą
rywalizować z gwiazdami...*

Czyta się często, że „katastrofiści” miewali mroczne, niesprecyzowane przeczu-
cia, że z trwogą, nieraz z przerażeniem
zaglądali za ciemny próg, ale nie nosi-
li w sobie „miary rzeczywistości”, któ-
ra nadchodziła. Czyżby nie znał owej
miary Czechowicz, gdy pisał – „zniża
się wieczór świata tego, nozdrza wietrzą
czerwony udój...”? Wiesław Szymański
odmówił Czechowiczowi miana kata-
strofisty, pisząc, że w jego poezji „moż-
na wykazać tylko motywy katastroficzne”.

Odróżnienie dość subtelne i chyba mało przydatne.

U Czechowicza, Miłosza, Zagórskie-
go, Rymkiewicza, u mnie wreszcie – nie
brakowało utworów, które nie tylko prze-
widowały przyszłość, ale również z góry
ją osądzały i potępiały. W jesieni 1938
napisałem wiersz pod tytułem *Noc nad
Warszawą*, wydrukowany potem w „Ska-
mandrze” (styczeń-marzec 1939). Myślę,
że mam prawo, na poparcie uprzedniej
opinii, do zacytowania najważniejszych
fragmentów tego wiersza:

*W dobie kupców, szalbierzy, tchórzów i żołdaków,
fałszerzy słów dzwoniących i nikczemnych czynów,
gdy żaden dzień nie szczędzi złowróżebnych znaków,
dokąd iść, gdzie dorabiać się wieńca z wawrzynu
na skronie zniechęcone?*

*Pustka się rozwarła,
przerażeniem śmiertelnym napływa do gardła,
obsiała wszystkie drogi, zaludniła miasta.
I w tej pustce pieśń nasza nad mrokiem wyrasta,
niestuchana, żałobna, widnieje z daleka,
jak dłoń zasypanego w zawiei człowieka.*

*Biją pod senną ziemią niespokojne tętna,
mgły północnej jesieni kłębią się w kotlinie,
widzimy:
mroczny jeździec pośród nocy stąpa,
koń zziąjany i czarny mętną wodę pije,
ptactwo się budzi, trwożne wyciągając szyje,
ludzkie tupoty słysząc, a ziemia nieskapa
na krew, nasienia czeka.
Tak północ się karmi
przezuciem nadchodzących pochodów i armii.*

*Nim w mroku się wypełnią słowa przepowiedni
i ziemia się odrodzi w krwawej zawierusze,
zdeptany burą tuną ginie dzień powszedni,
łamią się ludzkie serca i truchleją dusze;
dźwięczą srebrniki brudne; nikczemnym sztandarom
próżno skrzydła przyprowadzasz, fanatyczna wiaro!
I echo bezsilności drży w powrotnych krokach
w życie, nieprzeżalone sumieniem ni wstydem,
i nad trumnami domów budzi się epoka
posępna jak ulica, którą wolno iść...*

U innych nie zawsze ta pewność katastrofy i jej antycypowany osąd wypowiadały się w sposób równie kategoriyczny i bezpośredni, najczęściej wyroczne słowa dudniły na samym dnie, pod zwalami metafor, rzucały chińskie cienie na ściany nie spodziewających się niczego domów, na drzewa „rozkwitłe w środku nocy”, na obłoki, już pocięte spojrzeniem lęku, zanim je pocięły światła wojennych reflektorów.

„Czy zdąży kręta rzeka z braterskiej krwi odrdzawieć, nim się kolumny stolic znów podźwigną nade mną...?” (Czechowicz). „Niczego nie rozstrzygną

słupy płomienne w rzedzie, kładą się, jest kosa, będzie wichr...” (*idem*). „Na ziemi dym, umarłe chmury i nad rzekami z popiołu tlejące skrzydła i cofa się zatrute słońce, a potępienia brzask wychodzi z mórz...” (Miłosz). „Tylko widzę trumny, trumny jak łodzie na wezbranej głębinie...” (Bujnicki). „Na kołowrocie historii strzępi się dziejów nić i trwożne serce spotyka ciemna, cmentarna noc...” (Domiński). „Przepada świat jedyny śpiewu i kochania przy wrotach przed płomieniem staje groźny anioł, wskazując mieczem drogę smutku i męczarni...” (Podstawka).

Ale także konkretniej i brutalniej jak u Władysława Sebyły: „Rozgwar motorów z nieboskłonu i krok miarowy – wzywa łask Boga mocniejszych batalionów...” – jak w *Bajce o wojnie* Zagórskiego, w *Tropicielu* Rymkiewicza.

Jak widzimy, wcale szeroki wachlarz nazwisk, pochodzących z różnych środowisk poetyckich. Uderza brak na tej liście przedstawicieli awangardy krakowskiej, u której momenty katastroficzne występowały niezmiernie rzadko, albo wręcz świeciły nieobecnością. Peiper i Przyboś to przede wszystkim racjonalisci, a wiemy przecież jak bardzo bezsilny okazał się racjonalizm wobec apokaliptycznej tragedii naszego czasu. Nic dziwnego, że jej nadejścia nie przeczuli.

Ignacy Fik, krakowski awangardysta drugiego czy może nawet trzeciego rzutu, słaby poeta, ale interesujący krytyk, usiłujący zdobyć „pierwszej awangardy” ożenić z dialektyką marksistowską, na rok przed wojną ostro zaatakował „katastrofistów” (głównie Zagórskiego i Miłosza), przypisując im nawrót do romantyzmu i „grzech anielstwa”. Że niby zjawisko wojny widzą przede wszystkim w kategoriach eschatologicznych. Istotnie! Za to Fik ujrzał ją w kategoriach wyłącznie społeczno-politycznych. „Wojna – zapytywał drwiąco – kiedyż przestanie się nią u nas mydlić oczy? Jakież wartości ona zburzyła? Trzy potęgi zaborcze i wiarę w kapitalizm”.

Krakowski marksista nie dojrzał innych rzeczy, które zburzyła pierwsza wojna światowa, w całości lub częściowo, pozostawiając dokończenie dzieła zniszczenia swej następczyni: humanizmu, liberalizmu i wielu innych „nawrotnych” -izmów, odziedziczonych po wieku dwudziestym. Niestety, ów wiek przekazał nam w spadku jeszcze inne pozycje, których ciężar odczuwamy na własnej skórze po dziś dzień.

Tu pozorna dygresja – pozorna, gdyż „niejasnym przeczuciom katastroficz-

nym” dodaje argument publicystyczny, odpuszczając jednocześnie „grzech anielstwa”, z którego tak bardzo natrząsał się Ignacy Fik. Mam na myśli polemikę Jerzego Zagórskiego, jednego z najbardziej eksponowanych „katastrofistów”, z Janem Parandowskim.

Parandowski ogłosił w „Wiadomościach Literackich” artykuł, zatytułowany bodajże *Pochwała XIX stulecia*¹¹. Zestawiając minioną epokę (do roku 1914) z latami międzywojnia, autor podkreślał postępującą tolerancję i humanizm dziewiętnastowieczny i ubolewał, że nasze czasy odrzucają te wartości, rzucając się w objęcia szaleństw totalitarnych. Niewątpliwie Parandowski pragnął ostrzec przed pewnymi tendencjami nurtującymi ówczesną polską rzeczywistość, ale wypowiedź jego wypadła wielce melancholijnie i pesymistycznie, sprawiała wrażenie wieńca nieśmiertelników, złożonych na grobie niepowrotnej przeszłości.

Zagórski bardzo się tą elegijną apologią przejął, tym bardziej, że wysoko cenił i szanował pisarstwo Parandowskiego. Polemiczna odpowiedź, wydrukowana w „Kurjerze Porannym” (znowu nie pamiętam w jesieni 1938 czy na wiosnę 1939), była w swej argumentacji dość nierówna. Główny tenor artykułu sprowadzał się do stwierdzenia, że ujemne zjawiska naszego czasu tkwiły w zarodku w wieku ubiegłym. Powierzchnia

wyglądała łagodnie i zachęcająco, ale pod nią drążyły organizm Europy rozliczne choroby, których ostre objawy dały się odczuć dopiero teraz. Jakże zachwycać się przodkami, którzy pozostawili nam taki spadek! Raczej reagujemy jak w słynnej *Dumie* Lermontowa: „gorzkim szyderstwem oszukanego syna z rodzica, który zbankrutował”.

W tym krytycyzmie Zagórski nie był odosobniony. Wcześniej jeszcze Jerzy Braun w „Zecie” wyprowadzał dwie „zaraży XX stulecia”, komunizm i faszyzm, ze źródeł dziewiętnastowiecznych, na-

¹¹ Nie pamiętam dokładnie – „pochwała” czy „obrona”, co zresztą na jedno wychodzi.

zywając obydwa kierunki „strasznymi dziećmi Hegla”. Miał więc „katastrofizm” i swoje uzasadnienia racjonalistyczne wbrew temu, co krótkowzrocznie zarzucali mu przeciwnicy, z zacytowanym już Fikiem na czele.

Kazimierz Wyka, pisząc w „Twórczości” w rok po wojnie (maj 1946) o to-mie Miłosza *Ocalenie* (weszły do niego także przedwojenne wiersze z *Trzech zim*), spróbował jednocześnie dać syntezę katastrofizmu i wystąpić w roli jego obrońcy. Udało mu się to połowicznie. Słusznie jednak zaprotestował przeciw prymitywnej interpretacji poezji katastroficznej jako „świadczenia bezsilnej rozpacz, jako ucieczki od historii i rozumu w eschatologię”¹²

Wyka z pełną racją wskazał, że „element katastroficzny jest elementem o c z y s z c z a j ą c y m”.

Groza i katastrofa – pisał nieco dalej – spadająca na nieczysty świat w takich wizjach, czy apokalipsach jest zawsze aprobowana przez tego, kto wizję tworzy. Zanim nieczysty świat zginie rzeczywiście, najpierw *in effigie* jest niszczone przez nienawidzącą go, a rozgorączkowaną wyobraźnię. Dzieje się to, by po zniszczeniu nastąpiło wyzwolenie i oczyszczenie. Jest to katastrofizm, żeby tak rzec, służebny.

Ale Wyka pisał cytowane słowa w warunkach powoli narastającego skrępowania, które rychło miało przerodzić się ordynarny przymus i terror administracyjny, więc nie obeszło się bez tęgiej warząchwii marksistowskiego dziegciu. Marksisci za wszelką cenę szukali korzeni katastrofizmu w socjologii.

„Mit eschatologiczny – pisał w „Kuznicy” S.A. Majewski, którego opinię Wyka przytacza w tejże recenzji – powstaje w środowisku społecznym, nie widzącym przed sobą przyszłości, to znaczy, w takich społeczeństwach, w których upadek klasy rządzącej jest równoznaczny z upadkiem państwa, tej najwyższej formy organizacyjnej społeczeństwa.

Po przyznaniu tej prymitywnie tan-detnej formułce zasadniczej racji, Wyka popadł w równie zasadniczą sprzecz-

ność. Tylko o jednym Miłoszu napisał, że niekiedy przejawia się w jego poezji poczucie katastrofy jako o c z y s z c z e - n i a . Ale tylko „niekiedy” i w niewyraźnym kształcie. O innych twierdził kategorycznie, że wieszczą zagładę, ale jej nie udzielają moralnej i uczuciowej aprobaty. „Są w sieci przeczucia, ale przeczucie nie oczyszcza”. Wyka dodał, że tylko taka interpretacja „jest zgodna z tekstami poetów”.

Czyżby? A cóż znaczy wiersz „nim ziemia się odrodzi w krwawej zawierusze” z cytowanej powyżej *Nocy nad Warszawą* albo czechowiczowskie, bardziej metaforyczne: „mówię wam... runą mury Jerycha...”? Najzupełniej jednoznaczny jest tekst Miłosza: „Po trzykroć muszą zwyciężyć kłamliwi, zanim się prawda wielka nie ożywi...”. Wyka go przytacza, ale u uważa za odstępstwo, nie za regułę. To opinia zbyt dowolna, aby mogła być prawdziwą.

A cóż z socjologią? Wysunięto argumenty: jeden gospodarczy, drugi – polityczny. Wielki kryzys gospodarczy lat 1929-1934 i groźba nadciągającego faszyzmu. Powiedzmy, że katastrofizm poetycki wykrystalizował się i okrzepł w latach, gdy wielki kryzys już się prze-siłał, zaś mroczne przeczucia nabierały jasności w ostatnich latach przed wojną, kiedy kraj zaczął szybko wydobywać się z gospodarczego marazmu. Na wykresie graficznym linie nie koincydują.

Skoro już wleźliśmy w socjologię, nie od rzeczy będzie przypomnieć, że niemal wszystkim „katastrofistom” powodziło się finansowo w tym ostatnim okresie dobrze, niektórym bardzo dobrze. Także ustabilizowali się społecznie. Jeżeli więc „byt określa świadomość”, katastroficzne nastawienia powinny były słabnąć. A tu akurat odwrotnie – wzrastały. Więc kto by zechciał upierać się przy sprawdzianach socjologicznych, musi zdobyć się na operowanie narzędziami bardziej precyzyjnymi.

¹² Jakaż tam „ucieczka od historii i rozumu”, skoro np. autora wspomnień stać było na przewidzenie antypolskiego sojuszu hitlerowsko-sowieckiego już wczesną wiosną 1939 roku, a więc na pięć miesięcy przed paktem Ribbentrop-Mołotow, *vide* skonfiskowany artykuł w „Wiadomościach Literackich”. A znowu autorem jedynego artykułu, w którym dokładnie został opisany przebieg kampanii wrześniowej, był K.W. Zawodźniński, teoretyk wersyfikacji i krytyk poetycki. Prawda, jakie to zabawne?

Poeci owego pokolenia nie byli kanarkami ani słowikami. Czytali dzienniki, czujnie śledzili wydarzenia polityczne. *Oda na spadek funta* – taki tytuł w debiutanckim tomie młodego liryka musi zastanowić. Jednak wróżb i przeczuć nie można wmontować w żaden wehikuł ideologiczny. Kto tego próbował, boleśnie parzył sobie ręce. Marksista rozstrzyga takie sytuacje bez trudu: zdeklasowali się, więc nie poszli z mieszczańskim faszyzmem; nie stać ich było na właściwą krystalizację ideową, więc nie doszłusowali do proletariatu, świadomego właściwego kierunku dziejów.

Tu i ówdzie czytam o podziale na „czarnych” i „czerwonych”. Na linii tego podziału mieli rzekomo miotać się zrozpaczeni poeci i, nie mogąc wybrać, rzucali się na osłep w katastroficzną eschatologię. Wydaje mi się, że młoda poezja polska wkroczyłaby, gdyby nie wojna, w okres płodnego uspokojenia i dojrzałości. Ale czy wolno snuć takie przypuszczenia, skoro wszyscy czuliśmy – niektórzy wiedzieli poza wszelką wątpliwością – że nadejście katastrofy jest nieodwołalne? Świadomość tym bardziej tragiczna, że niejeden z nas dostrzegał budzące radość zmiany w życiu społeczeństwa, często niezależne od prowadzącej góry, a nieraz nawet sprzeczne z jej nastawieniem. Żaden socjolog nie wziął jeszcze na warsztat owych ostatnich lat 1938-1939. Zanim zaczęły kiełkować, już spadł na nie huragan ognia i żelaza. Dotyczy to również ówczesnej młodej poezji. Czytelnik zechce zważyć, że w fatalnym wrześniu 1939 roku tylko nieliczni z pokolenia „katastrofistów” przekroczyli granicę trzydziestu lat. Dla wielu przekroczenie tej granicy zakończyło wszelkie rachunki z życiem doczesnym.

Postscriptum bardziej osobiste

Jeszcze kilka słów na własny temat. Trudno, gdy inni fałszują czyjaś biografię, zainteresowanemu wolno protesto-

wać i prostować. Lata płyną, przyjdzie dzień, gdy będzie już po niewczasie. Coraz to cytowałem w tych wspomnieniach *Cyganerię* Mrozowskiego, w której o mieszkańcach „wspólnego pokoju” najwięcej. Ja sam występuję w niej w kilkudziesięciu miejscach, przy czym swoistemu przedstawieniu okoliczności mego zerwania z komunizmem autor poświęcił całe sześć stron.

Nazwałem *Cyganerię* książką nieuczciwą i paszkwilancką – trzeba to udowodnić. Jest niechlujna w szczegółach, Mrozowski nawet nie zadał sobie trudu skonfrontowania dat i sprawdzenia nazwisk. Tak np. na stronie 26 Witoldowi Chomiczowi przerabia imię na Paweł, zaś na stronie 221 podaje, że „Gospodę pod złotą kaczką na Królewskiej prowadziła pani Tomaszowa Arciszewska”. Oczywiście, żona wybitnego działacza socjalistycznego nie miała nic wspólnego ze „Złotą kaczką”; chodzi o panią Zofię, zamężną za pułkownikiem, Franciszkiem Adamem Arciszewskim. Od takich niedokładności w *Cyganerii* aż się roi.

Załóżmy, że nie było w tym złej woli – zwykłe niechlujstwo¹³. Niemniej, jeśli chodzi o mnie, Mrozowski zmyśla z całą świadomością. I przy tej okazji tak zaplątał się w faktach

i datach, że zapewne już sam nie potrafiłby połapać się w swoich łgarstwach. Chodzi mi głównie o wydarzenia pierwszych trzech miesięcy roku 1934, o zasadniczym znaczeniu dla moich dalszych losów. Mrozowski wypisał na ten temat całą sheherezadę.

W styczniu przewieziono mnie z Równego do wojskowego szpitala okręgowego w Chełmie. W szpitalu równiejskim nie było Roentgena i chirurg nie mógł stwierdzić, gdzie utkwiała kula. Okazało się, że ześliznęła się wzdłuż żeber i zatrzymała się w przeponie brzusznej. Po kilku dniach odwiedził mnie redaktor chełmskiej „Kameny”, K. A. Jaworski, który nieco później spowodował wizytę Mrozowskiego.

¹³ Równie niechlujny jest w swoich wspomnieniach literackich z tychże lat Jerzy Putrament, *Pół wieku*, tom I.

„Pogoda była piękna – opowiada nasz bajkopisarz – wyszliśmy więc do ogrodu szpitalnego... Wiosna chełmska była w pełni...” Istotnie! Stał trzaskający mróz, ogród zavalony śniegiem, zaś Łobodowski przez pierwszy tydzień w ogóle nie był w stanie poruszyć się, coś dopiero chadzać na spacer. Ale to jeszcze głupstwo. Z dalszej lektury okazuje się, że Mrozowski wizytę z końca stycznia 1934 roku przeniósł na maj 1933. I znowu spróbuję być wyrozumiałym. Mogły mu pomylić się daty, bądź co bądź tyle już lat upłynęło od tego czasu. Może to nieświadome przekręcenie...

Ba! O kilka stron dalej Mrozowski z całą powagą opisuje jak wkrótce potem, tejże wiosny, zjawił się w Warszawie, gdzie spotkał się z Czechowiczem i Domańskim.

Teraz dopiero – zmyśla nasz filut – przypomniałem sobie, że nie powiedziałem o wypadku Łobodowskiego. Byli przekonani, że żartuję, choć mówiłem serio. Później byli bardzo przejęci. Pytali o szczegóły, których, niestety, nie znałem. Do dziś zresztą nikt ich dokładnie nie zna. Domański zaczął dowcipkować na temat niedoszłego samobójcy...

Tu już nie może być mowy o zawodnej pamięci, ani przypadkowej pomyłce, tu mamy do czynienia z beczelnym łgarstwem. Czechowicz i Domański nie żyją, Łobodowski siedzi w Madrycie, prostoować na miejscu nie jest w stanie. A jakże było naprawdę?

W drugiej połowie lutego, niby już wykurowany, ale jeszcze poruszający się z pewnym trudem (kula pozostała w przeponie i dolegała), wróciłem do podchorążówki, gdzie zastałem wiadomość, że jestem przeniesiony do kompanii 45 P.S.K. Dzięki przychylnemu stosunkowi dowódcy kompanii otrzymałem dwutygodniowy urlop zdrowotny, co zbiegło się z zaproszeniem do wzięcia udziału we wspomnianym już wieczorze poetyckim, „Najazd awangardy na Warszawę”. Popołudniu tegoż dnia, gdy miało odmeldować się u sier-

żanta-szefa, przyszedł rozkaz osadzenia mnie w więzieniu, a po czterdziestu ośmiu godzinach, już w Lublinie, zapoznałem się z aktem oskarżenia. Przy poprzedniej rewizji znaleziono w szafce sporo rękopisów, na podstawie których uznano, że uprawiałem w podchorążówce propagandę antypaństwową. Ano, pięknie!

W wieczorze, rzecz prosta, osobistego udziału nie wziąłem, ale odczytano parę moich wierszy, w tym *Piłsudskiego*. Wśród słuchaczy już rozeszła się wiadomość o moim uwięzieniu. Z miejsca zainteresowała się całą sprawą obecna na sali Kazimiera Iłakowiczówna i nazajutrz zaczęła działać. Niezawodna Iłła-Ałła zaagitowała Ignacego Matuszewskiego, ówczesnego redaktora „Gazety Polskiej”, uderzyła do wyższych wojskowych. Czechowicz ze swojej strony również poruszył różne sprężyny. Poszły interwencje i naciski do Lublina. Dowódcą O.K. był wtedy generał Dobrodzicki. Nie bardzo wiedział co z tym fantem począć, aż ktoś z jego otoczenia wpadł na szczęśliwy pomysł, żeby sprawdzić, czy akt oskarżenia został już mi wręczony, bo jeżeli nie, wyjście znajdzie się bez trudu.

Istotnie, prokurator oskarżenia jeszcze nie wygotował: wertowanie wierszy zabrało mu zbyt dużo czasu. Dobrodzicki podpisał rozkaz, usuwający mnie z wojska na okres pięcioletni, bo tyle wynosiły zawieszenia różnych wyroków, po czym sprawę przekazano sądowi cywilnemu, a mnie zwolniono z więzienia. W parę miesięcy później sędzia śledczy w Łucku sprawę umorzył. Podpis Dobrodzickiego, złożony pod tym rozkazem, był bodaj ostatnim w jego życiu: generał zmarł w niewiele dni po opisanych wypadkach.

Jeszcze w więzieniu otrzymałem parę listów od Czechowicza, informujących o przebiegu starań. W kwietniu na święta Wielkiejnocy zebrała się prawie cała dawna paczka lubelska: Cze-

chowicz, Domiński, Miklaszewski, Wójcik, Madej i ja, a po tygodniu już byłem w Warszawie. A tu Mrozowski opowiada, że nikt o niczym nie wiedział, że to dopiero on poinformował wszystkich o moich przypadkach! I to w maju, gdy już było dawno po całej sprawie, wcale głośniejszej w środowisku nie tylko literackim.

Podobnych zmyślań nie oszczędził Mrozowski innym, opisywanym przez niego pisarzom. Ciekawe – *Cyganeria* wyszła w dość wysokim, jak na stosunki polskie, bo dziesięciotysięcznym nakładzie. Obracające się w kręgu tych samych spraw i zagadnień wspomnienia Piętaka i *Ballady przed burzą* Szymańskiego otrzymały tylko po t r z y tysiące. Książki te potraktowane więc zostały przez wydawców w sposób wręcz odwrotny do ich wartości dokumentarnej i literackiej.

I nie bez kozery. Z kart *Cyganerii* wyłania się rozpaczliwy obraz młodego środowiska literackiego tamtych lat. Nędza, pluskwy, pijaństwo, awantury, brak stałej pracy zarobkowej, represje polityczne. Widzicie – w takich strasznych warunkach musieli żyć i pracować młodzi pisarze w Polsce kapitalistycznej! A do tego autor starannie oplotł Łobodowskiego,

więc zasłużył na wysoki nakład. Na takie zbożne cele papieru nie brakuje!

*

Nie roszczę sobie pretensji do wyczerpania materiału przedstawionego w *Cyganach i katastrofistach*. Sądzę przecież, że dorzuciłem sporo istotnych informacji i że w jakimś stopniu udało mi się oddać atmosferę środowiska. Nie mogłem uniknąć tu i ówdzie tonu polemicznego, gdyż należało prostować błędy i pomyłki, zarówno merytoryczne, jak interpretacyjne, a znalazłem ich w cytowanych książkach i artykułach niemało.

Być może, i ja sam popełniłem jakieś drobne błędy, starałem się jednak pisać tylko o tych sprawach, które dobrze zapamiętałem. Gdy nie byłem czegoś pewny, unikałem wypowiedzi kategorycznych. Mogą się te wspomnienia okazać pożyteczne i dla czytelnika krajowego. „Kultura” wprawdzie nie ma debitu, ale mimo wszystko do Polski dociera. Miałem na to dowód bardzo niedawno, gdy autor artykułu o Czechowiczu, wydrukowanego na łamach pisma komunistycznego w dwudziestopięciolecie śmierci, uwzględnił jedną z moich poprawek („Kultura” Nr 7/201-8/202). Naturalnie, źródła wołał nie podawać, ale dobre i to.

Irena Szypowska Rozmowa z Józefem Łobodowskim

Irena Szypowska: W ostatnich latach możemy obserwować już pewne zaspokojenie zainteresowań Skamandrem i Awangardą Krakowską, skupienie zaś uwagi na tych poetach, dla których obie te formacje były wprawdzie szkołą poezji, ale szkołą, po której ukończeniu młodzi, debiutujący w latach trzydziestych, znaleźli własny „Trzeci Wyrz”. Występowali w Wilnie, Łodzi, Lublinie, a po słynnym „najeździe Awangardy na Warszawę” wielu, tak jak pan, osiadło w stolicy. Ukazało się w kraju kilka książek, gdzie jest mowa także o pańskiej twórczości z okresu międzywojennego, wśród nich znany już panu *Lublin literacki 1932-1982* redagowany przez Michalskiego i Ziębę, *Poezja ziemi Janusza Kryszaka* oraz książka Marka Zaleskiego *Przygoda Drugiej Awangardy*, którą tym razem przywiozłam panu z Warszawy. Czy zdążył pan się zapoznać z tym, co Zaleski o panu pisze?

Józef Łobodowski: Książka Zaleskiego zdziwiła mnie, bo tam jest dokładnie opisane moje pierwsze wystąpienie *Smutne porachunki* na łamach „Wiadomości Literackich”.

O drugim artykule, który się ukazał wkrótce potem, nie wspomina. Ten drugi artykuł zatytułowany *Uzurpatorzy wolności*, był ostrzejszy. Ale to, że zacytował moje racje moralne i antysowieckie, czytałem ze zdumieniem: że taka rzecz mogła się ukazać! Chyba cenzor zasnął przy czytaniu tej książki.

Wie pan, to już było dawno, pięćdziesiąt lat temu...

Ale książka się ukazała teraz!

Lecz mówi już o historii...

No cóż... Zaczęłam pisać wiersze bardzo wcześnie, właściwie w roku 1922, w którym wróciliśmy do kraju. Miałem wtedy 13 lat. Chwalić się nie mam czym, bo wszystko, co wtedy pisałem było do

luftu. Później, w gimnazjum, nasz polonista, wiedząc, że są w klasie zainteresowania literackie (między innymi tam był nieżyjący już dzisiaj Stefan Kunowski, który potem skończył Uniwersytet Katolicki i został na tym uniwersytecie po wojnie profesorem filozofii), zaproponował, żebyśmy zaczęli wydawać szkolne pismo, miesięcznik.

Były wysuwane różne projekty tytułu i profesor powiedział: załatwimy to demokratycznie, przez głosowanie. Kunowski zgłosił projekt „W Słońce”. Tytuł bardzo mi się nie podobał, ale trudno, jak demokracja, to demokracja. Zostałem redaktorem. Nie pamiętam już dokładnie, ile czasu to pismo wychodziło. W każdym razie w ósmej klasie już przestałem być redaktorem, bo zostało ustalone, że musi nim być uczeń siódmej klasy – w ósmej trzeba się przygotowywać do matury.

Potem te pisma, które pan redagował, nosiły, oczywiście, zupełnie inne tytuły, ale „Słońce” pojawiło się jeszcze.

„Słońce” pozostało w tytule pierwszego tomu: *Słońce przez szpary*. Tak się złożyło, że kiedy ten tom wyszedł, w „Wiadomościach Literackich” ukazał się wspomnieniowy artykuł Juliana Tuwima o tym, jak on jako młody chłopak posłał swoje wiersze ubóstwianemu przez niego Leopoldowi Staffowi i Staff go zachęcił do pisania. Więc ja znowu zachęcany tym artykułem posłałem mu *Słońce przez szpary*. List w odpowiedzi był bardzo krótki, ale pamiętam go po dziś dzień, mimo, że minęło już pięćdziesiąt sześć lat: „Za dużo w tomiku wierszy, za dużo w wierszach słów, ale i są bardzo dobre”, w nawiasie tytuł – *Atawizm*.

Potem wyszły dalsze tomy, trzeci z kolei, *O czerwonej krwi*, został skon-

„Poezja” nr 6, 1988,
s. 18-28.

fiskowany. Konfiskata zresztą zupełnie bezsensowna, dlatego, że wiersze w tym tomie były, powiedzmy, rewolucyjne i określane jako amoralne, ale to były przecież tylko echa lektur. Na rozprawie sądowej spytałem więc: „Dlaczego wiersze Carducciego są polecane w gimnazjach jako lektura nadobowiązkowa, czy dlatego, że otrzymał Nagrodę Nobla? Bo przecież u Carducciego jest dużo wierszy rewolucyjnych, ateistycznych, np. *Hymn do szatana*, który tutaj naśladowałem. A właśnie ten wiersz był jednym ze skonfiskowanych. Wobec tego wycofajcie Carducciego z bibliotek szkolnych!”

Czy pan się bronił sam?

Nie, bronił mnie Konrad Bielski, dobry poeta, ale potem skończył prawo, ożenił się, był w Krasnymstawie adwokatem, a wiersze wówczas przestał pisać.

Niedawno wydał wspomnienia z lat międzywojennych *Spotkania z Kazimierzem o malarzach i pisarzach tam tworzących*.

Wracając do Zaleskiego... Myli się on w paru miejscach. Piszze np., że dostałem Nagrodę Młodych za *Rozmowę z ojczyzną*. Nie. *Rozmowa z ojczyzną* była brana pod uwagę, ale nagrodę otrzymał wtedy Świątoplek Karpiński. To był rok 1936.

A pan otrzymał w 1937?

W 1937 za tom wierszy *Demonom nocy*. To jeden błąd. Drugi błąd: napisał, że wiersz *Do prokuratora*, też skonfiskowany, ukazał się w „Barykadach”. Nie. Ukazał się w miesięczniku „Trybuna”, który był miesięcznikiem Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej w Lublinie. Byłem wtedy członkiem redakcji tego czasopisma. Piszze też o tym wieczorze literackim w Warszawie, który zorganizował Legion Młodych, a dokładnie Wacław Zagórski, młodszy brat Jerzego (obaj nie żyją, Wacław umarł w Londynie, Jerzy w styczniu 1985 roku w Warszawie). Protektorat objął Juliusz Kaden-Bandrowski, który był przed sekretarzem świeżo powołanej Akademii Literatury. Mnie tam nie było. bo wprawdzie dostałem w przeddzień wyjazdu urlop i miałem

wyjechać do Warszawy na ten wieczór, ale zostałem aresztowany.

To był urlop z wojska.

Byłem wtedy w podchorążówce przy 44 Pułku Strzelców Kresowych w Równem, ale przyjeżdżałem do Lublina jeszcze przed przysięgą, co było wyjątkowe, na wezwanie sądu jako oskarżony. W marcu zostałem na skutek tych wyroków wyrzucony z podchorążówki i przydzielony do 45 pułku piechoty (też garnizon równieński).

Rozprawy sądowe były bardzo zabawne, bo sąd okręgowy skazał mnie na dwa i pół roku więzienia z zawieszeniem na pięć lat. Poszła apelacja zarówno prokuratora, jak też mego obrońcy i sąd okręgowy obniżył mi karę do dwóch lat, ale zniósł zawieszenie. Oczywiście wyrok był nieprawomocny jeszcze; Konrad Bielski dał mi wtedy list do Breitera. Pojechałem do Warszawy i Breiter zaprowadził mnie od razu do „Wiadomości Literackich” Grydzewskiego, a ten zwołał naradę. Przyszedł Tuwim, przyszedł Kazimierz Wierzyński. Nie posiadali się z oburzenia. Już były w Polsce konfiskaty, ale wyroku skazującego, i to na dwa lata więzienia, nie było. Breiter wystąpił na rozprawie przed Sądem Najwyższym, ten zniósł wyrok sądu apelacyjnego w Lublinie i przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia sądowi apelacyjnemu w Warszawie, motywując to tym, że atmosfera, jaka się wytworzyła w Lublinie, nie daje gwarancji sprawiedliwego wyroku.

Kiedy wróciłem do Lublina i poszedłem do kawiarni, gdzie się zbierała cała śmietanka lubelskiej inteligencji, nie chciano mi wierzyć i zrobił się popłoch, bo po wyroku sądu apelacyjnego nakład został zniszczony, a to było bezprawne. I teraz zastanawiali się: a jeżeli sąd apelacyjny w Warszawie uniewinni mnie i zniesie konfiskatę, to kto za to zapłaci? Będzie kompromitacja. Oczywiście poszły do Warszawy poufne wiadomości na ten temat i sąd apelacyjny w Warsza-

wie skazał mnie za użycie kilku amoralnych słów w tych wierszach na sześć miesięcy, darowanych na mocy amnestii, ale konfiskata została tym samym zatwierdzona.

Jaki był nakład tego tomu?

Dwieście pięćdziesiąt egzemplarzy. Skutki były takie, że na palestrę lubelską padł błdy strach i wszystkie dalsze sprawy, o wiele gorsze od tej, pozawieszano mi: dostałem pół roku, dostałem rok – wszystko mi zawieszono na pięć lat. Kiedyśmy to opijali z przyjaciółmi w Lublinie w 1934 roku, powiedziałem im: „Beze mnie nie może być wojny, więc wojna najwcześniej wybuchnie w 1939 roku”. Oby mi był język skołowacia! Zawieszenie skończyło mi się w marcu 1939. i zostałem włączony do 21 pułku tzw. Dzieci Warszawy w Warszawie, bez obowiązku odslugiwania reszty wojska. 27 sierpnia zostałem zmobilizowany.

No, ale teraz co z aresztowaniem wojskowym? Zaleski pisze, że mnie nie było na tym wieczorze – słusznie, ale Czesław Miłosz, kiedy wspomina „nawjazd Awangardy na Warszawę”, pisze, że byłem. Zaleski podaje całą listę osób: z Krakowa – Przyboś, Brzękowski, Czuchnowski i Pięta, z Lublina – Czechowicz, Michalski i Domiński, z Wilna – wszyscy żagaryści: Zagórski, Miłosz, Maśliński, Rymkiewicz i jeszcze ktoś piąty, z Warszawy – Ważyk i Iłakowiczówna. Dodaje urywek ze sprawozdania w czasopiśmie „Kobieta Współczesna”. Sprawozdawczyni napisała, że największe wrażenie zrobił wiersz Łobodowskiego *Piłsudski*, recytowany przez Henryka Ładosza (na ogół recytowali sami poeci).

Kazimiera Iłakowiczówna była wówczas osobistą sekretarką Piłsudskiego, to była wprawdzie funkcja raczej honorowa, ale w wojsku miała swoje wpływy, bardzo się moją sprawą zainteresowała i zaczęła od generała Dobrodzickiego, dowódcy okręgu lubelskiego – bo byłem przewieziony do Lublina. (Nie

wiem, czy pani pamięta kościół św. Józefa, pokarmelicki? Tam było więzienie). I Dobrodzicki dostał po prostu dobrą radę od Kazimierzy Iłakowiczówny: żeby mnie zwolnić. Zapytał kogo trzeba, czy już dostałem akt oskarżenia, bo przepis był taki: jeżeli oskarżony dostał akt oskarżenia, to musiał stanąć przed sądem wojskowym, a jeżeli nie, to można było sprawę przekazać do sądu cywilnego. Ponieważ akt ten nie został mi doręczony, Dobrodzicki podpisał wyrzucenie mnie z wojska na pięć lat, bo na tyle opiewały wyroki zawieszenia. Wyszedłem na wolność. I właśnie wtedy, uniesiony proroczym duchem, powiedziałem wszystkim: przez pięć lat wojny nie będzie!

Zdaje się, że te wszystkie konfiskaty i sprawy sądowe nie miały żadnego wpływu na pana twórczość, czyli że żadnego „wychowawczego” skutku nie odnosiły?

Miały wpływ! Budziły we mnie zajądlność: jak wy tak, to ja wam pokażę!

Kazimierz Wyka w jednym z artykułów pisanych przed wojną, próbując wedle swojej pokoleniowej miary porządkować literaturę tego okresu, przedstawicielem generacji najstarszej czyni Zenona Przesmyckiego, średniej – Juliusza Kadena-Bandrowskiego, a pana uważa za przedstawiciela najmłodszego pokolenia.

Adolf Nowaczyński napisał w miesięczniku endeckim, biadając nad niskim poziomem młodej literatury, że nie ma ani jednego talentu w roczniku 1909. Tymczasem z tego rocznika byłem ja, Czuchnowski, Pięta i Andrzejewski. Najlepsze artykuły o mnie napisali Kubacki, Wyka i Tymon Terlecki. Terlecki zatytułował swój: *Wiersze Cezarego Baryki*. To był bardzo celny artykuł. Kiedy wróciłem, mając trzynaście lat, z Północnego Kaukazu (przedtem byliśmy w Moskwie), byłem bardzo antysowiecki. Widziałem, jak Kozacy wieszali czerwonych, a potem czerwoni rozstrzelali Kozaków i zastanawiałem się, jak mogło dojść do tyłu barbarzyńskich czynów.

Doszedłem do wniosku, że te wszystkie akty były konsekwencją wielowiekowej niesprawiedliwości społecznej. A zorientowałem się szybko, że w Polsce nie ma owej sprawiedliwości. Jak więc uniknąć takich samych rzeczy na przyszłość? No i uwierzyłem, że komunizm (a komuniści byli zawsze mistrzami w upowszechnianiu tej wiary) przyniesie sprawiedliwość społeczną. Potem zacząłem wątpić. Z lektury – w słuszność teorii, a z praktyki przestawałem wierzyć w to, co mi mówiono. Tę sprawę omawiam w swoich wspomnieniach, które wyjdą może jeszcze w tym roku, najpóźniej w przyszłym. Było kiedyś zebranie partyjne, ja do partii nie należałem, ale mnie zapraszano...

To była KPP?

Tak. Na tym zebraniu postawiono pytanie: czy należy wydawać zakamuflowane czasopismo, czy wydać jednodniówkę, z góry licząc się z tym, że zostanie skonfiskowana. Była dyskusja na ten temat i najstarszy pan, który nie brał udziału w dyskusji, tylko się jej pilnie przysłuchiwał, podziękował nam: „Dyskusja była bardzo ciekawa, ale nie możemy podjąć decyzji teraz, bo w Charkowie odbędzie się za miesiąc zjazd pisarzy proletariackich, z udziałem także zagranicy, a więc zapowiedzieli się: Romain Rolland, Bernanos...” Poderwałem się i powiedziałem: „A co nas obchodzi, co oni tam uchwalą? Co Romain Rolland wie o życiu robotnika czy chłopca lubelskiego? A nawet Ilia Erenburg, co on wie?” Z miejsca zostałem oskarżony o odchylenie nacjonalistyczne. Od tego się zaczęło, to był właściwie punkt zwrotny, to mi potwierdziło wszystkie moje poprzednie podejrzenia.

W 1935 roku dojrzała decyzja, żeby pojechać nielegalnie do Związku Sowieckiego i przekonać się, jak ta rzeczywistość tam naprawdę wygląda. Oczywiście wróciłem całkowicie wyleczony. Posłałem do „Wiadomości Literackich” mój pierwszy artykuł *Smutne*

porachunki. Ukazał się w październiku 1935 roku i wywołał rzeczywiście w prasie literackiej całą burzę, o której Zaleski słusznie pisze. Artykuł *Uzurpatorzy wolności* ogłosiłem pod koniec wiosny albo na początku lata w 1936 – był bardziej zasadniczy i o wiele mocniejszy od tamtego. No, widocznie już Zaleskiemu nie wypadało o tym wspominać. W skrócie tak to wyglądało. Oczywiście, w swoich wspomnieniach opisuję to bardzo dokładnie.

I jak przyjęto pańskie przeobrażenie?

Był taki pisarz z Lublina, rozstrzelany później przez Niemców we Lwowie razem z żoną, Bolesław Piach. Piach to był jego pseudonim, właściwie nazywał się Zandberg. To był Żyd, tak jak i jego żona. Więc ten Bolesław Piach powiedział mi: „Twoje wystąpienie bardzo zaszkodziło w tworzeniu wspólnego frontu, głównie na odcinku młodzieżowym”. Nazywano mnie „bohaterskim tenorem rewolucji”, i jeżeli bohaterski tenor rewolucji się wylała, no to...

Był taki tygodnik komunistyczny wychodzący w Warszawie „Lewar”. Tam największe wpływy miał dobry zresztą poeta, Lucjan Szenwald. Jego *Kuchnia mojej matki*, drukowana w „Wiadomościach Literackich”, to był bardzo dobry poemat, natomiast duży poemat *Scena przy strumieniu* był skażony propagandą i nieudany. Napierski w swoim piśmie, miesięczniku „Ateneum”, krwawo go wytkpił. Lucjan Szenwald napisał o *Smutnych porachunkach*: „myśmy pierwsi go uderzyli i dlatego jest smutny”.

Mówi się o tym, że patronem tego środowiska, i pańskim także, był Brzozowski...

Brzozowski do pewnego stopnia. Ale jest w tym dużo przesady. Brzozowski wywarł o wiele większy wpływ na wilnian.

Pierwsze pana utwory, te, które były drukowane w *Gwiezdnym psalterzu* nie są jeszcze oryginalne, nie mają własnego stylu.

Tak, to wtórne rzeczy. Proszę zwrócić uwagę (sięga po tom *Dwie książki* z 1984

roku leżący na stoliku), że nota bibliograficzna zaczyna się od *Rozmowy z ojczyzną*, a poprzednich czterech książek nie ma, uważam je za „grzechy młodości”. Z tomów przedwojennych są jeszcze tylko: *Demonom nocy* i *U przyjaciół* – przekłady z poetów rosyjskich – Lermontowa, Błoka, Majakowskiego i Jesienina. **Pisze pan we wstępie, że byłoby tych wierszy znacznie więcej, gdyby nie to że nie starczyło wtedy papieru. Ale to był zaledwie początek tej działalności, którą pan ciągle uprawia, przekładając poezję ukraińską, rosyjską, białoruską i hiszpańską.**

Wydadzą mi wkrótce w Kanadzie dwutomową antologię przekładów z poetów ukraińskich. W Polsce wyszła wprawdzie antologia literatury ukraińskiej, ale różna od tej, którą ja przygotowuję. Rosjanie, a za nimi polscy autorzy tego wyboru, uważają, że średniowieczna literatura kijowska należy do literatury rosyjskiej. U mnie poezja ukraińska zaczyna się od *Słowa o pułku Igora* powstałego na przełomie wieku dwunastego i trzynastego, kiedy nie było jeszcze ani Rosji, ani rosyjskiego języka. W tej antologii nie ma też bardzo wartościowej poezji emigracyjnej międzywojennej i powojennej, a u mnie jest. Większość z tych poetów poumierła, ale poeta nigdy nie umiera całkowicie, jeśli zostają po nim dobre wiersze. Więc to będzie pierwsza pełna antologia poezji ukraińskiej w języku polskim.

Oprócz tego przygotowałem antologię poezji białoruskiej – jeszcze nie wiem, kiedy ona wyjdzie. Marzę też o wydaniu dużego wyboru poetów rosyjskich, pod tytułem, który jest kombinacją tytułu książki Józefa Wittlina *Orfeusz w piekle XX wieku* i książki Józefa Czapskiego *Na niehumanitarnej ziemi*, czyli: „Orfeusz na niehumanitarnej ziemi”. I tam będzie kilkunastu poetów.

Erenburg swego czasu napisał – to było po śmierci Stalina, kiedy nastąpiła pewna odwilż, zresztą wkrótce zamarzała – że poezja rosyjska zaczęła się od

dwóch, którzy zginęli w pojedynkach: Puszkina i Lermontowa, a zakończyła się dwoma samobójcami: Majakowskim i Jesieninem. Otóż, powiedzmy sobie, że nie. Jesienin popełnił samobójstwo przed drugą wojną światową, Majakowski – także, a Marina Cwietajewa, wybitna poetka, powiesiła się w czasie wojny, a bardzo wybitny poeta, urodzony w Warszawie, Osip Mandelsztam, zamęczony został w obozie... Dodajmy, że gdyby jego ojciec nie przeniósł się z Warszawy do Petersburga wkrótce po urodzeniu syna, Osip pisałby po polsku i byłby polskim poetą. Ale tam będą nie tylko samobójcy i nie tylko ci, którzy zginęli w pojedynkach.

Tom zaczyna się od Rylejewa, który został powieszony za udział w spisku dekabrystów i obejmuje tych wszystkich, których twórczość degradowano albo którzy zostali zastraszeni, jak na przykład Anna Achmatowa, która przez lata całe nie mogła niczego drukować. Borys Pasternak uratował się dzięki temu, że uciekł w przekłady Szekspira, bo czekałoby go to samo, co Kamieńskiego. To był mistrz Majakowskiego, przeżył uczenia, został aresztowany o wiele później i zginął w obozie. A zna pani historię pisarza, który napisał list do Stalina wierszem i ten wiersz kończył się tak: „Daj żyć il’ umieriet’ pazwol”? Stalin okazał się wspaniałomyślny: pozwolił mu umrzeć.

Lechoń, kiedy pisał o panu w *Dzienniku*, stwierdził, że jest pan jedynym romantykiem XX wieku, romantykiem nie tkniętym przez te sto lat, które nas dzielą od „szkoły ukraińskiej”, że „tarza się” pan w Ukrainie jak pijany, mającąc przeszłość i przyszłość, Piłsudskiego i Chmielnickiego, Słowackiego i Szewczenkę. Co pan na to?

Znam wszystko, co on o mnie napisał. Lechoń w Nowym Jorku był już zupełnie psychicznie rozbity. Strasznie cierpiał nad zanikiem możliwości twórczych. Pisał długo, przeważnie źle, chociaż czasami mu się udawały i dobre wiersze, na przykład ten o Janie Potockim, ale

to były wyjątki. Zdawał sobie sprawę z tego, że pisze coraz gorzej.

Ale czy pan się zgadza z tym, co pisał o panu?

Nie. Przecież kiedy wyszła *Złota hra-mota* i miała być omówiona w specjalnej audycji „Free Europe” w Nowym Jorku, to Lechoń stawał na głowie, żeby nie zaproszono Wierzyńskiego, bo on chciał być jedynym, który narzuci swoją negatywną opinię. Lechoń miał kompleks zazdrości w stosunku do wszystkich żywych poetów. O Wierzyńskim nie chciał pisać źle, bo by się ośmieszył, ale na przykład w pamiętniku wyraził opinię, że o Czechowiczu, Miłoszu za dwadzieścia lat nikt nie będzie pisał, a teraz właśnie o Lechońiu się nie pisze...

Dalej: ukazał się mój wiersz w londyńskich „Wiadomościach” *Pamięci Sulamity*, poświęcony Zuzannie Ginczance. Użyłem w nim metaforyki San Juana de la Cruz – świętego Jana od Krzyża, który naśladował *Pieśń nad pieśniami*, a ponieważ Zuzanna uwielbiała *Pieśń nad pieśniami*, więc ja napisałem wiersz w tym stylu, a Lechoń nazwał go „największą niedyskrecją w literaturze świata”. Co za nonsens! Przecież Dante Alighieri, kiedy pisał o Beatrycze, nieboszczce także – był niedyskretny, Francesco Petrarca, kiedy pisał o Laurze – był jeszcze bardziej niedyskretny, bo pisał za jej życia. Mój wiersz został potem ogłoszony w tomie *Kasydy i gazele*. Były w nim rymy wewnętrzne i Lechoń to odnotował: „bardzo misterne rymy wewnętrzne, ale jestem przekonany, że Łobodowski to napisał po lekturze mojej *Kantaty*”. Otóż nieprawda, w *Kantacie* nie ma żadnych rymów wewnętrznych. Lechoń wydrukował tak, by wyglądało, że są rymy wewnętrzne, i dużo osób się na to dało nabrać, a to był trick...

Lechonia przed wojną nie znałem. Poznałem go w Paryżu. Przyjechaliśmy bez grosza, bo pan minister do spraw krajowych Stańczyk, od pierwszego listopada wydał zakaz wpłacania franków za zło-

te. Myśmy mieli złote. O nim napisałem tę fraszkę, pani ją zna?

*Wziął po nim imię, ale w lat czterysta
Zmieniła sens fortuna nieprzyjazna
ten stary błazen miał głowę ministra
a dziś ministrem mianowano błazna.*

Idę więc do polskiej ambasady na rue d'Universite i tam wpadam na charakterystyczną sylwetkę Lechonia. Pytam go: „Czy panu coś powie moje nazwisko: Józef Łobodowski?” – „Ależ panie! Wierzyński się za panem rozbija, pyta wszystkich, co się z panem dzieje, zaraz do niego zadzwonie”. Od tego się zaczął mój nie najszcześniejszy okres w życiu, ale zaczął się dobrze. Lechoń był wtedy człowiekiem najzupełniej normalnym, nie mógł wprawdzie pisać w pierwszych tygodniach po klęsce wrześniowej, ale to było doświadczenie ogólne, jeden Wierzyński z miejsca się z tego otrząsnął. Ja też jeszcze na Węgrzech zacząłem, moje pierwsze wiersze powojenne to *Dublany*, *Noc nad granicą*, *Kołysanka żołnierska* (wskazuje teksty w leżącym na stoliku tomie *Dwie książki*). Lechoń również zaczął wkrótce pisać i na przykład *Grób Agamemnona* to dobry wiersz.

Jak wyglądały pana wojenne losy? Przeszedł pan pół Europy, zanim znalazł się w Paryżu.

Dwudziestego siódmego dostałem wezwanie mobilizacyjne. Nie było mnie w domu, przychodzę po południu i stróż, warszawski cieć, daje mi wezwanie. Załatwiłem sobie jeszcze parę telefonów, wsiałem w dorożkę i pojechałem do Cytadeli.

Ale najpierw anegdotka. Spotykam po wojnie Amerykanina, który mieszkał w Warszawie. Pytam go, gdzie? A on powiada: „Nie pamiętam, jak się ta ulica nazywa, to było w tej części miasta, która nie została zniszczona, bo tam stali Niemcy, szła od Alei Szucha do dużego placu, na którym był zburzony kościół”. To ja mu: „Litewska! Który numer?”

A on mi: „Nie pamiętam, ale to była, jak się szło od placu, pierwsza kamienica na lewo”. To ja mówię: „Numer dziesięć”. A tam podwórko to była taka długa kiszka, trzy klatki schodowe. „Która klatka schodowa?” – „Pierwsza”. Ja mówię: „Zgadza się! Które piętro?” – „Pierwsze” – „Które drzwi?” – „Na lewo” – „Panie, pan mieszkał w moim mieszkaniu!”. Wracając do tematu... Zajeżdżam dorożką do Cytadeli, wartownik poszedł budzić oficera służbowego. Wyłazi młody porucznik, niezadowolony: „Nie mógł pan do jutra rana poczekać, ludzi pan budzi?” Odpowiadam: „Jeszcze byście mnie ogłosili dezterterem”.

Jaki pan miał stopień, bo przecież nie ukończył pan podchorążówki?

Nie, byłem zmobilizowany jako zwykły żołnierz. Naszło ludzi, wszystko w cywilu, nieumundurowani. Nic nie ma, kotła nie ma, można iść do restauracji. I tak mija dwudziesty ósmy, dwudziesty dziewiąty, trzydziesty, trzydziesty pierwszy. Cztery dni pętałem się po Cytadeli. Tyle że mi pozwolono wyjść z żołnierzem. Zadzwoniłem do żony, że tu jestem. A trzydziestego ogłoszono mobilizację powszechną i w parę godzin potem odwołano pod naciskiem ambasadorów francuskiego i angielskiego, co oczywiście było dodatkową przyczyną klęski wrześniowej. Mobilizacja nie była skończona. I rano naraz eksplozje bomb. Wszyscy na plac, kupa mundurów, butów, owijaczy – każdy sobie wybiera na olaboga. Ubraliśmy się i do magazynów po broń. Karabiny dostajemy bez pasów, amunicję – tak, i zwykłą, i przeciwpancerną, granatów – nie, broni maszynowej – nie, hełmów – nie. Maski gazowe, chlebaki, a cała reszta – gdzie? „Dalej, tak, gdzie pójdziecie”. „A gdzie pójdziemy?” – „Nie wiadomo”.

Późnym wieczorem, pierwszego, idziemy na Dworzec Gdański. Mnóstwo ludzi na ulicach i jakaś kobieta woła z tłumu: „Wracajcie zdrowo!” A któryś odzywa się i powiada: „A puść mi się, kurwo to

zobaczysz”. Ładujemy się do wagonów, mówią nam: „Transport Dukla. Nie wolno mówić na stacjach, z jakiego pułku jesteście”. Trzy bataliony, 35 Pułk Strzelców Kaniowskich, 21 Pułk „Dzieci Warszawy” i 24 Pułk Legii Akademickiej. Te pułki już były w terenie na granicy, a my – bataliony zapasowe. Jak się później okazało, jechaliśmy wzmocnić oddziały KOP-u na granicy słowackiej. KOP już był rozwalony wtedy. Jedziemy, dwa tory więc mijają nas pociągi jadące na północ i na wschód, głównie uciekający Żydzi. Humory świetne, krzyczy gość do starego Żyda, który machał do nas kapeluszem, na lorze jechali: „Nie bójcie się, przywieziemy wam kości Hitlera!”.

W Krakowie wysiadamy. Tory powyrywane. Idziemy na piechotę. Nie ma ani jednego oficera zawodowego. Wszystko z rezerwy, to samo podoficerowie. Iść z karabinem bez pasa – pierwszy kilometr nieźle, ale potem... Maszerujemy przez Bochnię, idziemy dalej na południe, przechodzimy w nocy przez dużą wieś. Wieś śpi, tylko psy naszczekują, skręcamy potem, o świcie wchodzimy do tej samej wsi – chodzimy w kółko. Mówię do młodego oficera: „Co, nie macie map?” – „Tylko dowództwo batalionu ma mapy”.

Idziemy dalej, dochodzimy do Wiśnicza. Przychodzi dowódca batalionu i powiada: „Wiśnicza broni Dziesiąta Brygada Kawalerii Zmotoryzowanej pułkownika Maczka. Chcę nawiązać z nim kontakt. Nie wyznaczam plutonu, bo na przedpolu już kręcą się patroli niemieckie, więc na ochotnika”. A my słyszymy: strzelanina i z armat, i z broni maszynowej, widać niemieckie samoloty, jak krążą nad Wiśniczem, rwą się dokoła nich obłoczki z pelotek... Mnie tymczasem w ciągu tych czterech dni mianowano demokratycznie kapralem. Kapral, który dowodził drużyną, powiada: „Ty najczęściej gadasz tutaj, to ty dowódź, ja nie chcę”. No więc demokratyczny kapral. Mówię do moich chłopaków

ków: „Ja już mam dosyć tej harcerskiej wycieczki, jeżeli tam się dziesiąty pułk broni, to widocznie ma i dowództwo, i broń – zresztą słysząc. Wy, jak chcecie, ja występuję trzy kroki”.

Cała drużyna poszła za mną, sąsiednia drużyna także, pluton. Dowództwo objął miody podporucznik, idziemy na przelaj polami, żadnych patroli nie ma, wychodzimy na szosę – jedzie samochód, w samochodzie major w czarnej skórzanej kurtce (oficerowie z dziesiątej brygady zmotoryzowanej mieli skórzane kurtki). Zgłosiłem się i on mi powiedział: „Idźcie zameldować się, dowództwo w lesie stoi, Wiśnicz utrzymany”.

Dochodzimy do tego lasu, od razu po szwadronach dla uzupełnienia strat, a w godzinę potem rozkaz – na wozy, wycofujemy się. Cały następny dzień zbieraliśmy niedobitków z tych trzech batalionów, bo zaraz po naszym odejściu wjechały na nich czołgi niemieckie i oczywiście rozbiły ich – nie mieli ani broni maszynowej, ani granatów, nic – jak się mieli bronić? Pozbieraliśmy ich, a także kopistów, tych, którzy mieli nas dozbrowić. I dopiero w Łańcucie (bo to łańcucki pułk) z garnizonu dostałem hełm, łopatkę, pas do karabinu i granaty.

I tak to trwało. Za dnia zajmowaliśmy jakiś punkt, most na rzece, groblę. Mieśliśmy i pepance, i pelotki, tak że czołgi dla nas nie były straszne. Taka scena: czwarty szwadron zajmuje przyczółek mostowy, a w krzakach po lewej i po prawej stronie ukryte dwa pepance i za nimi piechota. Te polskie pepance były, jak na czołgi ówczesne, bardzo dobre, potem, kiedy Niemcy wymyślili „Pantery”, to już co innego, ale wtedy były doskonałe. No więc dwa czołgi dostały – w płomieniach, reszta się wycofuje, a piechota atakuje. Karabiny maszynowe idą w ruch z jednej i drugiej strony i tak to trwa do wieczora. Wieczorem rozkaz wycofywania się, bo Niemcy już zaszli od tyłu. I tak było aż do samego Lwowa. Do Lwowa nie weszliśmy, aleśmy

zajęli Akademię Rolniczą w Dublanach, tam stał sztab niemiecki, myśmy zajęli gmach i tam był nasz szpital. Potem przyszła bitwa pod Molechowem, na północ od Brzuchowic. Pani zna Lwów?

Nie, niestety.

To było tak. Atakowała Lwów od północy doborowa Pierwsza Dywizja Górską Bawarska. Zabrakło im benzyny, utknęli więc w miejscu i zostali otoczeni. Dziesiąta brygada atakowała ich od frontu, z prawej i lewej strony różne oddziały, a droga odwrotna była pod zaporowym ogniem ciężkiej artylerii z Wysokiego Zamku – tak, że nie mogli się ruszyć i już drugiego dnia (ta bitwa molechowska zaczęła się piętnastego) samoloty zrzucały im pojemniki z amunicją i z jedzeniem. Worki z amunicją, jako ciężkie, spadały na ich pozycje, a worki z jedzeniem wiatr zwał do nas, jedliśmy więc obiad niemiecki: doskonałe mięso z puszek, czekolada i hiszpańskie mandarynki.

Wgrzyaliśmy się w ich pozycje, dochodziło do walk na bagnety, których Niemcy bardzo nie lubili. Niemiecki żołnierz imponował zimną krwią pod ogniem artyleryjskim, ale walki wręcz nie lubił. Siedemnastego jeszcze trwała bitwa. Myśmy niczego nie wiedzieli i wszyscy liczyli na to, że następnego dnia już ich wykończymy. Zdziwiło nas, że po południu ucichła nasza artyleria. Podchodzili bolszewicy od wschodu.

O świcie załadowaliśmy się na wozy, ruszyliśmy na wschód, za Przemyślany. Nikt nic nie wiedział. Oczywiście, główny sztab wiedział, ale wśród szeregowych były wiadomości, że od południa, doliną rzeki Wereszycy, posuwa się generał Sosnkowski z podkarpacką dywizją, więc myśleliśmy, że może nas tam rzucają, żeby mu przyjść z pomocą. Po przejechaniu Przemyśla skrzyliśmy jednak na południe. Przelatywał wielki samolot: ani niemiecki, ani nasz. Zatory tośmy objeżdżali i dalej wychodzili na szosę, ale kiedyś trafiliśmy na mokradła i musieliśmy przeczekać, aż się

rozluźni. Mówię do dowódcy szwadronu: „Cerkiewka obok, może tam paroch unicki ma radio, to się czegoś dowiem. Ten zator potrwa z piętnaście minut, zdążę z powrotem”. Lecę tam, otwiera mi jakaś baba, przestraszyła się, ale ja do niej po ukraińsku... Wychodzi stary paroch z siwą brodą i ja do niego, czy wie, co się dzieje. Zaczyna płakać.

- A wy czegoś płaczecie?
- Bilszewiki przyszy!
- Lecę z powrotem, otoczyli mnie oficerowie:
- Bolszewicy weszli.
- Jako sojusznicy?
- Nie, nie wygląda na to, ksiądz rozplakał się.
- To nic nie mówcie żołnierzom.

No i wieczorem dojechaliśmy do Tatarowa, nad granicę węgierską. Przespałiśmy się tam i z rana na Węgry.

(11 czerwca, ciąg dalszy rozmowy. Na stoliku leży kieszonkowego formatu książeczka Józefa Czapskiego *Na nieludzkiej ziemi* wydana przez Editions „Spotkania”).

To wydawnictwo przygotowuje antologię moich wierszy pod tytułem Sto wierszy i poematów, w normalnym formacie i także w miniaturowym. Będą to wiersze z różnych lat, w tym parę nie drukowanych.

Na czym polega ta tajemnica, że pan ciągle pisze coraz to nowe rzeczy i coraz to inaczej, w odróżnieniu od tych poetów, którzy zatrzymali się w rozwoju artystycznym albo cierpią na niemoc twórczą?

Jestem już stary, ale nie na tyle, aby przestać pisać.

W 1972 roku wydał pan tom *W połowie wędrówki* i może się okazać naprawdę, że wyszedł on „in mezzo del carmin di nostra vita”, a raczej w połowie drogi twórczej, jak pan to sugeruje we wstępie.

Może to była optymistyczna przesada z mojej strony, a może prawda, zobaczmy. Editions „Spotkania” wydaje też moje wspomnienia osobiste i literackie, znajdują

się tam rzeczy w Polsce nieznane, bo na przykład o Tuwimie, Broniewskim, Gałczyńskim wydano wspomnienia absolutnie fałszywe. Wydawcy sobie obiecują, że będą one bestsellerem. Zobaczymy.

Jest tam na przykład [...] rozmowa we trójkę: ja, Broniewski, Borejsza (Borejsza to pseudonim, właściwie nazwisko Goldberg). Zgadało się o dwóch poetach komunistach: Wandurskim i Standem, którzy zostali oskarżeni w Kijowie o szpiegostwo na rzecz Polski i straceni. Broniewski mi powiada: „To nieprawda, oni nie byli szpiegami”. Więc ja go pytam: „Panie Władysławie, dlaczego pan tego nie ogłosi?” A na to zabiera głos Borejsza: „Pewnych rzeczy ogłaszać nie można, bo jeżeli idą przeciw partii, to trzeba przemilczeć”. Ja mu na to: „Jeżeli partia w swoim interesie każe przemilczać zbrodnię, to ja na taką partię...” i powiedziałem nieprzystwoite słowo. Tego w żadnym wspomnieniu o Broniewskim, naturalnie w kraju, nie ma, a u mnie będzie.

Będąc w Hiszpanii, znalazł się pan właściwie daleko od tego środowiska, które zostało częściowo w Paryżu, częściowo w Londynie, a mimo to cały czas współpracuje pan z tamtejszymi czasopismami, zwłaszcza z „Wiadomościami”.

Z Paryżem i Londynem miałem stały kontakt, jeździłem tam. Z Polską, oczywiście, nie miałem nic wspólnego, ale ze środowiskami emigracyjnymi w Paryżu, Londynie i w Stanach Zjednoczonych miałem kontakty.

Czy przejrzał pan już książkę Gabrieli Makowieckiej *Po drogach polsko-hiszpańskich?* Żałuję, że autorka od tak dawna i do dziś mieszkająca w Hiszpanii skończyła swe pracowite dzieło na latach przedwojennych i w rezultacie nie dała żadnej wzmianki o Polakach tu mieszkających, o polskich artystach osiadłych w Hiszpanii, o tym, że zaraz po wojnie były pewne próby i możliwości stworzenia w Madrycie ośrodka polskiej kultury, nie zrealizowane z powodu sprzeciwu tych osób spośród emigracji, które liczyły na

szybki upadek rządów generała Franco, co jednak nie nastąpiło.

Ona we wstępie mówi, że doprowadza do ostatnich lat drugiej wojny światowej. O Peiperze wspomina.

Zadała sobie trud przejrzenia ogromnych roczników „El sol”, dziennika, w którym Peiper drukował m. in. artykuły o Słowackim i Sienkiewiczu.

Z tym, że ta legenda, że Peiperowi ukradli walizki z rękopisami wierszy... Siedzę na dworcu w Krakowie. Podchodzi do mnie jakiś brunet i powiada: „Pan Łobodowski?” – Ja mówię: „Tak”. – „Tadeusz Peiper”. Ja go nie znałem, a on mnie widział gdzieś tam i zapamiętał. No i rozmowa właśnie na temat tej walizki. Ja mu mówię: „Panie Tadeuszu, rozumiem, że pan nie mógł wszystkiego odtworzyć, ale przynajmniej część tych wierszy, które jak pan twierdzi, zostały panu ukradzione, mógł pan odtworzyć”. On się zdenerwował i powiada: „A na podstawie czego pan tak mówi?”

A ja: „Na podstawie mego własnego doświadczenia, bo ja miałem takie wypadki, kiedy po stracie jakiegoś wiersza odtworzyłem go, powiedzmy sobie, nie w tej samej formie, ale w formie zbliżonej. Więc niech mi pan nie opowiada, że panu to ukradli. Po prostu ta walizka nigdy nie istniała”. Makowiecka to przyjmuje jako fakt. Peipera „układ rozkwitający” to była kopia baroku hiszpańskiego, z tym, że on z tego nie zrobił nic wartościowego, bo nie miał talentu.

Wprowadził pojęcie „układ rozkwitania”, które potem inni krytycy wypożyczyli. Niektórzy uważają, że taka kompozycja charakteryzuje Granicę Nałkowskiej. A w ogóle czy można mówić o znaczącym wpływie literatury hiszpańskiej na polską?

Na Słowackiego. *Sen srebrny Salomei* i *Ksiądz Marek* to było napisane pod wpływem Calderona.

A jeśli chodzi o poezję schyłku XIX wieku i późniejszą? Wtedy poezja była tu w rozkwicie.

Absolutnie żadnego wpływu nie ma!

A czy zna pan i lubi współczesną poezję hiszpańską?

Znam. Najnowocześniejszej nie lubię, ale pokolenie tzw. dwudziestego siódmego roku (to są już wszystko starsi panowie, w moim wieku) jest mi bardzo bliskie. Gerardo Diego i paru innych to doskonałi poeci. Editions „Spotkania” chce, po wydaniu mojej antologii i wspomnień, wydać także *Drogę do Toboza*. Będą to wiersze o Hiszpanii i antologia poezji hiszpańskiej od trzynastego wieku po dziś dzień. Będzie to pierwsza antologia poezji hiszpańskiej. Kilka lat temu w „Polityce” ukazała się informacja, że grupa młodych polskich poetów wyrusza do Hiszpanii, żeby się nauczyć języka i przygotować antologię poezji hiszpańskiej. Przeczytałem to i zastanowiłem się, ile czasu mają oni zamiar tu zostać, bo ja mieszkam czterdzieści lat i jeszcze miesiam kłopoty językowe. W ogóle nie przyjechali, czyli że ten zamiar nie został zrealizowany.

Nie mógł być zrealizowany.

Chyba że zechcieliby tłumaczyć „z rybki”, ale „z rybki” to byłoby to samo, co poezje Nerudy w tłumaczeniu Iwaszkiewicza.

W 1937 roku mijało siedemsetlecie twórczości narodowego poety gruzińskiego Szoty Rustawego i warszawscy Gruzini (tam była duża kolonia gruzińska) spytali, czy ja bym nie przetłumaczył wstępu do tego poematu *Wepchis Tkaosani*. Jednocześnie zwrócili się z tym samym do Juliana Tuwima. I myśmy to z „rybki” przetłumaczyli. Potem zaproponowali mi przetłumaczenie całego poematu, ale to wielka kobyła – dziesięć tysięcy wierszy. Umówiliśmy się, że będą mi robić „rybkę”, ja z tej „rybki” będę tłumaczyć, a potem będzie dyskusja z dwoma Gruzinami, profesorem Nakaszdyze i metropolitą Peradze (który został rozstrzelany potem w czasie wojny przez Niemców za odmowę kolaboracji). Przez dwanaście lat pracowaliśmy nad tym. Oni mi zwracali uwagę

na niedokładności, a ja poprawiałem. Mam to nie wydane jeszcze. A Jerzy Zagórski jeździł do Gruzji wielokrotnie, nauczył się języka, zrobił najpierw skrócony przekład poematu wykorzystany przez Teatr Rapsodyczny w Krakowie, a potem ukończył całość, która została wydana. Mam kilka dobrych przekładów na rosyjski i ukraiński, zrobionych przez ludzi, którzy gruziński dobrze znali. Przekład Zagórskiego mi się nie podoba, ale uwzględniam go podobnie jak rosyjski i ukraiński, aby nadać ostateczną formę mojemu. To jednak nie będzie przekład pełnowartościowy, bo nie znam języka, znam dwieście słów z tekstu.

A jak to się stało, że pan się zakochał w literaturze ukraińskiej?

Mój daleki przodek...

Domyślam się, że ten, do którego pisał pan pół wieku temu:

*Chwała-ż ci, atamanie,
i twoim żyłastym rękóm!
Słysz mnie:
z daleka wołam
twoje dziedzictwa wnuk...*

Nie, jego brat, który odznaczył się w bitwie pod Chocimem, dostał indygenat szlachecki, ożenił się z Polką i oczywiście przeszedł na katolicyzm. I potem już ciurkiem to wszystko się polonizowało (choć w XIX wieku był pisarz ukraiński, który nazywał się Łobodivskyj). Nazwisko zostało od Łobody. Otóż ja jako sztubak, dowiedziawszy się o tym, pytałem mego ojca o pochodzenie. A on odpowiedział: „Słuchaj, przecież to jest tylko wspomnienie, bo w ciągu dwustu kilkudziesięciu lat twoi dziadowie żenili się z Polkami, więc jaki procent krwi ukraińskiej może być w twoich żyłach? Pół procenta, jeden procent? Ale pamiętaj o tym, bo jest konieczne, aby doszło do porozumienia między oboma narodami”. Ja sam urodziłem się na Litwie, a ukraiński poznałem na Kubańszczyż-

nie. Kozacy kubańscy to potomkowie kozaków zaporoskich, przesiedlonych tam za Katarzyny II.

Czy powieści: *Komysze, W stancji i Droga powrotna* są odbiciem pana przeżyć?

Nie są w stu procentach autobiograficzne, ale, powiedzmy, w pięćdziesięciu.

Pisał pan te powieści w latach pięćdziesiątych, w tym samym okresie, gdy powstała *Dolina Issy* Czesława Miłosza. Była to widocznie epoka powrotu rówieśników do wspomnień z lat chłopięcych. Potem wydał pan cykl następny, żywiący się pamięcią przedwojennego Lublina. Wszystkie te powieści są bardzo chętnie czytane na emigracji, jest pan pisarzem bardzo popularnym, także jako prozaik.

Kupić ich nie można, nakłady zostały wyczerpane. Dotyczy to i tetralogii późniejszej: *Czerwona wiosna, Czeladnicy rewolucji, Nożyce Dalili, Rzeka graniczna*. Mam też powieść historyczną z XVI wieku, którą chciałbym wydać. Hiszpańska wojna domowa w Peru. To bardzo ciekawa historia: przywódcą rebelii był najmłodszy z braci Pizarrów, którzy Peru podbili, ale dowódcą jego armii był inny jegomość; wystąpił on do Gonzala Pizarra (bo Gonzalo Pizarro został uznany za nielegalnego rebelianta) z taką inicjatywą: „Niech się pan ogłosi cesarzem Peru i ożeni z jedną z indiańskich księżniczek, która pochodzi z cesarskiego rodu, w ten sposób zdobędzie pan sympatię Indian i to nie pan będzie rebeliantem, ale zwolennicy króla Hiszpanii”. On jednak tego nie zrobił, skończył marnie, został wzięty do niewoli po przegranej bitwie i stracony. Nazwałem go diabłem peruwiańskim.

Będzie więc nowa powieść do czytania i to zapewne nie tylko dla polskiego, ale i dla hiszpańskiego czytelnika. Trzecia książka dla Hiszpanów. Pierwszą, *Polonia sigue luchando*, kupiłam niedawno u bukinisty koto parku Retiro.

Po przyjeździe słabo znałem język hiszpański. Był wprawdzie ktoś kto mi poprawiał tekst, ale pech sprawił, że do

drukarni poszedł nie poprawiony egzemplarz i hiszpańszczyzna jest tam niedostateczna. Natomiast druga pozycja, *Literatury słowiańskie*, jest już poprawna.

Nie mogę nadużywać uprzejmości tych panów z wydawnictwa – oni mi wydają dwie książki, po czym wydadzą trzecią i wtedy im tę powieść proponuję. Tylko proszę pani, trzeba jeszcze, żebym ja dożył tego.

Wychylimy toast za pana długie życie!

Kiedy w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku życia umarła moja matka i ukazały się w prasie londyńskiej klepsydry, jeden ze starszych pisarzy, starszy ode mnie napisał do mnie list: „Gratuluje panu, bo normalnie synowie długowiecznych matek długo żyją”. Jeżeli ja miałbym dożyć wieku mojej matki, to miałbym przed sobą dwadzieścia trzy lata. Można dużo wydać i dużo napisać. Zobaczymy.

Madryt,

29 maja i 11 czerwca 1985.

Roman Samsel Poezja się uratuje

„Kierunki” nr 37, 1988, s.1-11. Wywiad prawdopodobnie nieautoryzowany, ponieważ rozmowa została spisana z taśm magnetofonowych. [przyp. red.]. Wywiad dostępny całości na stronie www.lobodowski.tnn.pl. Skróty pochodzą od redakcji „Scriptores”.

Roman Samsel: Zdecydował się pan zostać tu, w Madrycie, przez tyle lat. A czy nie pomyślał pan kiedyś, że w Polsce może to być niezrozumiałe? Że ludzie, którzy mają teraz 10 lat, w ogóle nie będą tego rozumieli, jeśli to było z pana strony poświęcenie?

Józef Łobodowski: Żadne poświęcenie. Po prostu miałem tu warunki do pracy i nie chciałem wyjeżdżać z Europy. Swego czasu Fundacja Kościuszkowska w Stanach Zjednoczonych zaproponowała mi wykłady slawistyczne na uniwersytecie w Buenos Aires. Ale nie przyjąłem tej propozycji.

Powiedział pan, że nie chciał pan mieszkać we Francji, bo były tam wpływy komunistyczne. To znaczy, że pańska niechęć do komunizmu jakby się pogłębiała...

Oczywiście, że się pogłębiała.

A z Wańkowiczem pan się kiedyś zetknął?

Owszem, w Londynie. Wańkowicz to był, moim zdaniem, bardzo zdolny oportunist. Tak samo jak Stanisław Cat-Mackiewicz. Po powrocie Mackiewicza do Polski spotkałem się przypadkowo z jego rodzonym bratem i pytam go: „Co pan na ten powrót swego brata?” On mi na to powiada: „Mój brat to jest najpodlejszy człowiek na świecie.” Oczywiście, to była przesada. Ale moralnie Mackiewicz był właściwie człowiekiem nieistniejącym.

Dlaczego wrócił? Liczył na to, że dostanie katedrę literatury rosyjskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nie dostał. Zaczął wypisywać bzdury. Jeżeli on potrafił napisać, że Żeromski to był pisarz na poziomie Mniszkówny, to wystarczy. Nawet jeżeli nie lubił Żeromskiego, to jeszcze nie powód żeby go zestawiać z Mniszkówną. To był człowiek rozgoryczony i wypisywał bzdury.

Chciałbym jeszcze zapytać jak panu się współpracuje z „Kulturą”. Oni drukują pana wiersze. Ostatnio ta współpraca prawie całkowicie się zerwała. Niedawno otrzymałem od „Kultury” propozycję napisania recenzji z polskiego numeru ukraińskiego czasopisma w języku polskim. Autorami są głównie Polacy, ale też Ukraińcy i Anglicy. Natomiast jeśli chodzi o rzeczy oryginalne, to nie.

Dlaczego? Przecież przez całe lata pan z nimi współpracował.

Owszem, od pierwszego numeru. Jeszcze tego rzymskiego.

A ile pan wydał książek na emigracji?

Siedemnaście. Osiem tomów poetyckich, reszta to publicystyka, satyra pisana wierszem i powieści. W tej chwili nie ma nic. Całe moje archiwum zginęło przy przeprowadzkach. A dwie książki

wydane po hiszpańsku ukazały się bardzo dawno, w 1945 roku. Są to krótkie szkice o literaturach słowiańskich: rosyjskiej, polskiej, ukraińskiej, czeskiej, słowackiej, serbsko-chorwackiej, bułgarskiej, dla audycji radia madryckiego nadawanej w języku polskim. Istniała ona 27 lat, została zlikwidowana w miesiąc po śmierci gen. Franco. Ta audycja była bardzo w Polsce słuchana, bo istniała wcześniej od Wolnej Europy.

Chciałbym pana zapytać o czasy lubelskie, te najwcześniejsze. Czy ktoś z „Dźwigarów” jeszcze żyje?

Z „Dźwigarów” nikt. Chyba tylko Czuchnowski.

Jak doszło do powstania „Dźwigarów”?

Zwyczajnie. Doskonale wtedy zarabiałem korepetycjami, wyciągałem do 500 tys miesięcznie i stać mnie było na wydanie pisma. Miałem zapas papieru jeszcze po poprzednim czasopiśmie. I wydałem „Dźwigary”. Wyszły dwa numery – w roku 1934 i 1935. Dotychczas nie ukazała się żadna monografia „Dźwigarów”.

Jak to się stało, że przeszedł pan do komunizmu? Czy miało na to wpływ pana pochodzenie społeczne?

Nie. Ja przeżyłem rewolucję i wojnę domową na północnym Kaukazie. Widziałem zbrodnie popełniane przez jednych i drugich. Kiedy wróciliśmy, miałem trzynaście lat. Opowiadano mi, że w Polsce jest rajskie życie. Zobaczyłem wielką nędzę – na wsi, wśród robotników, wśród biedoty żydowskiej. I powiedziałem sobie, że te zbrodnie, które widziałem w czasie wojny domowej w Rosji, były skutkiem uprzednio poczynionych niesprawiedliwości. Wobec tego trzeba te niesprawiedliwości naprawić. I poszedłem na lewo. Doszedłem do komunizmu. Ale potem zacząłem podejrzewać, że to nie jest to. I z czasem odszedłem od komunizmu. Wtedy komuniści powiedzieli, że byłem zawsze agentem policyjnym.

Czy pan współpracował z prasą katolicką w Polsce?

Nie, z żadnym czasopismem w Polsce nie współpracowałem. Mam ten zwyczaj, że nigdy nie pcham się tam, gdzie nie jestem zapraszany. A nikt się do mnie na przesłuchaniu tych wszystkich lat nie zgłaszał.

Drukował pan w „Kulturze” i w „Wiadomościach” londyńskich, wydawał pan w Paryżu.

Wydawałem w „Białym Orle” i w „Życiu” kiedy jeszcze wychodziło w Londynie. W 1981 roku kiedy był szczytowy moment „Solidarności”, urządzono mi w Lublinie wieczór autorski. I liczono, że przyjadę. Ale potem przyszedł 13 grudnia...

A rzeczywiście chciał pan przyjechać?

Gdyby się „Solidarność” utrzymała, to tak. Ostatnio ukazał się w Wydawnictwie Lubelskim zbiorowy tom pt. *Lublin literacki*. Jest tam o mnie szkic Kryszaka z uniwersytetu w Toruniu, także Tadeusz Kłak coś o mnie wspomina i jeszcze paru innych, na ogół pochlebnie.

Jak pan mógł po odejściu od komunizmu posiadać sympatię o komunistycznym Lublinie?

Z jaką sympatią? Z realizmem. Po prostu napisałem tak, jak to wyglądało. Żadnej sympatii tam nie ma. Realistyczne ujęcie rzeczywistości i tyle. Bohater tej powieści, który zbliża się do komunizmu, a potem od niego odchodzi, to niby ja.

Gdzie pan wydał tę tetralogię?

Poprzez Fundusz Kultury Polskiej w Londynie. To było jedno jedyne wydanie.

Pańska droga do emigracji była zupełnie inna niż kogokolwiek spośród Polaków tworzących za granicą. Nikt z nich nie był blisko partii komunistycznej. Może jedynie Czuchnowski. Co pan myśli o tym świecie, w którym pan żyje, a którego ja właściwie nie znam?

Naród hiszpański jest bardzo specjalny. Moim zdaniem tu nigdy demokracji nie będzie. Hiszpanie nie nadają się na demokratów. Każdy Hiszpan jest podszyty anarchizmem.

W czasach dyktatury siedział pan tu w więzieniu. Jak tam się z panem obchodzono?

Regulamin w więzieniu hiszpańskim jest straszny, ale nie jest przestrzegany. Wisi

na ścianie i tyle. Przede wszystkim prawie cały czas (chyba że padał deszcz) byliśmy na podwórku i robiliśmy, co nam się podobało – grywaliśmy w szachy, koszykówkę itd. Potem do celi na obiad. I z powrotem na podwórko. Potem do celi na kolację. I znów na podwórko. A potem spać. Poza tym, była tam całkiem niezła biblioteka, z której można było korzystać.

Wczoraj pan powiedział, że nie wracał pan do kraju w obawie przed represjami. Ale przecież pan nic złego nie zrobił, pan pisał wiersze. Tuwim też pisał wiersze i nic mu nie zrobili.

Niech pan nie porównuje Tuwima ze mną, on nie miał takiej przeszłości, jaką ja miałem. On komunistą nigdy nie był. **Moje kolejne pytanie jest nawiązaniem do pańskiego wiersza o matce, w którym napisał pan, że „wszystko miało być inaczej”. Jak to miało być w pańskich marzeniach czy planach?**

Że będą normalne warunki, że wrócę do Lublina i będę się swoją matką opiekować. [...] A ja nie umarłem. Żyję dla poezji. No, ale ja tam, wśród swoich, żyć nie mogę...

A czy nigdy nie myślał pan o tym, żeby pojechać i zobaczyć Lublin?

Ale w jaki sposób? Kto mi zaręczy, że będę mógł wrócić?

Kto miałby pana w Polsce zatrzymywać?

Komunistyczna partia i komunistyczna policja.

Czy ma pan w kraju jakichś krewnych?

Mam siostrę i siostrzeńca, który ma już wnuki i prawnuki. Kiedy opuściłem Lublin miał dziesięć lat. I potem nigdy już go nie widziałem. Siostra jest na emeryturze. Zaprosiłem ich tutaj, ale list poleceny nigdy do nich nie doszedł.

Czy pan się może utrzymać z tego, co pan pisze?

Z trudem. Żyję wyłącznie z pisania. Z wierszy, artykułów, tłumaczeń z ukraińskiego, rosyjskiego, białoruskiego, hiszpańskiego.

Kogo z Rosjan pan tłumaczył?

Tych wszystkich, którzy padli ofiarą systemu. Rylejewa, powieszonego za spis dekabrystów w 1824 roku, Puszkina, Lermontowa i wielu innych. Takich, co albo zginęli, albo musieli pisać nieszczerze, albo są w tej chwili w Związku Sowieckim całkowicie zapomniani, jak np. Sołowiow – znakomity poeta i filozof, Mikołaj Gubinow, rozstrzelany w 1921 roku, którego wiersze studenci przepisują sobie w zeszytach, Knuriew zmarły w obozie koncentracyjnym, Kamionski, który przed śmiercią napisał list wierszem do Stalina, kończący się słowami: „daj żyć i umrzeć pozwól”, a Stalin był na tyle wspaniałomyślny, że pozwolił mu umrzeć, wreszcie Anna Achmatowa, która wprawdzie umarła śmiercią naturalną, ale była przez dłuższy czas skazana na niedrukowanie. To jest rzecz obliczona na sześć tomów. [...] **Jak pan sądzi, co zostanie z literatury emigracyjnej?**

Sporo zostanie. Wiersze Wierzyńskiego, Przyłuckiego, Sułkowskiego. Powieści Józefa Mackiewicza. To i owo z publicystyki. Miłosz. Chociaż Miłosza właściwie trudno uważać za emigranta. On nie wrócił do kraju dlatego, że ma dobrą sytuację finansową w Ameryce. Pieniądze z Nagrody Nobla się skończą, a pensja na uniwersytecie w Berkley pozostanie.

Przyjaźnił się pan z Kazimierzem Wierzyńskim. Czy ma pan jakieś jego listy?

Nie mam żadnych listów, bo wszystkie moje archiwa zaginęły. Korespondencja była różna. Wierzyński przez całą wojnę był w Stanach Zjednoczonych, potem przeniósł się do Rzymu i Londynu. I w Londynie umarł. W tamtych latach widywałem się z Wierzyńskim co roku z okazji przyznawania nagrody literackiej „Wiadomości”.

Kogo wtedy nagradzaliście?

Pierwszy był Hłasko. Braliśmy pod uwagę książki wydane na emigracji, obojętne czy napisane przez pisarza emigracyjnego czy krajowego.

[...]

Kogo jeszcze pan ceni z emigracyjnych pisarzy?

Bardzo wysoko cenię Bronisława Przyłuckiego. To był poeta bardzo mało znany przed wojną, w pewnym sensie kontynuator Bolesława Leśmiana, ale nie naśladowca tylko twórczy kontynuator linii, po której szedł Leśmian. Umarł młodo w Londynie. To był zawodowy oficer artylerii przed wojną i w wolnych chwilach pisał wiersze. Należał do grupy poznańskiej, ale potem przeniósł się do pułku w Białymstoku i tam go poznałem, kiedy zorganizował w Białymstoku wieczór poetów lubelskich. To był bardzo dobry poeta i wielka szkoda, że przedwcześnie umarł. Młodo zmarł także Tadeusz Sułkowski, który przed wojną w ogóle nie był znany. Debiutował dopiero po wojnie. Ale za życia go nie wydawano. Dopiero po śmierci wydano dwa jego tomy. To był duży talent, oryginalny. Polska poezja poniosła ogromne straty w czasie wojny. Było kilku młodych poetów prawie zupełnie nieznanymi, którzy zginęli w czasie wojny, m.in. potka żydowskiego pochodzenia Zuzanna Ginczanka, urodzona w Kijowie w dniu rewolucji bolszewickiej. Była we Lwowie, nie zdążyła uciec przed Niemcami i ukrywała się pod ormiańskimi papierami. Ale ją wykryto i została rozstrzelana w styczniu 1945 roku pod Krakowem. [...]

Nic pan dotąd nie powiedział o Gombrowiczu...

Gombrowicza poznałem w Warszawie, w roku wydania *Ferdydurke*. Po-

znałem go w knajpie „Pod wróblem”. On tam przyszedł ze Światopełkiem Karpińskim, o którym Miłosz napisał, że umarł incognito. [...] Poznałem go w tej knajpie. Pamiętam, że pokazywał nam wtedy różne projekty okładek do *Ferdydurke*. I pytał nas, która jest najlepsza. Karpiński i ja wybraliśmy tę, na którą on sam się później zdecydował. Z czasem straciłem z nim kontakt. Co było w Buenos Aires – nie wiem, w każdym razie kariery tam nie zrobił. Wygłaszał odczyty, które w kołach literackich były uznane za skandaliczne. Potem przeniósł się do Francji i mieszkał tam aż do śmierci.

Czy pan czytał „Dzienniki” Gombrowicza? Co pan o nich sądzi?

Bardzo mi się nie podobały. Za dużo tam liczenia na efekty, bawienie się z czytelnikiem.

A pan wie, że on uważał się za największego pisarza stulecia?

Wiem, ale to nieprawda.

Jakby pan określił swoją misję albo misję swojego życia?

Wydać te książki, które mam do wydania. Pożyć jeszcze kilka lat.

Mówił pan, że poezja powinna być polityczna. Mnie się też tak wydaje, z tym, że czasem mam już dość polityki. Ale pan nie jest poetą stricte politycznym?

Nigdy nie miałem ambicji, żeby być poetą *stricte* politycznym. To jest jeden nurt i wcale nie najważniejszy.

I dlatego sądzę, że pańska poezja się uratuje, że nie zginie.

Irena Szypowska – Historia Mówiona

Wyjazd do Madrytu

Irena Szypowska: Nie zajmowałam się nigdy naukowo poezją. Poezję bardzo lubię, ale zostawiałam ją sobie jako rzecz prywatną, bo niekoniecznie trzeba całą swoją miłość do literatury realizować

przez naukowe badania tej literatury. Ale kiedy w 1981 roku w listopadzie jechałam do Madrytu, wiedziałam, że mieszka tam polski poeta Józef Łobodowski. Przed wyjazdem przeczytałam wszystko to, co było w Bibliotece IBL-u, niewielkie

Rozmowa z dr Ireną Szypowską, 16 lutego 2009. Nagrywała: Aleksandra Zińczuk, Archiwum TNN. Relacja dostępna na stronie www.historiamowiona.tnn.pl.

tomiki poezji, jego powieści, które bardzo mi się podobały, bo tam znakomicie jest prowadzona akcja, są świetne kreacje bohaterów, styl doskonały, dużo dowcipu, to w ogóle proza powiedziałabym, w stylu sienkiewiczowskim. Oczywiście, po paru dniach pobytu w Madrycie musiałam znaleźć Łobodowskiego. Nie mogłam szukać go przez ambasadę polską, bo Łobodowski był przez reżim absolutnie wyklęty. Przeglądając te wydawnictwa, w których były wspomnienia jego lubelskich przyjaciół, stwierdziłam, że ma on w kraju opinię rzeczywiście straszną - faszysty, chuligana, pijaka, łobuza. Cała ta wspomnieniowa twórczość lubelskich pisarzy ówczesnych dotycząca Łobodowskiego jest nic nie warta, zakłamana - tak jak on sam mówił - chcieli zrobić karierę na tym, że go krytykują.

Spotkanie z mistrzem

Przy ulicy Zurbarana odnalazłam kościół polski. Poszłam na mszę. Przed wejściem do kościoła przglądałam się ludziom, którzy tam się zbierali. Zwróciłam uwagę na pana: średniego wzrostu, troszkę zaniedbany, ale wydał mi się interesujący, trochę inny, trochę różny od tych Polaków, którzy tam przyszli. Oni byli starannie ogoleni, dobrze ubrani, eleganccy, a on taki trochę inny, troszkę zaniedbany. I tak mi się zdawało, że to chyba jest ktoś trochę pod jakimś względem ich przewyższający, pod jakimś względem niedościgły. Podeszłam do niego i pytam: „Mistrzu, czy pan jest Józefem Łobodowskim?” „Aa, tak” – odpowiedział mi głosem bardzo młodym i mocnym i od razu się tak jakoś ucieszył. No więc po mszy rozmawialiśmy ze sobą.

Łobodowski podał mi do siebie telefon. Dzwoniłam, ale ciągle go nie było. Wydawało mi się, że dzwonię o takiej porze, kiedy człowiek powinien być w domu: albo rano, albo wieczorem, albo gdzieś tak w południe, a jego nigdy nie było. Okazało się, że podał mi adres bufetu, w którym przesiadywał codziennie. Miał swój stolik za filarem i leżały na tym stoliku różne książki, bruliony, gazety. Siedział tam całymi dniami i pisał, pracował. Wszystko

cokolwiek napisał, to w tym właśnie barze. Nie przeszkadzało mu to, że przychodzili ludzie oglądać w telewizji walkę byków albo jakieś mecze. Nie przeszkadzało mu to, że słychać było odgłosy pochodzące z tego baru, gdzie kelnerzy myli filiżanki i kieliszki. Tam całe dnie właściwie przesiadywał, i tam przychodzili ci, którzy chcieli z nim porozmawiać.

Pewnego razu spytałam: „Czy pozwoliłby Pan nagrać, którąś z tych naszych rozmów?” Nie miał nic przeciwko temu, wobec tego wyciągnęłam magnetofon i nagraliśmy taką rozmowę. Potem przepisałam to, wysłałam do autoryzacji. Nie miał żadnych zastrzeżeń i zgodził się, że bym to wydrukowała, chociaż w to nie wierzył. Były z tym kłopoty. Nie chciano tego w „Twórczości”, ale wydrukowano w „Poezji”. Był to numer 6 w roku 1988. Gdy później był w szpitalu, z którego miał nie wyjść, przyjaciel przeczytał mu list ode mnie zapowiadający tę edycję.

Jeździłam do Madrytu co roku wiosną albo jesienią na parę miesięcy i wtedy spotykaliśmy się bardzo często. Łobodowski lubił te spotkania i zawsze namawiał mnie, żebym przyszła, żebym przyszła już dzisiaj. Dzwoni i mówi: „Pani Ireno - czy może pani przyjść?” „No tak, przyjdę jutro” – „Nie, nie, dzisiaj niech pani przyjdzie.” „Dzisiaj” to nie zawsze było możliwe, ale w każdym razie odwiedzałam go często. I były bardzo miłe, bardzo miłe chwile. Przesiadywaliśmy razem pijąc czerwone wino, bo tylko ten napój uważał za godny picia. Był trochę niezadowolony, kiedy życzyłam sobie filiżankę kawy. Miałam wrażenie, że dzieje się coś podobnego, co miało miejsce w warszawskich, przedwojennych kawiarniach literackich, gdzie spotykali się pisarze i artyści. Rozmawiali o życiu, o polityce, ale także i o literaturze i właśnie takie były te nasze rozmowy. Ja, oczywiście, głównie słuchałam. On opowiadał, ale miał we mnie wdzięczną słuchaczkę, taką, która wiedziała, o czym się mówi. Więc rozmawialiśmy o Tuwimie, o Ginczance, o Czechowiczu, Gałczyńskim, o pisarzach rosyjskich i ich tragicznym losie, o ówczesnej prasie literackiej, opowiadał także o swoich dziejach.

O tym wszystkim co potem zamieściłam w książce.

Natura anarchisty

Czechowicz był starszy o kilka lat od Łobodowskiego i, naturalnie, królował już w środowisku lubelskim, a potem w warszawskim. Łobodowski uniezależnił się szybko od tego środowiska, jego droga była właściwie odrębna. On był zawsze samo-swoj. Nie mógł się nikomu nigdy podporządkować. Miał naturę anarchisty. Poza tym mimo młodego wieku miał bardzo bogate doświadczenie życiowe. Nie mógł służyć jakiemuś idolowi, wodzowi, nikomu i nigdy. Tak jak i wojsku nie mógł się podporządkować swojemu kapralowi, co prawdopodobnie doprowadziło do próby samobójczej, chociaż niekoniecznie to.

Zuzanna Ginczanka

Kiedy pytałam go: „Czy Ginczanka była piękną kobietą?”, odpowiadał mi po dłuższym zastanowieniu: „Była wspaniale zbudowana”. A więc taki to był z niego architekt. Cenił konstrukcję, a nie dekorację. W tyle lat po wojnie napisał tomik poświęcony Ginczance, właśnie „Pamięci Sulamity”, gdzie ją porównuje do tej żydowskiej piękności.

Środowisko Radia Madryt i „Polonii”

Polacy mieszkający po wojnie w Madrycie skupiali się wokół polskiej rozgłośni i w tym środowisku byli Józef Łobodowski, Kazimierz Tytko – sportowiec i teoretyk sportu, Miro Sokołowski – lekarz i artysta malarz, Linka Babecka, córka prezydenta PCK w Hiszpanii. Polski Czerwony Krzyż wydawał „Polonię” przeznaczoną dla Hiszpanów, pismo, które wychodziło po hiszpańsku. To był bardzo interesujący miesięcznik, tam nie było żadnego zacietrzewienia, żadnej zaciekłości politycznej. Łobodowski tam pisał bardzo dużo, o literaturze, o Hłasce, pisał o legendach lubelskich, a Sokołowski robił ilustracje. Pisano dużo o historii, o geografii Polski, o zabytkach i trochę także o problemach politycznych, ale z sympatią dla Polski.

Zaczęło w 1958, a więc nie tak dawno po wydarzeniach października 1956, kiedy były pewne nadzieje na poprawę sytuacji, która troszeczkę rzeczywiście, troszeczkę się zmieniła, ale nie tak zdecydowanie, Łobodowski nie miał żadnych nadziei, że w Polsce socjalistycznej może dojść do poważniejszych zmian, w odróżnieniu od Giedroycia, który miał ciągle takie nadzieje – to ich bardzo różniło.

Wielki indywidualista

Trudno odpowiedzieć na pytanie jakim człowiekiem go zapamiętałam. Był na pewno bardzo interesującą osobowością, bardzo odrębną. Był wielkim indywidualistą. Zawsze bał się jakiegokolwiek podporządkowania. Powiedziałabym także, że w jego osobowości widać było antynomię między naturą i kulturą, nawet z jego twórczości to wynika, że ciągle toczył się spór między „dzikością”, która wiąże człowieka z przyrodą i dodaje mu sił vitalnych a kulturą, która narzuca mu gorset i historię, która całkowicie niszczy. Był wielkim erudytą. Miał znakomitą pamięć, świetnie opowiadał i miał głos fenomenalny do ostatnich dni, głos mocny, wyrazisty. Nikt lepiej niż on nie czytał jego wierszy.

Rozmowy z Łobodowskim

Wspominał kiedyś taką sytuację, kiedy spotkał się z Peiperem: Peiper ubolewał, że gdzieś na jakimś dworcu, chyba w Krakowie zostawił walizkę, w której miał cały swój dorobek literacki. Potem nie mógł tego w żaden sposób odtworzyć. Łobodowski na to od razu zareagował zaprzeczając prawdziwości tego stwierdzenia. On sam przecież żadnych rękopisów z Polski nie mógł przywieźć w plecaku żołnierza. A jednakże udało mu się zrekonstruować wiersze. Oczywiście z pewnymi zmianami, ale właściwie każdy wiersz swój mógł odtworzyć i nie wierzył w to, że Peiperowi walizka z jego wierszami zginęła. Uważał, że po prostu takiej walizki nie było.

Lublin we wspomnieniach

Miał do mnie żal o to, że ja Lublina nie znałam, że w ogóle nie pochodzę z Lub-

lina, że jestem warszawianką. Pytał mnie nie raz: „A zna pani Lublin”. „No tak, trochę znam.” „A była pani na cmentarzu przy ulicy Lipowej?” „No nie, nie byłam.” „A gdzie pani była?” Na ulicy Chopina, na Krakowskim Przedmieściu, w jakiejś tam kawiarni i na KUL-u w bibliotece. I to wszystko właściwie. Nie był z tego zadowolony. Bardzo mnie lubił, ale to, że ja nie znałam Lublina, było moją wielką wadą.

Praca w radio

Lubił pracę w radio. Jest o tym jego wiersz i pisał o tym w „Kulturze”. Bardzo go to cieszyło, bardzo lubił przemawiać. Wyobrażał sobie, że przemawia do tych Polaków, którzy mimo wszystko, mimo zagłuszania, mimo zakazów słuchają go. Przecież ta audycja była wcześniejsza niż Wolna Europa. Była niegdyś bardzo popularna. Jego tubalny głos wszyscy rozpoznawali. Radio dawało środki do utrzymania; cóż, nie tak łatwo utrzymać się z twórczości. Potem, niestety, kiedy w 1975 roku Radio Madryt zostało zamknięte, otrzymywał bardzo mizerną emeryturę, której wartość coraz bardziej malała i miał trudności finansowe, zwłaszcza, że bardzo nieumiejętnie gospodarował swoimi przychodami. Jak miał pieniądze to na przykład kupował piękny model statku zatopiony w butelce. Zbierał te modele. Potem je oczywiście sprzedawał, bo musiał z czegoś żyć. Albo kupował rower, swojemu chrześniakowi. W każdym razie absolutnie nie miał żadnych zdolności do tego, żeby gospodarować rozsądnie pieniędzmi. Pieniądze zresztą dla niego nie miały takiego znaczenia. To było bardzo dla niego przykre, upokarzające, ale czasami musiał pożyczać. Zawsze, oczywiście, oddawał.

Naturalnie, że nie kreował wokół siebie legendy. Zresztą wobec kogo miał to uprawiać? Był tak wyjątkową i tak silną osobowością, że wszyscy to uznawali. On nie musiał sztucznie podkreślać swoich wartości, bo one były wyraźne. Zawsze górował. Musiał dominować. Zawsze dominował.

Samotnik z Madrytu

To był człowiek samotny, nigdy od wybuchu wojny nie zobaczył żony, matki, siostry, nie założył rodziny. Tylko, że on nigdy nie przyznawał się do tego, że jest nieszczęśliwy, że mu coś dolega, że go coś boli. Nie! Zawsze był zdrowy, silny, mocny, dobrze wiedział, co się dzieje i do czego on osobiście dąży. Nie sądzę, żeby można było powiedzieć, że był optymistą. Był realistą, a to zupełnie co innego.

13 grudnia 1981 roku byłam w Madrycie. Zadzwonił do mnie tak gdzieś koło południa, żeby mnie pocieszyć i żeby zapewnić, że jednak nie wszystko stracone i że na pewno nie będzie tak jak było, że to już nie wróci, dużo musi się zmienić i zmieni się na pewno. Tylko radził, żebym nie od razu wracała do domu, do Warszawy, żebym jeszcze jakiś miesiąc przynajmniej odczekała, aż się troszkę wszystko ustabilizuje. Nie zrobiłam tak. Wróciłam pierwszym samolotem. Ale pamiętam, że tak mnie właśnie pocieszał w tym stanie zupełnej rozpaczy.

Symboliczny pogrzeb – młodzi buntownicy

Oczywiście 21 października 1988 byłam na pogrzebie Łobodowskiego w Lublinie. Było to w ogóle takie paradoksalne, bo chowano tego anarchistrę, wyrzuconego z uczelni. Największe wrażenie zrobiło jednak na mnie to, że gdy wszyscy stali nad grobem, nagle pojawiło się paru młodych ludzi, którzy rozwinęli transparent z napisem „Niezależne Zrzeszenie Studentów”, (konspiracyjne, nielegalne). I to był moment dla mnie symboliczny. To wszystko nieważne, ci wszyscy rektorzy, biskupi, profesorowie, bóg wie kto, ci co właściwie reprezentowali ciąg, tych, którzy chcieli złamać Łobodowskiego. Ale przyszła młodzież niepokorna na cmentarz, nad ten grób i w ostatniej chwili, zupełnie niespodziewanie rozwinęła swój transparent. To przyszłość, pomyślałam, to ci buntownicy jak on, młodzi buntownicy są w dalszym ciągu, jego następcy i dla nich tradycja Łobodowskiego jest ważna. To było wspaniałe.

Ukraina

Józef Łobodowski Serca za barykadą

Jest temat, który się Polsce rzadko i niechętnie porusza, temat w stosunku do którego istnieją tysiące uprzedzeń i podejrzeń, temat niezwykle bolesny i aktualny domagający się szybkiego i radykalnego rozwiązania. Mam na myśli sprawę, czy też kwestję ruską: dla przeciętnego obywatela kwestja ta niemal nie istnieje, a w każdym razie – jest – czymś bardzo oddalonym i nie aktualnym – słyszał coś-niecoś o pacyfikacji Małopolski Wschodniej, ale nie przywiązywał do tego większej wagi, wie, że ukraińcy są wrogami narodu i państwa polskiego, przypomina sobie o nich to i owo z przeczytanej w dzieciństwie *Trylogii*, od czasu do czasu wpadnie mu coś w ucho o skargach wytaczanych przed Ligą Narodów i na tem koniec.

Między społeczeństwem polskim a kilkoma milionami rusinów z Podola i Wołynia wzniosła się barykada niezrozumienia i niechęci, za którą biją nienawistne serca bratniego narodu. Przeważnie jesteśmy skłonni całkowitą odpowiedzialnością za ten stan obciążyć sumienia Rusinów; przypominamy wówczas Chmielnickiego i hajdamaków, śmierć Potockiego i Undo, napady na urzędy i akcję podpalaczy, stwierdzamy po nieskończoność polskość Lwowa, śpiewamy o ziemi i kropki kiwi i traktujemy tych wszystkich Bondarczuków i Dmytruków jako zwyczajnych bandytów, których spotyka ciężka, lecz zasłużona kara. Ostatnio świeża mogiła Tadeusza Hołówki jeszcze bardziej zwiększyła naszą niechęć, wobec któ-

rej nie ma możliwości zdobycia się na trzeźwą ocenę wypadków i zjawisk i która opóźnia chwilę zniesienia złowrogo spiętrzonej barykady. Musimy się jednak nareszcie zdobyć na ową ocenę, przeprowadzić dokładną rewizję dotychczasowego stosunku do kwestji ruskiej i podsumować jego bilans. I nic się na to nie poradzi, że bilans ten w dość znacznej części wypadnie dla nas ujemnie. Trzeba to przyjąć po męsku do wiadomości i wyciągnąć odpowiednie konsekwencje.

Nie waham się z całą stanowczością stwierdzić, że za sytuację wytworzoną na kresach południowo-wschodnich gros odpowiedzialności ponosimy my sami – i to nietylko czynniki rządowe, co raczej samo społeczeństwo, bo i to musimy wziąć pod uwagę, że żadna akcja oficjalna nie odniesie w danym wypadku skutku, jeśli za nią nie będzie stał cały naród dłoń przyjaźni wyciągnięta przez reprezentantów rządu w kierunku ukraińców będzie tylko czczym gestem, jeśli doń w sposób otwarty i szczerzy nie przyłączy się całe społeczeństwo. Ludziom pewnego pokroju wydaje się to czemś niemożliwym i nieosiągalnym, a przecież nie tak dawne są czasy, w których ludność ruska nie odczuwała potrzeby odseparowania się od narodu polskiego i szczerze pragnęła zgodnego współżycia. Przecież bunty i powstania kozackie nie były nigdy skierowane przeciw Polakom w myśl jakichś urojonych antagonizmów narodowych, ale nosiły zupełnie wyraźny charakter społeczny, chwila-

„Trybuna” nr 1, s. 13-15.
Pisownia oryginalna.

mi nawet, co się najchętniej przemilcza o religijnym zabarwieniu.

Przecież sam Chmielnicki, którego pamięć po dziś dzień przeklina ludowa pieśń ruska za to, że rzucił Ukrainę w objęcia moskiewskiego cara, uważał się za Polaka i żadnej odrębności narodowej nie podkreślał. Umyślnie przypominam tamte czasy, bo w nich kryje się źródło wszystkich późniejszych nieporozumień. Nie kto inny, tylko magnat ukraiński z jezuitą i żydem-arendarzem wznieśli nienawiść polsko-ruską, która do dziś przetrwała w postaci najrozmaitszych organizacji konspiracyjnych. Ostatecznie, jeżeli hitlerji ukraińskiej udaje się podtrzymywać wrogi nastrój do Polski wśród młodzieży ruskiej, to do najważniejszych argumentów uczuciowych należą tu wspomnienia z owych lat, kiedy bezmyślność paniąt ukraińskich ożeniona z fanatyzmem księży zaczęła zwyciężać idee Żółkiewskich i Konaszewiczów. Jesteśmy skłonni największą odpowiedzialność zrzucać na perfidję nieboszczki Austrii. Tak przecież nie jest. Perfidja perfidją, Metternich Metternichem, ale Jarema Wiśniowiecki to też nie bajka i nie mąż opatrnościowcy z patriotycznej apologii Sienkiewicza, którą można się zachwycać, ale której przyjmować niepodobna.

Trudno, kochani rodacy. Coś się tam w przeszłości przeszkobało, czegoś nieładnego niepodobna się wypierać, bo jest najoczywistszą prawdą.

Nie znaczy to, byśmy w porywie wielkoduszności mianowali Wasyla Wyszywanego królem ukraińskim, a pana Wełykanowicza jego ministrem, ale skoro żyjemy w jednym podwórku z podejrzliwym i zadąsanym na nas, ale w gruncie rzeczy zupełnie przyzwoitym sąsiadem, to zrobmy, nareszcie coś, aby zyskać sobie, już jeżeli nie przyjaźń, to przynajmniej odrobinę szacunku i zgody. Tylko, że nam idzie to jak z kamienia. Wogóle nie znamy swoich sąsiadów. Nie chcemy ich poznać. Nie chcemy poin-

formować się o tem, co myślą, jak żyją, czego chcą i do czego dążą. Widzimy w nich hajdamaków i oczajduszów, rzezuinów i awanturników. I jeszcze jedno. Nie chcemy porozmawiać z nimi jak równi z równymi.

Jakże to! – Grunwald i Somosierra, Chrobry i Sobieski, Mickiewicz i Chopin, wielkie europejskie pretensje i ambicji, mocarstwo, panie dobrodziej – i nagle byle ukrajiniec, byle barbarzyńca, który tylko niedawno przestał łaźnić na czworakach.

To jest śmieszne, ale to jest także bardzo smutne.

Tkwi w tem jakaś tragiczna pomyłka, jakiś przeklęty paradoks, że naród od dwustu lat bity po pysku, ledwie wyleczył się z wczorajszych sińców i stał z czoła ślady pańskiego buta, już chce łapać inne narody za kark i powiewa sztandarem imperializmu i nacjonalistycznych pretensyj. Takie tendencje są bardzo silne, chociaż może przedwcześnie byłoby to uogólniać. Ale na dłuższą metę to się przecież nie opłaci. Mussolini i Hitler nie są wbrew optymizmowi naszego Adolfa Nowaczyńskiego bohaterami ani zbawicielami ludzkości.

Pijane narody rozbijające się nawzajem we mgle muszą kiedyś wytrzeźwieć. Niechże to stanie się prędzej. Bo historia gotowa dla otrzeźwienia urządzić jakiś komisariat, gdzie pobyt nie należy chyba do przyjemności. Są zresztą znaki na niebie i ziemi, które dowodzą, że przewlekły katzenjamer już się kończy. Nie ostatnią rolę odgrywa tu literatura. Może też ona zdecydować się pierwsza wypowiedzieć jasno i otwarcie w sprawie ruskiej. Byli kiedyś tacy pisarze, że wspomnę Zaleskiego, Jabłońskiego, Sowińskiego i Padurę. Nawiązać do ich przerwanej tradycji. Niech pacyfikację Małopolski przeprowadzi nie policjant i żandarm, nie pieść i bagnet, ale polski literat, polski artysta i polski uczone, którzy potrafią to uczynić w atmosf-

rze wspólnej wymiany myśli i wspólne-
go zaufania.

Wyjść naprzeciw sercom z za bary-
kad z otworzonymi naościę ramiony,
przyciągnąć ich do Polski w jagiellońskim
duchu odrodzonej wczuć się szczerze
w ich troski i potrzeby, wesprzeć tych
nielicznych jak Wasyl Stefanyk, Michał
Jackow, czy Michał Rudnickij, którzy
wśród zalewu szowinizmu ukraińskie-
go, tak pokrewnego naszej rodzimej
owupie napróżno podnoszą głos zgody
i pojednania.

Przypomnieć im ten uścisk braterski,
jakim na dalekiej stacji ukraińskiej po-
łączyły się ramiona Józefa Piłsudskiego

i atamana Pelury błogosławioną wios-
nę 1920 go roku, a panom z Warszawy,
Lwowa i Poznania podarować tom poe-
zyj Tarasa Szewczenki, który w swoim
czasie okrzyczany został za nienawist-
nika i szowinistę, a który osiemdzie-
siąt lat temu napisał te wielkie słowa:
„o tak – to, Lasze, druże – bracie, niesytji
ksiondzi, magnati nas poriznili, rozwieli,
a mib i Dosi tak żyli. Podaj-że ruku ko-
zakowi i siercie czystiee podaj! – i zno-
wu imieniem Christowim mi onowim
nasz tichij raj!”

Z temi słowy iść nam dziś na zdobycie
barykady i niemi trafić do serc bijących
poza nią nienawiścią i gniewem.



Plakat z wieczoru poety-
ckiego poświęconego Jó-
zefowi Łobodowskiemu.
Afish ze zbiorów Józefa
Zięby, który zorganizował
spotkanie.

Rozmowa z Józefem Łobodowskim w „Spotkaniach”

„Spotkania” nr 33-34,
1987, s. 195-196.
Rozmowa nieautory-
zowana.

„Spotkania”: Chciałbym się skoncentrować w tej rozmowie na sprawach polsko-ukraińskich. Słyszał Pan zapewne, że jest w Polsce pewna odnowa zainteresowania sprawami ukraińskimi zaznaczająca się niejako z dwóch stron. Z jednej strony wśród generacji powojennej obudziło się spore zainteresowanie sprawami mniejszości w Polsce przedwrześniowej. Zwłaszcza sprawa żydowska i sprawa ukraińska należą do tematów bardzo popularnych wśród inteligencji młodszego i średniego pokolenia, widać to najwyraźniej po nazwiskach autorów tych publikacji, które udało się „przepchnąć” przez cenzurę. Z drugiej strony wydaje się, że wśród Ukraińców mieszkających w Polsce zaznacza się pewna odnowa narodowa i religijna, zwłaszcza w kręgach unickich. Niektórzy Polacy się z tego cieszą, inni się niepokoją bojąc się jakichś niepożądanych reakcji sowieckich. Chciałbym zapytać, co Pan o tym sądzi, patrząc na sprawy polsko-ukraińskie z wyżyn Mesety Kastylijskiej?

Józef Łobodowski: Tak, ja o tym wiem. Zwłaszcza w czasach Solidarności te tendencje doszły do głosu. Przecież, jak pan doskonale wie, wtedy była namiastka wolności w Polsce. I wtedy doszło do pewnych rozmów, kontaktów i pewnego porozumienia. Ukraińcy w Polsce głównie są na zachodzie i na północy, przesiedleni z tak zwanej niesłusznie i ahistorycznie Małopolski Wschodniej i z Wołynia, ci, którzy uciekli przed okupacją sowiecką i znaleźli się w Polsce. Poza tym to są Łemkowie i Bojkowie, którzy zaraz po wojnie w okresie walk z resztkami Ukraińskiej Armii Powstańczej tzw. UPA zostali na siłę z Bieszczad Zachodnich przesiedleni na Zachód i na Północ. Oni są rozproszeni. Do niedawna starali się w ogóle nie odzywać, starali się ukrywać ze swoją narodowością.

Wprawdzie w Warszawie istnieje ośrodek społeczno-kulturalny ukraiński, wydają swoje czasopismo, ale jest to namiastka. Oczywiście oni muszą się bardzo liczyć z tym, co głoszą, no bo w Kijowie i w Moskwie bardzo niechętnie temu się przyglądają. Jest ich mało i są bardzo rozproszeni w tych województwach północnych i zachodnich.

Wśród pokoleń powojennych, trzydziesto- i czterdziestolatków jest jakaś chęć przezwyciężenia tego wielowiekowego konfliktu, tej nienawiści polsko-ukraińskiej. Czy Pan sądzi, że to psychologicznie jest możliwe? Co z tą masą krwi, która została wylana?

Proszę pana – może to być. Proszę wziąć pod uwagę, że wydarzenia na Wołyniu i na Ziemi Czerwieńskiej – jak ja wolę określać Małopolskę Wschodnią – to nie pierwszy raz w historii.

To znaczy mówi Pan o wydarzeniach z lat wojny?

Tak. Były przecież hajdamaczyzna i koliszczyzna w XVIII wieku, w XVII wieku też były wzajemne rzezie i z biegiem lat opinia jednego i drugiego narodu przechodziła do porządku dziennego nad tym wszystkim. To się odnowiło w czasie II wojny światowej na skutek zupełnie nonsensownej polityki wobec mniejszości ukraińskiej w Polsce przed rokiem 1939.

Na czym przede wszystkim polegała ta polityka?

Weźmy jako przykład oprawę Hrynek. Ni stąd ni zowąd rozchodzi się wiadomość, że cała ukraińska wieś z prawosławia przeszła na katolicyzm. To był 37 rok. Hryniki to wieś tuż nad granicą – ówczesną granicą polsko-sowiecką, w powiecie dyderkańskim, na terenie kontrolowanym oczywiście przez KOP. Były przygotowania do jakiejś uroczy-

stości rocznicowej. Za wsią wystawiono ołtarz, przy którym miano odprawić następnego dnia mszę i ten ołtarz został w nocy zbezczeszczoney. No więc oczywiście śledztwo. Chłopi powiadają, że to zrobiło dwóch młodych komunistów, którzy zaraz potem uciekli przez zieloną granicą na Ukrainę sowiecką.

Ale majorowi, dowódcy batalionu KOP-u to nie wystarczyło i on prowadził śledztwo dalej, bo chciał koniecznie ukarać sprawców, a szukać ich na terenie Ukrainy sowieckiej – to było trochę za trudno. Skutek był taki, że delegacja chłopów udała się do proboszcza katolickiego w Dyderkałach z prośbą o interwencję – bo ich tam bili i katowali. KOP był wszechwładnym panem na terenach, które mu podlegały. No i ten ksiądz w rozmowie dowiaduje się, że jeden z chłopów nazywa się Kostiuk – i wpada na genialny pomysł i że on się musiał nazywać Kościuszko, że ta wieś to była szlachta zagrodowa, która po powstaniu 30-go roku, jak to zresztą często bywało, została siłą nawrócona na prawosławie i że to są wszystko potomkowie tej szlachty zagrodowej i potomkowie katolików.

Obopólnym wysiłkiem księdza w Dyderkałach i dowódcy KOP-u doprowadzono do tego, że Hrynki przeszły na katolicyzm łański i rasa trąbiła przez parę tygodni na ten temat. Wielkie wydarzenie. Uważała IKAC, który był najbardziej antyukraińskim pismem w Polsce, a jednocześnie miał ogromny nakład – najwyższy w Polsce. No więc – mija kilka tygodni – i nagle wstydliwa wiadomość w „Kurierze Porannym” i w „Gazecie Polskiej” – Hrynki wróciły na prawosławie. Z wyjątkiem jednego obywatela o nazwisku Achtechtian. Nazwisko mongolskie – któż to był? To był dawny żandarm carski, który w czasie rewolucji uciekł na Wołyń, znalazł się w Hrynkach, przyjeździł się tam do młodej wdowy i gospodarował jako jeszcze jeden chłop. Otóż on jeden pozostał

wierny katolicyzmowi i szlacheckości – no bo ich mianowali szlachtą zagrodową.

To był jeden z najbardziej jaskrawych przykładów idiotycznego polonizowania. Wojewoda Józewski oczywiście był temu przeciwny – ale on był w nieustannej wojnie z tymi polonizatorami. Ja byłem wtedy na Wołyniu i chciałem jechać do Hrynek, ale wojewoda mi powiedział: „Proszę pana, KOP pana nie puści. Jeżeli biskupa prawosławnego, który tam z Łucka chciał pojechać, z drogi zawrócili, to tym bardziej pana”.

Był oczywiście szereg innych konfliktów i konfliktogennych sytuacji, czasami prowokowanych niestety przez Polskę, na przykład sprawa uniwersytetu we Lwowie, czy sprawa osiedlania polskich kolonistów wojskowych na wsi...

No oczywiście. Ja byłem w podchorążówce przy 44 pułku piechoty, to byli Strzelcy Kresowi, w Równem. Był wśród nas jeden Ukraińiec. Ukraińców do podchorążówki z zasady nie brano. Ale on złożył podanie – jeszcze wtedy żył Piłsudski, to był rok 33 – więc złożył podanie na ręce Piłsudskiego i Piłsudski kazał go przyjąć.

Sceny były takie na przykład. Przychodzi porucznik, dowódca plutonu, i bada personalia wszystkich kandydatów – bo przed przysięgą myśmy nie byli podchorążymi tylko rekrutami z cenzusem. Bada personalia, dochodzi do tego chłopaka i pyta go o narodowość, a ten mówi „Ukraińiec”. „Jaki Ukraińiec? Co wyście – zwariowali? Gdzie ta wasza Ukraina? Nie ma żadnej Ukrainy! Powiedźcie, że jesteście Rusinem!” To było przecież naigrywanie się z uczuć narodowych.

Proszę pana – przychodził chłop, który polskiego języka w ogóle nie znał, coś załatwić do urzędu. A urzędnik mu odpowiada: „Proszę mówić do mnie po polsku”. Przecież tylko polski był językiem oficjalnym. Rozmawiam kiedyś z młodą nauczycielką, poznanianką,

która skończyła seminarium nauczycielskie w Wielkopolsce i przesłano ją na Wołyń. I ona powiada: „Ja jestem bezradna, bo ja nie rozumiem, co te dzieci między sobą mówią”. A przecież większość tych dzieci nie tylko rozmawiała między sobą po ukraińsku, ale w ogóle nie знаła polskiego języka! To przecież były absolutne nonsensy.

Winą za te nonsensy obarcza się często Narodową Demokrację, a potem Sanację, która przejęła sporo elementów endeckiej polityki narodowościowej.

Proszę pana – Wołyń to był jedyny teren, na którym doszło do pojednania pomiędzy wojskiem, sądownictwem, endecją i Strzelcem – wszystko na tle walki z wojewodą, który był uważany za zdrajcę polskości. On umarł dopiero niedawno. Urodził się na Ukrainie, był w rządzie Petlury, mówił świetnie po ukraińsku – jak zresztą wszyscy Polacy stamtąd, normalna rzecz! Tak jak wszyscy Polacy ślascy mówili doskonale po niemiecku. No więc ogłoszono go za zdrajcę, bo on z chłopami ukraińskimi rozmawiał po ukraińsku.

Przypomina mi się bardzo ciekawa historia. Józewski był uważany za żelaznego wojewodę, bo jego postawił sam Piłsudski i Sławoj Składkowski nie chciał go ruszać. Już po śmierci Piłsudskiego delegacja oficerów z Wołynia przyjechała do Lublina – bo Wołyń należał do DOK (Dow. Okręgu Korpusu) Lublin – i do generała Mieczysława Smorawińskiego z ultimatum: jeżeli on nie spowoduje natychmiastowego odwołania Józewskiego z Łucka – Łuck był stolicą województwa – to jeden z nich zastrzeli wojewodę. Pan generał – który potem zresztą zginął w Katyniu – zamiast kazać im odpasać szable i udać się do aresztu, pojechał do Warszawy do Kasprzyskiego, który miał sprawy wojskowe. Kasprzyski do Sławoja Składkowskiego – i Józewski został z Wołynia odwołany, a na jego miejsce przyjechał Hauke-Nowak.

Teraz taki szczegół anegdotyczny. Na jarmarku Żyd pyta znajomego chłopca: „A czczo teper bude?” – a tamten odpowiada: „Budemo hawkaty po nowomu” – będziemy czekać po nowemu, pijąc oczywiście do nazwiska nowego wojewody. Ale Hauke-Nowak niczego w gruncie rzeczy na Wołyniu nie zmienił. Usiłował oscylować pomiędzy dawną polityką Józewskiego a wymaganiami jego wrogów. To była kołomyjka niesłychana.

Kiedy Pana słucham czy kiedy czytam o sprawach ukraińskich nasuwają się pewne analogie. Dziś mamy coś podobnego w Libanie, w Palestynie czy w Irlandii Północnej – dwa narody żyjące na jednym terytorium, które zgłaszają do niego słuszne historyczne prawa, i które w pewnym momencie w wyniku rozbudzenia nacjonalistycznego czy etnicznego tracą zupełnie zdolność współżycia na jednym obszarze. Czy pańskim zdaniem – jeśli już tak gdybać nienaukowo – gdyby byli sami tacy Józewscy i gdyby była bardzo mądra polityka polskiej strony – to czy problem współżycia polsko-ukraińskiego był w ogóle do rozwiązania?

Teoretycznie był do rozwiązania, na pewno. Ale społeczeństwa tego rozwiązania na dobrą sprawę nie chciały – ani polskie, ani ukraińskie. Rozjątrzenie nacjonalistyczne zaszło bardzo daleko. Ze strony polskiej zginął Hołówko, który był przecież sztandarowym przywódcą tych tendencji proukraińskich, pojednawczych. A ze strony ukraińskiej zginął dyrektor gimnazjum, też zastrzelony przez Ukraińców, który siedł po tej samej linii.

Ja w Warszawie stykałem się bardzo blisko z emigrantami ukraińskimi. To byli prawie bez wyjątku ludzie z wielkiej Ukrainy. Na przykład bardzo wybitny poeta, nieżyjący już Jewhen Małaniuk – pochodził z chersońszczyzny. Było wśród nich wielu kijowian. Otóż z nimi można było rozmawiać. Nie ustępując ze swego stanowiska nacjonalizmu ukraińskiego byli oni jednak ludźmi inteligentnymi,

rozumnymi, rozumieli także polskie stanowisko i polskie tendencje – chcieli porozumienia. Ale to była nieliczna garstka i prawie całkiem odosobniona.

Na Ukrainie były – jak wszędzie – pewne elity narodowo i politycznie świadome, prowadzące politykę, i masy, które się w politykę bezpośrednio nie angażowały. Jakie były pańskim zdaniem stosunki między ukraińskimi elitami i masami na Ukrainie?

Wymiana ideologiczna i polityczna między tymi grupami istniała. Weźmy sprawę Biłasa i Danyłyszyna, którzy wzięli udział w napadzie na urząd pocztowy w Gródku Jagiellońskim. Zostali aresztowani i skazani przez sąd doraźny na śmierć i wyrok został wykonany. Obaj zostali powieszani. Oczywiście od razu strona ukraińska ogłosiła ich bohaterami i ofiarami polskiego terroru. Skazano ich na śmierć i Prezydent ich nie ułaskawił – ponieważ oni byli zamieszani w sprawę zabójstwa Hołówki. Adwokaci ukraińscy, którzy ich bronili, usiłowali włączyć tę sprawę, ale sąd polski nie zgodził się. Od wyroku sądu doraźnego nie było apelacji.

Ignacy Mościcki nie skorzystał z prawa łaski i to był zasadniczy błąd. Moim zdaniem to był moment najbardziej kluczowy dla stosunków polsko-ukraińskich. Po powieszeniu Biłasa i Danyłyszyna nie było sposobu na jakiegokolwiek pertraktację. Wtedy jeszcze można było sobie pozyskać masy ukraińskie. No i bardzo źle, że nie zrobiono procesu o zabójstwo Hołówki. Biłas i Danyłyszyn to byli prości chłopcy, których oszukano – powiedziano, że Hołówko był sprawcą pacyfikacji, a przecież on był ich największym wrogiem. Gdyby więc odbył się proces Biłasa i Danyłyszyna oskarżonych o zamordowanie Hołówki, to cały szereg spraw wyszedłby na jaw, cały szereg spraw kompromitujących nacjonalistyczne podziemie ukraińskie. A z tego nie skorzystano. Wolano ich powiesić.

Mówi się nieraz – nie bez pewnej słuszności – o realistycznej polityce Narodowej Demo-

kracji; dzisiejsi sympatycy tej tradycji politycznej bardzo ów realizm eksponują. Ale przecież to był pomysł zupełnie nierealistyczny – polonizacja tej ogromnej masy ludzi.

No oczywiście – Ukraińców było w polskich granicach około 4 milionów. Żyje jeszcze w Londynie stary człowiek, który się nazywa Jędrzej Giertych. On był jednym z promotorów tej polityki rzekomo proukraińskiej, w rzeczywistości antyukraińskiej. Na przykład chciał zmienić alfabet na łaciński. On dziś jeszcze twierdzi, że to by nie był krok antyukraiński i że tak powinno być się zrobić. Ci ludzie chcieli zrobić Polaków z tej masy różniącej się zarówno narodowo jak i religijnie – bo w Galicji to byli unicy, a na Wołyniu i Polesiu prawosławni. Oczywiście marzenie ściętej głowy. Najgorzej, że wojsko poszło po tej samej linii. Kiedy Rydz-Śmigły złożył wizytę w najbardziej endeckiej korporacji w Warszawie, to już było jasne, że polityka pójdzie w tym kierunku. Polityka polska od samego początku – to jest przynajmniej od 1920 roku – była nonsensowna.

A sprawa wojny polsko-ukraińskiej, która wybuchła w listopadzie 1917 roku we Lwowie, zupełnie nieoczekiwanie dla Polaków. Czytałem o tym i zdumiewało mnie, do jakiego stopnia Polacy lwowscy nie zdawali sobie sprawy z nastrojów wśród Ukraińców.

Proszę pana – we Lwowie były trzy getta – polskie, ukraińskie i żydowskie, które miały ze sobą kontakty tylko osobiste i to nieliczne, a kontaktów społecznych nie było. Opowiadał mi jeden z pisarzy ukraińskich na emigracji, że właścicielka wielkich majątków na Podolu już na emigracji bardzo dziwiła się, że istnieje jakiś naród ukraiński. Ona myślała, że Ukraińcy to znaczy Rusini, służba domowa i nic więcej.

W Chyrowie na budynku szkoły umieszczono tablicę, na której tę wojnę nazwano słusznie bratobójczą – to była wojna bratobójcza. Na skutek tej wojny nie powstała Ukraina niepodległa, nie udała się wyprawa kijowska. Ja w 1920

roku miałem 11 lat i byłem na północnym Kaukazie. Ale w latach zawieruch wojennych, a zwłaszcza wojen domowych dzieci znacznie szybciej dojrzewają. Doskonale pamiętam propagandę sowiecką w 1920 roku. Świnia w kontuszu pokazywała manifest do narodu ukraińskiego z podpisem Petlury. I komentarz do tego: wprowadzą polszczyznę. I ciemny chłop na kijowszczyźnie wierzył w to – i dlatego nie poszedł do Petlury. Petlura miał raptem kilka tysięcy wojska.

Wtedy powstał rząd w Kijowie, prawda?

W Kijowie powstał rząd socjalistyczny. Za kiereńszczyzny i oni jak zwykle uwierzyli komunistom. Oni chcieli federacji Ukrainy z Rosją. No i mają federację w postaci „niepodległej” Ukraińskiej Republiki Sowieckiej. Całkiem niepodległej Ukrainy chciał tylko Petlura.

Ale – znowu gdybając, dla mnie to zawsze jest najciekawsze – gdyby nie było wojny polsko-ukraińskiej – to byłyby jakieś szanse na powstanie niepodległej Ukrainy? Czy Polska by się na to zgodziła? Przecież niektórzy politycy ukraińscy domagali się bardzo wiele – chełmszczyzny itp.

Polska musiałaby się zgodzić – oczywiście zależy, jakie granice by wytyczono. Żyje dziś pewien działacz ukraiński w Stanach Zjednoczonych, wydaje swoje pismo i domaga się granicy – niech pan zgadnie gdzie: na Pilicy! On uważa, że to jest zachodnia Ukraina, że tak kiedyś było. Ale to oczywiście jest sprawa anegdotyczna. Rozsądni Ukraińcy godzą się z granicą obecną – na Sanie i na Bugu.

Ale dziś jest sytuacja prostsza psychologicznie, bo istniejące granice większości Polaków uważa za fakt dokonany. A czy przed wojną mogliby się zgodzić na sytuację, w której Lwów pozostawałby poza Polską?

Nie, to było niemożliwe. Ale było możliwe wykonanie tego, co było uchwalone na Zachodzie i uznane przez rząd Polski, to znaczy autonomia terytorialna, w której Ukraińcy byłiby traktowani na równi z Polakami i z Żydami.

To byłoby do przyjęcia – autonomia, obejmująca województwo stanisławowskie, województwo lwowskie aż po San, tarnopolskie – nawiasem mówiąc w województwie tarnopolskim procent Polaków był znacznie wyższy niż w lwowskim, no i Wołyń, gdzie procent Polaków był śmiesznie niski. Oczywiście Żydzi zawsze głosowaliby po stronie polskiej, więc razem z Żydami Polacy reprezentowaliby na Wołyniu kilkanaście procent, bo rzadko rozsiane miasteczka były całkowicie żydowskie. Autonomia była więc możliwa, a przede wszystkim autonomia kulturalna. Ten obiecany uniwersytet we Lwowie. Zaprzestanie walki ze szkolnictwem ukraińskim. Utraktywistyczne gimnazja – to był nonsens – polska młodzież nie chciała się w nich uczyć ukraińskiego. To był jeszcze jeden rozsądny zła i nienawiści.

Ale jednak nacjonalizm ukraiński rósłby konsekwentnie w kierunku uzyskania całkowitej niepodległości.

Naturalnie, że by rósł, proszę pana – było dwóch posłów ukraińskich. Jeden nazywał się Pewnyj – czyli pewny – a drugi Mudryj – to znaczy mądry. Mudryj był propolski, a Pewnyj antypolski. Wtedy powstało powiedzenie: „Gdyby Mudryj był pewnyj, a Pewnyj był mudryj to byłoby dobrze”. Autonomia stworzyłaby zlanie się Pewnego z Mudrym i takich byłoby o wiele więcej. Niech pan weźmie pod uwagę, że młody Ukrainiec, który chciał studiować, jechał do Pragi albo do Niemiec, albo do Francji.

Trochę studiowało w Krakowie.

Ale bardzo mało. A ci, którzy studiowali za granicą, utrwalali się w swej niechęci do polskości.

Proszę coś powiedzieć na temat emigracji ukraińskiej i stosunków emigracyjnych polsko-ukraińskich.

Emigracja ukraińska jest politycznie znacznie bardziej podzielona niż kiedykolwiek była emigracja polska. Polska i ukraińska – to są dwie emigracje wymierające. Chociaż emigranci są za-

stanawiająco długowieczni. Czytam nekrologi i widzę, że większość umiera około 90-tki. W sumie emigracja polska jest jednak w lepszej sytuacji, bo jest pewien dopływ z kraju – w wypadku Ukraińców niemal zerowy. No więc na emigracji ukraińskiej są pewne tendencje porozumienia z Polakami, czego najlepszym dowodem jest np. numer polski miesięcznika „Suczasnist” wychodzącego w Monachium. Ale to idzie bardzo ciężko, przede wszystkim dlatego, że Ukraińcy zdają sobie sprawę, że tylko część Polaków jest za porozumieniem z nimi. A żyjący jeszcze staruszkowie urodzeni we Lwowie czy w Tarnopolu, czy w Stryju, na ogół torpedują to wszystko. Jest więc w tej chwili na emigracji wojna starców. Starcy polscy chcą Lwowa i Tarnopola, a starcy Ukraińscy, Chełma i Łemkowszczyzny.

A skąd się wzięła Pańska pozycja wśród Ukraińców i Pańskie zainteresowanie tymi sprawami i zaangażowanie w nie?

Moja pozycja bierze się stąd, że ja byłem zwolennikiem ugody polsko-ukraińskiej jeszcze przed wojną. Moje nazwisko jest pochodzenia ukraińskiego. Łobodów na Ukrainie, było więcej niż pokrzyw. Był słynny ataman Łoboda, który z Nalewajką podniósł powstanie przeciwko Polsce – nie bunt tylko właśnie powstanie. Kiedy Łoboda i Nalewajko ponieśli klęskę od wojsk Żółkiewskiego, wycofali się na Wołyn i pod Łabuniami założyli obronny obóz. Wtedy Łoboda wysunął propozycję, żeby porozumieć się z Żółkiewskim, że jeszcze jest właściwy moment – bez utraty dalszych żywotów ludzkich Polacy mogą pójść na pewne ustępstwa. Wiadomo było zresztą, że Żółkiewski nie był żadnym nacjonalistą, wręcz odwrotnie. Otóż na naradzie wojennej zwolennicy Nalewajki zabili Łobodę, po czym w kilka tygodni później Żółkiewski zmusił Kozaków do poddania się. Oni jak zwykle stracili najlepszy moment do pertraktacji, a potem przegrali i musieli poddać się bez warunków.

Propaganda nacjonalistyczna ukraińska twierdzi, że Łoboda został zabity przez Polaków. O Nalewajce jeszcze w XVII wieku powstała legenda, że on przez Lachów został w miedzianym wole upieczony – a w rzeczywistości został wysłany do Warszawy z listem Żółkiewskiego wstawiającym się za nim, proszącym króla i Sejm o łaskę dla niego. Żółkiewskiego jednak nie usłuchano i Nalewajko został na Starym Rynku w Warszawie ścięty przez kata. Ale odchodzimy tu od tematu. Ja wiedziałem od ojca, że rodzina pochodzi od uszlachconego Kozaka, który ożenił się z Polką i oczywiście przeszedł na katolicyzm. Z biegiem lat rodzina spolszczyła się całkowicie, ale pewna tradycja pozostała.

Poza tym ja spędziłem część mojego dzieciństwa – między rokiem 1917 a 22 – na ziemi Kozaków kubańskich, którzy byli potomkami Kozaków zaporoskich, przesiedlonych tam za czasów Katarzyny II. To obudziło moje zainteresowanie. Potem pogłębił je pobyt w Kijowie i na Wołyniu. Poza tym – ja widziałem rzeczywistość. Moim pierwszym wyrazem był artykuł pod tytułem *Serca za barykadą*, wydrukowany w czasopiśmie młodzieży ZPMD na Uniwersytecie Lubelskim, na początku roku 1932. Pismo nazywało się „Trybuna”. To było pierwsze moje wystąpienie wzywające do zgody między Polakami a Ukraińcami. Oczywiście ten artykuł wywołał tylko oburzenie ze strony polskiej. Ja zresztą wkrótce przestałem być redaktorem tego miesięcznika, poszedłem bardziej na lewo.

Odejście moje od lewicy też było związane ze sprawami ukraińskimi. Między innymi przyczyniła się do niego wiadomość o głodzie na Ukrainie, który został zorganizowany przez władze sowieckie w roku 1932. Ja się o tym dowiedziałem z dużym opóźnieniem, ale w roku 1935 byłem na Ukrainie sowieckiej, poszedłem na zielono, przemysłowcy mi to ułatwili. Doszedłem aż do Koziatyna, na

kijowszczyźnie. Tam zorientowałem się, że moim śladem już idą, już wiedzą, że ktoś nielegalnie się kręci. To było ciekawe ale smutne bardzo.

Ja dużo chodziłem po lubelszczyźnie na piechotę – Lublin, Krasnystaw, Zamość, Chełm... Jeżelim w Polsce podszedł do chłopki czy dziewczyny i powiedziałem: „Niech będzie pochwalony”, to usłyszałem „Na wieki wieków”. A na Wołyniu pierwsze moje spotkanie jak wyglądało? Koło Szepietówki, niedaleko granicy polskiej młoda dziewczyna w lesie zbierała jagody. Podchodzę do niej i mówię „Sława Bohu”, a ona zamiast mi odpowiedzieć „Na wiki wików” popatrzyła obłędnym wzrokiem, rzuciła koszyk i w nogi. I to było zjawisko powtarzające się. Po prostu paniczny strach na widok kogoś nieznanego. A w Berdyczowie, o który w drodze powrotnej zawadziłem zagadał do mnie Żyd po polsku – na ulicy. „A skąd pan wie, że ja jestem Polakiem?” – pytam go. „A no bo pan tak chodzi i tak wygląda jak by pan nie był tutejszy – czy może z konsulatu w Kijowie?” Ja mówię „Nie”. „To niech pan ucieka”.

Czy w Galicji Wschodniej i na Wołyniu świadomość tego, co działo się na Ukrainie sowieckiej była powszechna?

Była dominująca, choć nie powszechna. Były jednak siły wyraźnie prosowieckie – grupa pisarzy i dziennikarzy wydających swoje czasopismo. To było złudzenie wywołane tym, że w pierwszych latach po wojnie domowej na Ukrainie doszło do rozkwitu kultury i literatury. Właściwie dopiero 32 rok był przełomowy – kolektywizacja, głód, krwawe represje w stosunku do intelektualistów. Przecież ci tak zwani klasycy kijowscy wszyscy zginęli – z wyjątkiem jednego, któremu udało się na czas wyjechać na emigrację. Oni tłumaczyli rzymskich i greckich poetów i wzywali do kulturalnego odcięcia się od Moskwy, Tu musiało być uznane za odchylenie nacjonalistyczno-burżuazyjne.

Kiedy ja w moim czasopiśmie „Dźwigary”, którego pan Krzysztof Woźniakowski (nie mylić z Jackiem i Henrykiem tego samego nazwiska) u Machejka w „Życiu Literackim” określił jako próbę siania zamętu wśród komunistów polskich, napisałem o co mi chodzi – że mianowicie KPP – Komunistyczna Partia Polski – to tak jak Komunistyczna Partia Powiatu lubaczowskiego, że powinno być PPK, Polska Partia Komunistyczna – to od razu mnie oskarżono o odchylenie nacjonalistyczno-burżuazyjne!

Po wojnie trafił Pan na „Kulturę” – która się problematyką polsko-ukraińską zawsze bardzo interesowała – Mieroszewski, Giedroyc... Mieroszewskiego znałem bardzo słabo, U niego te sprawy nie były uzasadnione, on to traktował bardzo teoretycznie. Giedroyc w swoim czasie zrobił bardzo dużo w tym kierunku, chociaż ostatnio mocno się zmienił. Nadal bardzo się interesuje sprawami ukraińskimi.

Chciałbym na koniec wrócić do spraw, które zaczęliśmy tu trochę dotykać, to znaczy do dawnej historii. Jeżeliby tak spojrzeć na tę całą dosyć nieszczęśliwą historię z wysokiego lotu ptaka – to gdzie należałoby ją zacząć? Z pewnością przed Chmielnickim?

Ukraińcy zaczynają od Kazimierza Wielkiego – niesłusznie. Kazimierz Wielki przyłączył Ruś Halicką. Ale to było średniowiecze i nacjonalizm jeszcze nie istniał. Najlepszy dowód, że kiedy Polacy oblegali Halicz, to kto go bronił? Piechota węgierska. Poza tym w przydziałach ziemi Kazimierz Wielki nie stosował żadnych antyruskich kryteriów. Ja myślę, że dopiero od Unii Lubelskiej, a zwłaszcza od Unii Brzeskiej zaczyna się naprawdę historia.

Kiedy po umowie hadsiackiej przyjechał do hetmana Wyhowskiego poseł z Warszawy (Wyhowski był całkiem spolszczony, ta Wyhowska de Andreis, która mieszka w Rzymie, jest z tej samej rodziny) i przywiózł mu uchwały sejmowe, Wyhowski za głowę się złapał:

„Unię mi przywiozłeś? Śmierć mi przywiozłeś!” – chodziło o odrodzenie Unii na Ukrainie. Moment religijny odgrywał w XVII wieku w sprawach politycznych rolę zasadniczą. Zawinił tutaj Rzym, bo nuncjatura w Warszawie mocno popierała Unię, kler polski także, za klerem szlachta.

Obydwaj bracia Wyhowsky zginęli oskarżeni o zdradę. Iwan Wyhowski, hetman oskarżony o zdradę Rzeczypospolitej, a jego młodszy brat – o zdradę Moskwy, o zdradę Perejasławia. Z tą różnicą – świadczącą o różnicy kulturalnej – że Iwan Wyhowski został skazany i rozstrzelany przez Polaków. A jego brat zginął w strasznych męczarniach. Torturowano go wlewając mu do żył ołów. Kiedy wdowa zobaczyła jego ciało, które odesłano, wzywała Polaków do zemsty. Oczywiście nic z tego nie wyszło. Czerni – jak nazywano prosty lud na Ukrainie – opowiadała się przeciwko Hadyaczowi głównie ze względów religijnych, była za prawosławiem.

Czy uważa Pan, że w ogóle Unia Brzeska była polityczną pomyłką?

Nie, pomyłką były metody jej wprowadzania. Unia była rzeczą dobrą – ale metody jej wprowadzania były fatalne. Rzym nie poszedł na żadne ustępstwa. Biskupi unicy nie weszli do Senatu. Mimo rychłego pęknięcia Unia utrzymała się aż do Powstania listopadowego. Dopiero potem została zlikwidowana w zaborze rosyjskim, na Białorusi – Białoruś cała była unicka i na tej części Ukrainy, która znajdowała się pod zaborem rosyjskim, potem na Chełmszczyźnie.

Unia była likwidowana parę razy – ostatni raz na tym pseudosynodzie we Lwowie w 1945 roku – a jednak trwa, tam pod ziemią, a w Polsce półoficjalnie – ostatnio była wizyta biskupa Marusyna z Watykanu, niektórzy sądzą, że to fakt przełomowy dla sytuacji Kościoła unickiego w Polsce.

Czternaście lat temu ja rozmawiałem z metropolitą Slipyjem, którego Jan

XXIII wyciągnął z łagru sowieckiego, ale skazał go na bezczynność. Na przykład nie wolno mu było dawać wywiadów. Kiedy przyjechałem do Rzymu – to było z inicjatywy Giedroycia, ksiądz Choma, sekretarz metropolity powiedział mi, że on zgodził się na rozmowę, ale nie na wywiad – „Musi Pan to ująć w formie relacji z rozmowy”.

Slipyj powiedział mi, że rozmawiał w Rzymie z prymasem Wyszyńskim, który obiecał mu, że doprowadzi w Polsce do złagodzenia postawy kleru rzymskokatolickiego i miał pretensje, że Wyszyński tego nie wykonał. Slipyj nie chciał rozmawiać po ukraińsku, mówiliśmy po polsku, na co chętnie się zgodziłem, bo łatwiej. Pamiętam, że nazywał Wyszyńskiego endekiem.

Kiedy jesteśmy przy sprawach hierarchów – ciekaw jestem, jak Pan ocenia postać i rolę metropolity Szeptyckiego?

Proszę pana – to była postać dużej miary. Polscy endecy ogłosili go narodowym zdrajcą. Jego ojciec, hr. Szeptycki żonaty z Zofią Fredrówną, córką Aleksandra, był Polakiem, Szeptyccy spolonizowali się pod koniec XVIII wieku – stosunkowo bardzo późno. Jeszcze w XVIII wieku byli biskupi unicy „Szeptyckij”. Czytałem pamiętniki Zofii Fredrówny, która przedstawiła w nich, jak jeden z synów został polskim generałem, a drugi stał się Ukraińcem i został metropolitą. Oczywiście wersja, że on to zrobił dla kariery, jest absolutnie nonsensowna. On to zrobił ideowo, poszedł śladami swoich przodków.

Powstała wersja, że ani metropolita nie chciał używać języka polskiego ani jego brat Stanisław nie chciał mówić po ukraińsku, więc mówili ze sobą po francusku. Otóż z pamiętników matki wynika jasno, że u nich w domu panował język francuski, jak w każdym domu arystokratycznym w owych czasach. Andrzej i Stanisław rozmawiali ze sobą po francusku jako dzieci – więc dlaczego mieliby to zmienić później.

A późniejszy okres metropolity? Wzrost nacjonalizmu, wojna?

Wiem, że Szeptycki w jakiejś rozmowie powiedział: „kiedy dżungla płonie, zwierzęta się nie gryzą, a ludzie się gryzą” – to była jego opinia o stosunkach polsko-ukraińskich w czasie wojny. Chronił Żydów, narażając się na śmierć. Propaganda komunistyczna przypisuje mu proniemieckość, ale to nieprawda. On oczywiście musiał z Niemcami pertraktować – tak samo Jak Sapieha musiał. Jeśli on nawet trochę popierał Hałyczynę czy inne formacje, to trzeba pamiętać, że one tak współpracowały z Niemcami jak legiony Piłsudskiego współpracowały z Austriakami – oni walczyli licząc na to, że stworzą załóżek przyszłej narodowej armii ukraińskiej. Wierzyli w to, co Piłsudski powiedział w swoim odczycie jeszcze przed I wojną światową – że zwycięstwo pójdzie z zachodu na wschód – tj. najpierw Niemcy pobiją Rosję, a potem Zachód pobije Niemców.

Chciałbym jeszcze dokończyć ten perspektywiczno-historyczny wątek naszej rozmowy, od którego odeszliśmy. Gdyby miał Pan wskazać momenty kluczowe, kiedy historia

polsko-ukraińska mogła się była ułożyć inaczej – to jak by je Pan określił?

Pierwszy moment – zaraz po Unii Lubelskiej. Wszystkie powstania kozackie, które poprzedzały Chmielnickiego były tylko wskazówkami, co nastąpi. Trzeba i można było położyć temu kres przed wystąpieniem Chmielnickiego. Szlachta polska była politycznie absolutnie ślepa. Drugi moment – w czasie Wojny Północnej. Mazepa po stronie ukraińskiej, a po stronie polskiej – Stanisław Leszczyński. Gdyby Leszczyński mógł posłać Karolowi XII pod Połtawę choćby kilka tysięcy polskiej kawalerii, to Karol XII wygrałby Połtawę, to historia nie tylko Polski, ale Europy i całego świata zmieniłaby się zupełnie. Ale Mazepa miał minimalną pomoc ze strony ukraińskiej – Sicz zaporoska nie ruszyła się w ogóle, co było posunięciem samobójczym. A po Połtawie nastąpiło pierwsze zniszczenie Siczy zaporoskiej za Piotra I, a następne, definitywne, za Katarzynę II. Można by ten wykaz nonsensów w polityce polsko-ukraińskiej ciągnąć dalej – ale czy warto? Nonsensy w tej polityce trwały przez lat czterysta. Czas, żeby się już skończyły.

Józef Łobodowski Przeciw upiorom przeszłości

Mój artykuł pt. *Między Muszalskim i Zagłobą*, drukowany ubiegłego lata w „Wiadomościach”, podsylił i rozszerzył dyskusję toczącą się uprzednio na łamach tegoż pisma, zresztą dyskusję dość marginesową, bo ograniczoną niemal w całości do działu „Korespondencja”. Tym razem jednak Jędrzej Giertych wystąpił z obszernymi uwagami, dołączył się Zbyszewski, napisali listy profesor Studnicki i Jan Tokarski. Żywo zareagowała strona ukraińska. Szereg czasopism, wychodzących w Europie i Ameryce, ogłosiło przekład mojej pracy w całości lub obszernych wyciągach, zaopatrując je w komentarze; zasadniczo odpowiedziało paryskie „Ukraińskie Słowo”. Wreszcie otrzymałem sporo prywatnych listów, przeważnie od osób mi nieznanych.

Niektórzy korespondenci zwrócili uwagę, że artykuł mój był prawie w całości polemiczny, natomiast zabrakło w nim konkretnego programu ugody polsko-ukraińskiej.

Bo przecież – słusznie pisze jeden z nich – praktycznie biorąc, cała sprawa sprowadza się do pogranicznych ziem spornych. Gdyby któraś ze stron zrezygnowała na rzecz drugiej ze Lwowa, nic nie stało by porozumieniu na przeszkodzie. Ci z Polaków, którzy usiłują udowodnić, że Ukraina powstać nie może, a gdyby nawet powstała, nie utrzyma się pod naporem Rosji, bardziej wpatrują się w Lwów i Tarnopol, niż w Kijów i Połtawę. Ukraińcy znów wszystkie problemy, łączące się z Polską, rozpatrują w skali: Zbrucz-San. Skoro ustępstwo którejkolwiek ze stron wydaje się, przynajmniej w chwili obecnej, niemożliwe, pisanie na ten temat ma sens tylko wtedy, gdy autor widzi i proponuje trzecie rozwiązanie i to bardzo konkretnie sprecyzowane. Cała reszta, włącznie ze szlachetnym wzywaniem do nieprzelewania krwi w bratobójczych

walkach, nosi charakter zdecydowanie utopijny i z politycznego punktu widzenia obojętny.

Jest w takim sformułowaniu sporo racji, ale nie całkowita. Myślę, że nawet w wypadku nie znalezienia trzeciego rozwiązania, wzajemne rozmowy i rozładowywanie sąsiedzkiej nienawiści nie stanowią utopii i mogą okazać się pożyteczne. Nie znaczy to jednak, abym innych możliwości nie widział. Zanim dojdę do sedna zagadnienia, trzeba podsumować dotychczasową dyskusję i odeprzeć wysunięte zarzuty. Nawet marginesowa polemika miewa niekiedy swą pozytywną podszewkę. Gdy się kompromituje fałszywą argumentację, przyczepioną do niesłusznej i szkodliwej tezy, również i sama teza zaczyna chwiać się w oczach czytelnika. Teren, na którym odbywają się nieliczne spotkania polsko-ukraińskie, jest tak najeżony kolczastymi zasiekami, przekopany wilczymi dołami, zaśmiecony wzajemnymi uprzedzeniami i podejrzeniami, przesiąknięty stęchlą wodą anachronicznych opinii, że trzeba go choćby częściowo oczyścić i zdrenować, bo inaczej zagubimy się w nim bez ratunku. Oczywiście, po obydwu stronach barykady są ludzie, którym już nic nie pomoże. Jedni zawsze oświadczą: „Ty sobie gadaj, co chcesz, a ja wiem, że Ukraińcy to czarnopodniebienne gady!” – a inni odpowiedzą: „Łach, Żyd i sobaka – wira odinaka”.

Zatem spróbujmy raz jeszcze podsumować zarzuty, z różnych stron pod moim adresem wysunięte i cierpliwie na nie odpowiedzieć, choć w wielu wypadkach należało by ich autorów odesłać do szkółki, by trochę pośłęczeli nad logiką, historią, a nawet nad podręcznikiem elementarnej geografii. Innym znowu – to przeważnie tym, co najgłośniejszy krzyczą

„Kultura” 1952, nr 2/52-3/53, s. 14-6. Całość dostępna na stronie www.lobodowski.tnn.pl.

o katolicyzmie i moralności, przydałby się i katechizm.

Stadnicki – pierwszy

Zacznę od profesora Studnickiego. Z wieku mu i urzędu ten zaszczyt należy. Powołując się na moje własne wyznanie, że czytałem jego artykuł z uczuciem „oburzenia i wściekłości”, profesor w liście do „Wiadomości” przygważdża mnie spokojnie i lakonicznie: „Te stany uczuciowe nie pozwoliły mu ocenić mych zasadniczych twierdzeń, opartych na obiektywnych danych...” Inaczej mówiąc – wpadł we wściekłość, o logicznym rozumowaniu nie ma mowy. Opowiem tu autentyczną anegdotę, dotyczącą znakomitego pisarza hiszpańskiego Miguela Unamuny. Był on wielkim śpiochem, co mu zresztą nie przeszkadzało w bardzo intensywnej pracy. „Don Miguel – zagadnął go kiedyś na wszechnicy w Salamance pewien młody żartowniś, – czy to prawda, że pan przesypia po kilkanaście godzin na dobę?” „Tak, to prawda – odparł żywo Unamuno ale pamiętaj, młodzieńcze, że ja nawet we śnie bywam czujniejszy niż ty na jawie!” Trawestując powiedzenie znakomitego Hiszpana, mógłbym i ja oświadczyć przy nadarzającej się okazji: „Tak jest, często daję się ponosić uczuciom oburzenia i wściekłości, ale nawet wówczas, gdy wpadam we wściekłość, lepiej panuję nad moimi argumentami, niż pan profesor nad swoimi na spokojno”.

„Zasadnicze twierdzenia, oparte na obiektywnych danych”. Badajmyż te twierdzenia, a może czegoś się nauczymy. Pan profesor operuje zarówno czasem teraźniejszym jak przeszłym. Czas teraźniejszy mówi mu, że „Ukraińcy na terytorium Ukrainy stanowią mniejszość”. Na jakich „obiektywnych danych”, na jakich statystykach Studnicki się oparł, nie wiemy. Nie cytuje żadnego źródła i słusznie, bo nawet praca Stanisława Skrzypka, ostrożna i solidna,

choć miejscami zbyt daleko idąca, nie wypadłaby po jego myśli. Więc poprostu „obiektywne dane”, bez bliższych, najwidoczniej zbędnych, wyjaśnień.

Czas przeszły powiada mu znowu, że na Ukrainie „nigdy nie było woli niepodległości”. Cytuje Hruszewskiego, a z cytowanego tekstu wynika, że „żołnierze pochodzenia ukraińskiego rozjeżdżali się do domów” i o niepodległość Ukrainy walczyć nie chcieli. To samo w wieku XIX-tym. „Kulisz był politycznie Rosjaninem”. Zatrzymajmy się nad sprawą Kulisza, bo tu, jak na dłoni, cały profesor Studnicki. Zresztą on sam tego chciał, jak ów bohater molierowskiej komedii, albo fredrowski szambelan z *Pana Jo-wialskiego*.

„Pan Łobodowski – pisze Studnicki – oburza się, że nazwałem Kulisza i Kostomarowa Rosjanami. Pisze, że Kulisz należał do starego rodu ukraińskiego i że pisał wiersze ukraińskie. Wierszy tych nie znam, lecz znam i cytowałem memoriał Kulisza, zalecający środki rusyfikacyjne na Litwie”. A więc nareszcie coś konkretnego. Studnicki „wierszy Kulisza n i e z n a”. Niech się czytelnik wczuje w te słowa. „Wierzy Kulisza nie zna” natomiast „zna jego memoriał” antypolski. Wielkim poetom zdarzało się pisywać różne memoriały i nie według nich przywykliśmy oceniać ich rolę we własnym narodzie. Wyobraźmy sobie, że jakiś cudzoziemiec insynuuje sfałszowany wizerunek Mickiewicza, a gdy mu się wskaże na *Dziady*, *Konrada Wallenroda*, *Pana Tadeusza*, odpowie z czarującą studnicką dezynwolturą: „Wierszy Mickiewicza nie znam, natomiast znam taki a taki artykuł z «Trybuny Ludów»”.

Kulisz nie miał mickiewiczowskiego geniuszu, ale w rozwoju literatury ukraińskiej i myśli politycznej odegrał rolę zasadniczą. Tłumaczył Szekspira, Goethego, również pisarzy polskich z intencją zbliżenia Ukrainy do Zachodu. Był namiętnym szermierzem pojednania polsko-ukraińskiego. W książce

Malowana Hajdamaczyzna gwałtownie zaatakował anarchiczne instynkty ukraińskiego stepu. Ujemnie oceniał kozaczyznę, przez co wszedł w konflikt z niejednym współczesnym Ukraińcem. Ostro przeciwstawiał się pisarzom, idealizującym ślepą nienawiść do Polaków. Cóż z tego wyszło? We własnym obozie spotkał się z niechęcią, po stronie polskiej, gdy zaczął działać we Lwowie z całkowitym lekceważeniem. Wtedy przecież „Rusinów” w Galicji nie brano na serio. Cóż tam Kulisz i jego dłoń wyciągnięta do Polaków! Rozgoryczony pisarz zaczął szukać porozumienia gdzie indziej. Stąd jego przejściowy flirt z Rosją. Ale i na tym się nie zatrzymał, umieszczając swe nadzieje w innym kierunku.

W każdym razie, choćbyśmy najsurowiej oceniali pomyłki i złudzenia polityczne Kulisza, opinia Studnickiego nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Jeśli Kulisz w okresie swej orientacji pro-rosyjskiej był „politycznie Rosjaninem”, w takim razie w latach orientacji pro-polskiej musiał być „politycznie Polakiem”. Ani jedno, ani drugie. Był Ukraińcem i szukał takich rozwiązań, jakie mu w danej chwili wydawały się dla jego ojczyzny najkorzystniejsze. I czy nie wystarczy fakt, że w czasach gdy taki Hohol-Janowskiy stawiał się Gogolem i oddawał swój geniusz w służbę literatury rosyjskiej, Kulisz pisał po ukraińsku, a przede wszystkim, że całą swą twórczość pisarską wypełniał narodową treścią ukraińską?¹

A co do pomyłek... Czy Mickiewicz w okresie ideologicznych szaleństw, poczętych z towiańszczyzny, nie wyskakiwał z dziwacznymi pomysłami, które tyle krwi napsuły Krasińskiemu; a Słowackiego odstręczyły raz na zawsze od towiańczyków? Czy nie zamierzał nawrócić cara Mikołaja? A coś powiemy o Czajkowskim? Sturczył się, więc przestał być Polakiem. Gdy zaś na starość „pokajał się” w upokarzającej for-

mie i błagał o pozwolenie na powrót w ojczyście strony, stał się Rosjaninem? To są wolne żarty ichmościów ani biorących pod uwagę ówczesnej sytuacji politycznej, ani umiejących wnikać w psychologię pisarzy, o których wydają arbitralne sądy.

Jeśli profesor Studnicki powróci kiedykolwiek do tego tematu, z góry zapowiadam, że nie będę z nim więcej dyskutował, jeśli uprzednio nie pofatyguje się sprawdzić, kim był Kulisz, podobnie jak nie polemizowałbym z Ukraińcem, który by wydawał lekko-myślne sądy o Mickiewiczu, oświadczając bez żenady: „Wierszy Mickiewicza nie znam”.

„Patrioci ukraińscy pragnęli chwilowego zerwania z Moskwą... trwałej woli oderwania się od Rosji nie było...” – twierdzi Studnicki, pisząc o latach 1917-1920. Ma rację o tyle, że istotnie pewne frakcje czy partie myślały o zachowaniu związku federacyjnego z Rosją. Ale nie wszystkie. Petlura był niepodległościowcem. Anarchiści Nestora Machna bili się tak samo z bolszewikami, jak z Denikinem i Wranglem. Ale istota rzeczy na pewno nie tkwi w tym, jaką orientację wyznawały poszczególne partie ukraińskie przed trzydziestoma przeszło laty. Dla trzeźwego polityka, który szuka właściwej drogi w stosunkach polsko-ukraińskich, najważniejsza jest teraźniejszość. Nie to, czego Ukraińcy kiedykolwiek chcieli czy robili, ale czego chcą i do czego dążą w chwili obecnej. Pawło Kotowycz słusznie wskazał w swym liście do „Wiadomości”, iż fakt, że sto tysięcy Ukraińców z Ukrainy Sowieckiej, którzy znaleźli się w Niemczech w charakterze dipisów, zorganizowali się w ukraińskim obozie niepodległościowym, jest bardziej wymowny niż dziesiątki pseudohistorycznych spekulacji. Ktoś powie: „To są po prostu ludzie, nie chcący wracać pod sowieckie panowanie, wrogowie Stalina i jego systemu, a nie Rosji”. Świetnie.

¹ Polecam profesorowi Studnickiemu, a również Giertychowi, który dla odmiany widzi w Kuliszu „tajemniczą postać” i wielką figurę międzynarodowej masonerii, moje obszerne studium o pisarzu ukraińskim, drukowane w miesięczniku „Problemy Europy Wschodniej”, Styczeń, 1939. Tam znajdują wszystkie interesujące ich szczegóły.

Dlaczego więc nie idą do obozu Kiereńskiego, choć ich tam zapraszają czapką i papką, dlaczego nie chcą słyszeć o federacji z Rosją, dlaczego psują krew rosyjskim „jedino-niedielimowcam”?

„Pan Łobodowski nie rozumie zasadniczego antagonizmu polsko-ukraińskiego. Ten antagonizm ma podstawy bardzo realne, sprawę Małopolski Wschodniej. Czym jest historia Ukrainy tak jak ją ujmują Ukraińcy? Historią rzezi Polaków, walk polsko-ukraińskich. Bohaterami jej są Gonta i Bandera”. Trudno w kilkunasłowych zdaniach zmieścić więcej nonsensów i fałszów historycznych. Spór polsko-ukraiński nie zaczął się od Małopolski Wschodniej. To rzezie Polaków przez Ukraińców nie wyczerpują dziejów tego sporu ani w pracach historyków naszych ani ukraińskich. Poza tym ten medal miał odwrotną stronę, gdyż rzezie były wzajemne. Nie wiem, czy profesor Studnicki słyszał o krwawej pacyfikacji „prewencyjnej” na Wołyniu, tuż przed pierwszym rozbiorem, pacyfikacji niczym przez chłopów wołyńskich nie spowodowanej. Mam na to koronnego świadka w osobie króla Stanisława Augusta, który gorzko skarżył się na samowolę szlachty, na własną rękę przeprowadzającej masowe egzekucje Bogu ducha winnych chłopów. Pisałem już o Kuliszu, że w swych pracach historycznych stanowczo potępia cały ruch hajdamacki wraz z Gontą. A co do Bandery... No, nie wszyscy Ukraińcy uważają go za bohatera. Niech by pan profesor pofatygował się i poczytał sobie, co o Banderze piszą na przykład melnykowcy, ci sami, z których Studnicki już kiedyś w polemice, tocząc się na łamach „Lwowa i Wilna” zrobił imelgunców, za jednym pociągnięciem pióra mianując nacjonalistą ukraińskim jednego z szefów „Sojuza bor’by za swobodę Rassiji”. He, he... jeśli Kulisz był Rosjaninem, dlaczego Mielgunow nie ma być Ukraińcem? Tak to się panu profesorowi beztrząsowo myśli nazwiska, sprawy i fakty.

Natomiast o walkach ukraińsko-rosyjskich Studnicki woli nie wspominać. Nawet, gdy chodzi o walki, w których malinowy sztandar kozacki szedł obok złotego sztandaru polskiej Korony. Nie mówi, jakiego zerwania z Rosją chciał hetman Mazepa, „chwilowego” czy „po wieczne czasy”. Żadnych rewelacji na temat stosunku Szewczenki do „Małopolski Wschodniej” nie ogłasza. Symona Petlury indygenatem rosyjskim nie obdarza. Szkoda! Bo gdyby przypomniał sobie, że jednak istnieli Konaszewicze, Kisiele i Niemirycze, a w bliższej przeszłości inni Ukraińcy, którzy pragnęli porozumienia z Polakami, może by nie napisał, że wszystko sprowadzało się do „rzezi”. I gdyby mnie po przeczytaniu tej haniebnej bzdury nie dławiał wstyd za Studnickiego, gdyby nie to, że nie chcę obrażać ani tych Polaków, którzy dalecy są od podobnego stanowiska, ani tych Ukraińców, którzy portretu Gonty nad łóżkiem nie wieszają, miałbym prawo powiedzieć wszystkim upirom bratobójczej przeszłości: „Rzeź Polaków? Tak! Bo macie Ukraińców właśnie takich, jakimi chcecie ich mieć!”

Najzabawniejsze, że pisząc w roku Pańskim 1951 o ziemiach, będących przedmiotem sporu, Studnicki sięga do argumentów niemal typu biologicznego. „Małopolska Wschodnia była krajem rolniczo przeludnionym. Walka o ziemię była ważnym elementem”. Była przełudniona... Ale teraz chyba już nie jest. Jeden ważny element ubył. Może więc zacznijmy używać argumentów, nieco mniej pachnących niemieckim „Blut und Boden”, byśmy się zaś nie wykie rowali na drogi raczej niespodziewane.

Profesor Studnicki jest człowiekiem starym i ma za sobą niejedną piękną kartę polityczną i pisarską. Ale sprawa, o którą toczy się spór, to nie fraszka. Zbyt wiele krwi lepi się nam na rękach, abyśmy tracili czas na wzajemnych reweransach, podczas gdy nieodpowiedzialni ludzie przygotowują grunt pod

nową, być może, jeszcze straszniejszą walkę. Więc powiem Studnickiemu twardo: zarówno on, jak inni, którzy dmą w miechy przy ogniu polsko-ukraińskiej nienawiści, będą współodpowiedzialni za tę krew, która się jeszcze w przyszłości poleje. I lepiej nie zapisywać ostatnich rozdziałów długiej pracy publicystycznej słowami, które poczęła ślepa niechęć, a trzymała do chrztu za rozumiała ignorancja.

Pozostaje mi tylko zapewnić pana profesora, że nie poczułem się dotknięty jego lekceważącym zwrotem końcowym, w którym odmawia mi, jako poecie, prawa do szukania leków na konflikty historyczne. Ale przypomnę mu jego własne słowa, jakimi uważał za możliwe podsumować swe wspomnienia sprzed dnia wojny, drukowane w 1947 roku w „Wiadomościach”. Oto po omówieniu tego, co by się stało, lub stać mogło, gdyby armia polska uderzyła wraz z Niemcami na Rosję, Studnicki dodał: „Po zwycięstwie na Wschodzie nastąpić by musiał kompromisowy pokój na Zachodzie. Rosja bolszewicka zwyciężona. Europa sfederowana”. Postawić takie twierdzenie w roku 1939 mógł człowiek nie orientujący się, czym jest bestia hitlerowska; powrócić do niego w osiem lat później – jedynie ktoś, dla kogo doświadczenia historyczne nie mają żadnej wartości, jeśli nie potwierdzają jego własnej tezy. A jeśli nie potwierdziły, tym gorzej dla tych doświadczeń. Czy więc na podstawie podobnego oświadczenia, wydrukowanego czarno na białym w dwa lata po zagaśnięciu ostatniego pieca krematoryjnego, nie mógłbym, chociaż tylko poeta, zarzucić profesorowi Studnickiemu właśnie... „poetyzowania”?

Być może, że – jak pisze pan profesor – nigdy nie znajdę lekarstwa na „zasadnicze prawo biologiczne”, jakim jest „walka o ziemię”, w danym wypadku o Ziemię Czerwieńską. Pozostanie mi pociecha, że go szukałem. Natomiast

profesor Studnicki chce nam sprzedać truciznę, blekot polityczny, szaleją nienawiści, odwieczną, dobrze znaną otrutę w pseudo-historiozoficznym opakowaniu. Jego list, który obecnie kwituję, przekonał mnie o jednym: że po przeczytaniu mego artykułu, bądź co bądź dostatecznie nabitego argumentami i faktami historycznymi, dowiedział się tylko tego, jak się poprawnie pisze nazwisko Bandery. To wiele. Pogratulować!

Z kolei – Giertych

Jędrzej Giertych odpowiedział mi nie krótkim listem, jak profesor Studnicki, ale obszernym artykułem. Okazuje się jednak, że miejsca było za mało. „Aby odeprzeć skutecznie” – pisze Giertych – „zbiorową proukraińską sugestię” – a więc nprz. aby odpowiedzieć p. Józefowi Łobodowskiemu – „nie wystarcza artykuł, lecz potrzebna jest właściwie książka”. Niestety jednak, na książkę w sprawie ukraińskiej Giertych „zdobyć się w tej chwili nie jest w stanie”. Ha, trudno! Oczekując z niecierpliwością, aż publicystyka polska wzbogaci się o nowe dzieło, poprzestańmy na razie na artykule.

Giertych zaczyna od oświadczenia, że „zabierając czasem głos w sprawie ukraińskiej, występuje nie tyle przeciw Ukraińcom, ile przeciw polskiemu obózowi proukraińskiemu”. Mówi, że nie ma nic przeciw powstaniu niepodległej Ukrainy, byle by polscy ukrainofile nie angażowali żywych sił narodu w tej sprawie, która jest sprawą „nie tylko cudzą, lecz i niedwuznacznie wrogą”. Inaczej mówiąc, Ukraińcy mogą spać spokojnie – ze strony Giertycha nic im nie grozi. Kogo chce zniszczyć – to właśnie nas, niepoprawnych, niczego nie rozumiejących, dążących do samobójstwa narodowego, zwariowanych „ukraińców”. „Trwoniliśmy już siły – powiada Giertych na budowanie Ukrainy wielokrotnie. Owo budowanie zawsze kosztowało nas wiele, a czasem, wręcz groziło nam

katastrofą, lub wręcz katastrofę na nas sprowadzało. Oby nie sprowadziło na nas nowych katastrof w przyszłości!" Po czym omawia plusy i minusy, jakie w jego pojęciu miałyby z polskiego punktu widzenia niepodległa Ukraina, i dochodzi do kategorycznego wniosku, że minusy stanowczo przeważają.

Zdawało by się, to powinno wystarczyć. I nawet stanowisko Giertycha, choć w moim przekonaniu całkowicie błędne, należało by uszanować. Uważa, że powstanie niepodległej Ukrainy stanowić będzie poważne niebezpieczeństwo dla Polski, a że polska koszula bliższa ciału niż ukraińskie hajdawery, więc dbajmy przede wszystkim o koszulę. Punctum. Nie ma o czym gadać. Ale nie – to dla Giertycha za mało. Chce mieć czyste sumienie i wyjść z polemiki w godowej szacie niepokalanego anioła. Więc swój ściśle polityczny wywód podbudowuje rozważaniami natury historycznej, kulturotwórczej, nawet lingwistycznej, by ostatecznie oświadczyć, że naród ukraiński w gruncie rzeczy nie istnieje i prawa do niepodległości nie posiada.

I tu zaczyna się zwykły mętlik, stawianie na głowie, szastanie faktami historycznymi w najbardziej bezceremonialny sposób, reprezentacyjny popis ignorancji, a także wyraźnie złą wolą nacechowane fałszowanie wydarzeń z najbliższej, a więc bardzo łatwo sprawdzalnej przeszłości.

Pisze Giertych, że między dwoma ośrodkami narodowego ruchu ukraińskiego – na Zadnieprzu i na Ziemi Czerwieńskiej – ruch ten albo w ogóle nie istnieje albo jest „niezmiernie nikłą roślinką”. Między Lwowem i Kijowem rozpościera się „etnograficzna mgławica, wśród której proklamują przynależność do tego narodu tylko doktrynerzy, podobni do naszego Floriana Ceynowy, który głosił ideę kaszubskiej odrębności narodowej”. A naród „nie może składać się z kilku luźnych ośrodków, przedzie-

lonych” ową mgławicą. Zaiste, rewelacyjna teoria! Przypuśćmy, że istotnie poza „kilku luźnymi ośrodkami” na wschód od Bugu i Zbrucz – bo Ukraińcom halickim Giertych świadomości narodowej łaskawie nie odmawia – rozciąga się ziemia niczyja pod względem narodowościowym. Ale wszędzie na tej „ziemi niczyjej” mówi się tym samym językiem, śpiewa się te same pieśni, czyta się tych samych pisarzy, tańczy się te same tańce. „Doktrynerów” coraz więcej i wcale żwawo sobie poczynających. W „mgławicy” odbywa się ciągły ruch.

Nasz specjalista od narodowej astronomii i kosmologii powinien wiedzieć że z takiej „mgławicy” musi prędzej czy później wyłonić się jakaś planeta, kometą choćby. Niestety, muszę Giertycha rozczarować. Zapomniał on w swoim historiozoficznym ferworze że nprz. Wołyń już przed wojną szybko nadrabiał swe opóźnienia w świadomości narodowej w stosunku do Ziemi Czerwieńskiej. Krwawy pług wojny przeorał go do głębi i przyspieszył ten proces. Chłop wołyński masowo szedł do szeregów UPA, która była zbrojnym ramieniem obozu niepodległościowego. To samo działo się na sąsiednim Podolu, a nawet – *horrible dictu*, do czego dożyliśmy! – na Polesiu! [...]

Giertych raz jeszcze rozwija tezę, że w latach 1917-1920 narodu ukraińskiego nie było. „Była partia polityczna – jeden z prądów politycznych na Ukrainie, i to wcale nie najsilniejszy”. Giertych nie rozumie mechaniki rewolucji społecznej, która nastąpiła na Ukrainie jednocześnie ze zrywem niepodległościowym. Zawsze w takich okolicznościach następuje zatarcie ostrych linii, zamęt ideologiczny, rozbiecie, a przynajmniej osłabienie ośrodków krystalizacyjnych. Przypomnijmy czasy napoleońskie. Nawet narody o takiej historii i kulturze, jak niemiecki i włoski, znalazły się w stanie wrzenia na poły rewolucyjnego, i na żadne zwarte działanie nie zdobyły się. Czy

lud wenecki bronił sztandaru Świętego Marka przed najazdem francuskim?

Aby mnie nie posądzono o dobieganie wygodnych przykładów, wezmę przykład inny, właśnie najmniej mojej tezie odpowiadający: Hiszpanię. Gdyby nie bezceremonialność, z jaką Napoleon potraktował rodzinę królewską, nie bezwzględność generałów i brutalne zachowanie się żołnierzy francuskich, wypadki potoczyłyby się zapewne inaczej. Ogromną rolę odegrał kler katolicki, który widział w Napoleonie przede wszystkim wroga religii i Kościoła. A i tak spora ilość intelektualistów i tych wszystkich, którzy znajdowali się pod wpływami osiemnastowiecznego racjonalizmu, stanęła po stronie najezdźcy, a w każdym razie „kolaborowała”. Pierwsza polityczna emigracja hiszpańska, to przecież właśnie emigracja „pro-francuska”.

Zrobię Giertychowi przyjemność i dam jeszcze jeden przykład, na pewno bardzo miły jego sercu: zachowanie się szlachty ariańskiej i kalwińskiej podczas najazdu szwedzkiego. Wówczas, jak utrzymuje sam Giertych, działała w Polsce piąta kolumna protestancka. Węc na Ukrainie działała piąta kolumna komunistyczna. Lubię wybitnych świadków. Przed chwilą w polemice ze Studnickim powołałem się na Stanisława Augusta. Obecnie powołałem się na Lwa Trockiego. To właśnie on w przemówieniu pożegnalnym do agitatorów, po ukończeniu specjalnego kursu wyruszających na Ukrainę, by siać zamęt ideologiczny, oświadczył: „Pamiętajcie, że wpływy niepodległościowców na Ukrainie są bardzo silne. Niekiedy powinniście udawać, że jesteście petlurowcami, by tym łatwiej zdobyć zaufanie”. Omawiałem kiedyś szczegółowo to przemówienie na łamach „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego”. Giertych, oczywista, go nie zna. A może... może Trocki był również... ukraińcem?

Co bodaj najbardziej zaważyło na losach Ukrainy w owych przełomowych

latach, to zjawisko „atamańszczyzny”. Typu anarchistycznego, jak Nestor Machno, bolszewickiego, jak Kotowski, najczęściej zaś po prostu „tutejszego”, w granicach jednego powiatu czy gminy. I w Polsce były takie tendencje, że przypomnę czerwony sztandar na wieży magistratu lubelskiego, czy ogłoszenie „republiki tarnobrzeskiej”. Tyle, że inna była struktura społeczna, inne okoliczności, inne tradycje, no i różny stopień uświadomienia narodowego. Na marginesie zabawna anegdota – za republiką hiszpańską pewna zabita gmina andaluzyjska ogłosiła „niepodległość i suwerenność”, zaznaczając w wydanym manifestie, że pragnie żyć w zgodzie i pokoju z okolicznymi gminami i „państwami całego świata”. Znów zastanawiająca analogia, którą trzeba wziąć pod uwagę. Zjawisko dość powszechne, a jeśli je pomnożymy przez step, przez Hulaj-Pole, przez Czarny Szlak, przez niezagasłe, czy choćby we krwi drzemające tradycje Zaporozża, otrzymamy to, co działo się wówczas na Ukrainie.

Giertych wątpi, aby na Ukrainie było wiele ludzi, umiejących napisać list poprawną pisownią, ba, w ogóle znających język ukraiński i nie odnoszących się do niego z drwinami. Jako do lingwisty nie mam do Giertycha zaufania od czasu, gdy z poważną miną napisał, że dłuższy czas po rewolucji Rosjanie mówili z akcentem żydowskim. Sam słyszał w pociągu, gdy jeździł do Sowieci, jako urzędnik M.S.Z.-tu, zanim go brzydki Beck posłał na zieloną trawkę. Z równą racją mógłby Giertych napisać, że mówiono – ach, dusza łubeznij, ty znajisz paczamu Tyflys samyj głównyj gorod? – z akcentem ormiańskim. Jeśli wszystkie wiadomości, które Giertych przywoził z urzędowych wyjazdów do Rosji, były na tym samym poziomie, trzeba przyznać, że Beck słusznie ocenił jego kwalifikacje.

Ale do rzeczy. „Wolne zarty!” – wykrzykuje Giertych pod adresem tych,

którzy, jak niżej podpisany, twierdzą, że nie było tak źle z literackim językiem ukraińskim w omawianym okresie. To prawda. Żarty. Bardzo kiepskie żarty. Niestety, żartownisiem jest właśnie sam Giertych. Czy słyszał on o tych wszystkich pisarzach, filologach, historykach, naukowcach ukraińskich pierwszej połowy XX-go wieku, którzy w najbardziej niesprzyjających warunkach pisali w języku ojczystym? Przecież intensywniejszy ruch artystyczny i kulturalny nie jest możliwy, jeśli nie istnieje odpowiednie środowisko i zainteresowanie. Jeśli nie istnieje odbiorca. Jakże sobie wyobrazić bujny renesans kultury ukraińskiej, poczynając od 1921 roku, gdyby nic się przedtem nie działo w samym społeczeństwie, gdyby nie było wytworzonej już uprzednio przychylniej atmosfery! Teatr, publicystyka, poeci, przekładający na język ukraiński – i jak przekładający! – największych pisarzy świata, od Greków i Rzymian poczynając – toż to nie wyskakuje jak murawa spod ziemi, na ugorze się nie rodzi, ale wymaga długiej pracy przygotowawczej. Giertych tego wszystkiego nie wie. To jeszcze nie grzech. Grzech powstaje z chwilą, gdy nie tylko wygłasza on absurdalne i krzywdzące adwersarzy sądy, ale wygłasza je *ex cathedra*, owinięty w tożę nieomyślności.

Nie od dziś Giertych zabawia się w uprawianie rewizję historii. Już mu kiedyś Tadeusz Siuta w bardzo spokojnej i delikatnej formie wytknął całkowite nieliczenie się z rzeczywistością historyczną, oraz beceremonialne naginanie jej do własnych tez politycznych. To w stosunku do historii Polski. Ale włosy stają dęba na głowie dopiero z chwilą, gdy Giertych „rewiduje” historię Ukrainy.

„Ukraina nie została przez Moskwę podbita, lecz w Perejasławiu dobrowolnie się pod władzę cara oddała”. Iłowajskij twierdził to samo. Ale mnie w szkole uczono, że perejasławska umowa nie została dotrzymana przez żadną z uma-

wiających się stron, że istniało pewien czas niezależne państwo pod buławą Chmielnickiego. [...]

Tak, tak... Gdyby Giertych był Turkiem, napisałby zapewne, że w końcu wieku XVII Polska była lennem tureckim, ponieważ po upadku Kamieńca komisarze Rzeczypospolitej, by zyskać na czasie, zgodzili się na coroczny okup i sułtan posłał królowi Michałowi kaftan lennika. Ale Giertych tego nie napisze, bo jest Polakiem. Historiografia turecka straciła niebyle jakie pióro.

Według Giertycha, ukraiński nacjonalizm nie ma żadnego prawa do spadku po dawnej Rusi Kijowskiej i Halickiej. To tylko „polscy ukrainofile dobudowują narodowi ukraińskiemu genealogię tysiącletnią”. Czyli starym rosyjskim systemem: ukrainizm – „polskaja intryga”. Ukrainofile niczego nie muszą „dobudowywać”, bo Ukraińcy sami sobie dawno tę genealogię zbudowali. Kozaccy przywódcy XVII wieku mieli już jasną tego świadomość i na książąt kijowskich stale powoływali się jako na swych antenatów. Nie tylko ludzie miary Chmielnickiego i Konaszewicza-Sahajdacznego, ale i pomniejsi, typu Ostranicy czy Nalewajki, choć większość polskich dziejopisów uważa ich za ciemnych i niepiśmiennych watażków. Nprz. w *Kronice Samijły Wełyczki* można sobie teksty odpowiednich uniwersałów i „hramot” z pożytkiem przeczytać i słuszność słów moich sprawdzić.

O poziomie wywodów Giertycha najlepiej niech zaświadczy opinia, że „wspólny między polskimi Rusinami i Rosją alfabet” jest „moskiewskiej proveniencji”. Daję słowo honoru, że profesor Stanisław Horyszewski z gimnazjum Hetmana Jana Zamoyskiego w Lublinie nie puściłby mnie z szóstej do siódmej klasy, gdybym powyższe zdanie napisał. Przecież to są czyste kpiny z historii, chronologii, elementarnej znajomości dziejów cywilizacji na Wschodzie Europy! Alfabet na Ukrainie provenien-

cji moskiewskiej! Musiałby Giertych przedtem udowodnić, że w Moskwie kwitły nauki, gdy na miejscu przyszlęgo Kijowa był pusty majdan, że kultura szła znad Kłajmy nad Dniepr, a nie odwrotnie. Jakim alfabetem posługiwał się Jarosław Mądry? Jakim – poza łaciną – posługiwano się w akademiach kijowskich? Jakich czcionek używano do druku książek, przeznaczonych na eksport do Moskwy? Niech się Giertych nie krępuje. Niech wygarnie tym samym tchem, że Święty Cyryl urodził się w Suzdalu, a wynalazku swego dokonał w Solwyczegodskiej Pustelni. I znów trzeba siadać na szkolnej ławce, otwierać podręcznik i dowiadywać się, że na Białorusi i Ukrainie powstawały drukarnie w tym samym czasie, gdy w Moskwie Iwanów Srogich i Groźnych drukarzy, przybyłych z zagranicy, palono na stosach. Zaś rosyjska grażdanka stanowiła taki sam wynalazek, jak dorobienie nowego ucha do starego czajnika. Ot, wam i „moskiewska proveniencja”!

Na deser Giertych używa typowego chwytu spod znaku „jedynoj i niedielimoj”, porównując Ukrainę do Prowancji, a Szewczenkę do Mistrała. Przed paru laty jużśmy na ten temat polemizowali w „Wiadomościach”, przy czym, jak mi się wydało, kwestię wyczerpałem w artykule pt. *Masońskim dyszlem z Kreszczatiku na Ramblas*. Giertych, choć zwykle chętny do dyskusji, wówczas z dalszego ciągu zrezygnował. Teraz powraca do starych i dawno obalonych argumentów. „Prawo Prowancji do niepodległości – pisze z całą powagą – mierzyć trzeba nie prowansalską dwutysięcletnią historią, ale siłą lub słabością ruchu prowansalskiego od czasu założenia «Félibrige»». Podobną miarą mierzyć trzeba sprawę Ukrainy”.

Mierzmy. Prowansja utraciła niezależność bardzo wcześniej. Stała się obiektem walk feudalnych i dynastycznych. Andagawenowie, królowie aragońscy, później francuscy, a nawet książęta sa-

baudzcy, którzy od czasu do czasu również wtrącali trzy grosze. Właściwie już za Walezjuszów, nie mówiąc o Burbonach, kwestia ta nie istnieje. Rewolucja francuska zmiata resztki politycznych tradycji. Odrodzenie języka langwedockiego w literaturze, zainicjowane przez Jeana Jasmina, a kontynuowane przez felibryżystów z Mistralem na czele, skutków politycznych nie miało. Gdzie tu analogia z Ukrainą? Gdzie zrywy niepodległościowe, choćby w przybliżeniu dające się porównać z ukraińskim XVII i XVIII wiekiem? Również analogia Mistral-Szewczenko świadczy jedynie o tym, że Giertych nie bardzo wie o czym pisze. Na Szewczence wychowały się i modliły całe pokolenia, jak u nas na Mickiewiczu i Słowackim – *Mirellę* Mistrała czytano jako piękny poemat i ciekawostkę językową. Ukraina w czasie drugiej wojny światowej dała potężny ruch narodowy i armię powstańczą: Prowansja – *marché noir* między Marsylią i Niceą i zjazd dam z półświatka do Juan-les-Pins na wywczasy z amerykańskimi żołnierzami. Jeśli zaś dała również „résistance”, to pod sztandarem ogólnofrancuskim, a nie prowansalskim. Oto i giertychowe analogie!

A teraz sprawa umowy warszawskiej i pokoju w Rydze. Giertych podtrzymuje swe stanowisko, twierdząc, że „nie pogwałciliśmy żadnego z artykułów umowy”. Zgadzam się, że Wyprawa Kijowska skończyła się „aktem siły wyższej, zamykającym sprawę”. Prowadzić wojnę po bitwie niemeńskiej, ani przygotowywać się do nowej wyprawy na wiosnę 1921 nie mogliśmy. Ale uznawać w Rydze Rakowskiego i Joffego jako przedstawicieli Ukrainy nie mieliśmy prawa. Oddziały Petlury dotrzymały wierności do końca. W krytycznych momentach bitwy warszawskiej odegrały swoją rolę, broniąc uporczywie Zamościa, co nie było bez znaczenia dla powodzenia kontrataku znad Wieprza. Dla całego świata różnica między Rygą i Jałtą jest właśnie taka, jak

między szarżą pułku ułanów pod Komarowem, a wybuchem bomby atomowej w Hiroshimie. A dla Ukraińców Ryga miała identyczną wymowę, co Jałta dla nas. W tym sensie analogia jest pełna.

Wśród fint i chwytów stosowanych przez Giertycha są i takie, za które na ringu groziłaby natychmiastowa dyskwalifikacja. Giertych przyznał rację memu oskarżeniu niepoczytalnej polityki kresowej, stosowanej w Polsce przedwojennej. Ale zarzuca mi nielojalność, twierdząc, że metody gwałtu wobec Ukraińców nie mają nic wspólnego z polskim obozem antyukraińskim, czytaj: Stronnictwem Narodowym i samym Giertychem. Albo Giertych cierpi na amnezję, albo liczy na krótką pamięć u innych. Według niego, „metody gwałtu były ubocznym wytworem kierunku pro-ukraińskiego. Zrodziły się one z irytacji, że z Ukraińcami nie można się dogadać, i wyrażały odruchową reakcję: «Jeśli jesteście tacy, to my wam pokazemy!»” A więc coś w rodzaju krwawej zemsty zawiedzionego kochanka.

Chętnie wierzę Giertychowi na słowo, że, jeśli nie protestował przeciw polityce kresowej, to wyłącznie ze względów cenzuralnych, natomiast protestował w formie mu dostępnej, między innymi, tłumacząc lwowskiej młodzieży akademickiej, że „pacyfikacja jest zarówno niepoczytalnością, jak zbrodnią”. Jeśli tak było – a powtarzam, że wierzę mu na słowo – Giertych jest pod tym względem w porządku. Ale, widać, miał w swym obozie nikłe wpływy, skoro interwencje jego żadnego skutku nie odniosły.

Co się działo na zamkniętych konwentylach lwowskiej młodzieży narodowej, oczywiście, wiedzieć nie mogłem. Ale jakie były nastroje i poglądy wśród o g ó ł u młodzieży narodowej, wiem bardzo dobrze. Byłem stałym i gorliwym czytelnikiem prasy narodowej, od stołecznej, poczynając, a na lokalnych czasopismach kończąc. Chyba się jeszcze znajdują gdzieś roczniki tych pism, – fa-

two sprawdzić, czy Giertych ma rację. Bo dzieją się rzeczy, zaiste, rewelacyjne. Okazuje się, że zwolennicy „polityki gwałtów” ograniczali się do grupki „istniejącej na peryferii obozu narodowego, ze Stanisławem Grabskim i Kladiuszem Hrabym na czele”. Zaś cała reszta była czysta jak łaźnia.

Pomówmy więc o faktach konkretnych. Czy Giertych pamięta reakcję prasy swego obozu, gdy wybuchła „rewindykacja wołyńska”? Właśnie główne organy prorządowe zachowywały raczej kłopotliwe milczenie, a taki „Głos Lubelski”, że wezmę przykład mi najbliższy, dał we wszystkie surmy i złote rogi zwycięstwa. Przypomnę, że nagonka, rozpętana przeciw wojewodzie Józewskiemu, który rewindykacji usiłował przeciwdziałać, miała gorliwych pomocników, a w wielu wypadkach inicjatorów wśród publicystów obozu narodowego. Akurat w tym czasie byłem na Wołyniu i widziałem z bliska, co się działo.

Spółczesność polskie w Łucku i innych miastach Wołynia to był cocktail ideologiczny zupełnie specjalnego rodzaju. Różnice polityczne zacierały się i ustępowały miejsca pełnej harmonii, gdy chodziło o „świętą wojnę” przeciw Ukraińcom i „zdradzającemu sprawę polską” wojewodzie. Przysięgli sanator był za pan brat z miejscowym prezesem Stronnictwa Narodowego; były legionista całował się z dubeltówki z Januszajtisem; czule patronował im ksiądz Tokarzewski, który z tej racji, że przez pewien czas był kapelanem w Belwederze, uważał siebie za najbardziej autoryzowanego wykładnika ideologii Piłsudskiego; do tego dochodził KOP i Sąd Okręgowy, a wszystko znajdowało swój wyraz publicystyczny w dymiącym kociołku „Kuriera Wołyńskiego”, gdzie pewien pułkownik w stanie spoczynku, w asyście pewnego kaprała na emeryturze i dziennikarza spod ciemnej gwiazdy, szkalował co tydzień Józewskiego i nawoływał do „ratowania polskości”.

Otóż bardzo mi przykro, ale muszę stwierdzić, że w, tej równie brudnej, co samobójczej robocie brało czynny udział Stronnictwo Narodowe, i na to Giertych po niewczasie nic nie poradzi. Trzymało się z dala od tej akcji kilku wyższych wojskowych, którzy widzieli rzeczywistość inaczej, ale wpływając na nią nie mogli czy nie chcieli, spora część duchowieństwa i ziemiaństwa, wreszcie w miarę swych sił starało się ratować dobre imię narodu polskiego nauczycielstwo, a przynajmniej jego duży odłam, ośrodek krzemieniecki, „Rocznik Wołyński” Hoffmana, poszczególni działacze ze „Związku Młodzieży Wiejskiej”, ten ów ze starostów.

Nigdy nie miałem zwyczaju potępiania wszystkiego w czambuł, więc chętnie się zgodzę, że niejeden z członków Stronnictwa Narodowego, gdyby wiedział dokładnie, co się dzieje na Wołyniu, zaprotestowałby z oburzeniem. Szkoda więc, że Giertych nie zawadził wówczas o Łuck. Miałby wdzięczne pole do działania w uśmierzaniu miejscowych entuzjastów palki i kolby, jako uniwersalnego środka na spolszczenie i skatolicyzowanie Wołynia.

Powiem więcej, skoro się już o tym zgadało. W ostatnich latach przedwojennych reżim sanacyjny poszedł na kokietowanie skrajniejszej młodzieży narodowej, uważając, że jest to najwartościowszy element z wojskowego punktu widzenia. Na pewnych odcinkach życia społecznego powstało zjawisko wzajemnej osmozy, którą ktoś celnie określił jako „endeczenie się sanacji”. Papierek lakmusowy tej tendencji stanowiły choćby zmiany w zespole współpracowników „Polski Zbrojnej”, a barometr publicystyczny – oślawiony „Merkuriusz Ordynaryjny”. Między moim kolegą szkolnym, korporantem z KUL-u, który po powrocie ze ślubowania w Częstochowie, gdzie krzyczał w pochodzie: „Precz z sanacją!”, oświadczył mi kategorycznie: „Co? Ukraińcy?

Trzymać za mordę! Za mordę!”, a sanacyjnym starostą w Tomaszowie Lubelskim, wysadzającym dynamitem cerkwie prawosławne, nie było już żadnej różnicy.

Zanotujmy inny niedozwolony chwyt. Giertych daje do zrozumienia, że sanacja a „obóz ukrajinofilski” – to jedno i to samo. Giertych był i jest wojującym członkiem swojej partii; moje partyjnictwo trwało krótko choć intensywnie, i skończyło się przeszło szesnaście lat temu. Byłem przed wojną takim „ukrajinofilem”, który artykuły polityczne w „Biuletynie Polsko-Ukraińskim” musiał pisywać pod pseudonimem, bo dla „opiekunów” byłem trefny. Włodzimierz Bączkowski, nie chcąc rezygnować z mojej współpracy, musiał trzymać mnie pod korcem. Łatki sanatora Giertych mi nie przypnie, chociaż wiem, że mnie uważa za człowieka, którego mentalność ukształtowała się w kręgu „piłsudczyzny”. Mego pozytywnego, a nawet, jeśli ktoś chce, entuzjastycznego stosunku do Marszałka nie ukrywałem nawet wobec dygnitarzy paryskiej „Reginy”, tym bardziej nie będę ukrywał go dziś. Ale od tego do „sanacji” daleko.

Nieszczęście Polski przedwojennej polegało głównie na tym, że obóz Piłsudskiego nie stworzył zwartej ideologii, nie stał się partią polityczną w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Gdy dawne orliki legionowe zaczęły obrastać tłuszczem, została już tylko siuchta, z niedojrzałych jajek ideowych wykluwały się hasła rocznicowe, a z liści, obsypujących się z wieńca więdnącej legendy, można było uwarzyć już tylko zupkę osobistej kariery. Polski obóz ukrajinofilski – to były jednostki. Jedni, jak Hołówko, Wasilewski, odchodzili na zawsze; inni, jak Łoś, Dunin-Borkowski, coraz rzadziej brali pióro do ręki; jeszcze inni, jak Pruszyński zdradzali; reszta szamotała się bezsilnie w narzuconych ograniczeniach i sieciach. A teraz przychodzi Giertych i powiada, że to właśnie „ukrajinofile”,

obrażeni na Ukraińców za ich upór, wymyślili pacyfikację, Berezę, rewindykację i palenie świątyń prawosławnych.

A wreszcie pomówmy i o tym, jak wyglądały sprawy przed rokiem 1926. Czy Giertych zna różne wyczyny na Wołyniu za czasów wojewody Aleksandra Dąbskiego, który przecież piłsudczykiem nie był? Czy słyszał o słynnych wypadkach w Łucku, na które musiały reagować aż czynniki wojskowe w Warszawie, a zareagowały tak, że kilkunastu funkcjonariuszów policji wyleciało ze służby państwowej? Czy zna okoliczności śmierci Olgi Basarab w więzieniu lwowskim? I dziesiątki i setki innych wypadków. Tego „sanacyjnym ukrainofilom” nie podrzuci. To przecież było za czasów „demokracji” i „parlamentaryzmu”!

W tym moim wrodzeniu się za czuby z Giertychem pozostaje sprawa najtraficzniejsza: lata 1939-1945. „Ukraińcy – pisze Giertych – zastosowali wobec nas metodę rzezi. Rzeź ta nie była nieopanowanym wybrykiem motłochu, ale planową operacją... odpowiada jej w zupełności wynalezione przez kilku laty słowo: „genocide”.

Cieężko mi pisać o tej sprawie, o której wolałbym zapomnieć. Ale zapomnieć można by tylko pod warunkiem, że obydwie strony przeprowadzą rachunek sumienia i, wyznawszy wzajemne winy, będą prosiły o wzajemne wybaczenie. Ton, w jakim pisze Giertych, ton, jakiego używa niejedno pismo ukraińskie,

świadczy że jeszcze daleka droga do Jordanu, którego świętą wodą zmylibyśmy piętno Kainów z naszych czoł. Materiał, jakim rozporządzam, jest tylko drobnym ułamkiem tego, co się działo, ale i on wystarczy, by móc zabierać głos z pewnym poczuciem odpowiedzialności za swoje słowa. Więc w innej części artykułu omówię i tę hańbiącą sprawę dokładnie. [...]

*

Cóż... prorokowanie na puszczy nigdy nie było zajęciem łatwym, ani przyjemnym. Gdy się jednak wybrało swój sztandar, trzeba przy nim trwać, nawet gdyby wojsko miało się składać wyłącznie z chorążego. Gdy nie ma szans na zwycięstwo, zawsze pozostaje дума, płynąca z przeświadczenia, że się swej idei broniło nawet w sytuacji beznadziejnej. „Moja walka jest moim zwycięstwem, moja klęska mojej prawdzie niech świadczy”. Donkichoteria? Być może... Ale wiatraki, o które wyszczerbił swą kopię rycerz z La Manczy, dawno rozsypały się w proch, a pomnik błędnego wariata po dziś dzień stoi na madyryckiej Plaza de Espana. Gdy przepiszę na czysto te ostatnie słowa, pójdę posiedzieć przy nim na ławeczce i popatrzeć na jego głupio natchnioną twarz. Może mi poradzi, jak ukraińskich „rezunów” i lackich „pacyfikatorów” namówić, by wstąpili do rycerskiego zakonu.

Post scriptum rymem

*Jak ryba, w piach rzucona, kiedy w dyszących skrzelach
czarna krew się przesącza, tak ja, nassawszy się trójziela
zatrutego, przed mrocznym skarżę się obliczem
nieubłaganym sądów i twardych kondemnat.
Natarczywy jest głos mój. Mowa nadaremna
i krtań zaschnięta, którą w pustkę krzyczę.*

*Tylko echo.
dalekie echo w mej ojczyźnie głuchej.*

*Któryś wiódł mnie w tę głuszę,
raz jeszcze wysłuchaj!*

I

*Oto się głos wzruszony na półstowie zaciął
i ciepłe dłonie słońca muskają po twarzy.
Przed wieczorem, w ogrodzie, w gromadzie przyjaciół
dobrze o sprawach minionych pogwarzyć,
dobrze odpędzić natrętną tęsknotę
wspomnieniem chwili, której dawno nie ma,
a wdzięczne rymy, przeświecone złotem,
nakładają się same w najczulsze poema.*

*Lecz nie potem wziął pióro, by śniedzią elegij
zarosły słowa rwące się do bitwy.
Któryś mnie wywiódł przed pierwsze szeregi
i nauczył żołnierskiej modlitwy,
do ciebie krzyczę, mroczny wywoływacz
umarłych duchów, zapomnianych wieków:
– W rwącej zawiei, Chrzcicielu, przybywaj,
daj nam znak Boga i zbudź go w człowieku!*

[...]

G ł o s y w o ł a j ą :

*Ziemio leśna i wodna, zagubiona wśród pól,
płynna od mleka i miodu,
wysrebrzona od wiosennych świtań,
jedne na szlaku czumackim
były nam biały chleb i sól
i jedna od Wschodu do Zachodu
ojczysta Rzeczpospolita.*

*Przelatywały niżowe wiatry przez Perejasław,
krążyły orły nad Beresteczkiem i Hadziaczem.
Zapaliła się wielka zorza wolności
i krwawo zgasła,
nie tak nocką ciemną zachmurzona,
jak lamentem ludzkim i płaczem.*

*Na nic nie zda się stepowa ukraińska uroda,
jeden dzień się przepalił,
do drugiego już śmierć się uśmiecha...
Oj, popiła się szlachta i kozactwo
po słobodach i grodach,
popili się, na ziemię popadali,
zaplątani w kainowych grzechach.*

Ukraina

*Naleciała horda mongolska,
jak szarańcza obsiadła,
nadciągnął chan tatarski, świątynie złupił,
poszedł jęk i rozpacz po narodzie,
zrównały się w niewoli Ukraina i Polska
i jak głupi
teraz radzą po szkodzie.*

[...]

*Którzy w piśmie uczeni, niech dadzą Słowo,
niechaj piszą nowe hramoty –
lud je przyjmie, uzna i wysłucha,
i z kozacką chorągwią malinową
znowu zbrata się sztandar złoty
w imię
Ojca i Syna i Duha.
[...]*

III.

*Kończy się gorzka pieśń, nim ramię ją przedłuży,
i czeka synów księga, co była testamentem.
Jeszcze ostatnie słowa, płomieniem złotym zdjęte,
jak ptactwo na spotkanie nadchodzącej burzy
wzlatują i daleki odzywa się chór.*

*Mrok podstępnie bliżej, szumiący jak bór,
i chłód wieczorny idzie, lecz wargi nie stygną.
Wczoraj jeszcze gorączką, dzisiaj już maligną
porwane mroczne nuty jednostajnych wyznań.*

*O, nieprzekupna durno tego fanatyzmu,
co płomień miast powietrza wciąga w chore płuca
i w krzyk natrętny powszedniego obłąkania
zamienia ludzkie życie.*

*Jak ptak, co porzuca
rodzinną ciszę gniazda i wiatrom nie wzbrania
podsadzać się pod skrzydła Smutkiem ocieźałe,
tak pieśń...*

*Który-żeś poznał niepodjętą chwałę,
uniwersał mogilny, zbutwiały depozyt
i ślepo patrzysz w oczy otworzone grozy,
zaklinaczu przyszłości, spadkobierco prochów!*

*Przyschnie ręka znużona do drzewa posochu,
przepędzi własne miasto i wyśmieje uczeń.
Pył żrenice zasypie, deszcz ciało optucze,
boleśnie szarpną włosiem przydrożne gałęzie...*

*Będziesz szedł, nocnych marzeń wiekuisty więzień,
i głosił swoją prawdę.*

*A jest w tym najwyższa
duma, gdy głos odrzuca obojętna cisza
i śmiech szyderczy wpada w pieśni interwale
i więcej mrocznym tłumom nad twą mękę znaczy.*

*Jeno Anioł unosi ku niebieskiej chwale
pismo bez czytelników i śpiew bez słuchaczy.*



Prawosławny sobór na pl. Litewskim pw. Podwyższenia Św. Krzyża projektu rosyjskiego generała Chlebnikowa poświęcony w 1876 a rozebrany w latach 1924-1925. Poczłowa ze zbiorów TNN.

Nowość!

Nowość!

w najbliższych dniach ukaże się w handlu księgarskim
tom poezyj

Józefa Łobodowskiego

p. l.

**G W I E Ż D N Y
P S A Ł T E R Z**

tom ten miał ukazać się razem z książką
„O CZERWONEJ KRWI“

która

w międzyczasie została z polecenia prokuratury

SKONFISKOWANA!

O Józefie Łobodowskim i jego twórczości

j. m. [Jan Miklaszewski]
Gwiazdny psalterz

Być pod gwiazdami to być swobodnym. Oto geneza patetycznego tytułu ostatniego tomu wierszy Józefa Łobodowskiego. A że ta swoboda jest dla poety wszystkim i wyczerpuje jego świat, słowo „psalterz” symbolizuje ów stosunek modlitewny i ekstazy.

Książka złożona z pięciu cyklów wierszy, budowanych naogół w rytmice regularnej, stroficznej, uderza czytelnika namiętnym i niespokojnym charakterem, jakże z tą rytmiką niezgodnym. W *Gwiazdnym psalterzu* poeta nie doszedł jeszcze do ostatecznych osiągnięć. Wiersze, kipiące niekiedy pięknosciami słowa i obrazu, robią wrażenie rzeźb potrzaskanych i zrujnowanych, a potem zlepionych byle jak. Widzi się strofy fascynujące i wyraziste, ale gdy kochanek poezji wodzi po nich ręką jak po kształcie urny, dłoń natrafia na szczyby i skazy.

Najczęściej spotykanym typem utworu w nowej książce Łobodowskiego jest wiersz z pointą końcową, ku której od pierwszej strofy ciąży cały utwór jak kropla. Trzeba zaznaczyć, że ten „pointyzm” nie jest dobrą szkołą poetyckiej logiki, ponieważ prowadzi po linii najmniejszego oporu. Powie ktoś: pocóż opór? pocóż zagadki? Odpowiadam: [...] brak jednego i drugiego nie prowadzi nigdzie.

Drugi niebezpieczny chwyt poetycki, to widzenie wsi poprzez „kartoflany” pryzmat. Wszelkie Słobodniki, Ciesielczuki, Szczawieje, Czereśniewscy i inni

powinni być dla nowego poetyckiego pokolenia widomym znakiem niebezpieczeństwa maniery. Łobodowski posługuje się „pajdą słońca”, „polewanym kwaszem”, „zakwaszoną dzieżą” itp. akcesorjami. Trzeba mu jednak przyznać, że w jego wierszach są one czemś omalże niezbędnym w kontekście i że nie nadużywa ich „jako takich”, nie ma kultu dla nich, dla nich samych.

Reszta minusów tej nieprzeciętnej książki sprowadza się do zasadniczego momentu: poecie brak dyscypliny twórczej. W swoim żywiołowym uwielbieniu rozmachu i swobody, doszedł aż do rozmachu w technice wiersza, a co zatem idzie, stacza się ku bezkrytyczności.

Punktem wyjściowym stosunku poety do świata jest rozwichrzony, nieco romantyczny, a nieco „wierzynskie” uwielbienie włóczęgi, beztroski, lata i wiosny, pól:

*poranną pobiec marszrutą
po mglistych pól ametyście...*
(*Kwietniowy ranek*, s. 13)

[...] Wiersze w cyklach końcowych oddalają się od tego gawroszostwa znamionującego zresztą i poprzedni tom Łobodowskiego pt. *Słońce przez szpary*. Znajdujemy tu inną postawę psychiczną. Wiersze *chleba!*, *Hymn do brzucha* to reakcja na społeczne, silnie narzucające się sprawy. Utwór *O śmierci* ma tony rezygnacji i spokoju, wręcz niespodzianego u poety, który ma „serce wichru

„Kurier Lubelski”
nr 102, 14 kwietnia
1932, s. 2. Pisownia
oryginalna.

Na sąsiedniej stronie: całostronicowa reklama z pierwszego numeru „Trybuny” (1 marca 1932). Pismo w zbiorach WBP im. H. Łopacińskiego.

O Józefie Łobodowskim i jego twórczości

i ptaka". Zastanawia podobny w tonie, ale podmalowany rozpaczą – a młoda

rozpacz jest bardzo ciężka i gorzka – wiersz *Noc* kończący się słowami:

*jest tylko ta noc...
jest tylko ścieżka daleka, którąś w młodość zaczął
i dążysz z plecami na oczach, bez światła i bez kierunku...*

Jednym z najsilniej brzmiących akordów *Gwiazdnego psalterza* jest erotyzm, wart doprawdy osobnego studjum, szczególnie, gdyby się rzecz oparło o psychoanalizę. Książka pełna słonecznego rozmachu, żywiołowego smutku,

erotyzmu, wiary i niewiary ukazuje swego twórcę w świetle panteistycznej koncepcji życia. Czy jest to koncepcja trwała, czy też etap przeobrażeń Łobodowskiego na drodze ku własnym osiągnięciom, wykaże czas.

Krakowskie Przedmieście,
ok. 1921. Fot. Ludwik Har-
twig. Ze zbiorów TNN.



Czesław Miłosz Lublin żyje

Józef Łobodowski – to *enfant terrible* Lublina. Z tych szczupłych informacji, jakie mamy o jego postaci, możemy już wywnioskować, że cichutkie i bogobojne miasto niemało ma zmartwień z powodu brzydkich postępów poszumliwej Łobody. Poeta, działacz polityczny, redaktor „Kuriera Lubelskiego”, autor odezów i plakatów – tyle funkcji życiowych wystarcza w zupełności do zakwalifikowania ich posiadacza jako wariata i „typa, który się rzuca”.

Łobodowski chlubnie odznaczył się na polu literackim, wydając kilka tomików wierszy, natychmiast skonfiskowanych. Obecnie, nauczony doświadczeniem i żalując pieniędzy na papier, odbił ostatnią swoją książkę „w ograniczonej ilości stu egzemplarzy, wyłącznie dla znajomych i przyjaciół”.

Jest to osiemnaście wierszy, objętych wspólnym tytułem, bardzo wiele mieszczącym w sobie treści: *W przeddzień*.

Łobodowski jest wyjątkowo poważnym pisarzem. – Na tle ogólnego zamilowania do fałszywej naiwności (poeta im głupszy, tym lepszy, bo bardziej „żywiolowy”), ten człowiek głosem ochrypłym od agitatorskiego wrzasku mówi do nas przejmująco i przekonująco.

Stosunek Łobodowskiego do zjawisk rzeczywistości jest taki, jaki według nas powinien mieć każdy współczesny poeta. Jest to heroizm: nie ma miejsca na opiewanie tak zwanych uczuć sympatycznych, jak melancholii, *weltschmerzu* – ludziom nie trzeba pokazywać wnętrza poetyckiego warsztatu – za wielki tam bałagan. Tworzyć może człowiek, którego wola życia pracuje normalnie, wola skierowana ku istnieniu jakiejś istoty lub rzeczy, a nie chęć spowiadania się i wylewania łez na kamizelkę wielkiego świata.

Łobodowski to dobrze rozumie i dlatego jego wiersze mogą być czasem wierszami opisującymi klęskę, ale nie będą wierszami opisującymi rozkosze niemości i słabości.

*chodzimy po ziemi szarej
spieczonymi modląc się usta
chodzimy po ziemi okrągłej
nie widząc nigdzie jej granic
żyjemy w mieszkaniach ciemnych
gnijemy w norach podziemnych
pogrzebani i zapomniani
obnosimy tłuste kadłuby
akademie
obiady kluby
tam i tu i krętu i wetu
i konamy przez całe lata
wśród parszywych godzin zamętu.*

W tym ustępie nie ma ślimaczenia się. Jest nienawiść do ziemi – właściwa rasie najlepszych poetów.

Pasja, prawie anarchistyczna – to cały Łobodowski. Czasem wyraża się ona w formie bufonady.

*... wszystkim inżynierom
powybijać złote zęby
dla wprawy
i wtedy dopiero
pozasadzać sosny i dęby
na gruzach wielkiej Warszawy.*

Ta „nienawistność” jest połączona u Łobodowskiego z wyraźnym programem społecznym.

*jedna nam prawda wiarą i bogiem
przy niej będziemy stać
co opasuje biodra mocnym snopom
co wytryskuje z ziemi tłustą ropą
co młotem w kuźniach wali*

„Pion” nr 12, grudzień 1932, s. 65-68. Tekst podpisany pseudonimem „cz.m.”

O Józefie Łobodowskim i jego twórczości

*ogromna prawda
mularzy, siewców, kowali.*

Doskonały wiersz *Do Rosjan* daje czytelnikowi pełne zadowolenie dzięki pięknemu rozwiązaniu „długodechowej” strofy.

Czyż tylko pochlebne sądy wypowiadamy o lubelskim poecie? Nie. Mamy parę zarzutów.

1. Snobizm drukowania małymi literami. Co u licha tym lubliniakom się stało? Niebezpieczne kręcki napadły ich biedne głowy. „Barykady” lubelskie pomimo bardzo dobrej zawartości robią komiczne i żałosne wrażenie dzięki systemowi unikania wielkich liter. Zgodzimy się, że w wierszach jest to czasem potrzebne. Ale robić z tego *principium*?...

2. Głośno się tego nie mówi, ale po cichu gada się o tym po kawiarniach, że Polska jest państwem, w którym suma pozy i załgania dosięga niebywalej wysokości. Literatura, „sumienie narodu”, nie daje się wyprzedzać. Łże. Wykręca kota ogonem. Robi kokosy na przybieraniu coraz to innej, zawsze uprzejmie zdziwionej i oblesnie uśmiechniętej miny. Pisarze polscy to w większości wypadków – *faux-monnayeurs* – fałszerze.

Są tacy, którzy osiągnęli uznanie i ciepłe posadki jedynie dlatego, że uważano ich za pederastów. Inni udawali komunistów i nieźle na tym wyszli, bo zapłacono im za zmianę orientacji, której nigdy nie mieli. Jeszcze inni zbijają grube pieniądze na „walce z ciemnotą, zacołaństwem i klerykalizmem”, nabierając naiwnych żydków, którym się zdaje, że liberalizm jest wyższym szczeblem w rozwoju ludzkości.

Kolego Łobodowski, nie starajcie się wyrobić sobie etykiетки.

Stanowisko „nieustannego gwałci-ciecia” nie jest najbardziej zaszczytnym stanowiskiem. Jesteśmy przekonani, że spora ilość waszych światoburczych wierszy jest wynikiem przywiązywania zbyt wielkiej wagi do prowincjonalnego i zapuchłego Lublina.

Unikać epatowania. Mówić nie dla wywołania oburzenia, ale po to, by wywołać zachwyt.

Oto postulaty.

Ogólny wynik rozważań nad J. Łobodowskim: jest to utalentowany poeta i warto go czytać. Krytycy należący do młodych grup literackich powinni napisać pochlebne recenzje. Tak pochlebne, aby zrównoważyły pogardliwy stosunek do młodzieży ze strony „oficjalnej” literatury.

Tymon Terlecki Poezje Cezarego Baryki. Rzecz o Łobodowskim

Łobodowski jako poeta nie jest zupełnie łatwy do zakwalifikowania, nie od razu daje się też włączyć w nasz obręb kulturalny. Te zasadnicze trudności zaznaczyły się w ujęciach i osądach zjawiska. W przewadze szły one drogą stwierdzeń całkowicie zewnętrznych lub mało istotnych. Wmówiono więc Łobodowskiemu pochodność od „Skamandra”, poddanie się wpływowi rosyjskim. Jedno mieści w sobie drugie, bo „Skamandrytów”, a w większym jeszcze stopniu t. zw. poezję proletariacką łączą bliskie związki z poezją rosyjską. W obrębie osobistym Łobodowski podkreśla je sam tłumaczeniami poetów rosyjskich (*U przyjaciół*), którzy stanowią zresztą mocno poślednią część jego dokonania poetyckiego. Bez wątpienia łączy go wiele z obrazowaniem i elegizmem Jasionina, z dynamizmem witalnym i artystycznym Majakowskiego.

Ale cokolwiekby się jeszcze powiedziało w tym względzie nie uderzy się o dno tej poezji, nie pochwyli się jej istoty, nie oznaczy się jej miejsca we współczesnej świadomości kulturalnej. Pozycja Łobodowskiego staje się jasna dopiero wtedy, gdy się go wiąże z Żeromskim. Ta „żeromskość” jest tym bardziej osobliwa, że bodaj nie można u Łobodowskiego mówić o tym stopniu świadomej czy uświadomionej pochodności, co u Piechała. Łobodowski tkwi mimowiednie, koniecznie, niejako dialektycznie w koleinie wyżłobionej tamtym burzliwym, namiętnie, boleśnie napiętym losem. To nie jest pokrewieństwo z wyboru, ale jakby pokrewieństwo z przymusu.

Takie ujęcie byłoby jeszcze czymś dość ogólnikowym, zbyt obszernym, obejmującym wielu z tego pokolenia.

Usiłując określić to kontynuatorstwo Żeromskiego ściślej, można twierdzić, że Łobodowski-poeta jest odrzutowaniem z płaszczyzny fikcji poetyckiej na płaszczyznę życia – Czarusia Baryki. W tej poezji Żeromski, mnożyciel swoich literackich sobowtórów tworzył siebie i tworzył swoje zaprzeczenie, odczuwał ją tak, jak ojciec odczuwa siebie w synu. Widział w Baryce przetwarzanie własnych miłości i bólów, ale i wolę do ich przezwyciężenia. Kochał go i miał w nim źródło nowej, straszliwej udręki.

Nie znam biografii Łobodowskiego ani w jednym szczególe. Ona jest zresztą nieważna w tej konstrukcji i czy szła przez takie czy inne losy, nie może zaprzeczyć faktu, że wiersz *Do ojca* to nie napisany wiersz Cezarego, żal po ojcu, którego pochowali w obcym, bezimennym, nieodszukanym miejscu białej głuszy rosyjskiej. I atmosfera dzieciństwa Łobodowskiego przypomina dzieciństwo Baryki, którego Żeromski urodził pod niebem niepolskim, bardziej pogodnym i rozległym, któremu z Baku, z ognia walki o sprawę cudze kazał przybyć do Polski gotowej, wywalczonej wolą i męczeństwem innego pokolenia. Nie idzie tu zresztą o zewnętrzne zbieżności. Tę formułę: poezja Cezarego Baryki można uzasadnić głębiej i istotniej.

Łobodowski-poeta jest, jak jego prototyp poetycki – żywiołowcem. Jego poezja to poezja instynktu biologicznego. I cała jej osobliwość i cały witalizm zasadza się na zderzeniu między elementarnym, dennym krzykiem istnienia, między upojonym, ślepym pędem witalnym, a ideologizmem, a kulturą. Bo kultura nie jest przecież niczym innym, jak zespołem, światem idei, jak obcowaniem żywych i umarłych w kręgu

„Tygodnik Ilustrowany”
nr 16, 197, s. 311-312.

duchowej jedności. Bo ojczyzna nie jest przecież niczym innym, jak kulturą.

Łobodowski-Baryka przyszedł z kręgu swobodnego życia, gdzie nie ma idei czy nadrzędności, gdzie idee zastępuje odruch pierwotny, zamach maczugi, radosny lot w przestrzeń i w nasycenie. I nagle został, jak Achilles uchwycony za włosy przez boginię, wemknięty w krąg odnawiającej się sugestii, w pole magnetyczne przez wieki jątrzonej egzaltacji. Odtąd, jak bohater *Przedwiośnia* szamoce się w strasliwym objęciu arcy-polskiego antynomu, jest sceną nieustającego konfliktu między prawem i wolą nieokiełzanego życia, a ideą, między ludem i narodem. Ta sprzeczność, założona przez Manifest Polskiego Towarzystwa Demokratycznego, przenikające ideologię całego rewolucyjnego odłamu Wielkiej Emigracji – leżała zawsze u dna światopoglądu Żeromskiego, ale dopiero z całą jadowitą rzeczywistością, z całym bezwzględny naporem miała się rzucić na Cezarego Barykę, na pokolenie powojenne, spożywające wspaniały i gorzki owoc wolności.

Ten podstawowy, rozdzierający konflikt Polski nowej w Łobodowskim, poecie *Rozmowy z ojczyzną*, w poecie podejmującym walkę z „demonami nocy” znalazł wyraz jeden z mocniejszych, na jaki zdobyła się twórczość ostatnich lat, cała literatura polska od Żeromskiego. W świetle takiego stwierdzenia zaczepiana ostatnio reprezentatywność Łobodowskiego zdaje się nie ulegać kwestii.

Z ośrodkowym, wyodrębnionym tutaj i wysuniętym poprzód innych akcentami można teraz połączyć inne tony organizacji tego poety. Dla zasadniczej sprawy społecznej znajduje on na ogół odrębną i mocną ekspresję. Prawie nie ma u niego maszynizmu, urbanizmu, kultu dla cywilizacji. Problem społeczny tkwi u Łobodowskiego nie na zewnątrz, ale niejako wewnątrz człowieka. Tkwi w elementarnym głodzie, w sile, która

się z tego elementarnego głodu poczyną: nie jest wyrozumowany, jest konieczny, nieuchronny, jak oddech, jak śmierć. *Pieśń o głodzie* wysunięta na początek ostatniego tomu, to słowo: głód, wypowiada w sensie dosłownym i najszerzej przenośnym. Stanowi ono wyraz głębokiego, najbardziej podstawowego przeżycia, które jest tak bliskie nienasyceniu bohaterów Żeromskiego.

Stąd, z tej ciągle dozowanej niesytości wywodzi się dynamika poezji Łobodowskiego; nie zna ona spoczynku, nie znosi ścieśnienia, ucieka ciągle w otwartą, w najbardziej rozległą przestrzeń, szuka swobodnego, długiego nieotamowanego oddechu. Stąd także stylistyczna figura nagromadzenia jest dla Łobodowskiego najbardziej charakterystyczna, najbardziej organicznie go wyraża. Specyficzną i może najbardziej mylącą odmianą tego chwytu jest stosowanie w obrębie jednej kompozycji wierszowej tego samego elementu obrazowego w coraz to innym wariacie. Ten pleonazm ma u Łobodowskiego sens prawie fizjologiczny: jest w tej poezji coś z bulgotu krwi, coś z organicznego pulsowania. Nie narasta ona w harmonijnej kadencji, nie wyznacza się regularną linią konstrukcji. Gdy się usiłuje przejrzeć poezję Łobodowskiego w ruchu, w jej sposobie narastania, wygląda jak radiogram pulsu serca, wije się kreską łamana, zygawkowatą, uporczywą, powtarzającą siebie, nawracającą. Łobodowski w odrębny sposób realizuje to, co Peiper nazwał „układem rozkwitającym”. Tylko u niego postępowe odślanianie perspektywy poetyckiej nie jest wyrozumowanym zabiegiem, jak u teoretyka awangardy, procesem intelektualistycznym, ale płynie z impulsu organicznego, z ponawianego ruchu serca, jakby z automatycznego procesu spalania się materii.

Wszystkie sprawy ludzkie, przede wszystkim te, które poetę obchodzą najbardziej: walka o byt – rozgrywa się w wielkich, patetycznych kulisach

pejzażowych, pod wysokim niebem, na otwartym w przestwór stepie, dzieją się w tle, w ścisłym związku z przyrodą, jakby przy jej organowym akompaniamencie. Z upodobaniem powtarza poeta motywy, które podkreślają przestrzenność sceny dziejowej: wiatr, światło słoneczne, gwiazdy, nieustannie też przez ciągle akcentowanie zmian pory dnia zaznacza cykliczność, powrotność, niewstrzymywany kołowrót tych spraw: „A jako wtedy i jutro, a jutro jako dziś”. Stanowi to także podkreślenie przyrodniczego biologizmu. W ten tor wchodzi heroizacja i mitologizacja pejzażu i człowieka, stylizowanie życia, w szczególności życia społecznego na byt pierwotny. Łobodowski tworzy niekiedy bardzo intensywny w kolorystyce pejzaż baśniowy, fikcyjny świat pierwotności, trochę jakby à la Gauguin. Jak inny malarz francuski K. X. Roussel dokonywa mitokracji w materiale dnia powszedniego, co prawda również często, jak tamten popadając w teatralne rekwizytorstwo mitologiczne.

Ale ten namiętny biologizm, spontanizm, uległość instynktom nie jest u Łobodowskiego bytowaniem całkowicie ahistorycznym, życiem chwilą i powierzchnią. To, co w pierwszym wejrzeniu wydawało się Jasieninowską chuliganerią, pozą, stylizacją – ukazuje się, jako amnezja przeszłości, jakby zdobywani jakiejś totalnej świadomości życia. Poprzez przeważnie zewnętrzne uzurpowania Łobodowski objawia się jako poeta rosnący ze zbiorowej pamięci tragicznej: metafizycznej, społecznej i narodowej. Ciągle od najbardziej przyziemnych i ziemskich spraw odchyła się w niebo: „nad głową złota krwawa gwiazd, gęstwina gwiazd, którą dłoń twa rozplączę”. Namiętny pozeracz przestrzeni czuje Barëssowski, tak dobrze znany Żeromskiemu głos wiążący z ziemią, z grobami. I z ziemi, z grobów płynie dla niego również silny, jak z gwiazd nakaz odpowiedzialności

za świat i za życie, za postęp i za odmianę istnienia.

*Nie wiersze tej nocy piszę, wykaz
dławiących win,
niedotrzymanych przysiąg, urwanych
w pół-słowie,
i surowymi oczami pod mokrą,
cmentarną gliną
patrzą umarli ojcowie.*

Na cmentarzu lubelskim przypomina się poecie przede wszystkim X. Ścieginy, jeden z tych szermierzy sprawiedliwości i wolności człowieka, jeden z tych maniaków współczucia, którego gloryfikował Żeromski. W ten sposób Łobodowski witalista, antyhumanitarysta wchodzi w swoją zarzecznosc. W ten sposób przeciw głodowi życia wynosi się u niego z równym naporem groza tajemnicy i oczywista wszechobecność, nieuchronność śmierci. Jak Czarus miota się między zewem „urody życia”, czystej witalności, amoralnej i szczęśliwej, a etycznym i ascetycznym nakazem walki z „demonami nocy”, nowej „walki z szatanem”, która Żeromski do końca dni toczył sam i przez swoich bohaterów. W ten sposób Łobodowski międzynarodowiec, syn wolnego stepu wprzęga się w niewolę ojczyzny „nienawistnej i umiłowanej”. Staje tak w przeciągu sprzecznych, wykluczających się prądów, w rozdarciu między dwie racje również wielkie i nieuniknione: między życie i śmierć, między instynkt osobniczy i kulturę, między klasowość i naród.

Z tych antynomii Łobodowski nie znajduje wyjścia. Żarzy się w nich i spala, daje świadectwo doli człowieka i pokolenia. Przecie nawet w tej fazie rozpętanego, nieujarzmionego, nie można ukrywać: niekiedy artystycznie wątpliwego liryzowania, biologiczny pesymizm nadbudowuje się u niego wysokim wspięciem moralnym i kulturotwórczym: przetrwać w wielkości nieodmienioną dolę człowieka i czasu.

O Józefie Łobodowskim i jego twórczości

*Niebo nawisło nad nami, grozi
gwiazdzistą chłostą,
siła do słabych rąk, zachwyt żrenicom.
Z zaduchu podłych snów, zbudź nas
i poraż
o burzo, o błyskawico!*

Myślę, że pomawiać poetę tragicznego o panikę, jak to zrobił Napierski jest niesłuszne i niesprawiedliwe. Polega to na niezrozumieniu lub nieporozumieniu. Jak na nieporozumieniu w znacznej mierze polega ocena właściwości formalnych Łobodowskiego. Pewnie, Łobodowski jest werbalistą, ale jest to werbalizm swoistego typu, jakby werbalizm funkcjonalny. Cechuje Łobodowskiego absolutny, przyrodniczy brak ekonomii słownej, rozrzutność rodzącej, krzyczącej, dławiącej się we własnych sprzecznościach natury.

Niezorganizowanie tej poezji, prawda, niezobiektywizowanej i niekontrolowanej, często zbyt sobie ufającej – wydaje się przynajmniej w pewnym stopniu, pozorne. Nie zwrócono uwagi, że autor *Rozmowy z ojczyzną*, a więcej jeszcze zbioru *Demonom nocy* przedstawia wybitne uzdolnienia rytmiczne. I w tej dziedzinie Łobodowski ostatnio prawie

zarzucający strofę regularną, posługujący się świetnie wierszem wolnym jest zupełnie bezwiedny, jak przyroda. I tu cechuje go niekiedy odkrywcza mimowolność, prawie jasnowidzenie instynktu.

Poezja Łobodowskiego jest uorganizowana przez rytm, nie przez obraz. Obraz jest tu niesiony na rytmie, jak na fali, jak na oddechu, jak na pulsie krwi. Dynamika lirycznego przeżycia jest przede wszystkim dynamiką rytmu. Naprawdę jest ten rytm biologiczny, wybijany przez mocno napięta serce – „ruchomym odbłaskiem najgłębszych uczuć i wierzeń”.

On też stanowi podstawową jedność tej poezji. On sprawia, że nienasyceń zawartością intelektualną, znużeni często chaotyczną profuzją obrazów, zgubieni w przeroście odnajdujemy przecież jedność tej poezji. Oddaje się nam w niej poeta cały w napiętej, frenetycznej pulsacji krwi, cały oddaje się ojczyźnie i sprawiedliwości, życiu i śmierci, ziemi i niebu – temu wszystkiemu, co rozdziera jego serce, co nagli do przejmującego krzyku, wzywa do wytrwania, do wydarcia wielkości epoki, która jest nasza, którą my jesteśmy.



Środowisko „Wiadomości Literackich”. Józef Łobodowski (drugi od lewej) w Londynie, 1970. Fotografia dostępna na stronie biblioteka.uni.torun.pl lub www.kul.lublin.pl

Paweł Hostowiec [Jerzy Stempowski] **Nagroda Literacka „Kultury” uzasadnienie werdyktu**

Jury postanowiło przyznać tegoroczną nagrodę „Kultury” Józefowi Łobodowskiemu.

Józef Łobodowski jest naszym ostatnim poetą romantycznym „szkoły ukraińskiej”. Wiersze romantyczne nie są dziś w modzie. Lecz nie tylko dzieli Łobodowskiego od jego rówieśników i młodszych kolegów. Posłuchajmy np., co mówi o koniach:

Wierzchowców długie grzywy faluje łagodny rytm

Łatwo zgadnąć, że Łobodowski jak sam emir Rzewuski, w młodości jeździł konno po stepie, gdy większość jego rówieśników i młodszych kochanków muz hasała po asfalcie, w tramwajach i taksówkach. Nic więc dziwnego, że w jego słowach jest więcej zrywu i naporu niż misterności. Ale nie o to chodzi. Jury „Kultury”, przyznając mu nagrodę, nie zamierzało zajmować stanowiska w sprawach poetyki. Tradycja romantyczna, którą reprezentuje wśród nas Józef Łobodowski, nie da się zresztą do tych spraw sprowadzić.

Poeci romantyczni, bredzący Litwą i Ukrainą, zostawili nam obraz Rzplitej Jagiellońskiej z jej borami i stepami, z jej dobrymi i złymi urokami, z jej tragicznymi sprzecznościami wewnętrznymi. W ich otoczeniu spisane zostały pierwsze książki o folklorze i własnym obliczu ludów, wchodzących w skład dawnej Rzplitej. Wiedzeni instynktem, autorzy ich pragnęli jak gdyby oddzielić się barierą nowych ludów od zwycięskiej potęgi Rosji. Następne pokolenia odwróciły się od tego ogromnego fresku romantyków i od zagadnień cywilizacji jagiellońskiej. Myśli ich zwróciły się w inną stronę, jak

gdyby w przeczuciu późniejszych wyroków losu.

Dziś, gdy po pięciuset latach Polska wróciła do granic piastowskich, wizja pozostawiona przez romantyków stawia nowe pytania. Wielu z nas, czy tego chcemy, czy nie, jest synami Rzplitej Jagiellońskiej, naznaczonymi w jakiś sposób przez jej osobiłą cywilizację. Czasami, nawet w tłumie rodaków, odczuwamy wynikłą stąd milczącą odrębność. Co mamy z nią zrobić w naszej piastowskiej ojczyźnie?

Spotkanie z Józefem Łobodowskim pozwala nam przyjrzeć się na nowo w zwierciadle naszych jagiellońskich wspomnień i skonfrontować je z nową rzeczywistością. On jeden słyszy wyraźnie głosy, dochodzące poprzez kordony graniczne z dawnych obszarów Rzplitej, a które dla wielu z nas są tylko niejasnym szmerem pamięci. Mam tu na myśli jego tłumaczenia poetów ukraińskich i białoruskich, naznaczonych również przez cywilizację jagiellońską. Odnajdujemy w nich znane nam dobrze skądinąd barokowe kształty folkloru i łańskie reminiscencje:

*A dokąd z krzywdą swoją tak kroczą?
Czym pragną pokazać ją oczom?
Świata całemu.*
(Janka Kupała)

*I gasły mi Skorpiona wróżby chmurne,
a ręka Strzelca unosiła w górę
swoją srebrny łuk i była mi przyjazna.*
(Mykoła Zerow)

W swej próbie zbliżenia ponownie rozproszonych przez bieg historii fragmentów starej cywilizacji dzieło tłumacza przekracza tu granice, zakreślone zazwyczaj temu rzemiosłu poetyckiemu.

P.H. [Paweł Hostowiec],
Nagroda Literacka „Kultury”, „Kultura”, 1961. Uzasadnienie Jerzego Stempowskiego wyboru kandydata, Józefa Łobodowskiego, do nagrody literackiej „Kultury” za rok 1961 [przyp. red.]

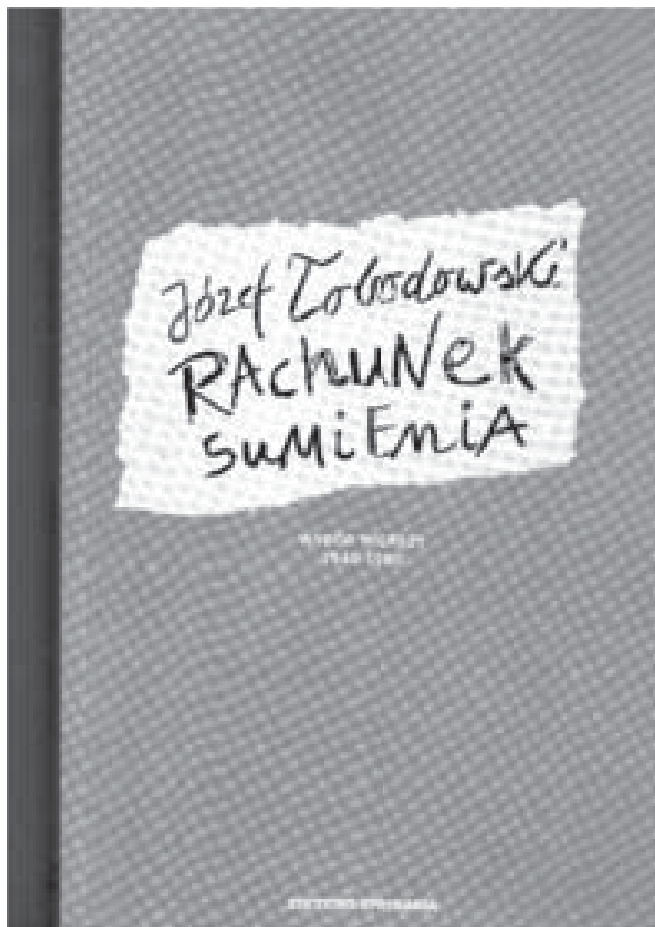
O Józefie Łobodowskim i jego twórczości

Chłonność Łobodowskiego, jego zdolność rozumienia i opanowywania wyobraźnię poezji obcej jest na miarę Renesansu, kiedy literatura europejska posiadała jeszcze wspólny język – łacinę. Jest on bowiem również zapalonym znawcą poezji rosyjskiej i hiszpańskiej. Przekłady z tej ostatniej zyskały mu szerokie uznanie. Naginając się, jako tłumacz, do wymagań tylu stylów i języków, Łobodowski zostaje jednak zawsze sobą.

Nawet jego wiersze tłumaczone z hiszpańskiego mają jakieś tajemne powinowactwo z jego pierwszą muzą stepową:

*Przez równinę, poprzez wiatr,
Czarny koń, czerwony księżyc.*

Przyznając mu tegoroczną nagrodę, jury „Kultury” pragnie wyróżnić nie tylko talent, lecz także szlachetną i samotną postawę Józefa Łobodowskiego.



Okladka wyboru wierszy Józefa Łobodowskiego z lat 1940-1980. Tom wydany przez Editions Spotkania (Paryż, 1987).

Kazmierz Okulicz O Łobodowskim i o „cywilizacji jagiellońskiej”

Wybrańcem jury nagrody literackiej „Kultury” za rok 1961 został Józef Łobodowski. Jako czytelnik jego poezji i powieści mogę wyrazić zadowolenie z tego wyboru – tym bardziej słusznego, że wśród laureatów kilku corocznych nagród londyńskich, jak mnie poinformował prezes Związku Literatów, Łobodowski nie figuruje!

Wiadomość o przyznaniu mu nagrody przez jury paryskie została zaopatrzona w grudniowym numerze z r.ub. „Kultury” w krótki komentarz podpisanym inicjałami „P. H.” (Paweł Hostowiec).

Nie wiem czy wielu czytelników doznało tego samego silnego wrażenia, czytając tych kilka zdań Hostowca:

Poeci romantyczni, bredzący Litwą i Ukrainą, zostawili nam obraz Rzpltej Jagiellońskiej... Wich otoczeniu spisane zostały pierwsze książki o folklorze i własnym obliczu ludów, wchodzących w skład dawnej Rzpltej. Wiedzeni instynktem, autorzy ich pragnęli jak gdyby oddzielić się barierą nowych ludów od zwycięskiej potęgi Rosji.

Następne pokolenia odwróciły się od tego ogromnego fresku romantyków i od zagadnień cywilizacji jagiellońskiej. Myśli ich zwróciły się w inną stronę, jak gdyby w przeczuciu późniejszych wyroków losu. Dziś, gdy po pięciuset latach Polska wróciła do granic piastowskich, wizja pozostawiona przez romantyków stawia nowe pytania. Wielu z nas, czy tego chcemy czy nie, jest synami Rzpltej Jagiellońskiej, naznaczonymi w jakiś sposób przez jej osobiłą cywilizację. Czasami, nawet w tłumie rodaków, odczuwamy wynikłą stąd milczącą odrębność. Co mamy z nią zrobić w naszej piastowskiej ojczyźnie?

Może nie wszyscy epigoni „cywilizacji jagiellońskiej”, czytając w pośpiechu te słowa, uświadomili sobie, że sformułowana w nich została *en passant* głęboka prawda ich pojęć, uczuć i wyobrażeń.

Bo przecież nam, synom cywilizacji jagiellońskiej, co innego staje przed oczami naszej wyobraźni na dźwięk słowa „Rzeczpospolita”, niż innym naszym rodakom, którzy odruchowo dodają do niego przymiotnik „Polska”; przecież my nie odczuwamy żadnej obcości czy to gdy słyszymy dokoła siebie mowę białoruską, litewską, ukraińską, czy to gdy patrzymy na litewskie krzyże przydrożne, lub na białoruskie płótna wieszane na jarmarkach wileńskich, lub na białe chaty ukraińskie wśród żółtych słoneczników na tle dali stepowej; my wszak szcycimy się tym, że nie mówiący po polsku prawosławny ks. Konstanty Ostrogski bił Moskwę pod Orszą z ramienia Rzpltej; że „ruski” z pochodzenia i kultury wojewoda Kisiel był promotorem Umowy Hadziackiej; że szlachcice polscy (Barszczewski, Dunin-Marcinkiewicz, Bohuszewicz i inni) kładli podwaliny pod literaturę białoruską; że Białorusin, Konstanty Kalinowski, poniósł śmierć wraz z Trauguttem, jako członek rządu powstańczego Litwy w roku 1864; że Polak Roman Skirmuntt był prezesem I-go Białoruskiego Komitetu Narodowego w roku 1917, a dwaj inni Polacy tegoż co Skirmuntt jagiellońskiego klanu – Aleksander Prystor i Stanisław Stempowski, zasiadali w pierwszych rządach: Prystor w białoruskim, a Stempowski – w ukraińskim.

Oni, ci wszyscy „synowie cywilizacji jagiellońskiej”, wiedzieli – lub wyczuwali instynktem – że pomiędzy Rosją a Niemcami nie ostaną się przed losem satelitów państwa powstałe z narodowych podziałów dawnego terytorium państwa Jagiellonów. W zmodernizowanej i zdemokratyzowanej konstrukcji jagiellońskiej poszukiwali oni rozwiązań

„Kultura” 1962, s. 109-112.

dla tego „jednego w swój różnolitości terytorium”.

Ale na to było jeszcze za wcześnie. Polska „pańskość” i szlacheckość zbyt jasnowo kontrastowały z masowym tłem ludności tych obszarów. Ani ta społeczno-obyczajowa „pańskość”, ani wyłączość lub przewaga polskiej kultury ostać się tam nie mogły. Młode i niewyżyte nacjonalizmy naszych historycznych pobratymców obróciły się w końcu XIX wieku przeciwko nam, przeciwko wspólnocie jagiellońskiej.

Był to proces naturalny i nieunikniony. Biegł on zresztą równolegle z zacieśnieniem i unarodowieniem polskich pojęć i wyobrażeń o Rzpltej. Po traktacie ryskim i uznaniu w roku 1923 wschodnich granic Polski, tym traktatem wytkniętych, polityczna wizja „synów cywilizacji jagiellońskiej” była już sprawą przegraną. Epigońska grupa wileńskich demokratów, tzw. krajowców, do roku 1923 silna pokrewieństwem myśli i dążeń z Józefem Piłsudskim, usiłowała potem przechować ją przez lata złowróźbnej ciszy, co na tych ziemiach nastąpiło – aż przyszedł huragan wojenny 1939–1941, który zmiotł słabe władza polityczne tego kraju, a ludzi wytrzebił rękami moskiewskich enkawudystów. Pozostały jednostki rozsiane po świecie. Idea polityczna cywilizacji jagiellońskiej zapadła w głęboki sen zimowy, jak całą przyrodę na jej rozległych obszarach.

Łobodowski jest „ostatnim romantycznym poetą „szkoły ukraińskiej” – pisze Hostowiec. Nie jestem tak pewien czy ostatnim. Ale jest on bez wątpienia współczesnym przedstawicielem „ukraińskiej” gałęzi cywilizacji jagiellońskiej, gałęzi odrębnej przez to, że nie miała ona swego ośrodka intelektualnego, jakim dla „litewskiej” było Wilno. (Lwów nigdy tej roli nie pełnił i pełnić jej nie chciał, dumnie mianując siebie polskim miastem kresowym.)

Wśród żyjących poetów i pisarzy „szkoły litewskiej” nie ma dziś nikogo

(może z wyjątkiem Józefa Mackiewicza) kto by był tak bliskim duchowi i twórczości Białorusi i Litwy, jak Łobodowski bliski jest duchowi współczesnej Ukrainy. Paru innych, młodszych, co by może kiedyś mogło z nimi się mierzyć, porzuciło opustoszałą nawę cywilizacji jagiellońskiej.

Tym bardziej wyróżnienie Łobodowskiego dla nas, niedobitków „litewskiej” jej gałęzi jest wydarzeniem miłym i bliskim. Bo jak słusznie pisze Hostowiec: Spotkanie z Józefem Łobodowskim pozwala nam przejrzeć się na nowo w zwierciadle naszych jagiellońskich wspomnień i skonfrontować je z nową rzeczywistością. On jeden słyszy wyraźnie głosy, dochodzące poprzez kordony graniczne z dawnych obszarów Rzpltej, a które dla wielu z nas są tylko niejasnym szmerem pamięci.

Czy tylko „szmerem pamięci”? Czyż naprawdę wyschły doszczętnie żywotne soki cywilizacji jagiellońskiej? Czy ma ona bezpowrotnie odejść w sferę archeologii?

Nie odważyłbym się wydać takiego wyroku – i nie myślę aby to chciał uczynić Hostowiec. Obecny stan rzeczy na ziemiach Rzeczypospolitej nie jest rzeczywistością rzeczywistą. Rzeczywistość została tam przemocą postawiona na głowie i wróci samorzutnie do podstawy naturalnej skoro tylko odpadnie przymus. Problem wyboru nowych form wolnego życia powstanie automatycznie: bałkanizacja wschodu Europy czy powolna integracja wolnych narodów?

Cywilizacja jagiellońska ma pewne cechy wspólne z cywilizacją Karolinów na zachodzie Europy, trwała jednak znacznie dłużej. Jej elementy polityczne odrodziły się po tysiącu latach w formie potężnych prądów do integracji zachodniej Europy. To w co jeszcze przed 10 laty nikt nie chciał wierzyć, budzi podziw tempem i zasięgiem swego wzrostu.

Niwelujący wszystko przymus hamuje dziś na wschodzie Europy naturalny

proces wyżycia się i dojrzewania narodów, cywilizacyjnie pokrewnych, do idei braterstwa kultur i politycznego solidaryzmu. Mimo to, nie potrwa zapewne on tak długo jak to było na zachodzie, – bo w drugiej połowie XX wieku przymus jako metoda a sojusz komunizmu

z nacjonalizmem jako treść – to krucha konstrukcja polityczna. Tym bardziej ważnym jest przechowanie, przez okres wiatrów wstecznych, zrębów myśli jagiellońskiej: w piśmiennictwie, w sztuce i w sercach jej wyznawców na szerokim świecie.



List do kraju, wybór i wstęp: Jerzy Świąch (Lublin, 1989). Był to pierwszy tom powojenny Józefa Łobodowskiego, który ukazał się w Polsce. Projekt okładki i stron tytułowych wykonała Zofia Kopel-Szulc.

Rozmowa Józefa Zięby z Jadwigą Ostrowską

Józef Zięba, *Żywot Józefa Łobodowskiego* (7), „Relacje” 9/89, s. 4. Rozmowa Józefa Zięby z Jadwigą Ostrowską została przeprowadzona w Lublinie 9 w sierpniu 1988 roku, utrwalona na taśmie magnetofonowej jest przechowywana w zbiorach Muzeum im. Józefa Czechowicza w Lublinie.

Józef Zięba: Kiedy w jakich okolicznościach poznała pani Łobodowskiego?

Jadwiga Ostrowska: Łobodowski był w Hiszpanii już od dawna. Ja przyjechałam dopiero w 1963 roku, w czerwcu. Początkowo nie wiedziałam czy w Madrycie są jacyś Polacy, ale pomyślałam sobie, że Polacy są wszędzie, więc i w Madrycie na pewno też są. Kiedy dowiedziałam się, że w pierwsze niedziele miesiąca są msze polskie, poszłam na taką mszę. Było tam około dwudziestu, może trzydziestu osób. Jest tam taki zwyczaj, że zatrzymują się wszyscy po mszy na rozmowę. Więc poznałam Józefa Łobodowskiego, jak i pozostałych Polaków, pod kościołem.

Łobodowski chodził do kościoła?

Chodził, oczywiście, chodził ... Wówczas przewodnikiem emigrantów polskich w Madrycie był Stanisław Ryłski, który już nie żyje. On wszystkich jednoczył. Był to człowiek nadzwyczajnej dobroci i bardzo towarzyski. Przybył do Madrytu po zdemobilizowaniu z armii Andersa i rozpoczął studia. Było ich tam około stu osób i stąd ta grupa emigracyjna pochodzi. Z wyjątkiem Łobodowskiego, który trafił inną drogą.

Z Francji.

Został w Hiszpanii aresztowany i półtora roku przebywał w więzieniu

A pan Stanisław Ryłski kim był z zawodu?

Buchalterem i pracował w radio.

Współpracował z rozgłośnią madrycką?

Tak. Współpracowali z madrycką rozgłośnią i on, i Kazimierz Tylko, i Józef Łobodowski. Ja nie słyszałam nigdy tych audycji. Dowiedziałam się o nadawaniu dopiero w Madrycie...

Pod kościołem powiadomiono mnie, że spotykają się w jakimś „Obelisko”, w restauracji „Obelisko” w piątki. Mnie to

bardzo zainteresowało. Okazało się, że mieszkam niedaleko od tego „Obeliska”, więc poszłam tam kiedyś. Rzeczywiście, byli tam wszyscy, których poznałam przed kościołem. Siedzieli przy długim stole zawsze tym samym, który był już dla nich przygotowany. To była średniej klasy restauracyjka, długo otwarta i tam się coś zjadało, dużo piło wina i długo gadało. Rej wodził Lobo, tak go tam wszyscy nazywali. Lobo przewodniczył, a Staś Ryłski wszystko organizował.

Ile osób skupiało się przy stole?

Niedużo. Jakieś osiem, dziesięć, kilkanaście, zależy, kto miał czas. Wiadomo było, że tam można po polsku porozmawiać. Ja chodziłam tam regularnie w każdy piątek. Między ósmą a dziewiątą wieczorem wszyscy się schodzili. To były bardzo przyjemne spotkania, Łobodowski żywo w nich uczestniczył. Bardzo często zabierał głos, a że miał głos silny, zagłuszał wszystkich. Jego się tam przede wszystkim słyszało, a on lubił, by go słuchano.

To trwało do śmierci Stanisława Ryłskiego, nie, trwało dłużej, do śmierci właściciela restauracji. Potem jego syn zdecydował, że nie warto otwierać jej wieczorami, bo prawie wyłącznie myśmy tam byli jako późni goście.

Czy Łobodowski miał jakieś ulubione kafejki, bary, w których stale przebywał?

Tak, bar był miejscem jego pracy. Tam przebywał przez cały dzień. Bar znajdował się w pobliżu domu, w którym mieszkała rodzina Tylków. Nie było dnia, żeby u nich nie był. Trzymał do chrztu ich najstarszego syna. Żona pana Kazimierza, Hiszpanka miała bardzo dobre serce i opiekowała się nim. Im zawdzięcza bardzo wiele. Łobodowski był czasem trudny, ale pani Tylko z anielską

cierpliwością troszczyła się o jego ubranie, czystą bieliznę. Otaczała go opieką domową, rodzinną. Łobodowski mieszkał zawsze w jakimś pensjonacie.

Czy własnego domu Łobodowski nie próbował zorganizować?

Nie, nigdy nie miał własnego domu. Jego domem był dom państwa Tylków, a pracował cały dzień w barze. O piątej przychodził Ryłski i czasami przenosili się z baru do restauracji, gdzie jedli kolację. Przychodził czasem do nich doktor Sokołowski i wspólnie spędzali przyjemne wieczory.

Kiedy przeniosłam się i zadomowiałam w nowym mieszkaniu, skończył się właśnie „Obelisk”. Zaproponowałam żeby Stasio Ryłski i Józef Łobodowski przychodzili do mnie.

W którym to było roku?

Około dziesięć lat temu.

I też tylko raz w tygodniu?

Raz w tygodniu, w środę. Przychodzili do mnie zawsze we dwóch, czasem ktoś jeszcze. Siedzieliśmy na tarasie, bo ja mam duży taras, na którym latem w ciągu dnia jest zbyt gorąco, ale bardzo przyjemnie wieczorem — i wiele wieczorów tam wspólnie spędziliśmy.

Czy samotnictwo Łobodowskiego było programowe? Czy nie usiłował założyć rodziny?

On przecież miał żonę.

Jak pani sądzi, czy twórczość literacka wypełniała całkowicie życie Łobodowskiego?

Myszę, że tak. Bardzo dużo pisał i dużo serca w to wkładał. Felietony wysyłał do Londynu, najpierw do „Wiadomości”, a gdy „Wiadomości” zostały zlikwidowane, to do „Dziennika Polskiego”. Z tym brulionem, który panu przywiozłam, siedział i pisał. Zawsze przy tym samym stoliku. Tam był hałas. Dziwiłam się, jak się można skupić w takim zgiełku, ale jemu to odpowiadało.

Pisał w barze, bo w małym pokoiku hotelowym nie miał chyba warunków do pracy literackiej. Na zdjęciu, które mi pani przywiozła, widać, że nie było tam nawet porządnego stołu.

Ja tam nigdy nie byłam. Zmieniał pensjonaty, to może kiedyś miał lepsze warunki. Ten ostatni nie był najlepszy.

Z czego się utrzymywał?

To była sprawa bardzo przykra, bo stale nie miał pieniędzy. Otrzymywał małą pensyjkę z radia, której już mu po zamknięciu polskiej rozgłośni nie musieli płacić, ale utrzymywali to w formie zapomogi. Ponieważ Łobodowski nie był obywatelem hiszpańskim nie miał wielkich praw. Gdyby chciał zdobyć obywatelstwo, miałby lepsze warunki. On jednak powiedział, że tego nigdy nie zrobi.

Czy miał jeszcze jakieś honoraria?

Otrzymywał honoraria za felietony z „Dziennika Polskiego”, ale przychodziły bardzo nieregularnie. Jako stały adres podawał dom Tylków. Otrzymywał czasem jeszcze honoraria za wieczory autorskie, kiedy wyjeżdżał do Londynu albo do Stanów Zjednoczonych. To jednak bardzo szybko się rozpyływało i on nigdy pieniędzy nie miał.

Leżało chyba w naturze Łobodowskiego, że nie szanował pieniędzy?

Dużych wydatków nie robił ale lubił komuś zafundować taksówkę, zaprosić na wino.

O Łobodowskim krążyły legendy jako o człowieku nie stroniącym od alkoholu. Sam słyszałam taką opowieść, nie wiem, czy nie wymyśloną. Podobno w Paryżu po większym alkoholu Łobodowski miał wieczór autorski na drzewie. Wszedł na drzewo i tam recytował swoje wiersze. Policjanci ściągnęli go do komisariatu, a nad ranem cały komisariat pod jego przewodem śpiewał. Oczywiście jest to anegdota, ale chciałem zapytać. Jaki był stosunek Łobodowskiego do alkoholu?

Nie był nałogowym alkoholikiem, ale lubił wino bardzo.

A silniejsze trunki?

Nie, tylko wino. Gdy pisał w barze, to na marmurowym stoliku stała zawsze przed nim szklanka wina; gdy się wino kończyło, to mu dolewali.

A stosunek do kręgu znajomych? Pani mówiła, że nie był łatwym człowiekiem. Ktoś nawet napisał do mnie, że nie lubił Łobodowskiego, bo jego zachowanie było czasem chamskie.

Nie powiem, żeby było chamskie, ale był raptus. Tam, w tym „Obelisku”, dochodziło kilka razy do scysji, bo on nie znosił, gdy ktoś miał inne zdanie. Pokłócili się kiedyś o generała Andersa, którego on bardzo cenił.

Rozmowy w „Obelisku” czego dotyczyły? Czy spraw Polski, literatury, czy miały charakter towarzyski?

Tam było wszystko. Opowiadało się o wszystkim. Każdy przynosił to, co miał ciekawego, począwszy od anegdot przywiezionych z Polski. Czasem też były smutne sprawy.

Sprawy polskie były zatem w centrum zainteresowania?

Tak. Gdy Polacy przychodzili z hiszpańskimi żonami, to one miały za złe, że nic nie rozumieją. Przechodziliśmy więc na hiszpański, a po pięciu minutach zapomniało się i wszyscy znowu mówili po polsku, a one biedne siedziały i nudziły się. Potem nie przychodziły tam w ogóle...

W czasie wakacji, kiedy Tylkowie wyjeżdżali nad Morze Śródziemne, to w wynajętym przez siebie mieszkaniu jeden pokój odstępowali Łobodowskiemu. Tam też pisał wiersze...

Kiedy przychodzili do mnie, to robiłam im polskie potrawy, chłodniki i coś takiego, co im smakowało. On najbardziej lubił pomidorową zupę z ryżem, więc często mu ją robiłam, poza tym lubił wszystkie kluski.

Czy w inne dni utrzymywała pani kontakty z Łobodowskim?

Chodziłam tam, gdzie wiedziałam, że ich spotkam do jednej czy drugiej restauracyjki, gdzie jadali kolacje. Kiedy Stasio Ryłski zachorował na serce i zmarł, to zostaliśmy już tylko oboje. Prosiłam, by przychodził w dalszym ciągu do mnie. Wiedziałam, że często nic wcześniej nie jadł, tylko to, co u mnie. Normalnie chodził na posiłki do ma-

leńkiej chińskiej restauracji, gdzie mu dawano zawsze to samo, jakąś potrawę z kluseczkami, którą mu smakowała.

A stosunek do kraju?

Bardzo się interesował wszystkim, co się dzieje w Polsce. Czytał dokładnie „Kulturę” paryską, którą prenumerował, często „Tygodnik Powszechny” i „Przekrój”.

Czy były jeszcze jakieś inne spotkania?

Tak. Ksiądz Walorek zapraszał jeszcze do swego mieszkania w czwartki, co drugi czwartek.

Czy miały one charakter literacki?

Dotyczyły głównie spraw religii i wiary, ale w szerokim aspekcie społecznym i filozoficznym. Czasem pojawiały się tematy literackie i sprawy polskie. Lobo, jak zwykle, często zabierał głos, bo dużo miał do powiedzenia. Zwykle wypowiedź kończył jakąś dykteryjką. Ostatnie zebranie było siódmego kwietnia. Nic wtedy nie zapowiadało, że Łobodowski zachoruje. Wprawdzie od pewnego czasu wyglądał mizernie, mówił, że źle cię czuje. Pytałam, czy coś go boli. Mówił, że jakoś trudno mu chodzić.

Tego dnia przyjechaliśmy razem taksówką. Zawsze braliśmy wspólnie taksówkę, bo to taniej, a mieszkaliśmy blisko siebie. Bardzo przyjemnie bawiliśmy się tego wieczoru. Potem wróciłam z nim do domu. Ja wysiadłam wcześniej przy swoim domu, a on jeszcze jechał jeden blok dalej. Rozstaliśmy się jak zawsze i nic nie zdradzało, że następnego dnia będzie miał dużą gorączkę. Ledwie się dowiedział do tego baru, gdzie zawsze siedział. Przyszedł tam już bardzo słaby, ledwo szedł. Właściciele baru, którzy się już z nim bardzo zaprzyjaźnili, zatelefonowali zaraz do mieszkania Tylków. Pana Kazimierza nie było w domu, bo był w biurze. Jego żona przybiegła zaraz z synem i zobaczyła, że on już prawie omdlewa. Niemal przemocą zabrali go taksówką do szpitala. Nie chciał jechać. Wzbraniał się. Jakoś mu wreszcie wyperswadowała, że musi jechać.

Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności był to piątek, potem sobota i niedziela. We wszystkich szpitalach na całym świecie, w całej Europie przynajmniej, nikt nic w tych dniach w szpitalu nie robi. Wszyscy doktorzy znikają. Dobrą diagnozę można było otrzymać dopiero w poniedziałek. Przeprowadzono analizy. Okazało się, że nerki były bardzo zniszczone. Początkowo się wydawało, że to wszystko od nerek pochodzi, ale potem wywiązało się zapalenie płuc. Dali mu jakieś antybiotyki i zrobiło się trochę lepiej. Wstąpiła w nas otucha. Już parę razy był ciężko chory i jakoś się z tego wygrzebywał. Miał silną naturę, która przewyższała choroby. Tym razem już się to nie udało.

Po paru dniach widać było, że jest to sytuacja beznadziejna. Wezwaliśmy do szpitala księdza Walorka, który z nim rozmawiał z pół godziny. Potem go wypowiadał. Następnego dnia Łobodowski przyjął komunię świętą. Ksiądz udzielił mu ostatniego namaszczenia. Lobo jeszcze był wtedy przytomny.

Jak pani sądzi, czy samotność dokuczała Łobodowskiemu?

Nie robił wrażenia, żeby się czuł osamotniony. Trzymał się zawsze tej samej dzielnicy, w pobliżu domu Tyłków. Bar też jest w sąsiedztwie. Codzienne chodził do nich po własną pocztę. Wieczorem pan Kazimierz często przychodził do niego do baru. Popijali razem wino i komentowali aktualne wydarzenia.

Czy Łobodowski nie miał zamiaru przenieść się do Paryża albo do Londynu?

Często tam jeździł, ale przenieść się tam to nie, bo był bardzo związany z tą rodziną.

Czyli związek z rodziną Tyłków decydował, że Łobodowski pozostawał w Madrycie?

Mam wrażenie, że tak.

Czy mogłaby pani jakoś ogólnie scharakteryzować Łobodowskiego?

Podziwiałam go za jego ogromne zdolności, talent, za jego pamięć nadzwyczajną. Jeśli nie pamiętało się jakiegos

wydarzenia historycznego, to tylko do niego trzeba było iść. Był jak encyklopedia. Poza tym lubiłam go i uważałam. Akceptowałam jego trudny charakter.

Na czym polegała ta trudność charakteru?

Nie lubił, kiedy ktoś miał inne zdanie. Był czasem gwałtowny. Oстрым językiem potrafił przyciąć. Ujawniało się to nawet na zebraniach u księdza. Były tam takie osoby, które na pewno lubił, ale ostrzył sobie na nich język.

To tak, jak w jego publicystyce?

Publicystyka była głównym źródłem utrzymania. Wydał czasem jakąś książkę, ale trudno było z tego żyć. Dopiero pod koniec jego życia utworzył się w Londynie fundusz, który umożliwiał wydawanie jego książek. Dzięki temu sytuacja materialna może by się inaczej ułożyła.

Wróćmy jeszcze do ostatnich chwil poety. Czy miał jakieś życzenia? Czy mówił, by pochować jego prochy w Lublinie?

O tym mówił wcześniej przy różnych okazjach.

Czy Lublin wspominał często?

Tak, bardzo często. Opowiadał, jak się kochał w pięknych Żydóweczkach, jak dawał korepetycje w gimnazjum żeńskim.

Dużo, może nawet za dużo jest tych romanсів w cyklu powieściowym *Żywoł Józefa Zakrzewskiego*. Jak Łobodowski oceniał swą twórczość prozatorską?

Mało było o tym mowy. Myślę, że on się wyżywał przede wszystkim w poezji, nie w prozie.

Chciałem jeszcze zapytać o to ostatnie mieszkanie Łobodowskiego. Na zdjęciu widać, że byt to bardzo mały, skromny pokój. Jakies rękopisy i korespondencję chyba tam przechowywał? Czy zrobiono protokół z likwidacji tego mieszkania?

Tam nie było żadnych cennych rękopisów.

A co on ze swoimi rękopisami robił? Niszczył je?

O Józefie Łobodowskim i jego twórczości

Część rękopisów zabrał jego wydawca do Paryża. Nie wiem, może Łobodowski zniszczył inne rękopisy. Nie lubił ich przechowywać.

A korespondencja?

Przenosił się kilka razy i na pewno przy tej okazji niszczył. Przenosił się, bo miał długi w pensjonacie i musiał miejsce zmie-

niać. Ostatnio myśmy się składali, żeby przynajmniej pensjonat był zapłacony, żeby nie wisiało nad jego głową, że musi wyprowadzać się natychmiast. Książek też nie gromadził, a te, które się zebrały, w czasie przeprowadzki pozostawiał u swoich znajomych. U mnie w piwnicy też są jakieś kartony z jego książkami...

LITERATURA, MUZYKA, PLASTYKA, TEATR, FILM
NAJWAŻNIEJSZE I NAJNUDNIJSZE WYDARZENIA KULTURALNE

RADIO LUBLIN

Gości: Andrzej KOZIOŁ
Paweł LASTER
Szymon POTRZASOWSKI
Krzysztof POŁCZAK
Maciej SKRZYPIK
Barbara WYBACE
Michał Piława ZIMORSKI

POMOGA WYROBIĆ CI TWOJĄ OPINIĘ

LABORATORIUM OPINII
W KAŻDY CZWARTEK TUŻ PO 24:00
89.9MHz, 102.2MHz, 0 801 102 201, www.radio.lublin.pl

Józef Zięba Józef Łobodowski – poeta religijny

Gdyby na początku lat trzydziestych ktoś powiedział, że po śmierci Józefa Łobodowskiego zostanie wydany tomik jego religijnych wierszy, uznano by to za surrealistyczny żart. Młody poeta uchodził bowiem wówczas za czołowego w Lublinie przeciwnika Kościoła i religii katolickiej. Publikował wiersze i artykuły konfiskowane przez cenzurę za obrazę uczuć religijnych. Z tego samego powodu stawał kilka razy przed sądem, skonfiskowano tom jego wierszy *O czerwonej krwi* i usunięto z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W „Głosie Lubelskim” (z dnia 10 II 1932 r.) ks. Z. Goliński stwierdził nawet, iż „dominantą w jego postępowaniu jest nienawiść do religii i Kościoła katolickiego”.

Poeta odpowiadając na ten zarzut („Trybuna” 1952, nr 1) napisał, iż swoich tęsknot religijnych nie lokuje w poświęcanych obrazkach i medalikach ani w ciasnych kapliczkach, „Wierzę tak, jak mi podpowiedziały gwiazdy w błękitną noc, mrugając porozumiewawczo ku ziemi”.

Czas potwierdził, że należało z większą tolerancją i wyrozumiałością traktować buntującego się młodego poetę, który w sposób prowokujący występował przeciw skonwencjonalizowanym fermom życia społecznego, w tym i religii, a w rzeczywistości pozostawał w porozumieniu z mrugającymi ku ziemi gwiazdami.

Okras komunizowania i młodzięczego buntu zakończył się w roku 1935, kiedy poeta opublikował na łamach „Wiadomości Literackich” głośny artykuł *Smutne porachunki*, w którym mówił o powodach zmiany swoich dotychczasowych poglądów politycznych i przekonań ideowych. Od tego już czasu nie występował jako „jawny wróg Kościoła i religii”. W 1938 roku odbył się jego ślub z Jadwigą Kuryłło w lubelskiej katedrze.

Pierwsze dwa wiersze religijne Łobodowskiego *Modlitwa* i *Ojcze nasz* zostały opublikowane w tomie *Z dymem porażarów*, wydanym w 1941 roku w Nicei. Poeta przeżył już klęskę wrześniową i po internowaniu na terenie Węgier, przedostał się do Francji, ale wkrótce został tam aresztowany i przebywał kilka miesięcy w paryskim więzieniu. Zapewne miał wówczas wiele czasu na głębsze refleksje nad smutnym losem tułacza-emigranta. W tej trudnej sytuacji zrodziła się modlitwa o łaskę powrotu do ojczystej ziemi, lub chociaż o wątłą nadzieję, że może wnukom zapewni Bóg „zwycięstwo ducha w swobodnej ojczyźnie”.

Forma poetyckiej modlitwy jako wyraz nawiązywania zerwanych kontaktów z Bogiem oraz odradzającej się wiary, pojawi się jeszcze kilkakrotnie w jego utworach. Znamienne jest, że po wielu latach poeta powraca do modelu własnej wiary przedstawionego na łamach „Trybuny”:

*Gromami spiętrzyłeś się, rzekami przebiłeś się,
w nocy chodzisz, sine gwiazdy krzeszesz.
(Modlitwa)*

Pozostała mu te sama wrażliwość na piękno natury i wszechświata, w których odczuwał istnienie mocy Bożej. Po wielu

zmaganiach i klęskach uświadomił sobie człowieczą marność i niedoskonałość:
Chodziłem uporczywie pod górę,

Tekst niepublikowany
ze zbiorów prywatnych
dr. Józefa Zięby.

*ale wyjść na szczyt nie umiałem.
Chciałem być opoką i murem,
a w proch się rozsypałem.
(Psalm niedoskonały)*

Wreszcie doznał łaski odnalezienia wiary i Boga.

*Twoje oblicze mi objawiło się,
Twoje mroczne proroctwo stawało się.
(Modlitwa)*

Odnalezienie Boga nie oznaczało zupełnego poświęcenia się sprawom boskim, ciągle pozostawała świadomość silnego zakorzenienia w ziemi i doczesności.

*Ale nie uklękę,
nie mogę przed Tobą uklęknąć,
bom już wrósł
po kolana w ziemię.
(Psalm niedoskonały)*

Szuka innej drogi dojścia i znajduje ją w upokorzeniu się i rachunku sumienia. *Rachunek sumienia*, to tytuł utworu i ostatniego sporządzonego przez poetę wyboru własnych wierszy. Tom ten traktował zapewne jako generalną spowiedź z długiego i niełatwego życia:

*Teraz siedzisz przy ognisku zagasłym i patrzysz,
przesypujesz popiół w dłoni, przesiewasz,
zastanawiasz się, czemu nie jest inaczej.
(Rachunek sumienia)*

Refleksja nad kończącym się życiem zawiera uczucie bezradności:

*I nie przejdę zakazanych granic,
nie dołączę,
nie umiem,
nie potrafię.
(Rachunek sumienia)*

Tego poetyckiego wyznania nie należy jednak odczytywać jako uczucia wątplenia. Jest to wołanie o Bożą pomoc na czas ostatniej próby, kiedy już sam człowiek nic nie potrafi uczynić.

Z tych pobieżnych analiz poetyckich modlitw Łobodowskiego wyłania się bohater o głębokich przeżyciach religijnych, który dochodzi do Boga własnymi, nie zawsze prostymi ścieżkami. Świadom jest człowieczej niedoskonałości i wynikających stąd własnych upadków,

ale także uzyskanej łaski, która pozwala odzyskać utraconą wiarę i nawiązać kontakt z Bogiem.

Na tych podstawach należy rozpatrywać pozostałe utwory religijne Józefa Łobodowskiego. Nie jest ich wiele, ale towarzyszą niemal całej twórczości poetyckiej autora *Rachunku sumienia*. Wśród nich na osobną uwagę zasługuje cykl wierszy maryjnych. Powstawały w różnych okresach i przy różnych okazjach. Bardziej niż poetyckie modlitwy

osadzone są w tradycji literackiej. Poeta uważał się za kontynuatora romantycznej szkoły ukraińskiej. Spóźnionego romantyka fascynował Wschód i bezkresne stepy Ukrainy. Problematyce tej poświęcił wiele utworów. Nie może więc dziwić, że jego wiersze religijne zasiedlają bizantyjskie Madonny: Paczajowska, Ostrobramska, z Ławry Paczarskiej kijowska, a także Częstochowska. W poemacie *Pochwała szorstkiej mowy* układa poetkę litanie, w której przywołuje polskie cudowne obrazy maryjne: z kaszubskiego Sważewa, z Ludzimierza, Jazłowiecką, Gidelską, z Piekar i Kodnia. Wszystkie one są orędowniczkami i patronkami polskiej ziemi, a emigracyjnym rozbitkom zza oceanów ma patronować Stella Maris (Gwiazda Morza). Wszystkie te wschodnie i zachodnie Madonny zlewają się w jedną postać Matki Bolesnej, współcierpiącej z całym ludem Rzeczypospolitej.

W utworze *Stabat Mater* poeta odwrócił wymiary boski i ludzki. Bolesnymi Madonnami stają się w tym wierszu cierpiące ziemskie matki spod murów więziennych. Jest to fragment wyjęty z poematu poświęconego rosyjskiej poetce Annie Achmatowej, która w stalinowskich więzieniach i obozach straciła męża i syna. Wraz z setkami innych kobiet całymi godzinami wyczekiwała pod więzienną bramą prosząc o łaskę przekazania swym najbliższym listu, czy żywnościowej paczki. Według poety okrutność tego przeżycia przekraczała cierpienia Matki Boskiej pod krzyżem, która mogła pochwalić umęczone ciało swego Syna i zachowała nadzieję i wiarę w Jego Zmartwychwstanie. Współczesne matki bolesne nie znały ani czasu, ani miejsca śmierci swoich najbliższych. Nie mogły mieć też żadnej nadziei. Z tego powodu poetka, która jest ucieleśnieniem wszystkich cierpiących matek, prosi w modlitwie o łaskę utraty zmysłów, by oderwać się od koszmaru okrutnej rzeczywistości.

Innym hołdem dla cierpienia i prześladowań, tym razem religijnych, jest *Tryptyk o zamordowanym Kościele*. Utwór ten poświęcił poeta tragicznym losom ukraińskiego kościoła katolickiego oraz jego wiernym duszpasterzom. We współczesnej poezji polskiej jest to chyba jedyny wiersz podejmujący tę bolesną problematykę. Nabiera specjalnej aktualności w okresie niedawnych obchodów tysiąclecia chrztu Rusi.

Kantatą na intronizację Jana Pawła II i Kolędą dla Papieża włącza się Łobodowski w chór radości i dumy Polaków, i tych w kraju, i rozproszonych po całym świecie, na wieść o obiorze Rodaka na stolicę Piotrową.

Znalazła się jeszcze wśród utworów religijnych Łobodowskiego stylizowana na prymitywny sposób ludowa pastorałka. Pochodzi ze wspomnianego już poematu *Pochwała szorstkiej mowy*. Złożył w niej poeta hołd szczerzej ludowej wierze wyrażanej nieudolnie, prymitywnie, ale prawdziwie. Jest to utwór jakby wyjęty z dawno zapomnianej kantyczki. Przypomina też Pastorałki Tytusa Czyżewskiego.

Tomik zamyka utwór o motywie zaczerpniętym ze Starego Testamentu. Żona Lota, jest traktowana jako uosobienie losu wygnańca, który gotów jest poświęcić całe swoje życie za jedno spojrzenie na utraconą ojczyznę. Utwór ten przepełniony melancholią i smutkiem wyraża dramat poety-emigranta i jego współtowarzyszy, pozbawionych możliwości powrotu do ojczystego kraju. Kończy się jakże tragicznie brzmiącym przesłaniem skierowanym do całego polskiego wychodźstwa.

*Módlcie się o śmierć równie piękną
śmierć
za cenę ostatniego spojrzenia.
(Żona Lota)*

Poeta wiedział, że to ostatnie spojrzenie na utraconą ojczyznę nie będzie mu już dane. Zmarł 18 kwietnia 1988 roku

w Madrycie. Gestem na miarę spojrzenia żony Lota była prośba skierowana do przyjaciół, by po śmierci ciało jego poddano kremacji, a prochy przesłano do Lublina i pochowano w grobie obok matki. Jego wola została spełniona w dniu 22 października 1988 roku. Pogrzeb prochów poety miał szczególną wymowę. Mszę świętą za spokój duszy niegdyś relegowanego studenta odprowadził w kościele akademickim KUL rektor tej Uczelni ks. bp Jan Śrutwa, kondukt pogrzebowy na cmentarzu prowadził ks. bp. Piotr Hemperek. W ten sposób

dopełniła się doczesna droga człowieka i poety, pełna ostrych zwrotów i zakrętów, ale w końcu doprowadzająca do celu. Pozostało po nim kilkanaście tomów wierszy, dwie wielotomowe powieści i często kontrowersyjna, pełna pasji w dociekaniu do prawdy publicystyka. Z tego bogatego dorobku wybraliśmy garść utworów religijnych. Poeta nie zdążył ich osobiście zgromadzić w osobnym tomie. Czynimy to jakby w jego imieniu upamiętniając w ten sposób osiemdziesiąt rocznicę jego urodzin.

Rozmowa z Adamem Tomankiem

Rozmowa z Adamem Tomankiem, 22 września 2008. Nagrywał: Marek Nawratowicz. Archiwum TNN. Całość relacji dostępna na stronie www.historiamowiona.tnn.pl.

Grono przyjaciół

Miał wielu przyjaciół literatów rosyjskich, ale przede wszystkim ukraińskich, do tego stopnia, że na pewnym spotkaniu w Lublinie, gdzie była większość Ukraińców, powiedzieli, że on był pochodzenia ukraińskiego. Z wieloma osobami się przyjaźnił: z Józefem Czechowiczem, z Czuchnowskim, z Wójcikiem, z Podstawką. Przychodzili na Chopina często, rozmawiali, dysputy prowadzili.

Przed wojną, widziałem Łobodowskiego w trzydziestym dziewiątym roku, tuż przed wrześniem, przyjechał z Warszawy, zagnał się z matką swoją, z siostrą, czyli moją matką, ze mną i mówił, że idzie na front, bo dostał kartę mobilizacyjną do wojska. I już potem nie wrócił.

Problemy finansowe Łobodowskiego

Były sytuacje, jak prowadził tą gazetę w Lublinie - często brakowało pieniędzy, gazeta nie była dochodowa. Bywało, że nie miał za co zapłacić zecerom,

drukarzom. I na Chopina pamiętam, jak przychodzili zecerzy do babci i mówili: „Czy jest Pan Józef?” – „Nie, nie ma.” A on się chował za piec w drugim pokoju. Ja to widziałem. Mówił: „Bo ja im jestem winien pieniądze.” No to jak? To pewnie odda, może dzisiaj nie ma, to jutro odda. O takie były rozmowy. A on później do babci mówi: „No, nie mam pieniędzy. Skąd ja im wezmę te pieniądze? No muszę wziąć, oczywiście. Pracowali i muszą dostać!” Ale on swoje pieniądze wkładał i rodziny pieniądze wkładał na tą gazetę. Wreszcie ta gazeta splajtowała, zbankrutowała.

Pogrzeb na Lipowej

Na jego pogrzebie dwóch biskupów było, dziesięciu księży, piechotę orszak, było z pięćdziesiąt osób – może jacyś literaci, tam znajomi jeszcze się znaleźli, przeszli Skłodowskiej ulicą jeszcze tutaj na cmentarz przy ulicy Lipowej. Byłem – uczestniczyłem w tym pogrzebie. Tłumu nie było – nieznanym był przecież. Odbyla się ta skromna uroczystość po-
żegnałna.

Florian Śmieja Józef Łobodowski o sobie i swojej poezji

Do zasadniczych źródeł naszej wiedzy o Józefie Łobodowskim (1909-1988) oprócz jego pism należy również zaliczyć jego wypowiedzi ustne. Udało mi się taką zdobyć w czerwcu 1989 w Madrycie od jego wieloletniego przyjaciela i gospodarza Kazimierza Tylko. Jest to godzinna taśma magnetofonowa nagrana przez nich 31 stycznia 1982 roku, kiedy poeta znalazł się bez pieniędzy, a zapragnął pojechać na ulubioną plażę do Gandii nad Morze Śródziemne. Łobodowski opowiedział o swojej twórczości i przeczytał szereg wybranych przez siebie utworów. Sprzedał kilkanaście tych taśm i na wakacje pojechał. Jednocześnie potomnym zostawił odautorskie komentarze i próbki recytacji, poświadczając tym, że był poetą o dużym dorobku, lecz i o niespełnionych zapowiedziach.

Ponieważ taśma jest dość ekskluzywnym i mało elastycznym medium, spisałem jej treść (zaznaczając jedynie czytane poezje) celem zapoznania miłośników poezji Józefa Łobodowskiego z tym, jak sądzię, ważnym dokumentem.

Józef Łobodowski: Wiersze zacząłem pisać mając dwanaście lat. Oczywiście, nie była to jeszcze poezja, były to pierwsze, nieudolne wprawki. Cztery tomy wierszy wydane między rokiem 1929 i 1932 uznałem z czasem za grzechy młodości i wyłączyłem je z mojej bibliografii. Wyjątek uczyniłem tylko dla paru wierszy, które dodałem do pierwszej książki, jaką uznałem za dostatecznie dojrzałą pt. *Rozmowa z ojczyzną*. Wiersz pt. *Piłsudski* został w Lublinie skonfiskowany. Ale sędzia konfiskatę uchylił, wychodząc z założenia, co niektórych zdumiało, iż chodzi o rzecz patriotyczną. Mianowicie domaganie się polskiej rewolucji szło po linii starego polskiego hasła „Niepodległość i sprawiedliwość społeczna”. Oto wiersz napisany jeszcze w roku 1931:

Oto są ręce [...] krwią wasze imię wypisujemy na tarczach

W latach trzydziestych zrobił się w młodej poezji polskiej nurt nazwany następnie katastroficznym. Już po wojnie autorstwo przyznano głównie poetom wileńskim z grupy „Żagary” i „Pion” Jerzemu Zagórskiemu i Czesławowi Mi-

łoszowi. Nie jest to zbyt dokładne. Oto mój wiersz typowo katastroficzny napisany u schyłku roku 1931 pod tytułem *Ostateczne*. Cytuję z niego drugą część:

Ciemne są nasze mieszkania [...] na twarz konającym łądom.

Przyszła wojna, która przecięła życie nas wszystkich na dwie nie przystające do siebie części. W lutym 1940 roku w Paryżu, dokąd dostałem się po odbyciu kampanii wrześniowej w 10 Brygadzie Kawalerii Zmotoryzowanej, napisałem wiersz pt. *Ziemia*. Włączyłem go później do tomu *Z dymem pożarów*, który ukazał się w roku 1941 nakładem niemieckiej Oficyny Samuela Tyszkiewicza:

Ziemió, ojczyzno moja [...] Ziemió.

W roku 1954 ukazał się w Paryżu tom pt. *Złota Hramota*, zawierający utwory o tematyce ukraińskiej. Niektórzy krytycy uznali, że jest to późne przedłużenie szkoły ukraińskiej, ważnego nurtu w poezji polskiej, romantycznej, reprezentowanego takimi nazwiskami, jak Małczewski, Goszczyński, Zaleski, ale nade wszystko Juliusz Słowacki. Wiersze

„Odra” 1991, nr 4, s. 63-65. Wstęp – Florian Śmieja. Dalsze wypowiedzi Józefa Łobodowskiego pochodzą z wytaśmy magnetofonowej spisał Florian Śmieja. Skróty pochodzą pod autora.

O Józefie Łobodowskim i jego twórczości

w tym tomie zawarte powstawały przed wojną, podczas wojny i w latach następnych. Oto zakończenie cyklu *Dumy wołyńskie*:

Za dziewięciu górami [...] i serce grzeje.

Tom kończy się krótkim wierszem o charakterze wbrew poniesionej klęsce zdecydowanie optymistycznym:

Tak nas upiory [...] że moje pieśni ciebie nie zdradziły.

Bezpośrednim nawiązaniem do poezji Słowackiego jest wiersz pt. *Pani Salomea* poświęcony matce wielkiego krzemienieckiego poety:

Suchy szelest jedwabiu [...] że polną wędruje miedzą uśmiechnięta szlachecka madonna.

Osobny i dość intensywny nurt w mojej twórczości stanowi tematyka wschodnia: arabska, a także perska i azerbejdżańska. Mieszkając przez tyle lat w Hiszpanii natrafiłem na średniowieczną poezję al-Andalusu, czyli lirykę Arabów hiszpańskich. Wydany w roku 1961 tomik *Kasydy i gazyli* oparty został na motywach tej właśnie poezji. Dla przykładu *Gazela białym wierszem*. Jest to erotyk, którego obrazowanie zostało wzięte od tamtych średniowiecznych Arabów:

Chciałbym otworzyć kindżałem [...] którym płonę.

Z kolei przyszło zainteresowanie poezją innych wschodnich mahometańskich narodów: Persów i Turków Azerbejdżańskich. Wiersze o tej tematyce nie zostały jeszcze wydane w osobnej książce. Drukowałem je w obszernym wyborze w czasopiśmie emigracyjnych, głównie w nie istniejących już londyńskich „Wiadomościach”. Znowu, tytułem przykładu, *Gazela dla trzynastoletniej*:

Łatwiej chwalić kształt już [...] dla najmłodszej, dla trzynastoletniej.

Długi, bo grubo ponad trzydzieści lat trwający pobyt w Hiszpanii naturalnie musiał także wyrazić się szeregiem wierszy, a nawet dłuższych poematów. Hiszpański pejzaż i kultura, hiszpański folklor i wszystkie inne aspekty tutejszego życia musiały odzwierciedlić się w mojej poezji. Węć oto wiersz pt. *Fandango*, jeden z poświęconych tańcom hiszpańskim:

Smagłej nocy [...] bom nie umiał zatańczyć fandango.

Jednym z najwybitniejszych autorów poetyckiego odrodzenia w Hiszpanii w latach dwudziestych i trzydziestych bieżącego wieku był niewątpliwie granadyjczyk, Federico Garcia Lorca. Zginął na początku wojny domowej, która wybuchła w lipcu 1936 roku. Była to, jak się zdaje, zemsta osobista, ale od razu propaganda republikańska nadała tej tragicznej śmierci charakter polityczny. Byłem pierwszym chronologicznie polskim tłumaczem utworów autora romancy cygańskich i wkrótce napisałem wiersz pt. *Elegia na Federica Lorke*. Każdy, kto zna jego poezję, zorientuje się bez trudu, że starałem się dostosować metafory tego utworu do używanych przez Lorcę, biorąc od niego gotowe zwroty i elementy poetyckie:

Nim księżyc za górami [...] podaje szklankę koniakowi.

Naturalnie nie mogłem przejść obojętnie koło arcydzieł hiszpańskiego malarstwa, zwłaszcza zafascynowały mnie płótna El Greca i Goyi. Ten pierwszy zostawił po sobie, prócz obrazów o treści religijnej, także inne, m.in. wspaniałe pejzaże przedstawiające niebo podczas burzy nad Toledo. W nim na trzysta lat przed narodzeniem się francuskiego im-

presjonizmu dał pejzaż zdecydowanie impresjonistyczny. A więc wiersz pt. *Burza nad Toledo*:

*Chmury świetliste [...] trwa jak pioru-
nochron.*

Mam w szufladzie nie wydany jeszcze poemat *Słowo o koniach*. Pisany i poprawiany na przestrzeni wielu lat poemat ten przedstawia końską mitologię, współżycie z człowiekiem, konie w różnych sytuacjach: przy pracy, w pokoju i na wojnie. Podaję fragment pt. *Na konie pomordowane*:

Przyjdą inni poeci [...] niechaj po śmierci im świeci.

Dawniej w mojej poezji rzadko zjawiały się polskie motywy ludowe. Obecnie coraz częściej. Oto z poematu *Pochwała szorstkiej mowy* włączony do tomu *W połowie wędrówki*, wydanego w Londynie w roku 1972 dwa fragmenty tego rodzaju. Najpierw próba ludowej kolędy oparta na motywach wziętych z lubelskiego folkloru:

Kiedy u na mróz [...] oj dyli dyli.

I wreszcie dalszy fragment z tego samego poematu *Pochwała szorstkiej mowy*, pisanego przed kilkunastu laty w Mardrycie:

Diabli wiedźmie rudy [...] pod ten nocny wiatr.

Jak dotychczas, nie zacytowałem żadnego wiersza, który by wychodził na przeciw trudnym zagadnieniom doby, w jakiej żyjemy, a napisałem takich wierszy wiele. Oto jeden z nich opłakujący w metaforycznej formie upadek Europy Zachodniej. Przeniosłem akcję do starego Rzymu, ale rzecz dzieje się za naszych czasów. Tytuł wiersza: *Europa 1971*:

Nad Rzymem rudy zachód [...] muszą zginąć z głodu.

Prawie cały poemat *Ballada lubelska* został poświęcony tragedii naszych czasów, a głównie dramatowi, jaki przeżywa naród polski. Oto odpowiednie fragmenty tego poematu pisanego pod koniec lat sześćdziesiątych:

Księżyc w chmurach toporem [...] padną w gruzach mury Jerycha.

Jedną z głównych cech każdej poezji emigracyjnej jest tęsknota za utraconym krajem rodzinnym. Ale wraz ze zrozumiałą tęsknotą idzie samo utwierdzenie się w swojej postawie, choćby to miało jeszcze zwiększyć bezbronną gorycz wygnania. Więc oto wiersz *Zadymka* należący do takiego emigracyjnego cyklu:

Zadymka wyglądała [...] i ona mi usta przysypie.

Emigracja sprzyja ciągłemu czynieniu rachunku sumienia. Motywy religijne w mojej poezji z rzadka tylko występują w czystej postaci. Wyjątkiem jest ostatni wydany tom wierszy, wspomniany już *W połowie wędrówki*, w którym ponad 20 stron poświęciłem tematyce religijnej. A więc wiersz pt. *Modlitwa*:

Górami spiętrzyłeś się [...] Twój miecz obiecywany.

Od szeregu lat spędzam miesiące letnie na plaży koło portu rybackiego Gro de Gandia nad Morzem Śródziemnym, które starożytni nazywali naszym morzem, Mare

Nostrum. Powstał tam obszerne cykl wierszy właśnie pod tym tytułem *Mare Nostrum*. Oto wstępny wiersz uzasadniający ów tytuł:

Te wiersze dedykuję [...] z Mare Nostrum.

O Józefie Łobodowskim i jego twórczości

Nie muszę dodawać, że chodzi o twórczość wielkiego poety polskiego Jana z Czarnolasu Kochanowskiego.

Wielu moich krewnych i przyjaciół zginęło podczas minionej wojny i pod dwiema okupacjami. Wiersz pt. *Poległemu* nie ma na myśli konkretnie jednego z nich. Jest to adres ogólny.

Płomień opadł [...] przez mękę nie odkupieni.

Powiedziałem, że to będzie ostatni wiersz. Okazuje się, że jeszcze jest czas. Jeszcze jeden wiersz, w którym motywy religijne splotły się z politycznymi. Przy okazji użyłem w tym wierszu szeregu starych słów, które wyszły z powszechnego użycia i zachowały się jedynie tu i ówdzie wśród chłopów, głównie w Lubelszczyźnie i Kielecczyźnie, np. gromnicznik to nazwa miesiąca lutego, drzewa zimostradne to drzewa iglaste, którym zima nie strąca igieł, śniegułki zaś to drobne ptaszki lubiące tarzać się w śniegu. Wiersz pt. *Gromniczna*:

Śniegami zaniósł [...] skoczcie naszym wrogom do krtani.

Parokrotnie wymieniałem tytuł mego ostatniego tomu wydanego w roku 1972 w Londynie pt. *W połowie wędrówki*. Gdy już tom wyszedł, miałem dobrze przekroczoną sześćdziesiątkę. Czy to oznaczało, że wybieram się żyć ponad 120 lat? Oczywiście, że nie. W posłowniu do książki wyjaśniłem sprawę. Powtarzam to wyjaśnienie. Po prostu wydaje mi się, pisałem w owym posłaniu, ba, często jestem całkowicie pewny, że jeżeli pożyję jeszcze kilkanaście lat, zdobędę się na znacznie większe osiągnięcia poetyckie niż dotychczas. Czas pokaże, czy właściwie oceniam swoje możliwości, czy też to tylko optymistyczne złudzenia. Na wszelki wypadek, i by samemu sobie dodać otuchy, ten tytuł. Nie w połowie drogi życiowej, lecz w połowie drogi poetyckiej. Tak należy go rozumieć.

Józef Łobodowski

NA WŁASNĄ ŚMIERĆ

Na obcej ziemi boję się umierać.

*Bez lęku spotkam śmierć ojczyznę,
śmierć na ziemi, co mych prochów nie rozgubi.
Tam się oddam szalejącym łiciom,
zamienię się w goryczkę i łubin...
Żeby mi lubelskie, cmentarne słowiki
zanosiły się co noc miłośnym krzykiem;
żebym wiedział, w ciepłą wstulony barwinę,
żem jest dla niej nie przybłądą, nie gościem,
lecz synem;*

Treść zaproszenia na uroczystości pogrzebowe Józefa Łobodowskiego. Ze zbiorów Józefa Zięby.

Jadwiga Sawicka Osobna droga

Z biografii autora *Rozmowy z Ojczyzną* można by stworzyć kilka życiorysów, w tak wielu bowiem różnorodnych i trudnych dramatach naszych czasów był Łobodowski protagonistą. Od początku drogi twórczej jego wybory i konwersje były przedmiotem podejrzeń, oskarżeń i sporów. Uczynił wiele, żeby zbiorowość przeciw sobie nastawić, wzburzyć opinię. A robił to spektakularnie, dramatycznie, niemal histerycznie.

Jako chłopiec przeżył rewolucję w Rosji – w Moskwie i na Kaukazie. Wrócił, niczym Baryka, nasiąknięty ideami skrajnie rewolucyjnymi, gorszył Lublin tomikami poetyckimi konfiskowanym przez prokuraturę, pismami lewicowymi, które wydawał. „Dążył – jak brzmiało jedno z oskarżeń – do przekształcenia życia na wzór bolszewicki”. Był bohaterem kilku procesów politycznych. Władze skazywały go na kary więzienia, które przyjaciel prawnik zamieniał na wyroki z zawieszeniem. Prowokująca postawa spowodowała relegowanie go z KUL-u w roku 1932. Niezmiernie burzliwy i dramatyczny przebieg miała jego służba w podchorążówce w Równem wołyńskim; zakończona próbą samobójstwa.

W 1935 roku Łobodowski manifestacyjnie zrywa z komunizmem. Po latach napisał o przyczynach swego „odstępstwa”. „Dochodziły mnie słuchy o tym co działo się na Ukrainie w strasznych głodowych latach 1932-1933.” Niepokoił rosnący terror w Rosji Sowieckiej, narzucany „postulat realizmu socjalistycznego, sprezentowany lekką ręką Maksyma Gorkiego, tuż przed śmiercią, która niejednemu wydała się podejrzana.” Mnożyły się wątpliwości do rzeczywistej przyczyny samobójstwa

Majakowskiego, Jesienina, Chwylowego. Odpychał poetę dogmatyzm polskich komunistów.

Poetyckim świadectwem tych wątpliwości i rozterek był tom poetycki *Rozmowa z Ojczyzną*. Tytuły wierszy: *Ojczyzna, Piłsudski, Do bolszewików, Słowo o Dzierżyńskim* – wskazują na zespół podejmowanych tematów. Zrozumiałe, że Łobodowski stał się pisarzem najbardziej atakowanym przez komunistów. Szenwald oskarżał go oto, że „próbował wnieść w szeregi radykalizujących pisarzy zamęt ideologiczny, próbował zdobyć ich dla faszyzmu”. Wasilewska nazwała go „nacjonalistycznym agentem w służbie faszyzmu”. To określenie okazało się zadziwiająco pojemne i trwałe. Chętnie używano go po wojnie, gdyż mogło zastąpić wszelkie argumenty. Publiczność czytająca, nie znająca poety, nie mogła go zweryfikować.

Po zerwaniu z lewicą Łobodowski nie uznający roli klerka, oświadczył publicznie, że chce być wolnym człowiekiem na wolnej ziemi i nie boi się określenia „anarchista”. Ideologii przeciwstawił odtąd własną odpowiedzialność moralną za sprawę, w jego pojęciu ważną.

Pierwszym poetyckim znakiem anarchistycznego pojmowania wolności był wiersz *Koń atamana Łobody*. Los zbuntowanego Kozaka, cwał koma, nocny step – to odtąd figury wolności w poezji Łobodowskiego. Wiersz ten stanowi także świadectwo fascynacji Ukrainą i jej wiecznym dążeniem do swobody. Sprawa Ukrainy stała się w twórczości autora *Złotej hramoty*, „równaniem serca i honoru” a poeta jej żarliwym orędownikiem, obrońcą swobód, rzecznikiem niezależności kulturalnej i politycznej Ukraińców. Usiłował jakby

Osobna droga, „Tygodnik Literacki” nr 3, 20 stycznia 1991, s. 6.

przekreślić złą historię wzajemnych stosunków naszych narodów, zmasać winy polskie i ukraińskie.

Ukraina była jednak dla Łobodowskiego przede wszystkim, miejscem poezjo-twórczym, mitycznym rajem ziemskim stanowiła ważny komponent programu poetyckiego. *Autor Złotej hramoty* tworzy poetycki topos dawnej szczęśliwej krainy, ziemi obiecanej. Tworzy go na przekór historii, przeciw „złym dziejom”, które uczyniły z Ukrainy kraj zniewolony. Jednocześnie poeta ma świadomość istnienia tu sprzeczności nie do pogodzenia, świadomość własnej dwoistości. Wiedza o zaplątaniu krwawego węzła w losach polskich i kozackich łączy się z zauroczeniem Dnieprem. W problemach tych daje się odczytać dziedzictwo romantycznej szkoły ukraińskiej. Rozdwojony, samotny zbuntowany bohater utworów

Łobodowskiego jest spadkobiercą Malczewskiego i Gósczyńskiego, Słowackiego...

„... na tej ziemi wieczyście zostanę, stać będę w sinym stepie nad jakimś kurhanem postać stróżującego przybrawszy żurawia”.

Łobodowski był poetą związanym z kulturowymi źródłami śródziemnomorskimi, zainteresowanym wielością i różnorodnością tych źródeł, czerpał z nich poetycko pełnymi garściami. Był jednocześnie głęboko zainteresowany Wschodem. „Hellada scytyjska” – jak nazywał Ukrainę – mogła dzięki związkowi z kulturą grecką stać się owym przysłowowym pomostem – łączącym Rzym z Bizancjum. Ukraina jednak straciła pamięć swoich związków

kulturowych, niewola odebrała jej świadomość minionej wielkości.

Łobodowski zainteresował się również kulturą Rosji. Tłumaczył poetów ukraińskich, rosyjskich, białoruskich. Był redaktorem kilku antologii, autorem wierszy o Majakowskim, Pasternaku, Achmatowej, pierwszym polskim tłumaczem

Requiem. W wierszu *Intelektualistom zachodnim* pisał: „Gdzieście byli, coście robili, gdy rozstrzeliwano Gumilowa, gdy obłąkany Mandelsztam zdychał w syberyjskim łągrze”. Scytyjskość Łobodowskiego stanowiła z pewnością prowokację wobec Zachodu, ale była także znakiem czasu kryzysu wartości. Katastrofizm poety znajduje wyraz w dynamicznych ciemnych obrazach Ukrainy.

W czasie wojny po wielu perypetiach, znalazł się Łobodowski w Hiszpanii – kraju, w którym krzyżują się wpływy kulturowe. Nazwał ją poeta „tygłem kultur”. Hiszpania, jej przyroda i folklor stają się tematem wielu wierszy. Zainteresowały Łobodowskiego kasydy i gazele pochodzące z poezji arabskiej, które zadomowiły się w ludowej twórczości hiszpańskiej. Do poezji wysokiej przeniósł je Federico Garcia Lorca. Zafascynowany, osobowością hiszpańskiego poety pisze wiersz o jego życiu i okrutnej śmierci, tworzy na kanwie jego utworów własne kasydy i gazele.

Łobodowski nie przyjął tradycyjnej roli poety-emigranta, jego droga była osobna. Poetycka strategia pozwalała mu na włączanie w obręb własnej poezji elementów różnych kultur, co dało jej całkowicie odrębny koloryt. Towarzyszy jednak temu poczucie tragicznego osamotnienia. Nostalgia objawia się jako tęsknota za małą ojczyzną – Lubelszczyzną, przechowywaną w zmysłowej pamięci poety. O specyficzności uczuć do rodzinnego miasta mówi jeden z piękniejszych wierszy Łobodowskiego *Żona Lota*:

*Obejrzała się ogarnęła wzrokiem
skazane miasto,
zamknęła w pamięci,
jak skąpiec swój skarb w ciężkiej skrzyni,
zatrzasnęła ją powiekami
i skamieniała.*

Rodzinne miasto przyjęło popioły poety. Uroczystości pogrzebowe odby-

ły się w Kościele Akademickim KUL-u. I tak uczelnia ta po latach „naprawiła swoją winę wobec wychowanka”. Zaczęły ją „naprawiać” również instytucje kulturalne, wydawnictwa. Poezja Łobodowskiego przynosi tyle tematów, że można z niej stworzyć wiele różnych wyborów poetyckich. Dostępne obecnie na rynku trzy tomy dają różne odpowiedzi na pytanie o oś krystalizacyjną tej twórczości. Różne koncepcje i preferencje powodują, że tomy te uzupełniają się bardzo szczęśliwie. Najwcześniejszy (1987 rok) to wybór dokonany przez samego poetę [wydany w Paryżu – przyp. red. „Scriptores”]. W *Rachunku sumienia* Łobodowski odrzuca swe wiersze przedwojenne (podobnie jak w latach trzydziestych odrzucił swe juvenilia). Akcent pada tu na dwie poetyckie przesłanki: Ukrainę i Hiszpanię. Jest także trochę liryków religijnych, erotyków i wierszy okolicznościowych, ale wyodrębniające się wyraźnie te dwie całości potwierdzają trwałość pasji poetyckich Łobodowskiego. Tom skonstruowany

przez Jerzego Świącha, *List do kraju*, (Lublin 1989), to wybór indywidualny wierszy najlepszych (dokonany przez znawcę współczesnej poezji). Dominantę stanowi tematyka moralna, nostalgiczna; twórca wyboru podkreśla utrwalaony w tych wierszach tragizm. Motywy śmierci, niespełnienia, tęsknoty górują nad innymi. To tom bardzo piękny, wybór bardzo subiektywny. Odmienny, bardziej historyczno-literacki charakter ma tom skomponowany przez Józefa Ziembę, opatrzony neutralnym tytułem *Poezje* (Lublin 1990), Dla kogoś, kto po raz pierwszy styka się z wierszami Łobodowskiego, jest to może tom najlepszy, który daje przekrój przez całą twórczość, łącznie z juveniliami.

Można już teraz pokusić się o wstępne próby określenia miejsca Łobodowskiego na mapie poetyckiej, zarówno dwudziestolecia międzywojennego jak i poezji emigracyjnej, o próby formuł syntetyzujących. Może wreszcie czytelnik również naprawić swoją winę wobec poety – winę nieczytania.

Wypowiedź Wandy Tomankowej

Wanda Tomankowa: Nie wszyscy go rozumieli, ja także nie bardzo go rozumiałam, chociaż jestem jego rodzoną siostrą. Mogę powiedzieć, że byłam jego nauczycielką. Ponieważ między nami są cztery lata różnicy (a w Rosji idąc do pierwszej klasy gimnazjalnej, trzeba było mieć dziesięć lat), więc ja byłam już mniej więcej w trzeciej klasie i szykowałam go do pierwszej klasy. To było takie potulne chłopię, takie kochane – i tak siedząc naprzeciwko mnie, miał takie duże oczy, siwo-szafirowe, i tak się we mnie wpatrywał z ubóstwieniem. A ja, jako surowa nauczycielka, pamiętam

miałam linijkę zawsze przy sobie i stuknęłam tą linijką.

Kiedyś z wielkim przerażeniem zorientowałam się, że ten chłopak więcej ode mnie wie z literatury i tak dalej, w ogóle, że on wie! Okazało się, że on znakomicie wie – kiedyś miałam jakiś problem przygotowując się do lekcji i on przyszedł, i mi podpowiedział. Bo ten chłopak, to cały czas czytał. My mieliśmy mieszkanie wiejskie wtedy. Tam była biblioteka, bardzo piękna i on tam wszystkie te książki czytał. On historię rosyjską – i nie tylko rosyjską, także innych krajów – to wszystko znał świetnie już jako mały chłopiec.

Audycja Marii Brzezińskiej *Poeta grozy i szczęścia* – Józef Łobodowski, Radio Lublin, 1981.

Jerzy Świąch Rachunek sumienia emigranta

Jerzy Świąch, *Nowoczesność: szkice o literaturze polskiej XX wieku*, Warszawa 2006, s. 144-149.

Nazwa „wygnaniec” przechowała coś ze swego pierwotnego nacechowania: kary za wykroczenie przeciwko obowiązującemu prawu. *Exul*, to znaczy „banita”, woła władcy lub prawomocnego wyroku był skazany na wypędzenie z kraju, by nie stanowić zagrożenia dla ładu społecznego. W głębi wygnania czai się poczucie niejasnej winy i zgoda na karę. Tragiczni wygnańcy XX wieku byli winnymi bez winy, ofiarami przemocy, która bynajmniej nie troszczyła się o uprawnienie swoich wyroków, nigdy jednak, nawet w tych straszliwych czasach, nie stracił na znaczeniu Trybunał, który rozsądza rozmiar winy, jaka stała się udziałem obecnego banity, dlatego emigrant jest tak skory do rachunku sumienia, wciąż gotowy odpokutować za grzechy, które stały się przyczyną jego nieszczęścia.

Oto utwór wyrosły z nostalgii za krainą młodości, jedynym miejscem na ziemi, gdzie, jak pisał wieszcz w epilogu do *Pana Tadeusza*, „jest trochę szczęścia dla Polaka”. *Ballada lubelska* Józefa Łobodowskiego wskrzesza rewolucyjną, „rebeliancką” młodość bohatera w mieście, w którym poeta przed laty zadebiutował¹. Lublin, jak inne miasta emigrantów², przechował się jako aradia wywołująca po latach nieodmiennie sentyment skojarzony z melancholią. To Itaka, do której po trudach wędrówki, w połowie drogi, rad by w końcu zawinąć strudzony Odyseusz³. Nie zazna spokoju, kto młodym spojrział „w źrenice trwogi”, nie zakosztował smaku „zwalonej wiary”. Odtąd wszystko będzie budzić przerażenie i rozpacz, nie będzie zwycięstwa po pustce wiary, jakiej doświadczył młody człowiek. „Rebeliancka” młodość przynosi ocenę,

która następnie rozciągnie się na całe życie autora: „Czyny zbyt pośpieszne, zbyt gorączkowe dzieła”.

Intencja jaka przyświeca Łobodowskiemu we fragmentach wskrzeszających „rebeliancką” młodość jest aż nadto wyraźna: zawiedziony komunizmem, któremu w młodości zbyt lekko-myślnie zaufał, rad by obecnie tłumaczyć tę tragedię pomyłek młodzieńczym porywem, entuzjazmem cechującym naprawiaczy świata, którzy nie oglądają się na koszty swoich szalonych przedsięwzięć, ufni, że tylko oni mają rację. W podobnych sytuacjach – ileż ich znamy! – rodzi się poczucie omyłki niezawinionej, spowodowanej przez zręczne machinacje szczywanych graczy i manipulatorów, tępych doktrynerów, żerujących na szczerych uczuciach i gorących sercach. Nasz radykalizm – tak wygląda linia samoobrony – był rodzimego chowu, nawiązywał do tradycji, nie czerpał z wzorów, które – mówiąc słowami Żeromskiego (*Ballada* wszak przywołuje wizję szklanych domów) były obce polskiej duszy. „To o polską rewolucję szła rzecz”, „nie śpiewało się na obcą nutę”, „z ojczystej gliny młode cegły / chciał wypalać zbuntowany architekt”.

Jasne, iż jest to stylizacja biografii własnej i przygody tego pokolenia z perspektywą późniejszych, znacznie późniejszych doświadczeń i bolesnych zawodów, by – o ile to możliwe – złagodzić dotkliwość kary, ukazać się innym, niż się było w rzeczywistości, zasłużyć – tak! – na zbawienie. Perspektywa z jakiej Łobodowski ogląda własne życie wyrasta bowiem z postawy kryptoreligijnej, szkicuje drogę od grzechu do kary i w konsekwencji do wiecznego potępienia. Oto jedna z legend, jakimi karmi się

¹ Tomik *Stońce przez szpary* ukazał się w roku 1929 nakładem lubelskiej oficyny, Drukarni Ludowej J. Popiela.

² Por. W. Ligęza, *Jerozolima i Babilon. Miasta poetów emigracyjnych*, Kraków 1998.

³ *Ballada lubelska* została opublikowana w tomie *W połowie wędrówki*, Londyn 1972, s. 147-171 (stąd wszystkie cytaty, już bez podania stron).

wygnanie, że stanowi zasłużoną karę za błędy młodości.

Zauważył Miłosz, że „katastrofizm” przedwojenny był dziełem pisarzy kresowych⁴. Katastrofizm ów sprawia, że zarówno *Ballada*, jak i inne emigracyjne wiersze Łobodowskiego pełne są tonów eschatologicznych. Zapowiedzi kresu, końca, śmierci stanowią uczuciową dominantę i tego utworu, motywy żałobne i cmentarne wracające jak refren nie są ornamentem, lecz tajemniczym szyfrem zbliżającym do Prawdy, nieśmiałą próbą uchylecia zasłony, przed którą cofa się każdy zbyt zuchwały gest. Ale ów moment wieczny czy ostateczny jawi się jako definitywny kres wszystkiego, umierający zabiera pod powieką obraz, który chciałby daremnie przedłużyć w nieskończoność: obraz tamtego miasta i tamtych lat. W *Żonie Lota* wraca marzenie o najpiękniejszej śmierci, śmierci za cenę ostatniego spojrzenia, widoku, które bohaterka unosi ze sobą do grobu⁵. *Ballada* jest przejmującym wyrazem tej samej tęsknoty będącej, jak sądzi poeta, jedyną szansą dopełnienia losu naznaczonego poczuciem klęski i niespełnienia. Katastrofizm jest wyrokiem spoczywającym na ludziach, wszak w tych kategoriach *Ballada* wskrzesza obrazy Lublina z lat wojny.

Sen wspomaga pamięć, czy odwrotnie, pamięć wymaga całkowitego roztopienia się w sennym żywiole i dlatego sen, proroczy i wizjonerski, jak u wszystkich katastrofistów, jest naczelnym ujęciem kompozycyjnym poematu. To jemu zawdzięcza on zjawiskowość i feryczność wizji, jedynie sen skłonny jest przywrócić rzeczom dawny materialny, niezwykle plastyczny kształt, nadać widokom, okolicom znamię dotykalności, świeżości. On jest tym „widzeniem ostatecznym” poprzedzającym śmierć, utrwalającym na zawsze to, z czym naprawdę bohater nigdy się nie rozstał. I dlatego takie widzenia przypominają mistyczne iluminacje, olśnienia, jakich

kiedyś doznawał mickiewiczowski „człowiek wewnętrzny”, ów, któremu wzrok duszy zwracał na ten jedyny, błogosławiony moment świat w jego nieogarnionym bogactwie i pełni wrażeń, nigdy jak teraz doskonałych i bezinteresownych, bo wyzbytych chęci posiadania.

Każdy szczegół po latach odtworzony w tym tekście zadziwia swoją konkretnością, plastycznością, bogactwem brzmień, dźwięków, barw, zapachów, jak gdyby wszystko działa się teraz i tutaj, w Lublinie, który wraca ustokrotnie, bogatszy niż kiedykolwiek. „Nonsensem jest – pisał Proust – szukać w realnym świecie obrazów pamięci: zawsze im będzie brakowało czaru, którego użyć sama pamięć i to, że ich nie poznajemy przez zmysły”⁶. Zmysły odgrywają w *Balladzie* rolę narzędzia poznania wewnętrznego, przynoszą obraz, którego nie da się sprowadzić do poszczególnych wrażeń na jawie, lecz stanowi jakąś ich idealną „summę”, stop, którego niepodobna rozłożyć na składniki pierwsze bez zburzenia całej budowli.

Tak się ma sprawa z topografią uruchomioną w tym utworze; nietrudno przyjdzie nam zauważyć, że poszczególnym nazwom przysługuje tu ta sama funkcja, tajemnicza i nieodgadniona, co „imionom” u Prousta: wyzwalają ruch wyobraźni, mają znaczenie magiczne. A zatem najbliższe okolice: Zemborzyce, Markuszów, Puławy, Kazimierz, Motycz; nazwy, które w wyobraźni podmiotu wywołują cały krąg asocjacji, obrysowują teren, który wciąż pozostał mu bliski i drogi. Dalej dzielnice Lublina: Wieniawa, Kalinowszczyzna, Podzamcze; ulice: Radziwiłłowska, Spokojna, Niecała, Rynek, Lubartowska, Ogrodowa; budowle, jak Brama Krakowska, katedra...

Transformacje poetyckie, jakim ulega cały ów obszar są nawiązaniem do dawnego, czechowiczowskiego mitu prowincji. *Ballada lubelska* brzmi w swych lubelskich, krajobrazowych i pejzażo-

⁴ Cz. Miłosz, *Ziemia Ulro*, Paryż 1977, s. 20.

⁵ J. Łobodowski, *Rachunek sumienia. Wybór wierszy 1940-1980*, Paris 1987, s. 216-217.

⁶ M. Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, t. 1, tłum. T. Żeleński (Boy), Warszawa 1974, s. 481.

wych momentach, jako – z pewnością zamierzone – echo *Starych kamieni* Czechowicza. Ta sama w nich aura melancholii i smutku, jaka owiewa lubelskie ulice, domy i parki, ten sam złowrogi cień, jaki tragicznym przecuciem końca kładzie się na wszystkim, co kiedyś poeta ukochał i z czym do końca nie potrafił się rozstać. Owa poetycka mitologia wygnania, jaką Łobodowski wskrzesza w swoim utworze, pokazuje, jak dalece pozostał on wierny swoim pierwszym wyborom, ile zawdzięczał fascynacjom wyniesionym ze „szkoły Czechowicza”, co też ostatecznie przesądziło o jego osobnym miejscu w poezji powojennej, jakby na uboczu jej głównych nurtów, w niezgodzie z oczekiwaniami publiczności, co wreszcie skazało go na pewien epigonizm i powielanie anachronicznej manieri artystycznej.

Cena, jaką przyszło zapłacić za wierność sobie jest jednocześnie ceną wydziedziczenia z ojczyzny czy – co może lepiej odpowiadałoby intencjom utworu – ojcowizny. *Ballada*, która w swoim planie osobistym jest wykreśleniem biografii człowieka pokutującego za grzechy młodości, w innym planie, bardziej ogólnym, pozostanie jednym z bardziej wyrazistszych przykładów samowydziedziczenia i kary, jaka za to spotyka. Banić, wygnaniec, wieczny emigrant – słowa autocharakterystyki, jakie padają w tym utworze mają to wspólne znaczenie, iż odnoszą się do sytuacji, która dla podmiotu odznacza się dotkliwym poczuciem wyobcowania, oderwania się od korzeni. Osobnik dotknięty tą chorobą cierpi na brak poczucia rzeczywistości, żyje w jakimś nieustalonym i problematycznym co do swej ontologicznej podstawy wymiarze przestrzennym, znamionym przez ciągłe „nakładanie się” czasów i przestrzeni (Lublina i Madrytu), przez ciągłe rozdarcie między czasem historii, który niszczy, pali i spopiela; i czasem pamięci, który ocala, przechowuje w niezmienionej postaci, to, co było. „Wygnanie, przyjęte

jako przeznaczenie, tak jak przyjmujemy nieuleczalną chorobę, powinno nam pomóc w zobaczeniu naszych złudzeń”⁷.

Ballada wskazuje na manichejskie rozdarcie między ostrym poczuciem ułomności własnego „ja”, przekleństwem świadomości a ładem świata, przepychem natury, co osobowości o tak wyczulonym, sensualistycznym odbiorze świata jak Łobodowski stale daje wrażenie własnej niewystarczalności, niższości. Mało przekonująco brzmi odpowiedź, jaką Łobodowski daje prociectwu „falszerzy” i „kłamców”, „iż kto uszedł / z ziemi ojczystej usycha jak drzewo / wyrwane z gruntu”. Wszak we wszystkim, co go spotkało, rad by ujrzeć skutek grzechu pierworodnego. Wygnany z raju-natury za świadomość, którą posiadał zbyt wcześnie, gorączkowo poszukiwał spełnienia swoich marzeń i za to został słusznie ukarany. Udziałem takiej egzystencji staje się wtedy trudna do zniesienia podwójność, rozdarcie życia na dwie „nieprzystające do siebie połowy”, przebywanie w dwu szczelnie od siebie odgradzonych segmentach czasoprzestrzeni dawnej i obecnej.

Wygnanie z raju, banicja, tułaczka, to – powtórzmy – najogólniejszy wymiar doświadczenia, bardzo osobistego zarazem, o jakim mówi ten nostalgiczny poemat. Dlatego Lublin jawi się tutaj jako wyidealizowany portret raju, ogrodu, gdzie wszystko zdaje się głosić pochwałę Istnienia, jest uświęcone przez *sacrum*. Tak jak w wyobraźni innego emigranta, restrytuującego stałą przestrzeń, Wilno, „miasto bez imienia” jest „środkiem świata”, tak dla Łobodowskiego Lublin zawdzięcza swoje centralne położenie wyobraźni ustanawiającej na mapie punkt stały, który jak busola gwarantuje orientację w przestrzeni. Wzorem tej rajskiej stylizacji Lublina jest czechowiczowska arkadia i sielanka, Łobodowski snuje swą opowieść z upodobaniem zwracając się ku temu źródłu inspiracji, o czym świadczy wielość alu-

⁷ Czesław Miłosz, *Zaczynając od moich ulic*, jw., s. 45.

zji, cytatów, jawnych wręcz naśladownictw. Poetycki mit prowincji i miasta stylizowany jest „pod Czechowicza”, co wiąże się z zamiarem ogólniejszym, na który warto zwrócić uwagę.

Żywiłem, któremu z lubością poddaje się „wieczny emigrant” jest mowa, język ojczysty. Jej apologię przynosiła *Pochwała szorstkiej mowy*, poemat drukowany w londyńskich „Wiadomościach” w roku 1960, powstały więc w tym czasie, co *Ballada lubelska*. Pochwała mowy szorstkiej, nieogładzonej, ma wydobyć jej swojskość i rodzimość, skonstrastować z językiem, który wciąż pozostał dla pisarza obcy. Mit mowy rodzimej i pieśni gminnej należy do stałego wyposażenia poetów-emigrantów, szerzej: wygnańców, konkretyzuje się mimo różnic podobnie, jako sięganie do różnych pokładów tej mowy, rozmaitych stylów i dialektów artystycznych, bywa najczęściej sztuką aluzji językowych i cytatów. Bohater *Ballady* mówi w tym samym stopniu „od siebie”, co w imieniu innych poetów, którzy na ów moment użyczyli mu swego głosu. Bywa

medium, przez które swobodnie przepływają inne głosy, instrumentem, na którym ktoś inny, pokrewny mu duchowo, wygrywa swoją melodię.

„Dawny” Łobodowski, oddzielony od obecnego wcielenia, ma także swój udział w tym chórze. Trzykrotnie autor cytuje fragmenty swych wierszy z tomu *Rozmowa z ojczyzną* (1935), dystansując się, to prawda, od tamtego głosu, ale i utrwalając go zarazem, przekazując na wieczność. Czy to będzie pejzaż czechowiczowski, czy stylizacja biblijna (fragment mówiący o zagładzie Żydów lubelskich), czy nawiązanie do pieśni ludowej, wszędzie autor zdaje się być posłuszny wewnętrznej konieczności, każącej mu odnajdywać źródła własnej tożsamości w mowie. Kryje się w tym jedyna szansa ocalenia i zbawienia, poprzez zostawienie świadectwa w języku rodzinnym, przez udział we wspólnocie poetyckiej. Na tym zamyka się koło poszukiwań, udręk i cierpień wygnańca, który w języku ojczystym odnajduje fundament trwałości i szansę przetrwania na wieczność.

pismo tradycja
folkowe muzyka świata
i okolic

Gadki z Chatki

Jedyna w Polsce gazeta o współczesnych
zagadnieniach folkloru i muzyką ludową
muzyka, muzykę,
wydawnictwa, przeglądy,
występy, recenzje,
zapowiedzi...
Dostępna w kioskach

Adres redakcji:
Gadki z Chatki
A/C UMCS „Chatka Zaka”
20-030 Lublin, ul. Radziszewskiego 18
tel./fax (0-61) 33-332-01 w.114
e-mail: gadki@umcs.lublin.pl
www.gadki.lublin.pl

Jarosław Cymerman Teatr Łobodowskiego

Tekst niepublikowany.

Wystarczy rzucić okiem na biografię i twórczość Józefa Łobodowskiego, by bez większych kłopotów zauważyć, że było w tym twórcy coś nadekspresywnego, niezwykła energia połączona z pomysłowością prowadziła go to na Parnas, to do więzienia, to jeszcze w inne mało spokojne rejony. Niespokojny duch Atamana Łobody nie tylko ożywiał lubelskie, warszawskie czy wołyńskie środowisko literackie, słyhać go było po wojnie na antenie Radia Madryt, skąd płynął osobny, ale jakże irytujący władze PRL-u głos. Było w nim coś z wiecznego rewolucjonisty płonącego gorączkowym pragnieniem przemiany rzeczywistości, uporczywym dążeniem do realizacji swoich pomysłów bez względu na opór „bryły tego świata”. Rzuciwszy okiem na opublikowane w 1991 roku na łamach „Kresów” *Wspomnienia lubelskie* Łobodowskiego z niemałym zdziwieniem można stwierdzić, że pierwszej rewolucji dokonał on już jako uczeń siódmej klasy ówczesnego Gimnazjum im. Jana Zamoyskiego w Lublinie i to w dziedzinie, z którą praktycznie się go nie kojarzy:

Gdy doszedłem do siódmej klasy i zostałem mianowany przez kolegów „dyrektorem” szkolnego teatru – pisał po latach autor *Złotej Hramoty* – postanowiłem dokonać rewolucji i sięgnąć do wielkiego repertuaru. Na początek wybrałem *Cyrano de Bergerac* Edmonda Rostanda.¹

Debiut Łobodowskiego-rewolucjonisty miał zatem miejsce na deskach szkolnej sceny przy ulicy Ogrodowej i odbył się w stroju rodem z siedemnastowiecznej Francji, w kapeluszu z pióropuszem, ze szpadą w rękę i z przyprowadzonym ogromnym nosem. Flirt ze sceną, choć będący zaledwie promilem aktywności Łobodowskiego obejmował poza aktorstwem także kilka innych wcieleni – mię-

dzy innymi krytyka teatralnego, a nawet dostarczyciela repertuaru – w 1937 roku Okręg II Związku Rezerwistów opublikował jego *Lubelską Szopkę Polityczną*, a w 1961 w Instytucie Literackim w Paryżu ukazało się tłumaczenie „komedii (a może tragedii) w 3 aktach” *Czy istnieje życie na Marsie?* I. Iwanowa (pod tym nazwiskiem krył się Aleksy Remizow). Oczywiście wszystkie te określenia są w stosunku do autora *Dziejów Józefa Zakrzewskiego* nieco na wyrost, niczym wspomniana tytułowa rola w *Cyranie de Bergerac* Edmonda Rostanda i samo jego wykonanie siłami uczniowskiego teatru.

Dlaczego było to przedsięwzięcie „na wyrost”? Po pierwsze sztuka Rostanda to „komedia bohatera w pięciu aktach” – dwutomowa publikacja z 1898 roku liczy sobie ponad 300 stron druku! Z całą pewnością tekst został skrócony, ale nawet wówczas podziwiać należy odwagę nastoletnich gimnazjalistów. Łobodowski zabrał się zresztą do niego z typowym dla siebie zapalem, pojechał nawet do Poznania, by zobaczyć tam przedstawienie *Cyrana* w wykonaniu profesjonalnego zespołu, poświęcił także dramatowi Rostanda fragment swego artykułu pod niewiele mówiącym tytułem *Garść wspomnień* opublikowanego w czasopiśmie „W Słońce”. I właśnie w tym tekście znaleźć można odpowiedź na to, co urzekło młodego poetę w neoromantycznej i miejscami bardzo melodramatycznej „komedii bohatera”: „I szedł Cyrano de Bergerac ze sceny na scenę, czarem niefałszowanego uczucia w entuzjazm wprawiał widownię... i tęczę minionych lat rzucał przed oczy ludzi spragnionych światła, barw i ruchu...”²

Słowa te współbrzmiały z wymową artykułu Stanisława D-skiego³ *Teatr naro-*

¹ Józef Łobodowski, *Wspomnienia lubelskie*, „Kresy” 1991, nr 8.

² Tenże, *Garść wspomnień*, „W Słońce” 1928, nr 1.

³ W wywiadzie udzielonym w 1937 roku czasopismu „W Słońce” przyznał się, że w czasach gimnazjalnych drukował w tym piśmie m.in. pod pseudonimem „Stanisław C-ski”, co brzmi bardzo podobnie do „Stanisław D-ski” (Jerzy Pleśniarowicz, *Wywiad z Józefem Łobodowskim*, „W Słońce” 1937, nr 3). Warto również zwrócić uwagę, że w 1928 roku jednym z czołowych lubelskich inscenizatorów był Stanisław Dąbrowski, ale trudno go podejrzewać o autorstwo wspomnianego artykułu.

dowy opublikowanego na łamach tego samego numeru czasopisma „W Słońce”, w którym młody autor kreśli zarys swej wizji nowego teatru i dramatu będącego wyrazem duszy polskiej:

Taki właśnie teatr – fantazją poetycką powodujący się przede wszystkim i mający na celu zdobywanie ukrytych zjawisk – emocjonujących widza swym polotem – nie tylko nie wymaga dla swego rozkwitu wyjątkowego tragizmu, ale doskonale czuć się będzie w najbardziej rozsłonecznionych dziedzinach... I w takim teatrze tylko naród polski będzie mógł odnaleźć swą duszę, która [...] nie zatraciła tej potęgi, co nie bacząc na przyciąganie ziemi [...] raz po raz do góry się podrywa.⁴

„Światła, barwy, ruch”, „fantazja poetycka” i „rozsłonecznione dziedziny” – oto czego szukał młody Łobodowski na szkolnej scenie i chyba tylko jego niepohamowanemu temperamentowi przedstawienia gimnazjalnego teatru o karkołomnym repertuarze zawdzięczał (jeśli wierzyć wspomnieniom samego poety) sukces. Wkrótce uczniowska scena pod jego „dyrekcją” dała kolejne premiery – *Mazepę* Juliusza Słowackiego (co nie powinno dziwić pamiętając o miłości do Ukrainy autora *Złotej Hromoty*), w którym Łobodowski zagrał Wojewodę, a cały tekst tego dramatu znał na pamięć i do końca życia był w stanie recytować jego fragmenty.⁵ Trzecią znaną szkolną inscenizacją reżyserowaną przez niego były *Damy i huzary* Fredry, o których wspomina w powieści *Terminatorzy rewolucji* – drugiej części opartego na własnej biografii cyklu *Dzieje Józefa Zakrzewskiego*. Teatralne sukcesy uczniów Gimnazjum im. Jana Zamoyskiego sprawiły, że wkrótce po tzw. wielki repertuar sięgnęli uczniowie innych lubelskich szkół.

Niespokojny duch romantyczny odezwał się również podczas kolejnej przygody ze sceną Józefa Łobodowskiego, którą przeżył podczas służby wojskowej. Tym razem teatralna namiętność sprawiła, że spóźnił się na własną przysięgę,

gdyż ważniejsze niż lęk przed przełożonymi były dla niego poszukiwania odpowiednich kostiumów do *Kordiana* Słowackiego, którego fragmenty przygotował i wystawił podczas uroczystości z okazji rocznicy Powstania Listopadowego.

Wydaje się, że na tym skończyła się przygoda Łobodowskiego z teatrem w roli aktora i inscenizatora, ale scena raz jeszcze na poważnie zagościła w jego życiu, gdy od listopada 1937 roku do kwietnia 1938 recenzował na łamach „Wołynia” przedstawienia Teatru Wołyńskiego. I choć robił to zapewne przymuszony okolicznościami, to zdaniem Bogdana Śmigiełskiego, autora monografii międzywojennego teatru z Łucka, potrafił snuć głębokie refleksje nie tylko na temat sztuk Moliera czy Zapolskiej, ale także znakomicie czuł klimat farsowo-komediowy⁶.

Jak już wspomniałem teatralne epizody Łobodowskiego stanowią niewielki ułamek jego działalności, ale pomimo tego warte są chyba przypomnienia. Wypowiadane ze sceny słowa bohaterów Rostanda czy Słowackiego dały wszak mu warsztat niezbędny później w przygotowywaniu i wygłaszaniu audycji Radia Madryt. Ale jest w tych teatralnych przygodach autora *Dziejów Józefa Zakrzewskiego* chyba jeszcze coś. Będę ostrożny, więc posłużę się pytaniami – czy teatralna scena nie była dla niego rodzajem laboratorium, w którym przygotowywał swe kolejne role, czy Łobodowski-Cyrano nie odkrył, że kryjąc się za kolejnymi maskami, pseudonimami można powiedzieć o świecie więcej niż tylko i wyłącznie pod swoim własnym nazwiskiem? I nie chodzi tu tylko o chęć uniknięcia odpowiedzialności za to, co się mówi i robi. Teatralny kostium i maska pozwala bowiem także wkroczyć w światy nie dla każdego dostępne, co myślę dla twórcy tak żądnego wrażeń jak Józef Łobodowski miało niebagatelne znaczenie.

⁴ S. D-ski, *Teatr narodowy*, „W Słońce” 1928, nr 1.

⁵ Zob. Irena Szypowska, *Łobodowski. Od „Atamana Łobody” do „Seniora Lobo”*, Warszawa 2001, s. 22.

⁶ Bogdan Śmigiełski, *Teatr Wołyński im. Juliusza Słowackiego 1930–1939*, Lublin 2002, s. 101.

Bibliografia

Araszkiewicz Feliks

Józef Czechowicz. Wspomnienie,
w: *Spotkania z Czechowiczem.*
Wspomnienia i szkice, oprac.
Seweryn Pollak, Lublin 1971, s. 95.

(b.) [Józef Łobodowski]

Zamiast zgrzytu, „Kurier Lubelski”
nr 125, 7 maja 1932, s. 3.

Zamiast zgrzytu, „Kurier Lubelski”
nr 127, 9 maja 1932, s. 3.

Cymermann Jarosław

Teatr Łobodowskiego, tekst niepubli-
kowany.

Czechowicz Józef

Listy, oprac. Tadeusz Klak, Lublin 1977.

Mój wiersz, w: *Wyobraźnia stwarzająca*
szkice literackie, Lublin 1972, s. 70.

Oświadczenie, „Kurier Lubelski” nr 296,
27 października 1932, s. 3.

W Mieście Poetów (notka w dzia-
le „Kronika bieżąca”), „Miesięcznik
Literatury i Sztuki” nr 4, grudzień
1934, s. 128.

Derecki Mirosław

Na gastronomicznym szlaku, w:
Weekend wspomnień, Lublin 1988,
s. 86.

Gralewski Wacław

Pieśń Herostratesa, Lublin 1958.

Wataha Atamana Łobodi, w: *Ogniste*
koła, Lublin 1963, s. 173-175.

Gzella Alojzy Leszek

Pod znakiem Łobody. Z dziejów pra-
sy lubelskiej, „Kurier Lubelski”, 13
maja 1981.

jł. [Józef Łobodowski]

Nowe wydawnictwa, „Trybuna” nr 1,
1932, s. 31.

j. m. [Jan Miklaszewski]

Gwiezdny psalterz, „Kurier Lubelski”
nr 102, 14 kwietnia 1932, s. 2.

Klak Tadeusz

Awangarda lubelska, w: *Stolik Tadeusza*
Peipera. O strategiach awangardy,
Kraków 1993, s. 146-147.

Czasopisma awangardy. Część I. 1919-
1934, Wrocław-Warszawa-Kraków-
Gdańsk 1978, s. 155-156.

„Lubelskie” powieści Józefa

Łobodowskiego, w: *Literatura i pa-*
mięć kultury, Lublin 2004, red.

Sławomir Baczewski, Dariusz
Chemperek, s. 338-339.

Poezja lubelska 1918-1939, w: *Lublin li-*
teracki 1932-1982, red. Waldemar
Michalski, Józef Zięba, Lublin 1984,
s.74.

Koss Agata

Ciekawość świata. Rozmowa z Julią
Hartwig, „Kresy” nr 1, 1997, s. 115-
116.

Kryszak Janusz (oprac.)

Listy Józefa Czechowicza do Mariana
Czuchnowskiego, „Poezja” nr 1,
1981, s. 36.

Krzyżanowski Jerzy R.

Lublin Józefa Łobodowskiego,
„Pamiętnik Literacki”, Londyn 1998,
s. 73-79.

Łobodowski Józef

Adwokatka heroizmu, „Wiadomości
Literackie” nr 48, 1935, s.7.

Burza na lubelskim Olimpie poetyckim,
„Głos Lubelski” nr 211, 4 sierpnia
1937, s. 5.

Czerwona wiosna, Londyn 1965, s. 191.

Cztery Lubliny, „Kresy Literackie” nr 1,
1992, s. 7-10.

Dusze chce łowić..., „Kresy” nr 9-10,
1992, s. 167-171.

Dzieje Józefa Zakrzewskiego, Londyn
1965.

Jarżmo kaudyńskie, Londyn 1969.

List Łobodowskiego w obronie dobre-
go imienia Franciszki Arnsztajnowej,
„Wiadomości Literackie” nr 32, 1
sierpnia 1937, s. 8.

Lubelska szopka polityczna, Lublin
1937, s. 7.

Nogi Marleny Dietrich, „Kurier
Lubelski” nr 285, 16 października
1932, s. 3.

O cyganach i katastrofistach (I),
„Kultura” nr 7-8, Warszawa 1964,
s. 38-48.

O cyganach i katastrofistach (II),
„Kultura” nr 9, Warszawa 1964, s.
59-68.

O cyganach i katastrofistach (III),
„Kultura” nr 10, Warszawa 1964, s.
35-53.

O cyganach i katastrofistach (IV) ,
„Kultura” nr 11, Warszawa 1964, s.
49-61.

O cyganach i katastrofistach (dok.),
„Kultura” nr 12, Warszawa 1964, s.
31-50.

O czerwonej krwi, Lublin 1931, s. 135.

Oświadczenie dla „Kuriera Lubelskiego”,
„Kurier Lubelski” nr 320, 20 listopa-
da 1932, s. 3.

Oświadczenie, „Kurier Lubelski” nr 296,
27 października 1932, s. 3.

Poezje, wybór i wstęp Józef Zięba,
Lublin 1990.

Przeciw upiorom przeszłości, „Kultura”
nr 2/52-3/53, 1952, s. 14-66.

Serca za barykadą, „Trybuna” nr 1, 1932,
s. 13-15.

Tragiczna antologia, „Kultura” nr 9,
Warszawa 1978, s. 107-114.

Tropicielem polskości, „Wiadomości
Literackie” nr 25, 1937, s. 5.

Uzurpatorzy wolności, „Wiadomości
Literackie” nr 31, 19 lipca 1936, s.
1-2.

Wspomnienia lubelskie, „Kresy” nr 8,
1991, s. 130-136.

Zuzanna Ginczanka, wstęp do: *Pamięci*
Sulamity, Toronto 1987, s. 7-16.

Żarty a rzeczywistość, „Wiadomości
Literackie” nr 30, 1937, s. 5.

Miciński Bolesław

List otwarty do Osipa Łobody, „Prosto
z Mostu” nr 20, 2 maja 1937, s. 4.

Żarty a wyznania, „Prosto z Mostu”
nr 28, 20 czerwca 1937, s.4.

Miklaszewski Jan Samuel

Oświadczenie, „Kurier Lubelski” nr 296,
27 października 1932, s. 3.

Miłosz Czesław

Lublin żyje, „Pion”, grudzień 1932, s.
65-68.

Lublin żyje, w: *Przegląd młodego umy-*
śłu. Publicystyka i proza 1931-
1939, oprac. Agnieszka Stawiarska,
Kraków 2003, s. 67.

Okulicz Kazimierz, *O Łobodowskim*
i o „cywilizacji jagiellońskiej”,
„Kultura paryska” 1962.

Paragraf [Józefa Łobodowski]

Cykl *Zgrzytów Lubelskie*
 bez tytułu, „Kurier Lubelski” nr 1, 1 stycznia 1932, s. 5.
Potrzeba jest matką wynalazków, „Kurier Lubelski” nr 5, 5 stycznia 1932, s. 3.
Artykuł 21, „Kurier Lubelski” nr 6, 6 stycznia 1932, s. 3.
Gabinet a gabinet, „Kurier Lubelski” nr 10, 10 stycznia 1932, s. 5.
Druh za druha lekko wskocz, „Kurier Lubelski” nr 12, 12 stycznia 1932, s. 3.
Wesoły przemysł, „Kurier Lubelski” nr 15, 15 stycznia 1932, s. 3.
Musztarda po obiedzie, „Kurier Lubelski” nr 20, 20 stycznia 1932, s. 3.
Dom akademicki, „Kurier Lubelski” nr 21, 21 stycznia 1932, s. 3.
Zielona wstążka i inne wstążki, „Kurier Lubelski” nr 22, 22 stycznia 1932, s. 3.
 bez tytułu, „Kurier Lubelski” nr 23, 23 stycznia 1932, s. 3.
buty na każdą kieszeń, „Kurier Lubelski” nr 24, 24 stycznia 1932, s. 5.
Czytelnia od siedmiu boleści i trzech czasopism, „Kurier Lubelski” nr 26, 26 stycznia, s. 3.
Lublin odetchnął, „Kurier Lubelski” nr 27, 27 stycznia 1932, s. 3.
Szewca pasja, „Kurier Lubelski” nr 32, 1 lutego 1932, s. 3.
W sprawie ogólnego smutku, „Kurier Lubelski” nr 34, 3 lutego 1932, s. 3.
Paragrafa życie, „Kurier Lubelski” nr 35, 4 lutego 1932, s. 3.
„Śliski” temat, „Kurier Lubelski” nr 36, 5 lutego 1932, s. 3.
Zdawałoby się, „Kurier Lubelski” nr 37, 6 lutego 1932, s. 3.
Kadzielnica wonności, „Kurier Lubelski” nr 38, 8 lutego 1932, s. 3.
14° niżej zera, „Kurier Lubelski” nr 41, 10 lutego 1932, s. 3.
Smutny zgrzyt, „Kurier Lubelski” nr 52, 21 lutego 1932, s. 5.
Pies, który dużo szczeka daje mało mleka, „Kurier Lubelski” nr 45, 17 lutego 1932, s. 3.
Masoneria, „Kurier Lubelski” nr 61, 1 marca 1932, s. 3.
Plamy na słońcu, „Kurier Lubelski” nr 66, 6 marca 1932, s. 5.
Pochwała Lublina, „Kurier Lubelski” nr 71, 11 marca 1932, s. 3.

Demonstracja bezrobotnych, „Kurier Lubelski” nr 86, 26 marca 1932, s. 6.
Istotno ruskij gorod, „Kurier Lubelski” nr 33, 5 kwietnia 1932, s. 3.
Na rozdrożu, „Kurier Lubelski” nr 95, 7 IV 1932, s. 3.
Co to jest zgrzyt?, „Kurier Lubelski” nr 98, 10 kwietnia 1932, s. 5.
Gusta i guściki, „Kurier Lubelski” nr 103, 15 kwietnia 1932, s. 3.
Ułani, ułani..., „Kurier Lubelski” nr 107, 19 kwietnia 1932, s. 3.
Coś zielonego..., „Kurier Lubelski” nr 115, 27 kwietnia 1932, s. 3.
To, czego nie było..., „Kurier Lubelski” nr 120, 2 maja 1932, s. 3.
Zaduszki..., „Kurier Lubelski” nr 122, 4 maja 1932, s. 3.
Tło i obraz, „Kurier Lubelski” nr 123, 5 maja 1932, s. 3.
Zgrzyt, „Kurier Lubelski” nr 185, 7 lipca 1932, s. 3.
Filip z konopi, „Kurier Lubelski” nr 283, 14 października 1932, s. 3.
Ankieta teatralna, „Kurier Lubelski” nr 284, 15 października 1932, s. 3.
Amnestja, „Kurier Lubelski” nr 285, 16 października 1932, s. 5.
Satysfakcja niehonorowa, „Kurier Lubelski” nr 287, 18 października 1932, s. 3.
Jesienne manewry, „Kurier Lubelski” nr 288, 19 października 1932, s. 3.
Chorzy koledzy, „Kurier Lubelski” nr 289, 20 października 1932, s. 3.
Zagadka, „Kurier Lubelski” nr 293, 24 października 1932, s. 3.
„Osobiste!”, „Kurier Lubelski” nr 294, 25 października 1932, s. 3.
Dzikie muły na stepie („N. Ziemia Lub.” nr, nr, 125, 127, 128), „Kurier Lubelski” nr 295, 26 października 1932, s. 3.
Sztuka glinianka i mydło toaletowe, „Kurier Lubelski” nr 297, 28 października 1932, s. 3.

P. H. [Paweł Hostowiec]
 Nagroda Literacka „Kultury”, „Kultura” 1961.

Jerzy Pleśniarowicz

Rozmowa z Józefem Łobodowskim, „W Słońce” nr 3 (4), kwiecień 1937, s. 5-7.

Polonaise Jenne [Józef Czechowicz]

To jest tam, „Kurier Lubelski” nr 214, 5 maja 1932, s. 3.

Roman Samsel

Poezja się uratuje. Rozmowa z Józefem Łobodowskim, „Kierunki” nr 37, 1988, s. 1-11.

Sawicka Jadwiga

Hellada scytyjska. Ukraina w poezji Józefa Łobodowskiego, „Więź” nr 11-12, 1988, s. 141-154.
Osobna droga, „Tygodnik Literacki” nr 3, 20 stycznia 1991, s. 6.
Złota wołyńska struna. O Łobodowskim w tygodniku „Wołyń”, „Kresy” nr 6, 1991.
„Scriptores. Czechowicz: W poszukiwaniu ukrytego miasta”, t. 1, 2006, s. 399-401.

Siryk Ludmiła

Naznaczony Ukrainą. O twórczości Józefa Łobodowskiego, Lublin 2002.

st.p. [Bolesław Piasecki]

Naręcze jajczek, „Prosto z Mostu” nr 37, 8 sierpnia 1937, s. 8. Z cyklu „Wycinanki”.
„Pion” przegląda prasę, „Prosto z Mostu” nr 34, 25 lipca 1937, s. 5. Z cyklu „Wycinanki”.
Rozkoszny laureat, „Prosto z Mostu” nr 34, 25 lipca 1934, s. 5. Z cyklu „Wycinanki”.
Skutki, „Prosto z Mostu” nr 34, 25 lipca 1937, s. 5. Z cyklu „Wycinanki”.
 Szybowska Irena
 Rozmowa z Józefem Łobodowskim, „Poezja” nr 6, 1988, s. 18-28.
Łobodowski. Od „Atamana Łobody” do „Seniora Lobo”, Warszawa 2001.

Szelburg-Zarembina Ewa

Sprawa poety, „Wiadomości Literackie” nr 46, 27 października 1933, s. 2.

Śmieja Florian

Józef Łobodowski o sobie i swojej poezji, „Odra” nr 4, 1991, s. 63-65.

Święch Jerzy

Łobodowski godzina poezji, „Akcent” nr 1, 1989.
Niepokorny wędrowiec w: Łobodowski Józef, *List do kraju*, Lublin 1989.
Rachunek sumienia emigranta w: Nowoczesność: szkice o literaturze polskiej XX wieku, Warszawa 2006, s. 144-149.

Bibliografia

Terlecki Tymon

Poezja Cezarego Baryki. Rzecz o Łobodowskim, „Tygodnik Ilustrowany” nr 16, 1937, s. 311-312.

Żięba Józef

O religijnym wymiarze twórczości Łobodowskiego, tekst niepublikowany.

Żywot Józefa Łobodowskiego (1), „Relacje” nr 3, 1989, s. 4.

Żywot Józefa Łobodowskiego (2), „Relacje” nr 4, 1989, s. 8.

Żywot Józefa Łobodowskiego (3), „Relacje” nr 5, 1989, s. 4.

Żywot Józefa Łobodowskiego (4), „Relacje” nr 6, 1989, s. 4.

Żywot Józefa Łobodowskiego (5), „Relacje” nr 7, 1989, s. 4.

Żywot Józefa Łobodowskiego (6), „Relacje” nr 8, 1989, s. 4.

Texty nie podpisane

Ataman Łoboda bawi się, „Prosto z Mostu” nr 32, 11 lipca 1937, s. 4.

Chodzi o to żeby pan mniej pił, „Głos Lubelski” nr 317, 19 listopada 1937, s. 5.

„Młody literat” p. Łobodowski skazany na ..., „Głos Lubelski” nr 78, 20 marca 1938, s. 8.

Profesor patriotyzmu, „Prosto z Mostu” nr 38, 15 sierpnia 1937, s. 5.

Zawiera fragment listu Wacława Sieroszewskiego.

Redaktor „Barykad” odzyskał wolność, „Express Lubelski” nr 20, 20 stycznia 1933, s. 4.

Redaktor „Barykad” skazany, „Głos Lubelski” nr 240, 30 sierpnia 1933, s. 4.

Rozmowa z Józefem Łobodowskim, „Spotkania” nr 33-34, 1987, s. 195-207.

Sąd Okręgowy skazał Łobodowskiego, „Głos Lubelski” nr 364, 16 grudnia 1937, s. 6.

Sensacyjne procesy literackie, „Głos Lubelski” nr 31, 1 lutego 1933, s. 4.

Sprawa Łobodowskiego, „Głos Lubelski” nr 316, 15 listopada 1933, s. 4.

Sprawa p. Łobodowskiego, „Głos Lubelski”, 24 listopada 1936, s. 5.

Strzały na dancingu akademickim, „Głos Lubelski” nr 315, 17 listopada 1936, s. 5.

Trzy procesy literackie na wokandach sądów lubelskich, „Express Lubelski” nr 31, 31 stycznia 1933, s. 4.

Za działalność wywrotową, „Express Lubelski” nr 18, 18 stycznia 1933, s. 4.

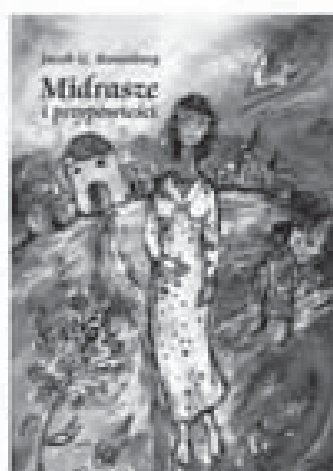
Za obrazę uczuć religijnych, „Express Lubelski” nr 25, 28 stycznia 1933, s. 4.





Szymon Rudnicki
Równi, ale niezupełnie

Teksty zebrane w niniejszym tomie to tylko niewielka część artykułów, które autor – wybitny historyk poświęcił ostatnio dziejom Żydów w Polsce w okresie międzywojennym, stosunkom polsko-żydowskim i antysemityzmowi w II Rzeczypospolitej



Jacob G. Rosenberg
Midrasze i przypowieści

Dwa cykle drobnych form prozatorskich: osobiste, nierzadko autobiograficzne nowele oraz miniatury, w których autor podąża śladami tradycyjnej żydowskiej literatury mądrościowej, ludowej przypowieści i biblijnej egzegery

a

KWARTALNIK
POŚWIĘCONY
LITERATURZE,
SZTUCE I NAUKOM
HUMANISTYCZNYM

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



Żywo redagowany kwartalnik poświęcony literaturze i innym dziedzinom sztuki w kontekście najnowszych osiągnięć myśli humanistycznej. Dokumentuje współczesne najwybitniejsze dokonania artystyczne. Ukazuje się od 1980 roku w Lublinie.

Sprzedawany przez sieć „RUCH” S.A. i „Kolporter” S.A., także w większych księgarniach naukowych i literackich. Dostępny w prenumeracie. Sprzedaż za granicę prowadzi „Ars Polona”. Archiwalne numery „Akcentu” można uzyskać za pobraniem pocztowym w redakcji kwartalnika: „Akcent”, ul. Grodzka 3, III p., 20-112 Lublin, tel./fax (081) 532-74-69.

akcent_pismo@gazeta.pl

www.akcent.glt.pl